PIOTR ZYCHOWICZ

Autor *Paktu Ribbentrop-Beck* i *Obłędu '44*

OPCJA NIEMIECKA

Czyli jak polscy antykomuniści próbowali porozumieć się z Trzecią Rzeszą

PIOTR ZYCHOWICZ

OPCJA NIEMIECKA

Czyli jak polscy antykomuniści próbowali porozumieć się z III Rzeszą

DOM WYDAWNICZY REBIS

Zadaniem narodu jest
szukać sobie dróg życia, a nie śmierci.

Stanisław Cat-Mackiewicz

Rozdział 1

Naród wyjątkowy

Jednym z dogmatów polskiej polityki historycznej jest duma z tego, że byliśmy jedynym narodem okupowanej Europy, który nie wydał z siebie Quislinga. Czyli że żaden polski polityk i żadne polskie ugrupowanie polityczne podczas II wojny światowej nie zhańbiło się współpracą z III Rzeszą. Tak oto Polacy mieli po raz kolejny udowodnić, że są narodem lepszym niż wszystkie inne. I odnieść jeszcze jedno moralne zwycięstwo, w którego blasku mogą się grzać kolejne pokolenia.

Spokojna, wyzbyta emocji analiza straszliwej tragedii, która dotknęła nas w latach 1939–1945, skłania jednak do wyciągnięcia przeciwnych wniosków.

Po pierwsze, Polacy nie powołali kolaboracyjnego rządu nie dlatego, że wszyscy byli tacy niezłomni, ale dlatego, że Niemcy sobie takiego rządu nie życzyli. Kandydatów na polskiego Quislinga było sporo. Jak pisał w tym kontekście jeden z historyków, nietrudno zachować cnotę, gdy się nie ma okazji do jej utraty.

Po drugie, należy żałować, że proniemiecki rząd w Polsce nie powstał. Jak wskazują doświadczenia innych państw okupowanych, powołanie takiej instytucji znacznie ograniczało terror okupanta. Straty narodów, które poszły na ugodę z Niemcami, były znacznie niższe niż straty narodu polskiego.

Po trzecie wreszcie, choć Polacy nie podjęli masowej kolaboracji z III Rzeszą, to podjęli ją z drugim naszym wrogiem – Związkiem Sowieckim. Opowieści o tym, że z II wojny światowej wyszliśmy „czyści jak łza”, można więc włożyć między bajki.

Samą kolaborację uważa się w Polsce za najgorszą zbrodnię, a podejmującego ją polityka za zdrajcę, zaprzańca, człowieka nie tylko bez uczuć patriotycznych, ale i zwykłej przyzwoitości. To podejście charakterystyczne dla narodu nie wyrobionego politycznie. Narodu, który nie kieruje się chłodną analizą, ale emocjami i uczuciami. A więc przesłankami, na które w polityce miejsca być nie może.

W polityce nie ma bowiem znaczenia, czy coś jest słuszne czy niesłuszne, moralne czy niemoralne. Znaczenie ma tylko to, czy jest skuteczne. Oczywiście jest to godne potępienia, ale tak po prostu jest i nic na to nie poradzimy. Takie są zasady tej brudnej gry. I każdy gracz na arenie międzynarodowej musi się do tych zasad dostosować, inaczej przepadnie. Tak jak ktoś,

kto zasiadając do pokera z szulerami, zamierza grać uczciwie.

Kolaboracja jest więc li tylko narzędziem politycznym, podlegającym takiej samej ocenie jak wszelkie inne narzędzia. A więc jeżeli służy ona interesom narodowym – jest dobra, jeżeli interesom narodowym szkodzi – jest zła.

Co zaś leżało w interesie narodowym Polski, gdy przegrała kampanię 1939 roku? Oczywiście to, żeby jak najwięcej Polaków przeżyło okupację i dotrwało do końca wojny. Tak aby na koniec tego konfliktu nasz potencjał był jak najmniej uszczuplony. Wyłonienie własnych proniemieckich władz – które rządziłyby Polską zamiast Hansa Franka i bandy sadystów z Gestapo – bez wątpienia poważnie by się do tego przyczyniło.

Gdy idziemy z rodziną ulicą i ktoś próbuje nas zamordować, możemy ratować życie na dwa sposoby. Zabić napastnika albo spróbować negocjacji. Oczywiście pierwszy sposób jest znacznie bardziej honorowy. Drugi niesie ze sobą upokorzenie i konieczność ustępstw. Nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie jednak walczył gołymi rękami z bandziorem uzbrojonym w pistolet. Szczególnie gdy ma na tych rękach małe dziecko, a u boku żonę.

W takiej właśnie sytuacji znaleźli się Polacy jesienią 1939 roku. Kontynuowanie otwartej walki z okupantem przy tak rażącej dysproporcji sił było oczywiście dowodem bohaterstwa, ale i nieodpowiedzialności. Te dwa motywy splatają się zresztą w naszych dziejach bardzo często, a skutki tego są na ogół opłakane. Porównanie potencjałów oraz prosta kalkulacja zysków i strat – a więc rzeczy w polityce absolutnie podstawowe – powinny były skłonić Polaków do szukania jakiegoś modus vivendi z Niemcami.

Warszawski robotnik Kazimierz Szymczak w sierpniu 1942 roku notował w dzienniku: „Jestem dumny z tego, że należę do tego narodu, w którym nie ma zbiorowych zdrajców, są tylko zbiorowe mogiły i pojedynczy zdrajcy współpracujący z okupantem”. Wiem, że tym, co teraz napiszę, narażę się miłośnikom naszych narodowych rzezi, ale uważam, że znacznie lepsza byłaby sytuacja odwrotna: gdyby w Polsce byli zbiorowi „zdrajcy”, a nie było zbiorowych mogił.

Słowo „zdrajcy” celowo wziąłem w cudzysłów. Jak bowiem przekonają się państwo, czytając *Opcję niemiecką*, niemal wszyscy Polacy, którzy próbowali porozumieć się z Niemcami podczas II wojny światowej, nie byli wcale renegatami, ale patriotami. To właśnie oni są pozytywnymi bohaterami tej książki. Ludźmi godnymi szacunku, obdarzonymi wielką odwagą cywilną. Gotowi byli bowiem iść pod prąd, działać wbrew uczuciom i odruchom własnego narodu, byle tylko ratować go przed eksterminacją.

Od razu odpowiadam moim polemistom: *Opcja niemiecka* nie jest częścią żadnej pedagogiki wstydu, której zadaniem jest wywlekanie na światło dzienne i wyolbrzymianie

czarnych kart naszej historii. Nie mam zamiaru upokarzać rodaków, pokazując im, że wśród nas były czarne owce. Odwrotnie. Większości opisanych w książce „polskich kandydatów na Quislinga" nie uważam wcale za żadne czarne owce, ale za postacie, z których możemy być dumni.

Głównym motywem ich postępowania była bowiem troska o biologiczne przetrwanie narodu polskiego. Ocalenie polskiej krwi, którą tak hojnie i bezmyślnie szafował rząd na uchodźstwie i dowództwo naszego podziemia. Trudna i nieprzyjemna współpraca polityczna z wrogiem miała być więc drogą do zamknięcia Auschwitz i Majdanka, wstrzymania ulicznych egzekucji, pacyfikacji i łapanek. Każdy chyba się zgodzi, że był to cel chwalebny.

Mimo to skazano ich na zapomnienie. Mówienie o nich jest niezgodne z obowiązującą linią naszej historycznej propagandy, noszącej – nie wiedzieć czemu – nazwę historiografii. Polski naród podczas ostatniej wojny był antyniemieckim monolitem i basta. Historia polskiej „opcji niemieckiej" podczas II wojny światowej ma zaś pozostać nieznana szerszej opinii publicznej. Polaków trzeba przed tą groźną wiedzą chronić niczym małe dzieci.

Gdy już zaś nie ma wyboru i trzeba o tych postaciach wspomnieć, to na ogół obrzuca się je inwektywami i opluwa. O ile podejście takie w czasach PRL nie mogło dziwić, o tyle fakt, że zostało bezkrytycznie przeniesione do wolnej, niepodległej Polski, zdumiewa.

> Historycy uznali kolaborację za temat niebezpieczny i niewdzięczny – pisał profesor Tomasz Szarota – którego podjęcie i opracowanie może przyczynić się do pogorszenia obrazu własnego narodu w oczach obcych. Istotną przy tym rolę odgrywało i odgrywa przeświadczenie historyków, że ich prace odpowiadać mają na „zamówienie społeczne". Stąd dominacja książek i artykułów poświęconych bądź ruchowi oporu, bądź martyrologii. W nowej sytuacji politycznej można przewidzieć pojawienie się prac, w których podjęta zostanie próba rehabilitacji tych kolaborantów, którzy na współpracę z niemieckim okupantem zdecydowali się z pobudek ideowych. Jeśli w kierunku rehabilitacji miałyby pójść badania nad dziejami polskiej kolaboracji, to moim zdaniem nie powinno się ich w ogóle zaczynać.

Najwyraźniej rodzimi historycy nazbyt wzięli sobie słowa profesora do serca. Choć od dnia, w którym pisał te słowa, minęło dwadzieścia lat, badania na temat polskiej kolaboracji politycznej z Niemcami do tej pory nie zostały na serio podjęte. *Opcja niemiecka* to pierwsza książka na ten temat, w dodatku publicystyczna, a nie naukowa. I rzeczywiście profesor Szarota trafnie przewidział – ma ona na celu rehabilitację tych polskich polityków i wojskowych, którzy zmuszeni wybierać między sowiecką dżumą a niemiecką cholerą, wybrali tę drugą. A więc postąpili odwrotnie niż premier Władysław Sikorski i kierownictwo Armii Krajowej.

Już na wstępie należy jednak zrobić ważne rozróżnienie. W trakcie II wojny światowej występowały dwa rodzaje kolaboracji podbitych narodów z Niemcami. Kolaboracja ideowa

i kolaboracja pragmatyczna. Pierwszą podejmowały rozmaite lokalne ruchy faszystowskie w rodzaju węgierskich strzałokrzyżowców, rumuńskiej Żelaznej Gwardii czy chorwackich ustaszy. Decydowała tu bliskość ideowa z niemieckim narodowym socjalizmem, przede wszystkim nienawiść do Żydów.

Kolaborację pragmatyczną podejmowali zaś na ogół szacowni konserwatyści, którzy chcieli pomniejszyć cierpienia rodaków. Uważali, że mogą stać się „poduszką" między społeczeństwem a okupantem i zamortyzować wymierzone w naród ciosy. Ludzie ci gardzili Hitlerem, jego ruchem i metodami. Do współpracy skłaniał ich zdrowy rozsądek, a nie miłość do swastyki i całego związanego z nią paskudztwa. Najwybitniejszym spośród nich był bez wątpienia marszałek Philippe Pétain. Wielki francuski bohater.

Oczywiście, gdyby w Polsce doszło do kolaboracji ideowej, byłoby to prawdziwym nieszczęściem i katastrofą. Utworzenie polskiej formacji typu faszystowskiego, umundurowanie jej członków i wydanie im broni palnej przez Niemców doprowadziłoby bowiem zapewne do wybuchu wojny domowej między taką organizacją a podziemiem wiernym rządowi w Londynie. Wojny domowe są zaś na ogół najbardziej krwawe.

Przede wszystkim jednak naraziłoby to Polaków na poważne ryzyko wciągnięcia w Holokaust. Całe szczęście do takiej kolaboracji jednak nie doszło. Zresztą, poza marginalnymi wypadkami, nie było do niej chętnych.

Kolaboracja pragmatyczna byłaby jednak w okupowanej Polsce jak najbardziej pożądana. Zresztą otwarta jest kwestia, czy działanie takie w ogóle powinno się nazywać kolaboracją. Ostatni delegat rządu na kraj, Stefan Korboński, w książce *Polskie Państwo Podziemne* pisał bowiem, że słowem tym podczas wojny określano „dobrowolną współpracę z okupantem na szkodę kraju lub współobywateli". W tym wypadku mielibyśmy również do czynienia z „dobrowolną współpracą z okupantem". Ale na korzyść kraju i współobywateli.

Rozróżnianie między tymi dwoma rodzajami kolaboracji na Zachodzie nie jest niczym nowym. Pisał o tym już przed wielu laty francuski historyk Jacques Sémelin.

> Po pierwsze – przekonywał – występuje kolaboracja państwa taktyczna i strategiczna, decydowana na najwyższym szczeblu władzy, która ma być sposobem obrony interesów pokonanego kraju. Należy wyraźnie odróżnić ją od kolaboracjonizmu, który jest ideologicznym wyborem polegającym na politycznej walce na rzecz okupanta, którego system się podziwia.

Mój redakcyjny kolega Piotr Semka, recenzując *Obłęd '44*, napisał, że jak tak dalej pójdzie, to w kolejnej książce postawię tezę, że szkoda, iż w Polsce nie było Quislinga. Mogę go więc uspokoić. Całe szczęście, że w Polsce nie było Quislinga. Szkoda natomiast, że nie było Pétaina.

W Polsce podobne różnicowanie, choć oparte na zdrowym rozsądku i faktach, uznawane jest za herezję. U wyznawców patriotycznej poprawności wywołuje furię. Miałem już „przyjemność” odbyć na ten temat szereg dyskusji i zawsze byłem zasypywany gradem pustych frazesów. „Polacy mieliby powołać kolaboracyjny rząd?! – słyszałem. – Toż to nie do pomyślenia! Jak pan może w ogóle coś takiego mówić?! Stracilibyśmy honor i skompromitowali się po wsze czasy!”

Argument, że kolaborację podjęły wszystkie inne okupowane państwa i narody – Francuzi, Holendrzy, Belgowie, Czesi, Grecy, Duńczycy czy Norwegowie – i jakoś wcale nie „skompromitowały się po wsze czasy”, padał w próżnię. Mogłem usłyszeć, że oni wszyscy byli głupi, a my jedyni mądrzy. Przykro to pisać, ale wniosek nasuwa się zupełnie inny. Wystarczy sprawdzić, jakie straty te narody poniosły podczas wojny. I zestawić je ze stratami, jakie ponieśliśmy my.

Najgorszy jest jednak w tym wszystkim ten odwieczny polski lęk, co też by sobie pomyśleli o nas na Zachodzie. Na Zachodzie, który wszędzie, gdzie to możliwe, kolaborował z niemieckim okupantem. Gdy na szali z jednej strony jest pijar, a z drugiej życie setek tysięcy rodaków – moim zdaniem – odpowiedź może być tylko jedna. Pijar niewiele mnie obchodzi, za to los współobywateli bardzo.

Życia jednego polskiego dziecka nie warto zamienić na sto artykułów w „New York Timesie” pełnych zachwytów nad bohaterstwem Polaków. Ani na sto pustych komplementów od brytyjskiego premiera. Niestety – piszę to z przykrością – wielu moich rodaków miało i ma w tej sprawie przeciwny pogląd. Najsmutniejsze jest to, że ta nasza wspaniała honorowa postawa nie tylko nie przyniosła nam żadnych korzyści realnych – wojnę, jak wiadomo, przegraliśmy – ale nawet korzyści wizerunkowych.

Zdecydowana większość narodów, które kolaborowały z III Rzeszą, ma dziś na świecie wyśmienitą prasę i wzbudza powszechną sympatię. Polaków tymczasem się na świecie nie znosi. Oskarża się nas o antysemityzm, zaściankowość i – jakżeby inaczej – wysługiwanie się niemieckim okupantom i współudział w Holokauście. To właśnie Polak, a więc przedstawiciel „jedynego niezłomnego narodu Europy”, jest dziś uznawany za symbol kolaboranta.

Francuzów, z racji sposobu, w jaki wykręcili się od wojny, która nam przyniosła zagładę, podziwiam – napisał w wydanej niedawno książce *Jakie piękne samobójstwo* Rafał Ziemkiewicz. – A w każdym razie im zazdroszczę. Zazdroszczę, że w trudnym historycznym momencie trafił im się u władzy Pétain, a nie jakiś idiota, który by ogłosił, że priorytetem francuskiej polityki zagranicznej ma być honor. I że dla tego honoru warto zaryzykować nie tylko istnienie państwa francuskiego, ale nawet biologiczną zagładę francuskiego narodu.

Czy Francja w II wojnie światowej honor straciła? Z naszego punktu widzenia pewnie tak, ale nie sposób zauważyć, by

ktokolwiek na świecie tak ją kiedykolwiek traktował. Czemu tak różne są nasze wizerunki w świecie, i tak bardzo odwrotne od tego, jak naprawdę historia wyglądała?

Bo za cenę dania Hitlerowi ciała zachowała Francja realny potencjał, który sprawił, że i w czasie wojny, i w polityce powojennej pozostawała wciąż liczącym się podmiotem. Tego, kto się liczy, nie depcze się i nie poniża, bo jeśli się za to obrazi, oznaczać to będzie realną stratę.

Polacy zaś, postawiwszy wszystko od razu na jedną kartę, wszystko z punktu stracili, na samym początku wojny. Od tego momentu liczyć mogli ze strony świata – i liczyli, i wciąż to robią – co najwyżej na wdzięczność i współczucie. Ani jedno, ani drugie nie jest zaś, niestety, w światowej polityce walutą wymienialną. Jako w czasie wojny światowej, tak i dziś.

Tak, podczas II wojny światowej świat udzielił nam twardej i gorzkiej lekcji, na czym polega polityka międzynarodowa. Miejmy nadzieję, że tamten konflikt był ostatnim akordem polskiego braku politycznej odpowiedzialności, a co za tym idzie – ostatnią taką wielką rzezią w dziejach naszego narodu. Miejmy nadzieję, że wyciągnęliśmy z tej wojny odpowiednie wnioski i jeżeli – odpukać – przyjdzie nam podejmować kiedyś równie dramatyczne decyzje jak pokoleniu żyjącemu w latach 1939–1945, nie popełnimy jego błędów.

Polska musi bowiem wreszcie zacząć prowadzić politykę realną. Swoją krew należy cenić.

Rafał Ziemkiewicz wspomnianą książkę rozpoczął od wyliczenia, o czym ona nie będzie. Wezmę z niego przykład.

Opcja niemiecka nie dotyczy takich zjawisk jak donosicielstwo i szmalcownictwo. Nie miały one bowiem nic wspólnego z polityką. Mieszczą się w zupełnie innej kategorii – kategorii indywidualnych podłości. Ich podłożem była na ogół chęć wzbogacenia się lub załatwienia osobistych porachunków.

Nie interesowała mnie również instytucja granatowej policji. Jej współdziałanie z Niemcami miało charakter czysto zawodowy, nie różniący się wiele od współdziałania straży pożarnej czy poczty. Indywidualne przypadki kolaboracji podejmowanej przez ludzi w granatowych mundurach miały zaś na ogół posmak kryminalno-alkoholowo-sadystyczny.

Jedynie marginalnie w książce tej poruszona zostanie sprawa współpracy agenturalnej Polaków z niemieckimi tajnymi służbami. Jest to temat, który zasługuje na odrębną książkę, kto wie, czy nie bardziej kontrowersyjną od tej. Skala infiltracji Polskiego Państwa Podziemnego przez niemieckie służby bezpieczeństwa była bowiem – w porównaniu z naszymi wyobrażeniami – bardzo duża.

W *Opcji niemieckiej* nie poruszam wreszcie problemu współdziałania z III Rzeszą obywateli II Rzeczypospolitej pochodzenia niemieckiego – jak choćby służba kilkuset tysięcy z nich w Wehrmachcie – ani przedstawicieli innych mniejszości: Żydów, Ukraińców czy

Litwinów.

Nie piszę również o, skądinąd bardzo ciekawym, przypadku Goralenvolk. Skoro ludzie, którzy podjęli tę akcję, uznali się za odrębny naród, sami wypisali się z polskiej wspólnoty. Bohaterami *Opcji niemieckiej* są zaś tylko Polacy. Ludzie, którzy prowadzili swoją grę z Niemcami pod biało-czerwonym sztandarem i w imię Orła Białego. Z całym naciskiem podkreślam również, że nie wszystkie opisane w tej książce postacie można określić mianem kolaborantów. Trudno bowiem o kolaborantów – powtórzmy – w sytuacji, w której okupant na kolaborację nie pozwala.

Antybohaterami książki są zaś właśnie Niemcy. A konkretnie Adolf Hitler i skupiona wokół niego dworska kamaryla narodowosocjalistycznego betonu. To bowiem z winy tych zbrodniarzy starania i zabiegi rozsądnych Polaków zostały odrzucone i do ugody między Polakami a Berlinem nie doszło. To oni zdecydowali o wprowadzeniu i utrzymaniu – używając ich języka – „twardego kursu" wobec pokonanego wschodniego sąsiada. Za tym eufemizmem ukrywa się sześć lat bezwzględnego terroru: gwałtów, masowych egzekucji, grabieży, wypędzeń i szargania godności narodowej Polaków. Mówiąc krótko: ludobójstwo.

Führer w czasie wojny konsekwentnie odrzucał wszelką myśl o ugodzie z Polakami, nie słuchał logicznych argumentów rozsądnych doradców, dawał za to posłuch takim krwiożerczym bestiom jak Heinrich Himmler. Wściekły na Polaków za odrzucenie oferty wspólnej wyprawy na Związek Sowiecki, którą składał w latach trzydziestych, zamiast na współpracę, postawił na eksterminację. Uznał, że ze Stalinem poradzi sobie jednak bez nas. Jak wiadomo, grubo się przeliczył.

Po tym, gdy napisałem swoje dwie poprzednie książki, *Pakt Ribbentrop–Beck* i *Obłęd '44*, często stawiano mi zarzuty, że jestem germano- czy wręcz hitlerofilem. Myślę, że *Opcja niemiecka* udowodni głosicielom podobnych głupstw, jak bardzo się mylą. Jest to bowiem książka antyhitlerowska. To, że akurat Adolf Hitler rządził Niemcami podczas ostatniej wojny, uważam za potworne nieszczęście Polski, Niemiec i całej Europy Środkowo-Wschodniej.

Ten żałosny człowiek – zaślepiony osobistymi urazami, rasizmem i ideologicznymi mrzonkami – wepchnął bowiem połowę Europy w bolszewicką otchłań, a obok bezmiaru zbrodni obciążają go kolosalne błędy. Pierwszym, i kto wie, czy nie największym z nich, było rozegranie sprawy Polski. Słusznie bowiem pisał jeden z bohaterów *Opcji niemieckiej*, pisarz Jan Emil Skiwski, że „kłótnia polsko-niemiecka jest maszynką, która miele mięso Europy tak, żeby Azjata, jak tu przyjdzie, mógł przełknąć bez gryzienia".

Rozdział 2

Polskie państwo Vichy

Polska w wyniku klęski roku 1939 zniknęła z mapy. Na zachodzie okroił ją Hitler, jej wschodnią połowę zagrabił Stalin, a środkowa część została zamieniona w niemiecką kolonię, rodzaj rezerwatu dla Polaków. Kolonia ta nazywała się Generalne Gubernatorstwo i była zarządzana przez Niemców za pomocą gumowej pały, szubienicy i rewolwerowej kuli. Efektem była masowa rzeź Polaków.

Tak jednak wcale nie musiało się zdarzyć. Na początku II wojny światowej nic nie było przesądzone. Niemcy pierwotnie mieli wobec Polski znacznie bardziej ograniczone plany. Zamierzali odebrać jej tereny zachodnie, a resztę pozostawić Polakom. Czyli zrobić to, co rok później zrobili w pokonanej Francji, dzieląc ją na terytorium okupowane i rządzone przez marszałka Philippe'a Pétaina suwerenne Vichy.

Tak, historia mogła potoczyć się inaczej. Mogło powstać kadłubowe państwo polskie. Mało tego, niewiele zabrakło, żeby tak się stało.

Polska pod okupacją niemiecką i sowiecką
wrzesień 1939–czerwiec 1941

Już w drugim punkcie tajnego protokołu dołączonego do paktu Ribbentrop–Mołotow z inicjatywy strony niemieckiej znalazło się następujące sformułowanie: „Zagadnienie, czy interesy obu stron czynią pożądanym utrzymanie odrębnego państwa polskiego oraz jakie mają być granice tego państwa, może być rozstrzygnięte dopiero w toku dalszych wydarzeń politycznych. W każdym razie oba rządy rozwiążą tę sprawę na drodze przyjaznego porozumienia”.

Do takiego wariantu – czyli pozostawienia na mapie okrojonej Polski – skłaniał się Hitler zarówno w przededniu ataku na Polskę, jak i w trakcie kampanii. Gdy 12 września szef Abwehry admirał Wilhelm Canaris wszedł do specjalnego pociągu dyktatora, spotkał tam szefa dyplomacji Rzeszy Joachima von Ribbentropa. Minister oświadczył mu, że stworzenie kadłubowej Polski byłoby „najmilszym rozwiązaniem dla Führera, ponieważ mógłby wówczas

z rządem polskim uzgodnić warunki pokoju”.

Niemiecki dyktator podczas pierwszych dwóch tygodni wojny w każdej chwili spodziewał się, że Polacy wyślą do niego parlamentariuszy i zaproponują rozpoczęcie negocjacji pokojowych. Wówczas gotowy był ograniczyć swoje aneksje do Pomorza i Górnego Śląska. Z okrojoną na Zachodzie Polską podpisałby zaś traktat kończący konflikt. Miałaby ona status buforu oddzielającego III Rzeszę od Związku Sowieckiego.

Podobne plany wywoływały panikę na Kremlu. Dla Sowietów szybki rozejm między Polską a Niemcami był bowiem wysoce niepożądany. Po pierwsze, bolszewicy nie otrzymaliby swojej połowy Rzeczypospolitej. Po drugie, państwo polskie stałoby się zależne od Rzeszy i w przyszłej wojnie niemiecko-sowieckiej biłoby się niechybnie po stronie państw osi. Polsko-niemieckiego uderzenia Stalin bał się zaś najbardziej.

Aby uniknąć takiego scenariusza, Moskwa przyspieszyła mobilizację i 17 września Armia Czerwona przekroczyła granicę Polski. W ten sposób Stalin starał się doprowadzić do najkorzystniejszego dla siebie scenariusza – całkowitego rozbioru Rzeczypospolitej. Jej likwidacji. Rzeczywiście zalanie wschodniej Polski przez wojska bolszewickie spowodowało, że ewentualne porozumienie z pokonaną Polską stawało się dla Niemców znacznie bardziej skomplikowane.

Polskie państwo buforowe

Berlin zdawał sobie zresztą z tego doskonale sprawę. Świadczy o tym choćby memoriał Hansa von Moltkego, byłego już ambasadora Rzeszy w Warszawie. Został on opracowany na zlecenie Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Berlinie, które zastanawiało się, jak wyjść z impasu. Dyplomata pisał, że polskie państwo buforowe nadal można by stworzyć, a na jego przywódcę typował skłóconego z ekipą marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza generała Kazimierza Sosnkowskiego.

Moltke zastrzegał jednak, że Polacy zgodziliby się na takie rozwiązanie wyłącznie wtedy, gdyby ich nowe państwo miało znośne granice. Niemcy powinni więc ograniczyć swoje nabytki na zachodzie do granicy sprzed 1914 roku. Wschodnia granica powinna zaś przebiegać na linii Grodno–Przemyśl. Stworzone w ten sposób państwo liczyłoby 12–15 milionów mieszkańców i w przyszłości mogłoby liczyć na powiększenie swojego terytorium z pomocą Niemiec. Oczywiście na wschodzie.

Józef Stalin naturalnie nie miał najmniejszego zamiaru godzić się na takie rozwiązanie. 25 września wezwał do siebie ambasadora Rzeszy w Moskwie Friedricha-Wernera von der Schulenburga. „W ostatecznym uregulowaniu sprawy polskiej – oświadczył mu sowiecki satrapa – konieczne jest, by unikać wszystkiego, co mogłoby w przyszłości wywołać tarcia między Niemcami a Rosją sowiecką. Wychodząc z tego założenia, uważam za błąd pozostawienie niepodległej resztówki polskiej".

Było to więc wyraźne weto, i to zgłoszone przez sojusznika, z którym wówczas Hitler musiał się liczyć. Tym samym Stalin przekreślił szanse na pozostawienie na mapie państwa polskiego po klęsce 1939 roku. Jest to coś, o czym w PRL nie wolno było głośno mówić. Dziwi, że nie mówi się o tym również w niepodległej Polsce.

Trzy dni później, 28 września, podczas drugiego pobytu Joachima von Ribbentropa w Moskwie, Niemcy podpisały ze Związkiem Sowieckim traktat o granicach i przyjaźni, który ustalał wyjątkowo niekorzystny dla Polaków przebieg granic. Połowa Rzeczypospolitej znalazła się w łapach bolszewików.

Polskie państwo buforowe

Jak napisał historyk Marek Kornat, układ z 28 września był „definitywną porażką Niemiec". Warto dodać, że był również definitywną porażką Polski. W jego wyniku upadła bowiem niestety koncepcja polskiego państwa buforowego. I – podkreślmy to jeszcze raz – stało się tak z winy Józefa Stalina, a nie Adolfa Hitlera, który do takiego rozwiązania wyraźnie się przychylał.

Już słyszę argumenty naszych patriotycznie poprawnych pieniaczy: I dobrze, że upadła koncepcja polskiego państwa buforowego! Brawo, towarzyszu Stalin! Zuch! Otóż podobne podejście jest niemądre. Oczywiste jest bowiem, że dla Polski znacznie lepsze byłoby pozostawienie choćby skrawka rządzonego przez Polaków terytorium niż stworzenie opanowanego przez sadystów z Gestapo groteskowego tworu, jakim było Generalne Gubernatorstwo.

Zresztą nasi hurrapatrioci są w tej sprawie – jak zresztą w wielu innych – niekonsekwentni

i nielogiczni. Jak lwy bronią bowiem fatalnej decyzji o wywołaniu Powstania Warszawskiego, podpierając się nieprawdziwym argumentem, że gdyby nie wybuchło, Stalin zamieniłby Polskę w siedemnastą republikę. Czyli wychodzi na to, że dobroczynnym skutkiem tego powstania było stworzenie PRL. W tym wypadku marionetkowe państwo polskie zwolennicy patriotycznej poprawności uznają więc za lepsze rozwiązanie i „mniejsze zło".

Dlaczego nie stosują tego samego kryterium do roku 1939? Szczególnie że skala uzależnienia państw satelickich III Rzeszy była znacznie mniejsza niż skala uzależnienia sowieckich demoludów po 1944 roku. Państwami tymi rządzili mądrzy, przyzwoici patrioci, tacy jak marszałek Philippe Pétain czy admirał Miklós Horthy, a nie degeneraci, agenci obcych służb i kaci rodaków w typie Bolesława Bieruta.

Wróćmy jednak do roku 1939 i zaprzepaszczenia szansy na utrzymanie polskiej państwowości. Na krytyczną ocenę zasługują także członkowie triumwiratu rządzącego wówczas Polską. A więc minister spraw zagranicznych Józef Beck, naczelny wódz Edward Śmigły-Rydz i prezydent Ignacy Mościcki.

Ci trzej panowie znacznie lepiej przysłużyliby się sprawie polskiej, gdyby zamiast szosą zaleszczycką dać drapaka do Rumunii, skierowali się do Warszawy, aby formalnie skapitulować przed Niemcami. A więc zachowali się po męsku i ponieśli odpowiedzialność za podjęte przez siebie polityczne i militarne decyzje. To oni wpakowali Polskę w wojnę, której nie mogła wygrać, i oni powinni byli tę wojnę zakończyć.

Akt kapitulacji przed Niemcami podpisany w Warszawie we wrześniu 1939 roku byłby dla nas bez wątpienia korzystniejszym rozwiązaniem niż kontynuowanie wojny przez – całkowicie uzależniony od francuskiego, a później brytyjskiego suwerena – rząd generała Władysława Sikorskiego. Rząd ten siedział sobie bowiem bezpiecznie za granicą, a straszliwe konsekwencje wojny między Niemcami a Polską ponosili pozostawieni na pastwę okupanta zwykli obywatele.

Bez wątpienia zrealizowanie wariantu okrojonej Polski byłoby bardziej prawdopodobne, gdyby w Warszawie pozostały polskie władze. Jak wynika z dokumentów z epoki, właśnie istnienie polskiego rządu na wychodźstwie i kontynuowanie wojny przez Polskę po klęsce roku 1939 roku było jednym z powodów, że Hitler opowiadał się za stosowaniem wobec Polaków polityki bezwzględnego terroru.

Niestety ani Beck, ani Śmigły-Rydz, ani Mościcki nie byli mężami stanu na miarę Pétaina, który wziął na swoje barki brzemię kapitulacji przed Niemcami. Ściągnął tym na siebie nienawiść nie rozumiejących jego polityki rodaków, ale uratował miliony Francuzów przed losem… Polaków. Sam w jednym z przemówień przedstawił zresztą sprawę otwarcie:

„Zrobiłem to, żeby uniknąć polonizacji Francji”.

Podczas gdy Gestapo bezkarnie szalało w Generalnym Gubernatorstwie, Francuzi w Vichy prowadzili normalne, spokojne życie. Mało tego, chociaż władze Vichy wprowadziły na swoim terytorium ustawodawstwo antysemickie, chroniły przed niemiecką eksterminacją znajdujących się na swoim terytorium francuskich Żydów. Musiały się tylko ugiąć wobec nacisków Berlina w sprawie wydania mu Żydów obcokrajowców.

W efekcie straty francuskich Żydów mieszkających na terenie Vichy były minimalne, a spośród wszystkich Żydów mieszkających we Francji Niemcom udało się deportować i zamordować około 75 tysięcy. Czyli mniej niż jedną czwartą. W znajdującej się pod całkowitą okupacją Polsce zamordowano zaś ponad trzy miliony Żydów, czyli dziewięćdziesiąt procent przedwojennej populacji. Wnioski nasuwają się same.

> Cały naród nie może przejść do podziemia czy wyjechać zagranicę – pisał ukraiński polityk Kość Pankiwśkyj, który sam we Lwowie współpracował z Niemcami. – Naród musi żyć. Niezależnie od tego, co myślą, planują i czynią okupanci. Musi pozostawać w związku z władzą okupacyjną. Ktoś musi stanąć na czele jego reprezentacji. Forma, w jakiej się to odbywa, mówi o wyrobieniu politycznym i dojrzałości nacji.

Polacy okazali się więc narodem niedojrzałym, a Francuzi dojrzałym. Podczas gdy Polacy w imię honoru narodowego byli masakrowani, Francuzi – zachowując swoje okrojone państwo – ponosili znacznie mniejsze straty i mieli pewną swobodę manewru.

Świadczyć o tym może choćby skuteczny opór marszałka Pétaina przeciwko niemieckim planom wciągnięcia Vichy do wojny z Anglią. Opór, który nawiasem mówiąc, doprowadzał Hitlera do szału. Inny przykład: skuteczne interwencje u władz niemieckich w sprawie wstrzymania rozstrzeliwań odwetowych Francuzów. W Polsce nie było komu takich interwencji podejmować.

> W ocenie polityki Pétaina różnię się z krajowym społeczeństwem – pisał polski konserwatywny publicysta Stanisław Cat-Mackiewicz. – Wszyscy w Polsce uważają Pétaina za kolaboracjonistę. Nie jest to słuszne. We Francji było sporo kolaboracjonistów, ale właśnie Pétain nim nie był. Polityka Pétaina była typową polityką skierowaną na pomniejszanie skutków już odniesionej klęski. W całym ciągu historii Vichy nie było ani jednego dnia, w którym by Pétain nie życzył zwycięstwa Anglii i nie chciał jej tego zwycięstwa ułatwić. Polityka jego miała na celu ochronienie Francji.

Kto miał rację? Pragmatyczni Francuzi czy niezłomni Polacy? Aby uzyskać odpowiedź na to pytanie, wystarczy zajrzeć do tabeli strat osobowych poszczególnych krajów podczas II wojny światowej. Otóż straty Francji wyniosły 1,35 procent.

Powołanie do życia proniemieckiego rządu w Polsce nie oznaczałoby przecież wcale, że Władysław Sikorski nie mógłby w Paryżu stanąć na czele jakiegoś Komitetu Wolnych

Polaków. Czyli zostać polskim Charles'em de Gaulle'em. Przeciwnie, byłoby to jak najbardziej pożądane.

Popularne we Francji powiedzenie mówi, że podczas II wojny generał de Gaulle był mieczem Francuzów, a Pétain ich tarczą. Powiedzenie to jest bardzo trafne – obaj oficerowie byli wielkimi patriotami i chociaż się nawzajem nienawidzili, dobrze przysłużyli się ojczyźnie. Ich poczynania się uzupełniały. Wielu Francuzów do dziś uważa nawet, że istniało jakieś tajne porozumienie między tymi dwoma mężami stanu.

To ostatnie jest oczywiście nieprawdą. Zadziałał po prostu instynkt narodu. Instynktu tego Polacy niestety byli pozbawieni. Honor i wierność wobec wiarołomnych sojuszników postawiliśmy ponad interes narodowy i bezpieczeństwo własnych obywateli. A to w polityce błąd niewybaczalny. Uciekając się do francuskiego porównania, mieliśmy tylko miecz, a nie pomyśleliśmy o zaopatrzeniu się w tarczę.

Gdy podczas I wojny światowej Józef Piłsudski i Roman Dmowski postawili na dwa różne, wrogie obozy – pierwszy na państwa centralne, drugi na ententę – przemawiał przez nich geniusz polityczny. Niestety zabrakło go Władysławowi Sikorskiemu, gdy podczas II wojny światowej upierał się, że honor narodowy Polaków wymaga, aby pozostali wierni tylko i wyłącznie aliantom zachodnim.

Myśląc o tamtych sprawach i tamtych czasach, trudno nie zawołać z podziwem: „Vive la France!".

Rozdział 3

W poszukiwaniu Quislinga

Choć po zajęciu połowy Polski przez Armię Czerwoną szanse polskiego państwa na pozostanie na mapie znacznie zmalały, Niemcy jeszcze przez kilka tygodni nie zarzucili do końca tej koncepcji. Choć teraz – ze względu na jego niewielki potencjalny obszar – mowa była raczej o polskim państwie szczątkowym (Polnische Reststaat), obejmującym niewielkie terytorium wtłoczone między zabór niemiecki i sowiecki.

Innymi słowy, w październiku i listopadzie 1939 roku w Berlinie ważyło się, kto będzie rządził Generalnym Gubernatorstwem: Polacy czy Niemcy. W nadawanej przez radio mowie wygłoszonej w Reichstagu 6 października 1939 roku Führer stwierdził, że nie wyklucza „stworzenia państwa polskiego, którego struktura i kierownictwo będą stanowiły gwarancję, że nie powstanie tam ani nowe zarzewie zagrażające Rzeszy, ani siedlisko intryg przeciw Rosji i Niemcom".

Trzy dni później w Ministerstwie Propagandy Josepha Goebbelsa zwołano konferencję prasową. Dziennikarze dowiedzieli się na niej, że już niedługo Niemcy stworzą małe polskie państewko. Nie będzie ono miało własnych sił zbrojnych i własnej polityki zagranicznej, Polacy będą za to mogli swobodnie decydować o swoich sprawach wewnętrznych. Państewko to nie zostanie również włączone do Rzeszy, jak wcześniej uczyniono de facto z Protektoratem Czech i Moraw.

Hitler mówił wówczas o tym wielokrotnie. „Odtworzę państwo polskie, ponieważ nie chcę mieć tego motłochu w swoich granicach. Lecz Polska będzie tak zorganizowana, by już nigdy nie stała się zagrożeniem dla Niemiec" – oświadczył 16 października podczas rozmowy z wysłannikiem króla szwedzkiego Svenem Hedinem. „Nie chcę połknąć Polski. Chcę się tylko przed nią zabezpieczyć" – zapewniał innego Szweda, przemysłowca Birgera Dahlerusa.

Wydając instrukcje dla swoich dyplomatów, Führer stwierdził, że część Polski zostanie przyłączona do Rzeszy, część przeznaczona na rezerwat dla Żydów, a z części odrestaurowane zostanie „Królestwo Kongresowe". Jak wynika z rozmowy, którą Hitler przeprowadził wówczas z Alfredem Rosenbergiem, wspomniany rezerwat miałby znaleźć się na terenie województwa lubelskiego.

W całym tym planie był tylko jeden szkopuł. Kto podejmie się utworzenia rządu tego

szczątkowego państewka? Kto – używając określenia Hitlera – stworzy „kierownictwo będące gwarancją, że nie powstanie nowe zarzewie zagrażające Rzeszy”? Kandydatów na polskiego Quislinga szukali Niemcy w różnych środowiskach. Najpierw zgłosili się do ludowców, uznali bowiem, że chłopi będą najbardziej skłonni do kompromisu.

Uważali, że wystarczy zaproponować im przyzwoite warunki życia i pracy oraz przeciwstawić ich sanacji i „polskim obszarnikom” (nie wolno zapominać, że NSDAP była partią skrajnie lewicową), aby pozyskać ich do współpracy. Berlin szczególnie liczył na chłopów ze znajdującej się niegdyś pod władzą austriacką Galicji, a więc mających długie tradycje lojalnej współpracy z Niemcami.

Szukano „dużego nazwiska”, które mogłoby firmować porozumienie. Naturalnym kandydatem był Wincenty Witos. Niemcy szukali z nim porozumienia już wcześniej, wiosną 1939 roku, gdy Józef Beck ostatecznie odrzucił złożoną przez Hitlera propozycję antysowieckiego sojuszu. Witosowi, który przebywał na wygnaniu w Czechosłowacji, niemieckie służby zaoferowały zorganizowanie w Polsce zamachu stanu i osadzenie go w Warszawie jako nowego premiera.

Przywódca ludowców nie chciał mieć z podobną imprezą nic wspólnego i o całej intrydze lojalnie poinformował polski rząd. Na krótko przed wybuchem wojny Witos wrócił zresztą do Polski. Ranny podczas przypadkowego bombardowania, 16 września został aresztowany przez Niemców w Cieszacinie Wielkim i cztery dni później umieszczony w więzieniu w Rzeszowie.

> Witos traktowany był w więzieniu rzeszowskim od samego początku nie jako więzień, lecz raczej jak honorowy zakładnik – pisał działacz chłopski Franciszek Kotula. – Otrzymał osobną celę, i to na parterze, nigdy nie zamykaną i z prawem nieograniczonego wychodzenia w ciągu dnia na spacery po korytarzu czy na podwórzu. Dzięki temu mógł swobodnie spotykać się i rozmawiać z innymi więźniami. Wikt donoszono mu z miasta.

Ze stolicy Rzeszy przyjechał nawet niemiecki dygnitarz, który wprost zaoferował mu podjęcie się misji powołania nowego rządu i stanięcie na czele stronnictwa ugody. Witosa wywieziono następnie do Berlina i Poczdamu, gdzie prowadzono z nim dalsze rozmowy polityczne. Przywódca ludowców jednak odmówił, choć, jak zapisano w niemieckich dokumentach, wobec Rzeszy miał zajmować stanowisko życzliwe.

W końcu odesłano go z powrotem do okupowanej Polski i osadzono w areszcie domowym w zakopiańskiej willi „Renesans”. Tam nachodził go Wacław Krzeptowski – pomysłodawca powołania do życia kolaboracyjnego góralskiego ruchu Goralenvolk – i namawiał do podjęcia współpracy z Rzeszą. „Oj, Wacek, będziesz wisiał” – miał mu odpowiedzieć Witos. Były to słowa prorocze, bo Krzeptowski rzeczywiście pod koniec wojny zadyndał na sznurze.

Generał Władysław Sikorski próbował nawet zorganizować ucieczkę Witosa i sprowadzić go za wszelką cenę na Zachód. Motywem nie była jednak – jak zwykło się pisać – chęć uratowania wybitnego Polaka i wzmocnienia autorytetu rządu na wychodźstwie. Sikorski po prostu się bał, że prędzej czy później Witos dogada się z Niemcami i stanie w kraju na czele konkurencyjnego gabinetu.

Gdy próby namówienia Witosa do współpracy zakończyły się fiaskiem, Niemcy próbowali skaptować ludowca numer dwa, czyli Macieja Rataja. Były marszałek Sejmu podobno jednak powiedział: „Ludzie mają różne zajęcia, jeden ma zajęcie hycla, drugi kata. Ja się do takich zajęć nie nadaję". Niezależnie od tego, czy te słowa rzeczywiście zostały wypowiedziane czy nie, z próby pozyskania Rataja nic Berlinowi nie wyszło. Tak jak z werbunku innego działacza chłopskiego, Błażeja Stolarskiego.

Do końca okupacji Niemcy kokietowali jednak polskich chłopów i działania te przyniosły pewne efekty. Do dzisiaj wśród polskich włościan starej daty można usłyszeć opinię, że najlepiej żyło się „za Niemca". „Każdy z nas, kto jesienią 1939/1940 obserwował sytuację wsi polskiej" – wspominał Kazimierz Wyka – „kto nasłuchał się rozmów prowadzonych w jego obecności, a niby nie pod jego inteligenckim adresem, drżał na myśl, że Niemcy zaczną kuć żelazo, póki gorące. Kowal nie przyszedł".

Drugim środowiskiem, do którego zgłosili się Niemcy, byli polscy konserwatyści. Zachęcający wydawał się przykład ich lojalności wobec Austro-Węgier oraz germanofilskiej postawy części tego środowiska podczas I wojny światowej. W Krakowie już w połowie września 1939 roku podjęto rozmowy z byłym rektorem Uniwersytetu Jagiellońskiego profesorem Stanisławem Estreicherem oraz księciem Zdzisławem Lubomirskim. Niemieccy oficerowie nachodzili w domach Stanisława Radziwiłła, Leona Sapiehę, Adama Tarnowskiego i Władysława Kucharzewskiego.

O tym, że w środowisku konserwatystów istnieli zwolennicy rozmów z Niemcami, mogą świadczyć spotkania, które na początku okupacji odbywały się regularnie w salonie Kazimierza Mariana Morawskiego. Był to znany historyk, monarchista i działacz obozu zachowawczego, który słynął z niebywałej wręcz abnegacji. Jego zapuszczone mieszkanie znajdowało się na szczycie kamienicy przy ulicy Barskiej 3.

> Uczestniczyli w tych spotkaniach – wspominał konserwatywny dziennikarz Edmund Moszyński – Aleksander Bocheński, rozstrzelany potem przez Niemców Jan Sołtan, Jerzy Rogowicz, dr Stefan Surzycki i ja. O ile pamiętam na te spotkania przychodzili czasem Józef Mackiewicz [błąd autora] i Władysław Studnicki. Gdyby chcieć krótko scharakteryzować spotkania u Morawskich, można by powiedzieć, że uczestniczyli w nich ludzie o poglądach realistycznych, które dla wielu Polaków w czasie okupacji były równoznaczne z poglądami pesymistycznymi, a nawet defetystycznymi. Uważano, że jedynie dawanie posłuchu poglądom optymistycznym i wyrażenie takich poglądów, jest czymś w rodzaju patriotycznego obowiązku.

Atmosfera spotkań na Barskiej była inna. Wszyscy ich uczestnicy przewidywali przede wszystkim bardzo długą wojnę, a niektórzy nie ukrywali, że wcale nie są pewni, czy Hitler wojny nie wygra. Jeśliby jednak ktoś powziął podejrzenie, że spotkania te gromadziły kolaborantów lub przynajmniej kandydatów na kolaborantów, byłby w błędzie.

Określenie „kolaboracja" ma znaczenie jednoznacznie pejoratywne. Kolaborowanie to nie było nic innego jak wysługiwanie się okupantowi w zamian za własne bezpieczeństwo czy korzyści materialne. Kolaboracji nie przyświecała żadna polityczna koncepcja. Uczestnicy spotkań na Barskiej nie potępiali zaś koncepcji nawiązania – na przykład przez RGO – rozmów z władzami okupacyjnymi, myśląc o tym, by tą drogą osiągnąć złagodzenie okupacyjnego reżimu, zwolnienie politycznych więźniów czy jeszcze inne koncesje.

Poszukując odpowiedniego kandydata na szefa nowego polskiego rządu, sondowali również słynnego pianistę i byłego premiera, najbardziej znanego na świecie Polaka tamtych czasów, Ignacego Paderewskiego. Pośredniczką miała być hrabina Simone Giron de Pourtales, córka znanego malarza Charles'a Girona. Z inspiracji Berlina jeszcze przed wybuchem wojny próbowała ona skłonić Paderewskiego do spotkania z Hitlerem. Jego celem miało być zażegnanie konfliktu między Warszawą a Berlinem.

Hitler nie chce wojny, to jest człowiek nadzwyczajny, który ma wspaniałą, nadzwyczajną wizję i który za bardzo kocha swój kraj, żeby pozwolić mu cierpieć – pisała hrabina do Paderewskiego 9 lipca 1939 roku. – To jest człowiek, który ma kult do muzyki i dla ludzi wielkich, i wielkich patriotów, trzeba go zobaczyć! Mistrzu, Pan go pokocha! Niech Pan mnie weźmie ze sobą i jedźmy go zobaczyć, ja Pana proszę! Spotykając się z Hitlerem, zyska Pan cały świat i Pan będzie mógł wraz z nim wzmocnić Polskę!

Działania te Giron kontynuowała po wybuchu wojny. 3 października pisała do Paderewskiego: „Zbliżamy się do wielkiego momentu historii, kiedy rozstrzygnie się los świata. Hitler zostanie Pana sprzymierzeńcem, Mistrzu. Pan to czuje, jestem pewna. Na ten temat ja się naprawdę nie mylę". Jak wyjaśniała, chodziło o „rekonstrukcję nowej wolnej Polski" połączonej aliansem z Niemcami. Ta „nowa Polska" miałaby być „etniczna, zdrowa i silna".

Niemcy gotowi byli wysłać specjalnego wysłannika do Morges na rozmowy z Paderewskim i generałem Sikorskim. Co ciekawe – zgodnie z tym projektem – Polska miała zachować dostęp do morza. Gdyby tak było w rzeczywistości, byłaby to sensacja. Po utracie Pomorza na rzecz Niemiec utrzymanie dostępu do morza możliwe byłoby bowiem tylko w razie wytyczenia przez nie polskiej autostrady eksterytorialnej.

Do całej tej afery, opisanej ze szczegółami w książce Macieja Patkowskiego *Kryptonim „Paderewski"*, należy jednak podchodzić ostrożnie ze względu na – ujmując to delikatnie – niezbyt dużą wiarygodność hrabiny Giron. Niezależnie od tego, co naprawdę gotowi byli zaproponować Niemcy, nie ma większych wątpliwości, że szwajcarska arystokratka działała z ich inspiracji. Cała historia zakończyła się jednak klapą. Paderewski odpowiedział listem

z 15 października, w którym odrzucił awanse Berlina i „zawiesił stosunki” z Giron.

Tymczasem, jak wspominał Władysław Pobóg-Malinowski, poseł niemiecki w Bukareszcie, Wilhelm Fabricius, już we wrześniu 1939 roku starał się wymusić na rumuńskich władzach natychmiastowe wydanie mu Becka, Mościckiego, Śmigłego-Rydza i ministra spraw wojskowych generała Tadeusza Kasprzyckiego. Według Poboga akcja ta związana była właśnie z planami powołania do życia okrojonego państwa polskiego. Dotychczasowi przywódcy mieli zostać „zneutralizowani”, a na ich miejsce powołani nowi.

Jak wynika z pamiętników szefa włoskiej dyplomacji, hrabiego Galeazzo Ciano, ambasador polski w Rzymie Bolesław Wieniawa-Długoszowski „nie zdawał się odrzucać z góry wszelkich dyskusji nad propozycjami niemieckimi”.

Z kolei nowy polski rząd utworzony we Francji dokładał wszelkich starań, by jak najszybciej umożliwić wyjazd prezydenta Mościckiego z Rumunii do Szwajcarii. Z dochodzących do Sikorskiego i jego ministrów informacji wynikało bowiem, że istnieje spore ryzyko, że Mościcki zostanie przechwycony przez Niemców i postawiony na czele „marionetkowego gremium pod nazwą rządu polskiego”. Podobne plotki pojawiały się zresztą przez kolejne lata, utrzymując Sikorskiego w stanie permanentnego rozstroju nerwowego.

Za utworzeniem okrojonego państwa polskiego opowiadały się sprzyjające Polsce państwa osi. W Berlinie interweniowały w tej sprawie Włochy, Japonia, Węgry oraz przywódca Hiszpanii generał Francisco Franco – człowiek, który zatrzymał komunizm na Półwyspie Pirenejskim. Ten ostatni deklarował nawet, że gotów jest podjąć się mediacji między zwaśnionymi sąsiadami.

Przywódcy tych państw ze zgrozą obserwowali upadek Polski i pierwsze niemieckie akty terroru. Starając się doprowadzić do polsko-niemieckiej ugody, mieli przede wszystkim na sercu troskę o los polskich obywateli. Nawiasem mówiąc, to zabawny paradoks, że najlepszych przyjaciół podczas tamtej wojny mieliśmy w obozie wroga. Trudno nie myśleć z sympatią o ówczesnej postawie Tokio, Rzymu i Budapesztu.

Tak jak trudno nie myśleć z niechęcią o postawie Paryża, Londynu i Waszyngtonu. Francja i Wielka Brytania w 1939 roku jak zwykle zajęły stanowisko wrogie wobec Polski i szkodliwe dla polskich interesów. Zwalczały bowiem z całych sił ideę powołania polskiego państwa pod auspicjami Rzeszy. To, że polscy obywatele cierpieli pod niemieckim butem, nic ich nie obchodziło. Grunt, żeby nie doszło do polsko-niemieckiej zgody i co za tym idzie, nie został wzmocniony potencjał wojskowy państw osi.

Alianci zachodni właśnie dlatego nalegali na błyskawiczne powołanie powolnego sobie rządu generała Sikorskiego – stało się to już 30 września 1939 roku – aby za wszelką cenę

uprzedzić podobny ruch ze strony Niemiec. Sam Sikorski zresztą bardzo ostro sprzeciwiał się idei powołania polskiego państwa kadłubowego. Dlaczego? Oczywiście dlatego, że twór taki miałby rzekomo „skompromitować Polaków w oczach przyjaciół z koalicji antyhitlerowskiej".

Sprawa ta to kolejny dowód na to, jak kiepskim i nieodpowiedzialnym politykiem był generał. Pal sześć los rodaków w kraju, byle tylko Churchill nie robił mu w Londynie przykrych wymówek! A przecież to, że we Francji istniał rząd Vichy, w żaden sposób nie osłabiało pozycji generała de Gaulle'a. Przeciwnie – wzmacniało ją. Brytyjczycy musieli bardziej liczyć się z przywódcą Wolnych Francuzów, istniało bowiem zagrożenie, że się obrazi i pojedna z marszałkiem Pétainem.

Ślepo w nich zapatrzonych Polaków traktowali zaś Brytyjczycy z lekceważeniem i poniewierali nimi, tak jak poniewiera się wiernym psem. Wiadomo bowiem, że takie zwierzę nigdy nie ucieknie. Nie miałoby zresztą dokąd.

Rozdział 4

Kolonia zamiast Reststaat

Wątpliwości, jak postąpić z pokonanym sąsiadem, które miano na szczytach władzy III Rzeszy jesienią 1939 roku, odzwierciedla różnica w traktowaniu poszczególnych części Polski. Na terenach włączonych do Rzeszy, a więc na Pomorzu, w Wielkopolsce i na Górnym Śląsku, z marszu przystąpiono do eksterminacji. Gestapo i SS zabrały się do mordowania „warstw przywódczych" i terroryzowania reszty Polaków.

Zupełnie inaczej sytuacja wyglądała w środkowej Polsce. Tam Niemcy na początku zachowywali się poprawnie. Jeden z pamiętnikarzy ówczesne nastawienie okupanta określił krótko – „Wersal". Wynikało to w dużej mierze z tego, że terytorium to znajdowało się pod zarządem Wehrmachtu. A starzy niemieccy generałowie uważali, że nie ma powodu, aby nowa okupacja Polski miała wyglądać inaczej niż liberalna okupacja z czasów I wojny światowej.

W Warszawie normalnie urzędował więc prezydent Stefan Starzyński, który z energią zabrał się do odbudowy miasta zniszczonego podczas oblężenia. Narady na temat usunięcia wojennych zniszczeń między polskimi urzędnikami a Niemcami odbywały się w kurtuazyjnej atmosferze i były prowadzone po francusku, żeby Polacy nie czuli się urażeni. Rozpoczęły się pertraktacje na temat wznowienia nauki na Uniwersytecie Warszawskim i w Szkole Głównej Handlowej.

Wszystko to doprowadzało do szału drabów z Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA). W jednym z donosów ze zgrozą informowali oni, że w Warszawie doszło nawet do zorganizowania tak niesłychanej imprezy jak polsko-niemiecki wieczorek taneczny! Wojskowym komendantem miasta został poczciwy generał Karl von Neumann-Neurode. O jego nastawieniu do Polaków chyba najlepiej świadczy to, że w gabinecie naprzeciw portretu Adolfa Hitlera powiesił sobie portret Józefa Piłsudskiego.

W ogóle Niemcy od samego początku okupacji okazywali wielką atencję wobec Marszałka. W kronikach niemieckich pokazywano Adolfa Hitlera wpatrującego się maślanymi oczami w popiersie Piłsudskiego w zdobytym gmachu urzędu wojewódzkiego w Kielcach. Propaganda Rzeszy podkreślała na każdym kroku, że gdyby żył Piłsudski, nie doszłoby do wojny między Niemcami a Polską.

Gdy oddziały niemieckie 6 września 1939 roku zdobyły Kraków, Wehrmacht natychmiast

wystawił wartę honorową przed kryptą Piłsudskiego na Wawelu. Tamtejszy wojskowy gubernator, sześćdziesięcioletni generał Eugen Höberth, odwiedził Uniwersytet Jagielloński i zgodził się na powołanie pod przewodnictwem arcybiskupa Adama Sapiehy polskiego Komitetu Obywatelskiego, który miał „unormować życie w mieście".

W wielu miastach bez przeszkód wciąż ukazywały się polskie gazety, w szkołach zainaugurowano nowy rok szkolny. Działały polskie teatry. Wielu zwykłych Polaków, mimo agresywnej antyniemieckiej propagandy prowadzonej przez rząd w przededniu wojny, nie było nastawionych wobec okupanta specjalnie wrogo. Dominowała ciekawość. Uważano, że Niemcy reprezentują jednak Zachód i wysoką kulturę. Jak się wkrótce miało okazać, była to gruba pomyłka.

Na początku października 1939 roku wyglądało jednak na to, że niemiecka okupacja – przynajmniej w tej części Polski – będzie dość liberalna i rzeczywiście będzie przypominała system okupacyjny wprowadzony przez Cesarstwo Niemieckie w latach 1915–1918. Ostro kontrastowało to z okupacją bolszewicką wschodniej Polski, która od pierwszego dnia była gehenną. Dominowało przekonanie, że ten, kto znalazł się pod władzą Rzeszy, mógł się uważać za szczęściarza. Polacy masowo uciekali spod sowieckiego jarzma pod okupację niemiecką.

„Sielanka" ta została przerwana brutalnie 26 października 1939 roku. Tego dnia Adolf Hitler wydał zarządzenie o powołaniu Generalnego Gubernatorstwa. Zamieszkujący je Polacy mieli być utrzymywani w posłuszeństwie za pomocą żelaznej dyscypliny i krwawych represji. Mieli być słabo wykształceni i wykwalifikowani, a ich przyrost naturalny zamierzano ograniczać poprzez „wspieranie aborcji i emigracji".

Od tej pory nie było już mowy o żadnym porozumieniu. Wąska furtka do kolaboracji, która została uchylona w pierwszych tygodniach po upadku Polski, została zatrzaśnięta kopniakiem gestapowskiego buciora. Propozycje wychodzące od strony polskiej były teraz ucinane.

Tak stało się choćby z inicjatywą, o której informowano w depeszy poselstwa niemieckiego w Genewie. „W Szwajcarii istnieją polskie koła zasługujące na poważne traktowanie" – pisali dyplomaci Rzeszy – „które w przeciwieństwie do grupy Sikorskiego we Francji wypowiadają się za porozumieniem z Niemcami i zamierzają powołać do życia komitet z udziałem prymasa Hlonda w celu prowadzenia rokowań z rządem niemieckim w sprawie utworzenia nowego państwa polskiego".

Ribbentrop odpowiedział kilka dni później, że niemieccy dyplomaci powinni natychmiast zerwać kontakty z owymi Polakami. Ton tej odpowiedzi był niezwykle oschły. Minister stwierdził, że strona niemiecka do tej szwajcarskiej grupy „nie przywiązuje żadnej wagi".

Polacy w kraju decyzję Hitlera o zaostrzenia kursu odczuli natychmiast. W Generalnym Gubernatorstwie pojawiły się typy spod ciemnej gwiazdy w czarnych mundurach i z trupimi czaszkami na czapkach i zaprowadziły swoje porządki. 27 października do Warszawy zajechał sam Himmler i mianowany na stanowisko generalnego gubernatora Hans Frank, któremu Hitler miał powiedzieć na odchodnym: „Ty, mój drogi Franku, idź i dobrze realizuj w Polsce diabelskie dzieło".

Frank zakasał rękawy na swoich grubych rzeźnickich łapskach i wziął się do wypełniania woli wodza. Tego samego dnia we własnym gabinecie aresztowany został prezydent Starzyński. 6 listopada w ramach Sonderaktion Krakau aresztowano i wysłano do obozu w Sachsenhausen 183 profesorów krakowskich uczelni. 11 listopada w dniu polskiego Święta Niepodległości zarówno w Krakowie, jak i w Warszawie Gestapo wzięło zaś zakładników.

> Działania te wydają się czymś więcej aniżeli samym aktem czy prologiem wieloletniego terroru – pisał komunistyczny historyk Czesław Madajczyk. – Wydają się być również, a może przede wszystkim, jednym z przejawów brutalnego demonstrowania braku zainteresowania władz hitlerowskich jakąkolwiek współpracą polityczną z Polakami. W Krakowie dano do zrozumienia, że reminiscencje okresu austriackiego są utopijne.

W nocy z 26 na 27 grudnia barbarzyńskie groźby zastosowania odpowiedzialności zbiorowej zostały spełnione. Niemcy dokonali pierwszej masowej egzekucji na niewinnych, wybranych przypadkowo Polakach. 120 mieszkańców podwarszawskiego Wawra zostało rozstrzelanych w odwecie za zabójstwo dwóch Niemców przez miejscowych kryminalistów. Więzienia i katownie Gestapo, na czele ze słynnym Pawiakiem, zapełniły się po brzegi.

Ponurym symbolem tego zwrotu niech będzie to, że Niemcy zgładzili nawet część ludzi, do których wcześniej zgłaszali się z propozycją współpracy. Profesor Stanisław Estreicher zmarł z wycieńczenia w Sachsenhausen 28 grudnia 1939 roku. Maciej Rataj został zaś rozstrzelany pół roku później w Palmirach. Zamordowano także Stolarskiego.

> Współpracowałem z Radą Regencyjną w 1918 roku – mówił pewien arystokrata profesorowi Andrzejowi Jaczewskiemu. – Po klęsce wrześniowej wydawało mi się, że na wzór 1918 roku dojdzie do jakiejś formy współpracy. Wydawało mi się, że dla naszego narodu w tej sytuacji jakaś współpraca jest konieczna i potrzebna. I ja zgłosiłem się do władz okupacyjnych z propozycją. Niemcy mojej oferty nie przyjęli i mnie aresztowali, i całą wojnę przeżyłem w obozach koncentracyjnych. Nie mieliśmy rządu kolaborantów, bo Niemcy nie chcieli, nie przewidywali żadnej formy istnienia nawet fikcyjnego rządu. A ja, proszę pana, zamiast zawisnąć po wojnie na szubienicy, wyszedłem jako bohater, były więzień.

Porzucając koncepcję Reststaat, Hitler znacznie „zaokrąglił" granicę między III Rzeszą a Gubernatorstwem. Choć pierwotnie deklarował, że interesuje go tylko powrót do linii sprzed 1914 roku, teraz zaanektował terytoria nigdy nie należące do Cesarstwa Niemieckiego.

Choćby Łódź, przemianowaną teraz na Litzmannstadt, Suwalszczyznę, część Mazowsza oraz województw krakowskiego i kieleckiego.

Dlaczego tak się stało? Dlaczego Hitler zdecydował o wprowadzeniu ostrego kursu i zrezygnował z planów pozostawienia na mapie okrojonego państwa polskiego? Wydaje się, że złożyło się na to co najmniej kilka przyczyn:

- Weto Stalina.
- Odmowna odpowiedź rządu Wielkiej Brytanii na niemieckie propozycje pokojowe wyrażona 12 października w przemówieniu premiera Neville'a Chamberlaina. Hitler uważał, że stworzenie „nowej Polski" mogłoby się stać elementem kompromisowego układu kończącego wojnę zaledwie po kilku miesiącach.
- Fiasko poszukiwań wśród Polaków „dużego nazwiska", które mogłoby firmować ugodę z III Rzeszą.
- Zwycięstwo Heinricha Himmlera i innych dyszących z nienawiści do Polaków radykałów w sporze toczącym się na szczytach władzy III Rzeszy.
- Wyolbrzymione przez propagandę zbrodnie dokonane na niemieckich obywatelach II Rzeczypospolitej. Resort Goebbelsa trąbił, że podczas kampanii 1939 roku Polacy w morderczym, nacjonalistycznym szale wymordowali 58 tysięcy niemieckich cywilów. W ten sposób dziesięciokrotnie zawyżył skalę tego zjawiska. Faktem jest jednak, że w pierwszych dniach wojny rzeczywiście zdarzały się zabójstwa Niemców. A zdjęcia ofiar, które pokazano Hitlerowi, były szokujące. „Naród polski utracił prawo do samookreślenia na skutek okrucieństw popełnionych we wrześniu na osobach narodowości niemieckiej i raz na zawsze znikł z mapy krajów europejskich" – referował poglądy wodza Ribbentrop.
- Wspomniany osobisty uraz Hitlera do Polaków spowodowany odrzuceniem przez Józefa Becka propozycji wspólnej krucjaty przeciwko bolszewizmowi. Uraz ten pogłębiło to, co Hitler zobaczył w Polsce podczas triumfalnego objazdu po terytorium pokonanego sąsiada. Jako fanatyczny antysemita nie mógł znieść widoku biednych żydowskich miasteczek rozsianych po całym podbitym kraju.

Opinia Hitlera o Polakach jest miażdżąca – zapisał w swoich pamiętnikach Joseph Goebbels. – Są całkowicie otępiali i amorficzni. Brud wśród Polaków jest niewyobrażalny, również ich możliwości rozumowania są równe zeru. Na Polaków działa jedynie przemoc. Są przy tym tak głupi, że nie skutkują wobec nich żadne argumenty. Właśnie w Polsce zaczyna się Azja. Kultura tego narodu jest poniżej wszelkiej krytyki. Cienki nalot kultury posiada jedynie warstwa szlachecka. Jest ona duszą oporu przeciwko nam i dlatego musi zostać usunięta.

W efekcie, gdy jesienią 1939 roku Hans von Moltke przedłożył niemieckiemu dyktatorowi

memoriał, w którym poddał zdecydowanej krytyce zbrodniczą politykę wprowadzoną w Generalnym Gubernatorstwie, Führer ordynarnie zwymyślał zacnego dyplomatę. Był bowiem „rozwścieczony na Polskę i wpadał w furię na najmniejszą sugestię o oszczędzeniu Polaków". Niestety to właśnie do niego w III Rzeszy zawsze należało ostatnie słowo.

Rozdział 5

ONR u boku Rzeszy

Jest październik 1939 roku. Niemieckie wojska zaledwie przed kilkoma tygodniami wkroczyły do Warszawy. Miasto, które przetrwało ciężkie oblężenie, wygląda fatalnie. Bomby lotnicze obróciły wiele budynków w gruzy, infrastruktura jest zrujnowana, trwają ekshumacje poległych obrońców stolicy pochowanych pospiesznie na prowizorycznych cmentarzach. Na ulicach roi się od niemieckich żołnierzy i żandarmów. Rozpoczyna się koszmar okupacji.

Tymczasem w obszernym mieszkaniu w czteropiętrowej kamienicy przy ulicy Mazowieckiej numer 7 dzieją się dziwne rzeczy. Jeszcze niedawno lokum to należało do wybitnego polskiego poety Juliana Tuwima. Właściciel uciekł jednak do Francji, a teraz na jego kanapach, fotelach i krzesłach siedzą młodzi Polacy i kilku niemieckich oficerów w pełnym umundurowaniu, ze swastykami na czapkach i pistoletami przy pasach.

To nietypowe towarzystwo zawzięcie dyskutuje w oparach tytoniowego dymu. Mowa jest o wspólnym europejskim interesie, o polsko-niemieckim braterstwie broni i o zagrożeniu, jakie ma rzekomo stanowić żydostwo. A także o Adolfie Hitlerze. Na zakończenie spotkania wszyscy obecni wstają i śpiewają polskie pieśni patriotyczne, na czele z *Mazurkiem Dąbrowskiego*. Słysząc polski hymn, Niemcy wyprężają się jak struny i salutują.

Tak wyglądały spotkania Narodowej Organizacji Radykalnej (NOR). Ugrupowania, które miało zadatki na zostanie polskim ruchem faszystowskim kolaborującym z Niemcami, podobnym do węgierskich strzałokrzyżowców. NOR została utworzona w październiku 1939 roku przez ludzi związanych z kierowaną przez Bolesława Piaseckiego przedwojenną organizacją ONR „Falanga”.

Wszystko zaczęło się, zanim jeszcze wybuchła II wojna światowa. Niemieckie służby specjalne oprócz Witosa starały się wówczas nawiązać kontakt z ONR, widząc w niej potencjalnego partnera, któremu można by oddać rządy w przyszłej Polsce. Pośrednikiem był Stanisław Brochwicz, polski dziennikarz, korespondent „Polski Zbrojnej” i Polskiego Radia w Rzymie i Wiedniu.

W 1937 roku przebywał on przez kilka miesięcy w Berlinie, gdzie całkowicie nawrócił się na „wiarę” narodowosocjalistyczną. Od tego czasu w swoich tekstach gloryfikował III Rzeszę, co spowodowało zerwanie z nim współpracy przez niemal wszystkie polskie redakcje.

Najprawdopodobniej już wówczas Brochwicz został zwerbowany przez niemieckie tajne służby.

Dziennikarz zaczął bywać na spotkaniach „Falangi”, napisał kilka tekstów do partyjnej gazetki. Dotyczyły one Niemiec i były utrzymane w bardzo ciepłym tonie. Coraz śmielej również sondował przywódcę ONR, Bolesława Piaseckiego. „Niech pan się teraz deklaruje” – rzucił podczas jednego ze spotkań. – „Jeśli nawet Śmigły się posunie tak daleko, iż wypowie Niemcom wojnę, to pan będzie tym, który podpisze pokój i uratuje w ten sposób Polakom ich ojczyznę”.

W odpowiedzi Piasecki nakazał swoim ludziom śledzić Brochwicza i wkrótce uzyskał przekonujące dowody, że dziennikarz pracuje dla Niemców. Zdecydował się go wówczas „wystawić” polskiemu wywiadowi. Sprawę tę w swoich wspomnieniach opisał ze szczegółami jeden z najbliższych współpracowników Piaseckiego, Zygmunt Przetakiewicz, lider ONR-owskich bojówkarzy.

> Nastąpiło to na początku czerwca 1939 roku w kawiarni „Café Club” na rogu Alei Jerozolimskich i Nowego Świata – pisał. – Brochwicza poinformowaliśmy, że Piasecki jest gotów spotkać się z nim. O wyznaczonej godzinie razem z Piaseckim usiedliśmy przy stoliku i czekaliśmy. Przy sąsiednich stolikach siedzieli członkowie ONR stanowiący naszą ochronę. Brochwicz przyszedł punktualnie i zaczęła się rozmowa.

Posłaniec niemieckich władz – bo chyba tak można nazwać ówczesną rolę Brochwicza – na wstępie zadeklarował, że jest polskim patriotą i jego zdaniem wielkość Polski może zapewnić tylko rewolucja narodowo-radykalna wzorowana na rewolucji hitlerowskiej.

> Jeśli nic się nie zmieni, to grozi nam wojna z Niemcami – przekonywał. – Z punktu widzenia interesów narodowych byłaby to tragedia, bowiem oba kraje powinny być sprzymierzone i w przyszłości walczyć z bolszewizmem. Wiem, że chcecie doprowadzić w Polsce do rewolucji narodowo-radykalnej. Jak do tej pory nie udało się wam to. Jesteście za słabi, bez pomocy zewnętrznej to się nie powiedzie. Tylko Niemcy mogą to zrobić. Jeśli zdecyduje się pan na to, osiągnie pan swój cel – będzie pan rządził. Reżim Rydza niedługo upadnie i wtedy wybije pana godzina.

Podczas rozmowy Piasecki słuchał z uwagą, twarz miał jednak nieprzeniknioną. Spotkanie wkrótce dobiegło końca. „Brochwicz” – wspominał Przetakiewicz – „lekko rzucił na blat kilkuzłotową monetę, która zatańczyła i po paru chwilach spoczęła na stole. Wstaliśmy i podeszliśmy do wyjścia. Funkcjonariusze kontrwywiadu czekali na zewnątrz i natychmiast po wyjściu aresztowali Brochwicza. Nasza rola była skończona. Dałem znak i wszyscy uczestnicy akcji szybko opuścili lokal”.

Sam Brochwicz w wydanych rok później wspomnieniach przedstawił inną wersję tej historii. Zgodnie z nią miał zostać aresztowany we własnym domu. Nie miał jednak

wątpliwości, że „zawdzięczał" to Piaseckiemu. Brochwicz został poddany śledztwu przez polski kontrwywiad, a następnie skazany na śmierć. Innego członka ONR podejrzewanego o pracę dla Niemiec, Antoniego Cerchę, ludzie Przetakiewicza mieli wyeliminować samodzielnie, bez uciekania się do pomocy władz.

Mimo że Piasecki zdecydowanie przeciął wówczas wszelkie kontakty z Niemcami, cała sprawa nie toczyła się w próżni. Rozumowanie części działaczy ONR – w tym samego Piaseckiego – rzeczywiście szło wówczas proniemieckimi torami. Im bliżej było do wojny, tym silniejsze w tej organizacji były tendencje do zerwania z tradycyjnym antyniemieckim nastawieniem ugrupowań wywodzących się z endecji.

Jak wspominał Włodzimierz Sznarbachowski, ówczesny przyjaciel szefa „Falangi", przed wojną w warszawskim lokalu ugrupowania odczytane zostały dwa germanofilskie referaty. Wygłosili je młodzi działacze, Olgierd Szpakowski i Stanisław Cimoszyński. Co ciekawe, obaj zginęli później podczas kampanii 1939 roku. Według Sznarbachowskiego wystąpienia te odbyły się z inspiracji Piaseckiego.

> Wobec nadchodzącego szybko starcia dwóch kolosów – mówił Szpakowski – Polska nie może kontynuować dotychczasowej polityki Becka: utrzymywania się w chwiejnej równowadze między Berlinem a Moskwą, ani liczyć na demokracje zachodniej Europy. Polska może więc znaleźć w Hitlerze naturalnego partnera i sojusznika przeciw Rosjanom i Ukraińcom. Niszcząc ZSRS i posiadając w Polsce sprzymierzeńca, Trzecia Rzesza zabezpieczy sobie tyły dla swojego historycznie nieuniknionego Drang nach Westen. Niemcy pragną kolonii. Kolonie te znajdą nie w Afryce, lecz na południu Rosji i na Ukrainie. A i Polska uszczknie coś przy tym podziale.

Cimoszyński dowodził zaś:

> Nie ulega wątpliwości, że Hitler wkrótce uderzy. Ale gdzie? Albo na „zgniłe demokracje zachodnie", które nie mają woli obrony, a tym bardziej ataku i szybko będą pokonane. Albo – jeszcze wcześniej bądź dopiero po zwycięstwie nad Francją – na ZSRS przez Polskę. Polska niedostatecznie uzbrojona – będzie pokonana. Aby uniknąć tego losu, Polska powinna w sojuszu z Hitlerem pójść przeciwko Rosji.

Gdy wybuchła wojna, diagnozy zawarte w tych wystąpieniach szybko się potwierdziły. Napompowany przez obóz rządzący propagandowy balon pękł i po dwóch tygodniach polscy ułani wcale nie poili koni pod Berlinem. Za to niemieckie czołgi stały pod Warszawą. „Zgniłe demokracje zachodnie" oczywiście żadnej pomocy Polsce nie udzieliły. Gorycz porażki wzmocniło to, że odpowiedzialni za klęskę dygnitarze uciekli z kraju, pozostawiając naród na pastwę okupantów.

Wydarzenia te pchnęły część działaczy ONR do szukania ugody z Niemcami w duchu propozycji składanych kilka miesięcy wcześniej przez Brochwicza. Tak właśnie narodziła się

Narodowa Organizacja Radykalna. Założył ją, za zgodą i w porozumieniu z Wehrmachtem, jeden z czołowych oenerowców, Andrzej Świetlicki. Powagi całemu przedsięwzięciu dało wsparcie znanego germanofila profesora Zygmunta Cybichowskiego, który przed wojną – jako wybitny teoretyk prawa – poznał dość dobrze Hansa Franka. Cybichowski był radykalnym nacjonalistą, jego syn Jerzy zaś był jednym z bojówkarzy „Falangi".

Grupa szybko przyciągnęła inne środowiska. Członków narodowosocjalistycznego stowarzyszenia „Pochodnia" Tadeusza Podgórskiego i Erazma Samborskiego czy księdza Stanisława Trzeciaka. Kapłan ten był znanym antysemitą, który przed wojną wychwalał Hitlera za realizowanie „opatrznościowego posłannictwa" polegającego na ocaleniu Niemiec przed żydobolszewizmem. Według krążącej plotki Trzeciak podczas rewolucji bolszewickiej więziony był w Rosji w jednej celi z Heinrichem Himmlerem. Miał on wówczas ocalić Niemcowi życie i teraz postanowił wykorzystać starą znajomość i dług wdzięczności, aby odegrać rolę Quislinga. Cała historia była oczywiście zmyślona.

Natomiast narodowi radykałowie rzeczywiście chcieli powołać do życia polską partię narodowosocjalistyczną wzorowaną na NSDAP. Oprócz byłego mieszkania Tuwima Wehrmacht przekazał NOR jeszcze były lokal Związku Młodej Polski w Alejach Ujazdowskich pod numerem 20. Zapewnił im również nietykalność. Program ugrupowania był prosty. Chodziło o stworzenie polskiej administracji na terenach okupowanych i polskich sił zbrojnych do przyszłej walki z Sowietami u boku Niemiec. Pojawiały się w nim również silne akcenty antysemickie.

> Narodzie Polski! – głosiła odezwa przygotowana przez NOR. – Z winy sanacji Polska poniosła straszliwą klęskę oraz utraciła niepodległość i ziemie zachodnie. Ale nie wszystko jest stracone. Można odbudować Wojsko Polskie, aby wzięło udział w nieuniknionej wojnie przeciwko komunizmowi sowieckiemu. Zdobyte na wschodzie ziemie przywrócą nam nasze terytoria zagarnięte przez ZSRS, a inne, bardziej na wschód, będą rekompensatą za utracone Pomorze, Śląsk i Poznańskie oraz odszkodowaniem za straty wojenne. Na finansowanie odbudowy Polski i jej nowej armii użyjemy skonfiskowaną własność żydowską. Rodacy! Wstępujcie do NOR! Dajcie nam możność odbudowania ojczyzny i powstania Wielkiej Polski!

Jak wynika z jednego z raportów polskiego podziemia, celem grupy Świetlickiego było „zorganizowanie dywizji polskich do obrony przeciw bolszewizmowi".

> Miałaby to być partia narodowo-radykalna o charakterze masowym, robotniczo-włościańskim – zapisano w tym dokumencie. – Dotychczas jeszcze nie doszło do porozumienia z Niemcami. Miałby być powołany Komitet wykonawczy i rada z ok. 100 osób. Komitet miał jechać do Krakowa i Berlina. Podobno działa na tym polu Władysław Studnicki. Starają się pozyskać ks. Lubomirskiego.

Inny raport głosił zaś, że NOR miała rzucić hasło antysowieckiego powstania na okupowanej

przez Armię Czerwoną Białorusi. Na tej płaszczyźnie miano nawiązać kontakty ze słynnym zagończykiem, bohaterem walk z bolszewikami sprzed dwudziestu lat generałem Stanisławem Bułakiem-Bałachowiczem. Po upadku Polski zmontował on własną organizację podziemną, która miała utrzymywać pewne ograniczone kontakty z Niemcami. Nawiasem mówiąc, dzielny generał w maju 1940 roku został zastrzelony na Saskiej Kępie w bardzo podejrzanych i nie wyjaśnionych do dzisiaj okolicznościach.

Operacja o kryptonimie „Narodowa Organizacja Radykalna" nie wyszła zaś poza puste gadanie w kilku warszawskich mieszkaniach. Gdy Generalne Gubernatorstwo zostało wkrótce wyłączone spod zarządu Wehrmachtu i przekazane administracji cywilnej oraz Gestapo, sprawie ukręcono łeb. Dosłownie.

Rozdział 6

Bolesław Piasecki i Wehrmacht

Do dzisiaj nie jest jasne, czy Narodowa Organizacja Radykalna powstała z inspiracji Bolesława Piaseckiego, czy też wbrew niemu. Wierni towarzysze wodza do końca życia zarzekali się, że nie miał on z całą sprawą nic wspólnego, że była to samodzielna inicjatywa Andrzeja Świetlickiego i skupionych wokół niego działaczy. Wspomniany już Zygmunt Przetakiewicz tak wspominał rozmowę, jaką odbył z Piaseckim na temat NOR:

> Bolesław nie ukrywał wzburzenia.
>
> – To szaleństwo. Świetlicki twierdzi, że trzeba taktycznie wykorzystać Niemców, uzbroić się, a w odpowiednim momencie uderzyć na nich od tyłu. Tłumaczyłem mu – mówił Bolesław – że to jest koncepcja bezsensowna i szkodliwa.
>
> Powiedziałem Bolesławowi, że Świetlicki zawsze miał wygórowane ambicje i teraz mamy tego dowody.
>
> – Nie wiem, jak to się skończy – kontynuował Bolesław. – Czy ty wiesz, że oni w swoim lokalu w Alejach Ujazdowskich śpiewają *Rotę* i w ogóle nie ukrywają stosunku do Niemców?

Według innej opinii NOR miała być balonem próbnym wypuszczonym przez Piaseckiego, który z ostrożności wolał w pierwszej fazie przedsięwzięcia pozostać w cieniu. Gdyby się okazało, że Niemcy potraktowali inicjatywę poważnie, Piasecki wkroczyłby do akcji i przejął kierownictwo nad ruchem. Stanął na czele obozu kolaboracji. Czyli w 1939 roku zrobiłby z Niemcami mniej więcej to samo, co zrobił z Sowietami w roku 1945 roku. Tyle że na większą skalę.

Gdyby tak było, relację Przetakiewicza należałoby uznać tylko za próbę krycia szefa i zrzucenia odpowiedzialności za podjęcie nieudanej kolaboracji z Niemcami na działacza niższego szczebla. Warto tu wspomnieć, że ani ONR, ani później PAX nigdy nie potępiły Świetlickiego. Mało tego, jego nazwisko było po wojnie drukowane w paksowskiej prasie na oficjalnych listach działaczy ONR poległych za ojczyznę.

Trochę światła na sprawę w swoich wspomnieniach rzucił cytowany już przyjaciel Piaseckiego i działacz ONR Włodzimierz Sznarbachowski. Otóż ujawnił on, że przywódca narodowych radykałów jesienią 1939 roku sam utrzymywał w Warszawie kontakty z Wehrmachtem. Uważał bowiem, że jakaś forma polsko-niemieckiego porozumienia mogłaby zapobiec dwóm największych zagrożeniom, jakie – jego zdaniem – zawisły nad Polską.

Pierwszym była groźba wyniszczenia biologicznej substancji narodu pod okupacją

niemiecką. Drugim – możliwość szybkiego zwycięstwa mocarstw zachodnich nad III Rzeszą. Po zwycięstwie takim, dowodził Piasecki, Stalin niewątpliwie nie tylko zatrzymałby okupowaną już przez Armię Czerwoną połowę Polski, ale i próbował podbić resztę Rzeczypospolitej. Nie należę do miłośników „Bola", ale w tym wypadku należy przyznać, że bezbłędnie przewidział przebieg wypadków.

> Piasecki postanowił zastosować swoją politykę penetracji i przechytrzyć Wehrmacht – wspominał Sznarbachowski. – Dlatego szukał kontaktu z oficerami Wehrmachtu, aby wytłumaczyć im, że byłoby z punktu widzenia interesów niemieckich rzeczą rozsądną znalezienie oparcia w jakiejś grupie polskiej, która by była równie jak Niemcy zainteresowana, aby stłumić wszelkie próby podnoszenia głowy przez komunistów i inne grupy lewicowe. Są one bowiem forpocztą Armii Czerwonej w jej dalszym marszu na Zachód.
>
> Aby temu przeszkodzić, Piasecki i jego ludzie gotowi byli do współpracy z armią niemiecką. Wehrmacht powinien więc umożliwić ludziom Piaseckiego zwalczanie infiltracji bolszewickiej, pozwolić na stworzenie dobrze uzbrojonej bojówki antykomunistycznej, dostarczyć niezbędnej broni. Piasecki wyobrażał sobie, że uzbrojona przez Niemców polska bojówka antykomunistyczna odegra rolę przynajmniej w walkach partyzanckich przeciwko Armii Czerwonej do czasu, gdy przyjdzie na pomoc koalicja anglo-francuska. Tego już oczywiście Niemcom nie mówiono.

Wehrmacht podobno był tą propozycją bardzo zainteresowany. Piasecki zaś snuł naprawdę wielkie plany. Jak bowiem pisał Sznarbachowski: „Bolesław, zafascynowany Piłsudskim, od kiedy przeczytał jego pisma w Berezie, marzył o powtórzeniu legionowej koncepcji Komendanta. To znaczy walki najpierw po stronie niemieckiej przeciwko Rosji, a po osłabieniu ZSRS, zwróceniu się przeciwko Niemcom".

Nawet po utworzeniu Generalnego Gubernatorstwa Wehrmacht zachował pewne wpływy i jeszcze przez pewien czas prowadził rozmowy z Piaseckim i Świetlickim, roztaczając nad młodymi narodowcami parasol ochronny. Rozmowy posunęły się tak daleko, że Piasecki wysunął nawet kandydata na prezydenta kadłubowej proniemieckiej Polski. Miał nim zostać znany lekarz, doktor Zdzisław Michalski.

Są pewne ślady, które wskazują, że niemiecka armia próbowała do całego przedsięwzięcia wciągnąć część środowisk sanacyjnych. Echa sprawy pojawiały się w szeregu dokumentów z wiosny 1940 roku.

Choćby w notatce brytyjskiej z 1 marca, w której mowa była o „przełknięciu obopólnych uraz" przez „polską prawicową partię ONR" i „partyzantów pułkownika Becka" [sic!], którzy razem mieli szukać jakiejś ugody z Niemcami za pośrednictwem węgierskim. Według tej wersji proniemiecki polski rząd powstałby w Budapeszcie, a główną sprężyną całego projektu miała być żona pułkownika Zygmunta Wendy, prawej ręki internowanego w Rumunii marszałka Śmigłego-Rydza. To ostatnie można jednak włożyć między bajki. Słynąca z urody pani Sława nie była bowiem politykiem, a podobne plotki na jej temat rozpuszczali

sikorszczycy.

Ówczesny komendant Okręgu Warszawskiego ZWZ Stefan Grot-Rowecki 30 marca ostrzegał tymczasem rząd Sikorskiego, że „zakonspirowane, a jednak działające ciągle ośrodki dawnej sanacji mogą być wygrywane przez Niemców contra Paryż". A jako załącznik do tego raportu wysłał relację z kolacji, która odbyła się dwa tygodnie wcześniej w mieszkaniu niejakiego Wojciechowskiego, polskiego urzędnika odpowiedzialnego za aprowizację Warszawy.

Oprócz gospodarza i jeszcze kilku jego krewnych i kolegów z pracy wzięli w niej udział Niemcy: doktor von Sanberzwaig, kierownik gospodarczy dystryktu warszawskiego, w asyście trzech oficerów Gestapo w cywilu, oraz doktor Zugerberg, nadzorca Treuhänderów dystryktu warszawskiego. „Po kieliszkach, w czasie towarzyskiej rozmowy ze strony Niemców padły powiedzenia, że jesteśmy w przededniu autonomii lub protektoratu, przy czym ma być utworzony rząd, do którego rzekomo mają być powołani: szef – Bogusław Miedziński, przemysł i handel – prof. Czochralski. Skarb miałby objąć obecny zastępca Młynarskiego, Jędrzejewski".

Oparciem dla tego gabinetu miała być rzekomo wymyślona przez gubernatora Franka polska rada przyboczna. Planowano, że wejdą do niej książę Janusz Radziwiłł, Władysław Studnicki, niejaki Zuchowski oraz wspomniany profesor Jan Czochralski. Był to światowej sławy chemik, który podczas wojny utrzymywał kontakty z Niemcami, a jednocześnie potajemnie współpracował z AK. Po wojnie władze komunistyczne uznały go za kolaboranta i poddały represjom. Został zaszczuty przez UB.

Wszystko to brzmi fantastycznie, ale chyba nie przypadkiem niewiele później, bo w kwietniu 1940 roku, Adolf Hitler stanowczo zabronił Wehrmachtowi mieszać się do polityki w Generalnym Gubernatorstwie. Sprawę NOR rozwiązało zaś po swojemu Gestapo, rozbijając organizację i aresztując jej członków. W marcu niemiecka tajna policja zamknęła lokal NOR w Alejach Ujazdowskich, za kraty na kilka dni wpakowany został nawet – mimo że miał wpływowych przyjaciół w Berlinie – szacowny profesor Cybichowski. Najważniejszych działaczy NOR po prostu zaś zamordowano. Los ten spotkał między innymi samego Andrzeja Świetlickiego, który w nocy z 20 na 21 czerwca został rozstrzelany w zbiorowej egzekucji w Palmirach.

Piasecki znalazł się w niemieckim więzieniu już wcześniej. A stało się to za sprawą… Stanisława Brochwicza. Otóż niemiecki agent podczas kampanii 1939 roku w ostatniej chwili przed rozstrzelaniem został uwolniony z twierdzy brzeskiej przez Wehrmacht. Wkrótce wrócił do okupowanej Warszawy, ale już nie w garniturze, lecz w mundurze Gestapo. Od razu przystąpił do zemsty i ściągnął na byłych kolegów z ONR falę aresztowań.

Wielkiej kariery w Generalnym Gubernatorstwie Brochwicz jednak nie zrobił. Przez pewien czas kierował fabryką włókienniczą na Woli, ale został z niej wyrzucony za nadużycia finansowe. W związku z tą sprawą miał nawet spędzić miesiąc w niemieckim areszcie. W 1940 roku wydał książkę *Bohaterowie czy zdrajcy? Wspomnienia więźnia politycznego*, której lektura świadczy, że był nie tyle niemieckim szpiegiem, ile wariatem.

Wkrótce polski sąd podziemny skazał go na karę śmierci. Wyrok został wykonany w marcu 1941 roku – Brochwicza zasztyletował wynajęty przez ZWZ kryminalista pod przęsłem mostu Poniatowskiego w Warszawie. Tak skończyła się sprawa Narodowej Organizacji Radykalnej, nieudana próba osiągnięcia porozumienia niemiecko-polskiego na gruncie bliskości ideowej z narodowym socjalizmem. I całe szczęście, że tak się skończyła.

Jak pisałem we wstępie, taka kolaboracja z Niemcami byłaby dla Polski nieszczęściem. Istniałoby bowiem poważne zagrożenie, że chłopcy Piaseckiego skończyliby jak litewscy szaulisi strzelający do Żydów w dołach śmierci na podwileńskich Ponarach. NOR – mimo przyzwoitych protektorów z Wehrmachtu i sensowności części założeń – zapowiadała się raczej niestety na polski odpowiednik chorwackich ustaszy niż pragmatycznego reżimu Pétaina.

Nie ma więc co żałować, że cała sprawa spaliła na panewce.

Rozdział 7

Polacy na front wschodni

Niepodległość należy do wartości najwyższych. Kiedy się ją utraci, należy dążyć do jej odzyskania. Nikt jednak nie da niepodległości w prezencie. Odzyskać ją można tylko przy pomocy wojska. I to nie wojska, które walczy gdzieś na odległych, egzotycznych frontach, ale wojska, które znajduje się w kraju. Najpierw musi być więc wojsko, a dopiero później może przyjść niepodległość. Nawet jeżeli wojsko zostanie sformowane u boku zaborcy, można go użyć do własnych, narodowych celów. Trzeba jednak je mieć.

Tak rozumował Józef Piłsudski podczas I wojny światowej i tak tę sprawę widział Władysław Studnicki podczas II wojny światowej. Tak jak Piłsudski w 1914 roku stworzył u boku państw centralnych Legiony do walki z Rosją, tak Studnicki ćwierć wieku później próbował powołać u boku III Rzeszy legiony do walki ze Związkiem Sowieckim. Koncepcja ta w obu wypadkach była słuszna, niestety jednak w 1939 roku Niemcy byli już zupełnie innymi ludźmi…

Ci z państwa, którzy czytali mój *Pakt Ribbentrop–Beck*, znają doskonale postać Władysława Studnickiego. Był to najwybitniejszy polski germanofil, który w przededniu wybuchu II wojny światowej starał się przekonać Józefa Becka i innych polskich dygnitarzy, że odrzucenie niemieckiej oferty wspólnej wyprawy na Związek Sowiecki skończy się dla Rzeczypospolitej straszliwą tragedią.

Przewidywał bezbłędnie, że sprowokuje to napaść Rzeszy na Polskę. Napaść, której Polska nie zdoła odeprzeć. Ostrzegał, że opieranie bezpieczeństwa Polski na papierowych gwarancjach Francji i Wielkiej Brytanii jest szaleństwem. Oba te państwa Polskę bowiem zdradzą i cała wojna – dowodził wiosną 1939 roku – skończy się sprzedaniem Rzeczypospolitej przez naszych „sojuszników” Stalinowi. Jak więc państwo widzą, Władysław Studnicki był prorokiem.

Po klęsce 1939 roku Studnicki, który miał pewne kontakty wśród Niemców, zajął się wyciąganiem Polaków z gestapowskich kazamat i interwencjami w celu ochrony polskich zabytków i dóbr kultury. Składał również okupantom propozycje ugody politycznej, która miała przynieść złagodzenie terroru. Opowiadał się za powołaniem w kraju polskiego Komitetu Narodowego, jako alternatywy dla rządu Sikorskiego.

To, że Władysław Studnicki może szukać na własną rękę porozumienia z Rzeszą, przewidział zresztą uciekający w kierunku granicy rumuńskiej minister Józef Beck. Już w nocy 11 września 1939 roku wysłał on z Krzemieńca, specjalnym kurierem, „najściślej tajny" raport do Śmigłego-Rydza. Poinformował go o plotkach, że Niemcy na zajętych przez siebie terenach zamierzają utworzyć polski rząd, „który by doprowadził do ukonstytuowania się Państwa Polskiego całkowicie uzależnionego od Rzeszy".

„Niezależnie od fantastyczności tych dyplomatycznych pomysłów pozwalam sobie przypomnieć konieczność zarządzenia obserwacji Studnickiego" – napisał Beck. Oczywiście do żadnej obserwacji nie doszło, bo już sześć dni później minister uciekł z walczącego kraju i sam znalazł się pod obserwacją. Tyle że służb rumuńskich. Studnicki tymczasem pozostał w kraju i toczył heroiczną walkę w obronie swojego narodu.

Nowe, brunatne oblicze Niemców, których znał świetnie z okresu liberalnej okupacji 1915–1918, całkowicie go zaskoczyło i nim wstrząsnęło. Jeden z ludzi, których Studnicki próbował pozyskać do swoich działań, raportował jesienią 1939 roku do Paryża, że rozumowanie czołowego germanofila opierało się na następujących przesłankach:

1. Wobec siły i tempa, z jakimi taran niemiecki bije w Polskę, samobójstwem jest bezczynne czekanie na moment, gdy taran ten będzie kiedyś zatrzymany, czy choćby nawet zmiażdżony przez państwa zachodnie.
2. Równolegle i równocześnie z taranem niemieckim bije w Polskę taran rosyjski, który z chwilą załamania się lub cofnięcia Niemiec z tym większą siłą w Polskę uderzy i wykończy tu resztę.
3. Podstawą siły i głosu narodu i państwa jest armia, której Polska jest w chwili obecnej pozbawiona. Stworzenie we Francji w tej chwili armii, choćby w sile dawnej armii Hallera, jest utopią, z braku tam dziś materiału żołnierskiego. Zresztą armię trzeba mieć w kraju, a nie gdzieś od kraju daleko.

Studnicki projekt ten przedstawił również Niemcom. A konkretnie wspomnianemu już gubernatorowi Warszawy z ramienia Wehrmachtu, Karlowi von Neumannowi-Neurode – temu sympatycznemu oficerowi, który naprzeciw portretu Hitlera powiesił sobie w gabinecie portret Piłsudskiego. Wysłuchawszy starego germanofila, który przyszedł do niego ze skargą na brutalne poczynania Gestapo, generał zachwycił się i zapalił do projektu.

Poprosił Polaka, żeby jak najszybciej wyłożył sprawę na piśmie. W efekcie 15 listopada 1939 roku Studnicki złożył władzom okupacyjnym „Memoriał dotyczący odbudowania Armii Polskiej dla przyszłej wojny niemiecko-sowieckiej". Chociaż był to moment, kiedy czerwono-brunatna przyjaźń kwitła w najlepsze, polski germanofil bezbłędnie przewidział, że Hitler i Stalin wkrótce wezmą się za łby.

Przekonywał Niemców, że Sowiety oficjalnie są wobec Rzeszy pełne kurtuazji, ale potajemnie zbroją się po zęby i szykują do marszu na Niemcy, a po ich trupie na całą Europę.

W tej sytuacji widział tylko jeden ratunek: należy jak najszybciej dokonać prewencyjnego uderzenia na imperium Stalina. Wyprawa taka – pisał Władysław Studnicki – ma pełne szanse powodzenia, ale pod jednym warunkiem: że wezmą w niej udział Polacy.

A więc naród, który już raz, w 1920 roku, pobił bolszewików oraz znakomicie zna Rosję i jej realia, a dzięki swojemu potencjałowi demograficznemu może dostarczyć sił niezbędnych do okupacji pokonanego sowieckiego molocha. Dlatego właśnie Studnicki postulował, aby Adolf Hitler wydał edykt, na mocy którego zostałaby sformowana potężna polska armia, która u boku Wehrmachtu ruszyłaby na Moskwę. Składać by się ona mogła głównie z dywizji piechoty i kawalerii, które znakomicie uzupełniałyby się z sojuszniczymi pancernymi jednostkami Wehrmachtu.

Do odtworzonych w ten sposób Polskich Sił Zbrojnych powinni zostać powołani polscy oficerowie, którzy „posiadają dostateczne zrozumienie niebezpieczeństwa bolszewickiego dla Polski".

> Z dawniejszych czasów miałem rozległe stosunki z polskimi oficerami – pisał autor memoriału – i wiem, kogo należy powołać do komisji wojskowej mającej tworzyć armię polską. Wiem także, przez kogo i jaka agitacja powinna być poprowadzona w obozach jeńców. Także osobiście mogę mieć wykłady polityczne w szkole wojennej, która musi być stworzona przy pomocy władz wojskowych niemieckich w Warszawie.

Przy okazji postulował, aby obozy jenieckie – po wydobyciu z nich chętnych do walki z bolszewizmem – jak najszybciej rozwiązać. Studnicki zresztą wybrał się do jednego z oflagów, gdzie przeprowadził wstępne rozmowy sondażowe z oficerami.

W zamian za wystawienie armii do walki z bolszewizmem domagał się od Niemców spełnienia szeregu postulatów. Przede wszystkim oddania Generalnego Gubernatorstwa Polakom, powstrzymania grabieży, gwałtów i mordów oraz „zaniechania poniewierania polskiej godności narodowej". Z okupowanej Polski niezwłocznie miałoby zostać przepędzone Gestapo.

> Może powstać pytanie – pisał – czy z uwagi na wielką krzywdę, jakiej naród polski obecnie doznał od III Rzeszy, jak na przykład odstąpienie około 186.000 km kw. Polski Rosji sowieckiej, jak wysiedlenie polskiej ludności z Gdyni i wiele innych, armia polska nie zwróci się przeciwko Niemcom.
>
> Gwarancją jej lojalności w stosunku do Niemiec będzie jednak myśl, że rozprzestrzenienie się panowania bolszewickiego na całą Polskę stanie się największym nieszczęściem dla Narodu Polskiego. W walce przeciwko bolszewickiej Rosji będzie armia polska rzetelnie dotrzymywać braterstwa broni armii niemieckiej. A to znowu będzie mieć zbawienny wpływ dla nawiązania wzajemnych stosunków polsko-niemieckich, albowiem poczucie wspólnej sprawy i wzajemny szacunek zwiąże obie strony.

Studnicki memoriał ten przesłał między innymi Hansowi Frankowi, gubernatorowi

Warszawy Ludwigowi Fischerowi i wysokim rangą oficerom Wehrmachtu. Wojskowym pomysł się bardzo spodobał, odpowiadał on bowiem nastrojom panującym wówczas w niemieckim korpusie oficerskim. Mniej więcej w tym samym czasie nastawione opozycyjnie koła niemieckiej generalicji przekazały Brytyjczykom nieformalnymi kanałami – za pośrednictwem przemysłowców Stinnesa i Manna – ofertę pokojową.

Zakładała ona usunięcie Hitlera i tymczasowe zastąpienie go Hermannem Göringiem, a następnie restaurację monarchii Hohenzollernów. Polska miała zostać odtworzona – ale bez Śląska, Pomorza i Górnego Śląska – a wraz z nią planowano powołać do życia polską armię. Razem z Wehrmachtem i Brytyjczykami miała ona wziąć udział w wyprawie na wschód, której jednym z celów miało być odbicie polskich terytoriów oddanych Stalinowi w 1939 roku.

Zupełnie inaczej na memoriał Studnickiego zareagowali jednak przedstawiciele władz cywilnych i Gestapo, a więc instytucji realizujących zbrodnicze antypolskie wytyczne Hitlera. Wkrótce do znajdującego się przy ulicy Wiejskiej, vis à vis Sejmu, mieszkania Studnickiego zapukali dwaj smutni panowie w skórzanych kurtkach i z tyrolskimi kapelusikami na głowach. Przeprowadzili w domu rewizję i zabrali Studnickiego na Gestapo.

Tam oznajmiono mu, że „gubernator Frank jest bardzo z memoriału niezadowolony" i żąda kategorycznie, aby go więcej nie rozpowszechniać. A już szczególnie wśród wojska. Domagano się również, pod groźbą internowania, żeby nie pisał kolejnych memoriałów. Po godzinie Studnicki został zwolniony do domu. Kolejnego dnia wezwano go znowu, ale od Niemców usłyszał to samo. Tyle że w znacznie brutalniejszym tonie.

> Sprawa Studnickiego jest oczywistym dowodem – pisał niemiecki historyk Martin Broszat – że od października 1939 r. kierownictwo narodowosocjalistyczne nie życzyło sobie politycznego rozwiązania kwestii polskiej i że polityka wraz z dyplomacją musiały skapitulować przed „nowym ładem" posługującym się w pierwszym rzędzie środkami policyjnymi.

Sam Studnicki pisał z żalem:

> Polityka okupacyjna Niemiec stoi w sprzeczności z powołaniem do życia Armii Polskiej. Jest bowiem nastawiona na wzmacnianie antagonizmu polsko-niemieckiego, na budowanie obopólnej nienawiści. Otóż tylko poczucie potrzeby wytworzenia Armii Polskiej może zwekslować tę politykę. Lecz polityka Niemiec nie poszła w tym kierunku i idzie wciąż po linii interesu Rosji sowieckiej. Prawdopodobnie to zgubi Niemcy w przyszłości, dziś zaś gubi Polskę.

Czołowy polski germanofil po raz kolejny miał rację. A do „życzliwej rady" Gestapo oczywiście się nie zastosował i dalej zasypywał dostojników III Rzeszy memoriałami. Dalej domagał się wstrzymania represji i dalej przekonywał, że Rzesza we własnym interesie musi porozumieć się z Polską. Władysław Studnicki jeszcze wielokrotnie pojawi się na łamach tej

książki.

Rozdział 8

Radziwiłł strofuje Göringa

„Książę panie, bolszewicy w ogrodzie”. Słowa te, wypowiedziane 20 września 1939 roku przez kamerdynera w pałacu w Ołyce, zapoczątkowały jeden z najciekawszych i najmniej znanych polskich epizodów z lat 1939–1945. Tego dnia funkcjonariusze NKWD aresztowali księcia Janusza Radziwiłła, przywódcę ziemian i konserwatystów II Rzeczypospolitej oraz pretendenta do tronów Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Początkowo Sowieci chcieli „załatwić sprawę od ręki” i w pobliskim młynie parowym urządzili „sąd ludowy nad Radziwiłłami”. Na miejsce spędzono stu okolicznych włościan, którzy mieli wydać wyrok śmierci na „wyzyskiwaczy ludu pracującego”. Ku zdumieniu i wściekłości oprawców zaledwie dwóch chłopów (w dodatku ludzi z marginesu społecznego) poparło wniosek. Reszta zgodnie zeznała, że „od kniaziów Radziwiłłów myśmy nijakiej krzywdy nie zaznali”.

Uratowany w ten sposób książę i członkowie jego rodziny zostali zapakowani do dwóch limuzyn i – pod eskortą uzbrojonych w nagany czekistów – zawiezieni do Równego. Stamtąd przez Kijów Radziwiłł trafił do Moskwy, gdzie osadzono go na Łubiance. Właśnie tam, jak głosi legenda, polski arystokrata miał zostać złamany i zwerbowany przez NKWD na tajnego agenta.

Pisał o tym między innymi nieżyjący profesor Paweł Wieczorkiewicz. Historyk ten powoływał się na „późniejsze relacje wyższych funkcjonariuszy NKWD”. Inni badacze brali księcia w obronę, nikt jednak nigdy nie przeprowadził poważniejszych badań. Zrobił to dopiero Jarosław Durka, autor wydanej niedawno biografii Radziwiłła. Wynika z niej jasno, że książę żadnym agentem sowieckim nie był. Gdyby zaś rzeczywiście dążył do porozumienia z którymś z zaborców, to prędzej z III Rzeszą niż z Sowietami.

Wróćmy jednak na Łubiankę. Przesłuchania, którym poddano księcia, jak na NKWD były prowadzone łagodnie. W przeciwieństwie do innych Polaków nie był bity, pozbawiany snu i przesłuchiwany po kilkadziesiąt godzin bez przerwy. Rozmawiano z nim najwyżej kilka godzin dziennie. Oficerów śledczych interesowała właściwie jedna sprawa: czy gdyby żył Józef Piłsudski, przyjąłby odrzuconą przez Józefa Becka ofertę Hitlera i ruszył z nim na krucjatę przeciwko Sowietom.

Godna postawa i powściągliwość polskiego arystokraty w pokoju przesłuchań zrobiły wrażenie nawet na enkawudzistach. Jeden z funkcjonariuszy wyraził zdziwienie, że książę Janusz na nikogo nie donosi i nikogo nie oskarża. „A co tu wygadują inni Polacy na siebie nawzajem, wot by wam wołosy dubom stali!" – miał powiedzieć w przypływie szczerości sowiecki oficer.

Po „wstępnej obróbce" arystokrata został przyprowadzony przed oblicze samego Ławrientija Berii. „Nie mamy nic przeciwko panu i w zasadzie nie zamierzamy dłużej go tu trzymać" – oświadczył szef NKWD. Najprawdopodobniej było to efektem międzynarodowych starań o uwolnienie księcia. Upominał się bowiem o niego włoski dwór królewski (Radziwiłł był z nim spokrewniony), a także najlepszy wówczas sojusznik Stalina – III Rzesza.

Szczególne zabiegi, prawdopodobnie na zlecenie Hermanna Göringa, z którym Radziwiłł w latach trzydziestych polował na łosie, podjął niemiecki ambasador w Moskwie, Friedrich Werner von der Schulenburg. Nawiasem mówiąc, człowiek przyzwoity, który kilka lat później został stracony za udział w spisku na życie Hitlera. W efekcie warunki w celi Radziwiłła znacznie się poprawiły. Dostał wodę kolońską, karmiono go białugą i jesiotrem.

Właśnie wtedy, przed samym zwolnieniem, nastąpiła próba werbunku. Dokonał jej sam Beria, który po raz drugi spotkał się z polskim arystokratą. Według Jarosława Durki Beria „rozpływał się w uprzejmościach" i zaproponował „utrzymanie kontaktu z korzyścią dla obu stron". Książę miał go informować o sytuacji w części Polski okupowanej przez Niemców: nastrojach społecznych oraz ruchach wojsk.

Radziwiłł, zaskoczony bezczelnością gruzińskiego czekisty, odpowiedział grzecznie i powściągliwie, że „nie sądzi, aby zdobyte przez niego wiadomości miały większą wartość" dla służb specjalnych Związku Sowieckiego. Ale obiecał Berii, że „przy okazji do niego napisze". Obietnicę tę niestety spełnił, co stało się podstawą do wysuwania przeciw niemu oskarżeń.

Książę Janusz został wkrótce wypuszczony z więzienia, a do Brześcia Litewskiego odwiózł go sam naczelnik więzienia na Łubiance, pułkownik Aleksandr Nikołajewicz Mironow. Do Warszawy dotarł między 12 a 14 grudnia. Ponieważ w jego pałacu przy Bielańskiej były powybijane szyby, stanął w Hotelu Europejskim, gdzie większość pokoi zajmowali wyżsi rangą oficerowie Wehrmachtu.

Przyjazd księcia z sowieckiej niewoli – Radziwiłł był w Rzeszy postacią znaną i szanowaną – zrobił na Niemcach duże wrażenie. Szybko nawiązali z nim kontakt i z miejsca rozpoczęli sondażowe rozmowy polityczne. Trudno dzisiaj powiedzieć, z jakiego szczebla chaotycznego aparatu władzy III Rzeszy wyszła ta inicjatywa. Bez wątpienia jednak chodziło o wybadanie,

czy nie byłby gotów stanąć na czele proniemieckiego polskiego rządu. Czyli zrealizowanie z Radziwiłłem w roli głównej tego, co nie wyszło kilka miesięcy wcześniej z Wincentym Witosem.

Podjęcie przez księcia rozmów z Niemcami wywołało w Generalnym Gubernatorstwie wielką sensację, Warszawa huczała od plotek. Echa tych plotek można dziś znaleźć w ówczesnych dokumentach dyplomatycznych szeregu europejskich państw.

W akcję zaangażowany był konserwatysta młodego pokolenia Aleksander Bocheński, kilka lat później „mózg" kolaboracji z Sowietami podjętej przez Bolesława Piaseckiego. Jak wynika z papierów, które po sobie pozostawił, miał on stworzyć zaplecze intelektualne dla proniemieckiego gabinetu utworzonego na bazie koalicji trzech środowisk. Szacownych konserwatystów starej daty – księcia Janusza Radziwiłła, hrabiego Adama Ronikiera – i innych: narodowych radykałów z ONR „Falanga" kierowanych przez wspomnianego Piaseckiego oraz konserwatystów młodego pokolenia skupionych przed wojną wokół pisma „Polityka".

Aby pozyskać to ostatnie środowisko, próbował ściągnąć do okupowanego kraju jego przywódcę Jerzego Giedroycia. Wysłał mu do Bukaresztu – gdzie Giedroyc pracował jako sekretarz polskiej ambasady – następującą kartkę: „Nie bądź głupi, wracaj, robimy rząd". Wezwania tego Giedroyc nie posłuchał. Ale wbrew temu, co mogłoby się wydawać, myślą o ugodzie z Niemcami wcale się nie brzydził, o czym przyjdzie mi jeszcze napisać.

Rozmowy z Januszem Radziwiłłem skończyły się jednak fiaskiem. Według jednej z wersji wydarzeń książę miał z pogardą odpowiedzieć, że „Hachą nie będzie". Według innej uznał on niemiecką propozycję za mało poważną, nie cieszyła się ona bowiem poparciem najwyższych czynników w Berlinie. Sprawa na tyle zaniepokoiła jednak podziemie, że u księcia interweniował wysłannik ZWZ, podpułkownik Klemens Rudnicki.

> Niemcy szukają kogoś, kto zgodziłby się z nimi współpracować jako reprezentant Polaków – pisał Rudnicki. – Chcą stworzyć coś w rodzaju rządu proniemieckiego w kraju. Gdyby mogli przeciwstawić rządowi naszemu w Angers jakiś rząd krajowy, byłoby to niewątpliwie dla nich dużym sukcesem politycznym i mogłoby poważnie wpłynąć na opinię polską na miejscu. Krążą słuchy, że z podobną propozycją spotka się książę Janusz. Chciałem go więc poinformować o bieżącym położeniu podziemia, o naszej bezwzględnie nieprzychylnej opinii pod tym względem. Spotkanie nastąpiło za pośrednictwem Jerzego Czetwertyńskiego, w jednym z domów na placu Dąbrowskiego w Warszawie. Książę, wysłuchawszy mego sprawozdania i opinii, zapewnił, że nie spotkał się jeszcze z żadną konkretną propozycją ze strony niemieckiej. Był jedynie ogólnie badany pod tym względem przez Göringa. Gdyby wysunięto wobec niego podobne sugestie – zamierza je bezwzględnie odrzucić.

W tym miejscu warto zatrzymać się na chwilę i poświęcić kilka słów polskim arystokratom. Oprócz Radziwiłła ofertę współpracy otrzymał między innymi utrzymujący już przed wojną

kontakty z elitami III Rzeszy hrabia Alfred Potocki z Łańcuta. Arystokrata ten w latach trzydziestych polował z Göringiem, na krótko przed wybuchem wojny gościł w swoim pałacu Ribbentropa. Po kampanii 1939 roku starzy znajomi szybko się do niego zgłosili, został nawet zaproszony do Berlina.

Z prowadzonych tam rozmów nic nie wyszło, ale obie strony utrzymały co najmniej poprawne stosunki. Przez całą wojnę w pałacu w Łańcucie stacjonował sztab Wehrmachtu i stosunki oficerów z gospodarzem układały się bardzo dobrze. W 1944 roku, gdy do Łańcuta zaczęła zbliżać się Armia Czerwona, Niemcy oddali do dyspozycji hrabiego pociąg i eskortę pododdziału piechoty. W ten sposób uratował on przed bolszewikami swój majątek: bezcenne meble, dywany i dzieła sztuki.

Oprócz Radziwiłła i Alfreda Potockiego rozmaite oferty od Niemców otrzymali również Zdzisław Lubomirski, Leon Sapieha, Adam Tarnowski i Maurycy Potocki. Podłożem tych kontaktów była wspólnota interesów. Arystokraci zdawali sobie bowiem sprawę, że jeżeli Niemcy przegrają wojnę i na teren Polski wkroczy Armia Czerwona, będzie to koniec ich świata. Jeżeli spełni się ten najczarniejszy scenariusz – stracą wszystko.

Jeżeliby więc musieli wybierać z dwojga złego – wybierali Niemców. Zwolennikiem utworzenia polskiego rządu u boku Niemiec jesienią 1939 roku miał być hrabia Adam Ronikier, który podobno optował za tym rozwiązaniem na zamkniętym spotkaniu u hrabiego Tyszkiewicza. Z kolei hrabia Maurycy Potocki z Jabłonnej zapraszał Niemców na wystawne przyjęcia, w których udział brali również oficerowie tajnej policji. Co ciekawe, był on też jednym z dowódców konspiracyjnej Tajnej Organizacji Wojskowej, a później członkiem AK.

> Powstała sieć kontaktów nieformalnych – pisał niemiecki historyk Michael Foedrowitz. – Niemieccy oficerowie darzyli Polską szlachtę dużą estymą, schlebiając własnej próżności. Pójść na polowanie z prawdziwym księciem – to było to! Niektórzy przedstawiciele polskiej magnaterii znaleźli protektorów w hitlerowskich dygnitarzach, również w marszałku Rzeszy Göringu. Stworzyła się w rezultacie struktura powiązań między katami a bliskimi ich ofiar. Takim pośrednikiem między krewnymi i politycznymi przyjaciółmi więzionych a policją bezpieczeństwa był Maurycy Potocki, który mógł służyć tym pierwszym pomocą dzięki swoim kontaktom z dr. Ernstem Kahem i dr. Ludwigiem Hahnem, dostojnikami warszawskiej SD. Jego „towarzyski urok” pozwolił – w połączeniu z dużymi pieniędzmi – wydostać z Pawiaka wielu Polaków.

Potockiemu przydała się przedwojenna znajomość z Göringiem, z którym często polował. W efekcie w 1939 roku otrzymał od dowódcy Luftwaffe list żelazny: „To mieszkanie stanowi własność mego przyjaciela Maurycego hr. Potockiego. Wstęp dla policji i innych służb porządkowych wzbroniony. Uszanować mój rozkaz. Marszałek Hermann Göring”. Arystokrata wsadził list pod szkło i powiesił na drzwiach pałacu w Jabłonnej. W efekcie ukrywał w nim przez całą okupację broń i „spalonych” ludzi.

Wróćmy jednak do Janusza Radziwiłła. Wstrząśnięty narastającym terrorem niemieckiego okupanta postanowił interweniować u swojego starego znajomego z Berlina. 6 stycznia 1940 roku ruszył w podróż do stolicy III Rzeszy, na spotkanie z Hermannem Göringiem. Niemieckie władze nie ośmieliły się robić trudności ustosunkowanemu polskiemu arystokracie i bez problemu otrzymał od warszawskiego gubernatora Fishera odpowiednie przepustki.

Po przybyciu na miejsce książę Janusz skierował się jednak do… ambasady sowieckiej. Przysłano stamtąd po niego limuzynę i przyjęto go z „niezwykłą atencją". A Radziwiłł wręczył sowieckim dyplomatom kopertę z obiecanym listem do Berii. Co w nim było? Nie wiadomo. Ale właśnie ta wizyta i ta koperta stały się powodem do oskarżeń księcia o rzekomą współpracę z NKWD. Pisali o niej w swoich wspomnieniach słynny czekista Paweł Sudopłatow oraz syn Berii, Sergo.

W rzeczywistości jednak poza tym jednym listem Radziwiłł nie nawiązał żadnych kontaktów z NKWD. Niewykluczone więc, że dokument zawierał tylko zdawkowe pozdrowienia i ogólniki. Radziwiłł mógł go wysłać jako człowiek honoru (dał słowo, że napisze) i polityk (znajomość z Berią mogła się jeszcze przydać). Zresztą dalsze losy księcia zdają się wykluczać możliwość jego pracy dla Sowietów, po wojnie został bowiem uwięziony przez bolszewików w łagrze.

Spotkanie z dowódcą Luftwaffe odbyło się 10 stycznia 1940 roku. Janusz Radziwiłł został przyjęty przez Göringa w jego willi przy Prinz-Leopold-Straße. Rozmowa trwała trzy godziny, a dostojnik III Rzeszy zachowywał się wobec polskiego arystokraty „nie tylko uprzejmie, ale wręcz nadskakująco". Radziwiłł odczytał mu memoriał, którego treść uzgodnił z polskim podziemiem. Zawierał on ostrą krytykę brutalnej polityki okupacyjnej i szereg bulwersujących przykładów niemieckich zbrodni.

Słysząc to, Göring dostał szału. Jak pisał Jarosław Durka, Niemiec „chodził po pokoju, krzyczał i bił pięścią w stół". Oburzył się szczególnie na wieść o podstępnym aresztowaniu i umieszczeniu w obozie profesorów krakowskich. W obecności polskiego księcia kazał się połączyć z Himmlerem i przez telefon udzielił mu ostrej reprymendy. Gdy jednak Radziwiłł poprosił go o pomoc w zorganizowaniu audiencji u Hitlera, Göring powiedział, że nie ma na to najmniejszych szans, bo Führer „w ogóle słuchać nie może o Polakach".

Göring obiecał, że Niemcy zaprzestaną wywózek młodzieży do Rzeszy, i zapowiedział, że surowy kurs władz okupacyjnych wobec Polaków zostanie złagodzony. Jak wiadomo, stało się odwrotnie. Czy Göring kłamał, czy też nie miał większego wpływu na sytuację w Polsce – trudno ocenić. Wiadomo jednak, że interwencja Radziwiłła doprowadziła do wściekłości niemieckich władców okupowanej Polski.

Po powrocie księcia Janusza gubernator warszawski Ludwik Fischer miał mu oświadczyć, że jeżeli jeszcze raz spróbuje pojechać na skargę do Berlina, może trafić do „jednej z tych miejscowości, z których często w ogóle się nie powraca". Radziwiłł nie przejął się jednak tymi groźbami. Jako prawnuk Luizy Hohenzollern podejmował liczne interwencje na rzecz aresztowanych. A niemieckich urzędników strofował znakomitą niemczyzną.

Jednocześnie – w przeciwieństwie do większości polskich polityków, którym podczas II wojny światowej przyszło decydować o losach narodu – zachował trzeźwą ocenę sytuacji politycznej. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że Związek Sowiecki jest śmiertelnym wrogiem Polski. „Ośrodki komunistyczne są energicznie likwidowane przez okupantów, co zdaje się stanowi jedyną dodatnią stronę ich działalności" – pisał w jednym z listów i trudno mu w tym nie przyznać racji.

Kierujący się zdrowym rozsądkiem konserwatywny polityk był przeciwnikiem decyzji o wybuchu Powstania Warszawskiego, polegającą na wspieraniu bolszewików akcję „Burza" uważał za aberrację. Według arystokraty nadzieje Komendy Głównej AK i rządu w Londynie na to, że można osiągnąć kompromis ze Stalinem, były mrzonką. Szkoda, że książę Janusz Radziwiłł nie miał w latach 1939–1944 większego wpływu na sprawy polskie. Być może uniknęlibyśmy wtedy szeregu błędnych decyzji. Decyzji, które kosztowały nas tak dużo, a dały tak niewiele.

Rozdział 9

Studnicki pisze do Hitlera

Nigdy, podczas całej II wojny światowej, żaden Polak nie ośmielił się mówić w ten sposób do Niemców. Żaden Polak nie wywołał również takiego zamieszania i tak zażartych sporów na szczytach machiny władzy III Rzeszy. W sporach tych brał bowiem udział Joachim von Ribbentrop, Joseph Goebbels, Reinhard Heydrich, dwa ministerstwa i Gestapo. A w końcu do całej awantury wciągnięty został Adolf Hitler. Mowa o berlińskiej wizycie Władysława Studnickiego na początku 1940 roku.

Studnicki przyjechał do Berlina z Generalnego Gubernatorstwa 28 stycznia. Zatrzymał się w jednym z najlepszych stołecznych hoteli – Central przy Friedrichstraße. Tam oddano do jego dyspozycji tłumacza i maszynistkę. Wizytę Studnickiego poprzedził artykuł na jego cześć opublikowany w prestiżowym periodyku „Monatshefte für Auswärtige Politik", oficjalnym organie Ministerstwa Spraw Zagranicznych III Rzeszy. Właśnie ten resort sprowadził Polaka do Berlina.

Wśród urzędników Auswärtiges Amt znajdowała się bowiem spora grupa rozsądnych i przyzwoitych ludzi, przerażonych tym, co mordercy z Gestapo wyrabiają w okupowanej Polsce. Uważali, że terror wprowadzony w Generalnym Gubernatorstwie jest nie tylko niemoralny, ale i poważnie szkodzi Niemcom – zamienia bowiem okupowaną Polskę w tykającą bombę. Jedną z czołowych postaci tego stronnictwa był Hans von Moltke.

Według byłego ambasadora w Warszawie i jego stronników rozwiązanie mogło być tylko jedno: natychmiastowa liberalizacja polityki okupacyjnej i powrót do koncepcji odtworzenia państwa polskiego pod skrzydłami Rzeszy. Należy porozumieć się z Polakami, dopóki nie jest za późno. Dopóki nie przelano zbyt wiele krwi. Osobą, z którą powinno się na ten temat rozmawiać – uważali rozsądni dyplomaci – był zaś właśnie Studnicki. Wygląda na to, że udało im się skłonić do rozważenia tej koncepcji samego Joachima von Ribbentropa.

Władysław Studnicki po przybyciu do Berlina nie chciał być jednak tylko narzędziem w rękach niemieckich dyplomatów i potulnie czekać, aż minister raczy się z nim spotkać. Studnicki z charakterystyczną dla siebie odwagą i brawurą przywiózł memoriał, który był jednym wielkim aktem oskarżenia wymierzonym w niemieckie rządy w Polsce. Czytając go dzisiaj, trudno wręcz uwierzyć, że ten siedemdziesięciotrzyletni mężczyzna odważył się na coś

podobnego.

W memoriale wyliczał zbrodnie i niegodziwości dokonywane przez Niemców w Polsce, pisząc o nich wprost jako o „bandytyzmie”. Opisywał ze szczegółami konfiskaty, deportacje, tortury Gestapo, skrytobójcze mordy i masowe rozstrzeliwania zakładników, haniebne deptanie godności Polaków i Żydów. Protestował przeciwko aresztowaniom profesorów. „Generalne Gubernatorstwo to nie jest żaden Lebensraum dla polskiego narodu. Jest to tylko Sterbensraum” – pisał, ostro ganiąc przy tym gestapowców i niemieckich urzędników. Domagał się, żeby Führer się opamiętał i wystąpił z uroczystą pojednawczą deklaracją do Polaków.

Ten oskarżycielski memoriał Studnicki nie tylko przywiózł do jaskini lwa, do samego serca totalitarnej III Rzeszy, ale jeszcze natychmiast po przyjeździe przesłał go Adolfowi Hitlerowi, Hermannowi Göringowi i do sztabu Wehrmachtu. W dołączonych do memoriału listach w tonie nie znoszącym sprzeciwu domagał się udzielenia mu natychmiastowych audiencji.

> Trzy lata temu – pisał do Hitlera – gdy byłem gościem na Parteitagu w Norymberdze, wysłałem Panu moją książkę z następującą dedykacją: „Dla wodza niemieckiego narodu i przyszłego wodza Europy”. Wodzostwo to nie miało polegać jednak na uciskaniu narodów Europy, ale na pokojowym zjednoczeniu Europy w jeden ekonomiczny i polityczny blok. Najpierw Europy Środkowej, a potem reszty kontynentu, oczywiście bez Wielkiej Brytanii i Rosji. W imię idei Centralnej Europy wzywam Pana teraz do zmiany polityki okupacyjnej wobec Polski. Jako dziennikarz i polityk, przez wiele lat, mimo licznych przeciwności, walczyłem o polsko-niemieckie przymierze. Dzięki mojej długiej, pełnej poświęceń pracy dla mojego narodu i dzięki temu, że prowadziłem energiczną walkę przeciwko wojnie z Niemcami, cieszę się obecnie wśród rodaków wielkim zaufaniem. Wszystko to uprawnia mnie do wystąpienia o audiencję. Podczas niej będę mógł osobiście wytłumaczyć panu, dlaczego postępowanie Niemców wobec Polaków musi zostać zwekslowane.

Niestety Studnicki popełnił poważny błąd. Kopię memoriału przeznaczoną dla Goebbelsa, zamiast posłać pocztą, postanowił przekazać osobiście. W Ministerstwie Propagandy przy Wilhelmplatz, przyjęty przez sekretarza ministra, zażądał natychmiastowego spotkania z jego szefem. Gdy ten odesłał go do dyrektora jednego z departamentów, doszło do niebywałego jak na stosunki panujące w III Rzeszy incydentu.

Otóż – jak wynika z niemieckiej notatki sporządzonej na ten temat – zirytowany Studnicki powiedział, że „nie ma zamiaru iść do żadnego Dyrektora Departamentu, ale życzy sobie, by minister przyjął go osobiście”. Następnie zaś z charakterystyczną dla siebie bezpośredniością, jak pisał historyk Jan Weinstein, „albo nieściśle wypowiedział się na temat miejsca pobytu Dyrektora, albo zrobił pod jego adresem sugestię, względnie propozycję, natury intymnej”.

Można tylko wyobrazić sobie osłupienie, w jakie wpadli urzędnicy wpływowego resortu, gdy usłyszeli takie słowa z ust Polaka. Decydujący dla powodzenia misji Studnickiego – a raczej jej niepowodzenia – okazał się jednak sam memoriał. Gdy bowiem Goebbels

przeczytał dokument, niemal spadł z krzesła. Był po prostu przerażony na myśl, że tak kompromitujący Niemców materiał mógłby wypłynąć na Zachód.

„Polski przywódca (Polenführer) Studnicki przysyła mi memoriał o wydarzeniach w Generalnym Gubernatorstwie" – zapisał Goebbels w swoim dzienniku 9 lutego 1940 roku. – „Ze szczegółowymi danymi. W tym momencie mogą one być dla nas bardzo niebezpieczne. Na wszelki wypadek każę go osadzić w areszcie".

Do hotelu Central natychmiast przyjechało czarną limuzyną dwóch gestapowców. Udali się prosto do apartamentu Studnickiego. Doszło przy tym do zabawnego incydentu, gdyż Polak akurat spodziewał się wizyty dwóch nastawionych propolsko niemieckich konserwatystów. Gdy gestapowcy zapukali do jego drzwi, Studnicki otworzył im ze słowami: „Słyszałem, że panowie mają przyjść, bardzo rad jestem".

Funkcjonariusze szybko wyjaśnili pomyłkę i przeszukawszy pokój, skonfiskowali pozostałe egzemplarze memoriału. Następnie „karetką więzienną" dzielny Polak został przetransportowany do aresztu. Tam osadzono go w celi i poddano intensywnym przesłuchaniom. Gestapowcy chcieli wiedzieć, komu przekazał memoriał, ile było kopii, kto mu pomagał go przetłumaczyć i kto odbijał je na powielaczu. Ponieważ Studnicki odmawiał odpowiedzi, przesłuchania ciągnęły się długimi godzinami. Podczas jednej z „sesji" Studnicki doznał zawału serca.

> Badającym mnie powiedziałem – wspominał – znacie moją biografię, z niej możecie wiedzieć, że jestem człowiekiem o silnej woli. Jeżeli wam mówię, że nie dam odpowiedzi na pytania, kto tłumaczył, kto odbijał – to odpowiedzi nie otrzymacie. Łatwiej jest złamać moje zdrowie niż moją wolę. Postawcie sobie pytanie, czy trzymanie mnie w więzieniu, co prawdopodobnie zakończy się moją śmiercią, jest dla Niemiec pożyteczne?

Studnicki przekonywał Niemców, że oskarżanie go o współdziałanie z aliantami zachodnimi to absurd.

> Zwrócenie się z memoriałem do niemieckich naczelnych władz państwowych jest objawem pewnego zaufania do nich, chęci współpracy – mówił gestapowcom. – Nie może być uważane za przestępstwo i pociągać karę. Wobec tego należy mnie niezwłocznie zwolnić. Zwolnienie mojej osoby z więzienia jest dlatego konieczne, że więzienie mnie będzie musiało wywołać radość w prasie francuskiej i angielskiej. Znany jestem bowiem jako zwolennik zbliżenia polsko-niemieckiego. Uwięzienie mojej osoby będzie dowodem, że na jakiekolwiek bądź porozumienie polsko-niemieckie liczyć nie można, że ostatnia nić łącząca te dwa narody została polityką Niemiec wobec Polski zerwana.

Tymczasem działania podjęli protektorzy Studnickiego z Auswärtiges Amt. Byli całkowicie zaskoczeni – i wściekli – z powodu aresztowania polskiego germanofila. Joachim von Ribbentrop, zirytowany tym, że ktoś ośmielił się mieszać do spraw jego resortu, domagał się

od Gestapo i Ministerstwa Propagandy wyjaśnień, „na jakiej podstawie aresztowano profesora”.

Resort Goebbelsa odpowiedział, że Polak trafił za kraty z powodu „obawy, że mógłby rozpowszechniać dalej swój znany memoriał. A także dlatego, że Studnicki zażądał w niesłychanej formie przyjęcia go przez ministra Rzeszy”. Jak zapisał w swoim dzienniku Goebbels, Studnickiego należało „odpowiednio załatwić”. „Właśnie jako przyjaciel Niemiec jest dzisiaj zbyt niebezpieczny” – pisał w dzienniku.

Tymczasem sprawa wywoływała coraz ostrzejsze tarcia między Ministerstwem Propagandy a Ministerstwem Spraw Zagranicznych, które domagało się natychmiastowego zwolnienia Polaka. Wreszcie do sporu włączył się sam szef Policji Bezpieczeństwa i SD, owiany ponurą sławą Reinhard Heydrich. Co zaskakujące, jeden z największych zbrodniarzy III Rzeszy po zbadaniu sprawy przyznał rację Ribbentropowi i wstawił się za Studnickim.

> Zachowanie się Studnickiego w stosunku do Ministra Rzeszy, dr. Goebbelsa i do Ministerstwa Propagandy wytłumaczyć się daje w pierwszej linii jego śmieszną idée fixe – pisał Heydrich. – Wierzy on, że będzie w przyszłości odgrywał jeszcze wielką rolę polityczną, i z tego powodu, bardzo często, również w stosunku do najwyższych osobistości, przyjmuje ton krańcowego „ważniactwa”. Trzeba do tego dodać, że Studnicki posiada bardzo niedokładną znajomość języka niemieckiego i z tego powodu używa często zwrotów, z których implikacji zupełnie nie zdaje sobie sprawy.

Goebbels nie miał wyboru i musiał ustąpić. 17 lutego zgodził się na zwolnienie Studnickiego i przeniesienie go z więzienia Gestapo do kliniki uniwersyteckiej Charité w Berlinie. Jednocześnie jednak szef niemieckiej propagandy nie dał za wygraną i postanowił zwrócić się ze skargą do ostatecznej instancji – czyli do Führera.

Do spotkania obu panów doszło 20 lutego. Hitler był już po lekturze listu i memoriału polskiego germanofila. Ponieważ on również opowiadał się przeciwko złagodzeniu kursu wobec Polaków, szefowi propagandy nie było trudno przekonać go do swojego punktu widzenia. „Zreferowałem Führerowi sprawę Studnickiego” – zapisał w dzienniku. – „Doszliśmy do wniosku, że przedstawię mu otwarcie moją opinię, po czym nakażę umieścić w sanatorium”.

Stało się zgodnie z wolą Hitlera. Goebbels dwa dni później zadzwonił do Studnickiego i zapytał, jak się czuje. Gdy usłyszał, że dobrze, zaprosił go na spotkanie. „22 lutego przyjechał do mnie oficer z Gestapo i zawiózł do Ministerstwa Propagandy” – wspominał polski germanofil. – „Wprowadzono mnie do reprezentacyjnej sali, niebawem przyszło tam trzech przedstawicieli ministerstwa. Jednym z nich był sam Goebbels. Posadzono mnie na kanapie. Przedstawiciele ministerstwa zajęli miejsca na fotelach”.

Goebbels długo rozwodził się na temat polskich zbrodni na Niemcach dokonanych w 1939

roku i innych „przewinach” Polaków wobec Rzeszy. Gdy skończył, Studnicki ostro zaprotestował, mówiąc zdumionemu Goebbelsowi wprost, że opowiada „bujdy”. Jeszcze raz powtórzył, że obowiązkiem Niemiec w obliczu nadchodzącego konfliktu ze Związkiem Sowieckim jest porozumienie z Polską.

Gdy Goebbels oświadczył, że Studnicki zostanie internowany i może sobie wybrać dowolne niemieckie sanatorium, zirytowany germanofil uciął rozmowę: „Powtarzam, chcę powrotu do kraju, nie znam niemieckich sanatoriów i nie mam panu nic więcej do powiedzenia”.

Tydzień później Studnicki wylądował w poczdamskim sanatorium Neubabelsberg, w którym przed wojną kurowały się wybitne osobistości niemieckiej sceny politycznej i nauki oraz generałowie Wehrmachtu. W 1939 roku zamieniono je jednak w miejsce internowania honorowych więźniów Gestapo. Przebywał tam między innymi były premier Francji Édouard Herriot.

W ten sposób berlińska misja polskiego germanofila, mimo poparcia prącego do kompromisu z Polską stronnictwa w Auswärtiges Amt, zakończyła się niepowodzeniem.

Wyjazd Władysława Studnickiego do Berlina odbił się szerokim echem w Niemczech, okupowanej Polsce, a nawet na Zachodzie. Dzienniki całej Europy przedrukowały poświęcone Studnickiemu artykuły prasy berlińskiej. Spore zainteresowanie jego misją wykazywało również polskie podziemie. W stolicy Rzeszy śledzili go polscy agenci i o wszystkim na bieżąco informowany był polski rząd we Francji.

Co ważne, w znanych podziemnych materiałach nie ma śladu, aby ktokolwiek miał do Studnickiego pretensję za jego wyjazd do Berlina. Przeciwnie, podkreślano, że jego memoriał w sprawie terroru okupacyjnego „zawierał wszystkie oskarżenia przeciw rządom Franka” oraz „dużo ciekawego materiału”. Doceniano patriotyzm i osobistą odwagę, którymi wykazał się polski germanofil, udając się do jaskini lwa, aby bronić swojego narodu.

„Spodziewamy się, że profesor Studnicki za swój akt odwagi zostanie rozstrzelany” – napisano w opracowaniu dla brytyjskiej prasy przygotowanym przez polskie władze na wychodźstwie. W efekcie cała wyprawa przyniosła nawet germanofilowi pewien rozgłos. Na temat jego misji długo jeszcze krążyły rozmaite plotki i pogłoski. Mówiono, że za karę za „niezapowiedzianą wizytę” w stolicy Rzeszy Niemcy wysłali go do obozu.

Według innej pogłoski niewiele zabrakło, aby Studnicki powrócił triumfalnie do Warszawy, namaszczony przez Berlin na szefa proniemieckiego rządu Polski. Samemu Studnickiemu najbardziej podobała się jednak plotka, że jakoby został przyjęty przez Führera i – jak relacjonował – „tak ostro napadłem na jego politykę, że Hitler dostał ataku serca, a jego adiutant zastrzelił mnie na miejscu”.

Miał rację Stanisław Cat-Mackiewicz, gdy nazwał Władysława Studnickiego polskim świeckim świętym. I że ludzie, którzy na niego pluli, niegodni byli rozwiązać rzemyka u jego sandałów. Gdy ktoś pyta mnie: Dmowski czy Piłsudski?, odpowiadam – Studnicki. Wielki zapomniany polskiej historii.

Rozdział 10

Rozmowa w Libourne

Francuska armia cofa się na całej długości frontu, jej plutony, kompanie, bataliony, pułki, brygady, dywizje i armie rozłażą się po winiarniach i przydrożnych bistrach, nie podejmując walki z nacierającymi Niemcami. Wehrmacht od dwóch dni okupuje Paryż. Jest 16 czerwca 1940 roku i dla wszystkich – oczywiście z wyjątkiem polskiego premiera Władysława Sikorskiego – jest jasne, że to koniec Francji.

Najpotężniejsza armia lądowa Europy, armia, która wygrała I wojnę światową, w kilka tygodni zostaje rozbita w pył. Niemcy triumfują, a patriotycznie nastawieni Francuzi pogrążają się w rozpaczy. Rozpaczają również Polacy, wszystkie swoje nadzieje opierający dotąd na „potędze" ukochanej francuskiej sojuszniczki, która w szybkim marszu miała zdobyć Berlin, a następnie wyzwolić Polskę.

Teraz stało się jasne, że ten hurraoptymistyczny scenariusz nie ma najmniejszych szans na realizację. W efekcie dla Polaków upadek Francji był szokiem nie mniejszym niż klęska ich własnej ojczyzny w roku 1939. Stanęło wówczas przed nimi pytanie: Co dalej? Dziś podjęty wówczas wybór, czyli ewakuacja wojska oraz władz państwowych na Wyspy Brytyjskie i kontynuowanie walki z III Rzeszą jedynie w oparciu o Anglię, wydaje się nam oczywisty. Wówczas jednak wcale takie oczywiste to nie było. Pojawiła się bowiem również inna koncepcja.

Tego dnia dostojny prezydent Rzeczypospolitej Władysław Raczkiewicz przebywał w siedzibie podprefektury miasta Libourne w zachodniej Francji. Około 9 rano stawił się u niego członek Rady Narodowej – czyli polskiego parlamentu na wychodźstwie – konserwatywny polityk i były redaktor naczelny wileńskiego „Słowa" Stanisław Cat-Mackiewicz. Choć rozmowa odbyła się w cztery oczy, wiemy doskonale, co Mackiewicz powiedział prezydentowi: „Polska musi wyjść z tej wojny!".

Akurat tego dnia do dymisji podał się gabinet premiera Paula Reynauda i władzę we Francji przejął marszałek Philippe Pétain. Jego celem było jak najszybsze zawarcie pokoju z Niemcami. Cat-Mackiewicz w dramatycznej rozmowie w Libourne próbował namówić prezydenta, aby zamiast uciekać do Wielkiej Brytanii, pozostał na kontynencie, razem z Francuzami zasiadł do stołu rozmów i razem z nimi kapitulował.

Co ciekawe, nie był to wcale – jak by się dziś mogło wydawać – pomysł oderwany od realiów. Francuski rząd przekazał bowiem Polakom sugestię, że może ułatwić im takie rozwiązanie, pośrednicząc w rozmowach z Niemcami. Polska zostałaby po prostu włączona przez nich do negocjacji kapitulacyjnych. Traktat pokojowy zawarty zostałby nie tylko przez Niemcy i Francję, ale i przez Polskę.

Co kierowało Catem, gdy złożył tę propozycję prezydentowi? Oczywiście polityczny realizm. Po upadku Francji jasne było, że wojna nie skończy się tak szybko, jak to sobie wyobrażano w polskich kręgach władzy. Że Niemcy nie zostaną prędko przepędzeni z Polski, że światowy konflikt będzie trwał jeszcze wiele lat. Każdy kolejny dzień wojny między Polską a III Rzeszą oznaczał zaś kolejne setki zamęczonych przez okupanta Polaków.

Zawarcie pokoju z Niemcami – dowodził Cat-Mackiewicz – automatycznie położyłoby kres niemieckiej polityce prześladowań Polaków. Niestety prezydent Raczkiewicz, znajdujący się pod silnym wpływem generała Sikorskiego, odrzucił tę możliwość. Wybrał „drogę honorową", czyli pospieszną ucieczkę do Wielkiej Brytanii. Jakie były tego konsekwencje dla Polaków pozostawionych w kraju – dobrze wiemy.

Oczywiście powstaje pytanie, czy Niemcy chcieliby obok kapitulacji Francji przyjąć również kapitulację Polski. Odpowiedzi rzecz jasna nie znamy, ponieważ taka próba nie została podjęta. Wydaje się jednak, że gdyby w sprawę zaangażował się cieszący się olbrzymim autorytetem prezydent Raczkiewicz i uzyskał do tego wsparcie marszałka Pétaina, akcja ta miałaby wszelkie widoki na powodzenie.

Należy przy tym podkreślić, że Cat-Mackiewicz w czerwcu 1940 roku ze swoimi poglądami nie był wcale osamotniony. Wiele wskazuje na to, że do poparcia takiego rozwiązania skłaniał się także Tadeusz Bielecki, przewodniczący Stronnictwa Narodowego. Polityk ten – znany z trzeźwego, chłodnego myślenia politycznego – także starał się skłonić prezydenta Raczkiewicza do rozważenia wariantu kapitulacji.

Tymczasem wieść o inicjatywie Cata rozeszła się szerokim echem wśród polskich kół rządowych. Co więksi „bohaterowie" i „niezłomni", którzy już przebierali nogami, żeby jak najszybciej dać dyla do Londynu, ciskali na wileńskiego konserwatystę gromy. Oskarżano go, a jakże, o tchórzostwo i defetyzm. A nawet o brak patriotyzmu. Kto był wówczas większym patriotą – pozostawiam ocenie czytelników. Chcący ratować rodaków przed rzezią Cat czy nasi „gabinetowi bohaterowie" wojujący z Niemcami zza bezpiecznego kanału La Manche.

Tak czy inaczej, dwa dni później na wniosek ministra Stanisława Kota Rada Narodowa oficjalnie potępiła podobne koncepcje i zapowiedziała „prowadzenie wojny do zwycięskiego końca".

Stanisław Cat-Mackiewicz zresztą zupełnie nie krył się ze swoimi poglądami. Planowaną ucieczkę premiera i prezydenta do Londynu otwarcie nazywał ponownym wejściem na szosę zaleszczycką. „Mam prawo do przemawiania w imieniu interesu publicznego" – mówił ministrom Sikorskiego – „bo gdyby w przeszłości słuchano moich rad, siedzielibyśmy nie w Libourne, ale we Władywostoku". Była to jasna aluzja do zaprzepaszczonej przez Becka szansy na wspólny z Niemcami podbój Związku Sowieckiego.

Mimo fali krytyki i świętego oburzenia, które wówczas wywołał, Stanisław Mackiewicz do końca życia uważał, że w Libourne to on miał rację. „Gdyby czas się zawrócił do tej chwili i tego dnia" – pisał w wydanych w 1958 roku *Zielonych oczach* – „tak samo poszedłbym do Raczkiewicza i powiedziałbym to samo. Rozmowa w Libourne [odbyła się], kiedy można jeszcze było coś zrobić".

Podobno były redaktor wileńskiego „Słowa" próbował jeszcze na przełomie lipca i sierpnia 1940 roku za pośrednictwem rządu Pétaina dostarczyć pojednawczy memoriał niemieckiemu ambasadorowi we Francji Ottonowi Abetzowi. Choć biograf Cata Jerzy Jaruzelski uznał tę informację za plotkę, znając Mackiewicza – nigdy nie wiadomo. Szczególnie że niedługo po tym sympatyczny „wileński Żubr" wziął udział w kolejnej, tym razem znacznie poważniejszej, proniemieckiej rozgrywce.

Rozdział 11

Memoriał lizboński

W 2003 roku w paryskich „Zeszytach Historycznych” badacz dziejów najnowszych Bernard Wiaderny opublikował artykuł *Niechciana kolaboracja. Polscy politycy i nazistowskie Niemcy w lipcu 1940 r*. Opisał w nim próbę porozumienia z III Rzeszą, jaką podjęła grupa znanych Polaków. Tekst ten wywołał burzę. Wściekłe napaści na autora przeplatały się z zapewnieniami rodzin zamieszanych w sprawę polityków, że ich szacowni przodkowie na pewno nie mieli z takim paskudztwem nic wspólnego.

Historię tę starano się bagatelizować, oczywiście w imię dogmatu o Polsce jako jedynym państwie Europy bez Quislinga. Muszę przyznać, że „debacie” tej przyglądałem się z dość sporym zdziwieniem. Opisanej przez Wiadernego inicjatywy nie ma się bowiem co wstydzić. Wprost przeciwnie, możemy być z niej – i z zaangażowanych w nią ludzi – dumni. Jest bowiem dowodem na to, że podczas wojny nie wszystkich Polaków opuścił zdrowy rozsądek.

W tym momencie na pierwszy plan wysuwa się z cienia jeden z najbardziej niedocenionych Polaków działających podczas II wojny światowej. To podpułkownik Jan Kowalewski, as polskiego wywiadu, szef siatki Oddziału II w Lizbonie.

Już jesienią 1939 roku nawiązał on kontakty z Niemcami, a konkretnie z ambasadorem Rzeszy w Bukareszcie, Wilhelmem Fabriciusem. Te wstępne rozmowy miały na celu wzajemne wysondowanie stanowisk. Rok później, podobnie jak Mackiewicz, podpułkownik doszedł do wniosku, że po upadku najsilniejszego sojusznika Rzeczypospolitej, jakim była Francja, kontynuowanie wojny z Niemcami jest dla narodu polskiego zbyt kosztowne.

Kowalewski skupił wokół siebie grupę innych, myślących w podobny sposób Polaków, czego efektem było sensacyjne, napisane po francusku memorandum skierowane w lipcu 1940 roku do rządu w Berlinie. Znalazła się w nim propozycja zawarcia kompromisu między Polską a Niemcami i powołania *centre d’études* (biura studiów) w oparciu o polskich polityków, którzy nie zgadzali się z probrytyjską polityką rządu na wychodźstwie.

O kogo chodziło? Pod dokumentem tym znalazły się nazwiska szeregu znanych przeciwników Sikorskiego. A więc znanych nam już z poprzedniego rozdziału Stanisława Mackiewicza i Tadeusza Bieleckiego. A także wybitnego piłsudczyka Ignacego Matuszewskiego, przedstawiciela ziemiaństwa Emeryka Hutten-Czapskiego czy ekonomisty, narodowca i byłego

ministra Jerzego Zdziechowskiego. Poparcie dla inicjatywy wyraził również Jan Szembek, przed wojną zastępca Józefa Becka, który akurat znalazł się w Portugalii.

W memoriale napisano, że po klęsce Francji musi nastąpić „odbudowa Europy" zgodnie z wymogami nowej sytuacji geopolitycznej. I w tej nowej Europie nie może zabraknąć miejsca dla państwa polskiego. Utrzymanie przejściowego prowizorium, jakim była okupacja i Generalne Gubernatorstwo, skazywało Polskę na dalszą ruinę gospodarczą i szerzenie się na jej terenie wpływów bolszewickich. To zaś nie mogło oczywiście leżeć ani w interesie Niemców, ani w interesie Polaków.

Ludzie, których nazwiska znalazły się pod memorandum, gotowi byli udać się do Włoch, żeby stamtąd rozpocząć akcję polityczną. Nastawiony przyjaźnie wobec Polski reżim Mussoliniego gotów był zaś patronować całej imprezie. Jak wskazywał historyk Krzysztof Strzałka, odbudowa państwa polskiego i wprowadzenie go do sojuszu państw osi znajdowało się bowiem „wśród istotnych celów" włoskiej polityki zagranicznej.

Proponowany przez Kowalewskiego i jego politycznych przyjaciół kompromis między Polakami a Niemcami miałby oczywiście podłoże antysowieckie. Autorzy memoriału nie ukrywali, że w zamian za ustępstwa terytorialne na rzecz Niemiec na Zachodzie oczekiwaliby, aby Rzesza powiększyła granice przyszłej Polski na wschodzie. Tak kilka miesięcy później o całej sprawie pisał Kowalewski:

> Powiew zwrotu [w kwestii Polski] dał się odczuć po zwycięstwie nad Francją, kiedy Niemcy i Włochy liczyły na szybkie zakończenie działań na Zachodzie przez rozbicie Anglii. Toteż w tym okresie stale słyszeliśmy ze strony włoskiej, że po doprowadzeniu do pokoju z Anglią państwa Osi automatycznie odwracają front na wschód i idą na zlikwidowanie ZSSR, bez którego żaden pokój w Europie nie będzie utrwalony. Na tym tle Włosi widzieli możliwość postawienia jako ewentualnej sprawy odbudowy nowego Państwa Polskiego, którego tereny byłyby uzupełnione na Wschodzie, przesuwając w ten sposób Polskę o kilka stopni geograficznych na wschód.

Bernard Wiaderny nie miał wątpliwości, że pod określeniem „biuro studiów" kryła się propozycja stworzenia „kolaboracyjnego rządu". A biorąc pod uwagę pozycję osób, które zaangażowały się w tę inicjatywę, była to według niego „najważniejsza próba kolaboracji z III Rzeszą". Z tym ostatnim – jak przekonają się państwo, czytając dalej tę książkę – Wiaderny nieco przesadził. Ale sprawa rzeczywiście miała spory ciężar gatunkowy.

Obecne robienie z tych ludzi jakichś renegatów czy hitlerofili to oczywiście objaw skrajnej głupoty. Do podjęcia akcji nie skłoniła ich sympatia do Niemiec ani też – broń Boże – panującego w tym kraju systemu. Skłonił ich do tego polski patriotyzm i troska o życie rodaków. Jan Szembek w rozmowie na temat memorandum, którą odbył z włoskim posłem w Lizbonie, Renato Bovą Scoppą, mówił otwarcie, że w całej sprawie chodzi

o powstrzymanie bezwzględnej polityki wyniszczenia przedstawicieli polskich elit.

> Byłoby dobrą rzeczą dla Polski – przekonywał Szembek – gdyby udało się w tej sytuacji znaleźć jakieś modus vivendi z Niemcami. Pewna forma państwa polskiego, nawet w ograniczonych ramach terytorialnych i prawnych (protektorat), mogłaby z pewnością powstać. Ponieważ jednak polski rząd emigracyjny nigdy nie zgodziłby się na wszczęcie negocjacji pokojowych z rządem niemieckim, Berlin mógłby dojść do porozumienia z niektórymi przedstawicielami polskimi, którzy znajdują się jeszcze w Polsce, na przykład z księciem Januszem Radziwiłłem, lub z innymi przebywającymi zagranicą, aby nawet wynegocjować układ pokojowy. Wielu znanych Polaków myśli podobnie jak ja.

Memorandum, noszące datę 24 lipca 1940 roku, zostało przekazane Niemcom właśnie za pośrednictwem Scoppy. To on wręczył je swojemu niemieckiemu odpowiednikowi, baronowi Oswaldowi von Hoyningen-Huene. Ten zaś niezwłocznie o całej sprawie poinformował Ministerstwo Spraw Zagranicznych w Berlinie. Piłka była teraz po stronie III Rzeszy. I niestety, wbrew własnemu interesowi, III Rzesza sprawę ucięła.

Zachłyśnięci wielkim sukcesem, jakim było rozbicie Francji, Niemcy o porozumieniu z grupą polskich polityków nie chcieli słyszeć. W niemieckim resorcie dyplomacji stwierdzono jedynie, że ludzie ci „chcą opuścić obóz Sikorskiego i związać się z nami”, i poproszono o wydanie opinii Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy. Był to pomysł groteskowy. Odpowiedź skrajnie nieprzychylnej Polsce instytucji była bowiem oczywiście negatywna.

Sprawę przeciął ostatecznie Ribbentrop, wydając dyplomatom polecenie, aby wszelkie „polskie próby zbliżenia” pozostawić bez odpowiedzi. A w samym Generalnym Gubernatorstwie po upadku Francji zamiast spodziewanej liberalizacji polityki okupacyjnej doszło do jej drastycznego zaostrzenia. Niemcy poczuli się panami Europy, co utwierdziło ich tylko w przekonaniu, że Polacy nie są im do niczego potrzebni.

To właśnie wówczas z oficjalnej nazwy Generalgouvernement für die besetzten polnischen Gebiete (Generalne Gubernatorstwo dla okupowanych ziem polskich) usunięto określenie „dla okupowanych ziem polskich”. Polska stała się teraz „krajem peryferyjnym Rzeszy” (Nebenland), czyli rezerwuarem siły roboczej dla Niemiec. Zamknięte zostały ostatnie działające na terenie Gubernatorstwa przedstawicielstwa dyplomatyczne i handlowe państw neutralnych.

Późną wiosną i latem 1940 roku niemieckie władze bezpieczeństwa przeprowadziły zakrojoną na szeroką skalę akcję pacyfikacyjną o kryptonimie AB. W jej ramach w masowych egzekucjach – między innymi w podwarszawskich Palmirach – zamordowano około 6,5 tysiąca przedstawicieli polskich elit. W czerwcu pierwszy transport polskich więźniów wyruszył zaś do nowo utworzonego obozu w Auschwitz. Rozpoczęła się eksterminacja.

Niemcy spalili za sobą w Polsce wszystkie mosty. Po tych wszystkich bestialstwach możliwość dokonania przez Polaków proniemieckiego zwrotu zmalała niemal do zera.

> Niewątpliwie w czasie wojny między Polską a Niemcami istniały pewne styczności interesów politycznych – pisał historyk Jan Stanisław Ciechanowski. – Mogły one być jednak realizowane wyłącznie przy wczesnym i diametralnym przeorientowaniu zbrodniczej niemieckiej polityki wobec Polski i jej obywateli. Bez spełnienia tych dwóch warunków porozumienie było niemożliwe. Bardzo szybko było na nie za późno.

Jak całą sprawę odbierano w polskim Londynie? Rząd Sikorskiego potraktował inicjatywę Kowalewskiego jako poważne zagrożenie i konkurencję. Jak wynika z dokumentów, wywoływała ona nerwowość Sikorskiego i jego współpracowników.

> We Francji pozostali samowolnie niektórzy starsi wojskowi oraz pewne osobistości polityczne – napisano w jednej z depesz do kierującego Związkiem Walki Zbrojnej generała Grota-Roweckiego – które jakoby zamierzają w oparciu o Włochy szukać nowej orientacji politycznej. Zasadnicza wytyczna rządu w tej sprawie może być tylko jedna: o żadnym porozumieniu z Niemcami nie może być mowy. Wszelkie próby tworzenia rządów czy oddziałów wojskowych polskich pod egidą Niemiec, chociażby pod hasłem walki z innym okupantem, są przez rząd bezwzględnie potępiane. Gdyby powstały – zwalczajcie je wszelkimi dostępnymi środkami.

Kraj zareagował błyskawicznie. Już pod koniec lipca 1940 roku konspiracyjna Delegatura Rządu wydała odezwę „Nakazy chwili”, w której stwierdzono, że „jakiekolwiek kombinacje polityczne mające za punkt wyjścia współpracę z okupantami, a w pierwszym rzędzie zgoda na zorganizowanie fikcji «państwa polskiego» pod protektoratem Niemiec, byłyby sprzeczne z honorem narodu, a z punktu widzenia niepodległościowego niecelowe i szkodliwe”.

Ocena ta była błędna. Powołanie takiego państwa byłoby dla Polaków jak najbardziej celowe i pożyteczne. Trudno doprawdy zrozumieć, co Polska zyskała na tym, że jej obywatele byli przez kolejne pięć lat masowo wyrzynani przez Niemców. Dziś, patrząc z perspektywy blisko siedemdziesięciu pięciu lat, oczywiste jest, że źle się stało, iż Polakom w 1940 roku nie udało się osiągnąć kompromisu z Niemcami.

Rachuby, którymi kierowali się nasi przywódcy, okazały się błędne. Mimo że Polacy nie poszli na ugodę z okupantem, dochowali wierności Londynowi i walczyli dzielnie „na wszystkich frontach” od pierwszego do ostatniego dnia wojny, nie dało to nam zupełnie nic. Nasi sojusznicy i tak nas zdradzili i wydali na pastwę Stalina. Zamiast rzucać się na stos, należało więc robić to, co w polityce robić należy przede wszystkim – myśleć o sobie.

Rozdział 12

Kowalewski musi odejść

Jak potoczyły się losy podpułkownika Kowalewskiego? Prowadząc w Lizbonie swoją skomplikowaną polityczną grę, wciąż utrzymywał kontakty z dyplomatami zaprzyjaźnionych z Polską państw osi, a więc z Węgrami, Włochami i Japończykami. A nieformalnie również z przedstawicielami III Rzeszy. Między innymi z generałem Freiherrem von Falkenhaynem, który prowadził akcję mającą doprowadzić do zjednoczenia całej Europy – w tym Polski – przeciwko bolszewizmowi.

Według niemieckiego historyka Michaela Foedrowitza inicjatorem polsko-niemieckich rozmów w Lizbonie był sam szef Abwehry, Wilhelm Canaris. Zresztą w rozmowach tych brał udział. Admirał podobno przybył do portugalskiej stolicy incognito, z paszportem na inne nazwisko, specjalnie po to, żeby nawiązać kontakt z Polakami. Obaj oficerowie wywiadu, Polak i Niemiec, mimo stanu wojny panującego między ich państwami, zapewne znaleźli wspólny język.

Canaris rozumiał bowiem znakomicie, że Hitler pcha Niemcy w przepaść. A Kowalewski zdawał sobie sprawę, że klęska Niemiec pociągnie za sobą klęskę Polski.

W rozmowy z szefem Abwehry zamieszana była również tajemnicza polska organizacja wywiadowcza „Muszkieterowie". Jej kurierka, hrabina Klementyna Mańkowska, podczas jednego z kursów do Paryża dostała rozkaz nawiązania kontaktu z oficerem Abwehry, Udo Wilhelmem von Boninem. Udzielił on jej niezbędnych informacji i instrukcji. Gdy już po wojnie zobaczyła w gazecie zdjęcie Canarisa, zorientowała się, że w rzeczywistości rozmawiała wówczas z admirałem.

Kontakty między Abwehrą a Polakami to temat niezwykle drażliwy, a zarazem nie rozpoznany, czekający na swojego historyka. Poprzestańmy więc na tych kilku zdaniach i wróćmy do Jana Kowalewskiego i jego lizbońskich kombinacji. Po raz kolejny Niemcy zgłosili się do niego w przededniu ataku na imperium Stalina. Jak wynika z zapisków polskiego oficera, rozmówcy z Berlina uprzedzili go na początku czerwca 1941 roku, że atak na Związek Sowiecki nastąpi rychło i całkowicie zmieni sytuację w trójkącie Niemcy–Polacy–Sowieci.

Polska będzie odtworzona jako państwo w ramach nowej Europy – przekonywali. – Naród polski będzie bezwzględnie potrzebny, ponieważ po cofającej się Armii Czerwonej pozostała pustynia, która musi być obsadzona ludźmi. Niemcy nie są w stanie tego sami objąć i Polacy tam mogą znaleźć swoje wielkie zadania. Trzeba jednak, aby Polacy zaczęli stawiać i na drugą kartę, niemiecką, a nie tylko na londyńską.

Z raportów Kowalewskiego wynika, że w dużej mierze podzielał on niemiecką ocenę sytuacji i opowiadał się za próbą zbudowania alternatywnego ośrodka władzy wobec będącego narzędziem w rękach Brytyjczyków rządu Sikorskiego. Rozumiał jednak, że przeciwko takiemu rozwiązaniu jest Hitler, od którego w Niemczech zależało wszystko.

Napaść na Polskę i jej podział z Rosją mści się dzisiaj ofiarą krwi milionów Niemców. Niemcy to czują i rozumieją, podobnie jak Hitler – raportował Kowalewski na temat swoich rozmów z przedstawicielami Berlina. – To tłumaczy u niego „personalny stosunek" do sprawy polskiej. Niemcy z bliskiego otoczenia Hitlera mówią, że to dlatego, że Hitler stawiał na Polskę, że się na niej zawiódł, a epigoni Piłsudskiego, którego szanował, zbłaźnili się i zdradzili go.

Kiedy on naprawdę chciał ugody z Polską, ta poszła po pomoc do Anglii. Po katastrofie, zamiast polityki realnej ugody, Polska zafundowała sobie rząd emigracyjny i uniemożliwiła wszelkie porozumienie. Hitler nie przebacza, kiedy mu się czyni zawód, i odpowiedzialność spada na całe społeczeństwo. Za błędy rządów – karze cały naród. Hitler nie dopuszcza do rozmowy o Polsce. Aluzja do tego tematu budzi w nim reakcje gwałtowne.

To chyba najbardziej trafna analiza stosunku Hitlera do Polaków podczas II wojny światowej, a jednocześnie wytłumaczenie, dlaczego to właśnie w Polsce Niemcy nie podjęli współpracy politycznej z podbitym narodem. Wynikało to z urażonych ambicji Hitlera. Jak widać, od miłości do nienawiści rzeczywiście jest tylko krok. Niestety w ślad za wodzem antypolskie fobie przyjmowała „czerń partyjna" odpowiedzialna za kształtowanie polityki okupacyjnej.

Zwolennicy porozumienia z pokonanym sąsiadem – jak raportował Kowalewski – mieli znajdować się w korpusie oficerskim Wehrmachtu i w niemieckim MSZ. W tym kontekście podpułkownik wymieniał oczywiście Hansa von Moltkego i jego przyjaciół. „Sądzą oni, że należałoby znaleźć silnych i ofiarnych Polaków, którzy zdecydowaliby się na współpracę" – pisał podpułkownik.

Podczas sondażowych rozmów z Kowalewskim padały sugestie wręcz niebywałe. Otóż, biorąc pod uwagę oparty na osobistych kontaktach styl uprawiania polityki przez Führera, niemieccy rozmówcy zaproponowali, żeby jakiś prominentny przedstawiciel rządu polskiego dokonał spektakularnego gestu i przyjechał do Europy na rozmowy z Hitlerem! Padły nawet konkretne nazwiska: minister Stanisław Kot i generał Kazimierz Sosnkowski.

Hitler miał podobno bardzo liczyć na to, że wreszcie dojdzie do takiej polskiej wizyty, a represje i prześladowania Polaków na terytoriach okupowanych miały… ją przyspieszyć. Führer, według niemieckich rozmówców Kowalewskiego, miał bowiem wyznawać zasadę:

„męczę twoich, abyś skruszał”. Podobne pomysły – czyli berlińskie spotkanie Sosnkowski–Hitler – choć malownicze i działające na wyobraźnię, można jednak oczywiście zakwalifikować do dziedziny science fiction.

„Chodzi o to” – pisał Kowalewski 13 czerwca 1941 roku – „aby to od Polaków wyszła inicjatywa. Wtedy będą zaproszeni i wtedy Hitler z właściwą sobie szerokością gestu potrafi radykalnie postawić całość sprawy polskiej. Za tę jedną cenę pójścia do Canossy przez Polaków”. Ten jeden cytat w pełni obnaża głupotę Niemców. Jeżeli bowiem ktoś powinien wówczas iść do Canossy, to oczywiście Niemcy, którzy rozlali w Polsce morze krwi. Poza tym to silniejszy, a nie słabszy powinien wyciągnąć rękę do zgody.

Kolejne „podejście pod Kowalewskiego” Niemcy zrobili w lutym 1942 roku. Zrobili to tym razem za pośrednictwem posła węgierskiego Andreasa Wodianera von Maglóda. Raport na temat spotkania obu panów znalazł w archiwach i ujawnił historyk Bernard Wiaderny. Węgier podczas rozmowy odwoływał się do niechęci części polskich emigrantów do prosowieckiego kursu polityki rządu Sikorskiego. I sondował Kowalewskiego, czy byłaby możliwość zbliżenia między tym środowiskiem a rządem niemieckim. Zbliżenia, które doprowadziłoby do „polsko-niemieckiej kolaboracji”.

> Rozumiem, że Polacy nie bardzo lubią Niemców – mówił von Maglód. – Mimo to jestem głęboko przekonany, że w panujących warunkach Polakom nie pozostaje nic innego, jak szukać ratunku we współpracy z nimi. To nie jest kwestia sympatii czy antypatii, lecz potrzeba wynikająca ze zdrowego instynktu samozachowawczego, ponieważ to, co dziś jeszcze można ratować z polskiego stanu posiadania, może być uratowane tylko przez zwycięstwo Niemiec. Obojętne, jak pan Sikorski zachowuje się wobec Rosjan – rosyjskie zwycięstwo oznaczać będzie koniec Polski. Zwycięska Armia Czerwona, którą to przecież wojska niemieckie wypędziły z Polski, utworzy w ciągu dwóch tygodni „Samodzielną Polską Republikę Sowiecką” i w ten sposób temat polskiej samodzielności znów nie będzie podnoszony przez wiele dziesiątków lat.

Kowalewski nie oponował przeciwko tym słowom Maglóda. Trudno byłoby mu to zresztą robić, bo jako inteligentny człowiek rozumiał, że węgierski dyplomata ma świętą rację. Podpułkownik uznał więc wagę argumentów i zgodził się nawet podjąć misji stworzenia warunków do porozumienia z Rzeszą w duchu złożonego przezeń w lipcu 1940 roku lizbońskiego memorandum.

„Warunkiem wstępnym polsko-niemieckiego zbliżenia” – zastrzegł przy tym Kowalewski – „musiałaby być jednak poprawa klimatu w Polsce. Jak długo polityka niemiecka ma za swój cel eksterminację ludności polskiej, nie ma mowy o zbliżeniu między tymi dwoma narodami”. O tym, jak poważnie było traktowane to sondażowe spotkanie, niech świadczy to, że raport z niego natychmiast trafił na biurko węgierskiego premiera Lászla Bárdossyiego.

W rozmowach z dyplomatami niemieckimi w Lizbonie brał również udział Jan Szembek.

Były zastępca Józefa Becka, w przeciwieństwie do swojego szefa, nie bał się przyznać, że polska dyplomacja w 1939 roku popełniła kolosalny błąd, odrzucając ofertę antysowieckiego sojuszu wysuniętą wobec Hitlera.

Gdy w styczniu 1943 roku nowym ambasadorem Niemiec w Lizbonie został nieoczekiwanie Hans von Moltke, Szembek oczywiście nawiązał z nim kontakt. Znali się przecież świetnie z dobrych, starych, przedwojennych czasów. „Znane naprężenie naszych stosunków z Sowietami" – pisał Szembek do Londynu – „wzbudza u niektórych czynników osiowych pewne nadzieje, że może nastąpiła okazja, by przeprowadzić niektóre sondaże".

Moltke wkrótce jednak zmarł w niewyjaśnionych okolicznościach, być może otruty. Motywem morderstwa miały być jego związki z antyhitlerowską opozycją.

Nad Kowalewskim zaczęły się tymczasem zbierać czarne chmury. Jego kontakty z przedstawicielami państw osi wzbudziły bowiem zainteresowanie brytyjskich służb. Donos na Kowalewskiego złożył angielski dyplomata Frank H. Roberts. Oburzyło go nawet nie to, że Kowalewski kontaktuje się potajemnie z Niemcami, ile to, iż montuje polsko-węgiersko-rumuńsko-włoski blok, który – o zgrozo! – miałby być wymierzony przeciwko Związkowi Sowieckiemu.

Interwencję w sprawie podpułkownika podjął zresztą sam Stalin, który na konferencji w Teheranie zażądał od Churchilla usunięcia Kowalewskiego z Lizbony. Wymienił przy tym jego nazwisko, co było wydarzeniem bez precedensu. Bolszewicy doskonale rozumieli jednak, jak niebezpieczne są dla nich jego działania. Możliwości polsko-niemieckiego porozumienia bali się bowiem jak ognia. Mieli zresztą z podpułkownikiem stare porachunki, jeszcze z wojny 1920 roku. On to bowiem złamał wówczas bolszewickie szyfry.

W efekcie podsekretarz stanu Alexander Cadogan na początku marca 1944 roku zażądał od gabinetu Stanisława Mikołajczyka zdymisjonowania antykomunistycznego oficera. Polski rząd tradycyjnie położył po sobie uszy i kilka dni później sprawa została załatwiona. Kowalewski, jeden z najmądrzejszych i najdzielniejszych Polaków swoich czasów, został odwołany ze stanowiska w Portugalii. Znakomity oficer i patriota stracił stanowisko tylko dlatego, że zażyczyli sobie tego Churchill i Stalin.

Gdy myślę o Mikołajczyku, który wyraził zgodę na to upokorzenie, na myśl przychodzi mi jedno słowo – wasal.

Rozdział 13

Wojna! Wojna! Wojna!

Do którego momentu wojny możliwe było zawarcie ugody między Niemcami a Polakami? Pod pojęciem ugody mam na myśli wyłonienie w Polsce proniemieckiego rządu i odtworzenie pod auspicjami Rzeszy jakiejś formy polskiej państwowości. Wydaje się, że cezurą taką było lato 1940 roku, gdy Niemcy przeprowadzili ludobójczą akcję AB, przerażającą masową zbrodnię na narodzie polskim. Trudno bowiem o zgodę z kimś, kto ma na rękach krew naszych rodaków.

Absolutną rację miał cytowany wcześniej historyk Jan S. Ciechanowski, że polsko-niemieckie porozumienie możliwe było tylko w wypadku, gdyby Niemcy szybko całkowicie zreorientowali swoją politykę okupacyjną. Niestety, jak wiadomo, po upadku Francji władcy III Rzeszy zdecydowali się pójść inną drogą.

Już rok później wszystko uległo jednak diametralnemu zwrotowi. Geopolityczna talia Europy została po raz kolejny przetasowana. Chodzi oczywiście o pamiętny dzień 22 czerwca 1941 roku, gdy wybuchła wojna między dwoma zaborcami Rzeczypospolitej. Wspaniały dzień, w którym Hitler zaatakował Stalina. Niemcy dostali wówczas od losu kolejną – ostatnią już – szansę na porozumienie z Polakami.

Prawa geopolityki Europy Środkowo-Wschodniej są bowiem niezmienne. Sytuacja Polski – położonej między Niemcami a Rosją – jest ściśle uzależniona od relacji między tymi dwoma kolosami. Okres ścisłej współpracy między Berlinem i Moskwą oznacza dla Rzeczypospolitej koniunkturę fatalną. Konflikt między Berlinem i Moskwą to zaś dla Rzeczypospolitej koniunktura fenomenalna.

Dlatego właśnie, gdy w 1941 roku nasi dwaj wrogowie wzięli się za łby, ludzie w Warszawie rzucali się sobie w objęcia i płakali ze szczęścia. „Wojna! Wojna! Wojna!” – słowo to z radosną intonacją powtarzane było na ulicach, w domach i zakładach pracy całej okupowanej Polski. Po fatalnym okresie 1939–1941, okresie czarnej rozpaczy, nagle pojawiła się nadzieja. Nadzieja na to, że Polska jednak odzyska niepodległość i wyjdzie z tarapatów obronną ręką.

Jak musiałaby się potoczyć wojna niemiecko-sowiecka, żeby tak się stało? Otóż nie ma żadnych wątpliwości, że w interesie Polski leżało zwycięstwo III Rzeszy. Zwycięstwo Związku Sowieckiego – jak pokazała historia – oznaczało zaś dla nas klęskę. Na karkach

wycofującego się Wehrmachtu do Polski wdarła się Armia Czerwona i została tu już przez pół wieku. Na odzyskanie niepodległości musieliśmy czekać do przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych.

Jest więc tezą niepodważalną, że Polska – o czym pisałem w *Pakcie Ribbentrop–Beck* i *Obłędzie '44* – mogła wygrać II wojnę światową tylko i wyłącznie wtedy, gdyby powtórzył się scenariusz z I wojny światowej. Czyli gdyby Niemcy na froncie wschodnim rozbili Związek Sowiecki, a następnie sami przegrali wojnę na froncie zachodnim z Anglosasami. Wówczas na gruzach obu państw zaborczych mogłaby odrodzić się suwerenna, silna Polska. Tak jak odrodziła się w roku 1918 na gruzach caratu i cesarskich Niemiec.

Na froncie wschodnim powinniśmy byli więc trzymać kciuki za Wehrmacht. I nie jest to żadne „wymądrzanie się po siedemdziesięciu latach", bo już w 1941 roku było w Polsce sporo ludzi, którzy znakomicie to rozumieli. Odzwierciedleniem tych nastrojów był słynny warszawski dowcip o tym, że tory, którymi Niemcy przerzucali swoje wojska na front wschodni, Polacy chętnie wysmarowaliby masłem.

Rok 1941 był dla Polaków momentem wyboru. Albo Niemcy – albo bolszewicy. Dalsze prowadzenie wojny na dwa fronty nie miało sensu, trzeba było się zdecydować, z którym z wrogów się dogadać. Jak wiadomo, premier Władysław Sikorski, pod presją Winstona Churchilla, postawił na bolszewików. 30 lipca 1941 roku w Londynie podpisany został pakt Sikorski–Stalin i Rzeczpospolita stała się nagle sojusznikiem Związku Sowieckiego.

Moim zdaniem dla sprawy polskiej byłoby korzystne, gdyby jednocześnie Polacy w kraju zawarli takie samo porozumienie z Niemcami.

Już słyszę te oburzone okrzyki: Jak można pisać coś takiego?! Jak można postulować porozumienie z mordercami Polaków, z tymi paskudnymi hitlerowcami?! To by była hańba! No cóż, jeżeli to rzeczywiście byłaby taka hańba, oznacza to, iż generał Sikorski jest człowiekiem zhańbionym. A jego uroczysty pochówek na Wawelu 17 września 1993 roku był jakąś straszliwą pomyłką.

Bolszewicy, z którymi zawarł ugodę, byli bowiem jeszcze gorsi niż hitlerowcy. I mieli na rękach dużo więcej krwi Polaków niż zbiry Hitlera. Do czerwca 1941 roku skala sowieckich zbrodni przeciwko Polakom była bowiem większa niż skala zbrodni niemieckich. I nie mówię tu nawet o mordach popełnionych podczas najazdu 1920 roku czy ludobójczej operacji polskiej NKWD z lat 1937–1938, w ramach której eksterminowano grubo ponad 100 tysięcy naszych rodaków.

Mówię tylko o krwawych latach 1939–1941. O ile polskie ofiary brunatnego terroru liczono wówczas jeszcze w tysiącach, o tyle w wypadku bolszewików były to mordy i represje na

skalę masową. To zbrodnie wojenne popełnione przez Armię Czerwoną po 17 września, deportacje setek tysięcy Polaków na Syberię i do Kazachstanu, rozstrzeliwania „wrogów ludu", zbrodnia katyńska, a wreszcie mrożące krew w żyłach sadystyczne zabójstwa więźniów popełnione na ziemiach wschodnich II Rzeczypospolitej w czerwcu i lipcu 1941 roku.

Gdy generał Sikorski podpisywał pakt z Sowietami, na bolszewickich łapskach jeszcze nie obeschła krew niewinnych Polaków. I co? I nic. Nikt dziś Sikorskiego za to nie potępia, mało tego – pakt ze Stalinem uznaje się za jego największe osiągnięcie. Skąd więc to oburzenie, gdy mówi się o możliwości analogicznego porozumienia z Niemcami? Znowu dotykamy tu kwestii nierównego traktowania narodowego socjalizmu i komunizmu.

Pierwszy uznawany jest za zło absolutne, drugi usprawiedliwia się na tysiące sposobów. O ile taka hipokryzja wśród lewicowych intelektualistów z francuskich kampusów – tak zwanych pożytecznych idiotów – jest zrozumiała, o tyle Polakom, narodowi tak mocno dotkniętemu przez bolszewizm, po prostu nie przystoi. W 1939 roku zostaliśmy napadnięci i rozebrani przez dwóch sąsiadów i podczas tej wojny mieliśmy dwóch wrogów, a nie jednego.

Adam Michnik powiedział kiedyś, że kto twierdzi, iż Polska podczas wojny nie wydała żadnego kolaboranta, powinien sobie przypomnieć o Wandzie Wasilewskiej. To oczywiście absurd – Wanda Wasilewska nie była żadną kolaborantką. Była po prostu komunistką. Nie mogła więc kolaborować sama ze sobą. Ten, kto twierdzi, że Polska podczas wojny nie współpracowała z wrogiem, powinien sobie przypomnieć o Władysławie Sikorskim.

Jak już pisałem, szkoda, że podobnego porozumienia nie podpisano z Niemcami w Generalnym Gubernatorstwie. Skoro pakt Sikorski–Stalin uratował ponad sto tysięcy obywateli polskich, można sobie tylko wyobrazić, ilu uratowałaby ugoda z Hitlerem. Bez wątpienia o wiele, wiele więcej. Co jednak najważniejsze, o ile wspieranie wysiłku zbrojnego Sowietów przeciwko Niemcom – które było konsekwencją paktu – było całkowicie sprzeczne z interesem Rzeczypospolitej, o tyle wspieranie wysiłku zbrojnego Niemiec przeciwko Sowietom było z tym interesem zgodne.

Wróćmy jednak do Generalnego Gubernatorstwa w czerwcu 1941 roku. Okupant doskonale zdawał sobie sprawę z rozbudzonych wśród Polaków nastrojów i nadziei. Przed rozpoczęciem operacji „Barbarossa" Niemcy sondowali więc opinie narodu polskiego, w GG doszło nawet do pewnego złagodzenia kursu. Przede wszystkim uruchomiono jednak machinę propagandową, w której pojawiły się zupełnie nowe akcenty.

W sierpniu w Warszawie ustawione zostały duże ekrany, na których pokazywano oddziały cudzoziemskich ochotników maszerujących na front wschodni. „Cała Europa walczy

z bolszewizmem” – głosił komentarz. – „Na froncie wschodnim u boku żołnierza niemieckiego są Włosi, Hiszpanie, Norwegowie, Belgowie, Holendrzy, Duńczycy, Chorwaci, Słowacy, Węgrzy i Rumuni. A ty gdzie jesteś, Polaku?”

Na szczytach władzy III Rzeszy wahano się wówczas, czy nie dokonać zwrotu i nie wciągnąć Polaków do wspólnej walki z bolszewizmem. A więc wrócić do koncepcji Hitlera z lat trzydziestych. Przychylni nam Niemcy zakładali, że kandydatów do polskich antykomunistycznych legionów można by werbować w oflagach i stalagach, w których od dwóch lat siedziały dziesiątki tysięcy żołnierzy Wojska Polskiego. Miała więc to być armia Andersa à rebours.

Przede wszystkim źródłem rekruta mogłyby być jednak polskie Ziemie Wschodnie odbite świeżo z rąk Sowietów. Tam nastroje i sympatie polityczne były zupełnie inne niż w znajdującej się pod okupacją Rzeszy zachodniej części Polski.

Na wkraczające niemieckie czołgi sypał się tam deszcz kwiatów, dziewczęta na widok szarych mundurów Wehrmachtu piszczały z uciechy i całowały zachwyconych żołnierzy. Wbrew temu, co próbują nam wmówić nasi patriotyczni poprawiacze historii, reagowali tak nie tylko Ukraińcy i Białorusini. Reagowali tak wszyscy na czele z przedstawicielami narodu najbardziej prześladowanego przez bolszewików. A więc na czele z Polakami.

Jeżeli w Generalnym Gubernatorstwie trudno byłoby znaleźć ochotników do antybolszewickich oddziałów – pisał historyk profesor Jerzy Kochanowski – to akcja taka miałaby zapewne znacznie większe szanse na Kresach Wschodnich, okupowanych między jesienią 1939 roku a latem 1941 roku przez ZSRS. Ich mieszkańcy, do których docierało niewiele informacji o realiach okupacji niemieckiej, nadchodzące oddziały Wehrmachtu traktowali jak wyzwolicieli i zapewne część społeczeństwa była gotowa do współdziałania w walce ze znienawidzonymi Sowietami.

To, przez co przeszli ci ludzie pod bolszewickim jarzmem, przechodziło ludzkie pojęcie. Terror, deportacje, skrytobójcze egzekucje, a przede wszystkim przytłaczający ciężar miażdżącego wszelką indywidualność jednostki demonicznego sowieckiego systemu. Nie było polskiej rodziny, w której ktoś nie został zamordowany lub deportowany przez Sowietów. Niemców – jak się wydawało, przedstawicieli cywilizowanego Zachodu – traktowano więc jak wyzwolicieli. W całej historii nie było chyba sytuacji, w której jakaś polska społeczność byłaby nastawiona tak proniemiecko, jak nastawieni byli Polacy na Ziemiach Wschodnich w czerwcu 1941 roku.

Groźba, że młodzież pójdzie chętnie do niemieckiego wojska przeciw bolszewikom, nie była bezpodstawna – wspominał Zbigniew Koźliński. – Niemcy byli tutaj witani z entuzjazmem. Dochodziło do tego, że gospodarze dobrowolnie odprowadzali im z wdzięczności swoje krowy, zamawiali msze w ich intencji, stawiali im bramy triumfalne. Gdy przyszła w nasze strony hiszpańska Błękitna Dywizja, goszczono ją bardzo, upijano żołnierzy. Niemcy w pierwszych dniach ofensywy wyzwolili

z sowieckich więzień wielu Polaków i to też był powód modłów za nich w kościołach.

Według dokumentów, do których dotarł profesor Kochanowski, na terenie Galicji sympatyczni węgierscy sojusznicy III Rzeszy, wykorzystując entuzjazm, jaki wybuchł wśród Polaków z powodu przepędzenia bolszewików, przystąpili nawet spontanicznie do tworzenia pierwszych polskich jednostek.

W Galicji krążyły wówczas niestworzone plotki na temat możliwości polsko-niemieckiego porozumienia. Według jednej z nich – do dzisiaj chętnie powtarzanej – Niemcy zaproponowali utworzenie marionetkowego rządu byłemu polskiemu premierowi Kazimierzowi Bartlowi. Informację tę podał nie kto inny jak Władysław Sikorski. Podczas konferencji prasowej zwołanej w Kairze w listopadzie 1941 roku powiedział on, że zaraz po zajęciu Lwowa Bartel został wywieziony na rozmowy do Berlina. Gdy odmówił utworzenia proniemieckiego gabinetu – zamordowano go.

Według tej wersji wydarzeń wyrok na byłego sanacyjnego premiera wydał Heinrich Himmler, który podobno spotkał się z Bartlem we Lwowie. Zdaniem Sławomira Kalbarczyka, historyka IPN, który pracuje nad biografią byłego premiera, to nieprawda. Było odwrotnie. Bartla, który w 1940 roku pojechał z wizytą do Moskwy, nowy okupant od początku uważał za sowieckiego kolaboranta. Niemcy byli przekonani, że w sowieckiej stolicy prowadził on rozmowy ze Stalinem na temat możliwości utworzenia komunistycznego polskiego rządu. Dlatego też 2 lipca 1941 roku został aresztowany przez Gestapo, a 26 lipca stracony. Podczas jego pobytu w więzieniu Niemcy nie prowadzili z nim rozmów politycznych, przeciwnie – traktowali go surowo.

O tym, jakie panowały wówczas nastroje we wschodniej Polsce, może jednak świadczyć reportaż opublikowany jeszcze w 1940 roku przez „Biuletyn Informacyjny” ZWZ. Opisywał on przyjazd do Przemyśla grupy Polaków, którym udało się legalnie wyrwać z „sowieckiego raju” do Generalnego Gubernatorstwa.

> Do uchodźców przyszedł niemiecki oficer wywiadowczy doskonale mówiący po polsku i rozpoczął wypytywania o stan wojsk rosyjskich – relacjonował „Biuletyn”. – Szereg mężczyzn natychmiast otoczył oficera, starając się jak najgorliwiej udzielić żądanych informacji. Po pewnej chwili utworzyła się paradoksalna sytuacja pewnego napięcia patriotycznego. – Damy po łbie tym draniom bolszewikom! Przy czym owo „my” obejmowało wspólnym uczuciem Niemca i naszych gorliwców.

Owa „wspólnota uczuć” z winy Niemców nie została jednak w żaden sposób wykorzystana. Prowadzoną w Berlinie dyskusję na temat rozegrania sprawy polskiej po raz kolejny rozstrzygnięto na naszą niekorzyść. Polakom ostatecznie nie dane było „dać po łbie tym draniom bolszewikom”. Był to chyba pierwszy przypadek w dziejach, gdy obce wojska

pociągnęły na Moskwę, a nas tam zabrakło.

Rozdział 14

Alfred Wysocki na Wawelu

Wiele obowiązujących powszechnie wyobrażeń o historii opiera się na stereotypach i nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Przykładem tego jest postrzeganie III Rzeszy. Otóż uważa się, że państwo to było znakomicie zorganizowaną i funkcjonującą machiną, która bez żadnych wahań realizowała żelazną wolę Führera i jego zbrodnicze zamysły. Tymczasem każdy, kto kiedykolwiek zajmował się dziejami aparatu władzy tego państwa, wie, że był to jeden wielki bajzel.

W Berlinie ścierały się dziesiątki koncepcji, koterii i instytucji o pokrywających się kompetencjach. Wynikały z tego tysiące sporów i konfliktów między poszczególnymi organami państwa i dygnitarzami. Parafrazując znany dowcip, tam gdzie spotykało się dwóch narodowych socjalistów, tam były trzy opinie. Podobnie było z kwestią Polski, w sprawie której na niemieckich szczytach władzy przez całą wojnę trwała zażarta dyskusja.

Niemcy spierali się w naszej sprawie również w 1941 roku. Szczególnie w nastawionych przychylnie do Polski kołach wojskowych popularny był pogląd, że bez wsparcia Polaków będzie niezmiernie trudno podbić Związek Sowiecki. A już na pewno niemożliwością będzie utrzymać zdobyte na wschodzie olbrzymie terytoria. Opinię taką z niemieckich ust usłyszał między innymi w Lizbonie podpułkownik Kowalewski.

Jednocześnie na salonach politycznych Europy aż wrzało od plotek, że wobec konfliktu między Niemcami a Sowietami w Berlinie na nowo postawiona zostanie „kwestia polska". W szwajcarskim dzienniku „Berner Tagblatt" ukazał się znamienny artykuł inspirowany ewidentnie przez jakieś koła berlińskie, w którym zapowiedziano, że Niemcy w nowej sytuacji odtworzą pod swoją egidą państwo polskie.

„Nikt, nawet najbardziej zacięty przeciwnik Polski, nie wierzył nigdy w to, by szósty co do liczebności naród Europy mógł zniknąć lub być na dłuższą metę pozbawiony samodzielnej egzystencji politycznej" – pisał autor. Sugerował, że Generalne Gubernatorstwo jest tworem przejściowym i właśnie dobiega kresu istnienia. Teraz stanie się ono Piemontem nowej Polski, która na wschodzie będzie mogła pozyskać duże obszary kosztem Związku Sowieckiego.

Podobne przecieki pochodziły głównie ze sfer dyplomatycznych III Rzeszy. W Warszawie została wówczas utworzona nawet nieoficjalna placówka niemieckiego MSZ, na której czele

stanął dobrze nam już znany Hans von Moltke. Wraz z niewielkim personelem miał on opracowywać ekspertyzy w sprawie polskiej i prowadził pertraktacje z hrabią Adamem Ronikierem i księciem Januszem Radziwiłłem.

Moltke – jak pisał historyk Eugeniusz Cezary Król – postulował w Berlinie, aby Niemcy natychmiast rozwiązali obóz w Auschwitz, zrezygnowali z masowych rozstrzeliwań, ograniczyli samowolę Gestapo i przywrócili polskie szkoły na czele z Uniwersytetem Warszawskim. Następnie Generalne Gubernatorstwo powinno uzyskać status co najmniej odpowiadający statusowi Protektoratu Czech i Moraw. Czyli Polacy rządziliby swoim państwem, ale pozostałoby ono uzależnione od Berlina.

W nieoficjalnych rozmowach z Polakami pracownicy ambasady Niemiec w Madrycie twierdzili, że przygotowano nawet szczegółowy projekt odtworzenia Polski. Jej wschodnia granica opierałaby się na Dźwinie i Dnieprze, a więc nasz kraj miałby zostać znacznie przesunięty na wschód. Otrzymałby od Niemców Litwę i pół Łotwy, niemal całą Białoruś po Witebsk, a do tego Ukrainę po Kijów i dostęp do Morza Czarnego. Nabytki te byłyby naturalnie rekompensatą za ziemie włączone do Rzeszy.

Niemiecki plan odtworzenia Polski z roku 1941

Co ciekawe – zgodnie z tym niemieckim projektem z 1941 roku – nowe państwo polskie, mimo swoich szerokich granic, miałoby charakter… narodowy. Niemcy byli podobno gotowi wysiedlić z niego wszystkie mniejszości, a w ich miejsce sprowadzić do nowej „wielkiej Polski" Polaków z Pomorza, Poznańskiego i Śląska. Czytając podobne niedorzeczności, trudno nie odnieść wrażenia, że był to plan utopijny. Takie przesiedlenia ludności musiałyby bowiem objąć dziesiątki milionów ludzi i były po prostu niewykonalne.

Mimo to Niemcy wybrali już nawet kandydata na premiera odrodzonej – połączonej wiecznym przymierzem z Rzeszą – Rzeczypospolitej. Miał nim zostać znany polski ziemianin i pisarz Wojciech Rostworowski. Nową armię polską, jako minister wojny, miałby zaś tworzyć wypuszczony w tym celu z oflagu generał Juliusz Rómmel. A wedle innej wersji generał Władysław Bortnowski, „zdobywca" Zaolzia z 1938 roku.

Według niemieckich dokumentów Berlin podobno prowadził nawet w tej sprawie wstępne negocjacje z jakąś grupą Polaków, ale były one niezwykle trudne. Strona polska, choć oczywiście zaakceptowała proponowany przez Niemców nowy przebieg granicy wschodniej, za żadne skarby świata nie chciała się zgodzić na przebieg granicy zachodniej. Polacy mieli postulować, żeby Rzesza ograniczyła swoje aspiracje do granicy sprzed 1914 roku, a więc oddała Polsce między innymi Łódź i Suwałki. Na to zaś nie chcieli przystać Niemcy.

Informacje na temat tych pertraktacji dotarły do generała Sikorskiego. W sierpniu 1941 roku w rozmowie z ministrem spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii Anthonym Edenem przyznał on, że Berlin próbuje „oderwać Polskę od aliantów zachodnich" i skierować ją przeciwko bolszewikom. Oczywiście polski premier zapewnił Anglika, że Polacy na pewno nie dadzą się pozyskać do krucjaty antybolszewickiej i dochowają wierności ukochanym Anglosasom. Powtórzył to prezydentowi Rooseveltowi podczas wizyty w Stanach Zjednoczonych.

Spekulacje o możliwym porozumieniu między Niemcami a Polakami nasiliły się, gdy Hans Frank przyjął na Wawelu Alfreda Wysockiego. Był to były poseł Rzeczypospolitej w Berlinie, człowiek niegdyś zaprzyjaźniony z Hitlerem. W 1933 roku, jako świeżo upieczony kanclerz, Hitler złamał zasady protokołu dyplomatycznego i na przyjęciu rozmawiał tylko i wyłącznie z Wysockim. Ponieważ Polak był byłym poddanym cesarza Franciszka Józefa, obaj panowie rozmawiali ze sobą „jak Austriak z Austriakiem".

Führer nie zapomniał o Wysockim podczas wojny i polecił go Hansowi Frankowi jako „jedynego Polaka, którego potrafi ścierpieć". W warszawskim mieszkaniu byłego dyplomaty wisiał zaś portret niemieckiego przywódcy podarowany mu w 1933 roku, gdy Polak kończył swoją służbę w Berlinie. Znajdowała się na nim dedykacja Führera: „Meinem lieben Wysocki – Adolf Hitler". Podobno Niemcy odwiedzający byłego posła podczas okupacji salutowali

temu portretowi.

Wróćmy jednak do spotkania Wysocki–Frank, które odbyło się na Wawelu 15 grudnia 1941 roku. Choć rozmowy te nie wyszły poza wymianę zdawkowych uprzejmości i ogólników, Niemcy nadali im spory rozgłos.

> Pan gubernator generalny wyraża wobec posła von Wysockiego swe zadowolenie z lojalnej postawy ludności polskiej – zapisano w niemieckiej relacji z tego spotkania. – Pan gubernator jest przekonany, że rozsądek i zrozumienie okazywane przez obie strony umożliwią przywrócenie spokoju na tym obszarze. Stosunek oficjalnych czynników Rzeszy, zwłaszcza partyjnych, do Polaków uległ znacznej poprawie, toteż jakikolwiek opór ze strony tych ostatnich mógłby doprowadzić do katastrofalnych następstw. Pan gubernator uważa posła von Wysockiego za łącznika reprezentującego ludność polską i poleca sekretarzowi stanu dr. Bühlerowi przyjmować go w każdej chwili.

Wysocki zapewnił Franka, że zarówno rząd w Londynie – „składający się z zupełnie nieznanych ludzi, pozbawionych wszelkiego autorytetu" – jak i podziemie cieszą się znikomym poparciem społeczeństwa. Aby tak pozostało, gubernator powinien zwolnić polskich więźniów, szczególnie z Auschwitz. Taki „wielkoduszny gest", zdaniem Wysockiego, wykonany przed świętami Bożego Narodzenia „wywołałby gorący odzew wśród polskiej ludności".

„Pan gubernator generalny" – zanotował stenotypista – „upoważnia dr. Bühlera, żeby wspólnie z władzami policyjnymi rozpatrzył prośbę posła. Wprawdzie obóz w Oświęcimiu jako należący do obszaru Rzeszy jest wyłączony z kompetencji mówcy, lecz można by zastanowić się nad ewentualnością uwolnienia aresztantów z więzień Generalnego Gubernatorstwa".

Choć Frank nie powiedział żadnych rewelacji, w jego słowach wyraźnie można było wyczuć pojednawcze nuty. W efekcie zrodziła się pogłoska, że to tylko początek i Wysocki z łaski Hitlera zostanie „regentem" Polski. Do nowego rządu mieli również wejść Alfred Potocki z Łańcuta i Jan Bobrzyński, syn słynnego historyka Michała. Jednocześnie niemiecka Służba Bezpieczeństwa (SD) przeprowadziła przy pomocy swoich konfidentów sondaż polskiej opinii publicznej na temat spotkania Wysocki–Frank i możliwości powołania polskiej kolaboracyjnej administracji. Sondaż ten koordynował oficer z Radomia, Paul Fuchs.

Niemcy tymczasem próbowali coraz usilniej urabiać Polaków. W prasie wydawanej w Generalnym Gubernatorstwie opisywano ze szczegółami zbrodnie dokonane na Polakach przez Sowietów. Publikowano między innymi drastyczne zdjęcia z więzienia we Lwowie, gdzie bolszewicy w czerwcu 1941 roku dokonali wyjątkowo krwawej masakry. Jednocześnie informowano, że w niektórych miejscach – na przykład w Brześciu Litewskim – Wehrmachtowi udało się uprzedzić Sowietów i uratować przeznaczonych do likwidacji

Polaków.

Jak zwykle jednak zwolennicy ugody ze wschodnim sąsiadem okazali się zbyt słabi. Wszystko rozbiło się o Adolfa Hitlera i jego otoczenie, a więc ludzi dyszących z nienawiści do Polaków, którzy uważali, że Polacy są Niemcom potrzebni jako tania siła robocza, a nie sojusznik.

W swoim przekonaniu fanatyczni narodowi socjaliści utwierdzili się w pierwszych tygodniach kampanii na wschodzie, podczas których Wehrmacht odniósł fantastyczne sukcesy, rozbijając w puch Armię Czerwoną. Berlin uznał wówczas, że Związek Sowiecki to kolos na glinianych nogach, który wkrótce się rozpadnie. Upojony triumfem Hitler uznał, że w tej sytuacji tym bardziej nie ma żadnego powodu do robienia ustępstw na rzecz Polski.

Wystąpił więc ten sam mechanizm co rok wcześniej po pokonaniu Francji. Gestapo i SS znowu dostały rozkaz, żeby rozwiać wszelkie nadzieje Polaków i wziąć za twarz ludność Generalnego Gubernatorstwa. Nasiliły się aresztowania i egzekucje. Był to czysty obłęd, a jego symbolem niech będzie to, że na Pawiak został wpakowany nawet Władysław Studnicki, a więc największy przyjaciel Niemców wśród Polaków. Była to kara za… memoriał, w którym proponował współpracę narodu polskiego w podboju Sowietów.

Sukcesy tak zawróciły Niemcom w głowie, że „naukowcy” z Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy przystąpili tymczasem do opracowania Generalnego Planu Wschodniego – absurdalnego zbrodniczego programu nowego zorganizowania naszej części Europy po przyszłym zwycięstwie w II wojnie światowej. Zgodnie z nim Generalne Gubernatorstwo miało stracić status rezerwatu dla Polaków i stać się przestrzenią życiową dla Niemców. Oczywiście po wysiedleniu „tubylców”.

„Führer jest zdecydowany uczynić z tego kraju w przeciągu 15–20 lat kraj czysto niemiecki” – mówił Hans Frank. – „Tam, gdzie dziś mieszka 12 milionów Polaków, tam powinno zamieszkiwać 4 do 5 milionów Niemców. Generalne Gubernatorstwo musi stać się krajem tak niemieckim jak Nadrenia”.

W niedorzecznych projektach snutych na niemieckich szczytach władzy raz proponowano utworzyć polskie państwo na Smoleńszczyźnie, gdzie miałoby być buforem między Rosją a Białorusią, innym razem zaś jako polski obszar osiedleńczy wskazywano terytoria za Uralem, konkretnie zachodnią Syberię. Wedle kolejnego projektu Polacy mieli zostać zapakowani na statki i wysłani do Brazylii.

Autorzy Generalnego Planu Wschód snuli marzenia o przesiedleniu do oczyszczonej ze Słowian Europy Wschodniej… stu milionów Niemców i innych nordyków. Były to więc jak widać mrzonki, nie mające najmniejszej szansy na realizację. Rodzaj ideologicznego mirażu.

Plany te dobrze oddają jednak nastawienie najważniejszych przywódców III Rzeszy wobec Polaków. Było ono skrajnie wrogie. Hans Frank w symbolicznym geście nakazał wówczas usunięcie spod Krakowa kopców Kościuszki i Piłsudskiego, a zamiast tego zaproponował postawienie w Warszawie pomnika poległych żołnierzy Wehrmachtu. Całe szczęście z podobnych pomysłów nic nie wyszło. Polskę swoimi pomnikami mieli dopiero kilka lat później spaskudzić bolszewicy.

W wyniku wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej nie doszło więc do ogłoszenia drugiego aktu 5 listopada, czyli dokumentu wzorowanego na słynnej proklamacji państw centralnych z 1916 roku, w której obiecano, że po zwycięstwie nad Rosją utworzone zostanie związane przyjaźnią z Cesarstwem Niemieckim Królestwo Polskie. Niemcami nie rządził już bowiem, niestety, poczciwy cesarz Wilhelm II Hohenzollern i jego konserwatywni pragmatyczni ministrowie o szerokich horyzontach, ale banda prymitywów o mentalności ulicznych nożowników.

Niemcy w 1941 roku nie wykorzystali antykomunistycznego nastawienia Polaków i wszystkich innych narodów Europy Wschodniej uciemiężonych przez Sowiety. Rosjan, Ukraińców, Litwinów, Białorusinów, Estończyków i innych. Zamiast wyzwalać te narody spod bolszewickiego jarzma, nałożyli im nowe jarzmo, niewiele mniej zbrodnicze niż poprzednie. W efekcie wojna, którą można było wygrać w kilka tygodni, została przez Niemców sromotnie przegrana, a połowa Europy znalazła się pod panowaniem bolszewików.

> My, którzy narzekamy na głupotę swojej polityki podczas wojny, mamy to jedno chyba wątpliwej wartości pocieszenie, że polityka niemiecka była jeszcze głupsza od naszej – pisał Józef Mackiewicz. – Polityka niemiecka była polityką osobistych animozji, fantazji i odruchów samego Hitlera. Hitler stał się niewątpliwie najskuteczniejszym agentem bolszewickim, jakiego znały dzieje świata. Pchał całą Europę, którą opanował, emocjonalnie w objęcia bolszewizmu, a Polskę, która tej Europy była barierą, oczywiście w pierwszym rzędzie. Na tym też polega największa jego zbrodnia, o wiele, wiele większa niż wszystkie obozy, krematoria, trupy i popioły, które pozostawił za sobą.

Adolf Hitler niesłusznie przeszedł do historii jako największy zbrodniarz w dziejach. Znalazłoby się bowiem co najmniej kilku dyktatorów, którzy mieli na sumieniu więcej ofiar. Hitler powinien za to bez wątpienia przejść do historii jako największy wśród nich głupiec.

Rozdział 15

Sprawa pułkownika Albrechta

Do konspiracyjnego mieszkania przy ulicy Świętokrzyskiej 23 łączniczka „Basia” wprowadza mężczyznę po czterdziestce. Choć jest po cywilnemu, od razu widać, że to oficer. Charakterystyczny sprężysty krok, wyprostowana sylwetka. Rozgląda się uważnie. Widzi kilku ludzi, jeden z nich to kapitan Ryszard Jamontt-Krzywicki „Szymon”, adiutant generała Stefana Roweckiego. Dobrze się znają.

– Gdzie „Jan”? – pyta przybyły, używając jednego z konspiracyjnych pseudonimów dowódcy Związku Walki Zbrojnej.

Obecni milczą. Po chwili Jamontt-Krzywicki podchodzi bez słowa do mężczyzny i wręcza mu kopertę. Ten rozrywa pospiesznie papier. Czyta, stojąc. I coraz bardziej blednie. List został napisany przez Stefana Roweckiego i jest bardzo krótki: „Kochany Januszu! Poszedłeś za daleko. Myślę, że znajdziesz właściwe rozwiązanie. Ściskam cię. Stefan”.

Mężczyzna patrzy na obecnych. Napotyka zimne spojrzenia i zacięte twarze. Rozumie, że to koniec. Że nie wyjdzie z tego pomieszczenia żywy. Siada ciężko przy stole. Zdejmuje kapelusz, rozpina kołnierzyk i prosi o papier i pióro. Chce napisać list do żony i dzieci. Drżącą ręką kreśli następujące słowa:

> Kochani!
>
> Nie udało mi się nawiązać kontaktu z przyjaciółmi. Widać obawiają się mnie. Doszedłem do przekonania, że popełniłem błąd. Postanowiłem skończyć z sobą, by w ten sposób ratować swój honor, a wam przekazać czyste imię. Żegnam was, a duszę swoją i was polecam Bogu.
>
> Wasz Janusz i ojciec

Oficer zdejmuje obrączkę i kładzie ją na stole obok listu. Oprócz tego na sporym blacie stoi jedynie szklanka wody. Jamontt-Krzywicki podnosi ją i bez słowa podaje mężczyźnie. Ten, również bez słowa, wypija ją jednym haustem. Kapitan doskakuje do nieszczęśnika i unosi mu podbródek. Po kilku sekundach przechyla krzesło i kładzie razem z ciałem na podłodze. Mężczyzna nie żyje. W szklance znajdował się rozpuszczony cyjanek.

W ten sposób 6 września 1941 roku rozegrał się jeden z największych dramatów w dziejach Polskiego Państwa Podziemnego. Oficerem, który odebrał sobie życie, był pułkownik Janusz

Albrecht „Wojciech”, szef sztabu Związku Walki Zbrojnej. Zastępca Roweckiego, człowiek numer dwa w polskiej armii podziemnej. Jeden z najwybitniejszych oficerów polskiej konspiracji II wojny światowej.

Dlaczego zginął? Dlatego, że uznał, iż Polskie Państwo Podziemne powinno zerwać z samobójczą orientacją brytyjską i dokonać proniemieckiego zwrotu.

Cała sprawa zaczęła się od „przypadkowego” aresztowania. Doszło do niego 7 lipca 1941 roku w Warszawie na rogu Koszykowej i alei Niepodległości. Samochodem Gestapo jechało dwóch mężczyzn – Niemiec i Polak. Oficer SD z Kielc Hans Merz i konfident o kryptonimie V-3. W pewnym momencie przez szybę dojrzał on idącego ulicą zamyślonego Albrechta. Znał go z wojska, służyli bowiem przed wojną w jednej jednostce, i od razu rozpoznał.

– O, tam idzie naprawdę gruba ryba! – krzyknął podobno, wskazując palcem na Albrechta.

Niemiec i Polak podjęli błyskawiczną decyzję: „Zdejmujemy go!”. Samochód wyprzedził Albrechta, podjechał do krawężnika i zatrzymał się. Konfident otworzył drzwi, wychylił się i krzyknął w stronę pułkownika:

– Za tobą jest policja! Wskakuj!

Zdezorientowany Albrecht zbliżył się do samochodu i w tym momencie został złapany przez gestapowców za krawat i wciągnięty do środka. Tam obezwładniono go i założono kajdanki. Samochód ruszył z piskiem opon. Więzień został zawieziony prosto do Kielc, a Hans Merz sfałszował protokół aresztowania, wpisując w nim, że schwytał Albrechta podczas podróży inspekcyjnej, którą rzekomo polski oficer miał odbywać w Kielcach. Merz musiał uciec się do takiego fortelu, gdyż Warszawa znajdowała się poza jego jurysdykcją.

W tym momencie zatrzymajmy się, aby przedstawić tego funkcjonariusza. Otóż Hans Merz był „dobrym gestapowcem”. Tak, choć brzmi to szokująco, byli i tacy. Od początku swojej służby w Generalnym Gubernatorstwie uważał, że horrendalne niemieckie metody stosowane wobec Polaków są nie do przyjęcia. Uważał, że wschodniego sąsiada należy traktować po ludzku i starać się z nim porozumieć.

Merz, jak podaje jego biograf Michael Foedrowitz, miał polską towarzyszkę życia, piękną brunetkę Renatę B. Ku irytacji swoich przełożonych i kolegów z firmy utrzymywał szerokie kontakty towarzyskie z Polakami. Gdy w czerwcu 1941 roku wybuchła wojna między Niemcami a Sowietami – Merz przystąpił do akcji.

Był jednym z kilku oficerów niemieckich służb, którzy w obliczu odrzucenia przez Hitlera koncepcji ugody z Polakami zaczęli na szczeblu lokalnym montować porozumienia z Polakami. Oficerowie ci zorientowali się szybko, że pakt zawarty przez Sikorskiego ze Stalinem wywołał niezadowolenie wśród wielu Polaków. Szczególnie wśród piłsudczyków wiernych

idei Marszałka, według której Rosja – niezależnie od tego, czy biała, czy czerwona – jest wrogiem Polski numer jeden.

Po wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej – pisano w jednym z raportów Gestapo – a szczególnie po zawarciu paktu polsko-sowieckiego, dawało się zauważyć wewnątrz podziemia poważne napięcie, zresztą także u zwolenników Stronnictwa Narodowego i ONR. Uważano za rzecz nie do przyjęcia wchodzenie w sojusz polityczny, a tym bardziej wojskowy z wrogiem, który na terenach wschodnich byłej Polski jeszcze okrutniej i bardziej krwawo prześladował i niszczył naród polski, niż rzekomo robili to Niemcy. Przede wszystkim idzie tutaj o piłsudczyków.

Gestapowcy, o których mowa, uznali więc, że skoro niemożliwe jest polityczne porozumienie między Niemcami a Polską, to może chociaż uda się skłonić polskie podziemie – którego wielu oficerów wywodziło się z Legionów – do tajnego zawieszenia broni. Merz w pierwszej kolejności, za pośrednictwem wspomnianego konfidenta V-3, próbował do tej koncepcji pozyskać komendanta Okręgu Krakowskiego ZWZ, pułkownika Juliana Filipowicza „Roga".

Jednak dopiero aresztowanie Albrechta otworzyło przed nim poważne perspektywy. Szczególnie że według informacji Gestapo podczas jednej z narad Komendy Głównej ZWZ „Wojciech" miał wystąpić ze zdecydowaną krytyką układu Sikorski–Stalin i sugerował wręcz wypowiedzenie posłuszeństwa probolszewickiemu rządowi w Londynie.

Niestety polski pułkownik po aresztowaniu został przejęty przez osobistego wroga Merza w kieleckim Gestapo, zwolennika twardego kursu, SS-Obersturmführera Ernsta Thomasa. Sadysta ten poddał Albrechta brutalnym torturom.

Przywiązano mnie za nogi i ręce do ławy – opowiadał później Albrecht. – Leżałem na brzuchu. Bito systematycznie po plecach od pięt do głowy. Spływałem krwią. Na noc stawiano ławę opierając o ścianę tak, bym zwisał głową w dół. Krew napływała do głowy, oczy zapuchły, traciłem przytomność. Plecy, nogi, pięty stały się jedną krwawą, później ropiejącą raną. Koszula tworzyła na ranie ostrą, dokuczliwą skorupę.

Mimo podobnych zabiegów Niemcom nie udało się wycisnąć z bohaterskiego oficera żadnych wartościowych informacji. „Wojciech" trzymał się w śledztwie dzielnie. Dopiero w obliczu całkowitej bezradności Thomasa sprawę przejął Merz. Natychmiast zakończyło się bicie i ostre przesłuchania. Rozpoczęły się za to długie rozmowy polityczne prowadzone między Niemcem a Polakiem. Co zaskakujące, okazało się, że panowie mają zbliżone poglądy i podobnie oceniają sytuację.

Albrechtowi dano do zrozumienia – pisał Foedrowitz – że kiedy Niemcy przegrają wojnę, nie będzie to równoznaczne ze zwycięstwem i odzyskaniem niepodległości przez Polskę. Zwycięzcami będą Sowieci, skutkiem czego dojdzie do zniewolenia narodu polskiego przez komunizm. Dlatego interesy Polski i Niemiec są chwilowo zbieżne. W tej ciężkiej sytuacji chodzi o to,

by nie snując dalekosiężnych planów, zredukować do minimum walkę między Niemcami a Polakami, tak by Niemcom dać wytchnienie, a Polacy zachowali siły, które przydadzą im się w przyszłości.

Albrecht jako piłsudczyk – służył w Legionach, był członkiem Polskiej Organizacji Wojskowej, a od 1937 roku dowódcą 1. pułku szwoleżerów im. Józefa Piłsudskiego – nie mógł uznać wagi tych argumentów. Szczególnie że już wcześniej uważał, iż sprawy polskie podążają w złym kierunku. Podczas rozmów z Merzem tylko ugruntował swoje poglądy. Wierny idei Marszałka uważał, że „obaj wrogowie Polski powinni zlikwidować się własnymi rękami".

Koncepcję dwóch wrogów wyznawał pułkownik Albrecht od dawna – pisała łączniczka i sekretarka „Wojciecha", Halina Zakrzewska – nie przyniósł jej jako wybiegu taktycznego dla ratowania życia z gestapowskiego więzienia. Wychowany na legionowej tradycji uznawał Rosję za wroga numer jeden. III Rzeszę jako wroga doceniał. Rosji natomiast autentycznie nie trawił, nie akceptował, nie godził się wewnętrznie na alianckie przymierze z niedawnym agresorem polskich ziem wschodnich.

W więzieniu stanęła przed nim w całej rozciągłości koncepcja dwóch wrogich sił, dwóch odwiecznych wrogów, rodząc powoli w jego umyśle plan wymanewrowania sprawy polskiej z rąk obu sąsiadów: pozorne zawieszenie broni z Niemcami, pozorne zawieszenie wszystkich akcji sabotażowych na terenie kraju, pozorne rozkonspirowanie i ujawnienie części ZWZ przy zachowaniu większej części walczącego podziemia, tylko głębiej i lepiej zakonspirowanego. Taką taktykę nazwał „Wojciech" „piłsudczykowską" i widział w niej analogię do koncepcji podjętej przez marszałka Piłsudskiego podczas I wojny światowej.

W efekcie rozmów z Merzem i innymi Niemcami – na spotkanie z nim miała przybyć delegacja z Berlina – Albrecht zgodził się przedstawić tę koncepcję generałowi Stefanowi Roweckiemu. Niemiecka propozycja była prosta. O żadnym wielkim pojednaniu polsko-niemieckim nie ma mowy. Polska, przynajmniej na razie, nie zostanie przez III Rzeszę odtworzona. Obie strony, ZWZ i niemieckie władze bezpieczeństwa, zawierają jednak taktyczny układ, oparty nie na miłości, ale na wspólnocie interesów.

Polacy wstrzymują akcje sabotażowe i wszelką inną aktywność wymierzoną w Niemców. Niemcy zaś wstrzymują wszelkie działania wymierzone w polskie podziemie niepodległościowe i eksterminację polskiej ludności cywilnej. Innymi słowy, brutalna okupacja Polski zamienia się w okupację łagodną, przypominającą niemieckie rządy we Francji. Na układzie korzystają obie strony. Niemcy zyskują gwarancję spokoju na zapleczu frontu wschodniego, a Polacy przestają ponosić straszliwe ofiary.

Oferta ta była bardzo rozsądna i warto było na nią przystać. Korzyści, jakie niosła, bez wątpienia przewyższały ewentualne propagandowe straty, jakie mogłyby się pojawić, gdyby sprawa wyszła na jaw. Obowiązkiem Polskiego Państwa Podziemnego było chronić naród polski przed hekatombą. Na to, by zmusić Niemców zbrojnie, żeby przestali mordować Polaków, ZWZ, a później AK nie miały dość sił. Trzeba więc było iść na układy.

Rozdział 16

Honor polskiego oficera

Pułkownik Janusz Albrecht został wypuszczony z Gestapo 27 sierpnia 1941 roku. Przetransportowano go do Warszawy, gdzie miał nawiązać kontakt ze Związkiem Walki Zbrojnej i spotkać się z Grotem-Roweckim w celu przedstawienia mu niemieckiej propozycji. Gestapo obiecało mu, że w tym czasie nie będzie śledzony i nikomu, z kim się spotka, nie spadnie włos z głowy. Obietnica ta została dotrzymana.

„Wojciech" dał zaś oficerskie słowo honoru, że niezależnie od wyniku misji zgłosi się z powrotem do Niemców. W razie gdyby „Grot" odpowiedział odmownie, pułkownikowi zagwarantowano, że zostanie przewieziony do oflagu i doczeka tam na honorowych warunkach końca wojny. Spotkanie z oficerami SD zostało umówione na 12 lub 16 września w pobliżu podwarszawskiej Falenicy.

Albrecht po przyjeździe do stolicy przez swoją łączniczkę Helenę Zakrzewską natychmiast skontaktował się z organizacją i poprosił o wyznaczenie mu spotkania z komendantem. Oczekując na nie, zamieszkał pod własnym nazwiskiem, we własnym mieszkaniu przy Noakowskiego 22 z żoną Marią i dziećmi. Sprawa wywołała na szczytach ZWZ burzę. W jej strukturach byli zarówno zwolennicy przyjęcia oferty (głównie piłsudczycy), jak i zdecydowani zwolennicy fatalnej linii Sikorskiego, której skutkiem było dalsze wykrwawianie się narodu.

Oczywiście Albrecht miał w całej sprawie poważne wątpliwości. Martwił się, czy Rowecki zaakceptuje jego koncepcję, czy nie uzna go za niemieckiego agenta. A przede wszystkim, czy rozwiązanie takie przyjmie naród, umęczony spadającymi na niego niemieckimi szykanami. „Czy rozsądna myśl polityczna potrafi przezwyciężyć emocjonalne uczucie za doznane krzywdy i pragnienie zemsty?" – pytał w jednej z odbytych wówczas rozmów. Zaraz jednak dodawał: „Możemy przecież wytargować ulgi dla ludności, zachować życie wielu Polaków".

Tymczasem Rowecki odkładał spotkanie, a z Albrechtem spotkał się pułkownik Tadeusz Pełczyński, który miał wkrótce zostać mianowany na jego miejsce szefem sztabu ZWZ. Panowie przywitali się jak najlepsi przyjaciele. Uścisnęli się, a Pełczyński zwrócił się do Albrechta per „kochany". Nic jednak nie wiadomo o przebiegu samej rozmowy, odbyła się ona bowiem w cztery oczy.

Ostateczna decyzja Związku Walki Zbrojnej była negatywna. „Grot” niemiecką ofertę zawieszenia broni odrzucił.

Albrechtowi podziemie złożyło zaś propozycję ucieczki. Już wcześniej miał bowiem przygotowane kilka kompletów dokumentów na fałszywe nazwiska. Mógł więc bez trudu zaszyć się do końca wojny na prowincji. On jednak kategorycznie odrzucił taką możliwość.

> Słowa honoru się nie łamie – mówił – a tym bardziej oficerskiego. Bez względu na to, komu by się je dało, nawet wrogowi. Honor reprezentuje ten, kto słowo daje, i ja, polski oficer, je dałem i nie dotrzymać nie mogę. Jedynie śmierć może usprawiedliwić niedotrzymanie słowa honoru.

Niestety były to słowa prorocze.

Wreszcie Albrechta poinformowano, że dowódca ZWZ Stefan Grot-Rowecki spotka się z nim i omówi całą sprawę. Spotkanie zostało wyznaczone na 6 września w mieszkaniu przy ulicy Świętokrzyskiej 23. Pułkownik Janusz Albrecht udał się na nie w dobrej wierze, nie przewidując, że znajdzie się w śmiertelnej pułapce… „Grota” na miejscu nie zastał, czekał zaś tam na niego wyrok. Tego samego dnia po południu do żony pułkownika zadzwoniła łączniczka.

– Gdzie Janusz? Do tej pory nie wrócił. Co się z nim dzieje? – spytała pani Maria Albrecht.

– Jest pod numerem 23 przy Świętokrzyskiej. Nie żyje. Tam jego ciało.

– Dzieci, ojciec nie żyje! – krzyknęła żona oficera w głąb mieszkania.

Niestety Albrecht nie był jedyną ofiarą całej afery. Skazany na śmierć i zabity został jeden z oficerów jego przedwojennego pułku, rotmistrz Przemysław Deżakowski. Na podstawie domysłów i poszlak człowieka tego uznano za winnego wskazania Albrechta na ulicy funkcjonariuszom Gestapo. Deżakowskiemu nie pomogło nawet to, że o swojej niewinności zdołał przekonać żonę Albrechta. W rzeczywistości, jak ujawnił Michael Foedrowitz, to nie on wydał pułkownika w ręce Gestapo, ale inny oficer jego pułku – rotmistrz Janusz Poziomski. To on był agentem V-3. Wygląda na to, że Związek Walki Zbrojnej potrzebował jednak kozła ofiarnego, na którego można by zrzucić tak poważną wpadkę jak aresztowanie szefa sztabu.

> Przez aresztowanego oficera Komendy Głównej ZWZ szef Gestapo zaproponował mi zawarcie cichego układu – raportował 19 września 1941 roku Rowecki do Londynu. – ZWZ zaprzestaje dywersji, sabotażu i propagandy, a Niemcy w zamian zaprzestają prześladowania ZWZ. Czyli spokój za spokój. Propozycję tę odrzuciłem ze względów zasadniczych. Ze stanowiska walki bezwzględnej i bezkompromisowej zejść nam nie wolno i nie zejdziemy.

Słowa te można skomentować tylko w jeden sposób – szkoda. Oczywiście można zapytać, czy Niemcom można było ufać? No cóż, nie zaszkodziło spróbować. Nic bowiem nie

ryzykowaliśmy. Gdyby SD nie dotrzymało słowa i po zawarciu cichego rozejmu Niemcy kontynuowaliby represje, podziemie mogło wrócić do wojowania z okupantem.

Pułkownik Janusz Albrecht zapłacił życiem za swój antykomunizm. Za to, że był wielkim polskim patriotą, który odważył się mieć inne zdanie niż kierujący polską polityką generał Władysław Sikorski i jego zausznicy. „Słowo «aliant» w stosunku do Rosji do mnie nie przemawia" – mówił po wyjściu z więzienia. Niestety w epoce totalitaryzmu, który nie ominął również Polskiego Państwa Podziemnego, dla takiego człowieka nie było miejsca.

Po latach komuniści próbowali na różne sposoby zohydzać i opluwać Janusza Albrechta. Gorliwy udział w tej kampanii wziął czerwony pułkownik AK Jan Rzepecki, jeden ze sprawców hekatomby Warszawy, jedna z najokropniejszych postaci naszej konspiracji. Właśnie tacy ludzie oskarżali Albrechta o zaprzaństwo, zdradę i wysługiwanie się wrogowi za pieniądze.

Ja większą wiarę daję dzielnej łączniczce ZWZ, cytowanej już Helenie Zakrzewskiej. „Widziałam absolutnie czyste i uczciwe intencje szefa" – pisała – „którego piękny, szlachetny, odważny charakter tak dobrze znałam. Nie mogłam się mylić. Osobiste korzyści ani ambicje nie wchodziły tu w grę w żadnym wypadku".

Dla komunistycznych historyków pułkownik „Wojciech" jako wróg bolszewizmu był czarnym charakterem i robili oni wszystko, żeby tę postać skazać na zapomnienie. Również historycy spod znaku patriotycznej poprawności nie palą się, żeby o nim pisać. „Wojciech" i tragedia, która go spotkała, to dla nich bowiem temat niewygodny.

Nikt do tej pory nie napisał więc tego, co dawno już trzeba było napisać. Pozwolę sobie zrobić to pierwszy. Cześć pułkownikowi Januszowi Albrechtowi! Polska może być dumna z takiego syna.

Rozdział 17

Spisek nietoperzy

Mimo porażki, jaką ponieśli Niemcy, próbując nakłonić polskie podziemie do zawieszenia broni, w 1941 roku przeprowadzona została jeszcze jedna – tym razem zakrojona na znacznie szerszą skalę – polsko-niemiecka kombinacja. Tak przynajmniej twierdzi część historyków i publicystów z Dariuszem Baliszewskim na czele. W sprawę tę podobno był zamieszany były naczelny wódz Edward Śmigły-Rydz, były premier Leon Kozłowski i tajemnicza organizacja „Muszkieterowie".

Gdyby rzeczywiście hipotezy te zostały kiedyś potwierdzone, musielibyśmy całkowicie zmienić nasze postrzeganie II wojny światowej. Okazałoby się bowiem, że jedno z czołowych polskich stronnictw politycznych poważnie rozważało przejście do obozu III Rzeszy. Mowa oczywiście o obozie piłsudczykowskim. Problem polega tylko na tym, że większość publikacji dotyczących tej sprawy oparta jest na poszlakach. Dowodów rozstrzygających nie ma.

Cała historia owiana jest mgłą tajemnicy. Nie pozostały po niej dokumenty w archiwach, zaangażowani w nią ludzie albo zginęli, albo po wojnie odmawiali wyjaśnień, historycy unikali jej jak ognia. Jak było w rzeczywistości? Nie wiem i myślę, że nie wie już tego nikt. Pozostaje mi więc tylko w pięciu kolejnych rozdziałach zebrać wszystkie pojawiające się na ten temat teorie i informacje (olbrzymią robotę wykonał tu wspomniany Dariusz Baliszewski), a całą opowieść zakończyć tak, jak na to zasługuje. Czyli dużym znakiem zapytania.

Kombinacja ta miała opierać się na Polakach znajdujących się poza krajem. A więc na ludziach, którzy na własnej skórze nie doświadczyli bestialstwa niemieckiej okupacji. Być może – po fiasku sprawy Albrechta – w Berlinie uznano, że z nimi porozumienie będzie łatwiejsze. Ponieważ zwrócenie się do Polaków w Londynie z oczywistych względów również odpadało – wybrano kierunek południowy. A konkretnie Bukareszt i Budapeszt, w których po klęsce 1939 roku znalazło się wielu piłsudczyków.

Zacznijmy od stolicy Rumunii. Pierwsze sondaże Niemcy przeprowadzili tam jeszcze przed atakiem na Związek Sowiecki. W połowie 1940 roku tamtejsza ambasada Rzeszy nawiązała kontakt z sekretarzem ambasady Rzeczypospolitej. Po otrzymaniu od niego zachęcającej odpowiedzi na rozmowy z Polakiem przyjechał specjalny wysłannik z Berlina. Polakiem tym zaś nie był nikt inny jak Jerzy Giedroyc, późniejszy redaktor paryskiej „Kultury".

W owym czasie Giedroyc nie był jeszcze „czerwonym księciem”, ale nadzieją polskich konserwatystów. Związany ze studencką antykomunistyczną organizacją Myśl Mocarstwowa, a następnie ze Stronnictwem Prawicy Narodowej, od 1931 roku wydawał pismo „Bunt Młodych”, przemianowane później na „Politykę”. Pod swoimi skrzydłami zgromadził czołowe pióra młodej prawicy – braci Adolfa i Aleksandra Bocheńskich, Ksawerego i Mieczysława Pruszyńskich, Wacława Zbyszewskiego. Mentorami grupy byli zaś Władysław Studnicki i Stanisław Mackiewicz. A więc towarzystwo przednie.

Prowadzone przez Giedroycia pismo opowiadało się za sojuszem Polski z III Rzeszą przeciwko Związkowi Sowieckiemu. 25 lutego 1939 roku na jego pierwszej stronie znalazł się nawet artykuł pod tytułem *Żądamy polskiego hitleryzmu!* W 1937 roku, w apogeum zbliżenia między Warszawą a Berlinem, zespół „Polityki” ogłosił zaś, że „dla Polski régime hitlerowski jest korzystniejszy od stresemannowskiego, lepszy od rządów junkrów i Reichswehry, i od Niemiec komunistycznych”.

„Oczywiście ewentualne rachuby niemieckie na przyszły związek z Polską są dla nas zupełnie czymś nie do przyjęcia” – pisała „Polityka” rok później. – „Sprawa przymierza niemiecko-polskiego przeciw Rosji to już całkiem co innego i w pewnych warunkach koncepcja ta może być dla Polski korzystna”. Głoszenie przed wojną podobnych poglądów sprawiło, że Giedroyc, jako piłsudczyk i germanofil, był w Bukareszcie zażarcie zwalczany przez ludzi Sikorskiego. To zaś czyniło z niego potencjalnego partnera Niemców.

> Obraz sytuacji w kraju miałem wtedy, jak sądzę, dość wierny – wspominał Giedroyc. – O Palmirach na przykład dowiedziałem się bardzo szybko. Uważałem jednak, że należy rozmawiać, skoro nadarza się taka sposobność, aby wysondować drugą stronę, a zarazem określić warunki jakiejś możliwej współpracy, w tym przypadku wojny przeciw Sowietom. Niemiec, który przyszedł [na spotkanie], chciał wiedzieć, czy byłoby możliwe nawiązanie współpracy z Polską i na jakich warunkach.
>
> Odpowiedziałem, że jedynym tematem, na który możemy rozmawiać, jest odbudowa niepodległości Polski, z tym że możemy dyskutować na temat Gdańska i korytarza, z którego gotowi jesteśmy nawet zrezygnować. Twierdziłem też, że porozumienie z Polską jest dla Niemiec rzeczą niezmiernie ważną z uwagi na niebezpieczeństwo rosyjskie. Bardzo wyraźnie stawiłem tezę, że Niemcy bez Polski nie są w stanie wygrać wojny z Rosją. To było moje założenie. Przyjęte to zostało z pewnym sceptycyzmem i na tym się skończyło. Wiem, że ten sam rozmówca prowadził również rozmowy sondażowe z ministrem Arciszewskim.

Giedroyc i poseł w Bukareszcie Mirosław Arciszewski nie byli jedynymi polskimi dyplomatami, z którymi prowadzono takie „rozmowy sondażowe”. Otóż Niemcy – o czym pisał cytowany już Michael Foedrowitz – nawiązali także kontakt z internowanym w Rumunii sprawcą katastrofy wrześniowej byłym ministrem spraw zagranicznych Józefem Beckiem. Abwehra miała wysondować, czy byłby gotów powrócić do kraju i stanąć na czele

proniemieckiego rządu w Generalnym Gubernatorstwie.

Pod auspicjami tego rządu Niemcy zamierzali sformować antybolszewicki legion, którego kadrę mieli stanowić oficerowie internowani w obozach na terenie państwa Vichy, na czele z pułkownikiem Wojciechem Fydą. Sprawa ta, gdy informacje na jej temat doszły do Londynu, wywołała niemal palpitacje serca u Władysława Sikorskiego. „Gdyby p. Beck odważył się powrócić do Polski" – pisał premier – „wie dobrze, co go tam czeka. Nawet potężne gestapo niemieckie nie potrafi mu zagwarantować bezpieczeństwa osobistego".

Nie była to pierwsza taka pogłoska. Polski rząd jeszcze w 1940 roku zwrócił się do władz brytyjskich z iście niebywałą prośbą. Poprosił bowiem, aby Londyn przeniósł Becka i Śmigłego-Rydza z Rumunii do Turcji, aby nie zostali przez władze niemieckie „użyci dla celów politycznych, na przykład do stworzenia polskiego rządu marionetkowego". Kilka miesięcy później generał Sikorski poszedł jeszcze dalej, składając kolejny donos na Śmigłego u brytyjskiego szefa dyplomacji, Anthony'ego Edena. Poprosił wówczas, aby marszałek został zesłany do Afryki.

Rozmowy polsko-niemieckie z Bukaresztu szybko przeniosły się do Budapesztu, gdzie Polacy byli traktowani znacznie przyjaźniej niż w Rumunii i – co najważniejsze – gdzie od grudnia 1940 roku znajdował się marszałek Edward Śmigły-Rydz, główna figura formacji piłsudczykowskiej. Naczelny wódz uciekł i schronił się na Węgrzech pod skrzydłami regenta Miklósa Horthyego.

> Na polskiej mapie tej wojny – pisał Dariusz Baliszewski – Budapeszt zajmował szczególne miejsce. W Budapeszcie mieścił się konkurencyjny wobec Londynu ośrodek polityczny, prowadzący walkę i dowodzący tysiącami żołnierzy. I jeśli w 1941 roku w Londynie dowodził Władysław Sikorski, to w Budapeszcie, znacznie bliżej granic Polski, znajdował się marszałek Śmigły-Rydz i środowisko piłsudczyków, w dokumentach londyńskich nazywane „nietoperzami". Na tym terenie historia miała do czynienia z ogromną, kilkudziesięciotysięczną, zapomnianą armią, którą w każdej sprzyjającej chwili ktoś mógł wykorzystać.

Niemcy zapewne nie mieliby nic przeciwko temu, aby tym „kimś" byli oni. Rozmowy ze strony polskiej miał prowadzić znakomity polski oficer, znany piłsudczyk pułkownik Marian Jan Steifer, który był przedstawicielem wspomnianej wyżej „zapomnianej armii" w węgierskim ministerstwie obrony. To właśnie Węgrzy pośredniczyli w całej rozgrywce. 18 kwietnia 1941 roku Steifer wysłał do rodziny w Generalnym Gubernatorstwie niezwykle intrygujący list, którego treść ujawnił po latach Baliszewski:

> Już kilkakrotnie robiono mi ze strony węgierskiej, i to od różnych osób, propozycje, ażebym przy pośrednictwie mego dawnego kolegi z wojny światowej poszedł na układ z gospodarzem i na współpracę. Rzekomo byłoby to chętnie przyjęte, bo on nie ma żadnego kandydata na objęcie dawnego, choć bardzo zmniejszonego mieszkania, a ma mu na tem szczególnie zależeć. Jako

argument za tem wysuwają, że jednak lepiej choć cośkolwiek z mebli uratować, a zwłaszcza idzie o dzieci, które teraz cierpią najwięcej. Jak się Ty na to zapatrujesz? Z tego mogłaby być i wielka rzecz albo też i wielka hańba.

„Dawny kolega z wojny światowej" to minister obrony Węgier Károly Bartha, któremu w 1916 roku Steifer uratował na froncie włoskim życie (obaj służyli w armii Austro-Węgier). „Gospodarz" to Niemcy, a „zmniejszone mieszkanie" – Generalne Gubernatorstwo. A „meble, które można było uratować" to oczywiście Polacy cierpiący pod niemieckim buciorem. Dzieci to dzieci.

Co ciekawe, gdy o sprawie zrobiło się głośno, działający na Węgrzech w podziemiu zwolennicy Sikorskiego wytoczyli Steiferowi proces przed Obywatelskim Sądem Honorowym. Wydany 14 maja 1941 roku wyrok był zaiste kuriozalny: „Sąd nie znalazł dowodów, jakoby jakakolwiek grupa obywateli dążyła do współpracy z Niemcami, ale pułkownik dypl. dr inż. Marian Steifer źle zasłużył się Ojczyźnie". Jak więc widać po tym dwuznacznym sformułowaniu – coś było na rzeczy.

Nikt do dzisiaj nie potrafi odpowiedzieć na pytanie – pisał Dariusz Baliszewski – na czym polegała wina płk. Steifera. Jednej z najbarwniejszych, najciekawszych, a może najbardziej zasłużonych polskich postaci dwudziestolecia i lat wojny. Tak jak nikt nie potrafi odpowiedzieć na pytanie o jego dalsze losy. Wiadomo tylko tyle, że Rosjanie, którzy 17 stycznia 1945 roku „zdobywali Budapeszt", wysłali dwie ekipy NKWD. Jedna aresztowała Raoula Wallenberga, druga płk. Mariana Steifera.

Zdaniem Baliszewskiego nie ma wątpliwości, że na Węgrzech prowadzone były negocjacje o ewentualnym polsko-niemieckim kompromisie. Steifer odegrał w nich jednak tylko rolę pośrednika, a głównym graczem był sam marszałek Edward Śmigły-Rydz. Sprawy podobno zaszły tak daleko, że planowano stworzyć pod jego komendą Legion Polski, który – jak niegdyś Pierwsza Kadrowa – miał wkroczyć triumfalnie pod rozwiniętymi biało-czerwonymi sztandarami, w akompaniamencie *Mazurka Dąbrowskiego*, do Generalnego Gubernatorstwa, aby przejąć je pokojowo z rąk Niemców.

W memoriałach pisanych wówczas przez ministra spraw zagranicznych Augusta Zaleskiego znalazły się interesujące informacje na ten temat. Co ciekawe, o całej inicjatywie ten wytrawny dyplomata wypowiadał się dość ciepło.

„Niemcy" – pisał szef polskiej dyplomacji – „różnymi drogami, m.in. na terenie Węgier, usilnie zabiegają o pozyskanie Polaków. Są możliwości utworzenia rządu polskiego w kraju współpracującego z Niemcami. Fakt utworzenia takiego rządu mógłby być atutem w rozmowach z Rosjanami, skłaniając tych ostatnich do bardziej elastycznego stanowiska w różnych spornych kwestiach".

W tych węgierskich negocjacjach poważny udział miał odgrywać podpułkownik Zygmunt

Wenda, jeden z najbliższych współpracowników Śmigłego-Rydza. Dzień po wyroku Obywatelskiego Sądu Honorowego Wenda zmarł. Chcąc przestraszyć wracającą do domu żonę, schował się za tapczanem i wyskoczył zza niego, krzycząc „Akuku!”. W tym momencie złapał się za serce i padł na ziemię. Próba reanimacji się nie powiodła.

Tak przynajmniej głosi oficjalna wersja wydarzeń. Według innej cieszący się końskim zdrowiem Wenda wcale nie chorował i nie umarł na serce – lecz popełnił samobójstwo. Powodem było rzekomo jego zaangażowanie w rozmowy z Niemcami. Jak było naprawdę, pewnie nigdy się nie dowiemy. Cała afera miała jednak niezwykle spektakularny ciąg dalszy.

Rozdział 18

Leon Kozłowski przekracza front

Jest 10 listopada 1941 roku. W pobliżu miasta Orzeł na środkowym odcinku frontu Niemcy przełamują sowieckie pozycje. Eksplodują pociski artyleryjskie, słychać serie z broni maszynowej i ryk czołgowych silników. Niebo przesłaniają łuny pożarów. Czuć smród benzyny i spalenizny. Bolszewicy uciekają w panice, droga na wschód usłana jest trupami, rozbitymi czołgami i końskim truchłem. Wiatr rozwiewa porzucone bolszewickie archiwa i banknoty z wizerunkiem Lenina.

Nagle oczom żołnierzy Wehrmachtu ukazuje się niebywały widok. Z gęstego dymu przesłaniającego linię frontu wyłania się jakaś postać i idzie pewnym krokiem przed siebie. To niepozorny starszy pan w płaszczu, kapeluszu i z walizką w ręku. Zupełnie nic nie robiąc sobie z grożącego mu niebezpieczeństwa, zmierza wprost do Niemców. Zdumieni żołnierze wstrzymują ogień, opuszczają broń i patrzą z niedowierzaniem na cywila.

Gdy mężczyzna wreszcie dochodzi do niemieckich pozycji, stawia na ziemi walizkę, otrzepuje płaszcz, oddycha głęboko z ulgą i mówi do stojącego najbliżej oficera:

– Profesor Leon Kozłowski, Polak, były premier.

W ten sposób rozpoczął się jeden z najbardziej tajemniczych polskich epizodów II wojny światowej. Aby go przedstawić, musimy cofnąć się o dwa lata, do nieszczęsnego września 1939 roku. Były premier Leon Kozłowski z niesmakiem obserwował ucieczkę z walącego się kraju Śmigłego-Rydza, Becka i innych sanacyjnych dygnitarzy. Sam postanowił zostać i dzielić gorzki los swojego narodu.

Miał jednak pecha, bo Lwów, w którym pracował jako profesor archeologii, trafił pod okupację sowiecką. Tymczasem Kozłowski nie dość, że był piłsudczykiem – a piłsudczyków czerwoni nienawidzili wyjątkowo – to jeszcze był tym szefem rządu, który powołał do życia obóz odosobnienia w Berezie Kartuskiej. A więc ośrodek, w którym przed wojną siedzieli między innymi komuniści. W efekcie już 26 września Kozłowski został aresztowany przez NKWD i osadzony w lwowskim więzieniu na Zamarstynowie.

Śledztwo, któremu został poddany pięćdziesięcioletni profesor, można określić krótko – horror. Oskarżony o działalność antysowiecką były szef rządu Rzeczypospolitej był ciężko bity, upokarzany, głodzony i pozbawiany snu. Po takim „przygotowaniu” oficerowie NKWD

złożyli mu propozycję werbunku agenturalnego. Sowieckie służby zaoferowały, że wyślą go przez Turcję do polskiego rządu w Paryżu, gdzie miałby zbierać dla nich informacje.

> W tym momencie – wspominał Kozłowski – już nie wytrzymałem. Zerwałem się z krzesła wołając: „Co? Ja, minister i premier Rzeczypospolitej, mam być bolszewickim szpiegiem? Nie, nigdy!" I splunąłem na ziemię w kierunku śledczego Kremina. Ten nacisnął dzwonek znajdujący się na stole. Po chwili z sąsiedniego pokoju wpadło 6–7 enkawudzistów, którzy rzuciwszy się na mnie, powalili na podłogę. Jedni trzymali mnie za ręce, drudzy za nogi, a jeszcze inni obkładali mnie gumową pałką.
>
> Pamiętam tylko, że odruchowo zasłoniłem głowę przed uderzeniem, gdy jeden z katów skoczył na mnie kopiąc nogami. Straciłem przytomność. Nie potrafię powiedzieć, jak dostałem się z powrotem do celi, natomiast jak wyglądałem po tym „przesłuchaniu", mogą poświadczyć towarzysze z celi więziennej. Do tej pory bolą mnie plecy, mięśnie rąk i nóg i cierpię stale na zawroty głowy. Ubranie moje jest przesiąknięte krwią, utraciłem połowę zdrowia.

Ze Lwowa bolszewicy przewieźli go pociągiem do Moskwy. Tam najpierw trzymany był na Łubiance, a potem w znanym z bestialskich metod więzieniu lefortowskim. Dręczono go tam aż do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej. Gdy Hitler zaatakował Stalina, Kozłowskiego błyskawicznie postawiono przed „sądem" i skazano na śmierć jako niebezpiecznego wroga komunizmu.

Wkrótce jednak Sikorski podpisał pakt ze Stalinem i 6 września 1941 roku Kozłowski został wypuszczony. Stało się to w wyniku osobistej interwencji Andersa, bo bolszewicy – mimo ogłoszonej „amnestii" dla Polaków – akurat Kozłowskiego wypuścić nie chcieli. Z sowieckich kazamat były premier wyszedł jako strzęp człowieka. W więzieniu, w wyniku bicia i głodzenia, zachorował na szkorbut, cierpiał na dotkliwe biegunki. Wypadły mu zęby, stracił oko. Schudł o dwadzieścia kilo. Jak opowiadali świadkowie, wyglądał jak starzec.

Trudno więc się dziwić, że wkrótce po wyjściu na wolność pisał:

> Rosja, wszystko jedno jaka, carska, sowiecka czy jakakolwiek inna, jest śmiertelnym wrogiem Polski i będzie w każdych okolicznościach sięgać po nasze ziemie. Jedynie całkowita jej klęska i rozpad na wiele państw narodowych mogą zapewnić Polsce warunki trwałego, pokojowego życia. Każda Rosja będzie dążyła do zniszczenia nas, Polaków, narzucając nam swoje azjatycko-tatarskie formy bytu.

Kozłowski miał oczywiście świętą rację, można się jednak domyślać, że z takim nastawieniem w armii Andersa, do której został skierowany, nie czuł się zbyt komfortowo. Wspieranie bolszewików w walce z Niemcami było czymś, co po prostu nie mieściło mu się w głowie. Pakt Sikorskiego ze Stalinem, chociaż zawdzięczał mu życie, oceniał bardzo krytycznie.

W wojsku był zresztą sekowany przez Stanisława Kota – który na skutek jakiegoś ponurego żartu został ambasadorem Polski w Sowietach – i innych opętanych nienawiścią do sanacji

sikorszczyków. Doszło nawet do tego, że został poddany inwigilacji przez „dwójkę”. Miał spore problemy z uzyskaniem przydziału. Mimo że specjalna komisja zweryfikowała jego stopień porucznika kawalerii, zabroniono mu wstępu do kasyna oficerskiego.

Wszystko to spowodowało, że Kozłowski postanowił przejść na drugą stronę frontu. Z pomysłem tym zresztą się nie krył. „Rosji nie tylko miał dość, ale żywił do niej nienawiść, którą można nazwać zoologiczną” – wspominał Eugeniusz Lubomirski. – „Nie taił się też przede mną z zamiarem przedostania się na stronę niemiecką”.

Leon Kozłowski zniknął z polskiego obozu w Buzułuku 27 października 1941 roku. Dwa tygodnie później jadł już obiad w kasynie Wehrmachtu… Do tajemniczych okoliczności tej ucieczki jeszcze wrócimy.

Tymczasem natychmiast po przejściu Kozłowskiego na stronę niemiecką Ministerstwo Spraw Zagranicznych w Berlinie poprosiło wojsko, aby traktowało go jak VIP-a. Jak bowiem napisał w specjalnym piśmie znany nam już dobrze Hans von Moltke, był to „najbardziej przychylny Niemcom polski premier”. Kozłowski został przetransportowany samolotem do Orszy, skąd – przez Wilno i Prusy Wschodnie – zawieziono go do Berlina. Otrzymał tam pokój w hotelu Alemannia przy Anhalter Straße 10.

W Berlinie Kozłowski znajdował się pod opieką MSZ i ścisłą obserwacją Gestapo, które śledziło każdy jego krok. W stolicy Rzeszy aż huczało od plotek, że zostanie on ogłoszony premierem nowej, proniemieckiej Polski. Wkrótce rzeczywiście zorganizowana została wielka konferencja prasowa Kozłowskiego dla prasy zagranicznej. Dziennikarze wyszli z niej jednak zawiedzeni. Żaden wielki zwrot w polityce Rzeszy wobec Polski nie został ogłoszony. Kozłowski opowiadał jedynie o swoich dramatycznych przeżyciach w sowieckim piekle i niemrawo odpowiadał na pytania reporterów.

Po co były premier przeszedł linię frontu? Jakie miał plany i nadzieje? Czy rzeczywiście zamierzał podjąć grę polityczną z Berlinem? Historycy są w ocenie tej sprawy podzieleni. O tym, że Kozłowskiemu przyświecały plany polityczne, ma świadczyć notatka szefa wywiadu przy armii Andersa, podpułkownika Jana Giełguda, z 23 grudnia 1941 roku:

> Według wywodów Kozłowskiego polska racja stanu wymaga dróg do porozumienia się z Niemcami. Negatywne ustosunkowanie się społeczeństwa polskiego do planów niemieckich uważał za szkodliwe dla sprawy polskiej. Uważał, że dzięki stosunkom politycznym, jakie posiadał za czasów swego premierostwa (zawarcie paktu o nieagresji z Niemcami), oraz rzekome jego pochodzenie niemieckie stwarzają mu warunki powrotu pod okupację niemiecką oraz szukania tam współpracy politycznej z władzami niemieckimi dla dobra sprawy polskiej.

Również historyk Bernard Wiaderny twierdzi, że w Berlinie Kozłowski rozmawiał na temat utworzenia polskich struktur samorządowych, na których czele miałby stanąć. 16 stycznia 1942

roku rezydent polskiego wywiadu w Sztokholmie wysłał do Londynu następującą depeszę: „Z pewnego źródła z Berlina. Niemcy rokują z Kozłowskim o utworzeniu proniemieckiego rządu polskiego. Proponują status protektoratu w granicach Gubernatorstwa plus Kresy w granicach 1939 roku".

Mająca świetne kontakty w Rzeszy włoska arystokratka Luciana Frassati-Gawrońska pisała zaś o Kozłowskim wprost, że „Niemcy chcą zrobić z niego Quislinga". W dyplomatycznych kręgach w Stambule krążyła tymczasem informacja, że były premier miał „podjąć się organizacji antysowieckiego ochotniczego legionu polskiego". Co z tego było prawdą, co plotką – trudno dziś rozstrzygnąć.

Na pewno jednak całkowitą bzdurą były wynurzenia rotmistrza Jerzego Klimkowskiego – agenta NKWD w otoczeniu dowódcy II Korpusu.

> Anders nie wątpił w zwycięstwo Niemiec tak dalece, że nawet szukał odpowiednich ludzi i dróg dojścia do najwyższych niemieckich czynników wojskowych – pisał Klimkowski w swoim wydanym w PRL paszkwilu *Byłem adiutantem gen. Andersa*. – Uważał, że najlepszym emisariuszem spośród osób, którymi wtedy mógł dysponować, będzie były premier prof. Leon Kozłowski, który takimi samymi kategoriami jak Anders rozumował i podobnie jak on wierzył w zwycięstwo Niemiec. W sztabie w Buzułuku zaczęły się szepty i najrozmaitsze plotki na ten temat. Po cichu mówiło się o udziale Andersa w wysłaniu Kozłowskiego na rozmowy z Niemcami.

Historyk i bratanek premiera, Maciej Kozłowski – z którego znakomitej książki *Sprawa premiera Leona Kozłowskiego* zaczerpnąłem wiele informacji – ma zupełnie inną, znacznie mniej sensacyjną teorię. Otóż według niego były szef rządu wcale nie zamierzał prowadzić z Niemcami rozmów politycznych. Bolszewików nienawidził, to fakt, ale celem jego ucieczki był po prostu powrót do domu. Wolał żyć w okupowanym przez Rzeszę Lwowie, niż pozostać w szeregach polskiej armii walczącej u boku Sowietów.

Na potwierdzenie tej tezy przytacza jego prywatne listy i inne dokumenty. Uważna ich lektura daje jednak wiele do myślenia. Weźmy choćby list do brata, Tomasza, z 18 stycznia 1942 roku:

> Możesz powiedzieć komu należy, że od mego przyjazdu do Berlina stoję na stanowisku, że wszelkie rozmowy polityczne w sprawie polskiej są niemożliwe w obecnych warunkach.

A oto oświadczenie przekazane z Berlina do polskiego podziemia w lutym:

> Od pierwszej chwili stanąłem na stanowisku, że obecnie w sprawie polskiej nie może być żadnych rozmów między Polakami a Niemcami i że nikt z Polaków nie zechce z nimi rozmawiać.

Proszę zwrócić uwagę na słowa „obecnie", „w obecnych warunkach". Widać wyraźnie, że

Kozłowski, dopóki w Polsce szalało Gestapo, możliwości powołania kolaboracyjnego rządu nie widział (i słusznie!). Ale gdyby Rzesza odstąpiła od tej obłąkańczej polityki – rozwiązania takiego nie wykluczał.

Michael Foedrowitz dotarł do dokumentów świadczących o tym, że w Berlinie jednak odbyła się seria tajnych rozmów między Niemcami a Kozłowskim. Miał on zadeklarować, że gotowy jest przyjąć proniemiecki kurs, jednak pod warunkiem, iż z obozów koncentracyjnych zwolnieni zostaną polscy więźniowie i poczynione zostaną inne ulgi. Zgodnie z tą wersją wydarzeń były premier został nawet przyjęty przez Franka na Wawelu. Ta ostatnia informacja jest jednak niemal na pewno nieprawdziwa. Tak czy inaczej, do porozumienia nie doszło. Kozłowski nie dostał od Hitlera misji utworzenia nowego polskiego gabinetu.

Sprawa Kozłowskiego, jak państwo widzą, rzeczywiście jest pełna zagadek, których pewnie nie rozwikłamy już nigdy. Właściwie tylko jedno jest w niej pewne – skończyła się tragicznie. Pierwszy akt tej tragedii rozegrał się w Buzułuku. Na żądanie Sikorskiego 21 stycznia 1942 roku wytoczono tam Kozłowskiemu proces za rzekomą dezercję.

Rzekomą, bo były premier w armii nie dostał przydziału, a więc w wojsku formalnie nie był. Mimo to powołany w Buzułuku sąd w imieniu Rzeczypospolitej skazał profesora Kozłowskiego zaocznie „na karę śmierci, utratę praw obywatelskich, publicznych i honorowych, a ponadto przepadek majątku oraz zdolności dziedziczenia”. Werdykt ten zatwierdził osobiście Anders.

Jak wspominał po latach generał Klemens Rudnicki, tak surowy wyrok miał przede wszystkim uspokoić bolszewików, którzy mogli podejrzewać, że Kozłowski udał się do Niemców jako tajny emisariusz Andersa. Proces ten był kpiną z praworządności, co po śmierci Sikorskiego ustalili wojskowi prawnicy poproszeni o zbadanie sprawy przez nowego naczelnego wodza, generała Kazimierza Sosnkowskiego. Sam Kozłowski wyrok skwitował krótko: „zwykłe łajdactwo”.

> W całym zachowaniu Leona Kozłowskiego – pisał jego bratanek – zarówno podczas jego pobytu w Rosji sowieckiej, jak i w hitlerowskich Niemczech, nie ma żadnych oznak oportunizmu, działania dla własnej korzyści czy tylko dla ocalenia własnej skóry. I nawet jeśli w którymś momencie mógł, nie znając realiów reżimu hitlerowskiego, myśleć, że jakaś forma współpracy polsko-niemieckiej jest możliwa, po znalezieniu się w stolicy Trzeciej Rzeszy wszelkie na ten temat złudzenia stracił.

Drugi i ostatni akt tragedii rozegrał się w Berlinie. Niemcy nie zgodzili się na powrót Kozłowskiego do Polski (nie pozwolono mu nawet na wyjazd na pogrzeb siostry) i nakazali mu pozostać w Berlinie. Znaleziono mu pracę w tamtejszym Muzeum Etnograficznym, gdzie – chyba na złość Niemcom – prowadził prace nad historią Słowian. Wkrótce wszyscy o nim

zapomnieli, przestało się nim interesować nawet Gestapo. Mógł swobodnie poruszać się po stolicy III Rzeszy.

O byłym polskim premierze przypomniano sobie dopiero w kwietniu 1943 roku, gdy pod Smoleńskiem odnaleziono zwłoki zamordowanych przez bolszewików polskich oficerów. Kozłowski został przez Niemców przetransportowany samolotem na miejsce zbrodni. Do głębi wstrząśnięty tym, co zobaczył w sowieckich dołach śmierci, udzielił później na ten temat kilku wywiadów mediom III Rzeszy.

Po powrocie do Berlina Kozłowski dalej pracował naukowo i ze smutkiem obserwował rozwój sytuacji na froncie wschodnim. Słusznie przewidywał bowiem, że klęska Wehrmachtu w starciu z Armią Czerwoną przyniesie Polsce straszliwą klęskę. „Jestem w najwyższym stopniu zaniepokojony biegiem wypadków" – pisał – „i postępami, które robią bolszewicy. Stoimy wobec ewentualności, że mogą oni zająć całą Polskę, a to równałoby się ostatecznej naszej zagładzie".

11 maja 1944 roku doszło do kolejnego alianckiego nalotu bombowego na Berlin. Pociski spadły w pobliżu mieszkania zajmowanego przez byłego premiera Polski. W wyniku potężnych eksplozji profesor doznał szoku i zawału serca. Zmarł na miejscu. Tak zakończyła się sprawa Leona Kozłowskiego, byłego szefa rządu Rzeczypospolitej. Człowieka, który – według krążących do dziś legend – o mało nie został polskim Quislingiem.

Rozdział 19

„Muszkieterowie” wchodzą do gry

Major Wincenty Bąkiewicz, oficer wywiadu armii Andersa, otrzymał nietypowe zadanie. Miał natychmiast udać się samolotem do Moskwy i odebrać z Łubianki czterech Polaków. Mężczyźni ci zostali schwytani 18 grudnia 1941 roku przez sowieckie służby bezpieczeństwa po tym, jak przekroczyli linię frontu między Orłem a Tułą. Poinformowali oni bolszewików, że są oficerami, emisariuszami polskiego podziemia idącymi z okupowanej Polski do Andersa. Było to wydarzenie nadzwyczajne.

Po przybyciu do Moskwy Bąkiewicz otrzymał od funkcjonariuszy NKWD torbę z osobistymi rzeczami odebranymi owym osobnikom. Powiedziano mu przy tym, że sowiecka bezpieka rzeczy tych jeszcze nie zdążyła przebadać, w co Bąkiewicz oczywiście nie uwierzył. Gdy tylko znalazł się sam w hotelu, przystąpił do oględzin owych przedmiotów. To, co wśród nich znalazł, po prostu go zamurowało.

> Wśród innych drobiazgów natknął się na mydło do golenia, które okazało się skrytką – relacjonował generał Klemens Rudnicki. – Gdy ostrożnie je rozkroił, ukazał się wewnątrz mikrofilm, który był, ku jego zdziwieniu, już wywołany. Jest rzeczą zupełnie niepraktykowaną, żeby wysyłać tajną pocztę w takim stanie. Film tego rodzaju przesyła się w formie surowej, aby uległ automatycznemu prześwietleniu w wypadku otworzenia go przez niepowołane ręce.
>
> Nie ulegało zatem wątpliwości, że film został wywołany przez kogoś, zanim go Bąkiewicz dostał w swoje ręce. Tym kimś mogło być tylko NKWD. Gdy zaś zapoznał się z treścią mikrofilmu i uzmysłowił sobie, że NKWD ją zna – ogarnęło go przerażenie. Treść była bowiem kompromitująca, i to w najwyższym stopniu. Zawierała ona list szefa „Muszkieterów”, a więc Witkowskiego, do gen. Andersa, w którym wzywał generała do uderzenia na tyły bolszewickie, gdy tylko przyprowadzi swą armię na front przeciwniemiecki.

Rzeczywiście trudno się dziwić, że gdy Bąkiewicz znalazł coś takiego, niemal spadł z krzesła. Mam nadzieję, że wybaczą mi państwo, iż urwę tę sensacyjną historię i przedstawię główne osoby dramatu. Zacznę od wspomnianego sprawcy całego zamieszania, Stefana Witkowskiego, szefa organizacji „Muszkieterowie”.

Był to człowiek niezwykle tajemniczy i ekscentryczny. Inżynier, który miał opinię genialnego wynalazcy. Jeszcze przed wojną wymyślił ponoć dla polskiej armii… promienie śmierci oraz potężny akumulator o kształcie i wielkości gruszki. Witkowski miał wówczas utrzymywać kontakty z zainteresowanym jego wynalazkami prezydentem Ignacym Mościckim, poznał też

nieźle marszałka Śmigłego-Rydza, co w przyszłości miało przynieść dość osobliwe owoce.

Przed wojną współpracował również z Oddziałem II. Gdy Polska znalazła się pod okupacją, zaczął zaś w Warszawie montować ściśle tajną – niezależną od ZWZ – organizację wywiadowczą. Nadał jej nazwę „Muszkieterowie" i stanął na jej czele jako „komendant", używając pseudonimu „Doktor Zet".

O działalności „Muszkieterów" napisano sporo i niemal zawsze utrzymane to było w duchu niezwykle sensacyjnym. Stąd trudno dziś powiedzieć, co jest bzdurą, jak wspomniane już promienie śmierci, a co prawdą. Według jednej z opowieści Witkowski jeździł po całej Europie, podając się za oficera Gestapo barona Augusta von Thierbacha, a siecią swoich agentów oplótł cały kontynent. Jeden z nich miał nawet pracować w kancelarii Hitlera.

Witkowski wymyślił dla siebie rodzaj munduru – wspominał jeden z „Muszkieterów", Kazimierz Leski – bryczesy i kurtkę z czarnej skóry. Mówił, że tak przedstawiać się będą „Muszkieterowie" po wojnie. Dość dużą wagę przykładał do aspektu teatralnego organizacji. Oprócz munduru miała ona otrzymać również godło w postaci ryngrafu z wyobrażonym na nim Orłem Polskim, na którego tle miała być wyryta Matka Boska.

Inne opowieści mówią o tym, że pod Halą Mirowską Witkowski produkował na skalę fabryczną fałszywe pieniądze. W willi pod Warszawą miał natomiast do dyspozycji „lochy" kryjące magazyn z bronią, mundurami i innym sprzętem, które chronił skomplikowany system alarmowy. W stworzonych przez niego tajnych zakładach rzemieślniczych miano z kolei produkować szpiegowskie gadżety, które przypominały rekwizyty znane nam dziś z filmów o Jamesie Bondzie.

Tyle legenda. Pewne jest zaś to, że „Muszkieterowie" byli rzeczywiście służbą znakomitą. Przy znikomych stratach własnych potrafili zdobyć niezwykle cenne informacje. Wzbudzało to podziw przeciwnika, który oceniał „Muszkieterów" niezwykle wysoko. Prawdą jest też to, że prężnie działająca organizacja i jej „separatyzm" wywoływały coraz większą irytację generała Sikorskiego w Londynie i generała Grota-Roweckiego w Warszawie. „Muszkieterowie" byli bowiem podobno znacznie sprawniejsi niż wywiad ZWZ.

Sytuację zadrażniało również to, że organizacja Witkowskiego utrzymywała kontakty z wywiadem brytyjskim, z pominięciem kierownictwa Polski Podziemnej i polskiego rządu. Co więcej, Brytyjczycy bardzo sobie tę współpracę chwalili. Trudno się chyba jednak temu dziwić, skoro „Muszkieterowie" byli jedyną służbą świata prowadzącą wówczas szeroką działalność szpiegowską na terenie Związku Sowieckiego.

Tymczasem na przełomie 1940 i 1941 roku nastąpiło coś – oczywiście z perspektywy sikorszczyków – „jeszcze gorszego". Otóż „Muszkieterowie" nawiązali kontakty z wywiadem

niemieckim. Sprawę ułatwili biali Rosjanie, a zarazem oficerowie Abwehry, pułkownik Boris Smysłowski i major Włodzimierz Bondorowski. Nawiasem mówiąc, ciekawe i malownicze postacie okupowanej Warszawy. Ten ostatni, według jednej z konspiracyjnych legend, miał być zresztą… partnerem żony Stefana Grota-Roweckiego (państwo Roweccy byli w separacji).

Po wybuchu wojny z Sowietami kontakty na linii Witkowski–Niemcy stały się intensywniejsze. „Kapitan Muszkieterów" – raportował major Stanisław Sławiński z kontrwywiadu ZWZ – „jeździł w październiku czy listopadzie 1941 roku do Berlina, na jakąś konferencję fachową, w której miał brać udział przedstawiciel generała Keifla [zapewne chodzi o Wilhelma Keitla – przyp. P.Z.], minister kancelarii Rzeszy i przedstawiciel gabinetu wojskowego Hitlera".

Współpraca „Muszkieterów" z Abwehrą nie była niczym zdrożnym. Wprost przeciwnie – na dłuższą metę była korzystna dla Rzeczypospolitej. Organizacja Witkowskiego dostarczała bowiem niemieckiemu wywiadowi wojskowemu tylko i wyłącznie informacje na temat Armii Czerwonej. Czyli robiła odwrotnie niż wywiad ZWZ, który przekazywał Sowietom informacje na temat Niemców – działając na szkodę Rzeczypospolitej.

„Początkowo Niemcy szukali danych na temat stanu dróg, węzłów kolejowych i lotnisk" – pisał Dariusz Baliszewski. – „Niebawem jednak zwrócili się z prośbą o pomoc w opracowaniu struktury sowieckiej dywizji pancernej". Dane te były przekazywane w specjalnie do tego celu wynajętym mieszkaniu na warszawskim Powiślu. Z pomocą Abwehry Witkowski przerzucił również do Związku Sowieckiego trzech swoich wywiadowców. Ostatni z nich, sierżant Wiśniewski, miał przejść na drugą stronę w przeddzień ataku Hitlera na Stalina.

Właśnie w takich okolicznościach doszło do wspólnego przedsięwzięcia „Muszkieterów" i niemieckich tajnych służb, od którego rozpoczął się ten rozdział. A więc przekroczenia linii frontu przez grupę kurierów z listem do generała Władysława Andersa. Na czele tej misji stanął jeden z najzdolniejszych „Muszkieterów", rotmistrz Czesław Szadkowski. Prywatnie był to wuj Wojciecha Jaruzelskiego, przyszłego dyktatora PRL-u.

Szadkowski po wojnie został aresztowany przez komunistów, poddany śledztwu i postawiony przed sądem, który skazał go na pięć lat więzienia, dzięki czemu w archiwum IPN znajdują się dziś protokoły jego przesłuchań. Jak zeznał, całą akcję koordynowało dwóch niemieckich oficerów, major Marchwitz i podporucznik Zahl. To z nimi Szadkowski ustalił sposób przerzutu grupy, rodzaj sprzętu, jaki mają zabrać Polacy, i postawione im zadania.

Niemcy mieli bowiem nadzieję, że Polacy podczas pobytu w Sowietach zbiorą dla nich przy

okazji informacje wywiadowcze. Szadkowskiemu, który był kawalerzystą, miało towarzyszyć trzech oficerów specjalistów: od lotnictwa, piechoty i artylerii. Polacy prosili Niemców, żeby przerzucili ich na południe Związku Sowieckiego, nad Morze Czarne. Abwehra zdecydowała jednak, że przerzut nastąpi w pobliżu Tuły.

„Wywiad niemiecki zaopatrzył nas w buty skórzane" – zeznawał Szadkowski – „kurtki wełniane cywilne oraz ciepłą bieliznę. Ponadto otrzymaliśmy po 10 tysięcy rubli. Mieliśmy ponadto otrzymać dwa pistolety od wywiadu niemieckiego".

Kilka dni wcześniej Szadkowskiego wezwał do siebie Witkowski. Wręczył mu kartkę do Andersa napisaną przez żonę generała. Rzecz była ważna, bo generałowa w jednej z warszawskich klinik miała akurat przejść operację wycięcia guza macicy i chciała poinformować męża, jak się czuje. Wiadomość była krótka: „Jestem zdrowa". Najważniejszy był jednak oczywiście drugi dokument, ów list od Witkowskiego do Andersa, który wkrótce w mydle do golenia miał znaleźć major Bąkiewicz.

W treści zawarte było to, że wrogiem numer jeden jest Związek Sowiecki i należy dążyć do tego, by wykrwawił się zarówno Związek Sowiecki, jak i Niemcy – zeznawał po wojnie Szadkowski, któremu Witkowski przeczytał list. – A także prośba, by generał Anders dopomógł ekipie „Muszkieterów" w wykonaniu zadania. W dalszej części listu było stwierdzone, że należy zebrać wiadomości o dyslokacji wojsk sowieckich, uzbrojeniu i wyposażeniu Armii Czerwonej, o przemyśle i produkcji wojennej ZSRS i o nastrojach w społeczeństwie sowieckim dla wywiadu niemieckiego.

Jak widać, Szadkowski, i słusznie, nie mówił ubekom wszystkiego.

Wróćmy jednak do roku 1941. Rotmistrz list zmikrofilmował, wsadził do pudełka po grafitach do ołówków i ukrył w mydle do golenia. 3 grudnia grupa polskich i niemieckich oficerów ruszyła w drogę na front wschodni z dworca Warszawa Główna. Jechali przez Lwów, Połtawę i Charków. We frontowej placówce niemieckiego wywiadu wojskowego udzielono „Muszkieterom" ostatnich instrukcji i nadano grupie kryptonim „Kwartet".

Przejście nastąpiło 17 grudnia 1941 roku pod wsią Karopkina. Na dany znak Niemcy ostrzelali z artylerii sowieckie pozycje, odwracając uwagę bolszewików. Wówczas, pod osłoną ognia karabinów maszynowych Wehrmachtu, polscy oficerowie szczęśliwie przebiegli przez pas ziemi niczyjej i forsownym marszem przeszli dwa–trzy kilometry w głąb wrogiego terytorium. Niestety szybko jednak zostali schwytani przez czujne sowieckie służby.

Trafili na Łubiankę, skąd przekazano ich majorowi Bąkiewiczowi. Zdaniem generała Klemensa Rudnickiego Sowieci odkryli i przeczytali ukryty w mydle mikrofilm. Przekazali go jednak Polakom, chcąc sprawdzić, jak w tej sytuacji zachowa się Anders. Polski generał znalazł się więc w niezwykle trudnym położeniu. O tym, że początkowo wahał się, co robić, świadczy to, że po przybyciu czterech emisariuszy do Buzułuku wydał na ich cześć uroczysty

bankiet.

Wkrótce zostali jednak aresztowani i po kilku miesiącach, latem 1942 roku, wytoczono im proces za zdradę Polski na rzecz III Rzeszy. Szadkowski został zaś skazany na karę śmierci, którą zamieniono na dziesięć lat więzienia. A trzech pozostałych „Muszkieterów" uniewinniono, jako nieświadomych treści listu. Po wyjściu armii Andersa z „nieludzkiej ziemi" rotmistrz odsiadywał wyrok w Iraku i Jerozolimie, gdzie przeszedł na islam. Zwolniono go dopiero w lutym 1945 roku na telefoniczny rozkaz generała Mariana Kukiela.

> W położeniu, gdzie tak bardzo potrzebowaliśmy zaufania gospodarzy, ażeby stworzyć armię – tłumaczył generał Rudnicki – wszelkie rzucanie na nas podejrzeń współpracy z Niemcami było wręcz zbrodnią. Szukając jakiegoś rozsądnego wyjścia z tej gmatwaniny nie było innej rady, jak przyjąć współpracę oficerów z gestapo jako udowodnioną i oddać ich pod nasz sąd polowy. Takie rozwiązanie zostało przyjęte przez NKWD bez żadnych komentarzy i na tym ta błaha, ale niemiła sprawa skończyła się.

Sprawa oczywiście nie była błaha, o czym może świadczyć zdecydowana reakcja polskiego podziemia.

18 września 1942 roku Stefan Witkowski wyszedł jak co dzień ze swojego mieszkania przy Wareckiej 9. W bramie natknął się na dwóch ludzi w mundurach niemieckiej policji kryminalnej. Widząc go, od razu otworzyli ogień z pistoletów. Witkowski instynktownie rzucił się do tyłu, uniknął kul i wbiegł z powrotem po schodach. Wpadł do pierwszego z brzegu mieszkania i zadzwonił stamtąd po swoją ochronę.

Popełnił jednak fatalny błąd. Sądząc, że napastnicy po oddaniu kilku strzałów uciekli, ponownie wyszedł na schody. Tym razem egzekutorzy nie chybili. Witkowski zginął na miejscu, przeszyty kilkoma pociskami. Do rękawa trupa przypięto kartkę z napisem: „Największy polski bandyta". Była to próba upozorowania, że „Doktora Zet" zamordowali Niemcy. W rzeczywistości został zastrzelony przez komórkę likwidacyjną AK. Wyrok wydał osobiście Grot-Rowecki.

Generał w meldunku wysłanym do Londynu stwierdził, że była to kara za „systematyczne próby wyłamywania się, prowadzenia dwuznacznej gry z kontrwywiadem niemieckim, gestapo i wywiadem angielskim". Tak skończyła się historia jednej z najbarwniejszych i najbardziej tajemniczych postaci polskiej konspiracji. Po śmierci Witkowskiego jego organizacja rozpadła się i została ostatecznie wcielona do Armii Krajowej. Jak napisał Dariusz Baliszewski, był to koniec świata „Muszkieterów".

Rozdział 20

Wielka rozgrywka Śmigłego

Pora, aby wątki poruszone w poprzednich trzech rozdziałach połączyć. Otóż według Dariusza Baliszewskiego i profesora Pawła Wieczorkiewicza sprawy te były ze sobą ściśle powiązane. Stanowiły część niezwykle skomplikowanej intrygi, która – w razie powodzenia – zatrzęsłaby geopolityczną mapą Europy. Centralną figurą tej rozgrywki miał być Edward Śmigły-Rydz, który w 1941 roku uciekł z Węgier i potajemnie przedostał się do okupowanej Polski.

Jedną z możliwych prób wyjaśnienia zagadki jest przypuszczenie – pisał profesor Wieczorkiewicz – że Śmigły znalazł się w Polsce przede wszystkim po to, aby wobec nowej sytuacji strategicznej, jaką stworzył wybuch wojny niemiecko-sowieckiej i pasmo klęsk Armii Czerwonej, wszcząć rozmowy ostatniej szansy z czołowymi osobistościami Trzeciej Rzeszy. Podobną inicjatywę w tym samym czasie podjął Leon Kozłowski. W obu przypadkach w tle wydarzeń znajdowała się tajemnicza organizacja „Muszkieterów".

Sprawa kontaktów polsko-niemieckich, traktowana jako haniebna, była przez lata skrzętnie utajniana przez jej świadków i uczestników i starannie skrywana milczeniem przez historiografię. Jesień 1941 roku tymczasem bardzo źle wróżyła sprawie polskiej. Ponieważ Stany Zjednoczone dalekie były, jak się wydawało, od porzucenia neutralności, a Trzecia Rzesza nader bliska triumfu nad Związkiem Sowieckim, co oznaczało utrwalenie jej hegemonii na kontynencie europejskim na dłuższy okres.

Powinnością narodową stawało się zatem, podobnie jak i w roku 1940 po klęsce Francji, poszukiwanie jakiejś formy kompromisu dozwalającego Polakom znaleźć najskromniejsze nawet miejsce w niemieckiej „Nowej Europie".

Pytanie tylko, czy rzeczywiście taki plan istniał. Czy Śmigły, Witkowski i Kozłowski połączyli siły, aby ową „powinność narodową" wypełnić. Rozstrzygających źródeł, co zrozumiałe ze względu na drażliwość sprawy, nie ma. Są jednak mocne przesłanki. Otóż według części relacji Leon Kozłowski po przekroczeniu linii frontu nie pojechał od razu do Berlina, ale został potajemnie przywieziony do Warszawy.

W końcu listopada 1941 r. idąc w Warszawie po ulicy Krakowskie Przedmieście ujrzałem starszego mężczyznę z bródką – mówił już po wojnie ówczesny szef osobistej ochrony marszałka Śmigłego-Rydza. – Gdy minęliśmy go, członkowie mojej ekipy zwrócili mi uwagę, że to jest Leon Kozłowski. Zdziwiliśmy się wówczas, co on tutaj robi, i to wszystko.

Uliczne spotkanie oczywiście nie było przypadkowe. Kozłowski miał bowiem przyjechać do stolicy specjalnie na spotkanie ze Śmigłym-Rydzem. Zdaniem Baliszewskiego w warszawskiej konferencji brali udział również konserwatywni zwolennicy ugody z Niemcami, a więc książę

Janusz Radziwiłł i Edward Kleszczyński, a do tego przedstawiciel episkopatu. Spotkanie miało się odbyć na Powiślu, w rejonie ulic Tamka i Kopernika.

Nietrudno zauważyć, że to ten sam adres, pod którym znajdowało się mieszkanie służące „Muszkieterom" do kontaktów z Abwehrą. Mająca dobre relacje z obydwiema stronami – piłsudczykami i Niemcami – organizacja Witkowskiego miała odegrać rolę pośredników.

Warto również zwrócić uwagę na to, że obaj główni gracze – Śmigły i Kozłowski – wyruszyli w drogę do Polski z zupełnie innych części świata, ale niemal w tym samym dniu: pierwszy 26, a drugi 27 października 1941 roku. Szczególnie podejrzana jest oczywiście ucieczka Leona Kozłowskiego. Opowieść o tym, że wycieńczony sowieckim więzieniem były polski premier przemierzył 2,5 tysiąca kilometrów Związku Sowieckiego bez wymaganych przepustek i dokumentów, jest całkowicie niewiarygodna. Sam Kozłowski twierdził, że przeprowadził go jakiś tajemniczy towarzysz, którego spotkał przypadkowo na swojej drodze.

> Trzeba nic nie wiedzieć, jak wyglądała i co się działo wówczas na linii frontu, która była w myśl rozkazów Stalina linią śmierci, by uwierzyć, że Kozłowski zdołałby do niej dotrzeć i jakimś cudem ją przekroczyć – pisał Dariusz Baliszewski. – Cofające się oddziały rosyjskie pozostawiały za sobą jedynie martwą ziemię, w każdym obcym doszukując się szpiega albo dywersanta. Z tajnych dokumentów przechowywanych w teczkach generała Tokarzewskiego-Karaszewicza wynika, że Kozłowskiego prowadziło dwóch wysokich oficerów, wyposażonych w stosowne rozkazy i wszystkie niezbędne sowieckie przepustki.

Rzeczywiście Kozłowskiego ktoś musiał przez front przerzucić. Pytanie tylko kto? Bolszewicy nie mieli w tym żadnego interesu, a Polacy – możliwości. Pozostaje więc tylko Abwehra. Kozłowski przeszedł przecież przez linię frontu w pobliżu miejsca, w którym przekroczyli ją – tyle że w drugą stronę – zmierzający do Andersa emisariusze „Muszkieterów". W obu wypadkach użyto więc najwyraźniej tego samego kanału przerzutowego.

Wspominałem wyżej o szefie ochrony Śmigłego-Rydza w okupowanej Warszawie. Otóż był nim nie kto inny jak… rotmistrz Czesław Szadkowski z organizacji „Muszkieterowie". Tak, ten sam, który został wysłany ze straceńczą misją do generała Andersa. Marszałek był zaś nie tylko poinformowany o wyprawie, ale i przed odjazdem osobiście instruował Szadkowskiego, co ma powiedzieć Andersowi.

Według profesora Wieczorkiewicza pod zmikrofilmowanym dokumentem ukrytym w mydle do golenia nie widniał więc podpis Witkowskiego – nieznany szerzej inżynier nie mógł przecież wydawać poleceń generałowi – ale podpis samego marszałka Śmigłego-Rydza. To on miał rozkazać polskiej armii w Związku Sowieckim uderzyć na tyły Armii Czerwonej i w ten spektakularny sposób oznajmić światu, że Polacy wracają do idei Józefa Piłsudskiego i przechodzą na stronę Niemców.

Podczas wspomnianego bankietu w Buzułuku wydanego na cześć Szadkowskiego i jego towarzyszy służący wówczas u Andersa pułkownik Leopold Okulicki w pewnym momencie wypalił: „A co się dzieje ze Śmigłym-Rydzem?”.

Padały różne odpowiedzi – relacjonował Szadkowski. – Jedni twierdzili, że jest w Budapeszcie, inni, że w Ankarze. Wszyscy patrzyli pytająco na mnie. Nachyliłem się do Andersa i cicho powiedziałem:

– To, co mam do przekazania, przeznaczone jest wyłącznie dla pana generała. Proszę o rozmowę na osobności…

Gdy do niej niebawem doszło, powiedziałem:

– Śmigły jest w Warszawie i razem z legionistami szykują zamach na Sikorskiego.

Anders był wstrząśnięty i zaskoczony.

W ten sposób wszystkie elementy układanki składają się w całość. Gra rozpoczęła się wiosną 1941 roku w Budapeszcie, gdzie pułkownik Marian Steifer rozmawiał z wysłannikami Niemiec. Ustalono wówczas, że „nietoperze” wracają do domu, aby przejąć kontrolę nad podziemiem. „Śmigły-Rydz” – pisał Dariusz Baliszewski – „powracał na czele kilkudziesięcioosobowego legionu swych oficerów, wbrew popularnej legendzie, nie jako prosty żołnierz, który pragnie w walce odkupić swoje przeszłe winy”.

Ów legion oficerów był gotową kadrą podziemnej organizacji. Śmigły wiązał duże nadzieje z tym, że dowódcą ZWZ był Stefan Rowecki – były legionista, jego podkomendny z czasu wojny z bolszewikami. Oficer, który – wbrew furiackim atakom Sikorskiego i Kota – utrzymywał w strukturach polskiego podziemia wielu piłsudczyków. Marszałek liczył więc na to, że po przyjeździe do kraju bez większego problemu podporządkuje sobie „Grota” i przejmie dowodzenie konspiracją.

Nadzieje te jednak spaliły na panewce. Śmigły, jak stwierdzono w relacji, do której dotarł Tomasz Szarota, spotkał się w Warszawie z dowódcą ZWZ w konspiracyjnym mieszkaniu przy ulicy Marszałkowskiej 4. Rozmowa – jeżeli do niej faktycznie doszło – nie przyniosła jednak spodziewanych rezultatów. Dość powiedzieć, że trwała zaledwie pół godziny. Dowódca ZWZ, mimo że podobno nie bez wahań, zdecydował się dotrzymać wierności rządowi w Londynie.

Choć do powstania proniemieckiego rządu kolaboracyjnego nie doszło – pisał Baliszewski – to jednak w Warszawie w listopadzie 1941 roku formowany był gabinet rządowy i ktoś, jak wynika z relacji pani Władysławy Namysłowskiej, rozdzielał nominacje rządowe. Jej mąż, prokurator Józef Namysłowski, blisko związany wówczas z marszałkiem Śmigłym, otrzymał nominację na wojewodę pomorskiego, co daje pewne pojęcie o zakresie tajnych niemieckich koncesji na rzecz Polski.

Jak w szczegółach mogłoby wyglądać takie polsko-niemieckie porozumienie? Tu skazani jesteśmy na przypuszczenia. Założyć jednak należy, że ze względu na najwyższą rangę na czele

nowego, proniemieckiego reżimu – zapewne jako dyktator – stanąłby marszałek Edward Śmigły-Rydz. Stałby się wówczas polskim odpowiednikiem marszałka Philippe'a Pétaina czy węgierskiego regenta Miklósa Horthyego.

Leon Kozłowski dostałby nominację na premiera, a piłsudczykowscy oficerowie przybyli z Węgier obsadziliby najważniejsze stanowiska w Związku Walki Zbrojnej. W oparciu o podziemne struktury przystąpiono by zaś następnie do odbudowy regularnego Wojska Polskiego, które wzięłoby udział w walce z bolszewizmem. Głównym atutem w rękach Śmigłego miała być jednak oczywiście armia generała Andersa, która – zgodnie z poleceniem zawartym w mikrofilmie Szadkowskiego – przeszłaby na stronę Wehrmachtu.

Pozostaje tylko pytanie, kto ze strony niemieckiej brał udział w snuciu tych planów? Wehrmacht? Resort dyplomacji? Tajne służby? A może Kancelaria Rzeszy? Tu również nie wiadomo nic pewnego. Warto jednak odnotować pewną hipotezę, którą postawił Zbigniew Stańczyk, były opiekun polskich archiwów zdeponowanych w Instytucie Hoovera na Uniwersytecie Stanforda w Kalifornii. Otóż po analizie licznych dokumentów wywiadowczych z epoki doszedł on do wniosku, że Śmigły swoją akcję uzgadniał z nastawionymi opozycyjnie wobec reżimu Hitlera oficerami Wehrmachtu, ludźmi zaangażowanymi w spisek mający na celu obalenie Hitlera i jego reżimu. Niewykluczone więc, że marszałek planował bić czerwonych u boku nowych, normalnych Niemiec.

Czy takie plany rzeczywiście były? Część historyków twierdzi, że cała sprawa jest wymysłem. O tym, że coś było na rzeczy, świadczy jednak wyjątkowa nerwowość, jaką w owych dniach okazywał Sikorski i jego otoczenie. Na wieść o przedarciu się Śmigłego do Generalnego Gubernatorstwa premier wysyłał pełne niepokoju depesze do Grota-Roweckiego.

> Już sama obecność marszałka Śmigłego w Kraju – pisał Sikorski – byłaby wysoce szkodliwa dla sprawy polskiej. Musiałaby bowiem spowodować dezorientację, stając się przeszkodą w wysiłku organizowania społeczeństwa do walki zbrojnej z Niemcami. Rząd polski traktowałby tę obecność jako dywersję jego pracy dla Kraju, tym bardziej iż trudno przypuścić, aby marszałek Śmigły przekraczał granicę Kraju bez określonych zamierzeń i planów.

24 marca 1942 roku, podczas spotkania z amerykańskim prezydentem Franklinem Delano Rooseveltem, Sikorski mówił zaś wprost o tym, że Rzesza kusi Polaków. „Niedawno, bo zaledwie 20 stycznia, wszystkie polityczne partie Polski zadeklarowały swoją jednomyślną decyzję nieulegania sugestiom niemieckim i nieuczestniczenia Polski w jakiejkolwiek bądź formie w kampanii antyrosyjskiej, w zamian za co Polacy mieli obiecane przywrócenie normalnych warunków na terytorium polskim".

Doprawdy, czytając te słowa, trudno zrozumieć, z czego Sikorski był taki dumny i z czego się tak cieszył. Oto premier Rzeczypospolitej wyraża satysfakcję z tego, że zaprzepaszczona została szansa na położenie kresu ludobójstwu dokonywanemu na jego rodakach. Informacje na temat całej kombinacji tymczasem szybko przeciekły do prasy. Na przykład nowojorski „Nowy Świat" opublikował artykuł opatrzony dużym tytułem: *Marszałek Śmigły-Rydz nie przyjął Gubernatorstwa*.

Ówczesny wicepremier Stanisław Mikołajczyk miał zaś napisać z Londynu pełen niepokoju list do Delegata Rządu na Kraj. „Proszę wyjaśnić" – denerwował się – „okoliczności pobytu w Polsce Rydza i czynników współpracujących, według naszych informacji, z Niemcami na podstawie porozumienia i ugody z Julianem Piaseckim i Wacławem Lipińskim".

Dlaczego cała operacja zakończyła się fiaskiem? Dariusz Baliszewski wskazuje na nagły zwrot w sytuacji wojennej. Niemcom ostatecznie nie udało się zdobyć Moskwy i front utknął na zimę w samym centrum Związku Sowieckiego. Tym razem taktyka Blitzkriegu nie wypaliła i wojna przeistoczyła się w długi, wyniszczający konflikt. To zaś przekreśliło nadzieje na szybkie zorganizowanie „nowej niemieckiej Europy", a w jej ramach „nowej proniemieckiej Polski".

Mnie ten argument nie przekonuje. Praktyka wskazuje bowiem, że im gorzej wiodło się Niemcom na froncie, tym byli bardziej skorzy do szukania kompromisu z Polakami – liczyli bowiem na pozyskanie nowego sojusznika. Gdy Niemcy odnosili triumfy, o Polakach nie chcieli zaś słyszeć.

O niepowodzeniu akcji – jeżeli oczywiście do niej doszło – zdecydowała, jak się wydaje, odmowa dwóch generałów, do których zwrócił się Śmigły: Stefana Grota-Roweckiego i Władysława Andersa. Gdy marszałkowi nie udało się przejąć ZWZ ani polskiej armii w Sowietach, stracił główne atuty, które mógł położyć na stole podczas targów z Niemcami. W wypadku Andersa sprawa przybrała zresztą niesmaczny obrót. Otóż poczuł się on w obowiązku zakomunikować swój wybór za pośrednictwem moskiewskiej „Prawdy".

„Za generałem Sikorskim idzie cały naród polski" – powiedział w wydrukowanym przez sowiecki dziennik wywiadzie – „jeśli nie liczyć nielicznej garstki odszczepieńców składających się ze Śmigłego-Rydza, Becka i im podobnych".

W ten sposób zakończyła się jedna z najbardziej tajemniczych polskich afer II wojny światowej. A na zaangażowanych w nią ludzi posypały się wyroki śmierci. Na najwyższy wymiar kary skazano rotmistrza „Muszkieterów" Czesława Szadkowskiego i jego szefa Stefana Witkowskiego. Wyrok taki otrzymał także zaocznie Leon Kozłowski i tylko to, że znalazł się w Berlinie, uchroniło go przed kulami rodaków.

Śmierć rychło poniósł również sam Edward Śmigły-Rydz. Stało się to w podejrzanych okolicznościach. Mamy tu do czynienia z sytuacją kuriozalną. Choć marszałek był jedną z kilku najważniejszych postaci naszej historii najnowszej, do dzisiaj nie wiemy, jak, gdzie i kiedy zginął. Nie wiemy także, gdzie znajdują się jego doczesne szczątki.

Rozdział 21

Marszałek zamordowany?

Zacznijmy od wersji oficjalnej. Według niej Edward Śmigły-Rydz zmarł 2 grudnia 1941 roku w Warszawie. Miało to nastąpić przy ulicy Sandomierskiej 18 w mieszkaniu numer 6 należącym do wdowy po dowódcy polskich wojsk pancernych generale Włodzimierzu Maxymowiczu-Raczyńskim. Wersja ta oparta jest przede wszystkim na relacji samej generałowej, która po wojnie co najmniej kilkakrotnie barwnie o tym pisała i opowiadała.

Marszałek Śmigły-Rydz po przyjeździe do Warszawy – na przełomie października i listopada 1941 roku – rzeczywiście skorzystał z jej gościny. W mieszkaniu pani Jadwigi przyjmował swoich oficerów, analizował przychodzące raporty, snuł plany polityczne, a w wolnych chwilach czytał i kładł pasjanse. Tuczony przez generałową i jej pokojówkę Rózię obfitym domowym jedzeniem odpoczywał po trudach podróży z Węgier. Tragedia miała się wydarzyć 27 listopada.

> Około 1-ej w nocy obudził mnie jęk dochodzący z przedpokoju – opisywała Jadwiga Maxymowicz-Raczyńska. – Zerwałam się, wpadłam na korytarz i zobaczyłam marszałka leżącego przy drzwiach do kuchni, na podłodze. Był w nocnej piżamie. Twarz blada, wpadnięta, czoło pokryte kroplami potu. „Co się stało?” Marszałek odpowiedział słabym głosem: „Bardzo mi jest źle. Boli serce”.

Tak podobno wyglądał pierwszy atak. Generałowa razem z Rózią w kolejnych dniach doglądały Śmigłego, sprowadzały do niego zaufanych lekarzy. Stan zdrowia chorego to się poprawiał, to pogarszał. W nocy z 1 na 2 grudnia nastąpiła gwałtowna zapaść.

> Marszałek rzucał się niespokojnie [po łóżku], na policzkach miał wypieki, w oczach przerażenie – relacjonowała generałowa. – Jęczał przez zaciśnięte usta. Kiedy podchodziłam ze strzykawką napełnioną morfiną, sam gwałtownie podciągnął nogawkę pidżamy, aby obnażyć udo do zastrzyku. Zaraz potem pobiegłyśmy do kuchni, żeby napełnić termofor gorącą wodą i położyć na serce. Zanim zdążyłam to zrobić, wpadł Marcin [Zalewski] z okrzykiem: „Proszę pani, już…”. Wbiegłam do pokoju, marszałek nie żył. Uklękliśmy wokoło łóżka modląc się o spokój jego duszy.
>
> Następnie zamknęłam mu oczy i z pomocą pana Marcina i Rózi umyłam zwłoki. Marszałek tuż po śmierci twarz miał spokojną, usta lekko rozchylone i mogłam je zamknąć bardzo łatwo, nawet nie było konieczne podwiązywanie brody, chociaż też to zrobiłam. U wezgłowia postawiłam obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, ręce oplotłam różańcem, który Marszałek dostał od inżyniera Witkowskiego (różańce poświęcone przez papieża przywiózł ksiądz Łaski dla „Muszkieterów”) i ustawiłam zapalone świece.

Ciało Śmigłego przeleżało przy Sandomierskiej półtora dnia. Dopiero 3 stycznia po południu do mieszkania przyjechał Julian Piasecki, przywódca piłsudczykowskiej organizacji podziemnej Obóz Polski Walczącej. Przywiózł on lekarza, doktora Lotha, który miał ze sobą trzy walizy. Lekarz ten, Bóg raczy wiedzieć po co, przystąpił w mieszkaniu do drastycznego zabiegu. Otóż zmumifikował on ciało Śmigłego-Rydza.

> Poprosił, aby rozpalić w kuchni duży ogień – wspominała gospodyni – i dać kilka prześcieradeł, które wziął do pokoju zmarłego, zabierając także rozkładaną drabinkę. Nie pamiętam, jak długo to trwało. Razem z Rózią byłam w tym czasie w kuchni. Pan Julian parę razy wchodził, przynosząc zawiniątka z prześcieradeł poplamione krwią i surowicą i sam wrzucał je do ognia. Weszłam [potem] do pokoju zmarłego. Po balsamowaniu wyraz twarzy był zmieniony, jakiś obcy. Bardzo nabrzmiały żyły na skroniach.

Po tym groteskowym zabiegu ciało Śmigłego przychodzili oglądać jego podkomendni. Przynieśli oni nawet dwa duże wieńce ze wstęgami… Virtuti Militari. 4 grudnia zniesiono marszałka do karawanu. Uroczysty pogrzeb odbył się dwa dni później na Powązkach. Wzięło w nim udział ponad dwudziestu oficerów piłsudczyków. Marszałek spoczął w grobie jako Adam Zawisza, na takie nazwisko miał bowiem wystawioną fałszywą kenkartę. Jako przyczynę zgonu uznano angina pectoris, czyli chorobę niedokrwienną serca.

Tyle wersja oficjalna. Oparta jest ona w dużej mierze na relacji generałowej. Relacji pełnej niedopowiedzeń i sprzeczności. Jadwiga Maxymowicz-Raczyńska za każdym razem opisywała zresztą to zdarzenie nieco inaczej. Generałowa miała skłonność do mitomanii, była osobą dość ekscentryczną.

Sporo mówi o niej pewna, opowiadana zresztą przez nią samą, anegdota. Otóż w 1938 roku, kiedy jej mąż przebywał na delegacji służbowej w Berlinie, ona bawiła w kawiarni Lardellego przy Polnej z pewnym oficerem. Przy sąsiednim stoliku siedział zaś człowiek, który bez przerwy wbijał w nią świdrujące spojrzenie. W końcu towarzyszący damie oficer podszedł do nieznajomego, aby go upomnieć. Okazało się, że jest to znany w całej Polsce jasnowidz.

„Generałowa siedzi tu i śmieje się” – powiedział – „gdy właśnie w tej chwili umiera jej mąż”. Słowa te zostały uznane za ponury żart. Gdy Maxymowicz-Raczyńska wróciła do domu, po kilku godzinach przyszła do niej jednak depesza informująca o zgonie generała.

Wróćmy do śmierci Śmigłego. Otóż nawet Raczyńska w jednej ze swoich relacji sugerowała, że Śmigły wcale nie umarł na angina pectoris, ale został otruty. Jako sprawcę wskazywała Juliana Piaseckiego, który miał walczyć z marszałkiem o rząd dusz w obozie piłsudczykowskim. W zabójstwie podobno dopomógł brat Piaseckiego, który był lekarzem i podczas czterodniowej choroby Śmigłego opiekował się nim, nie dopuszczając innych

lekarzy.

Podejrzenie, że Śmigły-Rydz mógł być otruty – pisali funkcjonariusze SB, którzy prowadzili po wojnie śledztwo w sprawie śmierci marszałka – Maxymowicz Raczyńska opiera także na fakcie, że podczas balsamowania zwłok Julian Piasecki skrupulatnie pilnował poplamionych krwią opatrunków i osobiście wszystkie wrzucał w ogień, a płyny wlewał do sedesu, pozostając w mieszkaniu do chwili usunięcia wszelkich śladów krwi.

Według innej pogłoski marszałek został otruty z rozkazu Stefana Grota-Roweckiego.

Jeden z członków podziemia piłsudczykowskiego, Józef Lebedowicz – pisali wspomniani ubecy – nawiązując do śmierci Śmigłego-Rydza, wspominał o fakcie, że wywiad angielski dostarczył na potrzeby ZWZ-AK różne środki toksyczne, w tym wywołujące objawy chorobowe charakterystyczne dla zawału serca, a mające działać po kilku dniach od chwili ich spożycia. Przy Komendzie Głównej ZWZ w pionie dywersyjno-sabotażowym działała ściśle zakonspirowana komórka bakteriologiczno-toksykologiczna. W dziale tym produkowano szereg bakterii mogących wywołać poważne epidemie oraz kilkadziesiąt różnych trucizn, w tym takie, których zastosowanie dawało wyniki dopiero po dłuższym czasie. Szczytowym okresem tego działu był rok 1941.

Czy rzeczywiście Związek Walki Zbrojnej mógłby zlikwidować Śmigłego-Rydza? Czy rozkaz taki mógł przyjść z Londynu od generała Sikorskiego? Oczywiście, że tak – o tym, że w takich sprawach specjalnie się nie patyczkowano, najlepiej świadczy tragiczny los pułkownika Janusza Albrechta, nawiasem mówiąc, przyjaciela Śmigłego-Rydza.

Marszałek przyjechał zaś do Warszawy, aby przejąć kontrolę nad polskim podziemiem, a więc dokonać wymierzonego w Sikorskiego puczu. Już to wystarczyłoby, żeby wydać na niego wyrok. A jeżeli dodać do tego podejrzenie, że Śmigły-Rydz próbuje dogadać się z III Rzeszą, hipoteza wydaje się całkiem prawdopodobna. O nastawieniu premiera do byłego naczelnego wodza sporo mówią depesze wysyłane z Londynu do kraju w 1941 roku.

Otrzymałem wiadomość, jakoby marszałek Śmigły-Rydz udał się do Polski – pisał Sikorski 27 września. – W wypadku pojawienia się Śmigłego w Polsce polecam:

1. Oświadczyć marszałkowi, w imieniu moim i Rządu, że obecność jego w Polsce wysoce utrudnia nam pracę i może wprowadzić szkodliwe dla sprawy podejrzenia i tarcia.
2. Zażądać w imieniu Rządu opuszczenia przez niego terytorium Polski i udania się w myśl już wydanych zarządzeń do Stambułu, skąd na czas wojny będzie przewieziony do Południowej Afryki, jako gość rządu Wielkiej Brytanii.
3. Należy podkreślić, że Rząd oczekuje od marszałka zrozumienia wyjątkowej sytuacji i podporządkowania się jego rozkazom.

Jak wiadomo jednak, marszałek podobnym rozkazom podporządkować się nie miał najmniejszego zamiaru. O tym, że Śmigły został zamordowany, przekonany jest Dariusz Baliszewski. Swoje teorie w tej sprawie przedstawił w serii tekstów opublikowanych

w latach osiemdziesiątych na łamach czasopisma „Ład”. Według publicysty cała opowieść o śmierci Śmigłego w mieszkaniu Maxymowicz-Raczyńskiej była wielką mistyfikacją.

Baliszewski w swoich artykułach podał szereg niezwykle intrygujących informacji o generałowej. Otóż kamienica przy Sandomierskiej 18 stała tuż obok niemieckich koszar, toteż Niemcy już na początku okupacji ze względów bezpieczeństwa wyrzucili z niej wszystkich lokatorów, a ich mieszkania przekazali folksdojczom i niemieckim urzędnikom. W ten sposób oczyszczone miały zostać wszystkie mieszkania oprócz jednego – oczywiście lokalu numer 6 należącego do Maxymowicz-Raczyńskiej.

Jeżeli to prawda, generałowa mogła być powiązana z Niemcami. Według jednej z teorii w latach trzydziestych dla służb III Rzeszy pracował również jej mąż.

Mało tego, ze względu na podziemną działalność syna, Maxymowicz-Raczyńską regularnie „odwiedzali” gestapowcy i zakładali w jej mieszkaniu „kocioł”. Od 1940 roku lokal był więc spalony. Na tej samej klatce schodowej co generałowa mieszkało zresztą kilku agentów Gestapo. Jeden z nich, Willy Clement – drzwi w drzwi.

> I oto taki właśnie dom i mieszkanie uznano za najwłaściwsze dla ukrycia podobno poszukiwanego przez Niemców w całej Europie marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza? – pisał Baliszewski. – Owe konspiracyjne spotkania [organizowane przez marszałka przy Sandomierskiej] nie nosiły w żadnym punkcie cech konspiracji. Spotykało się na nich kilkunastu ludzi. Tak wielu, że dwie kobiety, Rózia i generałowa, musiały szukać pomocy innej służącej, by obsłużyć wszystkich panów kawą i kanapkami.

Jak wiadomo, po śmierci Śmigłego w mieszkaniu działo się jeszcze więcej. Pielgrzymki legionowych oficerów chcących zobaczyć ciało zmarłego wodza, wnoszenie i wynoszenie trumny w asyście wieńców przystrojonych patriotycznymi szarfami. Jak to wszystko było możliwe pod samym nosem Niemców? W odbytej w latach osiemdziesiątych szczerej rozmowie generał Jan Mazurkiewicz „Radosław” rzucił Baliszewskiemu: „Jeśli zrozumie pan, dlaczego wówczas Niemcy nie wkroczyli na Sandomierską – zrozumie pan wszystko”.

Sugestia ta wydaje się oczywista – marszałek swoją akcję przejęcia podziemia prowadził, jeżeli nie we współpracy, to przynajmniej za wiedzą władz niemieckich. Zgodnie z tą teorią Śmigły nie umarł wcale 2 grudnia 1941 roku i nie nastąpiło to w mieszkaniu Maxymowicz-Raczyńskiej. Już w połowie listopada miał on bowiem zostać uprowadzony przez ZWZ.

Baliszewski dotarł do informacji wskazujących, że podziemie osadziło marszałka w konspiracyjnym areszcie przy Marszałkowskiej 53. Był to niewielki betonowy pokoik (2 na 1,5 metra) położony za składem mebli. W pomieszczeniu nie było okna, wyposażono je jedynie w żelazne łóżko i stół. Więzień był strzeżony dwadzieścia cztery godziny na dobę przez uzbrojonych żołnierzy kontrwywiadu ZWZ. Ponieważ cela nie była opalana, a na domiar

złego panowała w niej potworna wilgoć, marszałek poważnie zapadł na zdrowiu – zachorował na gruźlicę.

Tymczasem na Powązkach rzeczywiście pochowano człowieka, na którego grobie postawiono krzyż z nazwiskiem Adam Zawisza. Był to jednak przypadkowy, nieznany denat wykradziony z kostnicy Szpitala Wolskiego dla zmylenia tropów. Śmigły-Rydz po około dwóch–trzech tygodniach został tymczasem potajemnie wywieziony ze swojego karceru. Podziemie umieściło go ostatecznie w sanatorium w pobliżu Otwocka. Kuracja nie mogła mu już jednak pomóc. Zmarł 3 sierpnia 1942 roku, a więc osiem miesięcy po swoim „oficjalnym zgonie".

Gdy Dariusz Baliszewski ogłosił te rewelacje, między historykami okresu okupacji doszło do sporu. Część oskarżyła publicystę o szukanie taniej sensacji, inni, na czele z Andrzejem K. Kunertem i Pawłem Wieczorkiewiczem, przychylili się jednak do jego rekonstrukcji wydarzeń. Tego, że Baliszewski ma rację, nie wyklucza również najlepszy badacz młodego pokolenia zajmujący się podziemiem piłsudczykowskim, Marek Gałęzowski.

Zwraca on uwagę, że poważne wątpliwości w sprawie śmierci Śmigłego wysuwano już podczas wojny. Nie wierzyło w nią wielu piłsudczyków z otoczenia marszałka, a nawet Delegatura Rządu na Kraj. Na emigracji nie mógł zaś w nią uwierzyć generał Kazimierz Sosnkowski. „Czy nie jest to przypadkiem odbite echo plotek urzędowych? Czy nie jest to celowy i zrozumiały kamuflaż mający na celu bezpieczeństwo wiadomej osoby?" – pytał generał.

Która z wersji śmierci marszałka jest więc prawdziwa? Czy w grudniu 1941 roku doznał zawału serca w mieszkaniu generałowej Maxymowicz-Raczyńskiej? Czy też został otruty na rozkaz generała Sikorskiego? A może umarł w otwockim sanatorium w połowie 1942 roku na gruźlicę? Czy zabito go dlatego, że chciał dokonać spektakularnego odwrócenia sojuszy i zawrzeć sojusz z Hitlerem? Gdzie znajduje się ciało marszałka? W kwaterze Adama Zawiszy czy w sosnowym lesie w pobliżu Otwocka?

Jak państwo widzą, w całej sprawie wciąż jest więcej pytań niż odpowiedzi. Nie pozostaje mi więc nic innego, jak zakończyć tę część książki tak, jak zapowiedziałem:

?

Rozdział 22

Król Polski Hans I

20 kwietnia 1943 roku Adolf Hitler obchodził pięćdziesiąte czwarte urodziny. Z tej okazji jego biurko w Kancelarii Rzeszy zasypane zostało stosem kartek pocztowych z życzeniami i depesz gratulacyjnych. Jedna z nich, wysłana z okupowanej Polski, wyróżniała się spośród innych. Dołączono do niej memoriał. Musiał on być dla Führera szokujący. Oto bowiem autor listu otwarcie ośmielił się skrytykować – i to nie przebierając w słowach – niemieckie metody stosowane wobec Polaków.

Wyliczał liczne zbrodnie i gwałty dokonywane przez okupanta. A więc przede wszystkim „rozstrzeliwanie mężczyzn, kobiet i nawet dzieci oraz zakładników podczas zbiorowych ekspedycji karnych". Do tego wysiedlenia, rabunek i upokorzenia. Zdaniem człowieka piszącego do Hitlera wszystko to natychmiast powinno zostać ukrócone.

Autor wskazywał na widoczną gołym okiem hipokryzję związaną z niemiecką propagandą w sprawie Katynia. Z jednej strony potępia się bolszewików za mordowanie Polaków, a z drugiej robi to samo w obozach koncentracyjnych. Obowiązkiem Rzeszy jest więc „zapoczątkowanie zasadniczej przemiany w traktowaniu Polaków".

Co należało zrobić w pierwszej kolejności? Poprawić aprowizację Polaków w żywność, zmniejszyć przymus dostaw rolnych, wydać zgodę na polską działalność kulturalną, otworzyć uniwersytety, zagwarantować polską własność prywatną, poprawić byt Polaków wywiezionych na roboty do Rzeszy, zapewnić ochronę przed samowolą podczas aresztowań i – przede wszystkim – wstrzymać bezprawne egzekucje.

Jaki polski patriota wystosował ten memoriał do Führera? Kto ośmielił się na taką impertynencję wobec wszechmocnego wodza totalitarnej III Rzeszy? Otóż autorem tego listu był generalny gubernator Hans Frank.

Domyślam się, że zaskoczenie musi być spore, bo Frank w polskiej historiografii przedstawiany jest jednowymiarowo. Tylko jako zbrodniarz. Frank zbrodniarzem bez wątpienia był i dobrze się stało, że w 1946 roku po procesie norymberskim zadyndał na końcu sznura. W pełni sobie na to zasłużył i jestem ostatnim, który by go żałował. Faktem jest jednak i to, że w jego postawie wobec Polaków nastąpiła wielka ewolucja. I nie ma powodu, żeby o tym nie pisać.

Wraz z kilkuletnim pobytem w Polsce zaszedł w tym człowieku proces „konstantyzacji”. Czyli Frank poszedł w ślady dyktatora Królestwa Kongresowego wielkiego księcia Konstantego Romanowa i zaczął coraz bardziej identyfikować się z rządzonym przez siebie, podbitym narodem. Frank, co oczywiście w żaden sposób nie zmywa jego wcześniejszych win, w roku 1943 był już kimś innym niż w roku 1939.

> Początkowo całkowicie gotów do przeprowadzenia zasadniczej linii wobec Polaków zgodnie z życzeniami Hitlera – pisał historyk Martin Broszat – poznał stosunkowo szybko jej nierealność i bezmyślność. W rozterce między zdrowym rozsądkiem a ślepą wiernością Führerowi trzeba jednak było Frankowi wiele czasu na wyzbycie się ideologicznego bagażu narodowosocjalistycznej polityki wobec Polaków. Stąd też cyniczne wypowiedzi Franka na rzecz bezwzględnej polityki w sprawach polskich, wypowiedzi, którymi sam chciał zakrzyczeć, czy też osłonić się, by wykazać się wobec swoich rywali z SS i policji jako „silny człowiek”, tworzą silny kontrast z gwałtowną często krytyką całej praktyki SS i policji w GG i oświadczeń zdradzających wręcz podziw i sympatię dla polskich cech charakteru.

Najgorzej było na początku. Gdy Frank w październiku 1939 roku objął stanowisko generalnego gubernatora, po prostu dyszał nienawiścią wobec Polaków. To właśnie on był autorem szeregu najbardziej drastycznych antypolskich akcji. Żyrował eksterminacyjną działalność Gestapo i SS. W konflikcie między liberalnym Wehrmachtem a realizującą ślepo rozkazy Hitlera policją Frank opowiedział się po stronie tej ostatniej.

Krytykował wojskowych za miękkość, za to, że zamiast twardej polityki narodowej stosują wobec Polaków „rozmytą politykę mieszczańską”. On, wraz ze swoją ekipą jastrzębi, gotowy był „bezwzględnie niszczyć żywioł polski”. Zapowiedzi te wprowadzał w życie. Szafował wyrokami śmierci, nakazywał branie zakładników.

Oto kilka charakterystycznych wypowiedzi Franka z tego okresu:

> Mój stosunek do Polaków jest stosunkiem analogicznym do relacji mrówki do mszycy.

> Polaków należy przerobić na mielone mięso.

> W Pradze rozlepiono wielkie czerwone plakaty, które obwieszczały, że oto dzisiaj zostało rozstrzelanych siedmiu Czechów. Gdybym chciał wywiesić jeden plakat zawiadamiający o każdych siedmiu rozstrzelanych Polakach, to lasów całej Polski nie wystarczyłoby na ich wydrukowanie.

Jak państwo widzą, generalny gubernator był bydlakiem.

A zarazem człowiekiem o niebywałych wręcz ambicjach i wielkim megalomanem. Po przybyciu do Polski zamieszkał na Wawelu i uznał się za lennego monarchę Polski osadzonego na tronie przez Hitlera. Führer, jak można się domyślać, odgrywał w tym wyobrażeniu rolę cesarza. Podobno gdy otrzymał nominację na generalnego gubernatora, ukląkł przed żoną

i powiedział: „Brigitte, zostaniesz królową Polski!”.

„Frank nie tyle czuje się przedstawicielem Rzeszy” – kpił z niego w swoich dziennikach nienawidzący gubernatora Joseph Goebbels – „ile raczej królem Polski. Frank nie rządzi, on panuje. Król Stanisław, jak mówią o Franku starzy towarzysze partyjni, wydaje się sobie polskim władcą i dziwi się, że straż nie prezentuje broni, gdy wchodzi do jakiegoś niemieckiego budynku urzędowego”.

Z kolei według biografa Franka Dietera Schenka gubernator uznał, że jest „małym Hitlerem”. Kazał budzić się dęciem w rogi, członkowie jego świty rozwijali przed nim czerwony dywan oraz inscenizowali „spontaniczne” spotkania z ludnością, która zarzucała go kwiatami lub dawała mu osiodłanego konia. Zamawiał u malarzy swoje olejne portrety, kazał produkować dla siebie specjalne cygara z wizerunkiem Wawelu, a nawet skomponować *Marsz generalnego gubernatora*.

Uszył sobie 120 garniturów, żonie kupił 300 par butów. Na tak duże potrzeby prywatne defraudował pokaźne sumy z kasy Generalnego Gubernatorstwa, co wywoływało oburzenie w Berlinie. Wkrótce wobec Franka i jego rodziny – żony i dwóch szwagrów – zostały wysunięte poważne zarzuty natury korupcyjnej.

Generalny gubernator musiał się gęsto tłumaczyć i upokarzać przed Lammersem, któremu pisał – dobierając odpowiednie argumenty do słuchacza – że „naród panów reprezentować musi na wschodzie wysoką stopę życiową wobec tubylców”. Podobne tłumaczenia narażały go tylko na śmieszność i sprawiały, iż Frank stał się w Berlinie obiektem drwin. Rządzone przez niego „państewko” nazywane było „królestwem paskarzy”.

Frank Polskę traktował jak murzyńską kolonię i jak przystało na kolonialnego władcę, starał się powiększyć swoje włości. Po wybuchu wojny ze Związkiem Sowieckim wystąpił z żądaniem włączenia do swojego państwa Białorusi, Wołynia, Podola i Galicji Wschodniej. A więc wschodnie granice Generalnego Gubernatorstwa chciał wytyczyć dalej, niż przebiegały wschodnie granice II Rzeczypospolitej. Ostatecznie, ku swojemu wielkiemu rozczarowaniu, dostał tylko Galicję.

„Czasem mam wrażenie, że Frank jest półwariatem” – pisał Goebbels. – „Opowiadano mi o pewnych epizodach z jego urzędowania, które budzą grozę”.

Mniej więcej na przełomie 1941 i 1942 roku Frank zaczął zdawać sobie sprawę, że polityka ucisku i wyzysku jest bezdennie głupia. I nie chodziło tu nawet o względy humanitarne – ludzie aż tak się nie zmieniają – ale przede wszystkim pragmatyczne. Na zaostrzeniu polsko-niemieckiego konfliktu tracili bowiem również Niemcy. Bezwzględna polityka wobec Polski dezorganizowała Generalne Gubernatorstwo gospodarczo i przyczyniała się do rozrostu ruchu

oporu.

„Polacy muszą odnieść wrażenie, że nie są traktowani jak świnie, ale jak ludzie i Europejczycy" – mówił na naradzie w kwietniu 1942 roku. „Nie możemy przecież rozwiązać polskiego problemu w ten sposób, że strzelimy szesnaście milionów razy w karki szesnastu milionom Polaków" – dowodził innym razem. Dygnitarzy z Berlina przekonywał, że Niemcy i Polacy jako sąsiedzi są na siebie skazani i władze Rzeszy powinny jak najszybciej przyjąć to do wiadomości.

„Polonofilstwo" Franka i jego ludzi wywoływało niesmak Josepha Goebbelsa. W sierpniu 1942 roku minister propagandy odwiedził okupowaną Polskę, wracając z kwatery Hitlera w Winnicy na Ukrainie. Ze zgrozą przekonał się tam, że niemiecka administracja całkowicie się „spolonizowała" i zamiast dbać o interes Rzeszy, wykazuje nawet nie tyle patriotyzm Generalnego Gubernatorstwa, co niemal patriotyzm polski.

Goebbels potępiał Franka między innymi za popieranie programu odbudowy Warszawy z wojennych zniszczeń. Z tego powodu zdenerwował się zresztą również na gubernatora sam Hitler.

Generalny gubernator bombardował tymczasem Berlin memoriałami. Interweniował w sprawie losu polskich robotników przymusowych w Rzeszy, przekonując, że „nie można ich traktować jak zwierzęta". Domagał się wstrzymania mordów i wysiedleń. W efekcie gubernator szybko znalazł się w ostrym konflikcie z tajną policją, a szczególnie ze znanym z okrucieństwa dowódcą SS i policji w Generalnym Gubernatorstwie generałem Friedrichem Wilhelmem Krügerem.

Różnica między tym, jak traktował Polaków Frank, a jak traktował ich Krüger, według profesora Bogdana Musiała sprowadzała się do dylematu „wydoić krowę czy zarżnąć krowę?". Oczywiście jedno i drugie nie jest przyjemne. Ale nie zmienia to faktu, że znacznie lepiej być dojonym niż zarżniętym. Z dwojga złego dla Polaków bez wątpienia lepszym rozwiązaniem był więc Frank.

> Konkurencja administracji cywilnej z policją SS uwidaczniały się we wszystkich dziedzinach życia GG – pisał niemiecki historyk Martin Broszat. – Z jednej strony okupowane ziemie polskie i ich ludność miały być rządzone środkami administracyjnymi i wykorzystywane dla potrzeb wojennej gospodarki Rzeszy, z drugiej zaś w myśl zasad destrukcyjnego narodowosocjalistycznego światopoglądu miały być gnębione, wyzute ze swej odrębności, zepchnięte na najniższy szczebel pod względem społecznym i biologicznym. Stanowisko przyznane przez Hitlera Frankowi okazało się pełnomocnictwem papierowym wobec uniwersalnej kompetencji SS i policji.

To właśnie Gestapo cieszyło się poparciem Hitlera i jego dworskiej kamaryli, w której główne role odgrywali Martin Bormann, Hans Lammers i Heinrich Himmler. Frank mógł zaś

liczyć tylko na zrozumienie Göringa, a te „plecy” w Berlinie niestety okazywały się niewystarczające. Jego memoriały trafiały więc do kosza i w efekcie Frank – jak twierdził po wojnie – czternaście razy podawał się do dymisji i prosił o wysłanie na front.

Krüger poczynał sobie tymczasem w „królestwie” Franka coraz śmielej – dochodziło do tego, że publicznie czynił gubernatorowi afronty. Esesman pisał również regularnie na Franka donosy do Berlina, dowodząc, że nie tylko stał się miłośnikiem Polaków, ale jeszcze „dyszy z nienawiści do Gestapo”. To ostatnie zresztą było świętą prawdą.

Frank, gdyby mógł, zadusiłby pewnie Krügera i Himmlera gołymi rękami. W efekcie doszło do zaskakującej sytuacji. Otóż gubernator, który z zawodu był prawnikiem, latem 1942 roku wybrał się na objazd po uniwersytetach w Rzeszy, gdzie dał serię wykładów na temat… zgubnej ewolucji III Rzeszy w stronę państwa policyjnego. Wywołał tym furię Hitlera, który zakazał mu publicznego przemawiania na terenie Niemiec i zwolnił ze wszystkich stanowisk partyjnych.

Wydawało się wówczas pewne, że Frank straci również wkrótce swoje „polskie królestwo”. Szczególnie że brnął dalej i otwarcie już oskarżał Himmlera i jego ludzi o szkodzenie Niemcom. „Teoria totalnego wytępienia Polaków, ich całkowitego zniewolenia i pozbawienia praw to ciężkie naruszenie interesów naszej ojczyzny” – mówił podczas jednej z sesji rządu Generalnego Gubernatorstwa.

Pod koniec 1942 roku w kręgach władzy III Rzeszy uznano więc za pewnik, że dymisji Franka można spodziewać się lada dzień. Krüger już zacierał ręce i – o zgrozo! – szykował się do zajęcia jego miejsca. Całe szczęście doszło do nieoczekiwanego zwrotu akcji i to skazywany na porażkę Frank wyszedł z pojedynku z Gestapo jako triumfator.

Rozdział 23

Frank kontra Krüger

Na początku 1943 roku doszło do całkowitej kompromitacji służb policyjnych Generalnego Gubernatorstwa. Obnażona została ich niekompetencja i bezdenna głupota. Zaczęło się jeszcze w listopadzie roku poprzedniego, gdy z polecenia Heinricha Himmlera służby bezpieczeństwa przystąpiły do akcji deportacyjnej na Zamojszczyźnie. Reichsführer-SS wpadł na „genialny" pomysł, żeby w miejsce stu tysięcy polskich chłopów osadzić tam kilkadziesiąt tysięcy Niemców, głównie z Rumunii.

Ten chory, utopijny i zbrodniczy pomysł był częścią nie mniej chorego utopijnego i zbrodniczego Generalnego Planu Wschód. Jeżeli ktoś w Berlinie miał jakiekolwiek wątpliwości, że plan ten był całkowitą fantazją, bez wątpienia zmienił zdanie po przeprowadzeniu operacji na Zamojszczyźnie. Jakie były jej efekty? Oczywiście katastrofalne. Polscy chłopi nie mieli najmniejszej ochoty odgrywać roli królików doświadczalnych zwariowanych ideologów III Rzeszy. I zamiast grzecznie dać się wysiedlić, uciekli do lasów, gdzie zasilili oddziały partyzanckie.

Do akcji przystąpiła Armia Krajowa i Bataliony Chłopskie, które odpowiedziały Niemcom pięknym za nadobne. Zapłonęły wsie z osadnikami – którzy akurat w tej sprawie najmniej zawinili, chłopi przestali dostarczać kontyngenty, stanęły fabryki, gęsto słał się trup. Cały, do tej pory względnie spokojny region pogrążył się w chaosie i przemocy, sytuacja wymknęła się spod kontroli SS i policji. Nie bez słuszności wydarzenia te w polskiej historiografii nazywane są czasami Powstaniem Zamojskim. Powstaniem, dodajmy, które Niemcy zafundowali sobie na własne życzenie.

Niemcy byli przerażeni skutkami tej akcji i bezmyślności Himmlera oraz jego ludzi. Frank na Wawelu szalał z wściekłości, bo arogancki Reichsführer-SS „zapomniał" go poinformować o pomyśle przeprowadzenia tych wysiedleń. Oburzony był również Wehrmacht, któremu idioci z Gestapo dezorganizowali zaplecze frontu. Niemieccy generałowie całkiem poważnie myśleli o tym, by przepędzić policję z Generalnego Gubernatorstwa i przejąć odpowiedzialność za stan bezpieczeństwa na tym terenie. Szczególnie że apelował o to do wojska poważnie zaniepokojony sytuacją minister uzbrojenia Albert Speer. Zirytował się nawet Goebbels.

Można sobie rwać włosy z głowy wobec takiego mnóstwa politycznych nonsensów – notował w dzienniku. – W ojczyźnie prowadzimy wojnę totalną ze wszystkimi tego konsekwencjami i dla osiągnięcia wielkiego celu – ostatecznego zwycięstwa – odsuwamy na później cele światopoglądowe i doktrynalne. Na terenach zajętych prowadzi się tymczasem taką politykę, jakbyśmy żyli w najgłębszym pokoju.

Na tym jednak nie koniec. W styczniu 1943 roku bandyci w czarnych mundurach dopuścili się kolejnego aktu bezprawia, który zdumiewał nawet w zbrodniczych realiach GG. Otóż na ulicach polskich miast doszło do zakrojonej na szeroką skalę akcji represyjnej przeciwko „elementom aspołecznym podejrzanym o opór". W rzeczywistości w gigantycznych łapankach aresztowano kilkadziesiąt tysięcy całkowicie przypadkowych i Bogu ducha winnych Polaków.

Wyłapywano ich w kościołach, knajpach, na ulicach i w kinach. Celem tych działań było po prostu uzupełnienie niewolniczej siły roboczej pracującej na potrzeby SS w obozach koncentracyjnych. Efektem zaś – całkowita dezorganizacja wielu zakładów zaspokajających potrzeby machiny wojennej Rzeszy, które z dnia na dzień utraciły wielu niezbędnych, wykwalifikowanych pracowników. Na represje te oczywiście kontrrepresjami odpowiedziało również podziemie. A więc nawet z perspektywy Niemców był to czysty idiotyzm.

Czarę goryczy przepełnił wybuch powstania w getcie warszawskim, który został w Berlinie odebrany jako ostateczna kompromitacja aparatu Himmlera. Wyczuwając słabość przeciwnika, Frank przystąpił do zdecydowanej kontrofensywy. Na posiedzeniu rządu Generalnego Gubernatorstwa ochrzanił Krügera i zmusił go do złożenia samokrytyki. Szef policji musiał przyznać, że jego działania były „nie do końca przemyślane" i przyniosły skutek odwrotny do zamierzonego.

Uskrzydlony tym zwycięstwem Frank napisał szereg ostrych listów do Hitlera i innych dygnitarzy Rzeszy. Odmalował w nich ze szczegółami zbrodniczą działalność Gestapo i policji.

Mężczyzn, kobiety i dzieci odstawiano do obozu bez odzieży – opisywał sytuację na Zamojszczyźnie Hitlerowi – i dzielono na grupy. Przerywano przy tym wszelką łączność między członkami rodziny. Zrozumiałe, że kroki te wywołały wśród dotkniętej wysiedleniem ludności nieopisaną panikę i doprowadziły do tego, że połowa zbiegła.

Zrozpaczona przyczyniła się [ona] do wzmocnienia w dystrykcie lubelskim oddziałów bandyckich występujących z rosnącą zuchwałością i siłą. Ten chaos pogłębiły jeszcze odwety przeprowadzane przez policję porządkową dystryktu. Te kroki odwetowe objęły m.in. masowe rozstrzeliwania niewinnych od 2 do 60 lat, szczególnie kobiet i dzieci oraz starców. Doświadczenie pokazuje, że akcje te niezbyt zastraszyły grupy bandyckie. Za to wzmogły rozgoryczenie i nienawiść niewinnie dotkniętych.

Argumenty Franka wreszcie przekonały Hitlera i jego otoczenie. Uznać je musiał nawet Himmler. W drugiej połowie 1943 roku Krüger otrzymał dymisję, wkrótce stanowisko stracił również organizujący bezpośrednio deportacje dowódca SS i policji w dystrykcie lubelskim

Odilo Globocnik zwany „Globusem”. Wysiedlenia zostały wstrzymane i eksperyment na Zamojszczyźnie pozostał – całe szczęście – jedyną próbą zrealizowania Generalnego Planu Wschód.

Frank tymczasem triumfował i zaczął forsować swój „elastyczny kurs” wobec Polaków. Otworzył w Krakowie Polski Teatr Ludowy, zakupił część spuścizny Fryderyka Chopina i otworzył muzeum poświęcone wielkiemu polskiemu kompozytorowi. Twardogłowi narodowi socjaliści oburzali się, że wydaje grube miliony na budowę dróg, mostów, domów i innej infrastruktury w okupowanej Polsce. I jeszcze jeden ciekawy szczegół – Frank nawrócił się na katolicyzm.

Generalny gubernator przeżywający w schyłkowej fazie wojny wzmożenie religijności – pisał historyk Eugeniusz Cezary Król – opiekował się osobiście klasztorem na Jasnej Górze. Między innymi zakazał na wniosek przeora wkraczania żołnierzom Wehrmachtu do klasztoru w czapkach i z bronią. Przeciwstawił się też skutecznie wywozowi do Niemiec obrazu Czarnej Madonny, zbiorów bibliotecznych, skarbca i dzwonów kościelnych.

Jednocześnie Frank uwielbiał pokazywać się wśród swoich polskich „poddanych”. W wydawanych w okupowanej Polsce gazetach można było zobaczyć zdjęcia, na których „pod wiechą” ustawioną z okazji remontu zamku w Krakowie gubernator fraternizuje się z robotnikami. Siedzi uśmiechnięty i wysłuchuje skarg, które jego sekretarz skwapliwie zapisuje w notesie. Na innych fotografiach obściskiwał polskie dziewczęta w strojach ludowych. Szczególnie upodobał sobie dożynki, podczas których – jako „chłopski syn” – ucinał sobie fachowe pogawędki z chłopami. Co ciekawe, po wojnie biorących udział w tych pogawędkach polskich włościan ciągała po komisariatach ubecja.

Frank wykorzystał specjalny okólnik napisany i rozesłany do czołowych niemieckich dygnitarzy 15 lutego 1943 roku przez Goebbelsa. Minister propagandy, będąc pod wrażeniem klęski pod Stalingradem, wezwał w nim do zakończenia represji wymierzonych w podbite narody i wprowadzenia pragmatycznego, liberalnego kursu, który pozwoliłby zmobilizować wschodnich Europejczyków do europejskiej krucjaty przeciwko komunizmowi. Frank, jak się miało okazać nieco na wyrost, uznał, że dotyczy to również Polaków.

„Zrywa się wreszcie” – powiedział swoim współpracownikom – „z dotychczasowym systemem eksterminacji, wyzysku i dyskryminacji. W końcu zrozumiano w Rzeszy, że systemu opartego na przemocy nie da się utrzymać na dłuższą metę”. Strategię, którą Frank określił mianem „polityki rewolwerów, kul i obozów koncentracyjnych”, miało zastąpić nowe, bardziej humanitarne, a jednocześnie pragmatyczne podejście. Proponowana przez niego „polityka realna”.

Gdy zaś kilka tygodni później Niemcy poinformowali świat o odkryciu grobów katyńskich, Frank zintensyfikował swoją akcję. Pod koniec kwietnia napisał list do Adolfa Hitlera, a w ślad za nim 19 czerwca przesłał Führerowi obszerny memoriał. Przekonywał w nim, że kolejnym krokiem po liberalizacji polityki okupacyjnej powinno być powołanie polskiej armii i wysłanie jej na front wschodni. Radził zacząć od okupowanej w latach 1939–1941 przez bolszewików Galicji, gdzie nastroje antykomunistyczne miały być najsilniejsze.

Z jaką reakcją postulaty te zostały odebrane w Berlinie? Niestety marną. Podczas audiencji udzielonej Frankowi Hitler ponownie zmienił zdanie i opowiedział się jednak za utrzymaniem twardego kursu. Na nic zdały się długie (spotkanie trwało dwie i pół godziny) namowy i zaklęcia generalnego gubernatora. Führer pozostał głuchy na argumenty.

Choć Hans Frank odegrał w dziejach narodu polskiego złowieszczą rolę, nie ma powodu, żeby nie pisać również o jego drugim obliczu. Postać gubernatora jest zresztą idealną personifikacją całej niemieckiej polityki okupacyjnej. Polityki, która miotała się od ściany do ściany. Polityki, w której zwierzęca brutalność i okrucieństwo przeplatały się z niebywałą głupotą i momentami otrzeźwienia, z których jednak niewiele wynikało.

Co robił dalej Hans Frank? Nie zrażony niepowodzeniem akcji, którą podjął w 1943 roku, aż do końca – czyli do ucieczki z Krakowa przed Armią Czerwoną w styczniu 1945 roku – starał się doprowadzić do wymarzonego wielkiego pojednania narodów polskiego i niemieckiego. Snuł przy tym coraz bardziej utopijne i śmieszne plany, w których zawsze to jemu przypadała do odegrania dziejowa rola dobroczyńcy narodu polskiego. Momentami przerażał, momentami był śmieszny, momentami wzbudzał cień sympatii.

Wyrzuty sumienia dopadły go dopiero w więziennej celi, gdy oczekiwał na wymierzony mu w Norymberdze wyrok śmierci. „Żegnałem się z wielkim wzruszeniem” – wspominał wówczas dzień, w którym opuścił Wawel. – „W wielkiej Sali Koronacyjnej ze wspaniałym, rozległym widokiem na stare miasto stałem sam i rozmyślałem nad drogą, która mnie tutaj przywiodła. Führer był dla Polaków niesprawiedliwy. Także ja obarczyłem się wielką winą wobec siebie i wobec tego narodu”. Zapomniał dodać, że na odchodnym ukradł jeszcze słynną *Damę z gronostajem* Leonarda da Vinci.

16 października 1946 roku kat założył mu pętlę na szyję. Podobno w tej ostatniej chwili życia Frank się uśmiechał. Śmierć uznał bowiem za słuszną karę za grzechy, które popełnił. Miał rację.

Rozdział 24

Katyń: nowe otwarcie

Katyń stał się miejscem polsko-niemieckich kontaktów jeszcze przed 1943 rokiem. Pierwsi bolszewickie doły śmierci pod Smoleńskiem odkryli bowiem polscy kolejarze i robotnicy z Poznania, którzy stanowili załogę pociągu remontowego Bauzug 2005-M. Doszło do tego wiosną 1942 roku, gdy naprawiali tory na linii Witebsk–Smoleńsk.

Polacy o tragedii, która rozegrała się w Katyniu dwa lata wcześniej, zostali poinformowani przez miejscową ludność. Natychmiast udali się z łopatami na miejsce straceń i zaczęli kopać. Po odkryciu kilku ciał w polskich mundurach oficerskich i z kulami w czaszkach przysypali je ziemią i postawili nad masową mogiłą brzozowy krzyż. O wszystkim została zawiadomiona konspiracja w kraju.

Ponieważ Polskie Państwo Podziemne nie było w stanie zweryfikować tych informacji, nieformalnym kanałem zwróciło się o pomoc do niemieckiej Służby Bezpieczeństwa (SD). Pod koniec października 1942 roku w Warszawie doszło do spotkania dwóch reprezentantów Delegatury Rządu na Kraj z trzema podwładnymi Hauptsturmführera SS Alfreda Spilkera. Poproszono wówczas Niemców o zweryfikowanie alarmujących doniesień spod Smoleńska.

W efekcie, gdy w kwietniu 1943 roku sprawa mordu katyńskiego wypłynęła na światło dzienne, dla obu stron – Polaków i Niemców – nie była zaskoczeniem. O ile dla nas była to jednak wielka narodowa tragedia, o tyle dla nich stała się okazją do przypuszczenia zmasowanego propagandowego szturmu na bolszewików. A przy okazji wywołania tarć w koalicji antyhitlerowskiej.

Po wszystkich bestialstwach niemieckiej okupacji nie było oczywiście mowy o tym, żeby Polska w 1943 roku dokonała proniemieckiego zwrotu. To już nie był rok 1940 czy 1941, kiedy taka operacja byłaby możliwa i pożądana. Przelano zbyt wiele krwi i było już po prostu za późno. Bez wątpienia doszło jednak wówczas do pewnego zbliżenia między częścią Niemców a częścią Polaków. Za zgodą władz okupacyjnych do Katynia pojechało szereg polskich delegacji: robotników z Generalnego Gubernatorstwa, jeńców wojennych roku 1939, urzędników, księży. Nad dołami śmierci pojawiła się także delegacja Polaków mieszkających w Smoleńsku.

Na niemieckie zaproszenie miejsce bolszewickiej zbrodni mogło obejrzeć także sporo

osobistości. Pisarze Józef Mackiewicz, Ferdynand Goetel i Jan Emil Skiwski czy były premier Leon Kozłowski. A także przedstawiciele Rady Głównej Opiekuńczej. Delegacja robotników złożyła nawet na grobach wieniec z szarfą, na której widniał napis: „Pomordowanym przez bolszewików oficerom Armii Polskiej – rodacy".

Niemcy zorganizowali uroczysty pogrzeb generała Mieczysława Smorawińskiego, podczas którego broń prezentowała kompania polskiej policji. A wedle innych źródeł „formacja polskiej żandarmerii ze Lwowa nosząca mundury niemieckie". Na koszt rządu Rzeszy na pogrzeb przyjechał brat generała. Wiele życzliwości Polakom okazali niemieccy lekarze.

Niemcy skrupulatnie gromadzili też wszystkie przedmioty osobiste ofiar, aby przekazać je rodzinom zamordowanych. Szczątki były traktowane z należytym szacunkiem. Jak pisał historyk Tomasz Głowiński, Berlin próbował odegrać w całej sprawie rolę „przyjaciela rodziny". Zważywszy na jego własne zbrodnie na narodzie polskim, była to oczywiście hipokryzja. Zachowanie Niemców wywarło jednak pewne wrażenie.

Polacy z uwagą zaczęli czytać niemiecką prasę i słuchać niemieckich komunikatów. Nastroje antykomunistyczne – mimo prosowieckiej propagandy Londynu – wzrosły niebywale. Niektórzy z polskich robotników wywiezionych do Rzeszy złożyli nawet podania o przyjęcie do Wehrmachtu, żeby walczyć z Sowietami.

Media III Rzeszy – zgodnie z instrukcją Goebbelsa – zrezygnowały z większości antypolskich wycieczek. Teraz przeważał ton współczucia i wskazywania na wspólne zagrożenie, jakie dla Niemców i Polaków stanowiła sowiecka zaraza. W gazetach, kronikach filmowych i na plakatach nawoływano Polaków do wsparcia wysiłku zbrojnego Rzeszy.

3 maja 1943 roku po raz pierwszy Niemcy nie interweniowali, gdy Polacy składali wieńce przed Grobem Nieznanego Żołnierza i innymi pomnikami. Hans Frank po kolejnym sowieckim nalocie na Warszawę – wbrew komunistycznej propagandzie sowieccy lotnicy nie zrzucali bomb na niemieckie obiekty wojskowe, tylko na polskie domy mieszkalne – przekazał stolicy 2 miliony złotych na usunięcie zniszczeń.

W niemieckich archiwach zachował się nawet szczegółowy program przygotowanej przez Niemców uroczystości „Requiem dla Katynia", która miała się odbyć w lubelskim kościele Świętego Pawła. Obejmował on mszę w intencji „poległych w walce z bolszewizmem polskich żołnierzy", antysowieckie przemówienia oraz muzykę – *Salve Regina* i marsz żałobny Chopina.

Z Pawiaka i obozu na Majdanku zwolniono część więźniów, w Warszawie zezwolono na otwarcie polskiego Teatru Rozmaitości. Niemieckie gazety zaczęły drukować wiersze Słowackiego i obrazy Matejki. Na niższych szczeblach administracji w GG obiecano zatrudnić

więcej polskich urzędników. Innymi słowy, po blisko czterech latach brutalnych represji nastąpiło wreszcie pewne odprężenie.

> Raptowne zaprzestanie łapanek w miastach i osiedlach miejskich oraz na szlakach komunikacyjnych, tolerowanie szmuglu i nielegalnego handlu – wyliczał w raporcie do Londynu „Grot". – Administracja „od góry" zaczęła zalecać „łagodny kurs" do Polaków, licząc na werbunek do Legionu Wschodniego czy też innego SS-Galizien, na spotęgowanie nienawiści społeczeństwa polskiego do ZSRS i bolszewickich band dywersyjnych grasujących wewnątrz kraju.

Zresztą pierwsze sygnały Niemcy zaczęli wysyłać do Polaków już kilka tygodni wcześniej. Działo się to w miejscu idealnym do takich nieformalnych gier i sondaży, czyli w Lizbonie. Dobrze nam już znany Hans von Moltke, od lutego poseł Rzeszy w Portugalii, ujawnił podpułkownikowi Kowalewskiemu, że interwencję na rzecz odtworzenia polskiego państwa podjęli w Berlinie Miklós Horthy i Benito Mussolini. Za Polakami kolejny raz wstawiła się również Japonia.

Niemcy po raz pierwszy nie powiedzieli „nie" i powołali specjalną komisję konstytucyjną, której zadaniem było opracowanie projektu organizacji „nowej Polski". Dwaj Polacy przebywający we Francji, Wincenty Jastrzębski i profesor Mażyński, złożyli nawet swoje kandydatury na przywódców takiego państwa w ambasadzie Niemiec przy rządzie państwa Vichy. Proponowali, że staną na czele Komitetu Narodowego, który będzie można z czasem przemianować na rząd. Ponieważ jednak obie postacie były zupełnie anonimowe, Berlin nie zainteresował się ofertą.

Zainteresowany był natomiast propozycją Kowalewskiego. Podpułkownik pod koniec kwietnia 1943 roku zgłosił się do lizbońskiego poselstwa Rzeszy z prośbą, aby przekazało mu wszelkie materiały na temat sowieckiej zbrodni na polskich oficerach. Zdjęcia, dokumenty i artykuły prasowe. Poinformował Niemców, że zamierza wysłać je do Stanów Zjednoczonych w celu rozpowszechnienia wśród tamtejszej Polonii.

Ministerstwu Spraw Zagranicznych w Berlinie pomysł bardzo się spodobał i po niecałych dwóch tygodniach poseł Oswald von Hoyningen-Huene przekazał polskiemu oficerowi pierwszą grubą paczkę z dowodami na winę Sowietów. Potem poszły kolejne materiały, w tym pełna lista zidentyfikowanych ofiar.

Była to jednak sprawa drobna. Niemieccy urzędnicy, którzy byli nastawieni przychylnie do Polaków, uznali, że atmosfera wytworzona po odkryciu miejsca kaźni pod Smoleńskiem daje szansę na poważną rewizję tak zwanej Polenpolitik. Jednym z przedstawicieli tego stronnictwa był doktor Ludwig Losacker, jeden z ważniejszych urzędników rządu Generalnego Gubernatorstwa, a zarazem człowiek przyzwoity, bardzo przyjaźnie nastawiony do Polaków.

Pod koniec 1943 roku stracił stanowisko i został karnie wysłany na front jako szeregowy żołnierz Waffen-SS – za to, że bronił polskich cywili przed Gestapo. W liście z połowy kwietnia napisał do Hansa Franka, że w całej sprawie nie chodzi o kwestie „serca i uczucia", ale o „trzeźwy rozsądek".

> Włączenie narodu polskiego do frontu obrony przed bolszewizmem – przekonywał – w sytuacji, gdy odczuwa się coraz silniejszy deficyt sił niemieckich we wszystkich dziedzinach, stanowi nakaz chwili. Nic nie pomoże Rzeszy posługiwanie się nieużyteczną ideologią i fałszywie pojętą „władczością". Jest jeszcze czas, ale jeśli przegapi się moment wywołany przez sowieckie okrucieństwo pod Smoleńskiem, nie pomogą później nasze nawet najbardziej gorączkowe wysiłki.

Poglądy te podzielała w zasadzie większość wyższych rangą urzędników Generalnego Gubernatorstwa. Obszerne fragmenty ich ówczesnych wypowiedzi można znaleźć w książce profesora Eugeniusza Cezarego Króla *Polska i Polacy w propagandzie narodowego socjalizmu*. I tak na przykład 20 kwietnia 1943 roku, podczas posiedzenia rządu GG, szef propagandy Wilhelm Ohlenbusch przekonywał zebranych, że Niemcy powinni zbudować w Polsce pomnik ofiar Katynia i wskazać im wreszcie „jasne cele polityczne".

Inny urzędnik apelował do Berlina, aby podjąć działania, które upewniłyby Polaków, że – wbrew twierdzeniom wrogiej propagandy – wcale nie grozi im los Żydów. Należało im również wytłumaczyć, że Wehrmacht walczy nie tylko w interesie Niemiec, ale również o wyzwolenie ziem wschodnich Rzeczypospolitej spod bolszewickiego jarzma.

> Polski naród przedstawia sobą dla Niemców niezmierzony potencjał wojenny – mówił wiosną 1943 roku szef Służby Bezpieczeństwa (SD) w okupowanej Polsce, Eberhard Schöngarth. – Polski naród ma w swojej istocie zrozumienie dla niemieckiej walki z bolszewizmem, bo jest do niego wrogo nastawiony. My, Niemcy, musimy być wdzięczni losowi, że przy pomocy grobów katyńskich dał nam jeszcze raz sposobność przyznania polskiemu narodowi nie tylko propagandowych, ale i rzeczywistych koncesji. Dla wszystkich z nas jest oczywiste, że kontynuując dotychczasową politykę w sprawach polskich poniesiemy po prostu klęskę. Tego rodzaju ucisku, którego doznają Polacy, nie musiał cierpieć dotąd żaden inny naród.

Niewykluczone więc, że to właśnie z kręgów SD wyszła – jeżeli w ogóle powstała – pewna zaskakująca propozycja złożona nad grobami katyńskimi. Jedną z delegacji, które przybyły do Smoleńska, była grupa polskich oficerów reprezentująca tę część polskiego korpusu oficerskiego, która miała szczęście i dostała się do niewoli niemieckiej, a nie sowieckiej. I w efekcie zamiast skończyć w katyńskich dołach śmierci, spokojnie spędziła wojnę w oflagach.

Na czele tej delegacji stał podpułkownik Stefan Mossor. Niemcy mieli mu w Smoleńsku zaproponować, żeby stanął na czele polskiego legionu do walki z bolszewikami. Sam wyjazd Mossora do Katynia podobno również nie był przypadkowy. Otóż w 1941 i 1942 roku miał on

wysyłać z obozu do kierownictwa Wehrmachtu memoriały, w których deklarował pomoc w „akcji pozyskania życzliwego stosunku narodu polskiego do Niemców” w zamian za wstrzymanie represji na terytoriach okupowanych.

Ze względu na paskudną reputację tej postaci historycznej (po wojnie Mossor przystał do czerwonych) oraz paskudne źródło tych informacji (pochodzą z zeznań złożonych podczas ubeckiego śledztwa) należy do sprawy podchodzić nader ostrożnie.

Skądinąd wiadomo jednak, że po ogłoszeniu odkrycia grobów pod Smoleńskiem do Niemców rzeczywiście zgłosiło się kilku polskich oficerów z propozycją stworzenia legionu, który miał „pomścić zbrodnię w Katyniu i walczyć z bolszewizmem”. Na czele tej grupy stał pułkownik Stanisław Wrzaliński, weteran wojny z bolszewikami, kawaler Orderu Virtuti Militari, były prezydent Gniezna. 2 lipca 1943 roku przesłał on Himmlerowi list nadany z Wrocławia, w którym „ze swoimi ludźmi” proponował Rzeszy militarną współpracę.

Ofertę tę Niemcy odrzucili. Dlaczego więc to samo w tym samym czasie mieliby proponować Mossorowi? Albo więc był to humbug, albo kolejny przejaw bałaganu panującego na szczytach władzy III Rzeszy. Tego chaotycznego państwa, w którym głowa nie wiedziała, co czyni ręka. O tym jednak, że w Berlinie myślano o utworzeniu jakichś polskich sił zbrojnych, może świadczyć choćby to, że wiosną i latem 1943 roku w oflagach puszczano polskim oficerom filmy nagrane w Katyniu i agitowano za wspólną walką ze Stalinem.

Ostatnie słowo należało jednak do Führera. A pomysł sformowania polskich jednostek do walki z bolszewizmem na froncie wschodnim uważał on za niebezpieczny.

> Mamy tragiczną nauczkę od Polski w czasie I wojny światowej – powiedział 8 maja 1943 roku. – Ludendorff tłumaczył się później, że miał nadzieję pozyskać tą drogą 500 tys. żołnierzy. Ale rozsądny człowiek mógłby z góry go przestrzec: pan otrzyma owe 500 tys., ale nie do walki z Rosją. Polacy wystawią armię po to, aby wyzwolić Polskę. Nie potrzebujemy składać żadnych obietnic wyzwolenia i niepodległości państw, których cele nie pokrywają się z naszymi celami.

Tak oto fiaskiem zakończyła się inicjatywa Himmlera, który 19 czerwca 1943 roku przyszedł do Führera z gotowym projektem powołania Polaków pod broń w ramach Polnische Waffen-SS. Gdy Himmler, próbując przekonać do tego Hitlera, powołał się na zachęcający przykład ukraińskiej dywizji „Galizien”, dyktator uciął rozmowę. „Ukraińcy to co innego” – powiedział – „oni byli przez 150 lat poddanymi austro-węgierskimi”.

Tak, projekt ten przedstawił ten sam Himmler, który jeszcze kilka miesięcy wcześniej domagał się, by zrobić z Polaków sieczkę. Mniej więcej w połowie 1943 roku wśród najważniejszych postaci Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy dokonała się reorientacja poglądów. Oprócz samego szefa tej instytucji za porozumieniem z Polakami zaczęli się także

opowiadać Ernst Kaltenbrunner, Heinrich Müller i Erich von dem Bach-Zelewski. Sam Himmler wpadł na iście kuriozalny pomysł. Zaproponował, żeby Hitler wydał list żelazny „Panu Sikorskiemu", aby polski premier mógł bezpiecznie przylecieć do Katynia i na własne oczy przekonać się o potworności Sowietów.

Wytworzyła się więc paradoksalna sytuacja. Właściwie każda koteria, która miała coś do powiedzenia w sprawie polskiej – a więc RSHA, Wehrmacht, resort dyplomacji i Hans Frank ze swoją administracją cywilną – domagała się gruntownej zmiany Polenpolitik.

Wobec woli Hitlera wszystkie te instytucje razem wzięte okazały się jednak zbyt słabe. W efekcie Niemcy zrobili to, co potrafili najlepiej – czyli powrócili do rządów terroru. W październiku 1943 roku w życie weszło drakońskie „Rozporządzenie o zwalczaniu zamachów na niemieckie dzieło odbudowy w Generalnym Gubernatorstwie". Jego efektem była fala aresztowań i publicznych egzekucji zakładników.

Był to najlepszy prezent dla zbliżających się bolszewików. Silne antysowieckie nastroje, które wywołała w okupowanej Polsce sprawa Katynia, nie zostały w żaden sposób wykorzystane. Przeciwnie, szybko je stłumiła kolejna eksplozja nienawiści do niemieckiego okupanta. Nie wiem, czy czytaliście państwo kiedyś komiksy o przygodach Asteriksa i Obeliksa. Otóż ci dwaj dzielni Galowie walczący z legionami Cezara, nie mogąc się nadziwić prymitywizmowi rzekomo cywilizowanych najeźdźców, powtarzali co rusz: „Ależ głupi ci Rzymianie!". Przypomina mi się to, ilekroć myślę o poczynaniach władz okupacyjnych w Polsce. „Ależ głupi byli ci Niemcy!"

Rozdział 25

Józef Mackiewicz, pisarz oskarżony

W książce poświęconej Polakom opowiadającym się za ugodą z Niemcami nie może zabraknąć Józefa Mackiewicza. Najwybitniejszego polskiego prozaika wszech czasów. Jeżeli pogląd ten wyda się państwu zaskakujący, to proszę przeczytać choćby *Sprawę pułkownika Miasojedowa*. Nie mówiąc już o *Lewej wolnej* czy *Nie trzeba głośno mówić*. Jestem pewien, że przyznacie mi państwo rację.

Mackiewicz był jednak nie tylko znakomitym literatem. Był również rozsądnym człowiekiem, który bezbłędnie analizował dramatyczną sytuację, w jakiej znaleźli się Polacy podczas II wojny światowej. Sprawiało to, że szedł pod prąd, sprzeciwiając się prosowieckiej linii, którą przyjęli wówczas Polacy. Był za to opluwany zarówno przez komunistów, jak i patriotycznie poprawnych propagandzistów zajmujących się wynoszeniem pod niebiosa katastrof, jakie sprowadzili na naród polski jego przywódcy. W efekcie do Mackiewicza przylepiła się łatka „zdrajcy i kolaboranta".

Wojna zastała Józefa Mackiewicza na Wileńszczyźnie. Najpierw żył więc pod władzą litewską. W czerwcu 1940 roku, gdy Litwa, a wraz z nią Wilno, została włączona do Związku Sowieckiego, Mackiewicz znalazł się pod okupacją sowiecką. Czym jest bolszewickie piekło, przekonał się wówczas na własne oczy. Sam był zresztą przesłuchiwany przez NKWD, przed deportacją na Sybir uratowało go – jak dziesiątki tysięcy innych Polaków – wkroczenie Wehrmachtu.

Upojony wspaniałym wydarzeniem, jakim było przepędzenie bolszewików z jego rodzinnego kraju, Mackiewicz w lipcu 1941 roku napisał artykuł *Przeżyliśmy upiorną rzeczywistość*. Opublikował go w wydawanym za zezwoleniem Niemców „Gońcu Codziennym".

> Korzystam z pierwszych łam wydawanych po polsku – pisał – aby je prosić o gościnę. Nie wiem, czy bardziej z tęsknoty do pisania, czy z nienawiści do bolszewików. W każdym razie nie wstydzę się ani jednego, ani drugiego uczucia. Na tę ostatnią wojnę czekaliśmy rok tylko. Ale czekaliśmy z takim upragnieniem, jakby upłynęły lata całe. Czekali nasi robotnicy, chłopi, inteligencja – wszyscy.
>
> Raz na robotach leśnych odezwał się do mnie kolega: Nie od „wojny", ale „od pokoju, powietrza i głodu wybaw nas Panie". I wówczas, pół roku temu, ta żartobliwa zmiana pięknej modlitwy nie wydała mi się bluźnierstwem wobec Boga. Natomiast wobec Narodu Polskiego bluźnierstwem byłby zarzut, że nie pragnie on z całym światem cywilizowanym zniszczenia raz na zawsze, wypalenia ogniem i żelazem przeklętego systemu, by wreszcie przestał zagrażać ludzkości. W tej ostatniej wojnie

wolałbym raczej nie być Polakiem, niż skalać się sojuszem z największym wrogiem świata – bolszewickim państwem.

Oprócz tego tekstu Mackiewicz napisał w „Gońcu” kilka reportaży opisujących sowiecką „upiorną rzeczywistość”, które znalazły się później w jego powieści *Droga donikąd*. Dla pisarza oczywiste było, że z dwojga złego – bolszewików i Niemców – należało w 1941 roku wybrać tych drugich. Dlatego też podpisanie paktu Sikorski–Stalin wywołało w nim głęboki sprzeciw, któremu dał wyraz w opublikowanym w „Gońcu” komentarzu *To dopiero byłaby klęska*.

Czytając dzisiaj ten tekst, trudno wyjść z podziwu, jak bezbłędnie Mackiewicz przewidział dalszy przebieg wojny. Proszę mi więc wybaczyć, że tak obszernie go cytuję. Jest to jednak jeden z najlepszych i najmądrzejszych polskich artykułów politycznych opublikowanych podczas II wojny.

> Musimy sobie powiedzieć zupełnie wyraźnie – pisał autor *Buntu Rojstów* – bolszewizm jest wrogiem przede wszystkim i nade wszystko, bo jest wrogiem nr 1 każdego narodu. O ile wróg, że się tak wyrazimy „normalny” niszczy przede wszystkim państwo swego przeciwnika, o tyle bolszewizm pokonując państwo, niszczy jednocześnie naród, ewentualnie narody to państwo zamieszkujące, ich dobra duchowe, ich ideały narodowe. I to niszczy w sposób gruntowny.
>
> Jakiż ratunek? Jakież wyjście z sytuacji? Jedno tylko: Sowiety należy rozbić, zanim zakończy się wojna. Zanim z tą wojną ruszą same na Europę. Już gromadzą siły, już jest za minutę dwunasta! Któż miał tego dzieła dokonać? W sytuacji z roku 1941, czyli ostatecznego terminu dla ratowania Europy przed zarazą bolszewicką – mogły tego dokonać tylko i wyłącznie – Niemcy. O to się chyba absolutnie nikt spierać nie będzie. A fakt, że tego dokonały, ośmieliłbym się policzyć im nie jako zasługę wobec świata kulturalnego, lecz jako spełnienie świętej misji.
>
> W zwycięstwo Niemiec nad Sowietami nie należy wątpić. Ono jest zupełnie pewne. Ale zechciejmy na chwilę wyobrazić sobie niemożliwość: zwycięstwo koalicji anglo-sowieckiej. Bo nie mówmy o zawiłych kombinacjach snutych przez różnego autoramentu polityków. Mówmy o faktach. A faktem jest, że z jednej strony walczą Niemcy, z drugiej koalicja anglo-sowiecka. Jakiż byłby też rezultat takiego niemożliwego zwycięstwa?
>
> O losie Polskiego Narodu moglibyśmy nawet nie wspominać. Jego los byłby przypieczętowany może na wieki, a może na zawsze, łącznie z losem innych narodów Europy Wschodniej, jeżeli zważymy niezwykłą moc rozkładową bolszewizmu, o której pisałem powyżej. I nie byłoby w Europie żadnego czynnika, żadnej potęgi, która by była w stanie albo chciała wyrwać polski naród z czerwonych kleszczy destrukcyjnego imperializmu. Dlatego jestem bardzo, ale to bardzo głęboko przekonany, że w sytuacji z roku 1941 zwycięstwo koalicji anglo-sowieckiej byłoby dla Polaków największą klęską, jaka nie tylko ich w tej wojnie spotkać mogła, ale klęską przewyższającą wszystkie dotychczasowe na przestrzeni dziejów.

Jak wiemy, tak właśnie się stało – koalicja anglo-sowiecka wojnę wygrała i II wojna światowa skończyła się największą klęską w dziejach naszego narodu. Dla przedstawicieli Polskiego Państwa Podziemnego głoszenie podobnych poglądów było jednak herezją. Każdy, kto podrywał wiarę w „sojuszników”, popełniał według nich myślozbrodnię.

I chociaż, gdy Niemcy pokazali w Wilnie swoje prawdziwe, zbrodnicze oblicze, Mackiewicz zerwał współpracę z „Gońcem”, artykułu tego nigdy mu nie wybaczono. Stosując metodę kłamstw i dezinformacji, wrogowie pisarza doprowadzili do zwołania sądu

kapturowego i wydania na niego wyroku śmierci. Jak wynika z ustaleń biografa Mackiewicza, Włodzimierza Boleckiego, stali za tym Lucjan Krawiec i Jerzy Wroński, dwaj ludzie z wileńskiego Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK. A więc najbardziej zinfiltrowanej przez sowieckich agentów instytucji naszej konspiracji.

Krawiec był człowiekiem o lewicowych poglądach, który w 1940 roku został zwolniony z NKWD za sprawą wstawiennictwa samego Stefana Jędrychowskiego. W piśmie do bezpieki Jędrychowski zapewniał, że Krawiec ma szansę zostać dobrym „pracownikiem sowieckim" i będzie „pracował lojalnie dla naszej sowieckiej ojczyzny". Oczywiście pod warunkiem, że będzie „miał dobre kierownictwo". Kierownictwo musiał mieć rzeczywiście dobre, bo przy okazji sprawy Mackiewicza spisał się na medal. Oczywiście na medal Lenina.

Jeszcze „ciekawsza" była druga z wymienionych figur – Wroński. On z kolei za okupacji sowieckiej był członkiem redakcji… wydawanej przez bolszewików gadzinówki „Prawda Wileńska"!

W tym miejscu warto zatrzymać się na chwilę, aby przedstawić różnicę między „Gońcem Codziennym", w którym kilka tekstów opublikował Mackiewicz, a sowieckimi gadzinówkami. Otóż ta pierwsza gazeta nigdy nie opublikowała artykułu, w którym poniżałaby polskie uczucia narodowe. Nigdy nie wyrażała radości z upadku Polski i nigdy nie pisała peanów na cześć Hitlera.

W publikowanych na łamach „Gońca" tekstach opisywano za to ze szczegółami sowieckie bestialstwa popełnione podczas okupacji lat 1939–1941. Redakcja zbierała dokumenty, relacje i inne informacje na temat zbrodni popełnionych wówczas na narodzie polskim. Do dzisiaj są to dla historyków cenne i ważne źródła.

„Gońcem" kierował Czesław Ancerewicz, którego żonę i dziecko zgładzili bolszewicy. Jego samego przed wywózką na Sybir uratowali polscy kolejarze, którzy po ataku Niemiec wykorzystali panikę bolszewików i odczepili wagony z polskimi więźniami. Niestety Ancerewicz został zastrzelony w marcu 1943 roku w przedsionku wileńskiego kościoła Świętej Katarzyny przez egzekutorów z AK. Był to wyrok niesprawiedliwy, zamordowano niewinnego człowieka.

A teraz rzućmy okiem na polskojęzyczne gazety wydawane w latach 1939–1941 przez bolszewików. A więc wspomnianą „Prawdę Wileńską", w której pracował Wroński, czy lwowski „Czerwony Sztandar". Otóż pisma te były jednym wielkim stekiem wyzwisk na Rzeczpospolitą. Ich autorzy wynosili pod niebiosa Stalina i wyrażali radość z powodu upadku „faszystowskiej, pańskiej Polski" i „wyzwolenia polskich robotników i chłopów przez Armię Czerwoną".

W porównaniu z autorami publikowanych na łamach tych pism artykułów, wierszy i opowiadań Joseph Goebbels jawi się jako sympatyczny i prawdomówny polonofil. Jacy zaprzańcy pisali te wszystkie sowieckie świństwa? A tacy: Julian Stryjkowski, Władysław Broniewski, Stanisław Jerzy Lec, Aleksander Wat, Adam Ważyk czy Tadeusz Boy-Żeleński.

Wszystkim tym ludziom Polskie Państwo Podziemne nie tylko żadnych procesów nie wytaczało, ale są oni do dzisiaj uważani za wybitnych Polaków, których imionami nazywa się ulice i szkoły. Józef Mackiewicz uznany zaś został za zdrajcę. To kolejny objaw nierównego traktowania obu naszych okupantów, które w 1944 roku skończyło się dla nas wielką tragedią akcji „Burza", gdy żołnierzom AK kazano witać wkraczających do Polski bolszewików.

> Artykuły Mackiewicza w „Gońcu" – pisał Włodzimierz Bolecki – skierowane były nie przeciw państwu polskiemu (co by podpadało pod przepisy podziemnego sądownictwa) ale przeciw ZSRS, okupantowi wschodnich terenów II RP. I nie przeciw narodowi polskiemu, lecz opisywały gehennę ludności polskiej w czasie bolszewickiej okupacji Wilna. Polska była pod dwiema okupacjami, tymczasem przepisy sądownictwa podziemnego, a zwłaszcza ich zastosowanie wobec Józefa Mackiewicza, są w ujęciu oskarżycieli takie, jakby istniał tylko jeden okupant. To się tłumaczy dość prosto – ten drugi okupant od połowy 1941 roku był już „sojusznikiem naszych sojuszników".

Zdaniem biografa wyrok na pisarza nieprzypadkowo został skierowany do wykonania akurat wiosną 1943 roku. A więc wtedy, gdy Mackiewicz otrzymał od Niemców propozycję wyjazdu na ekshumację do Katynia. Sowieccy agenci, którzy zinfiltrowali polskie podziemie, chcieli najprawdopodobniej wyeliminować niewygodnego świadka, który mógłby w przyszłości zaświadczyć, kto był prawdziwym sprawcą masakry.

> Kiedy nad jednym z najwybitniejszych polskich powieściopisarzy – pisał Czesław Miłosz – sprawuje się sąd kapturowy, bez prawa obrony, warto zastanowić się, kim byli jego oskarżyciele. W nagonce na Mackiewicza brało udział dziwne towarzystwo, bo i patrioci, i ukryci agenci sprawców mordu w Katyniu. Leżało najbardziej w interesie tych ostatnich, żeby ogłosić go faszystą i kolaborantem.

Całe szczęście wileńska AK różniła się od warszawskich struktur tej organizacji i wyrok wywołał gwałtowny sprzeciw szeregu jej członków. Weto postawił między innymi kierujący likwidacjami Sergiusz Piasecki, nawiasem mówiąc, również znakomity literat, autor świetnego *Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy*. W efekcie haniebny werdykt sądu kapturowego został odwołany i Józef Mackiewicz – za zgodą podziemia – pojechał pod Smoleńsk.

Decyzji tej zawdzięczamy dwie znakomite książki o tej największej zbrodni dokonanej na narodzie polskim. Obie zostały wydane za granicą i przetłumaczone na wiele języków. Mackiewicz zeznawał również przed specjalną komisją Kongresu USA, która miała wyjaśnić okoliczności mordu na polskich oficerach. Przez całe życie heroicznie walczył z moskiewskim

kłamstwem na temat Katynia.

Co robił po powrocie z ekshumacji do Wilna? Ze zgrozą obserwował zbliżanie się Sowietów do jego ukochanego miasta. Ponieważ obiecał sobie, że nigdy już nie znajdzie się pod władzą sowiecką, sprzedał wszystko, co miał, i w maju 1944 roku wyjechał do Warszawy. Tam wydał trzy numery podziemnej gazety „Alarm", która miała ostrzegać warszawiaków przed zbliżającymi się bolszewikami.

Współpracował wówczas ze znanym piłsudczykiem podpułkownikiem Wacławem Lipińskim. Do antykomunistycznej akcji próbował wciągnąć przebywających w stolicy krajan – Janusza Minkiewicza i Czesława Miłosza. Ten ostatni zapamiętał, że Mackiewicz był zdumiony beztroską i lekkomyślnością Warszawy, która była pewna zwycięstwa i wyczekiwała przyjścia „sojuszników naszych sojuszników".

> Dla Mackiewicza była to beztroska dzieci, które nie chcą wiedzieć, że jeszcze chwila, a nic nie zostanie z ich zabawek, tak jak nic nie zostało w Wilnie – pisał poeta. – Odbyliśmy długą rozmowę. Z jego strony było to powtarzane na różne sposoby pytanie „jak to jest możliwe?". Więc teraz, kiedy jasne dla każdego, że alianci są daleko, nic? Żadnej próby dogadania się, choćby w ostatnim momencie, z przegrywającymi Niemcami, skłonnymi już do ustępstw?
>
> Teraz przecie można by było wydawać pismo, żeby mówić głośno prawdę o okupacji sowieckiej, tłumioną przez polskie podziemie na usługach Londynu, a pośrednio Moskwy. Słuchaliśmy go z niedowierzaniem, jak się słucha człowieka niespełna rozumu. I wyśmialiśmy go. Był to wówczas człowiek zrozpaczony i być może bardziej zrozpaczony niż Minkiewicz i ja, bo my zachowywaliśmy jakieś nadzieje.

Sam Mackiewicz tak opisywał tamte dni:

> Wytworzyła się sytuacja niezwykła: jedyną osłonę Polski przed zalewem bolszewizmu stanowiły de facto armie niemieckie na wschodzie. O żadnym jednak porozumieniu, a nawet stwierdzeniu tego faktu, nie mogło być mowy, gdyż na przeszkodzie stała z jednej strony szaleńcza polityka Hitlera, z drugiej ślepa polityka Polski. Naturalnie byli ludzie dostatecznie światli, którzy rozumieli, że jedyną w tej sytuacji nadzieją jest powstrzymanie naporu sowieckiego przez Niemców tak długo, dopóki mocarstwa zachodnie nie uzyskają absolutnej przewagi na zachodzie.

Z Warszawy Mackiewicz wyjechał w przededniu wybuchu powstania. Skierował się do Krakowa, gdzie działał w założonym przez hrabiego Adama Ronikiera Biurze Studiów Politycznych. Była to organizacja zrzeszająca kilkudziesięciu intelektualistów, którzy zachowali zdolność trzeźwego myślenia, a co za tym idzie – byli krytycznie nastawieni wobec tego, co w 1944 roku wyrabiało dowództwo Armii Krajowej. Członkowie biura starali się przygotować psychicznie naród polski na nadejście nowego okupanta i skłonić podziemie do wstrzymania bezsensownego rozlewu krwi. Opowiadali się za wstrzymaniem walki z wycofującymi się już Niemcami.

Akcja ta również jednak nie przyniosła większych efektów i Mackiewicz musiał uciekać

dalej. Znowu miał sporo szczęścia, bo Kraków opuścił w przeddzień zajęcia miasta przez Armię Czerwoną. Przedarł się następnie do Włoch do korpusu generała Andersa. Na wychodźstwie pozostał do końca życia – zmarł w roku 1985 – i do końca był nieprzejednanym wrogiem bolszewizmu. A także zdecydowanym krytykiem podziemia.

> Gdybym miał odmalować ówczesną tragedię kraju – pisał w głośnym artykule *Nudis verbis* – przedstawiłbym naród w postaci pochodu, który z pieśnią na ustach, na przemian męczeńską i triumfalną, gnany jest przez siepaczy hitlerowskich w przepaść bolszewicką. A po bokach kroczące szpalery „autorytetów konspiracji", pilnujących z pistoletem w garści, aby nikt z tego pochodu się nie wyłamał, nikt nie próbował zawrócić czy innych przed przepaścią nie ostrzegł.

W napisanym w 1954 roku liście do Jerzego Giedroycia dodawał:

> W moim przekonaniu współpraca z Niemcami przeciwko bolszewikom, jaką podjęły wszystkie narody na wschodzie Europy z wyjątkiem Polski i Czech, byłaby z punktu widzenia ludzkiego bardziej moralną niż współpraca z bolszewikami, którą uprawiała AK. Dziś, gdy widzę rzeczy już z perspektywy historycznej, żałuję z całego serca, że Wehrmacht nie rozgromił Armii Czerwonej w drobny mak.

Podczas jednego z przemówień Władysław Gomułka powiedział, że spośród wszystkich polskich pisarzy emigracyjnych Mackiewicz jest najbardziej niebezpieczny dla „Polski ludowej". I że on jedyny jest prawdziwym, ideowym antykomunistą, nie rokującym żadnych nadziei na „poprawę". Jest to chyba najlepsza rekomendacja.

Rozdział 26

Rozsądni gestapowcy

O dziwo, nie wszyscy Niemcy działający podczas II wojny światowej na terenie okupowanej Polski byli skończonymi bałwanami. Zdarzali się wśród nich rozsądni ludzie, i to nie tylko – jak można wywnioskować ze starych wojennych filmów – w Abwehrze. Takie osoby były także w Gestapo, a konkretnie we wspominanej już kilkakrotnie Sicherheitsdienst (SD), czyli Służbie Bezpieczeństwa Reichsführera-SS.

Ludzie ci odstawali od innych funkcjonariuszy niemieckiej tajnej policji, którzy przyjechali do Polski z Rzeszy. Jak pisał znawca tych spraw Włodzimierz Borodziej, poziom większości gestapowców był bowiem po prostu dramatyczny. Szefowie poszczególnych placówek Gestapo w Rzeszy rozesłany im okólnik o konieczności wysłania „najlepszych ludzi" do pracy w okupowanej Polsce uznali bowiem za świetną okazję do pozbycia się najgorszych.

Do Polski zjechali więc z całych Niemiec łapownicy, degeneraci, alkoholicy i sadyści. Innymi słowy – szumowiny nawet jak na niskie standardy panujące w Gestapo. Służba w trudnych warunkach, daleko od domu pogłębiła tylko ich przywary. Stąd w szeregach gestapowców w Generalnym Gubernatorstwie szerzyły się alkoholizm i korupcja. Do tego dochodziły częste defraudacje i wykroczenia, na czele z wdawaniem się w bójki o nieliczne niemieckie kobiety.

Fatalny poziom intelektualny i moralny gestapowców przekładał się na metody stosowane przez nich w pracy. Jak podkreślał wspomniany Borodziej, braki w wykształceniu kryminalistycznym uzupełniali najprostszą możliwą metodą pozyskiwania informacji – bestialskim biciem. W ten sposób wyciskali z podejrzanych adresy i nazwiska. Każdy kolejny wykryty przez nich przejaw aktywności podziemia próbowali zaś paraliżować aresztowaniami i morderstwami.

Był to ślepy terror, który mógł przynieść tylko efekt odwrotny do zamierzonego. Dysząca żądzą odwetu młodzież masowo garnęła się do tajnych organizacji. Terror nakręcał kontrterror i wkrótce Generalne Gubernatorstwo zaczęło przypominać strefę wojny. Sytuacja wymykała się władzom okupacyjnym spod kontroli.

Z tego błędnego koła próbowali się wyrwać pragmatyczni oficerowie SD. Pierwszym z nich był przedstawiony już w tej książce Hans Merz. Drugim – komisarz Paul Fuchs, szef Gruppe

IV A (zwalczania ruchu oporu) i IV N (kontroli agentury) w radomskim Gestapo, nazywany „Lisem z Radomia”. Trzecim – SS-Hauptsturmführer Albert Spilker, as tajnej policji kierujący warszawskim Sonderkommando IV AS.

Funkcjonariusze ci byli zwolennikami zmiany ludobójczej polityki wobec Polski nie dlatego, że kochali Polaków czy byli dobrymi ludźmi. Przeciwnie, Fuchs i Spilker byli zbrodniarzami z krwią na rękach. Pierwszy w 1939 roku służył w Einsatzkommando 2/III i brał udział w mordach na ziemiach włączonych do Rzeszy. Drugi organizował rozstrzeliwania podczas Powstania Warszawskiego.

Obaj rozumieli jednak, że brutalnie prześladując Polaków, Niemcy kręcą powróz na własną szyję. To niemiecki patriotyzm pchnął ich do szukania kontaktów z Polakami. Uznali, że tylko dzięki kompromisowi z przeciwnikiem zdołają wykonać powierzone im zadanie, czyli sprawić, że Polskie Państwo Podziemne przestanie stanowić zagrożenie dla Rzeszy.

Dostrzegając różnice między podziemiem komunistycznym a niepodległościowym, próbowali nawiązywać kontakty z tym ostatnim i przekonywać jego przywódców o konieczności współdziałania przeciwko wrogowi Polski i Rzeszy.

Sprzeciwiali się masowym aresztowaniom członków podziemia, uważając, że przynoszą więcej szkody niż pożytku. Aresztowania takie zrywały bowiem kontakty z agentami, które potem trudno było odbudować. A co najważniejsze, zaprzepaszczały dotychczasową pracę tajnej policji.

> Likwidacja tej czy innej grupy polskiego ruchu oporu – mówił dowódca policji i służby bezpieczeństwa w GG generał Bruno Streckenbach – niewiele daje. Gdy policja zaatakuje jedno ogniwo tej sieci, cała organizacja natychmiast odpowiednio się przekształca. Następuje zmiana pseudonimów, szlaków, z których korzystają łącznicy, i w ogóle błyskawiczna reorganizacja całej struktury. Wniknięcie do tej sieci wymaga ponownej wielomiesięcznej pracy, której rezultat wcale nie jest taki pewny.

Wspomniani oficerowie woleli więc działać za pośrednictwem agentury, montować złożone operacje wywiadowcze i trwające całymi miesiącami gry policyjne. Tworzyć fikcyjne organizacje, a przede wszystkim rozmawiać z Polakami. Woleli infiltrować i penetrować polskie podziemie, niż je niszczyć. Wiedzieli bowiem, że to ostatnie było po prostu niemożliwe.

Dlatego właśnie Spilker i Fuchs często zwalniali aresztowanych konspiratorów. I to nie tylko tych, którzy poszli z nimi na współpracę. Wystarczyło, że zatrzymany Polak miał poglądy antykomunistyczne, aby odzyskał wolność. Oficerowie SD uznawali bowiem, że korzyści z jego działalności wymierzonej w bolszewików przeważą nad stratami, jakie przynosiła Rzeszy jego działalność antyniemiecka.

Najważniejszym z trójki był bez wątpienia Albert Spilker. Najpierw działał on w Krakowie, a następnie – w roku 1942 – przeniósł się do Warszawy, gdzie znajdowała się centrala polskiego podziemia. Chciał być bliżej przeciwnika.

> Wyróżniał się nieprzeciętną inteligencją – pisał o Spilkerze Józef Bratko – był doświadczonym funkcjonariuszem policyjnym, cieszącym się zaufaniem zwierzchników. Łączył w sobie brutalność i zdecydowanie z wręcz samarytańskimi odruchami. Nie mieścił się dlatego w utrwalonych w świadomości Polaków stereotypach. Kiedyś, w roku 1941, mając w swych rękach 17-letniego Jerzego Karwata, zmasakrowanego przy próbie ucieczki z Montelupich, na prośbę matki chłopca zgodził się, aby ta zajęła z synem wspólną celę i mogła go pielęgnować. Imponował ułożeniem towarzyskim. I, co tu ukrywać, rzucającą się w oczy męską urodą.

Nawiasem mówiąc, to ostatnie – był wysokim blondynem – nie sprawiało wcale, żeby miał szczęście w miłości. Żona, poznana podczas berlińskich igrzysk olimpijskich 1936 roku fińska sportsmenka, nagminnie bowiem Spilkera zdradzała. Wróćmy jednak do spraw poważnych. Otóż wbrew patriotycznym mitom – według których jedyną formą kontaktów między Niemcami a Polakami podczas wojny było strzelanie – organizacje podziemne chętnie podjęły grę zaproponowaną im przez SD.

> W czasie okupacji miały miejsce kontakty i rozmowy pomiędzy przedstawicielami polskiego ruchu oporu, partii i ugrupowań politycznych a przedstawicielami niemieckich służb bezpieczeństwa – pisał niemiecki historyk Michael Foedrowitz. – Kontakty te były pod względem określenia ich celu, towarzyszących okoliczności, wagi i rezultatów niezwykle zróżnicowane oraz w dużej mierze zależne od wymogów chwili i wydarzeń na frontach walk.
>
> Ruch oporu próbował poprzez nawiązanie kontaktów załatwić uwolnienie więzionych przez Niemców członków państwa podziemnego lub ruchu partyzanckiego albo uzyskać złagodzenie rygorów okupacyjnych dla polskiej ludności. Oprócz tego interes polityczny nakazywał poznawanie zamiarów i poglądów przeciwnika – dlatego właśnie nawiązywano stosunki z niemieckimi władzami.

Paul Fuchs miał w swojej radomskiej kartotece 40 tysięcy nazwisk ludzi powiązanych z podziemiem. Do tego należy dodać kilkuset agentów i Polaków, z którymi utrzymywał kontakty. A były to postacie nie byle jakie. Po wojnie chwalił się, że spotykał się między innymi z Bolesławem Piaseckim. Fuchs musiał w Radomiu założyć specjalną komórkę – „biuro studiów" polskiego podziemia – która analizowała olbrzymią ilość informacji napływających z terenu. Aby pracować efektywniej, Spilker i Fuchs nauczyli się polskiego.

Tak jak pisałem we wstępie, *Opcja niemiecka* jest książką o politycznych próbach porozumienia polsko-niemieckiego, a nie o sprawach agenturalnej infiltracji podziemia przez służby nieprzyjaciela. Ograniczę się więc tylko do kilku ogólnych uwag.

Otóż skala penetracji naszej konspiracji przez tajną policję Rzeszy bez wątpienia była znacznie większa, niż się to zwykło sądzić. Tacy niemieccy agenci jak V-168 czy V-51 byli

w stanie dotrzeć do samych szczytów polskiej konspiracji. W siedzibie Abwehry podobno zaś wisiała na ścianie legendarna mapa polskiego podziemia, a więc szczegółowy wykres ukazujący całą strukturę konspiracji wraz z dokładnymi personaliami jej najważniejszych postaci. Historycy oceniają, że Niemcy mieli w Polsce około 60 tysięcy konfidentów.

„Oni wszystko wiedzą" – mówił po wypuszczeniu go z Gestapo pułkownik Janusz Albrecht – „a w każdym razie dużo za dużo. Nie sądziłem, że aż tak głęboko sięgają ich wiadomości. Rozszyfrowana jest nie tylko prawie cała Komenda Główna, ale większość obsad okręgów".

Jeżeli dodamy do tego, że Niemcy złamali część polskich szyfrów, którymi posługiwano się w kontaktach z Londynem, i przechwycili plany powstania, otrzymujemy obraz dość przygnębiający. Z drugiej strony pojawiająca się czasami opinia, że Polskie Państwo Podziemne na początku 1944 roku znalazło się pod całkowitą kontrolą służb i Niemcy – gdyby tylko chcieli – mogli je zwinąć w ciągu dwudziestu czterech godzin, jest bardzo przesadzona. W końcu nie udało im się przecież zapobiec ani „Burzy", ani Powstaniu Warszawskiemu.

Wróćmy jednak do polityki. Jednym z ludzi, który odbywał w Warszawie regularne konsultacje ze Spilkerem, był szef wydziału bezpieczeństwa Delegatury Rządu na Kraj Tadeusz Myśliński, do którego sprawy jeszcze wrócimy. Podobne kontakty utrzymywane były w wielu mniejszych ośrodkach. Na przykład Harro Thomsen, późniejszy szef „polskiego" referatu D 2 Geheime Staatspolizei, gdy stał na czele Gestapo w Grudziądzu, odbył tam szereg spotkań z lokalnym dowódcą ZWZ.

Kierownik Gruppe IV A krakowskiego Gestapo, Heinrich Hamann, próbował nawet nawiązać kontakt z dowódcą AK, generałem Tadeuszem Borem-Komorowskim. Według zeznań jednego ze schwytanych po wojnie gestapowców, Alfreda Otto, z kolei komendant policji bezpieczeństwa w Warszawie doktor Ludwig Hahn w 1943 roku spotkał się z samym „Borem" w konspiracyjnym mieszkaniu przy Alejach Jerozolimskich w Warszawie. Rozmowę zaaranżował podobno hrabia Maurycy Potocki.

Wydaje się jednak, że ta ostatnia informacja została raczej podsunięta Ottonowi przez ubeków, którzy zbierali wówczas haki mające skompromitować AK jako kolaborantów Hitlera. Sam Komorowski, w depeszy do Londynu z 28 lutego 1944 roku, informował jednak, że władze niemieckie starają się do niego dotrzeć, żeby zaproponować mu rozejm.

Innym Polakiem, z którym ożywione kontakty utrzymywał Alfred Spilker, był Eryk Skowron, przedwojenny dziennikarz powiązany z ONR i dziwaczną narodowo-pogańską organizacją „Zadruga". Podczas okupacji był on znakomicie prosperującym biznesmenem i wygląda na to, że powodzenie w interesach zawdzięczał właśnie swojej znajomości ze Spilkerem. Oficer SD między innymi wystawiał Polakowi dokumenty gwarantujące mu osobiste bezpieczeństwo.

Aresztowany po wojnie przez UB Skowron został oskarżony o prowadzenie z Gestapo sondażowych rozmów na temat możliwości powołania jakiejś formy kolaboracyjnego rządu w GG. Skowron stanowczo temu zaprzeczał, tłumacząc, że jego kontakty ze Spilkerem ograniczały się do wręczania gestapowcowi łapówek. Jak było w rzeczywistości – nie wiadomo.

Również druga strona trzymała rękę na pulsie. Bardzo aktywy Paul Fuchs szybko wzbudził zainteresowanie podziemia, które próbowało go rozpracować. W 1942 roku kontakt z Fuchsem nawiązał plutonowy Maksymilian Szymański „Relampago", szef wywiadu ofensywnego AK w Końskich. Plan był następujący: „Relampago" da się gestapowcowi zwerbować, ale będzie to werbunek fikcyjny. Tak naprawdę pozostanie wierny podziemiu i będzie dla niego szpiegował Fuchsa. Gdy jednak obaj panowie zaczęli rozmawiać o polityce, argumenty Fuchsa okazały się tak przekonujące, że całkowicie przekabacił on Szymańskiego na swoją stronę.

Plutonowy w efekcie przekazał radomskiej konspiracji memoriał od Fuchsa, w którym zawarta była oferta podjęcia współpracy „na odcinku zwalczania komunizmu". I gorąco namawiał do jej przyjęcia. Propozycja została odrzucona, a cała sprawa zakończyła się bardzo nieprzyjemnie. W pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia 1942 roku koledzy z konspiracji odwiedzili „Relampago" w jego mieszkaniu i położyli go trupem.

Mentalność Fuchsa dobrze oddaje relacja z rozmów, które prowadził z przedstawicielami radomskiej Rady Głównej Opiekuńczej w sierpniu 1943 roku. Starał się on nakłonić polskich działaczy do przekazania AK jego oferty. Zapewniał swoich rozmówców, że „nie jest jego zamiarem wyniszczanie nacjonalistów polskich, co jest na rękę komunistom". Dziwił się również, że polskie podziemie lekkomyślnie prowadzi działania bojowe.

> Polacy powinni sobie zdawać sprawę – mówił – że przy takim wzajemnym zabijaniu się poniosą zawsze straty znacznie większe niż Niemcy. Zaoszczędzenie społeczeństwu polskiemu strat ludzkich wywołanych nierozsądnymi akcjami przeprowadzanymi na rozkaz z Londynu jest obowiązkiem każdego Polaka. Widocznie jednak egzekucje, których dokonujemy, nie są według polskich czynników kierowniczych nadmierną stratą biologiczną dla narodu polskiego i dla gry, którą się prowadzi, warto takie straty ponosić.

A oto kolejny fragment tej niezwykle ciekawej rozmowy:

> *Fuchs:* Polacy popełnili jeden błąd. W kraju podzielonym w organizacji podziemnej na 200 obwodów można było z łatwością przeprowadzić taki eksperyment, by na rozkaz z góry przynajmniej w jednym takim obwodzie nie czyniono ze strony polskiej żadnych aktów gwałtu. Można by w ten sposób łatwo sprawdzić, jak postąpi strona niemiecka. Utrzymanie spokoju choćby w części kraju nie jest jednak zgodne z interesami Londynu. Gdziekolwiek lokalne czynniki polskie dążyły do utrzymania spokoju, to niebawem z góry nadchodziły rozkazy dokonywania aktów terrorystycznych, ażeby utrzymać w kraju stały

ferment.

RGO: W Radomiu był w ubiegłym roku spokój przez dłuższy czas, a mimo to w październiku policja bezpieczeństwa osadziła kilkadziesiąt osób do więzienia, jako zakładników, i sama wytworzyła nastrój podniecenia.

Fuchs: Zakładników wzięto prewencyjnie w całym kraju na rozkaz władz zwierzchnich.

RGO: Nie raz już zwracaliśmy uwagę na to, że sytuacja w GG nie zaostrzyłaby się w taki sposób, gdyby Niemcy wykazali więcej mądrości politycznej. Po przegranej przez nas wojnie wystarczyłoby dla zapewnienia w naszym kraju zwierzchności niemieckiej ustanowienie jakiejś naczelnej instancji wojskowej czy choćby generalnego gubernatora. Administrację i policję należało zostawić w rękach polskich. Można było zostawić nawet dla celów bezpieczeństwa np. 5000 żołnierzy polskich. 5000 karabinów nie stanowiłoby żadnego niebezpieczeństwa dla Niemców, a wystarczyłoby, wraz z policją, dla utrzymania spokoju w kraju. Dla wielu ludzi w ogóle odpadłby powód pójścia do lasu.

Fuchs: Cały problem polega na tym, że Polacy nie rozumieją Niemców, a Niemcy nie rozumieją Polaków.

RGO: Rzeczywiście wyobrażaliśmy sobie Niemców inaczej.

Nie tylko SD, również Abwehra, wywiad wojskowy, nie była traktowana przez polskie podziemie nadmiernie wrogo. Wiedziano, że służba ta jest nastawiona głównie na walkę z bolszewizmem i bieżącymi polskimi sprawami raczej się nie zajmuje. Interesowało ją jedynie powstrzymanie polskiego powstania, które mogłoby zagrozić zapleczu frontu wschodniego. Znany był jednak niechętny stosunek oficerów wywiadu wojskowego do Gestapo i krytyczne nastawienie do ludobójczej polityki wobec Polaków. Dlatego utworzony w podwarszawskim Sulejówku ośrodek sztabowo-szkoleniowy Abwehry „Walli", który działał na kierunku wschodnim, nie był nigdy atakowany przez podziemie.

Pisałem już o polsko-niemieckich rozmowach w Lizbonie, w których brał udział szef Abwehry, admirał Wilhelm Canaris. Reprezentujący w nich stronę polską podpułkownik Jan Kowalewski spotykał się również z innym oficerem wywiadu wojskowego, kapitanem Fritzem Kramerem. Złożył on podpułkownikowi mniej więcej taką samą propozycję, jaką Alfred Spilker i Paul Fuchs składali Polakom na terenie Generalnego Gubernatorstwa.

Zadaniem hitlerowskiego oficera było wybadanie – pisał Jan S. Ciechanowski – na ile możliwe było włączenie się polskiego podziemia we wspólną walkę z zagrażającym Europie komunizmem. Sprowadzało się to właściwie do oferty denuncjowania przez podziemie niewielkich grup polskich komunistów. Niemcy chcieli nawiązać kontakt z jedną z czołowych postaci polskiego życia politycznego w celu podjęcia rozmów na temat ewentualnej zmiany frontu wraz z postępami wojsk sowieckich. Kowalewski odparł, że współdziałanie polskich organizacji z hitlerowcami jest wykluczone, a ich zbrodnicza polityka w Polsce poniżej krytyki. Jakakolwiek zmiana w nienawiści Polaków do nich byłaby możliwa po zmianie ich postępowania. Polacy nie mieli być „tak szaleni", by wiązać się z przegraną sprawą swoich oprawców.

Jak potoczyły się losy bohaterów tego rozdziału? Spilker podobno wojny nie przeżył. Miał zginąć podczas bombardowania w Poznaniu, a według innych źródeł w Wiedniu lub Krems nad Dunajem. Hans Merz prowadził po wojnie hotel na Bliskim Wschodzie. Z kolei Paul Fuchs pozostał w wielkiej wywiadowczej grze. Dalej walczył z bolszewikami, lecz już nie na

rzecz III Rzeszy, ale Stanów Zjednoczonych. Współpracował bowiem ze słynną organizacją generała Reinharda Gehlena.

Fuchs napisał wspomnienia ze swojej pracy w okupowanej Polsce, które podobno znajdują się w archiwach jednej z zachodnich służb wywiadowczych. Zawarte w nich informacje – gdyby kiedyś wyszły na jaw – wywołałyby zapewne w Polsce szok.

Rozdział 27

Niemieckie rozmowy z „Grotem”

Na ulicę Spiską z piskiem opon zajechało kilkanaście krytych brezentem wojskowych ciężarówek. Wybiegli z nich uzbrojeni w broń maszynową gestapowcy i esesmani. Natychmiast na chodnikach i podwórkach zrobiło się czarno-zielono od niemieckich mundurów. Obsadzono wszystkie dachy i bramy, Spiska została z obu stron zablokowana. Nikogo na ulicę nie wpuszczano i nikogo z niej nie wypuszczano.

Główna grupa funkcjonariuszy wtargnęła do budynku pod numerem 14. Było ich tylu, że całą klatkę schodową – od piwnicy po strych – szczelnie wypełnili uzbrojeni ludzie. Niemcy wywalali drzwi kopniakami i wpadali do mieszkań. W akompaniamencie wrzasków i szturchańców wypędzili przerażonych mieszkańców na podwórze. Następnie zebrali się przed drzwiami mieszkania numer 10.

Tam weszli niezwykle ostrożnie, z bronią gotową do strzału. W środku od razu poczuli swąd spalonych papierów. W ubogo umeblowanym mieszkaniu zastali samotnego mężczyznę, który podał im do kontroli dokumenty świadczące, że jest zwykłym robotnikiem.

– Pan jest komendantem głównym Armii Krajowej – powiedział kierujący akcją Niemiec. – Pański pseudonim „Grot”. Nazywa się pan Stefan Rowecki i ma pan stopień generała. Papiery pańskie nas nie interesują. Są fałszywe.

Mówiąc to, wyciągnął z kieszeni fotografię przedstawiającą człowieka w mundurze pułkownika Wojska Polskiego i pokazał mężczyźnie.

– Czy poznaje pan tę fotografię?

Polak skinął głową. Było to bowiem jego zdjęcie. W tej samej chwili nałożono mu na ręce kajdanki i wyprowadzono na zewnątrz. Tam został zapakowany do czarnej limuzyny i w asyście kilku ciężarówek najeżonych bronią maszynową przewieziony do budynku warszawskiego Gestapo przy alei Szucha. Była jedenasta rano 30 czerwca 1943 roku. Właśnie rozegrała się jedna z największych tragedii w dziejach Polskiego Państwa Podziemnego.

Aresztowany został generał Stefan Grot-Rowecki. Założyciel i dowódca Związku Walki Zbrojnej, a później Armii Krajowej. Znakomity oficer, który dzięki swojej olbrzymiej charyzmie i sile woli prowadził największą organizację konspiracyjną okupowanej Europy. Po jego odejściu Armia Krajowa już nie była tą samą organizacją. Gdyby pozostał jej

dowódcą, bez wątpienia nie dopuściłby do tragedii Powstania Warszawskiego.

Dlaczego Niemcy aresztowali „Grota" akurat wtedy? Jest bowiem tajemnicą poliszynela, że generała mieli rozpracowanego od dawna. Paul Fuchs znał jego tożsamość i konspiracyjne lokale, w których bywał od roku 1941. Mimo to nie decydował się na „zwinięcie" „Grota".

> Najrozsądniejsi z oficerów gestapo wcale nie byli zadowoleni z tego aresztowania – mówił profesor Paweł Wieczorkiewicz. – To wcale nie był dla nich, tak jak my twierdzimy, wielki sukces. Zatrzymanie dowódcy AK, a co za tym idzie zamęt i reorganizacja ugrupowania, burzyło bowiem cały system kontroli, jaką Niemcy sprawowali nad podziemiem. Przykra prawda jest bowiem taka, że było ono w 80 procentach rozpracowane.

Podobnego zdania co profesor Wieczorkiewicz jest Michael Foedrowitz. Jego zdaniem aresztowanie nastąpiło w wyniku pomyłki, błędnej interpretacji doniesienia agenta. Według innej hipotezy funkcjonariusz, który dokonał aresztowania, młody, narwany szef Rollkommando Erich Merten, postanowił się wykazać i przeprowadzić całą akcję za plecami Spilkera, Fuchsa i innych pragmatycznych oficerów SD. To by tłumaczyło, dlaczego za tak wielki sukces, jakim było aresztowanie dowódcy polskiego podziemia, dostał wręcz śmieszną nagrodę – tysiąc marek.

Nie mniej prawdopodobne jest jednak i to, że aresztowanie miało podłoże polityczne. Niemieckie służby liczyły bowiem, że po odkryciu grobów katyńskich polskie podziemie zawiesi działania wymierzone w III Rzeszę i skupi się na walce z wysuwającym się na pierwszy plan zagrożeniem sowieckim. Uważano, że oficerowie tworzący konspirację niepodległościową dowiedzą się, co bolszewicy zrobili z ich kolegami, „przejrzą na oczy" i zrozumieją, co ich czeka, gdy Armia Czerwona wkroczy do Polski.

Kiedy jednak rozmaite naciski i sugestie przekazywane Armii Krajowej nieformalnymi kanałami nie przyniosły żadnego efektu, gestapowcy zdecydowali się podjąć działania w swoim tradycyjnym stylu. Czyli w stylu skrajnej tępoty. Postanowili aresztować dowódcę AK i w ten sposób dowieść mu, że o jego organizacji wiedzą wszystko. I co za tym idzie – że dalsza walka z Rzeszą nie ma żadnego sensu. A przez „dżentelmeńskie traktowanie" skłonić generała do zawarcia ugody.

Rzeczywiście Rowecki traktowany był po aresztowaniu przyzwoicie. Po wejściu do budynku Gestapo przywitał go komendant SD i policji bezpieczeństwa doktor Ludwik Hahn. Wręczył on Polakowi – „w geście uznania wobec pokonanego przeciwnika" – butelkę szampana i paczkę dobrych papierosów. „Grot" jednak z godnością odmówił wypicia alkoholu z gestapowcem. Opanowanie i oficerska postawa generała zrobiły na Niemcach olbrzymie wrażenie.

Po krótkim pobycie na warszawskim Gestapo, podczas którego doszło do wstępnego przesłuchania dokonanego przez Spilkera, dowódca polskiego podziemia został z powrotem zapakowany do limuzyny i przewieziony na lotnisko Okęcie. Tam czekał już przybyły z Berlina specjalny samolot Ju-52. Gdy wystartował, była czwarta rano. Trzy godziny później generał Stefan Grot-Rowecki znajdował się już w stolicy III Rzeszy. Podobno podczas lądowania z ciekawością patrzył przez okienko samolotu na olbrzymie, budzące się do życia miasto.

Po wylądowaniu w Berlinie przewieziono go do gmachu Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy przy Prinz-Albrecht-Straße 8. Tam rozpoczęły się rozmowy, które w imieniu Rzeszy prowadził Spilker, a także Harro Thomsen i sam szef Gestapo, Heinrich Müller. W jednej rozmowie podobno brał nawet udział Himmler. Przedmiotem pertraktacji było oczywiście zawieszenie broni między AK a władzami okupacyjnymi. Ponowiona została propozycja złożona „Grotowi" dwa lata wcześniej za pośrednictwem pułkownika Albrechta.

Gdyby Grot-Rowecki powiedział „tak", stałby się zapewne polskim Dražą Mihailoviciem. Ten serbski generał stojący na czele podziemnego ruchu czetników zawarł właśnie takie „ciche porozumienie" z Niemcami na terytorium Jugosławii. Dzięki niemu mógł skupić się na tępieniu czerwonych bandytów Josipa Broz Tito.

Berlińskie rozmowy z „Grotem" Niemcy traktowali poważnie i wiązali z nimi spore nadzieje. Raporty na ich temat trafiały na biurka Himmlera, szefa Sipo i SD Ernsta Kaltenbrunnera oraz samego Hitlera. „Czy nie należałoby rozpatrzyć możliwości wykorzystania gen. Roweckiego dla neutralizacji polskiego ruchu oporu, który będąc częściowo antysowiecki, czuje się opuszczonym przez Anglię i jest zagrożony w swym istnieniu przez Niemcy?" – sugerował Himmler podczas rozmowy z Führerem.

„Grot" na zawieszenie broni zgodzić się jednak nie chciał. Powojenne zeznania Harro Thomsena, według których dowódca AK uległ, są mało prawdopodobne. Przesłuchiwany w latach sześćdziesiątych gestapowiec stwierdził, że Rowecki po długich namowach i perswazjach wreszcie zgodził się na zakopanie topora wojennego z Niemcami i współpracę wymierzoną w komunę. SD miało zaaranżować jego fikcyjną ucieczkę i przerzucić go do Warszawy, gdzie z powrotem stanąłby na czele AK, już jako niemiecki sojusznik.

Thomsen twierdził, że cała sprawa nie wypaliła, bo na realizację planu nie zgodził się Hitler. Rzeczywiście, jak wynika z dokumentów, Führer był przeciwny dogadaniu się Polakami. Sprawa została rozstrzygnięta podczas rozmowy, którą dyktator odbył 10 lipca 1943 roku w swej kwaterze polowej z Himmlerem.

Wódz rozważył tę kwestię – pisał dowódca SS – i zdecydował jednak, że eksperyment ten byłby zbyt niebezpieczny. Rowecki jest bez wątpienia człowiekiem o kwalifikacjach przywódcy i można by w ten sposób łatwo wzmocnić dość wielkiego

przeciwnika. Wskazał przy tym na przykład z Piłsudskim. Wódz dał potem wyraz swojemu zasadniczemu stanowisku w kwestii polskiej w sensie znanym mi i zupełnie zrozumiałym.

W tej sytuacji generał Rowecki w połowie lipca został wysłany do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen. Zamknięto go w celi numer 71 w sekcji dla VIP-ów, tak zwanym Zellenbaum. Co ciekawe, siedział tam razem ze Stepanem Banderą. Nadal wydawano mu, przepisane przez lekarza, dietetyczne posiłki. Generał mógł czytać niemiecką prasę i książki, a co najważniejsze, pozwolono mu korespondować z bliskimi w Generalnym Gubernatorstwie. Chodził na spacery, dostawał czystą bieliznę, przydzielono mu więźnia, który sprzątał jego celę.

A co najważniejsze – mimo weta Hitlera – stronnictwo zwolenników porozumienia z Polakami nie dało za wygraną. Szef Gestapo Heinrich Müller jeszcze kilka razy przyjeżdżał do Zellenbaum i podczas kurtuazyjnych rozmów próbował pozyskać „Grota” do koncepcji ugody.

Pamiętam, jak generał mówił mi o jednej z takich rozmów przeprowadzonych późną jesienią – wspominał jeden z ukraińskich współwięźniów Roweckiego, Wołodymir Stachiw. – Müller straszył bolszewickim zalewem całej Polski i wręcz namawiał do wspólnej walki z Rosją, obiecując w zamian ogłoszenie jakiegoś samorządu dla Polski. Gdy zapytałem generała, jak się ustosunkował do tych propozycji, odpowiedział mi porywczo: „Pan jeszcze pyta? Kogo biją po… (tu generał wymienił odpowiednią część ciała), z tym nie prowadzi się rozmów politycznych. A chyba nie ma pan wątpliwości, że tak właśnie bici są Niemcy”.

Tymczasem Alfred Spilker postanowił zwrócić się do rodziny generała. 8 lutego 1944 roku kazał on swoim ludziom zatrzymać brata „Grota”, Stanisława Roweckiego. Został on zawieziony do gmachu Gestapo i wprowadzony do gabinetu Spilkera.

Mężczyzna średniego wzrostu, lat około 40, w mundurze chyba Wehrmachtu, w każdym razie bez odznak esesmańskich, podniósł się zza biurka – wspominał zatrzymany. – Zupełnie poprawną polszczyzną rzekł:

– No, dzień dobry, panie Rowecki, mogę nareszcie po ostatnim widzeniu się z pana bratem porozmawiać i z panem. Chcę wykorzystać pana znajomość stosunków i ludzi w tej waszej Armii Krajowej. To, czego chcę obecnie od pana, to leży w interesie nie tylko nas, Niemców, lecz przede wszystkim jest ostatnią szansą dla waszej Polski. Trzeba skończyć wojnę między Europejczykami i przestawić się na ostateczną rozprawę z ciągnącym ze Wschodu niebezpieczeństwem bolszewickim. Czy chcecie, żeby po przyjściu nad Wisłę urządzili wam, Polakom, drugi Katyń? Ja te sprawy już niejednokrotnie poruszałem z pana bratem. To jest mądry człowiek, dobry oficer i uczciwy Polak. Jeszcze nie powiedział tak, ale wierzę, że da się przekonać.

Spilker poprosił, aby Stanisław Rowecki skontaktował go z następcą jego brata na stanowisku dowódcy AK w celu wszczęcia rozmów. Mimo odmowy Polak został wypuszczony na wolność, a Spilker machnął na niego ręką i już więcej go nie nagabywał.

Powiedział mu tylko na odchodnym, że jest tak samo uparty jak brat.

Generał Stefan Grot-Rowecki został zamordowany przez Niemców na początku sierpnia 1944 roku. W polskiej historiografii przyjęło się pisać, że stało się tak z powodu furii, w jaką wpadł Himmler po wybuchu Powstania Warszawskiego. Miał to być prymitywny akt odwetu dokonany na twórcy i dowódcy AK. Historycy Andrzej Chmielarz i Andrzej Krzysztof Kunert, autorzy książki *Spiska 14. Aresztowanie generała „Grota”*, postawili jednak inną hipotezę.

Otóż według nich w 1944 roku w obozie Sachsenhausen Niemcy rozpoczęli tworzenie polskiego legionu antybolszewickiego. Jego żołnierze rekrutowali się najprawdopodobniej spośród jeńców wojny 1939 roku oraz więźniów obozów koncentracyjnych. Miała to być więc kolejna próba utworzenia po niemieckiej stronie odpowiednika armii Andersa. Wszystko wskazuje na to, że na dowódcę tej formacji przewidzieli właśnie Grota-Roweckiego. Wybuch powstania, a więc nagła eskalacja polsko-niemieckiego konfliktu, plany te zaprzepaścił.

> W pierwszy poniedziałek po wybuchu powstania z pilnie strzeżonego Sonderlagru wyprowadzono w kierunku krematorium dwóch cywilów – wspominał były więzień Sachsenhausen Jan Kępiński. – Jednocześnie zauważyliśmy, że hitlerowcy zaniechali dalszego szkolenia grupy więźniów tworzących polski legion antybolszewicki, mający wspomagać armię hitlerowską w walkach na froncie. Dla mnie jest absolutnie pewne, że gen. Rowecki został zabity właśnie owego poniedziałku, najprawdopodobniej przez uderzenie młotkiem w tył głowy, gdy prowadzony był korytarzem obozowego krematorium, a następnie został tam spalony. Powodem mogła być odmowa kierowania wspomnianym legionem przez gen. Roweckiego.

Oddajmy głos Kunertowi i Chmielarzowi:

> Kiedy bierze się pod uwagę wspomniane wyżej plany niemieckie, wszystko układa się w pewien logiczny ciąg. W umysłach Niemców rzeczywiście mógł powstać plan zorganizowania najpierw jakichkolwiek oddziałów polskich, by w ten sposób okazać dobrą wolę. Następnie zaproponowano by Roweckiemu – „zmiękczonemu” tym gestem – objęcie dowództwa nad tymi formacjami. Na przeszkodzie realizacji zamierzeń niemieckich stanął wybuch Powstania Warszawskiego. W nowej sytuacji polski legion, a zatem także i jego dowódca, przestał być potrzebny.

Oczywiście inicjatywa taka w połowie 1944 roku pozbawiona już była wszelkiego sensu. Zważywszy na czas potrzebny do przeszkolenia i sformowania takich jednostek, zdążyłyby one co najwyżej wejść do walki o obronę Berlina. Armia taka byłaby więc zwykłym mięsem armatnim dla Niemców, nie miałaby najmniejszych szans na obronienie Polski przed bolszewikami.

Czym innym byłoby jednak tajne porozumienie między Armią Krajową a władzami okupacyjnymi wymierzone w komunistów. Taka propozycja powinna zostać przez „Grota” w lipcu 1943 roku przyjęta. Należało bowiem zrobić wszystko, aby powstrzymać dalszą zagładę narodu polskiego. I był jeszcze czas, aby zabrać się do rozprawy z PPR i Armią

Ludową – sowiecką agenturą, która już przebierała nogami, aby po nadejściu Armii Czerwonej wymordować polskich „faszystów”.

Rozdział 28

„Miecz i Pług”

W bramie kamienicy przy ulicy Wielkiej 24 pojawił się mężczyzna w prochowcu. Zanim zdążył wyjść na ulicę, drogę zagrodziło mu kilku inkasentów z warszawskiej elektrowni. W dłoniach błysnęły lufy pistoletów. Z tej odległości nie można było spudłować – mężczyzna nie miał najmniejszych szans. Przed śmiercią zdążył jednak przez kieszeń płaszcza oddać kilka desperackich strzałów w kierunku napastników. Jednego z nich położył trupem.

W tym samym momencie niemal identyczna scena rozegrała się na Wilczej 16. Tam również w strzelaninie zginął człowiek. Kilka godzin później na placu Grzybowskim dokonano trzeciego zamachu. Tym razem miał on przebieg drastyczny. Do ofiary oddano kilka strzałów, a później bito po twarzy pistoletową kolbą. Zalany krwią, ciężko ranny, zdołał wbiec do pobliskiego sklepu. Choć przewieziono go do szpitala, zmarł na stole operacyjnym.

W ten sposób 18 września 1943 roku w Warszawie zlikwidowano kierownictwo polskiej niepodległościowej organizacji podziemnej „Miecz i Pług”. Zabitymi byli kolejno: Zbigniew Grad „Zbyszek”, Anatol Słowikowski „Andrzej Nieznany” i Czesław Kłobut „Sławek”. Zabójcami byli Polacy, żołnierze z ich własnej formacji. Dlaczego ci ludzie zginęli? Dlatego, że napisali memoriał do Adolfa Hitlera, w którym w imieniu polskiego narodu złożyli III Rzeszy ofertę sojuszu. Oto jego obszerne fragmenty:

Jako przedstawiciele obozu politycznego i tej części narodu polskiego, która prowadzi politykę niezależną od wpływów angielskich, amerykańskich i bolszewickich, zwracamy się w tej dla narodu polskiego tak ciężkiej godzinie do Waszej Ekscelencji Führera narodów europejskich, dowódcy walki przeciw bolszewizmowi z pełnym zaufaniem i absolutną lojalnością.

Gdy w 1941 roku Rzesza podjęła tak bardzo niezbędną wyprawę przeciw Sowietom, udało się rządowi Sikorskiego wbrew opinii większości narodu polskiego w kraju i wyłącznie pod naciskiem Anglii zawrzeć pakt ze Związkiem Sowieckim, który był jawną zdradą interesów Polski. To, o czym mówiliśmy od początku naszej działalności, widzi teraz naród polski bez osłonek, mianowicie, że Churchill bez skrupułów zerwie dane przez Chamberlaina gwarancje, oraz oświadczenie Stalina dotyczące naszych granic wschodnich ostatecznie otworzyły nam oczy na zdradę naszego pseudosojusznika.

Dlatego też przełamując dziś wszystkie dojrzałe i dzięki wojnie nieuniknione przeciwności i opierając się na realności tak niezbędnej dla narodu polskiego, zwracamy się do Waszej Ekscelencji z prośbą o udzielenie nam możliwości wzięcia udziału w walce Europy przeciw bolszewizmowi.

[Chcemy] dać narodowi polskiemu możliwość z bronią w ręku wywalczenia sobie miejsca w nowej Europie. Naród polski widzi dziś własnymi oczyma, jak walczą prawie wszystkie narody wschodniej i zachodniej Europy z mieczem w ręku przeciw czerwonej zarazie, i dlatego nie może on dłużej przypatrywać się tej gigantycznej walce, która rozstrzygnie o jego losie, bez

wzięcia udziału w niej. On musi się oswobodzić od wpływów angielskich i bolszewickich agentów. Nasze miejsce jest u boku walczących Niemiec, walczącej Europy.

Autorzy memoriału odwoływali się do „tradycji i ideałów Marszałka Piłsudskiego, który był wałem obronnym przeciw bolszewizmowi". Składali następnie ofertę „utworzenia armii polskiej do walki przeciw bolszewizmowi pod dowództwem Naczelnego Dowództwa Armii Niemieckiej". Armia ta miałaby także wyeliminować obce agentury działające na terenie okupowanej Polski. Nietrudno się domyślić, że chodziło o organizacje komunistyczne.

W zamian kierownictwo „Miecza i Pługa" oczekiwało przekazania administracji Generalnego Gubernatorstwa w ręce Polaków, a co za tym idzie, wstrzymania terroru. „Jesteśmy świadomi faktu" – kończyli memoriał do Hitlera przywódcy „Miecza i Pługa" – „że tylko tą drogą możemy uratować nasz naród i ojczyznę przed bolszewizacją i zanikiem".

Memoriał został złożony w kwietniu 1943 roku. Na przełomie kwietnia i maja zaś kierownictwo organizacji przekazało ambasadorowi Japonii w Berlinie drugi memoriał. W dokumencie tym „Miecz i Pług" podjęcie antybolszewickiej współpracy zaproponował również azjatyckiemu cesarstwu.

„Miecz i Pług" powstał w październiku 1939 roku w Warszawie. Wkrótce jednak zaczął również tworzyć struktury w innych dystryktach Generalnego Gubernatorstwa i na ziemiach wcielonych do Rzeszy. Była to organizacja o programie dość ekscentrycznym. „Mieczowcy" snuli bowiem plany budowy Imperium Słowiańskiego rozciągającego się od Bałtyku po Morze Czarne, a na południu sięgającego Adriatyku. Oczywiście pod przewodnictwem Warszawy. Pierwszym rysem organizacji był ideowy antykomunizm (za co jej chwała), a drugim – napastliwy antysemityzm (za co należy jej się potępienie).

„Miecz i Pług" bardzo krytycznie oceniał postawę zachodnich sojuszników wobec Polski, a co za tym idzie, utrzymywał dystans wobec głównego nurtu podziemia, ślepo wiernego Londynowi. Po podpisaniu paktu Sikorski–Stalin przeszedł już zaś na pozycje jawnie opozycyjne. Wystosowana do „Miecza i Pługa" oferta scalenia z ZWZ została odrzucona. Słowikowski i Grad nie dopuszczali nawet myśli o znalezieniu się w jednym obozie z bolszewikami.

Choć dziś o „Mieczu i Pługu" mało kto słyszał, organizacja ta podczas okupacji miała spore znaczenie. Starała się zbudować organizację alternatywną wobec Polskiego Państwa Podziemnego, skupiając wokół siebie cały blok mniejszych grup konspiracyjnych. Razem stanowiły one dość pokaźną siłę – mowa co najmniej o kilku tysiącach żołnierzy. Prężnie

działał również wywiad „mieczowców”. To właśnie on odkrył niemiecki ośrodek badawczy broni rakietowej V-2 w Peenemünde na wyspie Uznam.

Anatol Słowikowski, który od 1940 roku był przewodniczącym Rady Naczelnej organizacji, był technikiem i znanym sportowcem. Miał między innymi spore sukcesy w boksie. Był to bez wątpienia człowiek czynu. Znacznie ciekawszą postacią był jednak Zbigniew Grad, główny ideolog „Miecza i Pługa”. Przed wojną był badaczem starożytnego Egiptu, Syrii i Babilonu, podróżnikiem i współpracownikiem polskiego wywiadu na Bliskim Wschodzie. Podawał się za siostrzeńca generała Kazimierza Sosnkowskiego.

Według komunistycznej historiografii obaj panowie byli zwykłymi szpiclami Gestapo i prowokatorami, którzy zostali wprowadzeni do organizacji przez niemieckie tajne służby, aby przejąć nad nią kontrolę. Zgodnie z tą wersją mieli gorliwie współpracować z Niemcami, donosząc na Polaków za pieniądze. To nieprawda. Słowikowski i Grad rzeczywiście utrzymywali kontakty z niemieckimi służbami, współpraca ta miała jednak podłoże ideowe i polityczne, a nie agenturalne.

Słowikowski oraz Grad uważali po prostu, i słusznie, że głównym wrogiem narodu polskiego są bolszewicy. I zdecydowali się skupić na zwalczaniu tego niebezpieczeństwa. Aby mieć wolne ręce, z drugim wrogiem – Niemcami – zawarli zawieszenie broni, w duchu propozycji, jakie oficerowie SD składali wcześniej ZWZ i AK.

Dało to stronie polskiej spore korzyści. Aresztowani przez Gestapo członkowie „Miecza i Pługa” po interwencjach Słowikowskiego i Grada byli wypuszczani na wolność. Na ogół wyglądało to tak, że nocą wywożono ich na miejsce straceń do jakiegoś podwarszawskiego lasu. Zamiast dołów śmierci czekał tam na nich jednak Słowikowski. Szef „Miecza i Pługa” odbierał „skazanych” z rąk Niemców i wywoził ich samochodem w bezpieczne miejsce. Gestapo wpisywało ich zaś do ewidencji jako „rozstrzelanych”.

Policja przekazała do dyspozycji obu przywódców samochody oraz wydała im legitymacje radomskiego Gestapo – jak widać, palce w całej sprawie maczał Paul Fuchs – które zapewniały im nietykalność w razie przypadkowego zatrzymania. Słowikowski podróżował po Europie, Niemcy umożliwili mu między innymi wyjazd do Szwajcarii i Hiszpanii.

Pod koniec lipca 1942 roku na rozmowy z przywódcami „mieczowców” przyjechał z Berlina adiutant Heinricha Himmlera. Spotkanie odbyło się w jednej z warszawskich restauracji. Niemiec namawiał Polaków do podjęcia bliższej współpracy z Gestapo, imponując im przy tym informacjami, jakie posiadał na temat konspiracji. „Myślałem, że ja wiem dużo” – mówił potem Słowikowski. – „Okazuje się, że gestapo wie znacznie więcej ode mnie”. W jednym z konspiracyjnych raportów zachowała się następująca notatka na temat tego

spotkania:

„Zaatakowany przez doktora Grada i Słowikowskiego pytaniem, dlaczego zatem Niemcy prowadzą tak okrutną i brutalną politykę eksterminacyjną w stosunku do Polaków, adiutant Himmlera wyjaśnił to rzeczowo i spokojnie rozdwojeniem w łonie niemieckich czynników bezpieczeństwa".

Wszystko wskazuje na to, że obie strony toczyły ze sobą grę. Niemcy chcieli wykorzystać „Miecz i Pług" do działań wywiadowczych, a przywódcy organizacji chcieli zapewnić spokój swojej organizacji. Ich marzeniem było sprowadzenie do kraju Kazimierza Sosnkowskiego i postawienie go na czele nowej, niezależnej od Wielkiej Brytanii i Związku Sowieckiego organizacji. Fuchs umożliwił nawet „Mieczowi i Pługowi" wysłanie do Londynu kuriera z listem do generała.

Prawdziwym przełomem dla Grada i Słowikowskiego było ujawnienie zbrodni katyńskiej w kwietniu 1943 roku. Uznali ją za zapowiedź tego, co czekałoby Polskę, gdyby – nie daj Boże – „wyzwoliła" ją Armia Czerwona. Obaj zostali zaproszeni przez Niemców pod Smoleńsk i mogli przyglądać się ekshumacjom polskich oficerów zgładzonych przez oprawców z NKWD. Właśnie wówczas zdecydowali się wystąpić ze swoją polityczną propozycją pod adresem Adolfa Hitlera.

O swej koncepcji mówili zresztą otwarcie, ba, próbowali do niej przekonać resztę podziemia. W okresie, gdy przekazali memoriał niemieckiemu dyktatorowi, „Miecz i Pług" wystąpił do Delegatury Rządu na Kraj i partii politycznych tworzących zaplecze Polskiego Państwa Podziemnego z apelem:

> Polska racja stanu nie wyklucza zawierania sojuszów, wiązania się z taką lub inną grupą mocarstw, jeśli tylko dobro Rzeczypospolitej tego wymaga. Społeczeństwo polskie, zdradzane ustawicznie przez „sojuszników", Anglię, Rosję i Amerykę, musi wreszcie zacząć myśleć po polsku i przestać być pośmiewiskiem. Tak jak biskupi angielscy wraz z lordami nie zrażają się, że ich sojusznikami są bolszewiccy kaci z NKWD, krwawi Azjaci, plwociny ludzkości, tak i my, Polacy, nie możemy zrażać się faktem, że na czele walki Europy przeciwko judeo-bolszewizmowi stoją Niemcy Hitlera.

Na początku Berlin potraktował całą sprawę poważnie. Grad i Słowikowski zostali zaproszeni do stolicy III Rzeszy, gdzie rozmawiali między innymi ze znanym nam już oficerem SD Harro Thomsenem. Szef Kancelarii Rzeszy Hans Lammers przesłał zaś odpisy złożonego przez nich memoriału do Hansa Franka i Heinricha Himmlera z prośbą o wydanie opinii.

Frank, po konsultacji z szefem Rady Głównej Opiekuńczej, hrabią Adamem Ronikierem, odpisał, że organizacja „nie ma obecnie znaczącego wpływu na opinię publiczną narodu polskiego". Również Himmler podzielił ten pogląd. Według Reichsführera-SS kontakty z „Mieczem i Pługiem" powinny pozostać na poziomie policji bezpieczeństwa. Wykluczył

natomiast wciąganie organizacji do „jakiegokolwiek oficjalnego zadania”.

Stanowisko zajął również Kaltenbrunner. „Miecz i Pług” ocenił ciepło, jako „jedyną organizację polską, która wyciągnęła jasne wnioski z politycznego i militarnego rozwoju wypadków”. Słowikowskiego zaś określił jako osobę, której „stoi przed oczyma rola Quislingowska”. Podobnie jak Frank uznał jednak, że „Miecz i Pług” nie może być uznany za „wyraziciela narodu polskiego”. A co za tym idzie, żadna polityczna akcja w oparciu o tę grupę nie ma szans powodzenia. Tym samym berlińskie przedsięwzięcie „Miecza i Pługa” zakończyło się fiaskiem.

Na koniec warto jeszcze wrócić do sprawy, od której rozpoczął się ten rozdział, czyli zabójstwa Grada, Słowikowskiego i Kłobuta, który był szefem wywiadu organizacji. Otóż w PRL-u obowiązywał pogląd, że zostali zlikwidowani przez grupę polskich patriotów służących w „Mieczu i Pługu”. Ludzie ci podobno zorientowali się, że ich przywódcy są agentami Gestapo, i wydali na nich wyrok za zdradę główną.

Dzisiaj już wiemy, że to kłamstwo. Do likwidacji całej trójki nie doprowadził bowiem żaden „polski patriota”, ale Bogusław Hrynkiewicz „Aleksander”, niezwykle niebezpieczny agent NKWD, którzy przeniknął do organizacji, by ją rozbić od środka. Sprawę memoriału do Hitlera wykorzystał do pozbycia się przywódców „Miecza i Pługa” i przechwycenia kontroli nad grupą. A przy okazji starał się zapobiec, niezwykle groźnemu z punktu widzenia Moskwy, polsko-niemieckiemu porozumieniu.

To właśnie Hrynkiewicz przekonał kilku innych działaczy „Miecza i Pługa” do zamordowania przywódców i to on zorganizował zespół egzekutorów składający się między innymi z inkasentów elektrowni. On również donosił na Grada i Słowikowskiego do Delegatury Rządu na Kraj. Aby skompromitować liderów „Miecza i Pługa”, oskarżył ich o szmalcownictwo, kradzieże futer, napady rabunkowe, zastrzelenie Żydówki i inne przestępstwa pospolite. Był to więc klasyczny spisek.

W organizacji „Miecz i Pług” sprawa zabicia przywódców wywołała wielkie poruszenie. Wielu jej członków uznało, że zginęli oni niewinnie, że swoją działalnością wcale nie sprzeniewierzyli się interesom narodu polskiego. Nieliczni żyjący „mieczowcy” uważają tak do dziś.

„Miecz i Pług” istniał jeszcze do 1945 roku, ale był to już cień organizacji prowadzonej przez Grada i Słowikowskiego. Część członków opuściła jej szeregi i wstąpiła do AK, część zaś do NSZ. Sama organizacja nadal utrzymywała luźne kontakty z oficerem Gestapo Wolfgangiem Birknerem. Po wojnie z obawy przed UB nikt się nie przyznawał, że należał do „Miecza i Pługa”. Dziś wspomina się o tej formacji tylko dlatego, że jako młody chłopak

związany był z nią Ryszard Kukliński, przyszły amerykański szpieg w ludowym Wojsku Polskim.

Jak ocenić inicjatywę Grada i Słowikowskiego? Wypada się zgodzić z Kaltenbrunnerem – „Miecz i Pług" nie był poważną organizacją. Należy więc się cieszyć, że Niemcy odrzucili złożoną im ofertę i nie byli zainteresowani polityczną współpracą z obydwoma panami. Stworzenie kolaboracyjnych formacji pod auspicjami „Miecza i Pługa" sprawie polskiej niewiele by dało – na podobne rozwiązania było znacznie za późno – a konsekwencje takiego ruchu mogłyby być dramatyczne. Mam na myśli silny antysemityzm „mieczowców", który – podobnie jak to było w wypadku Narodowej Organizacji Radykalnej – niósł ze sobą spore ryzyko. Niemcy, zamiast wysłać stworzone przez Grada i Słowikowskiego jednostki na front wschodni, mogliby użyć ich do zupełnie innych celów.

Rozdział 29

Gestapowiec jedzie do Andersa

Tytuł tego rozdziału zapożyczyłem z artykułu Michaela Foedrowitza. Opowieść o „Mieczu i Pługu” nie byłaby bowiem pełna, gdyby nie sensacyjne fakty ujawnione niedawno przez tego niemieckiego historyka. Otóż w znanych polskim badaczom od lat przechowywanych w Warszawie papierach dotyczących „Miecza i Pługa” znajduje się niezwykle tajemniczy i sensacyjny zapis. Chodzi o fragment donosu, jaki do Delegatury Rządu na Kraj przesłał jeden z członków tej organizacji, Marian Bogacz.

> Zbigniew Grad – napisał – po powrocie ze swej wycieczki do krajów bałkańskich trwającej od 20 czerwca do 3 sierpnia 1943 roku pokazał mi legalny swój paszport wystawiony w Berlinie i opowiadał mi, że część drogi odbył samolotem niemieckim. W dniu 16 sierpnia wysłano moją kuzynkę „Wandę” z listami do generała Andersa i jak wynika z karty pocztowej, którą od niej otrzymałem, już 19 sierpnia była w Atenach. Podróż tę odbyła w towarzystwie Niemca Hansa, przyjaciela „Zbyszka”.

Co to były za listy? Kim był ów Hans? Po co „Miecz i Pług” chciał nawiązać kontakt z II Korpusem? A może cała ta historia została po prostu wyssana z palca, może miało to być kolejne niejasne pomówienie mające skompromitować kierownictwo organizacji? Foedrowitz na podstawie tajnych niemieckich archiwów dał na te wszystkie pytanie zaskakującą odpowiedź. Wszystko to było prawdą, a kontakt z Andersem próbowali nawiązać sami Niemcy. Cel: podjęcie kolejnej próby skłonienia go do przejścia wraz ze swoją armią na stronę osi.

Pomysłodawcą całej afery był Brigadeführer SS Walter Schellenberg, szef wywiadu zagranicznego SD. Mniej więcej od klęski stalingradzkiej zastanawiał się on, jak wyciągnąć Polaków z koalicji antyniemieckiej lub przynajmniej wyłonić spośród nich jakieś ugodowe stronnictwo. Chodziło o wywołanie napięcia na linii Polacy–Sowieci–Anglosasi oraz wzmocnienie niemieckiego wysiłku zbrojnego na froncie wschodnim przez stworzenie polskich legionów antybolszewickich.

Jak wiemy, próby dogadania się z Armią Krajową – wobec zdecydowanej postawy „Grota” – zawiodły. Z kolei skory do współpracy „Miecz i Pług” niemieckie władze bezpieczeństwa uznały za partnera niepoważnego. Wówczas właśnie narodził się pomysł powrotu do koncepcji z grudnia 1941 roku, kiedy to z pomocą Abwehry grupa kurierów organizacji

„Muszkieterowie” przekroczyła linię frontu i zawiozła do Andersa sławetny mikrofilm.

Teraz Niemcy postanowili złożyć ofertę polskiemu generałowi już bezpośrednio. Logika wskazywała bowiem, że właśnie II Korpus powinien być dużą polską formacją najbardziej skłonną do odwrócenia sojuszy. Pochodzący z ziem wschodnich Rzeczypospolitej żołnierze Andersa przeszli bowiem przez piekło bolszewickich łagrów, a o Niemcach i ich zbrodniach czytali tylko w gazetach.

Sam generał był przez wiele miesięcy więziony na Łubiance i nieludzko katowany przez NKWD. Skutkiem tego była nienawiść do komunizmu, która przekładała się na niechęć do prosowieckiej polityki prowadzonej przez rząd w Londynie. Niemcy nie mogli nie wiedzieć, że oficerowie II Korpusu otwarcie krytykowali generała Sikorskiego za jego ugodową postawę wobec Moskwy, a sam Anders oficjalnie domagał się jego ustąpienia i dymisji fatalnego dla Polski rządu.

Gdy stało się jasne, że alianci zachodni zamierzają sprzedać Stalinowi wschodnią połowę Polski, w II Korpusie zaczęło wrzeć. Na Bliskim Wschodzie, gdzie stacjonowali Polacy, dochodziło nie tylko do wystąpień antysowieckich, ale również antybrytyjskich i antyamerykańskich. Wszystko to budziło spore nadzieje w Berlinie. Gdy odkryto groby w Katyniu, Niemcy przystąpili do działania.

Do nawiązania kontaktu z generałem postawiono wykorzystać „Miecz i Pług”. Operację nadzorować zaś miał wspomniany w donosie Bogacza „Hans”. Jak wyjaśnił Foedrowitz, był to znany nam Hans Merz z radomskiego Gestapo. To on w imieniu niemieckich tajnych służb utrzymywał kontakt z Gradem i Słowikowskim. To on był ich łącznikiem, gdy przyjechali do Berlina złożyć memoriał Hitlerowi.

Kierownictwo „Miecza i Pługa” pomysł zwrócenia się do Andersa zaakceptowało. Nie można zresztą wykluczyć, że był to wspólny zamiar Słowikowskiego, Grada i Merza. Panowie bowiem się zaprzyjaźnili i konsultowali swe najważniejsze plany.

Zbigniew Grad – pisał Michael Foedrowitz – marzył o tym, by w ramach współpracy z Niemcami stworzyć polski legion antybolszewicki. Sprawiał wrażenie człowieka bardzo ambitnego i nieraz wspominał o tym, że w przyszłym polskim rządzie proniemieckim chciałby objąć Ministerstwo Spraw Zagranicznych. „Miecz i Pług”, który wchłonął mniejsze organizacje i nie podporządkował się Armii Krajowej, miał w jego planach stać się najsilniejszą formacją polskiego podziemia. W zamyśle Grada „Miecz i Pług” – dzięki pieniądzom i oficerom z Bliskiego Wschodu oraz z pomocą charyzmatycznego i cenionego przez Polaków gen. Andersa – miał na tyle zyskać na znaczeniu, że to właśnie z tej organizacji mógłby się wyłonić nowy polski rząd.

Plan rzeczywiście był niezwykle ambitny. Ustalono, że Hans Merz w towarzystwie łączniczki „Miecza i Pługa”, Marii Józewczyk „Wandy”, uda się do Aten, skąd – dzięki

kontaktom Słowikowskiego – tamtejszy ruch oporu przerzuci go nielegalnym kanałem do Palestyny. Tam Niemiec miał się spotkać z Andersem i nakłonić go do zmiany frontu. Pomóc miał w tym odręczny list od Słowikowskiego:

Warszawa–Ateny, dnia 13/VIII/1943

JWPan
Generał Anders

Panie Generale!

Jedynie uznanie i cenione przez całe społeczeństwo polskie wyjątkowo obywatelskie nastawienie Pana Generała upoważnia nas do zwrócenia się do Pana, Generale, listownie i ustnie przez oddawczynię niniejszego listu. W momencie mianowicie, kiedy społeczeństwo nasze stoi znowu przed widmem zagłady ze Wschodu i kiedy tyluletni krwawy wysiłek narodu wydaje się nam daremny, zwracamy się do Pana, Generale, o pomoc i poparcie.

Do kroku tego skłania nas i ta okoliczność, że dochodzące do Londynu informacje z Kraju nie mają w większości pokrycia w rzeczywistości polskiej. Nie mogąc listownie naszej prośby przedstawić ze względów zrozumiałych, przekazujemy ją ustnie przez oddawczynię niniejszego listu. Która swą lojalność i pewność pod względem obywatelskim i narodowym potrafi drogą specjalnych referencji na miejscu zadokumentować.

Przesyłając serdeczne pozdrowienia od naszego walczącego narodu i Ruchu naszego, życzymy Panu Generałowi na drodze do wolnej Ojczyzny wielkich zwycięstw i osobistej chwały.

Zjednoczone Organizacje Ruchu Miecz i Pług
Szef (–) Andrzej Nieznany

Po dojściu do porozumienia z Andersem Merz miał przekazać jednemu z jego oficerów radiostację, za pomocą której II Korpus mógłby koordynować swoje działania z „Mieczem i Pługiem”. Klucze szyfrujące zostały opracowane w RSHA, a nadajnik odbiorczy w Warszawie miał się znajdować przy Koszykowej 6 w mieszkaniu agenta Gestapo Stefana Majchrzaka. Widać więc, że Niemcy chcieli zachować pełną kontrolę nad całym przedsięwzięciem.

Aby uwiarygodnić Merza i umożliwić mu przekroczenie granicy turecko-syryjskiej, Słowikowski przekazał mu fałszywy, nieudolnie podrobiony paszport na nazwisko Jana Merwińskiego. Stworzono mu również legendę, według której był holenderskim skautem Janem van der Lindem, który w 1939 roku przebywał w Warszawie na zlocie harcerzy i tam zaskoczył go wybuch wojny. Podczas okupacji miał się związać z „Mieczem i Pługiem”, a teraz przedzierał się przez Palestynę do Anglii.

Choć plan był gotowy w maju, do realizacji przystąpiono dopiero w lipcu 1943 roku. Najpierw nawiązano kontakt z greckim podziemiem, a miesiąc później miał nastąpić przerzut. Decydująca była obecność „Wandy”, która miała uwiarygodnić Merza przed Andersem – była bowiem żoną przebywającego w Ankarze pułkownika. To ona miała wręczyć generałowi klucze szyfrujące niezbędne do nawiązania łączności radiowej z „mieczowcami”, które podróż z Warszawy na Bliski Wschód miały odbyć w walizce z podwójnym dnem.

Merz i „Wanda” utknęli jednak w Atenach, grecki ruch oporu nie palił się bowiem do przerzucenia rzekomego skauta przez Morze Śródziemne. We wrześniu gruchnęła zaś wiadomość, że Słowikowski i Grad zostali zamordowani. Choć wydaje się to zdumiewające, mimo likwidacji „Miecza i Pługa” Merz postanowił kontynuować misję. Nie zaniechał próby przeciągnięcia Władysława Andersa na stronę III Rzeszy.

W tym celu, podając się za przedstawiciela firmy produkującej maszyny rolnicze, wyjechał – przez Wiedeń i Sofię – do Ankary. Tam nawiązał kontakt z polskim majorem o nazwisku Ledóchowski. Obaj oficerowie przekroczyli razem granicę syryjską. Tam jednak okazało się, że Ledóchowski jest współpracownikiem brytyjskich tajnych służb. Hans Merz został aresztowany. Rozpruto jego walizkę i przechwycono kompromitujące dokumenty.

Merz został poddany niezwykle brutalnemu śledztwu w Egipcie. Przesłuchiwali go i bili oficerowie brytyjskiego wywiadu mówiący po niemiecku. W sumie od grudnia 1943 do czerwca 1944 roku przesłuchiwano go ponad sześćset razy. Przeprowadzano na nim pozorowane egzekucje, doprowadzono na skraj załamania psychicznego. Merz wyjawił Brytyjczykom wszystko, co wiedział. Jego zeznania w sprawie misji do generała Andersa wywarły w Londynie olbrzymie wrażenie.

Nie jest bowiem tajemnicą, że po ujawnieniu zbrodni katyńskiej brytyjskie koła rządowe zaczęły się bardzo obawiać, iż Polskie Państwo Podziemne przejdzie na stronę III Rzeszy. Na możliwość takiego zwrotu wskazywała również logika. Dla myślących trzeźwo Brytyjczyków było oczywiste, że po klęsce stalingradzkiej w lutym 1943 roku największym zagrożeniem dla Polski stał się Związek Sowiecki. Upadek Niemiec był już bowiem tylko kwestią czasu.

Szykując się na ewentualność proniemieckiej wolty polskiego podziemia i kłopotów ze strony polskiego rządu na wychodźstwie, Londyn przygotował więc „plan B”. Deportację całego polskiego gabinetu do… Egiptu. Niech Polaczki „urzędują” sobie tam wśród innych kolonialnych nacji i nie pętają się pod nogami, gdy Wielka Brytania robi wielką politykę.

Rozdział 30

202. batalion

W wiosce wybuchła panika. Kobiety zaczęły zawodzić, dzieci płakać. Dzwon cerkiewny donośnie bił na alarm. Mężczyźni w pierwszym odruchu złapali za siekiery, potem chcieli się rzucić do ucieczki. Szybko zrozumieli jednak, że nie mają najmniejszych szans. Ze wszystkich stron wioskę otaczała gęsta tyraliera. Uzbrojeni w karabiny i pistolety maszynowe, ubrani w niemieckie mundury, żołnierze powolnym krokiem zbliżali się do zabudowań. Nie spieszyli się, wiedzieli, że zwierzyna im się nie wymknie.

Tego dnia we wsi Podłużne wydarzyła się wielka tragedia. Nie oszczędzono ani dzieci, ani kobiet, ani starców. Zostali rozstrzelani, a ich domy splądrowane. Bydło albo zarżnięto na miejscu, albo zrabowano. Najpierw napastnicy spalili cerkiew i miejscowy młyn, potem puścili z dymem resztę zabudowań. Z ukraińskiej wsi nie został kamień na kamieniu. W kolejnych dniach ten sam oddział spalił Złazno, Stawki, Japołoć, Hołowin i szereg innych miejscowości.

Zabójcami nie byli jednak wcale Niemcy, tylko Polacy. Ten krwawy szlak pozostawił za sobą Schutzmannschafts Bataillon 202. Pod kryptonimem tym kryła się polska zmilitaryzowana jednostka policyjna utworzona i uzbrojona przez siły bezpieczeństwa III Rzeszy. Dzieje tej owianej mroczną legendą formacji dowodzą, że przekonanie o tym, że Polacy jako jedyny naród okupowanej Europy nie utworzyli kolaboracyjnej jednostki wojskowej, jest mitem.

Wszystko zaczęło się od ogłoszenia w gazecie. W maju 1942 roku w gadzinowym „Gońcu Krakowskim” pojawił się następujący anons: „Wolne posady. Mężczyźni w wieku od 20 do 30 lat mogą zgłaszać się do Policji Polskiej pod następującym adresem…”.

Na miejsce przybyło kilkuset ochotników. W większości byli to ludzie poszukiwani za przestępstwa kryminalne (na przykład pędzenie samogonu czy nielegalny handel masłem), uchylający się od wyjazdu na roboty do Rzeszy lub po prostu znajdujący się w dramatycznej sytuacji materialnej.

Mimo że zaciągali się do służby w policji, zostali skierowani do obozu szkoleniowego Waffen-SS w Pustkowie pod Dębicą. Tam umundurowano ich, wydano karabiny Mauser i poddano szkoleniu wojskowemu. Składały się na nie strzelanie, musztra, walka na bagnety, okopywanie się w terenie, terenoznawstwo, marsze z pomocą mapy i kompasu. Nie trzeba

było geniusza, aby się domyślić, że młodzi Polacy nie są szkoleni do łapania drobnych złodziei na warszawskich bazarach, ale do zwalczania partyzantki.

W sumie szkolenie przeszło około pięciuset ludzi, którzy zostali podzieleni na trzy kompanie. W każdej z nich znajdował się pluton karabinów maszynowych. Każdy żołnierz – bo trudno tu już mówić o policjantach – oprócz hełmu, karabinu, bagnetu, pasa z ładownicami i munduru otrzymał koc, chlebak i inne wyposażenie dodatkowe. Karmiono słabo, żołd wynosił około pięćdziesięciu złotych. Wszyscy rekruci musieli złożyć następującą przysięgę:

> Jako przynależny do Schutzmannschaftu przysięgam być wiernym, dzielnym i posłusznym i moje obowiązki służbowe, szczególnie w walce przeciwko niszczącemu narody bolszewizmowi, sumiennie wykonywać. Dla tej przysięgi jestem gotów moje życie położyć. Tak mi Boże dopomóż.

Choć dowódcą był Polak, major Antoni Ignacy Kowalski, całość nadzorował Niemiec, kapitan Tschnadel. To on miał ostatnie słowo, choć ze zdaniem Kowalskiego, jako oficera starszego rangą, się liczył. Również część podoficerów była Niemcami lub folksdojczami. Polska część kadry składała się zaś z oficerów i podoficerów granatowej policji, a także co najmniej kilku wyciągniętych z oflagów oficerów Wojska Polskiego niższych stopni.

Z pozyskaniem kadry do batalionu Niemcy mieli zresztą problemy. Nasi oficerowie policji starali się od tego przydziału wykręcić, jak tylko mogli, na ogół symulując choroby. Wzywano ich wówczas na specjalną komisję lekarską, która oczywiście orzekała, że nic im nie dolega. Podczas jednego z takich badań doszło do poważnego incydentu, kiedy rozwścieczony diagnozą rzekomo „ciężko chory” pacjent próbował zastrzelić lekarza.

Na początku 1943 roku szkolenie zostało zakończone. Żołnierze dostali tygodniowe urlopy, a po powrocie wpakowano ich do pociągu i wysłano na front wschodni, a konkretnie do Borysowa, na zaplecze Grupy Armii „Środek”. Dowództwo przekazano Niemcowi – kapitanowi Weidlichowi. Na miejscu został urządzony uroczysty apel powitalny, podczas którego do polskich żołnierzy przemówił generał major SS.

> Dał wyraz gorącej przyjaźni, jaka istniała między narodami niemieckim a polskim za życia marszałka Piłsudskiego – relacjonował jeden z żołnierzy batalionu. – Idee Piłsudskiego pokrywały się zupełnie z ideami narodu niemieckiego i gdyby nie śmierć marszałka Piłsudskiego, nigdy by nie doszło do wojny między Niemcami a Polską. Błąd, jaki popełniła Polska przystępując do wojny z Niemcami, jest do naprawienia i do tego powołani zostaliśmy my. My zadecydujemy o przyszłości Polski. Od nas zależy, jak wyglądać będzie w przyszłości państwo polskie lub czy w ogóle ono będzie wyglądało.

Po kilku dniach 202. batalion wkroczył do akcji. Była to jednak akcja niespecjalnie emocjonująca – większość zadań jednostki ograniczyła się do ochrony linii kolejowych

i mostów oraz służby wartowniczej przy wyrębie lasu. Dopiero na początku kwietnia 1943 roku Polacy dostali poważne zadanie: wzięli udział w operacji „Lenz-Süd", wymierzonej w grasujące w okolicach bolszewickie bandy nazywające się szumnie partyzantką. Podporządkowano ich wówczas jednostce Oskara Dirlewangera, przyszłego kata Warszawy. O zaciekłości walk z Sowietami niech świadczy to, że 202. batalion miał 40 zabitych i rannych.

Wkrótce jednak doszło do poważnych tarć między Polakami a Niemcami. Pierwsi byli rozgoryczeni z tego powodu, że zostali oszukani podczas werbunku. Drudzy nie ufali swoim nowym „sojusznikom", podejrzewając ich o konszachty z sowiecką partyzantką. Rzeczywiście kilku żołnierzy batalionu weszło w kontakt z czerwonymi, doszło nawet do kilku ucieczek. Niemcy obawiali się, że zdezerterować chce cała jednostka, i batalion rozbroili. Polacy bali się, że przyjedzie po nich SS i zostaną wysłani do obozów koncentracyjnych.

Sytuację udało się w końcu załagodzić. Polacy wysłali do dowództwa delegację, która zapewniła Niemców o ich lojalności. Na poprawę morale wpłynęło odkrycie masowych grobów pod Katyniem, które przyniosło wzrost nastrojów antybolszewickich. Z każdej kompanii 202. batalionu wybrano delegacje, które pojechały na miejsce ekshumacji pod Smoleńskiem. Po powrocie ich członkowie ze szczegółami opowiedzieli kolegom, co zobaczyli. „Jeżeli nie możecie walczyć z patriotyzmu, to walczcie przynajmniej z bolszewizmem dla swego życia i wolności waszych rodzin" – przekonywali Niemcy.

Broń została Polakom wkrótce zwrócona. Aby się zrehabilitować, batalion przeprowadził dwie samodzielne akcje antypartyzanckie. Ponieważ jednak przyniosły one mierne rezultaty (na nasyconym bolszewickimi bandami terenie Polakom nie udało się wytropić żadnego przeciwnika) niemieckie dowództwo uznało, że batalion na bezpośrednim zapleczu frontu wschodniego do niczego im się nie przyda. Że jest z nim więcej kłopotów niż pożytku.

> Po kilku dniach zrobiono znowu zbiórkę – relacjonował żołnierz „dwieściedwójki", Tadeusz Dębicki. – Oberleutnant przeczytał nam rozkaz jakiegoś niemieckiego zwierzchnika, że choć Polacy nie chcą walczyć ze swoimi sojusznikami, to chyba jest nam wiadomo o Polakach, którzy są masowo mordowani na Ukrainie, i czy chcemy tych ludzi bronić. Wielu moich kolegów było właśnie z terenów ukraińskich i dostawali listy, w których opisane były okropności, jakie wyrabiali Ukraińcy z tamtejszymi Polakami. Dlatego na ten projekt większość zgodziła się iść walczyć przeciw Ukraińcom.

Na Wołyniu rzeczywiście trwało już wówczas ludobójstwo. Ukraińscy nacjonaliści mordowali Polaków, mężczyzn, kobiety i dzieci. Rozrąbywali siekierami na kawałki. Topili w studniach i palili żywcem. Kobietom obcinali piersi i wyrywali płody z brzuchów. Noworodki wbijali na sztachety. Niestety Polskie Państwo Podziemne, mimo dramatycznych apeli o pomoc, nie zrobiło nic, żeby ochronić naszych braci z Wołynia.

Polskie podziemie nie tylko nie pomagało mordowanym przez bandy UPA, ale na dodatek storpedowało projekt Adama Ronikiera, który próbował wydostać od Niemców stare karabiny i utworzyć lokalną milicję mającą pilnować polskich wiosek i miasteczek. Bano się bowiem, że stworzenie takiej samoobrony może zostać odebrane jako kolaboracja z okupantem i skompromituje nas w oczach Stalina i Churchilla…

Jak reagowali na ludobójstwo na Wołyniu Niemcy? Na ogół nieszczególnie palili się do pomocy Polakom. Zresztą nawet gdyby chcieli coś zrobić, mieli na to zbyt szczupłe siły. Kontrolowali na ogół większe miasta i węzły kolejowe, a w teren się nie zapuszczali. Gdy wezwane na pomoc niemieckie jednostki policyjne docierały wreszcie do napadniętych polskich wiosek, na ogół zastawały już tylko zgliszcza i zwały zmasakrowanych trupów.

W tej sytuacji Niemcy wpadli na pomysł, aby Polaków bronili sami Polacy. Po tym, jak upadł pomysł Ronikiera, na Wołyń sprowadzono z Generalnego Gubernatorstwa oddziały granatowej policji złożone ze Ślązaków i Wielkopolan. Co ciekawe, Niemcy kazali im, by przechodząc przez zamieszkane przez Polaków miejscowości, śpiewali polskie pieśni patriotyczne. Nie wyszkoleni do walk z partyzantką nieliczni policjanci nie mogli być jednak równorzędnym partnerem dla oddziałów ukraińskich.

Wtedy właśnie przypomniano sobie o gnijącym gdzieś pod Borysławiem 202. batalionie. Na Wołyń dotarł on 3 maja 1943 roku i został wyładowany w Łucku. Trudno się dziwić, że miejscowa ludność zareagowała na jego przybycie entuzjastycznie. Wreszcie bowiem pojawił się ktoś, kto miał jej bronić przed okrucieństwami Ukraińców. Również w żołnierzy batalionu wstąpił nowy duch – wreszcie mieli okazję walczyć za swoją sprawę.

Ukraińska historiografia ocenia 202. batalion wyjątkowo negatywnie. Historyk UPA Lew Szankowśkyj z wyrzutem pisał, że jego żołnierze „ziali nienawiścią do wszystkiego, co ukraińskie” i że tragicznie odbiło się to na miejscowej ukraińskiej ludności. Oczywiście nikt przy zdrowych zmysłach nie pochwala mordów na kobietach i dzieciach, ale oceniając tę sprawę, warto pamiętać o tym, co żołnierze 202. batalionu zastali po przybyciu na Wołyń.

> Pewnego razu przybiega do nas dziewczynka dwunastoletnia z płaczem, że całe jej rodzeństwo wymordowali i około dwudziestu rodzin polskich błąka się po lasach i polach – wspominał jeden z żołnierzy. – Szybko przeprowadziliśmy alarm i wyruszamy furmankami na miejsce. Jest to wieś Stryłki. Tu oczom naszym przedstawia się obraz straszny. Zgliszcza dymią jeszcze. Po przybyciu naszym zaczynają się schodzić ludzie, którzy zdołali uciec. Z lamentem przypadają do swych małych dzieci, które leżą w kałużach krwi. Większość pomordowanych spalona jest wśród gruzów. Znajdujemy też dużo ofiar leżących koło domów. Wszyscy byli w okrutny sposób męczeni. Mężczyźni z oderżniętymi genitaliami, kobietom wepchnęli flaszki, kamienie [w pochwy]. Oberżnęli palce, języki, nosy, wbili kołki drewniane w mózg lub szyję. Ustalić liczby pomordowanych nie było sposób.

Z takimi makabrami Polacy z 202. batalionu mieli do czynienia nieustannie. Niemal codziennie ze swoich koszar na zamku Czartoryskich w Klewaniu wyruszali do płonących polskich wiosek. Tam udzielali pierwszej pomocy rannym, zbierali ciała zamordowanych, eskortowali ocalałych z pogromów do większych miejscowości. Nietrudno sobie wyobrazić, co musiało się dziać w duszach tych ludzi. Ich rodacy byli wyrzynani, a oni mieli przecież broń…

Szybko więc zabrali się do wymierzania sprawiedliwości oprawcom. Niestety obok licznych zwycięskich bitew i potyczek z leśnymi oddziałami UPA 202. batalion dokonał również szeregu pacyfikacji ukraińskich wiosek. Czyli dostosował się do zasad walki wprowadzonych przez przeciwnika. Zdarzało się, że Ukraińców karano śmiercią za nieznajomość polskiego. Wszystko to jest naturalnie godne ubolewania. Należy jednak podkreślić, że bronią Polaków zawsze była kula, a nigdy siekiera, nóż, widły czy cep.

> Krótkie przemówienie leutnanta trafia nam od razu do serca: „Nie strzelajcie ludzi niewinnych, lecz widzicie, że na wsi każdy Ukrainiec jest bandytą, czy kobieta czy dziecko” – wspominał żołnierz 202. batalionu, którego relację opublikował magazyn „Karta”. – Toteż pomni jego słów robimy spustoszenie we wsi. Każdego chłopa ukraińskiego wyprowadzamy i strzelamy. Wracamy z obfitym łupem. Prowadzimy konie, krowy, świnie na furach.

Wielu żołnierzy batalionu poległo w ciężkich walkach z ukraińskimi nacjonalistami. Los tych, którzy dostali się żywcem w ręce wroga, był straszliwy. Znęcano się nad nimi w sposób niepojęty. Obcięte genitalia pakowano do ust jeszcze żywych ludzi, zdzierano z nich pasy skóry, wyłupiano oczy. Mimo to jednostka cały czas mogła liczyć na uzupełnienia, garnęli się bowiem do niej młodzi Polacy z Wołynia, którzy chcieli bronić rodzin i pomścić zamordowanych bliskich.

Sytuacja ta nie umknęła uwagi Niemców. Zachęceni dobrymi wynikami, jakie przyniosła działalność „dwieściedwójki” w listopadzie 1943 roku, utworzyli drugą polską jednostkę – Schutzmannschafts Bataillon 107. W jego skład weszło około 450 Wołyniaków. W nocy z 20 na 21 stycznia Polacy ci rozbroili jednak swoich niemieckich oficerów i cały batalion przeszedł do 27. Wołyńskiej Dywizji AK. Tam z powodu braku zaufania został rozdzielony na mniejsze grupy, które dołączono do poszczególnych oddziałów.

Osobnym tematem jest również współdziałanie bojowe z niemieckimi władzami lokalnej polskiej samoobrony. Znane są przypadki, że formacja ta, często uzbrojona przez władze okupacyjne, ramię w ramię z niemiecką żandarmerią i policją odpierała ataki UPA na polskie miejscowości.

Wróćmy jednak do 202. batalionu. Otóż znalazł się on w ostrym konflikcie ze stacjonującym

w drugim skrzydle zamku w Klewaniu batalionem ukraińskiej policji pomocniczej. Podłożem sporu było to, że noszący esesmańskie czarne mundury Ukraińcy (Polacy nosili mundury khaki) potajemnie wspierali UPA. Nocami do okien sal zajmowanych przez batalion dochodziły chóralne śpiewy: „Smert´ Lachom".

Na reakcję Polaków nie trzeba było długo czekać. Napotkanych ukraińskich schutzmannów nasi „prali po pyskach", wkrótce doszło również do pierwszych strzelanin i porwań. Wszystko to działo się ku rozpaczy i całkowitej bezradności niemieckich oficerów, którzy nie potrafili zapanować nad sytuacją. Zdecydowaniem – czym zyskał sobie szacunek swojego polskiego wojska – wykazywał się tylko dowódca 202. batalionu, kapitan Weidlich.

Pewnego razu ukraiński dowódca uprowadził kilku polskich żołnierzy, skatował ich i zamknął w lochu. Weidlich udał się wówczas do jego pokoju, przystawił mu pistolet do czoła i tłukł pięścią po zębach, dopóki Ukrainiec nie zwolnił jego ludzi. Sytuacja ta nie mogła jednak trwać długo, wkrótce więc polska jednostka została przeniesiona do Torczyna, a później do Janowej Doliny. W każdym z tych miejsc powtarzało się to samo: batalion jednocześnie chronił Polaków i wyrzynał Ukraińców. Pod koniec 1943 roku część żołnierzy zdezerterowała i dołączyła do AK.

> Nawet jeśli policjanci rzeczywiście służyli w tej jednostce mimowolnie – pisał historyk Michał Wenklar – niechętnie wykonywali rozkazy i dążyli do ucieczki lub przejścia na stronę podziemia, to nie zmienia to faktu, że historia Batalionu 202. jest przykładem militarnej kolaboracji naszych rodaków z niemieckim okupantem. Choć pozostaje pytanie, czy straty ludności polskiej na Wołyniu nie byłyby w 1943 roku jeszcze większe, gdyby się tam nie pojawili Polacy w hitlerowskich mundurach.

Pytanie to jest oczywiście retoryczne.

Na początku stycznia 1944 roku na Wołyń wlała się Armia Czerwona. Rozpoczął się kolejny, trzeci już, sowiecki najazd na Polskę. Podczas gdy AK – wypełniając samobójcze rozkazy swojego dowództwa – przystąpiła do współdziałania z zajmującymi Polskę bolszewikami, 202. batalion do bolszewików strzelał. Jego żołnierze byli więc godnymi następcami dzielnych Polaków, którzy bronili swojej ojczyzny przed Sowietami dwadzieścia cztery lata wcześniej. Sąsiednie, niemieckie jednostki ogarnęła jednak panika i Polacy zostali sami na stukilometrowym odcinku frontu pod Równem. Sowieci rzecz jasna ich rozbili.

Resztki batalionu, około dwustu ludzi, zostały ewakuowane w lutym 1944 roku do Drusenheim koło Stuttgartu. Niemcy nie bardzo wiedzieli, co zrobić z Polakami. W końcu, jak ustalił historyk Jarosław Gdański, 8 maja 1944 roku jednostka została rozwiązana decyzją samego Heinricha Himmlera. Stało się tak, mimo że bardzo pozytywną opinię na jej temat wydał najwyższy dowódca SS i Policji na Ukrainie Obergruppenführer Hans Prützmann.

„W działaniach bojowych 202. batalion spisywał się dobrze” – stwierdził. – „Prowadził ciężkie walki, aż do dużego wyczerpania, co potwierdza fakt, że Polacy otrzymali niemieckie odznaczenia bojowe”.

Byli żołnierze batalionu zostali wkrótce przerzuceni do Częstochowy. Mimo że część miała Żelazne Krzyże, nie skierowano ich już do działań bojowych. Niektórzy zasilili pobliskie posterunki granatowej policji, reszty Wehrmacht użył do funkcji pomocniczych jako kucharzy czy furmanów.

Po wojnie byli żołnierze jednostki byli tropieni przez UB. Ci, których schwytano, zostali skazani na kary więzienia z artykułu 91 paragraf 2 Kodeksu karnego Wojska Polskiego za służbę w nieprzyjacielskiej armii. Co ciekawe, kary były dość łagodne – na ogół dwa–trzy lata więzienia. Komunistyczne służby interesowały się jednak 202. batalionem jeszcze w latach pięćdziesiątych, starając się zrekonstruować obsadę jego dowództwa. W archiwach IPN zachowało się na ten temat sporo ciekawych dokumentów.

Dla komunistów sprawa była oczywista. Żołnierze Schutzmannschafts Bataillon 202. byli „paskudnymi sługusami faszystów”. Niestety podobną opinię powtarza za nimi część historyków wolnej Polski. Rzeczywistość wydaje się jednak bardziej skomplikowana. Decydujące słowo w tej sprawie powinni mieć chyba jednak Wołyniacy. A ich stosunek do 202. batalionu najlepiej oddaje zachowany opis pochówku pięciu żołnierzy „dwieściedwójki” poległych w walce z UPA w obronie jednej z polskich miejscowości.

> Niemcy dołożyli wszelkich starań, aby pogrzeb wypadł uroczyście – pisał żołnierz batalionu. – Moment przed wyruszeniem konduktu był przepiękny. Nasi polegli koledzy leżeli na podwyższeniu, tonęli wprost w powodzi kwiatów i wieńców, które ofiarowała wdzięczna bez granic ludność Polska. Wokół nich cisnęły się niezliczone tłumy Polaków. Jedni szlochali głośno, drudzy obrzucali ich kwiatami, inni klęczeli w milczeniu zastygli w modlitwie.

Naprawdę ciężko przechodzi to przez klawiaturę, ale fakty są niestety bardzo smutne. Wróg narodu polskiego, Niemcy, przysyłając na Wołyń Schutzmannschafts Bataillon 202., zrobił więcej dla ratowania tamtejszych Polaków przed ukraińskim ludobójstwem niż Polskie Państwo Podziemne. Żołnierzy tej formacji można i należy potępiać za okrucieństwo wobec ukraińskich kobiet i dzieci. Na pewno nie byli oni jednak zdrajcami. Swój obowiązek wobec rodaków bowiem wykonali.

Rozdział 31

Polacy w białoruskich mundurach

Na placu ćwiczebnym w mieście Lida, w byłym województwie nowogródzkim, odbył się w 1943 roku uroczysty przegląd oddziałów miejscowej białoruskiej policji pomocniczej. W założeniu jej twórców – białoruskich działaczy niepodległościowych – formacja ta miała się stać zalążkiem przyszłej armii. Armii, która gdy wybije dziejowa godzina, wywalczy dla Białorusi wymarzoną niepodległość.

Rzeczywiście stojący na placu, uzbrojeni po zęby i wyprężeni w równych szeregach członkowie tej paramilitarnej formacji prezentowali się znakomicie. Na niemieckich mundurach mieli naszyte białoruskie insygnia, poczet sztandarowy dzierżył biało-czerwono-białą flagę, na budynku koszar widniał herb Pogoni. Orkiestra grała białoruskie pieśni patriotyczne. Również komendę „prezentuj broń!” podoficerowie wydali w języku białoruskim.

Wizytujący jednostkę kapitan Franciszek Kuszel przechadzał się długo przed szeregiem żołnierzy i w zamyśleniu przypatrywał się swoim żołnierzom. Wreszcie stanął.

– Niech Białorusini podniosą rękę! – rozkazał.

Wówczas nieśmiało zgłosiło się kilkudziesięciu ludzi. Na oko góra dwadzieścia procent.

– A teraz niech rękę podniosą Polacy!

Tym razem zobaczył las wyciągniętych dłoni. Podniosła je cała reszta stojących w szeregu, czyli jakieś osiemdziesiąt procent. Kapitan Kuszel odwrócił się na pięcie i udał w stronę budynku koszar. Pewnie uśmiechał się pod nosem, bo sam przecież był polskim oficerem. Przed wojną był dowódcą szkoły podoficerskiej 66. pułku piechoty. Podczas kampanii 1939 roku brał udział w obronie Lwowa. Po kapitulacji miasta udało mu się uniknąć sowieckiej niewoli i katyńskiej kuli.

Sprawa służby Polaków w zwalczającej sowiecką partyzantkę białoruskiej policji pomocniczej jest w Polsce niemal zupełnie nieznana. Mało kto również wie, że niektóre jej jednostki – jak ta z Lidy – były przez nich całkowicie opanowane. Z oczywistych względów nie mówiono o tym w PRL-u, a i teraz niewielu historyków pali się do wyciągania na wierzch tej niewygodnej historii.

Na poważnie bada ją właściwie jeden naukowiec – pochodzący z Białorusi Jerzy

Grzybowski. I siłą rzeczy głównie na jego ustaleniach oparłem ten rozdział. Jest on autorem znakomitej, choć niestety przemilczanej i wydanej w niewielkim nakładzie monografii *Pogoń między Orłem Białym, Swastyką i Czerwoną Gwiazdą*.

Do tworzenia białoruskich jednostek paramilitarnych Niemcy przystąpili wkrótce po zajęciu Mińska, latem 1941 roku. Już pod koniec roku białoruski działacz Julian Sakiewicz stanął na czele pierwszego batalionu policji pomocniczej, w którym kapitan Franciszek Kuszel był szefem jednej z kompanii. Polacy, podoficerowie i oficerowie WP, a także funkcjonariusze policji, obsadzili również inne ważne stanowiska w batalionie.

Dlaczego tak się stało? Wśród Białorusinów nie było po prostu ludzi o niezbędnym wyszkoleniu wojskowym. Sytuacja ta wywołała wielką frustrację wśród białoruskich przywódców. Dochodziło do tego, że członkowie kolaboracyjnej Białoruskiej Samopomocy Ludowej (BNS) donosili Niemcom na własną policję pomocniczą, że jest ona nastawiona nieprzychylnie do sprawy białoruskiej.

> Odnotowano przypadki – pisał Grzybowski – gdy funkcjonariusze organizacji białoruskich i administracji cywilnej ginęli z rąk policjantów. W powiecie szczuczyńskim na przykład władze BNS informowały centralę w Mińsku, że w grudniu 1942 roku komendant policji, Polak Gołąbek, aresztował pod zarzutem sympatyzowania z komunistami nauczyciela białoruskiego Andrzeja Duszę, który w rzeczywistości był zdeklarowanym zwolennikiem sprawy białoruskiej i nigdy nie był związany z podziemiem sowieckim. Działacze BNS domagali się dymisji dotychczasowego komendanta Polaka i zastąpienia go Białorusinem.

Problemem było tylko, skąd tych Białorusinów brać?! Według szacunków Jerzego Grzybowskiego w zachodniej części niemieckiego Okręgu Generalnego Białoruś, czyli na terenie, który wchodził w skład II Rzeczypospolitej, Polacy stanowili około sześćdziesięciu procent policjantów. Szeregowi członkowie tej formacji rozmawiali między sobą po polsku, a podoficerowie wydawali polskie komendy. W efekcie przez mieszkańców formacja ta nazywana była potocznie „policją polską”.

Podobnie było na Wileńszczyźnie, gdzie Niemcy również próbowali utworzyć białoruską policję. Tam służyli w niej już niemal wyłącznie Polacy. Wielu z nich było zresztą zaprzysiężonych w Armii Krajowej. W efekcie do lasu szła niemiecka broń, a liczne posterunki – a co za tym idzie, całe obszary Nowogródczyzny i Wileńszczyzny – de facto znajdowały się pod polską kontrolą.

Przykładem może być posterunek policji w Rakowie, miasteczku znanym z *Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy* i innych szpiegowsko-przemytniczych powieści Sergiusza Piaseckiego. Posterunek ten złożony był niemal z samych AK-owców, podległych porucznikowi Adolfowi Pilchowi „Górze”. Gdy dowódca w 1944 roku wydał rozkaz

o ewakuacji oddziału, uzbrojeni i umundurowani policjanci, w niemieckich hełmach, jechali na furmankach przemieszani z AK-owcami w rogatywkach.

Podobnie było z oddziałem stacjonującym w Starej Wilejce. Dowodził nim polski porucznik Ziedler. A ponieważ pod komendą miał wyłącznie Polaków, jego jednostka przez samych żołnierzy była nazywana „Legionem Polskim".

Istnienie podobnych jednostek miało zbawcze konsekwencje dla miejscowych Polaków. Chroniły one bowiem ludność cywilną przed sowieckimi partyzantami i ostrzegały przed niemieckimi obławami. Wielu Polakom uratowały życie, stały na straży polskiego stanu posiadania na Ziemiach Wschodnich. Mimo ustawicznych donosów do niemieckich władz składanych przez białoruskie organizacje niepodległościowe wiele oddziałów zachowało swój polski charakter do końca, czyli do przyjścia bolszewików. Zasługi tych ludzi, którzy w niemieckich mundurach działali na rzecz polskich interesów narodowych, są nie do przecenienia.

Sprawa ta miała jednak i drugą, mroczną stronę. Pierwszą jej odsłoną było sformowanie 13. batalionu policji pomocniczej SD. Niemcy na początku 1943 roku wpadli bowiem na pomysł utworzenia niewielkiego białoruskiego oddziału zbrojnego działającego pod auspicjami służby bezpieczeństwa. Batalion ów powstał w Mińsku.

Oprócz tępienia sowieckiej partyzantki – a więc zadania jak najbardziej pożytecznego – przeszkolono go do służby wartowniczej w obozach koncentracyjnych i innych nie mniej paskudnych zadań. Jednostką dowodzili Niemcy, została ona uzbrojona i umundurowana według standardów SS. Jej żołnierze, jak strażnicy w Auschwitz, na czarnych czapkach nosili symbol trupiej główki. Niestety w „trzynastce" służyli również Polacy, choć całe szczęście ich odsetek był znacznie mniejszy niż w batalionach opisanej wcześniej policji pomocniczej.

Wśród kadry 13. batalionu roi się jednak od polskich nazwisk: porucznik Jan Orsicz, porucznik Mazur, Eugeniusz Kilczewski, Daniel Klincewicz. Oczywiście nie można wykluczyć, że przynajmniej część tych ludzi uważała się za Białorusinów. Według polskich źródeł jednak nasi rodacy stanowili około czterdziestu procent żołnierzy jednostki. Dzięki temu swoje wtyczki w 13. batalionie miało polskie podziemie.

Według Jerzego Grzybowskiego oddział ten w drugiej połowie 1943 roku był wykorzystywany przez Niemców do eksterminacji Żydów. Wziął udział w pacyfikacji gett w Głębokiem, Mińsku i prawdopodobnie w Wołożynie. Jego poszczególne kompanie pilnowały zaś więźniów w obozach koncentracyjnych w Trościeniu koło Mińska i majątku Kołdyczewo. Ich żołnierze dopuszczali się wielu nadużyć i niegodziwości wobec osadzonych.

Gdy w fatalnym dla Polski roku 1944 nasze Ziemie Wschodnie dostały się pod ponowną

okupację sowiecką, batalion został wycofany na zachód. I tu losy jego żołnierzy potoczyły się różnie. Część brała udział w tłumieniu Powstania Warszawskiego – a więc nie można wykluczyć, że na ulicach stolicy Polacy strzelali do Polaków – a część zdezerterowała. Spora, bo licząca stu ludzi, grupa żołnierzy 13. batalionu SD uciekła do polskich oddziałów leśnych w Puszczy Augustowskiej. 14 lipca 1944 roku cała kompania wraz z oficerami i pełnym uzbrojeniem przeszła na stronę 1. pułku ułanów krechowieckich AK.

> Wielu z nich po wojnie osiedliło się w Polsce – pisał Grzybowski. – Ze względu na dawną działalność pod okupacją niemiecką na Białorusi i w obawie przed zemstą ze strony władz komunistycznych musieli ukrywać przed otoczeniem swą przeszłość. Po wojnie wielu z nich zostało osądzonych i skazanych. Sądy wojewódzkie wymierzyły im kary od 15 do 25 lat więzienia. Niektórzy liczyli, że [późniejszy] udział w podziemiu zostanie potraktowany przez władze komunistyczne jako rehabilitacja za poprzednio popełnione czyny.

Znanych jest również kilka przypadków, że byli żołnierze 13. batalionu SD zaciągnęli się do armii Berlinga. A więc z jednostki kolaborującej z Niemcami przeskoczyli do jednostki kolaborującej z Sowietami. W ten sposób chcieli uniknąć represji ze strony NKWD. Losy innych potoczyły się odwrotnie. Ramię w ramię z Wehrmachtem w 1945 roku walczyli przeciwko Armii Czerwonej i Ludowemu Wojsku Polskiemu na wybrzeżu gdańskim. A potem przedarli się do Danii, gdzie oddali się w ręce aliantów zachodnich.

Warto tu odnotować, że wielu Polaków służyło także w tworzonych pod koniec wojny przez III Rzeszę białoruskich jednostkach typowo wojskowych. Był to czas, gdy Niemcy zdali sobie sprawę, że grozi im klęska, i zaczęli zmieniać swoją politykę – o trzy lata za późno – wobec narodów Europy Wschodniej. Nasi rodacy trafili wówczas do 30. Dywizji Grenadierów SS.

Była to powołana do życia w sierpniu 1944 roku rosyjska jednostka, w której skład wchodziły oddziały białoruskie. Z zachowanych szczątkowych danych wiemy, że w samym 3. batalionie 4. pułku służyło 63 Polaków. Dywizja miała zostać skierowana do tłumienia Powstania Warszawskiego, ale rozkaz ten odwołano właśnie ze względu na duży udział w niej Polaków i Białorusinów sympatyzujących z polskim podziemiem. Niemcy bali się, że spora część jednostki Waffen-SS po przybyciu do stolicy przejdzie na stronę powstańców.

Dywizja została więc zamiast tego przerzucona do Francji. Tam wielu żołnierzy zdezerterowało, inni dostali się do niewoli i zgłosili się do II Korpusu generała Władysława Andersa. Po szybkiej zmianie hełmów z runami SS na hełmy z orzełkiem zdążyli jeszcze w 1945 roku wziąć udział w walce z Niemcami. Inni nie złożyli broni nawet po wojnie. Znane są przypadki, że polscy żołnierze białoruskich formacji pomocniczych zaciągnęli się do francuskiej Legii Cudzoziemskiej i dalej zwalczali komunistów. Tym razem w Indochinach.

Jak oceniać tych ludzi? W tak skomplikowanych sprawach należałoby zbadać każdy

przypadek z osobna. Na pewno byli wśród nich zbrodniarze i na pewno byli ludzie przyzwoici. Byli zaprzańcy i byli patrioci. Jedno jest pewne – na kanwie ich życiorysów można by nakręcić sensacyjny film. Film taki jednak naturalnie nigdy nie powstanie.

Rozdział 32

Wojewoda i pułkownik

Im bliżej było końca wojny i im bardziej pogarszała się sytuacja strategiczna Niemiec, tym usilniej rozsądne stronnictwo w kręgach władzy III Rzeszy szukało partnerów pośród Polaków. Ponieważ wierny rządowi na uchodźstwie i jego proalianckiej polityce główny nurt podziemia odrzucał wszelką myśl o kompromisie z okupantem, siłą rzeczy wysiłki te koncentrowały się na opozycji. A więc na narodowcach – o czym później – oraz piłsudczykach.

Choć misja pułkownika Albrechta się nie powiodła, Niemcy nie wyzbyli się nadziei na porozumienie z ludźmi wiernymi idei Marszałka. Jak już pisałem, nadzieje te opierały się na pamięci o współdziałaniu piłsudczyków z państwami centralnymi podczas I wojny światowej oraz na silnym antybolszewickim nastawieniu tej formacji. W Berlinie doskonale wiedziano również o ostrym konflikcie między piłsudczykami a sikorszczykami. Konflikcie, którego osią był właśnie stosunek do Sowietów.

Jedną z prób nawiązania kontaktu z obozem uczniów Marszałka była afera „Spraw Polskich”. Głównym jej bohaterem był Edward Mariusz Sokopp, związany z konspiracją piłsudczykowską były dziennikarz sanacyjnej „Gazety Polskiej”. Na początku 1942 roku zgłosił się do niego niejaki Bigosiński – oczywiście było to nazwisko nieprawdziwe – bliski współpracownik Stefana Majchrzaka, jednego z najważniejszych agentów radomskiego Gestapo. Sokoppowi miał jednak powiedzieć, że reprezentuje kieleckie podziemie niepodległościowe.

> Bigosiński szukał zawodowego dziennikarza dla stworzenia konspiracyjnego tygodnika w Kielcach – wspominał Sokopp. – Stwierdził, że reprezentuje grupę polskich patriotów, członków polskiego podziemia w okręgu kieleckim. Bigosiński zapewniał, że owa grupa ma gotową doskonale wyposażoną drukarnię, zmyślnie ukrytą w piwnicy. Nie ma tylko zaufanych dziennikarzy mogących pismo redagować. Szukał także drukarzy z praktyką zawodową.

Propozycja została przyjęta. Sokopp przygotowywał artykuły, a do obsługi drukarni został wydelegowany Wacław Zagórski, autor głośnych swego czasu wspomnień *Wolność w niewoli*. Tak narodziły się właśnie „Sprawy Polskie”. Za druk i pensje personelu płaciło Gestapo, Gestapo również zajęło się kolportażem pisma. Od innych podziemnych gazet różniło je to, że

oprócz treści antyniemieckich propagowało też antysowieckie.

> W Polsce pism konspiracyjnych było wiele – pisał Sokopp – ale większość borykała się z poważnymi trudnościami finansowymi i technicznymi. A tu szansa wydawnictwa bez takich kłopotów. Odczuwałem nienawiść do czerwonych Rosjan i nie byłem przesadnym entuzjastą umowy Sikorski–Majski, choć przyniosła wiele dobrego tysiącom Polaków, którzy znaleźli się po stronie sowieckiej. Umowa ta wyglądała mi na historyczne fiasko. Teraz mógłbym wypowiadać swoje przekonania już publicznie.

Cała operacja dostała aprobatę kapitana Zygmunta Hempla, wybitnego piłsudczyka, przyszłego założyciela Konwentu Organizacji Niepodległościowych. Hempel był znany ze swojego antykomunistycznego nastawienia. Niewiele wcześniej został usunięty z Biura Informacji i Propagandy AK. Hempel nie tylko zgodził się na wydawanie „Spraw Polskich", ale i nawiązał osobisty kontakt z Bigosińskim i Majchrzakiem.

> Na zapytanie Hempla – wspominał Wacław Zagórski – dlaczego o pomoc we wznowieniu pisma zwracają się do niego, a nie do „Prezesa" [Jana Rzepeckiego, szefa BiP] odpowiedzieli, że tak im poradzono, jeżeli nie chcą, aby pismo było skrępowane konsekwencjami umowy Sikorski–Majski. Oficjalne wydawnictwa AK muszą grać na klawiszu „sojusznika naszych sojuszników", nie powinien to być jednak jedyny klawisz, bo to by usypiało czujność polskiego społeczeństwa w stosunku do niebezpieczeństwa ze strony Rosji.

„Sprawy", których ostrze rzeczywiście było wymierzone w Związek Sowiecki, wychodziły przez kilka tygodni. Od kwietnia do maja 1942 roku ukazało się w sumie siedem numerów. Co ciekawe, w chwilach wolnych od pracy Zagórski, który był socjalistą, drukował na niemieckiej maszynie pierwszomajowe ulotki dla PPS. Według Sokoppa i Zagórskiego – choć wersje obu panów znacznie się od siebie różnią – współpracę zerwali Polacy.

Stało się tak, gdy się zorientowali, że mają do czynienia z agentami Gestapo. Nie było zresztą to takie trudne, Bigosiński i Majchrzak nie zachowywali bowiem elementarnych zasad konspiracji. Na krótko przed zakończeniem współpracy poinformowali również Zagórskiego, że na kieleckiej maszynie swoje pisma będzie drukował „Miecz i Pług". Gdy Zagórski zorientował się, co się dzieje, zniszczył maszynę drukarską i zaczaił się nawet na Bigosińskiego z pistoletem. Agent jednak w drukarni się nie pojawił.

O ile w wypadku Zagórskiego rzeczywiście można uwierzyć, że nie wiedział, za czyje pieniądze i na czyje polecenie drukował „Sprawy polskie", o tyle relacja Sokoppa budzi wątpliwości. W swojej książce *Pisane na kolanie* stwierdził on między innymi, że Bigosiński nawiązał z nim kontakt… za pośrednictwem staruszki teściowej. O wiele bardziej prawdopodobna wydaje się więc hipoteza, że uruchomione zostały kontakty z Niemcami, które Sokopp nawiązał szereg miesięcy wcześniej, gdy zwolniono go z więzienia.

W swoich wspomnieniach nie wykluczył on zresztą, że Niemcy, przeprowadzając tę grę, mieli zamiary nie tyle natury policyjnej, ile politycznej. Wątpliwości co do roli Sokoppa musieli mieć również inni przedstawiciele polskiej konspiracji, Sokopp, gdy cała sprawa wyszła na jaw, został bowiem na pewien czas odsunięty od „roboty". „Odczułem to jako rodzaj banicji – pisał. – Był to w mojej pracy konspiracyjnej jeden z najprzykrzejszych momentów".

Kolejną próbę nawiązania kontaktu z piłsudczykami Niemcy podjęli za pośrednictwem Stanisława Jareckiego. Sprawę tę opisał niedawno na łamach „Historii Do Rzeczy" historyk Marek Gałęzowski. Jarecki był dużą figurą obozu sanacyjnego. W przedwojennej Polsce pełnił on między innymi funkcję wojewody stanisławowskiego. W 1939 roku znalazł się na Węgrzech, ale mimo że próbował wkupić się w łaski nowego obozu rządzącego, urzędnicy Sikorskiego nie chcieli mieć z nim nic wspólnego. Zamierzali go deportować do Francuskiej Afryki Północnej.

Jarecki zaangażował się wówczas w działalność tajnej organizacji wiernej Śmigłemu-Rydzowi. Wspomnianego już stronnictwa „nietoperzy". Jako emisariusz marszałka pojechał do okupowanej Polski, aby przygotować grunt do przejęcia przez piłsudczyków władzy nad państwem podziemnym. W drodze powrotnej, w grudniu 1940 roku, nastąpiła jednak wpadka. Został zatrzymany przez słowackich pograniczników i wydany w ręce Gestapo w Nowym Sączu.

Jarecki, obawiając się tortur, od razu poszedł na współpracę z przesłuchującymi go śledczymi. Ujawnił im sporo informacji o podziemiu, czego skutkiem był szereg aresztowań i deportacji do obozów koncentracyjnych. Niestety Jarecki sypał. Historia ta zaczęła się więc paskudnie. Od zdrady. Niemcy szybko jednak uznali, że tak ważnego człowieka można wykorzystać znacznie lepiej niż zwykłego szpicla. Że można go wykorzystać politycznie.

Wiosną 1941 roku Jarecki został przeniesiony z Nowego Sącza do aresztu Gestapo radomskiego. Z rąk znanego z brutalności prymitywa Heinricha Hammana przeszedł w ręce Paula Fuchsa. Wkrótce w całą sprawę zaangażował się także Alfred Spilker. Natychmiast poprawiło się traktowanie Jareckiego. Niemcy zaopatrywali go w papierosy, książki i gazety. Dostawał posiłki z kasyna oficerskiego Gestapo. Z ciemnej celi przeniesiono go do dużego słonecznego pokoju. Stał się więźniem honorowym.

Ponieważ Jarecki po zakończeniu wojny został aresztowany przez komunistów i znowu sypał – tym razem w ubeckiej katowni – w archiwum IPN zachowały się obszerne materiały na temat tej sprawy. Komunistycznych śledczych bowiem oczywiście bardzo interesowały wszelkie informacje w sprawie kontaktów i współdziałania „reakcyjnego podziemia" z III

Rzeszą.

> Wysunięcie propozycji – zeznawał Jarecki w 1952 roku – poprzedziło przemówienie Spilkera na temat zbieżności celów polsko-niemieckich, aktualnej sytuacji w Polsce oraz planów władz niemieckich w kierunku polepszenia tej sytuacji, a zwłaszcza w tym celu przerwania istniejącej walki, osiągnięcia porozumienia z Polakami i wspólnego zwrócenia się przeciwko ZSRS i komunizmowi w kraju. Spilker podkreślił, że celem naszym było i być powinno nie wzajemne zwalczanie się, a walka z komunizmem, gdyż z historii wiadomo, że nawet wrogowie łączą się do wspólnej akcji przeciwko jednemu większemu wrogowi. Zaznaczył przy tym, że gdyby żył Piłsudski, to do wojny polsko-niemieckiej nie doszłoby, a wspólnie zwrócilibyśmy się przeciwko ZSRS.

Kiedy Jarecki powiedział, że współpracę uniemożliwiają przede wszystkim bestialstwa wobec Polaków, Spilker przyznał, iż rzeczywiście przez stronę niemiecką popełnione zostały ciężkie błędy. Ale zastrzegł, że sytuację da się jeszcze uratować. Gestapowiec poprosił Jareckiego, aby przekazał swojemu środowisku politycznemu propozycję ugody. Były wojewoda misji się podjął i w czerwcu 1942 roku wypuszczono go na wolność. Na odchodnym poproszono go jeszcze, aby opracował na piśmie projekt przekazania części władzy w GG w ręce polskiego samorządu.

Argumentacja Spilkera musiała przekonać Jareckiego, bo po przyjeździe do Warszawy, zamiast zdobyć nowe dokumenty i ukryć się przed Niemcami, zabiegał o kontakt z przywódcami podziemia piłsudczykowskiego. Otwarcie mówił przy tym o pokojowej misji, jaką dostał od Gestapo. Zygmunt Hempel, lider Konwentu Organizacji Niepodległościowych, spotkania jednak odmówił. Z drugą piłsudczykowską organizacją, Obozem Polski Walczącej, były wojewoda nie miał kontaktu.

Jednocześnie Jarecki wykorzystał swoje kontakty z tajną policją do interwencji w sprawie zwolnienia z więzień i obozów co najmniej kilku Polaków. Co ciekawe, były to te same osoby, które wcześniej wsypał w Nowym Sączu. Wszyscy ci ludzie byli piłsudczykami i Jarecki, przekonując Niemców do ich wypuszczenia, powoływał się na ich antybolszewizm. Najwyraźniej starał się więc naprawić zło, które wyrządził w chwili słabości. Niestety niewiele wskórał. Na wolność nie wyszedł nikt.

Wreszcie udało mu się skontaktować z podpułkownikiem Wacławem Lipińskim, najwybitniejszym spośród piłsudczyków w kraju. Weteranem wojny 1920 roku, kawalerem Orderu Virtuti Militari. Człowiekiem niezwykle prawym, który łączył cechy intelektualisty i żołnierza. Czytelników zainteresowanych tą wspaniałą postacią odsyłam do świetnej biografii pióra wspomnianego Marka Gałęzowskiego.

Należący do kierownictwa KON Lipiński odrzucił możliwość współpracy z Niemcami, ale nakazał Jareckiemu, żeby podtrzymywał luźne kontakty z Gestapo i grał na zwłokę.

Nie jest bowiem tajemnicą, że podzielał on wiele opinii Spilkera. Wyraz temu dawał między innymi na łamach konspiracyjnej prasy, głównie najmądrzejszej polskiej gazety wydawanej w konspiracji, „Myśli Państwowej".

> W walce z Niemcami spełniliśmy swój obowiązek rzetelniej niż jakikolwiek inny naród – pisał. – Przeleliśmy zbyt dużo krwi w tej walce i stosy naszych ofiar wzrosły ponad miarę. Dość! Niech Niemców „dorzynają" inni. Pod koniec wojny nie Niemcy opuszczający Polskę stanowić będą główne zagadnienie polityczno-wojskowe, lecz przychodzący Rosjanie. Skierowanie energii narodowej i jej siły materialnej przeciw Niemcom, celem ich dobijania wobec zbliżania się nowego, potężnego przeciwnika, byłoby akcją nieodpowiedzialnych głupców albo rosyjskich agentów, szaleństwem politycznym i samobójstwem wojskowym.

W innym tekście podpułkownik stwierdzał, że

> natychmiastowa walka z ekspozyturą rosyjską wewnątrz społeczeństwa, celem jej sparaliżowania i uniemożliwienia odegrania tej roli, jaką jej Moskwa wyznacza, staje się pierwszoplanowym zadaniem, które winno być przygotowane i przeprowadzone z całą bezwzględnością.

Nietrudno zauważyć, że był to dokładnie ten program i dokładnie te poglądy, które wykładali Polakom w poufnych rozmowach Alfred Spilker i Paul Fuchs.

Z jedną różnicą. Lipiński uważał, że Niemcy i Polacy powinni swoją akcję antybolszewicką prowadzić osobno, a nie razem. Mogli ogłosić wobec siebie neutralność, ale – po wszystkim, co okupant zrobił w Polsce – o żadnej aktywnej współpracy nie mogło być mowy.

Dlatego właśnie, gdy za pośrednictwem Jareckiego Gestapo złożyło Lipińskiemu propozycję spotkania, pułkownik stanowczo odmówił. Kazał jedynie przekazać Niemcom, że „zarówno on, jak i jego przyjaciele piłsudczycy prowadzą i będą prowadzili walkę przeciwko ZSRS i ruchowi komunistycznemu, występując przeciwko wszelkim aktom porozumienia czynników polskich ze Związkiem Sowieckim".

Najwyraźniej zirytowani jego postawą Niemcy postąpili z wrodzoną sobie „delikatnością" i w lutym 1944 roku Wacława Lipińskiego aresztowali. Jego przesłuchania – prowadzone głównie przez Spilkera – były jednak de facto rozmowami politycznymi. Podpułkownik traktowany był poprawnie, nie stosowano wobec niego żadnych szykan. Gestapowiec Erich Merten w rozmowie ze swoim polskim agentem Ludwikiem Kalksteinem sugerował nawet, że zatrzymanie Lipińskiego było zwykłą pomyłką.

„Lipiński, kiedy został przewieziony do aresztu, natychmiast zażądał rozmowy z oficerem gestapo, któremu z kolei polecił skontaktować się z SS-Hauptsturmführerem Spilkerem" – z dużą przesadą mówił Kalksteinowi Merten. – „Spilker przyjechał następnego dnia. Lipiński został ściągnięty z aresztu i przeproszony. Spilker przeprowadził z nim szereg rozmów przy

czarnej kawie i koniaku”. To ostatnie było oczywistym kłamstwem. Jeżeli ktoś z gestapowcami popijał koniak, to właśnie Kalkstein.

Co ciekawe, za aresztowanym Lipińskim, nie wiedząc chyba, że zatrzymanie ma charakter polityczny, a nie represyjny, wstawił się u Niemców Jarecki. Były wojewoda miał skierować do Gestapo następujące pismo:

> Lipiński zawsze był zwolennikiem porozumienia polsko-niemieckiego przeciwko Związkowi Sowieckiemu i obecnie jest również za współpracą z władzami niemieckimi przeciwko ZSRS i ruchowi lewicowemu w kraju, aczkolwiek uważa, że współpraca ta z uwagi na istniejącą sytuację w kraju, a zwłaszcza nastroje antyniemieckie w społeczeństwie, możliwa jest do zrealizowania jedynie w wąskim zakresie. Lipiński przed 1939 r. był w Berlinie z odczytem na temat roli Piłsudskiego w walce z komunizmem.

Sam podpułkownik w niemieckiej niewoli zachowywał się niezwykle godnie – o wiele lepiej niż choćby Jarecki. Nie było mowy o podawaniu żadnych nazwisk, czego zresztą Niemcy od niego nie żądali, ani o podpisywaniu zobowiązań współpracy. Podpułkownik zapewnił jedynie, że po wyjściu z więzienia zamierza kontynuować swoją działalność. A więc ostrzegać Polaków przed zagrożeniem sowieckim i przekonywać ich do skupienia całego wysiłku na walce z czerwonym wrogiem.

Jego słowa uwiarygodniły znalezione przy nim listy Konwentu Organizacji Niepodległościowych do delegata rządu na kraj Jana Stanisława Jankowskiego i dowódcy AK generała Tadeusza Bora-Komorowskiego, w których organizacja sprzeciwiała się atakom na wycofujących się Niemców. I domagała podjęcia działań wymierzonych w bolszewików. Niemcy pozwolili nawet Lipińskiemu napisać list do żony, w którym prosił o dostarczenie mu do więzienia kilku egzemplarzy podziemnych pism z jego antysowieckimi artykułami. Chciał je oczywiście pokazać Niemcom.

Wacław Lipiński został wkrótce zwolniony. Wywołało to podejrzenia i nieufność w podziemiu. Podpułkownik był oskarżany o to, że poszedł na współpracę agenturalną z wrogiem. Była to oczywiście nieprawda. „Zostałem zwolniony dlatego, że koncepcja Konwentu reprezentowana przeze mnie była zgodna z interesem niemieckim, czemu absolutnie nie zamierzam przeczyć” – mówił po wojnie. – „Niemcy nie chcieli powstania i Konwent również nie chciał powstania”.

Jeszcze na krótko przed wybuchem walk w Warszawie Niemcy, przez środowisko białych Rosjan, zaproponowali Lipińskiemu ewakuację z miasta na Zachód. Mowa była nawet o przerzuceniu go do Szwecji, skąd miałby rozpocząć akcję mobilizowania przeciwko bolszewizmowi Polaków żyjących za granicą. Lipiński był już jednak nieosiągalny. Opuścił stolicę na krótko przed wybuchem powstania.

Choć był przerażony skutkami tragicznego zrywu – skalą zniszczeń, liczbą ofiar i zniszczeniem Polskiego Państwa Podziemnego – nie zrezygnował z działania. Wyjechał do Krakowa, gdzie współpracował między innymi z Józefem Mackiewiczem, starając się otworzyć Polakom oczy na zagrożenie nadciągające ze wschodu. Napisał również poruszający list do prezydenta Raczkiewicza, w którym bez ogródek przedstawił fatalną politykę kierownictwa Polskiego Państwa Podziemnego. I straszliwe ofiary, jakie ta polityka przyniosła.

Gdy w styczniu 1945 roku ruszyła kolejna sowiecka ofensywa, Lipiński postanowił pozostać w kraju i dzielić los narodu. Możliwość wyjazdu na Zachód odrzucił. Zamiast tego utworzył nową organizację podziemną, tym razem do walki z czerwonym okupantem. Został aresztowany w 1947 roku i – w parodii procesu sądowego – skazany na śmierć. Wyrok zamieniono mu co prawda na dożywocie, ale dwa lata później został zamordowany w więzieniu we Wronkach. Najprawdopodobniej komuniści wykorzystali w tym celu siedzącego w więzieniu gestapowca. Co warte podkreślenia, jako jeden z niewielu, Lipiński zachował na procesie godną postawę i nie złożył samokrytyki.

Jareckiego powstanie zastało zaś na Ochocie w domu żony pułkownika Lipińskiego, Aleksandry, z którą stanowił parę (Lipińscy byli w separacji). 10 sierpnia zostali wraz z większą grupą Polaków popędzeni na Zieleniak, skąd, przez Pruszków, wywieziono ich do Auschwitz. Tam, podczas kontroli sanitarnej, Jarecki ujawnił lekarzowi z SS, że zna Spilkera. W efekcie Gestapo przysłało po niego do obozu samochód.

Jarecki opracował dla Niemców antybolszewicką ulotkę i zdążył ich jeszcze poprosić o wydanie mu kenkarty na fałszywe nazwisko Stanisław Michalski. Na Zachód – jak Lipiński – wyjeżdżać jednak nie chciał. Trafił do Gdańska, gdzie pod nazwiskiem Michalski zatrudnił się na Akademii Medycznej jako kreślarz. Urząd Bezpieczeństwa w końcu jednak wpadł na jego trop. Został aresztowany w 1952 roku. Zmarł w komunistycznym więzieniu trzy lata później.

Czerwoni nigdy nie wybaczyli pułkownikowi i wojewodzie wyborów, których dokonali oni w czasie wojny.

Rozdział 33

Porucznik „Góra”

– Brosit´ orużyje! Rzucić broń! Ruki wwierch! – takie dzikie wrzaski rozległy się bladym świtem w Puszczy Nalibockiej.

Banda około sześćdziesięciu obszarpanych, brudnych zbirów otoczyła grupę jeźdźców. Zaskoczeni mężczyźni, widząc skierowane w nich wyloty luf, uznali, że opór nie ma sensu. Podnieśli ręce do góry. Wszyscy byli w jednakowych, dobrze skrojonych mundurach Wojska Polskiego i półkożuszkach. Na głowach mieli rogatywki, na nogach oficerki. Wzorowym wojskowym wyglądem jaskrawo odbijali od napastników.

Był to korpus oficerski Batalionu Stołpeckiego Okręgu Nowogródzkiego Armii Krajowej. Realizując obłędną koncepcję narzuconą im przez Komendę Główną AK, udawali się właśnie do dowództwa oddziału partyzantki sowieckiej na „rozmowy”. Zaprosił ich niejaki pułkownik „Dubnow”, żeby – jak twierdził – wyjaśnić nieporozumienia narosłe między obydwoma formacjami i ustalić plan wspólnej walki z Niemcami. Oczywiście nie miał takiego zamiaru. Zastawił pułapkę na naiwnych Polaków. Był 1 grudnia 1943 roku.

Po rozbrojeniu oficerów Sowieci wpadli chmarą do obozowiska polskiego batalionu. Zaskoczeni żołnierze wyskakiwali z ziemianek i łapali za broń. Pozbawieni dowódców i przytłoczeni przewagą liczebną przeciwnika nie mogli jednak stawić oporu. Ci, którzy próbowali się bronić, zostali skatowani. Do niewoli dostało się w sumie około 150 ludzi. Ustawiono ich w trójszeregu pod lufami pepesz, a bolszewicka dzicz przystąpiła do rabowania obozu.

> Bolszewicy plądrowali baraki, szukając dokumentów, złota, skarbów, a przede wszystkim zegarków – pisał jeden ze świadków. – Wyrywali bierwiona ze ścian, okienka i drzwi. Wszędzie ich było pełno. Każdy szukał, co by zagrabić. Wyglądało na to, jakby nie było tu żadnego dowódcy. Porządek panował tylko w szeregu, który pilnował naszych rozbrojonych chłopaków. Liczbę bolszewików szacowałem na półtora tysiąca.

Dalsze wydarzenia miały tragiczny przebieg. Wziętych do niewoli dziesięciu oficerów poddano brutalnemu śledztwu. Oskarżono ich o „działalność kontrrewolucyjną”, jaką miała być walka o odtworzenie „Rzeczypospolitej od morza do morza w granicach z 1772 roku”. Wszyscy zostali skazani na śmierć. Pięciu rozstrzelano na miejscu i zakopano w puszczy,

a pięciu wpakowano do samolotu, który wylądował na leśnej polanie, i uprowadzono do Moskwy. Tam dręczono ich dalej na Łubiance.

Spośród wziętych do niewoli szeregowców część zamordowano, a resztę wcielono do sowieckiego „otriadu". W sumie zginęło wówczas osiemdziesięciu polskich patriotów. Po pacyfikacji tej wydawało się, że bolszewicy odnieśli wielkie zwycięstwo, że zniszczyli polską partyzantkę i będą teraz jedynymi panami Puszczy Nalibockiej. Sowieci byli przekonani, że teraz będą mogli do woli grabić i mordować okoliczną ludność. Na tamtejszych Polaków padł blady strach. Zapachniało ludobójstwem. Jeszcze w maju 1943 roku bolszewicy wyrżnęli wieś Naliboki, w styczniu 1944 puścili z dymem Koniuchy.

Wtedy jednak na scenę wkroczył porucznik Adolf Pilch „Góra". Był to młody, bojowy oficer, który po przeszkoleniu w Anglii skoczył do Polski jako „cichociemny" i został skierowany na Nowogródczyznę. Wstrząśnięty sowiecką perfidią postanowił pomścić śmierć kolegów. Pokazać bolszewikom, że zbyt wcześnie ogłosili zwycięstwo i że z Polakami nie pójdzie im tak łatwo. Zebrał pod swoją komendą kilkudziesięciu żołnierzy, którzy uniknęli rozbrojenia, i na nowo zorganizował oddział. A więc dokonał rzeczy, wydawałoby się, niemożliwej.

Oddział „Góry" znalazł się jednak wkrótce w tragicznej sytuacji. Rozwścieczeni uporem Polaków czerwoni partyzanci postanowili dobić krnąbrnych „polskich faszystów". Dysponując olbrzymią przewagą liczebną, rozpoczęli regularne polowanie na „Górę". Tropili jego oddział, próbując go okrążyć i unicestwić.

Podczas jednej z potyczek Polacy przy zastrzelonym politruku z oddziału im. Czapajewa znaleźli rozkaz zawierający instrukcje samego generała Pantelejmona Ponomarienki, dowódcy sowieckiego Głównego Sztabu Partyzanckiego. Nakazywał on brutalną rozprawę z bandami „biało-Polaków". „W razie oporu" – stwierdził w rozkazie – „rozstrzeliwać na miejscu". Dokument natychmiast przekazano do Komendy Głównej AK w Warszawie, która jednak nie kwapiła się z przysłaniem pomocy. W Londynie sowiecki rozkaz uznano zaś po prostu za fałszywkę.

Sytuacja była więc dramatyczna. Polacy znaleźli się w matni. Sowiecki pierścień okrążenia zaciskał się, oddział niemal codziennie toczył zacięte boje z czerwonymi. Kończyła się amunicja, broni było śmiesznie mało, a na żadne wsparcie z zewnątrz nie można było liczyć. Brytyjczycy na zrzuty na teren Ziem Wschodnich kategorycznie się nie godzili. Nasi cudowni sojusznicy uważali bowiem tę połowę Polski za terytorium sowieckie. Również uznająca bolszewików za „sojusznika naszych sojuszników" Komenda Główna AK nie pomogła swoim żołnierzom.

W tej sytuacji ścigany, osamotniony „Góra”, aby ocalić oddział, musiał poszukać nowego sojusznika. Sojusznik ten mógł być zaś oczywiście tylko jeden – Niemcy.

Napisałem wtedy do Niemców – wspominał – kartkę w tym sensie: „Ponieważ sytuacja tak się ułożyła, że jesteśmy w stanie wojny z partyzantką sowiecką, proponujemy, abyście nam dali zaopatrzenie w amunicję, nie czepiali się nas i czasem pozwolili przespać się w spokoju kilka nocy koło miasta Iwieniec”. Kartkę przesłaliśmy przez sołtysa, który przyniósł odpowiedź. 9 grudnia 1943 roku koło wsi Kulszyce spotkaliśmy się z Niemcami, omówiliśmy te warunki i otrzymaliśmy kilka tysięcy sztuk amunicji na początek.

Za dostawami amunicji poszły dostawy broni. Tej broni, której polscy partyzanci tak bardzo potrzebowali, a której odmawiało im własne dowództwo. W kolejnych dniach nastąpiło coś, co wprawiło w przerażenie bolszewickich komisarzy. Doszło do całkowitego odwrócenia sytuacji. Adolf Pilch dzięki niemieckiej pomocy przeszedł do kontrataku, który szybko zamienił się w triumfalny marsz. Czerwone bandy były rozbijane jedna po drugiej.

Zwierzyna zamieniła się w myśliwego i w Puszczy Nalibockiej rozpoczął się „sezon na bolszewika”. Chłopcy „Góry” bez litości tępili komunistów. Złapani na gorącym uczynku rabujący ludność bandyci byli na miejscu likwidowani. Dzięki pozyskanej broni Polacy z każdym dniem stawali się coraz potężniejsi, oddział rozrastał się w błyskawicznym tempie. Wkrótce w jego szeregach było już siedmiuset ludzi. Polscy żołnierze wyposażeni w niemieckie pistolety maszynowe i granaty stali się postrachem Sowietów.

Zachęceni tymi sukcesami Niemcy przekazali Polakom nawet granatniki i ciężkie karabiny maszynowe. W odpowiedzi „Góra” ściśle przestrzegał zawartego układu – wobec niemieckich jednostek zachowywał neutralność. A jak wynika z niektórych relacji, zdarzało się, że Polacy i Niemcy ramię w ramię bili się bolszewikami. Akowcy robili również sojusznikom drobne przysługi, na przykład konwojowali niemieckie transporty z żywnością.

Zachowały się złożone po wojnie na UB zeznania rotmistrza Zdzisława Nurkiewicza „Nocy”, który dowodził dywizjonem kawalerii w Zgrupowaniu Stołpecko-Nalibockim. Opowiadał on między innymi, że gdy w jednej z potyczek z bolszewikami poległo dwóch ułanów z jego oddziału, na pogrzeb, aby oddać hołd Polakom, przyjechał niemiecki oficer i nad grobem wygłosił nawet krótkie przemówienie.

O stosunkach panujących między Polakami a Niemcami może świadczyć to, że Nurkiewicz pojechał raz w biały dzień na koniu do komendantury Wehrmachtu mieszczącej się na rynku w Iwieńcu. Wszedł do niej w polskim mundurze i z pistoletem przy pasie. Tam rozmawiał z dowódcą żandarmerii polowej, porucznikiem Gerschitzem.

Przypominam sobie wspólną akcję z Niemcami wiosną 1944 roku – zeznawał „Noc”, który w komunistycznym więzieniu

przesiedział po wojnie ponad dziesięć lat. – Celem było rozbicie oddziałów sowieckiej partyzantki w okolicach wioski Wołny. W akcji wziął udział jeden batalion piechoty i dwa szwadrony kawalerii, którymi ja dowodziłem. Wraz z nami jechało około 20 żandarmów niemieckich samochodami, przy czym uzbrojeni byli w jedno działko oraz broń maszynową.

Rotmistrz opisywał jeszcze dwie podobne polsko-niemieckie operacje. Według niego leśną bazę Adolfa Pilcha łączyła z Iwieńcem linia telefoniczna, dzięki której polski dowódca miał stały kontakt z sojusznikami. Przydało się to, gdy Niemcy przypadkowo aresztowali jeden z polskich patroli. Na telefoniczną interwencję „Góry" żołnierze AK zostali zwolnieni.

W archiwum IPN zachował się pamiętnik oddziału Pilcha, w którym znalazły się następujące ustępy:

13.01.1944 Samolotem przyleciał z Mińska major SD celem przeglądu naszych oddziałów. Przegląd wypadł bardzo dobrze. Odleciał zadowolony, obiecując nam pomoc w uzbrojeniu.

24.01.1944 Po południu, o godz. 4.00, spotkaliśmy grupę sowieciarzy w ilości mniej więcej około 50 ludzi na kilkudziesięciu saniach. Rozpoczął się bój, w trakcie którego padło 7 bolszewików, w tym major razwiedki. Z naszej strony żadnych strat nie było.

24.02.1944 Wyjazd rankiem o godz. 6.30 dwóch plutonów w kierunku Wałny–Tekli–Pola. Brała w tym udział również żandarmeria niemiecka.

Niemcy wyznaczyli oddziałowi Armii Krajowej niewielki region na prawach eksterytorialności. Polacy zyskali w ten sposób bezpieczne schronienie i bazę wypadową do walki z Sowietami. Należy przyznać, że Niemcy skrupulatnie wypełniali postanowienia tajnego układu i rzeczywiście zaprzestali wszelkich działań wymierzonych w Polaków. Zawieszenie broni zaakceptował wysoki urzędnik administracji cywilnej – Gebietskommissar miasta Mińsk.

Dla „Góry" i jego ludzi było to oczywiście porozumienie czysto taktyczne, sposób na ratowanie się przed zagładą. „Będziemy się bili z bolszewikami do pełnego zwycięstwa" – mówił jeden z żołnierzy oddziału. – „Umówiliśmy się z Niemcami, ponieważ nie mamy innego wyjścia, ale to wcale nie znaczy, iż staliśmy się przyjaciółmi. Przyjdzie moment i znów będziemy walczyć".

Najwięcej na zawieszeniu broni skorzystała oczywiście okoliczna ludność cywilna. Wreszcie miała należytą ochronę, wreszcie ustały napady rabunkowe czerwonych partyzantów. „Góra" cieszył się wśród miejscowych Polaków wręcz fanatycznym kultem.

Taktyczne, okresowe zawieszenie broni z Niemcami – oceniał historyk Kazimierz Krajewski – odpowiadało interesom polskiej społeczności kresowej. Można je porównać do działania w stanie wyższej konieczności. Uchroniono ludność przed eskalacją niemieckich represji i zyskano możliwość prowadzenia skutecznej samoobrony przed bolszewikami. Nie ulega wątpliwości, że w ten sposób uratowano życie tysiącom obywateli RP.

Podobnego zdania jest profesor Bogdan Musiał:

> Niemiecka pomoc w postaci uzbrojenia przyczyniła się w znacznej mierze do tego, że Sowieci nie osiągnęli zamierzonego celu, czyli „oczyszczenia" zachodnich terenów Białorusi z polskich struktur podziemnych.

Mimo wielkich sukcesów w walce z bolszewikami wkrótce stało się jasne, że to koniec. Armia Czerwona w nocy z 3 na 4 stycznia 1944 roku przekroczyła przedwojenną granicę Rzeczypospolitej i na karkach wycofujących się Niemców coraz głębiej wdzierała się w głąb polskiego terytorium. Po stu dwudziestu zwycięskich bitwach i potyczkach z czerwoną partyzantką, w których wybito co najmniej sześciuset bolszewików, „Góra" z bólem serca musiał podjąć decyzję o ewakuacji i pozostawieniu ziemi nowogródzkiej na pastwę śmiertelnego wroga.

Operacja rozpoczęła się pod koniec czerwca 1944 roku. Wraz z oddziałem wyjechali polscy cywile nie mający najmniejszej ochoty być „wyzwoleni" przez Armię Czerwoną. W sumie sto pięćdziesiąt furmanek i setki jeźdźców. Ciągnący się przez dobry kilometr konwój dostał zgodę Niemców na wycofanie się na zachód. Na przednich furmankach jechała zresztą wspomniana już uzbrojona i umundurowana „białoruska" policja z Rakowa. Potem posadzono obok niej trzech zabranych po drodze niemieckich żandarmów.

> Krewki dowódca kawalerii chorąży „Noc" proponował natychmiastowe ich rozstrzelanie – pisał Marian Podgóreczny „Żbik". – Porucznik Góra był innego zdania. Zdecydował zabrać Niemców z oddziałem, by ewentualnie wykorzystać ich w sytuacjach trudnych. Decyzja ta okazała się trafna. Widząc swoich żandarmów jadących na podwodzie tuż za pocztem dowódcy szwadronu, napotykane po drodze placówki niemieckie nie ostrzeliwały oddziału. Niemieccy żandarmi, pojeni samogonem od rana do wieczora przez ułanów – nie zdawali sobie sprawy z roli, jaką mieli do odegrania w czasie tego marszu.

Gdy napotykano po drodze oddział nie wiedzący o obowiązującym porozumieniu, oficerowie „Góry" przekonywali Niemców, iż mają do czynienia z „Polnische Legion", formacją uformowaną do walki z bolszewikami. Po drodze Pilch „podjechał" do Modlina, gdzie jeszcze dozbroił się w tamtejszych magazynach Wehrmachtu. Niemcom obiecał oczywiście, że broń ta zostanie użyta do walki z Armią Czerwoną.

Szczególnie sensacyjny przebieg miała przeprawa przez most w Nowym Dworze, obsadzony przez silną załogę niemiecką, która nic nie słyszała o zawartym z polskim oddziałem zawieszeniu broni. Zrobiło się groźnie. Sytuację uratował jeden z żołnierzy – Stefan Andrzejewski – który w trakcie I wojny światowej służył jako podoficer w niemieckiej armii.

Wyszedł nam naprzeciw wysoki, dobrze zbudowany niemiecki pułkownik, który się przedstawił jako von Biber – opowiadał po wojnie Andrzejewski. – W tym czasie stojące przed mostem cztery czołgi niemieckie jak na komendę opuściły wymierzone w nas lufy dział.

– No – pomyślałem. – Jeżeli nasza misja się nie powiedzie, będzie jatka.

Zastanawiałem się, kogo najpierw rąbnąć z mego pistoletu, Browninga. Oczywiście pułkownika!

Zameldowałem się pułkownikowi, w pruskim drylu, po niemiecku, z bawarskim akcentem, przedstawiając członków delegacji. Każdy z polskich oficerów oddawał honor pułkownikowi, który odsalutowywał. Po tej ceremonii pułkownik spytał:

– Co to za wojsko, czy mamy przepustkę lub inny dokument upoważniający do przekroczenia mostu?

Odpowiedziałem, że walczymy po stronie niemieckiej, jesteśmy oddziałem działającym w niemieckim dystrykcie Nowogródek i tam z miejscową żandarmerią w powiatach Iwieniec i Stołpce reprezentowanych przez Oberleutnanta Karola Cevilla oraz Hauptmanna Gerschitza za zgodą komendanta posterunku żandarmerii w Mińsku jesteśmy oddziałem sprzymierzonych, przemieszczającym się na Zachód i walczącym od 1943 roku z zarazą bolszewicką oraz w obronie ich garnizonu i ludności cywilnej.

Pułkownik jednak, pomimo tych wyjaśnień, uparcie żądał okazania jakiegokolwiek dokumentu potwierdzającego te wywody. Oczywiście takiego dokumentu nie było!

Wtedy por. „Kula” i „Dan” włączyli się do rozmowy sugerując, żeby pułkownik zadzwonił linią wojskową do Iwieńca lub Mińska dla potwierdzenia składanego raportu. Kpili w żywe oczy, gdyż wszyscy doskonale wiedzieli, że tam są już Sowieci. Pułkownik von Biber był niewzruszony, powtórzył pytanie. W tym czasie do pułkownika doszedł wyższy oficer niemiecki, zaniepokojony, że przeprawa przez Wisłę została wstrzymana, a kolumny wojsk niemieckich napierają ze wszystkich stron. Ów major niemiecki zameldował się pułkownikowi jako major Jaster von Valdan i spytał, czy może w czymś pomóc.

Wówczas zameldowałem się zdumionemu majorowi jako Obergefreiter – kapral – obecnie chorąży Stefan Andrzejewski z takiego to a takiego pułku prusko-cesarskiej armii, który w czasie I wojny światowej walczył na froncie zachodnim, wymieniając miejsca stoczonych walk. Nie odpowiadając w dalszym ciągu na zadane pytanie bezczelnie zażądałem zaopatrzenia naszej jednostki w lekarstwa i amunicję oraz zaprowiantowania, gdyż wszelkie zapasy podczas kilkusetkilometrowego marszu wyczerpały się całkowicie, a żołnierze są kompletnie wyczerpani, a najbardziej tutaj, w Nowym Dworze, oczekując w upale na przeprawę na drugi brzeg Wisły. I tak już długo tutaj stoimy głodni, konie nie napojone, a parno jak w piecu. Wówczas major von Valdan przerwał moje wywody i spytał obcesowo, kto był moim dowódcą frontowym.

Odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Major potwierdził pułkownikowi prawdomówność, gdyż – jak się okazało – służył on w tym samym co ja pułku.

Po tej rozmowie atmosfera się rozluźniła, major uścisnął mi, jak należało staremu towarzyszowi broni, rękę. Wydawało się, że teraz już do masakry nie dojdzie, a Wisła nie spłynie krwią. Pułkownik i major porozumieli się na osobności między sobą i komendant von Biber wyraził zgodę na przeprawę naszego zgrupowania przez Wisłę.

Kwatermistrz nasz miał, zgodnie z poleceniem majora von Valdana, pozostać z kilkoma furmankami, by pobrać najpotrzebniejsze rzeczy z modlińskiego magazynu. Nazajutrz miało nastąpić wydanie zaopatrzenia dla ludzi i koni na cztery dni…

Heroiczna epopeja oddziału „Góry”, który wkrótce przyjął nowy pseudonim, „Dolina”, zasługuje na oddzielną książkę. Nie miejsce tu, żeby ją opisywać. Grunt, że dzielny oficer uratował swoich ludzi przed katami z NKWD i pod koniec lipca przyprowadził ich pod Warszawę. Tam stała się rzecz szokująca: Komenda Główna AK zaczęła bohaterskiego dowódcę straszyć sądem polowym i rozstrzelaniem za kolaborację z Niemcami. Pojawił się nawet pomysł rozbrojenia jednostki.

> Za to, że walczyliśmy o polskie Kresy, broniąc swego i swoich najbliższych, uważano nas za zdrajców – pisał gorzko Pilch. – Dowiedziałem się, że moja sprawa będzie rozpatrywana przez sąd. Było to dla mnie niepoważne, niemniej bardzo przykre, iż taką decyzję mógł podjąć oficer na wysokim szczeblu w Komendzie Głównej. Ze smutkiem myślałem, jak mało mamy ludzi na poziomie na najwyższych szczeblach Armii Krajowej.

Ostatecznie nic z tych gróźb nie wyszło, dowództwo podziemia bało się reakcji oddanych i wiernych swojemu dowódcy dziewięciuset żołnierzy. Żołnierzy, którzy uzbrojeniem i zaprawieniem w bojach znacznie przewyższali złożone z nieostrzelanych dzieciaków warszawskie oddziały AK. „Zobaczywszy wyposażenie naszych oddziałów, ludność uznała, że jest to prowokacja niemiecka. Skąd polskie oddziały mogły mieć tyle broni i sprzętu?" – wspominał jeden z weteranów.

W efekcie oddział „Doliny" został skierowany do Puszczy Kampinoskiej, skąd miał wspierać powstanie w Warszawie. Wtedy też ostatecznie zerwane zostało zawieszenie broni z Niemcami i partyzanci z Nowogródczyzny przystąpili do walki z Wehrmachtem. Niestety na skutek fatalnego dowodzenia przydzielonego im przez Komendę Główną dowódcy oddział został wykrwawiony i zmarnowany.

„Dolina" na czele niedobitków walczył jeszcze do stycznia 1945 roku na Kielecczyźnie, a następnie – w obliczu zajęcia całej Polski przez bolszewików – wyjechał na Zachód. Nietrudno się domyśleć, jaki los spotkałby porucznika Pilcha i jego ludzi, gdyby zostali schwytani przez komunistów. W czasach PRL „Góra" był regularnie opluwany przez propagandę i przedstawiany jako „faszysta i kolaborant". W rzeczywistości był jednym z najlepszych oficerów AK. A na pewno najmądrzejszych.

Rozdział 34

Podporucznik „Ragner”

Przez las jadą dwie ciężarówki wyładowane niemieckim wojskiem i żandarmami. Nie spieszą się specjalnie, bo droga fatalna, a we wsi zapewne jest już po wszystkim. Kilka godzin temu niemiecki posterunek w Lidzie został zaalarmowany, że pobliska polska miejscowość Pacuki została zaatakowana przez sowiecką bandę rabunkową noszącą dumną nazwę Oddziału Partyzanckiego im. Woroszyłowa.

Zanim się Niemcy zebrali, zanim wyruszyli w drogę, jak zwykle upłynęło sporo czasu. A bolszewicy w takich sytuacjach działają szybko. Napadają na polskie wsie znienacka – gwałcą, rabują, mordują – i zanim na miejsce dociera żandarmeria, ze wsi nie zostaje kamień na kamieniu, a napastnicy są już daleko. Tym razem jednak, gdy ciężarówki wyjechały z lasu, żołnierzom ukazał się zaskakujący widok. Otóż wieś stała nienaruszona, a na jej głównej ulicy zebrało się zbiegowisko.

Oficerowie wyskoczyli z szoferek i przepchnęli się przez tłum mieszkańców. Ich oczom ukazał się drastyczny widok. Na ziemi leżał rząd równo ułożonych ciał. W sumie dwudziestu dziewięciu ludzi. Nie mogło być żadnych wątpliwości – to byli sowieccy partyzanci. Trupy miały na sobie cywilne ubrania z elementami wojskowych mundurów. Wysokie buty, pasy, pocerowane kurtki mundurowe, na niektórych czapkach można było zobaczyć czerwone gwiazdki.

Wszystkie twarze zabitych zastygły w grymasie śmiertelnego przerażenia. A ich ciała były podziurawione jak sito. Widać było, że w każdego wpakowano co najmniej po serii broni maszynowej. Sowieci nie mieli najmniejszych szans.

– Kto ich tak urządził? – spytał niemiecki oficer stojącego obok sołtysa.

– To? E… Miejscowa polska samoobrona.

– Samoobrona, powiadacie? Bardzo fachowa ta wasza samoobrona.

Niemcy wiedzieli, że to nie pierwszy taki przypadek. Choćby dwa tygodnie wcześniej do podobnej masakry Sowietów doszło w Bojarach Smołeckich. W terenie najwyraźniej pojawił się ktoś, kto wziął się do systematycznego i zdecydowanego oczyszczania lasów, wsi, zaścianków i chutorów z czerwonej partyzantki.

W obliczu oczywistej wspólnoty interesów Niemcy nie podjęli żadnych działań

wymierzonych w ową „samoobronę”. Mało tego, zaczęli szukać z nią kontaktu, oferując wsparcie. Propozycja, poprzez miejscowych sołtysów, została szybko przekazana do podporucznika „Ragnera”, dowódcy 312. oddziału AK. To bowiem ten oddział ukrywał się za szyldem „samoobrony”.

Na wstępie warto zarysować specyficzną sytuację panującą w owych okolicach. O ile Gauleiter Okręgu Generalnego „Białoruś”, Wilhelm Kube, popierał białoruskie aspiracje narodowe i był nastawiony nieprzychylnie wobec Polaków, to jego podwładny, Gebietskommissar Lidy Hermann Hanweg, na swoim terytorium prowadził politykę odwrotną. On z kolei wspierał Polaków, którzy w regionie stanowili większość.

Rządy niemieckie w Lidzie i okolicach były więc dość łagodne, w urzędach pracowali polscy urzędnicy, polski był językiem urzędowym. Mało tego, Hanweg stworzył „białą gwardię” – polską jednostkę policyjną, której członkowie nosili charakterystyczne jasne mundury. Stanowili oni osobistą ochronę Gebietskommissara, co najlepiej świadczy, jakim zaufaniem darzył on Polaków. To właśnie z inicjatywy Hanwega Niemcy zaczęli szukać kontaktu z „Ragnerem”.

Kto krył się pod tym pseudonimem? Podporucznik Czesław Zajączkowski. Przed wojną urzędnik w Lidzie, podchorąży z kampanii 1939 roku. Ze względu na jego charakterystyczny wygląd – był niezwykle wysoki i chudy, nosił okrągłe okulary w grubych oprawkach – w konspiracji musiał znosić kpiny kolegów. Gdy na początku 1943 roku przyszedł do komendanta okręgu, podpułkownika Janusza Prawdzic-Szlaskiego, z prośbą, aby pozwolił mu iść do lasu formować oddział partyzancki, przełożony początkowo nie chciał się zgodzić.

Po długich namowach w lutym 1943 roku wreszcie dał zielone światło. „Ragner” okazał się dowódcą znakomitym. Wykazał się niezwykłą energią i odwagą osobistą. Żołnierze się do niego garnęli. Jeżeli ktokolwiek obawiał się, że jest nie dość twardy na taką walkę, szybko musiał zmienić zdanie. Zajączkowski wkrótce stał się postrachem czerwonych partyzantów, którzy nadali mu przydomek „Czort w oczkach”.

Gdy otrzymał niemiecką propozycję, po dłuższym zastanowieniu postanowił podjąć grę. Wysłał na rozmowy do Lidy podchorążego Jerzego Dąbrowskiego, który podał się za przedstawiciela samoobrony. Hanweg odmówił jednak negocjacji z Dąbrowskim i – jak pisał historyk Kazimierz Krajewski – poprosił o „przysłanie kogoś poważniejszego, z kim mógłby przeprowadzić istotne rozmowy, nie tylko o kilku karabinach dla jakichś wieśniaków”. Na zachętę przekazał pewną ilość leków i opatrunków, które były wówczas na wagę złota. „Ragner” zaproszenie do negocjacji przyjął. Na przełomie 1943 i 1944 roku odbyły się dwa spotkania między Polakami a Niemcami.

Zachowały się sporządzone przez Niemców sprawozdania z tych negocjacji. Stronę polską reprezentował podporucznik Wojciech Strypuła „Bartek” występujący pod fikcyjnym nazwiskiem Teofil Lepeszinowicz. Stronę niemiecką Hanweg oraz po jednym przedstawicielu niemieckiej policji, SS, SD i Wehrmachtu.

> Lepeszinowicz przedstawił barwną wypowiedź o wydźwięku antybolszewickim – napisano w niemieckim raporcie. – Dowódca bandy „Ragner” widzi swoje zadanie w tym, żeby obszary na południe i na zachód od Lidy oczyścić od uzbrojonych i plądrujących grup partyzantów. Brak mu jednak amunicji karabinowej oraz granatów. Ciężko jest również z opieką nad rannymi. Lepeszinowicz przykłada duże znaczenie, aby pertraktacje oraz ewentualne dostawy amunicji pozostawały tajne.

Niemcy w odpowiedzi zaproponowali „zawarcie miejscowego pokoju”. Polski oddział miał otrzymać amunicję i medykamenty. Niemcy zobowiązali się również, że dostarczanych im polskich rannych będą leczyć w swoich szpitalach wojskowych. Oddział „Ragnera” miał się również podjąć antybolszewickiej współpracy wywiadowczej, przekazując Niemcom informacje o ruchach sowieckich band. Rozmowa ta odbyła się 30 grudnia 1943 roku.

2 stycznia 1944 roku „Ragner” wysłał zaś list do komendantury polowej Wehrmachtu w Lidzie. Zawierał on upoważnienie „Lepeszinowicza” do dalszych pertraktacji. Zajączkowski prosił, aby rozpocząć je jak najszybciej. Poinformował też Niemców, że jeden ze swoich pododdziałów posłał do Dokudowa, aby oczyścił tamtejszą okolicę z bolszewików.

„Proszę Pana uprzejmie” – pisał polski oficer do Niemca – „aby wydał Pan odpowiednim placówkom zawiadomienie, aby w żadnym przypadku nie nastąpiły starcia między moimi ludźmi a załogami niemieckimi. Jako znak rozpoznawczy moi ludzie w około 10 sekund po pierwszych strzałach wystrzelą zieloną rakietę”.

Choć polsko-niemieckie zawieszenie broni de facto już weszło w życie, 4 stycznia 1944 roku odbyło się kolejne spotkanie. Lepeszinowicz oświadczył na nim, że „Ragner” zgadza się na niemieckie warunki, i przedstawił konkretny plan. Dokładnie określił, jakie tereny Polacy oczyszczą z bolszewików, zobowiązał się też do informowania Niemców o działaniach sowieckich oddziałów.

W zamian prosił o broń, swobodę ruchów w terenie, a także zgodę na przekraczanie linii kolejowych i mostu w Ogrodnikach. Propozycje te zostały przedłożone na piśmie. Po krótkiej dyskusji Niemcy je zaaprobowali. Lepeszinowicz od razu przekazał więc Niemcom pierwsze, przygotowane zawczasu, informacje na temat bolszewików.

W efekcie na terenie wokół Lidy Niemcy całkowicie ustąpili pola Polakom. Potworzyły się tam niewielkie „wolne republiki”, na terenie których działało polskie sądownictwo, na budynkach wisiały polskie flagi, a żołnierze w pełnym umundurowaniu chodzili po ulicach.

Niemcy zezwolili nawet na pobór kilku roczników do oddziałów partyzanckich. Radość ludności z powodu odtworzenia na tych skrawkach ziemi niepodległej Rzeczypospolitej była olbrzymia.

Na przełomie 1943/44 r. – napisano w jednym ze sprawozdań sytuacyjnych AK – wytworzyła się sytuacja, w której szereg powiatów ziemi nowogródzkiej jest właściwie całkowicie w ręku polskim. Niemcy widząc aktywność przeciwbolszewicką wojska polskiego wykorzystali to dla celów swego bezpieczeństwa. Nie zaczepiają oddziałów polskich, ofiarowują im nawet w wielu wypadkach pomoc.

Powiat szczuczyński, który wchodzi w skład Gebietskommissariatu lidzkiego, jest skrawkiem RP, na którym miejscowe władze niemieckie okazują maksimum zrozumienia i tolerancji w stosunku do zorganizowanego i uzbrojonego społeczeństwa polskiego. Oddziały polskie przeprowadzają regularny pobór kilku roczników – sołtysi doręczają formalne imienne karty powołania… Co niedziela, co święto jest msza polowa w środku wsi z kazaniem.

„Niepodległości" tych republik polskie wojsko broniło oczywiście bronią otrzymywaną od Niemców. Cichą zgodę na tę działalność – podobnie jak w wypadku „Góry" – dał komendant okręgu, podpułkownik Janusz Prawdzic-Szlaski. Zastrzegł on tylko, żeby żadnych umów z Niemcami nie zawierać na piśmie. Chodziło o zabezpieczenie się przed możliwością propagandowego wykorzystania sprawy przez Niemców.

Wkrótce doszło nawet do tego, że bolszewickich agentów wyjątkowo dających się Polakom we znaki miejscowa AK likwidowała z pomocą niemieckich służb. I tak na przykład zgromadzoną przez polskie podziemie listę członków organizacji komunistycznej przekazano oddziałowi tajnej żandarmerii polowej. „Na skutek tego" – pisał Szlaski – „zostało aresztowanych 80 osób, część rozstrzelano, część zaś wywieziono. W ten sposób częściowo zostały zapłacone nasze krzywdy i mogliśmy pracować dalej".

Wcześniej, zanim zawarte zostało porozumienie, prowadzono z Niemcami handel wymienny.

Wiosną 1944 kpt. Stanisław Truszkowski kazał mi zabrać jeden pluton i iść z nim na „trakt" – wspominał porucznik Stanisław Szabunia „Licho". – Po zatrzymaniu niemieckiej ciężarówki Truszkowski przeprowadził rozmowy z Niemcami, a ściślej z Hauptmanem z Ejszyszek, który przyjechał tą ciężarówką. Odniosłem wrażenie, że to spotkanie zostało uprzednio zaaranżowane. Nastąpiła wymiana, za dwie skrzynki amunicji Niemcy dostali masło i kiełbasy.

Chodliwym towarem byli również… Niemcy, których udało się gdzieś polskim partyzantom przydybać. I tak „Ragner" wymienił raz schwytanego komisarza niemieckiego na trzy skrzynki broni. Podobne negocjacje podjął porucznik Jan Borysewicz „Krysia". „Za Bartoszunami była wymiana" – wspominał jeden z jego żołnierzy, Stanisław Paszul. – „Przyjechali Niemcy z Werenowa, przywieźli nam dwa wozy amunicji, dwa ręczne karabiny maszynowe i dwie skrzynki granatów za dwudziestu Niemców".

Czasami Niemcy po prostu przywozili broń i amunicję do lasu, który znajdował się pod

kontrolą AK, i zostawiali ją, wiedząc, że trafi w ręce Polaków. Potem, gdy już podpisano porozumienie, przekazywano broń z rąk do rąk. Albo pozostawiano w terenie „słabo strzeżone" magazyny, na które w umówionym terminie Polacy dokonywali „napaści".

Współpraca na tym terenie trwała niemal do końca. Podporucznik Wojciech Strypuła „Bartek" – ten sam, który brał udział w lidzkich rozmowach jako Teofil Lepeszinowicz – jeszcze w maju 1944 roku był widziany w towarzystwie oficera Wehrmachtu, z którym jeździł po okolicy niemieckim samochodem wojskowym. Wiadomo również, że dzięki znajomościom w Abwehrze „Bartek" wyciągnął z niemieckich więzień wielu aresztowanych żołnierzy AK.

Dla której ze stron porozumienie było bardziej korzystne? Dla Polaków czy Niemców? Sprawę tę rozstrzygnęli sami oficerowie niemieckiego wywiadu, którzy w raporcie z 26 kwietnia 1944 roku stwierdzili, że wielkimi wygranymi tej rozgrywki są Polacy. Dzięki Niemcom uzbroili się bowiem po zęby, wzrośli w siłę, ale wcale im się nie podporządkowali. Zachowali niezależność i w każdej chwili mogli uderzyć na dotychczasowych sprzymierzeńców.

„Po dokładnej analizie tej sytuacji" – napisano w raporcie – „nasuwa się wniosek, że zawarcie porozumienia z polskimi bandami przyniesie Wehrmachtowi więcej szkody niż tymczasowego pożytku".

Posiadający wówczas świetne kontakty w kresowym podziemiu Józef Mackiewicz sugerował, że podobne wnioski skłoniły Niemców do wywierania coraz silniejszych nacisków na Polaków.

> Zaczął się wreszcie tu i ówdzie budzić w kraju jakiś rozsądek – odnotował wybitny pisarz. – Bolszewicy na początku roku 1944 wkraczają do Polski i na wschód od linii Curzona zaczyna się odruch i nieśmiała akcja zorganizowanych przeciw bolszewikom partyzantek polskich. Niemcy poczynają też jedną ręką patrzeć przez palce, a drugą dawać broń. Krystalizuje się wreszcie jakieś mniej więcej sensowne „poputniczestwo" we wspólnym interesie, z którego, daj Boże, mogłaby w przyszłości powstać realna myśl polityczna.
>
> I znów Londyn, pospołu z Berlinem, zadają nam kolejne ciosy. Pierwszy obwieszcza za zdrajców każdego, kto bierze broń od Niemców, za szkodników każdego, kto walczy z bolszewikami. Każe natomiast z nimi współpracować, tudzież wysadzać amunicję przeznaczoną do zniszczenia Armii Czerwonej. Drugi zaczyna odmawiać udzielania broni samodzielnym partyzantkom, proponując w myśl swej tępej zasady podporządkowanie się ich ogólnej komendzie niemieckiej, czyli stworzenie czegoś w rodzaju „polskich SS" na wzór litewskich, łotewskich, kałmuckich i innych band.

Do tej ostatniej sprawy jeszcze wrócimy. A tymczasem pozostaje nam tylko wyrazić podziw dla „Ragnera" i innych oficerów nowogródzkiej Armii Krajowej. Szkoda, że to nie oni zasiadali w Komendzie Głównej tej organizacji. Fantastyczne efekty, jakie przyniósł ich tajny układ z Niemcami, dowodzą bowiem niezbicie, że centrala AK w Warszawie popełniła poważny błąd, odrzucając podobne niemieckie propozycje w skali całego kraju.

Rozdział 35

Rotmistrz „Lech”

Na skraju puszczy zatrzymał się samotny niemiecki samochód. Rzecz w tych niebezpiecznych okolicach rzadka i niespotykana. Po pewnym czasie spomiędzy gęstych wysokich sosen wyjechało trzech jeźdźców w wojskowych płaszczach. Bez wahania podjechali wprost do maszyny. Na ich widok siedzący w środku niemieccy oficerowie, zamiast szykować się do obrony, zgasili papierosy i spokojnie wysiedli.

Jeźdźcy wstrzymali konie i pierwszy z nich zeskoczył na ziemię przed samą maską pojazdu. Oddał wodze w ręce luzaka i podszedł śmiało do Niemców. Przystawił dwa palce do daszka i powiedział mocnym głosem:

– Jestem rotmistrz „Lech”!

W tej chwili rozchyliły się poły jego płaszcza i Niemcy zobaczyli polski mundur wojskowy z biegnącym przez pierś pasem koalicyjnym. Za pas zatknięte miał dwa granaty, u boku pistolet w kaburze. Na rogatywce błysnął żelazny orzełek. Wymieniwszy kilka zdań, „Lech” z drugim oficerem – był to znany nam już podporucznik Wojciech Strypuła „Bartek” – wsiedli do samochodu. Luzak, prowadząc ich konie, zawrócił do puszczy.

Po krótkiej jeździe samochód znalazł się w Lidzie i zatrzymał przed miejscowymi koszarami Wehrmachtu. Polacy zostali zaproszeni do środka. Wprowadzono ich do dużej sali, w której zwracał uwagę ustawiony pośrodku stół przykryty zielonym suknem. Siedziało za nim dwóch niemieckich pułkowników ze sztabu Grupy Operacyjnej „Mińsk”, przedstawiciel policji w czarnym mundurze i najprawdopodobniej Gebietskommissar Lidy Hermann Hanweg.

Oficer, który nas spotkał – wspominał „Lech” – zaproponował pozostawienie broni w szatni.

– Mamy taki zwyczaj, że do obrad siadamy bez broni – powiedział.

– A ja – odparłem – mam taki zwyczaj, że z bronią nigdy się nie rozstaję.

Trochę zamieszania wynikło, kiedy oświadczyłem, że przybyłem na rozmowy z Wehrmachtem i nie będę pertraktował w obecności policji i służby bezpieczeństwa. Przewodniczący taktownie załatwił sprawę: coś poszeptał i SS i policja wyniosła się.

„Lech” poinformował Niemców, że głównym jego zajęciem jest „bicie bolszewików”. Że systematycznie czyści okolice Lidy z siejących terror komunistycznych band, a co za tym idzie, jego działalność jest zgodna z interesami Niemców. Następnie zaś przedstawił swoim

rozmówcom przygotowane wcześniej zapotrzebowanie na broń i amunicję dla trzech batalionów. Zażądał nawet granatników, moździerzy i broni przeciwpancernej. „Bartek" tłumaczył jego słowa na niemiecki.

Niemcy od raz zastrzegli, że pepanców, przynajmniej na razie, dać nie mogą, ale co do reszty – czemu nie. W pewnym momencie jeden z oficerów Wehrmachtu jednak zapytał:

– Cały czas stawia pan żądania, a nic pan nie mówi, co w zamian obiecuje?

– Nic nie obiecuję, poza tym, że będę nadal bił bolszewików i w okresie otrzymywania broni nie podejmę żadnej zaczepnej akcji przeciwko Niemcom.

Odpowiedź ta w pełni usatysfakcjonowała niemieckich oficerów. Pakt został zawarty i obie strony rozeszły się w znakomitych nastrojach. Był 8 lutego 1944 roku. Wkrótce z Lidy zaczął płynąć do lasu strumień broni i wyposażenia. Karabinów maszynowych, pistoletów, pocisków, granatników, a także środków opatrunkowych i lekarstw. W sumie pięć dużych transportów.

Efekt w terenie był piorunujący. Dokładnie taki sam jak wcześniej w wypadku Adolfa Pilcha „Góry" w Puszczy Nalibockiej. Rozbestwione bolszewickie bandy zostały okiełznane, a terroryzowana polska ludność mogła wrócić do normalnego życia. Niemcy mieli zaś spokój na liniach komunikacyjnych i sporą pomoc w walce z sowiecką partyzantką. Zyskiwały więc obie strony.

Wróćmy jednak do rotmistrza Józefa Świdy. Tak bowiem nazywał się człowiek używający pseudonimu „Lech". Był to weteran kampanii 1939 roku, w której walczył pod komendą Władysława Andersa, partyzant od Hubala i wywiadowca Oddziału II. Człowiek o wielkim temperamencie, porywczy zawadiaka, a zarazem wielki patriota. Przypominał bardzo Sienkiewiczowego Kmicica.

Opisana wyżej sprawa zakończyła się dla niego wielkim dramatem. Decydujący okazał się konflikt personalny między „Lechem" a dowódcą Okręgu Nowogródzkiego AK, pułkownikiem Januszem Prawdzic-Szlaskim. Obaj panowie nie przepadali za sobą, a u Szlaskiego antypatia ta wkrótce przerodziła się w obsesję. Otóż ubzdurał on sobie, że Świda – młody, ambitny i bitny oficer – chce zająć jego miejsce.

Właśnie to sprawiło, że Szlaski zaczął jeździć do Warszawy, gdzie składał donosy na „knującego z Niemcami" Świdę. Jest to o tyle bulwersujące, że wcześniej sam na to knucie wyraził zgodę. „Rób pan to!" – powiedział „Lechowi", gdy przyszedł on do niego po instrukcje.

Wydane na emigracji wspomnienia Szlaskiego *Nowogródczyzna w walce* wręcz zieją nienawiścią do Świdy. Podpułkownik twierdził na przykład, że chcący dokonać „zamachu stanu" rotmistrz polował na niego i innych oficerów okręgu. Wręcz niebywały jest opis

odbicia więźniów z aresztu w Lidzie.

„Chcąc się wykazać lojalnością wobec Niemców” – pisał Szlaski – „«Lech» posegregował uwolnionych według własnego uznania. Część rozstrzelał i poukładał jak sardynki na szosie do Żołudka, zawiadamiając Niemców, że uciekinierów uchwycił i rozstrzelał”.

Opis ten jest nieprawdziwy. Jak bowiem ustalił Jan Erdman w swojej genialnej *Drodze do Ostrej Bramy*, Świda rzeczywiście rozstrzelał „część” uwolnionych z Lidy. A konkretnie pięciu spośród sześćdziesięciu dziewięciu. Byli to niemieccy szpicle umieszczani w celach, aby donosili na uwięzionych Polaków. Zostali oni skazani i rozstrzelani na mocy wyroku zwołanego przez „Lecha” sądu.

Nie ma również mowy o tym, by decyzję o współpracy z Niemcami „Lech” – o co go oskarżano – podjął z powodu „zaślepienia osobistą nienawiścią wobec bolszewików”. Jeżeli bowiem Świda miałby być wobec kogoś „zaślepiony nienawiścią”, to wobec Niemców. W 1942 roku został bowiem aresztowany przez Gestapo i poddany tak ciężkiemu śledztwu, że „nie miał ani centymetra nie posiniaczonej skóry”. „Opcja niemiecka” była więc w jego wypadku wyborem zdroworozsądkowym i pragmatycznym.

Tak czy inaczej, gdy „Bór” i inni oficerowie Komendy Głównej AK dowiedzieli się o porozumieniu Świda–Hanweg, natychmiast przesłali „Lechowi” rozkaz, aby wstrzymał współpracę z Niemcami i podjął współdziałanie z partyzantką sowiecką.

> Nie miałem żadnych zastrzeżeń co do zaostrzenia walki z Niemcami – wspominał – natomiast nie mogłem wykrzesać z siebie entuzjazmu dla współpracy z Armią Czerwoną. Zagadnienie przerastało moje siły, piętrzyło się nad głową jak olbrzymia skała. Jak znaleźć wyjście z sytuacji, która wydawała mi się absurdalna: miałem demonstrować życzliwość i przyjaźń do strony, która zerwała stosunki dyplomatyczne z Rzeczypospolitą, Armii Krajowej wypowiedziała bezwzględną walkę i nie tylko dążyła do pozbawienia Polski ziemi, na których się urodziłem, ale także do pozbawienia nas życia.

W swoich poglądach „Lech” nie był odosobniony. Jeden z żołnierzy, Czesław Zgorzelski, tak zapamiętał odprawę oficerów Okręgu Nowogródzkiego, na której odczytano rozkaz przystąpienia do akcji „Burza”:

> Zapanowało parę sekund milczenia. Pierwszy poruszył się „Ponury”. Doskonale zrozumiał całą wewnętrzną, groteskową sprzeczność tych zaleceń na naszych terenach. Odezwał się przytłumionym głosem, jakby zapytywał sam siebie i chyba nas wszystkich, zatopionych w milczeniu: „To – jakże, mamy się dawać zarzynać jak barany?”.
>
> Żołnierze partyzantki polskiej na Kresach – pisał z kolei Adolf Pilch „Góra” – którzy pamiętali z okresu pierwszej okupacji sowieckiej mordy, deportacje, okrucieństwa NKWD, konfiskaty, kołchozy, rabunki i gwałty, patrzyli ze strachem na nadciąganie wojsk bolszewickich i nie mogli zrozumieć, dlaczego AK ma współpracować z bolszewickimi bandami i ułatwiać wkroczenie wojsk sowieckich do Polski.

Trudno się dziwić, że w tej sytuacji oficerowie Okręgu Nowogródzkiego zaczęli namawiać Prawdzic-Szlaskiego do wypowiedzenia posłuszeństwa Komendzie Głównej AK. W Warszawie doskonale zresztą wiedziano, że propozycje te padają na podatny grunt. Prawdzic w 1941 roku uniknął bowiem sowieckiej kuli tylko dlatego, że uciekł z marszu śmierci. Dla dowództwa był więc elementem niepewnym. I jego donosy na „Lecha" niewiele mu pomogły.

Na krótko przed „Burzą" Szlaski został zdjęty ze stanowiska, a jego okręg podporządkowano naiwnemu jak dziecko komendantowi Okręgu Wileńskiego, podpułkownikowi Aleksandrowi Krzyżanowskiemu „Wilkowi". Mimo tego kuriozalnego posunięcia i tak większość oddziałów Okręgu Nowogródzkiego nie wzięła udziału w „Burzy". Dla tych ludzi współdziałanie z Sowietami było bowiem zdradą ojczyzny.

Wróćmy do tragedii Józefa Świdy „Lecha". Po długiej wewnętrznej walce zdecydował on, że interes Polski, jego żołnierzy i powierzonych jego opiece cywilów jest ważniejszy niż niedorzeczne rozkazy przełożonych. Na piśmie odmówił on zerwania sojuszu z Niemcami i podjęcia kolaboracji z bolszewikami. Zdaniem piszącego te słowa powinien był za to otrzymać Virtuti Militari. Został tymczasem oddany pod sąd polowy.

Doszło do niego w połowie marca 1944 roku we wsi Szlachtowszczyzna. „Lech" otrzymał wezwanie, aby stawił się tam z niewielką obstawą. Atmosfera, jaka towarzyszyła sądowi, była niezwykle napięta. Szlaski nie wykluczał, że może dojść do bratobójczej strzelaniny. „Lech" miał bowiem pod rozkazami półtora tysiąca ślepo oddanych mu ludzi. Obawiano się więc, że dokona rokoszu, członków akowskiego sądu powiesi i już otwarcie przejdzie na stronę III Rzeszy.

„Kto da radę «Lechowi», jeżeli zdecyduje się iść własną drogą?" – pisał Erdman. – „I dokąd go ta droga zaprowadzi? W Zgrupowaniu Nadniemeńskim istniała opozycja przeciw wyjazdowi dowódcy na rozprawę. Szlaski trzymał zaś w pogotowiu III baon. Każdy niebaczny krok mógł wywołać bratobójczą walkę".

Rotmistrz Józef Świda przybył jednak na miejsce sądu tylko z niewielką obstawą. Przyjechał do wsi na białym koniu, trzymał się dumnie i patrzył wszystkim hardo w oczy. Zachowywał się – jak zapamiętał to jeden ze świadków – z „ostentacyjną godnością". Następnie dał się rozbroić i stanął przed sądem oficerskim, którego przewodniczącym był działający wówczas w tym terenie Bolesław Piasecki, przedwojenny szef ONR-u.

Sąd był to zresztą groteskowy, bo wystąpił przed nim tylko prokurator. Udziału obrońcy nie przewidziano. Nie dopuszczono również świadków obrony. Żaden z członków składu sędziowskiego – co ważne – nie pochodził z Nowogródczyzny. „Lech" zachowywał się na

procesie godnie, otwarcie przyznał, że sprzymierzył się z Niemcami i odmówił wykonania prosowieckich rozkazów Warszawy. Gdy usłyszał wyrok, nawet nie drgnęła mu powieka. A był to wyrok śmierci.

Przybyły z Warszawy major Maciej Kalenkiewicz „Kotwicz", powołując się na specjalne pełnomocnictwa, zaaprobował werdykt, ale z zastrzeżeniem, że jego wykonanie odracza się do zakończenia wojny z prawem do rehabilitacji na polu bitwy w innym miejscu. Życie Józefa Świdy było więc uratowane, ale jego imię pohańbione. W zamian za wierną służbę Rzeczypospolitej spotkała go wielka krzywda.

> Ile razy słyszę o tej „rehabilitacji", wszystko się we mnie jeży – pisał po wojnie. – W moim pojęciu rehabilitacja oznacza przywrócenie do praw człowieka, który popełnił czyn niemoralny lub haniebny. Tymczasem ja, w sumieniu swoim, nie popełniłem niczego niemoralnego. Nie byłem ani świnią, ani złoczyńcą. Uważałem, że Sowiety nie są żadnym sojusznikiem, ale oczywistym wrogiem.

Po skazaniu go na śmierć i pozbawieniu dowództwa wezwano go do Warszawy, gdzie Komenda Główna AK poleciła mu, aby sprawdził stan przygotowań Mokotowa i Woli do powstania. Gruntownie przeanalizowawszy sprawę, jako normalny, odpowiedzialny człowiek i dobry oficer uznał, że siły Armii Krajowej są w tych dzielnicach tak szczupłe, że o zrywie wymierzonym w Niemców nie ma nawet co marzyć. Że skończy się on katastrofą i rzezią cywili. Oczywiście i tym razem go nie posłuchano.

Świda po powstaniu nie złożył broni. Konspirował w Krakowie, dowodził partyzantką na Podhalu, odbił kolegę z aresztu NKWD. Wreszcie uciekł z okupowanej przez bolszewików Polski na Zachód. Przez pół Europy przebił się pod Ankonę do swojego dowódcy z 1939 roku, generała Władysława Andersa.

Tam doszło do spotkania obu oficerów. „Świda" opowiedział generałowi o sowieckich mordach na Nowogródczyźnie, o układzie zawartym z Niemcami, o wydanym na niego wyroku śmierci. Anders wstał, objął go i powiedział:

– O czym ty mówisz, synku…? To dziś sprawy bez znaczenia. Wojna przecież tuż-tuż.

Niestety III wojny światowej, w której zamierzał dalej walczyć z bolszewikami o wolność Polski i ziemi nowogródzkiej, Józef Świda się nie doczekał.

Rozdział 36

Egzekutorzy z „Cecylii”

W lutym 1944 roku do miejscowości Rudziszki położonej na skraju Puszczy Rudnickiej na Wileńszczyźnie przyjechało sześciu mężczyzn. Byli to noszący cywilne ubrania młodzi Polacy. Każdy miał visa, a jeden pod płaszczem ukrywał pistolet maszynowy. Przybywszy na miejsce, od razu skierowali się na miejscowy posterunek niemieckiej żandarmerii.

Tam zdumionym żołnierzom przedstawili pismo z wileńskiego ośrodka niemieckiego wywiadu wojskowego – Abwehrkommando 304. Znajdował się w nim rozkaz udzielenia grupie wszelkiej możliwej pomocy. Po krótkiej naradzie trzech podoficerów Wehrmachtu zarzuciło na plecy pistolety maszynowe i wyszło z Polakami w ciemną noc. Cała grupa udała się do wskazanego przez przybyszów domu.

Budynek został otoczony, a kilku Polaków weszło do środka. Po pewnym czasie wyprowadzili z niego aresztowanego mężczyznę. Sytuacja powtórzyła się w kolejnym domu. Znowu rewizja i znowu aresztowanie gospodarza. Obaj zatrzymani zostali poprowadzeni na obrzeża miejscowości. Gdy grupa przechodziła przez rzadki lasek, Polacy wyciągnęli pistolety i bez ostrzeżenia otworzyli ogień. Dwóch aresztowanych mężczyzn zostało zlikwidowanych. Ciała odciągnięto na bok i pozostawiono w zagajniku.

Po kilkunastu minutach do lasku został przyprowadzony trzeci zatrzymany. Sytuacja się powtórzyła. Został zastrzelony na miejscu. Po wykonaniu mokrej roboty Polacy wsiedli do pociągu jadącego w kierunku Wilna i zniknęli. W Rudziszkach pozostawili trzy trupy.

Kim byli ci ludzie? Jak wytłumaczyć to zdumiewające zdarzenie? Otóż przybyli do Rudziszek mężczyźni byli członkami tajnej komórki kontrwywiadu Okręgu Wileńskiego AK o kryptonimie „Cecylia”. A trzej zastrzeleni w zagajniku byli komunistami i sowieckimi agentami, na których od kilku lat ciążyły wyroki Polskiego Państwa Podziemnego. Była to więc egzekucja wykonana w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej. Tyle że za wiedzą i z pomocą Niemców.

Komórka „Cecylia” pierwsze kontakty z Niemcami nawiązała już jesienią 1943 roku. Zaczęło się od próby zinfiltrowania tej struktury przez działających na terenie Wileńszczyzny sowieckich agentów skupionych w tajnych strukturach Związku Patriotów Polskich. Akowcy odebrali to jako wypowiedzenie wojny i postanowili się z komunistami radykalnie rozprawić.

Potrzebowali jednak do tego sojusznika.

Sojusznik zaś zgłosił się sam. Był nim major Julius Christiansen, szef wspomnianego Abwehrkommando 304. Ten rozsądny, pragmatyczny oficer już od pewnego czasu starał się nawiązać kontakt z wywiadem AK w celu podjęcia współpracy przeciwko bolszewikom. Nie wiedział jednak, że jego własna komórka została zinfiltrowana przez polskie podziemie. Dwóch prowadzonych przez niego agentów w rzeczywistości pracowało dla Armii Krajowej. Jednym z nich był porucznik Henryk Borowski „Trzmiel", który teraz odegrał rolę pośrednika w nawiązaniu kontaktu między Abwehrą a „Cecylią".

> Powiedziałem Christiansenowi – zeznał po wojnie Borowski – że jestem przedwojennym oficerem o przekonaniach antykomunistycznych i antysowieckich, że tylko w Niemcach widzę jedyną siłę, która może uchronić Europę od najazdu bolszewickiego. To skłoniło mnie do podjęcia decyzji o współpracy z Niemcami i gotów jestem zwalczać wszystkich tych, którzy występują przeciwko Niemcom, a przede wszystkim działaczy komunistycznych.

Tu jedna uwaga. Większość wypowiedzi zamieszczonych w tym rozdziale pochodzi z protokołów ubeckich przesłuchań – niestety wielu żołnierzy „Cecylii" wpadło po wojnie w ręce czerwonych. Protokoły takie są źródłem, do którego należy podejść ostrożnie. Akurat w tym wypadku są jednak wiarygodne. Autor książki, którą trzymają państwo w rękach, zasięgnął w tej sprawie opinii dwóch najlepszych historyków zajmujących się dziejami wileńskiej konspiracji. I obaj nie mają wątpliwości, że do opisanych w tych protokołach wydarzeń rzeczywiście doszło.

Wróćmy do Wilna przełomu roku 1943 i 1944. Borowski ustalił z Christiansenem, że Polacy utworzą specjalne komando egzekutorów, które będzie likwidowało działających w terenie agentów komunistycznych. Niemcy mieli zaś nie przeszkadzać mu w robocie i udzielić pomocy logistycznej. Jak to wyglądało w praktyce? Abwehra wystawiła żołnierzom „Cecylii" dokumenty gwarantujące bezpieczeństwo, w tym pozwolenia na broń. Na drugim spotkaniu z Borowskim Christiansen przekazał mu zaś cztery pistolety VIS i pistolet maszynowy MP 40. Gdy któryś z ludzi „Cecylii" został aresztowany, Christiansen załatwiał jego zwolnienie.

W skład grupy weszli najbardziej bojowi i waleczni żołnierze wileńskiej AK. Bolesław Nowik, bracia Jerzy i Wacław Łozińscy, Władysław Subortowicz, Edward Petrulewicz i Witold Milwid. Podjęcie gry z Abwehrą zostało zaś zaakceptowane przez kierownika „Cecylii", Mirosława Głębockiego. Zdaniem historyka IPN Tomasza Balbusa – który szykuje naukowy artykuł na temat tej sprawy – o wszystkim poinformowany musiał być również komendant okręgu, podpułkownik Aleksander Wilk-Krzyżanowski.

Dlaczego „Cecylia" podjęła współpracę z Abwehrą? Zarówno Głębocki, jak i jego

współpracownicy należeli do nielicznego w kierownictwie polskiej konspiracji stronnictwa ludzi rozsądnych. Rozumieli, że po klęsce stalingradzkiej Niemcy wypadli z gry, a na pierwszy plan wysunęło się zagrożenie bolszewickie. Nie mieli żadnych wątpliwości, że gdy Wileńszczyzna znajdzie się pod okupacją Armii Czerwonej, lokalny element komunistyczny będzie wydawał w ręce NKWD polskich patriotów.

> Bolesław Nowik „Majewski" oznajmił nam o tym, że będziemy współpracować z Niemcami – mówił Jerzy Łoziński – gdyż rząd londyński polski nie może dojść do porozumienia z rządem sowieckim. Należy się spodziewać, że Związek Sowiecki przyjdzie na tereny polskie i tereny nasze będą okupowane przez wojsko sowieckie. Wobec tego należy nam współpracować z Niemcami i walczyć przeciwko Związkowi Sowieckiemu. A w związku z tym trzeba nam było oczyszczać teren z elementów sympatyzujących czy współpracujących ze Związkiem Sowieckim i ludzi współpracujących z partyzantami sowieckimi.

Podjęcie współpracy z Abwehrą można więc uznać za samoobronę. Wykorzystanie okazji, jaką stworzyło to, że między Polakami a Niemcami wystąpiła wspólnota interesów i okupant był chętny do współdziałania. Była to więc zdroworozsądkowa transakcja wiązana, a nie zaprzedanie się Niemcom, jak przedstawiali to po wojnie komuniści. Najlepiej świadczy o tym incydent, do którego doszło pod Mejszagołą.

W marcu 1944 roku Niemcy poinformowali Polaków, że w tej podwileńskiej miejscowości operuje grupa skomunizowanych, współpracujących z sowiecką partyzantką Żydów. I poprosili o jej likwidację. Żołnierze „Cecylii" natychmiast pojechali na miejsce, ale pod wskazanym adresem znaleźli tylko Bogu ducha winną, zwykłą żydowską rodzinę. O żadnych związkach z bolszewikami nie mogło być mowy. Na oczach Niemców wyprowadzili więc tych Żydów do lasu, ale tam wystrzelili tylko w powietrze i kazali rodzinie czym prędzej uciekać. Sprawa ta chyba nie wymaga komentarza.

Do najbardziej spektakularnej akcji komanda „Cecylii" doszło 4 czerwca 1944 roku. Wówczas na jego celowniku znalazło się dwóch znanych komunistów – szef lokalnego Związku Patriotów Polskich Kazimierz Namysłowski i jego bliski współpracownik Władysław Borysewicz. Polacy do wykonania tej akcji dostali od Abwehry dwa samochody osobowe z umundurowanymi niemieckimi kierowcami.

Obaj komuniści zostali aresztowani z żonami – również członkiniami tej jaczejki – i sprowadzeni do specjalnie w tym celu przygotowanego lokalu na terenie getta wileńskiego, w rejonie ulicy Jatkowej. Miejsce to przed wykonaniem akcji odwiedził major Christiansen. Komuniści zostali tam poddani przesłuchaniom. Chodziło o wydobycie z nich nazwisk innych prowadzących antypolską działalność agentów Stalina. Przesłuchanie Namysłowskiego miało przebieg dość drastyczny.

Pierwszym pytaniem zadanym Namysłowskiemu było zapytanie o jego prawdziwe nazwisko – mówił po wojnie Witold Milwid. – Namysłowski odpowiedział, że nazywa się Szczygielski. Po kilkakrotnych pytaniach i jednakowych odpowiedziach ze strony Namysłowskiego zgniewało mnie to osobiście i podskoczyłem do niego zadając kilka mocnych uderzeń pięścią i otwartą dłonią w głowę i w klatkę piersiową.

Subortowicz przytoczył przy mojej pomocy stojącą w końcu pokoju beczkę z sodą kaustyczną, na której ja, Subortowicz i Petrulewicz położyliśmy Namysłowskiego, który uprzednio na polecenie Subortowicza zdjął spodnie. Leżącego Namysłowskiego trzymał Petrulewicz, za nogi ja trzymałem go, a Subortowicz położył mu na siedzenie mokrą szmatę i bił go kablem gumowym.

Po kilkunastu soczystych razach zamieniliśmy się i ja zadałem także kilkanaście uderzeń kablem przez siedzenie. Następnie ja trzymałem Namysłowskiego za głowę, a Petrulewicz zdjął mu buty i tym samym kablem bił go po piętach. W wyniku bólu Namysłowski oświadczył, że będzie składał zeznania.

O ile rzeczywiście Namysłowski został poturbowany, między bajki można włożyć opowieść o tym, że akowcy katowali również żony obu komunistycznych działaczy. Zeznania takie złożyła po wojnie Maria Borysewicz, jedyna osoba z aresztowanej czwórki, która przeżyła całą tę historię. Najprawdopodobniej chciała zaszkodzić żołnierzom „Cecylii", którzy zasiedli na ławie oskarżonych w komunistycznym procesie pokazowym.

Byłam bita kolbą rewolweru po głowie – mówiła Borysewicz – a następnie kopana po całym ciele. Maltretowana byłam za to, abym wydała osoby będące członkami Związku Patriotów Polskich. Następnie kładziono mnie na beczkę. Trzymana byłam przez jednego z osobników za głowę i bita po pośladkach sprężyną zakończoną kulą ołowianą. Po jakimś czasie przyprowadzono męża, w którego obecności jeden z osobników powiedział: „Teraz przyznawajcie się, gdyż będziemy z was skórę pasami drzeć".

Zostałam wepchnięta do jamy wykopanej w pokoju. Męża mego poprowadzono do dalszych pokoi, co z nim robiono, tego nie widziałam i nie słyszałam, gdyż od pobicia utraciłam słuch, który do obecnej chwili szwankuje mi. Po dwóch godzinach mąż mój znalazł się obok mnie. Po głosie stwierdziłam, że również był maltretowany, gdyż nie widząc na oczy wyczuwałam to.

Porucznik Borowski sporządził w dwóch kopiach – pisząc przez kalkę – stenogramy przesłuchań. Jedna kopia została w archiwum AK, drugą przekazano Niemcom. Po zakończeniu przesłuchań na posterunek żandarmerii polowej odstawiono również oba małżeństwa.

Namysłowski i Borysewicz zostali przez Niemców zlikwidowani, ale wcześniej poddano ich śledztwu. Skutkiem tego były liczne aresztowania w środowisku komunistycznym Wilna. Część sowieckich agentów została rozstrzelana, inni trafili do obozów koncentracyjnych. Spotkało to między innymi żonę późniejszego wicepremiera PRL, Stefana Jędrychowskiego, Annę Kompielską. Był to duży sukces, choć metody zastosowane przez AK były dość radykalne.

Należy jednak pamiętać, że reguły takie – a raczej ich brak – narzucił przeciwnik. To

Sowieci rozkręcili spiralę przemocy. Denuncjowanie przez komunistów na Gestapo polskich patriotów było zaś na porządku dziennym. „Cecylia” postanowiła odpowiedzieć pięknym za nadobne. Najważniejsze w całej sprawie jest to, że – niezależnie od tego, co sądzimy o biciu gumowym kablem po czterech literach – żołnierze „Cecylii” bez wątpienia działali w obronie i interesie Rzeczypospolitej, której Związek Sowiecki był śmiertelnym wrogiem. A Związek Patriotów Polskich jego agenturą.

Po wojnie UB i NKWD zażarcie tropiły ludzi z „Cecylii”. Zemsta komunistów była straszna. Szef komórki, Mirosław Głębocki, został zamęczony na śmierć. Konał powoli – miał już wtedy zaawansowaną gruźlicę – w wilgotnej celi, do której Sowieci regularnie wsypywali niegaszone wapno. Henryk Borowski został skazany i zamordowany w 1951 roku razem „Łupaszką” w więzieniu na Mokotowie. Jego ciało odnaleziono w 2012 roku w trakcie prac ekshumacyjnych na powązkowskiej „Łączce”.

W 1949 roku komuniści urządzili zaś w Bydgoszczy pokazowy proces członków „Cecylii”. Na ławie oskarżonych zasiedli Jerzy Łoziński, Stanisław Subortowicz i Witold Milwid. Wszyscy zostali skazani na śmierć i straceni przez prowadzącego przesłuchania ubeka, Adama Kujawę. Komuniści wykorzystali sprawę propagandowo. Na ulicach miasta rozwieszono głośniki, przez które nadawano przebieg rozpraw, gazety rozpisywały się o zbrodniczych czynach „polskich faszystów wysługujących się hitlerowcom”.

W komunistycznej prasie pisano nawet o stu siedemdziesięciu członkach wileńskiego Związku Patriotów Polskich wyeliminowanych przez „Cecylię”. Liczba ta oczywiście była grubo przesadzona. Grupa ta jednak bez wątpienia zadała poważny cios lokalnej sowieckiej siatce.

Rozdział 37

Major „Łupaszka”

To miała być rutynowa interwencja. Patrol litewskiej policji w jednym z mieszkań na wileńskim Antokolu zauważył światło sączące się przez nie zasłonięte okno. W mieście obowiązywało całkowite zaciemnienie, lecz sprawa była błaha, trzeba było jednak zwrócić uwagę gospodarzom. Policjanci, ziewając, zapukali więc do mieszkania.

– Kto tam? – rozległ się z drugiej strony zatrwożony kobiecy głos.

– Policja, otwierać!

Gdy gospodyni uchyliła drzwi, dwaj policjanci wkroczyli do środka. Trzeci został na korytarzu.

– Dlaczego okna nie zasłonięte? – spytał dowódca. – Za niewykonanie rozkazu władz wojskowych w czasie wojny czeka surowa kara. Zasłonić okno.

Kobieta posłusznie zaciągnęła zasłony. Litwini już mieli zbierać się do wyjścia, gdy ich uwagę zwrócił siedzący na krześle mężczyzna. Na widok umundurowanych funkcjonariuszy nie wstał, nie okazał strachu ani niepokoju, przyglądał im się tylko z pogardą. Jego śmiałość zirytowała Litwinów, w tej samej chwili spostrzegli, że mężczyzna ma na sobie długie oficerskie buty z wyraźnie widocznymi kolistymi śladami ostróg.

– To polski bandyta! – krzyknął jeden z policjantów i wymierzył siedzącemu policzek.

Zapadła głucha cisza. Mężczyźnie nie drgnął na twarzy nawet jeden mięsień. Podniósł się powoli, spojrzał w oczy policjanta i wycedził przez zęby:

– Gówniarzu, nie wiesz, kogo uderzyłeś. Jestem dowódcą 5. Brygady Armii Krajowej.

Przerażony Litwin odskoczył pod ścianę, nerwowo zerwał z ramienia karabin i drżącymi rękami skierował go w stronę Polaka. Podobnie zrobili jego towarzysze. Policjanci zaczęli nawoływać niemieckich żandarmów. Szaulisi byli zarazem przestraszeni i podekscytowani. Właśnie aresztowali bowiem legendarnego „Łupaszkę”, najgroźniejszego polskiego partyzanta. Stało się to w kwietniu 1944 roku.

Pseudonim „Łupaszka” nosił major Zygmunt Szendzielarz, polski oficer, który w lasach Wileńszczyzny toczył nieubłaganą wojnę przeciwko bolszewikom. Gardził śmiercią. Uderzał błyskawicznie i bezwzględnie. Bił głównie Sowietów, ale jeśli w drogę weszli mu Niemcy, obrywali i oni. Zaledwie kilka tygodni wcześniej rozbił ich pod Worzianami, kładąc trupem

czterdziestu niemieckich żołnierzy.

Co więc zrobili z nim Niemcy, gdy dostał się w ich ręce? Zakatowali w lochu Gestapo? Powiesili? Rozstrzelali? Nic z tych rzeczy. Został zapakowany do limuzyny i przewieziony do Kowna. Tam co prawda umieszczono go w areszcie, ale siedział na honorowych warunkach. Na posiłki chodził na górę do kancelarii. Prowadzono z nim rozmowy w pojednawczym tonie.

Niemcy pogratulowali mu zwycięstwa pod Worzianami i z uznaniem odnotowali, że polscy partyzanci nie wydłubali poległym niemieckim żołnierzom złotych zębów i nie zerwali obrączek. Ich zachowanie jaskrawo kontrastowało więc z zachowaniem partyzantki sowieckiej, w której takie patologie były normą. Po zakończeniu rozmów „Łupaszka" został zwolniony z aresztu. Niemcy dali mu przepustkę i sto marek na zwrot kosztów podróży z Kowna na Wileńszczyznę.

Aby to zrozumieć, musimy się cofnąć o kilka miesięcy. Sytuacja na Wileńszczyźnie potoczyła się niemal identycznie jak w Okręgu Nowogródzkim AK. 26 sierpnia 1943 roku sowieccy partyzanci spacyfikowali działający na tym terenie polski oddział podporucznika Antoniego Burzyńskiego „Kmicica". Odbyło się to według znanego schematu. „Kmicic" z innymi oficerami został zaproszony przez bolszewików na „rozmowy" i rozbrojony. Następnie doszło do rzezi.

Według jednej z relacji polskiego dowódcę powieszono na drzewie za wykręcone do tyłu ręce. Pijana sowiecka horda darła z niego pasy i przypalała go bierwionami. Po długiej męce „polski faszysta" został przez Sowietów zastrzelony. Zamordowano również innych oficerów i żołnierzy – łącznie kilkudziesięciu Polaków. Ich ciała zostały zbezczeszczone i ograbione.

Na Nowogródczyźnie polską partyzantkę uratował Pilch, na Wileńszczyźnie zaś rolę tę odegrał Zygmunt Szendzielarz. Stanął on na czele niedobitków i przystąpił do odwetu. Był w tym niezwykle skuteczny, bo sekretarz miejscowego podziemnego komitetu partii komunistycznej, Iwan Frołowicz Klimow, jeszcze wiele lat po wojnie przyznawał, że „Łupaszka" był „zmorą jego życia" i zadał komunistom najcięższe ciosy.

Toczony jednocześnie konflikt z Niemcami był dużo mniej zaciekły. Świadczy o tym choćby to, że o ile wziętych do niewoli bolszewików ludzie majora Szendzielarza z miejsca rozstrzeliwali, o tyle jeńców niemieckich na ogół puszczali wolno.

Trudno więc się dziwić, że również „Łupaszce" Niemcy zaproponowali współpracę. Ich posłańcem był sołtys jednej z miejscowych wiosek. W przekazanym przez niego liście znalazła się oferta spotkania opatrzona impertynenckim żądaniem. Otóż „Łupaszka" miał przysłać Niemcom dziesięciu swoich żołnierzy w charakterze zakładników, żeby zagwarantować bezpieczeństwo Niemców.

Pomysł ten został oczywiście z oburzeniem odrzucony. „Jeśli Niemcy chcą rozmawiać, muszą nam zaufać, tak jak my im, zgadzając się na rozmowy” – stwierdził major. Druga strona się nie upierała i 25 stycznia 1944 roku doszło do pierwszej polsko-niemieckiej konferencji. Odbyła się ona w idyllicznej kresowej scenerii wsi Swejginie. Za oknem drewnianej chłopskiej chaty dokazywały na śniegu dwie oswojone sarenki. Polacy i Niemcy, zanim przeszli do rozmowy o konkretach, gawędzili o myślistwie.

Stronę polską reprezentował major Szendzielarz oraz sam dowódca Okręgu Wileńskiego AK, podpułkownik Aleksander Krzyżanowski „Wilk”. Stronę niemiecką – pułkownik Zydler von Rosenfeld, który na wstępie przedstawił pełnomocnictwa podpisane przez samego feldmarszałka Ernsta von Buscha, dowódcę Grupy Armii „Środek”. Złożona przez Rosenfelda oferta była identyczna jak propozycja złożona wcześniej „Górze”, „Lechowi” czy „Ragnerowi”. A więc tajny pakt o nieagresji.

> Na pewno strona polska – mówił von Rosenfeld – nie odważyłaby się oficjalnie przyjąć od nas broni i zaopatrzenia. Przemyśleliśmy to. Transport z bronią, amunicją, umundurowaniem i wyżywieniem dotrze w pobliże wyznaczonej przez was stacji kolejowej. Tam nasi wartownicy zostaną przez was rozbrojeni i puszczeni wolno. O czasie akcji i przybycia transportów powiadomimy się drogą poufną, przez gońców.

Gdy Krzyżanowski zauważył, że Niemcy i Polacy są w stanie wojny, niemiecki oficer stwierdził:

> Z Rosjanami też byliście w stanie wojny. Pomimo to polscy dowódcy zgodzili się na spotkanie z nimi. Myślę, że my Niemcy mamy takie samo prawo zaproponować wam współpracę. Jeśli wygra koncepcja tych sił, które związały się z Sowietami, dowództwo polskich oddziałów leśnych znajdzie się na straconej pozycji. Jeśli zwycięstwo stanie się waszym udziałem, my wspólnie z wami podyktujemy drugiej stronie warunki.

Słowa te zrobiły na Polakach duże wrażenie. Niemiecki oficer bez wątpienia trafił w czułą nutę. Wśród oficerów AK na Ziemiach Wschodnich fatalny kierunek, w jakim podążała Polska pod rządami stronnictwa proalianckiego, był coraz bardziej widoczny. „Wilk” na zakończenie powiedział, że propozycję rozważy, ale odpowiedź da następnego dnia. Niemcy, a było ich trzech, zostali więc na noc. Przy kolacji napito się koniaku, który Niemcy przywieźli w podręcznych walizeczkach.

Kolejna runda rozmów odbyła się nazajutrz, po wspólnym śniadaniu. Zaskoczonym Niemcom dowódca wileńskiej AK powiedział, że na układ może iść, ale pod warunkiem że Niemcy… uznają Polskę w granicach z 1939 roku, zwolnią polskich jeńców i więźniów z obozów koncentracyjnych, zapłacą Rzeczypospolitej odszkodowanie za straty wojenne

i dadzą broń dla 30 tysięcy żołnierzy. W tym czołgi i artylerię.

Niemcy powiedzieli, że oczywiście na tak poważną ofertę sami nie mogą odpowiedzieć i bezzwłocznie poinformują o niej Berlin. Ustalono, że sygnałem do rozpoczęcia kolejnych rozmów będzie specjalna, zakamuflowana wiadomość opublikowana przez Niemców na ostatniej stronie wydawanego w Wilnie „Gońca Codziennego".

Warunki „Wilka" miały oczywiście charakter propagandowy – pisał historyk profesor Krzysztof Tarka – i z oczywistych względów władze niemieckie przyjąć ich nie mogły. Podpułkownik Krzyżanowski nie miał żadnych pełnomocnictw do prowadzenia rokowań, a charakter jego żądań daleko wykraczał poza szczebel rozmów prowadzonych przez lokalnego komendanta AK. Z drugiej strony Niemcy odczytali odpowiedź jako sygnał, że komendant Okręgu Wileńskiego nie sprzeciwia się podtrzymywaniu kontaktów.

I rzeczywiście kontakty były podtrzymywane. Rozmowy kontynuowano w Wilnie. 10 lutego obie strony spotkały się w wileńskiej restauracji Valgis na rogu Mickiewicza i Śniadeckiego. Wraz z „Wilkiem" wziął w nich udział dowódca 3. Wileńskiej Brygady AK, porucznik Gracjan Fróg „Szczerbiec", który już od pewnego czasu utrzymywał kontakty z Niemcami, i zastępca wileńskiego delegata rządu, Jerzy Dobrzański.

Miejsce zostało wybrane i przygotowane przez Polaków. Był to odcięty od reszty sali obszerny gabinet na piętrze. Na stołach ustawiono zakąski i butelki litewskiej wódki Detkine. Przed wejściem, przy stolikach, umieszczono zaś uzbrojoną po zęby obstawę. Na wszelki wypadek w sąsiednim budynku mleczarni ukryte zostały odwody, a na ulicy stała ciężarówka. Jak widać, „Wilk", czemu zresztą trudno się dziwić, Niemcom nie ufał.

Po godzinie 20.00 zjawił się „Szczerbiec" w towarzystwie czterech panów w cywilnych wierzchnich ubraniach – wspominał Dobrzański. – Po zdjęciu płaszczy okazało się, że są w niemieckich mundurach polowych. Po jednej stronie stołu ustawiliśmy się my, Polacy, a po drugiej stronie stanęli Niemcy. Najstarszy rangą ze strony niemieckiej (jak się później okazało major Julius Christiansen) oświadczył:

– Wchodząc tutaj zauważyłem w sąsiedniej sali ubezpieczenie wystawione przez panów. Jako wojskowy pochwalam przezorność panów. Pragnę jednak zapewnić panów uroczystym oficerskim słowem honoru, że w związku z naszymi rozmowami, jaki by nie był ich wynik, obecnie ani w przyszłości nie będą wobec Panów stosowane żadne represje. Jako dowód, że mamy pokojowe zamiary, widzą Panowie, że na to spotkanie przybyliśmy nawet bez broni bocznej.

W odpowiedzi na to „Wilk" oświadczył, że dla niego jako oficera słowo honoru oficerskie, dane nawet przez przeciwnika jest święte. Uważa więc je za dostateczną gwarancję bezpieczeństwa i wobec tego ochronę zdejmie. Po tych słowach wstał, wyszedł do sąsiedniej sali i rozkazał zwolnić obstawę.

Już na samym początku rozmów pojawiła się kontrowersja, „Wilk" nie był bowiem zachwycony, że Christiansen przyprowadził ze sobą oficera SS. Ten jednak szybko wyjaśnił, że służy w Waffen-SS, formacji frontowej, która nie pełni żadnych funkcji policyjnych. Niemcy przedstawili następnie projekt porozumienia, który zawierał się w dziesięciu punktach. Oto

najważniejsze z nich:

• Strona polska zobowiązuje się do niezaczepiania armii niemieckiej, a także administracji niemieckiej i litewskiej.

• Celem układu jest wspólne oczyszczenie terenu z band sowieckich.

• Oddziały polskie otrzymają od Wehrmachtu pełne wyekwipowanie bojowe, broń zwykłą i maszynową, amunicję uzupełnianą co miesiąc, mapy, busole, lornetki, całkowite utrzymanie według norm armii niemieckiej, a także zaopatrzenie w leki i opatrunki oraz wyposażenie szpitali polowych.

• W likwidowaniu mniejszych band sowieckich oddziały polskie będą miały pozostawioną wolną rękę. Większe operacje przeciwko zgrupowaniom partyzantki sowieckiej będą opracowywane przez sztab Wehrmachtu i przeprowadzone według tego planu pod dowództwem Wehrmachtu.

• W operacjach tych Wehrmacht zapewni oddziałom polskim wsparcie przez broń pancerną i ciężką artylerię. W lekkie działa oddziały polskie będą zaopatrzone na czas przeprowadzania akcji.

Jak więc widać, nawet pragmatyczny major Christiansen z Abwehry nie potrafił się do końca wyzbyć pewnej przykrej niemieckiej przypadłości – buty. Chodzi oczywiście o punkt przedostatni. Pomysł, żeby Polacy zimą 1944 roku – gdy III Rzesza waliła się w gruzy – podporządkowali się Niemcom i walczyli pod niemiecką komendą, był, delikatnie mówiąc, mało realistyczny. Czym innym był cichy pakt o nieagresji i dyskretne dozbrojenie, czym innym zaś otwarte współdziałanie w boju.

W niemieckiej propozycji Polaków zraził również brak obietnicy wstrzymania represji wobec polskich cywilów i zwolnienia więźniów. Nadzieja na uzyskanie tych ulg była zaś jednym z głównych powodów, dla których dowódca Okręgu Wileńskiego AK w ogóle usiadł z Niemcami do stołu.

W odpowiedzi na wystąpienie majora Christiansena „Wilk” wypomniał więc Niemcom potworne zbrodnie, których dopuścili się w Polsce. Podkreślił, że brutalny terror wciąż trwa i jakąkolwiek umowę polsko-niemiecką powinna poprzedzić gruntowna rewizja tego stanu rzeczy. „Dopóki panują takie stosunki” – stwierdził – „Polacy swej postawy zmienić nie mogą”. Zastrzegł jednak, że na tak poważną ofertę, jaką przedstawili mu Niemcy, nie może dać odpowiedzi od razu. Poprosił jeszcze o dwa dni czasu.

Major Christiansen przystał na to i obie strony umówiły się na kolejne rozmowy – tym razem gospodarzem miała być jednak strona niemiecka. Na miejsce spotkania wyznaczono użytkowaną przez Abwehrę willę przy ulicy Dąbrowskiego. Tymczasem, ponieważ zbliżała się godzina policyjna, Polacy i Niemcy zjedli razem przygotowaną wcześniej zakąskę, wypili po kieliszku wódki i rozeszli się na kwatery.

Rozdział 38

Major Christiansen

Gdy w 1939 roku rozpoczęła się niemiecka okupacja, Polacy przecierali oczy ze zdumienia. Spodziewali się przybycia kulturalnych ludzi Zachodu, przedstawicieli cywilizacji europejskiej, a zamiast nich do Polski zjechała jakaś groteskowa banda rozwrzeszczanych pijaków, sadystów i degeneratów. Na szczęście wśród tego towarzystwa byli i inni ludzie. Nieliczni Niemcy, którzy wstydzili się postępowania swoich rodaków i próbowali doprowadzić do polsko-niemieckiego porozumienia.

Zdaniem piszącego te słowa osoby te ratowały honor niemieckiego narodu. A jedną z nich był bez wątpienia major Abwehry Julius Christiansen. Postać, niestety, zarówno w Polsce, jak i w Niemczech zupełnie zapomniana.

„Robił on bardzo dodatnie wrażenie" – pisał w swojej relacji z wileńskich rozmów Dobrzański. – „Nie miał w postawie i zachowaniu niczego z buty pruskiego oficera. Wyglądał raczej na intelektualistę w mundurze. Zachowywał się cały czas bardzo kulturalnie i taktownie".

Rzeczywiście, Christiansen robił – i robi do dziś, gdy czyta się pozostawione przez niego listy i dokumenty – bardzo dodatnie wrażenie. Pochodził ze starej szlacheckiej rodziny z wyspy Sylt na Morzu Północnym, która miała nawet polską odnogę. Był konserwatystą, ideologii narodowosocjalistycznej i samego Führera nie trawił. Metodami Gestapo się brzydził.

1 listopada 1942 roku trafił do Wilna, gdzie stanął na czele Abwehrkommando 304. Polaków lubił i wkrótce doszedł do wniosku, że ich interesy są zbieżne z niemieckimi. Kontakt z AK nawiązał na przełomie 1943 i 1944 roku. Efektem była wyprawa do obozowiska jednego z polskich oddziałów, do której doszło 5 lutego 1944 roku.

Było to jedno z najciekawszych moich wojennych przeżyć – pisał Christiansen w liście, do którego dotarł niemiecki historyk Michael Foedrowitz. – Jako parlamentariusz, na oficerskie słowo honoru, że nic mi się nie stanie, byłem we wrogim obozie. Przyjazne powitanie i wybitni oficerowie jako partnerzy rokowań. Język niemiecki, francuski, polski, rosyjski. Wszystko chaotycznie. Sukces.

Odbył się potem wieczór koleżeński, co było dla mnie zaszczytem, z uściskami i pocałunkami. Na końcu zostałem odprowadzony pod eskortą. Dwugodzinna jazda konna poprzez zaśnieżony krajobraz, sam z około 20 uzbrojonymi towarzyszącymi mi jeźdźcami przy wspaniałym świetle księżyca. Następnie pozostałem sam. Jeszcze kilka kilometrów pieszo

i byłem znów przy swoim samochodzie. Brudny i wyczerpany wróciłem rankiem na miejsce postoju. Odniosłem sukces i być może zapoczątkuje on istotne zmiany.

Aby było jeszcze bardziej romantycznie, Niemcy – Christiansen nie był bowiem sam – zostali przywiezieni do partyzanckiego obozu z czarnymi opaskami na oczach. Odwiedzili 3. Brygadę AK dowodzoną przez wspomnianego już porucznika Gracjana Fróga „Szczerbca". Oficer ów podjął rozmowy z Niemcami poprzez operującego w terenie poczciwego Austriaka z Tyrolu, kapitana Arnolda-Hansa Eiberga. W ich efekcie Niemcy dozbroili „Szczerbca".

Nie istniały pisemne umowy o współpracy – pisał syn majora Christiansena, Hinrich Boy. – Wszystko było załatwiane jedynie za pomocą „przybicia ręki" i na słowo honoru. Odbywało się to na przykład tak: strona polska informowała o zlokalizowaniu czerwonego oddziału partyzanckiego i braku wystarczającej broni i amunicji, żeby go pokonać. Proszono zatem o potrzebną liczbę karabinów maszynowych i granatników, które Niemcy dostarczali w umówionym miejscu.

Nie jest tajemnicą, że „Szczerbiec" był wielkim zwolennikiem brania broni od Niemców.

Dla niego, jako zawodowego wojskowego – pisał Dobrzański – problemy polityczne schodziły na dalszy plan. Fascynowała go natomiast możliwość zdobycia uzbrojenia, amunicji i zaopatrzenia dla własnej partyzantki. Sprawa ta odgrywała dla niego pierwszorzędną rolę i przysłaniała inne względy. Stanął więc na stanowisku, że takiej okazji nie powinno się lekkomyślnie odrzucać, bo na zrzuty lotnicze broni na Wileńszczyźnie nie możemy liczyć.

Aby zrozumieć postawę „Szczerbca", trzeba jeszcze wspomnieć o jednym ważnym wydarzeniu. Otóż gdy oficer ten wraz ze swymi ludźmi udał się pewnego razu na wypad, jego obóz napadli bolszewicy. Wyrżnęli wszystkich znajdujących się w nim ludzi: rannych, chorych, a także towarzyszących partyzantom cywilów. W tym małe dzieci. Trudno więc się dziwić, że porucznik Fróg za życiową misję postawił sobie walkę z komuną.

A motywacja drugiej strony? Wiadomo, że instrukcje do szukania kontaktu z polską partyzantką Christiansen otrzymał w Berlinie od swojego przełożonego w Abwehrze, pułkownika Joachima Rohledera. Sprawę traktował bardzo poważnie, głęboko wierzył, że lokalne porozumienie między Abwehrą a Armią Krajową na Wileńszczyźnie otworzy drogę do gruntownej zmiany polityki III Rzeszy wobec Polski i pojednania między obydwoma narodami. „Jest to chyba największa gra w moim życiu" – pisał major.

Nawiasem mówiąc, cała ta historia wymaga ostrożnego podejścia, ponieważ bolszewicy po wojnie preparowali dotyczące niej dokumenty. Chodzi między innymi o trzy raporty oficera SD z Kowna Wilhelma Fuchsa i „zeznanie" złożone przez Christiansena przed śledczymi z NKWD. W tych czterech dokumentach prawda miesza się z ewidentnymi kłamstwami mającymi na celu skompromitowanie AK.

Wynika z nich bowiem, że polskie podziemie na Wileńszczyźnie całkowicie podporządkowało się Wehrmachtowi, stając się de facto grupą najemników. A „Szczerbiec" wznosił wódką toasty za „zwycięstwo armii niemieckiej". „Nasze żądania minimalne postawione Polakom – miał napisać Fuchs – odnośnie współpracy w zakresie zwalczania band zostały bez trudności przyjęte. Polacy zaproponowali wystawienie osiemnastu batalionów piechoty, dwunastu szwadronów kawalerii i nie stawili sprzeciwu, aby walczyć w charakterze korpusu ochotniczego pod dowództwem niemieckim".

Czy informacje te zostały wyssane z brudnego palucha sowieckiego fałszerza, czy też może niemieckiego oficera poniosła fantazja, nie wiadomo. Nie uda się tego rozstrzygnąć, dopóki nie znajdą się niemieckie oryginały depesz. Sprawa jednak jest bardzo podejrzana. „Źródła" te sowieckie władze przekazały bowiem w latach pięćdziesiątych towarzyszowi Edwardowi Ochabowi, aby udowodnić, że kresowe polskie podziemie składało się z samych faszystów, których po wojnie słusznie wymordowano. Dokumenty te do dzisiaj co pewien czas wypływają, co wywołuje wokół całej sprawy spory zamęt.

Przejdźmy jednak do kolejnego spotkania, które odbyło się 12 lutego w willi Abwehry. Zaczęło się od wydanej na cześć Polaków uroczystej kolacji przygotowanej przez niemieckie „pestki". Główne danie stanowiła pieczeń, a potem podano czarną kawę i francuski armaniak. Dopiero po takim „przygotowaniu artyleryjskim" zabrano się do konkretnych negocjacji. Na wstępie „Wilk" stwierdził, że propozycje przedstawione przez Niemców podczas poprzedniej konferencji są nie do przyjęcia. Głównie dlatego, że nie chcą oni zdjąć „ciężarów, które gnębią polską ludność".

Niemcy, słysząc to, poszli na ustępstwa. Zaproponowali, że spisy ludności wywożonej na roboty do Rzeszy mogą przechodzić przez Armię Krajową, która będzie miała prawo wykreślać z niej ludzi, których chce chronić. A dopisywać tych, których chce się pozbyć. Przepędzone z Wilna i Wileńszczyzny zostałyby również gnębiące Polaków litewska administracja i policja, które zastąpiłyby administracja i policja utworzona przez Polaków. Jak widać, sprawy przybrały poważny obrót.

Polscy uczestnicy podkreślali później, że rozmowy toczyły się w „atmosferze bardzo kulturalnej i pełnej kurtuazji". Gdy „Wilk" – oszołomiony otwierającymi się przed nim możliwościami – przyznał, że nie ma wystarczających pełnomocnictw, żeby zawrzeć tak szerokie porozumienie, Christiansen zaproponował, że odda polskiemu podpułkownikowi do dyspozycji samolot. Była to należąca do Abwehry maszyna Fieseler Fi 156 *Storch*, którą „Wilk" miałby się udać do Warszawy na konsultacje z „Borem".

Podpułkownik odmówił, zapewniając, że AK ma własny system przerzutu ludzi i poradzi

sobie bez niemieckiej pomocy. Ostateczną odpowiedź obiecał dać w ciągu dwóch tygodni. Na odchodnym zaproponował, żeby – do zakończenia pertraktacji – obie strony powstrzymały się od akcji zaczepnych przeciwko sobie. I stosowny rozkaz z miejsca wydał porucznikowi „Szczerbcowi". Zawieszenie broni de facto weszło więc w życie.

Niestety „Wilk" popełnił błąd i naprawdę postanowił wybrać się do Warszawy, żeby przedstawić sprawę dowództwu podziemia. Efekt był nietrudny do przewidzenia. Generał Bór-Komorowski przeraził się gniewu „sojuszników" i nakazał negocjacje z Abwehrą zerwać. Natychmiast zadepeszował też do Londynu, aby się tym pochwalić:

> Nacisk Anglików na nasz rząd w zatargu polsko-rosyjskim jest skwapliwie wykorzystywany przez Niemców. Starają się oni wszelkimi drogami dotrzeć do d-ców terenowych, a nawet do mnie z konkretnymi propozycjami. Proponują oni współpracę przeciwko Sowietom względnie partyzantom sowieckim, obiecując w zamian amnestię dla naszych członków, uzbrojenie i wyekwipowanie. Bezapelacyjnie odrzucam i nie dopuszczam do żadnych rozmów.

Niestety „Wilk" po powrocie do Wilna zastosował się do rozkazu „Bora". Napisaną po niemiecku kurtuazyjną odpowiedź odmowną przesłał na skrzynkę poczty polowej Christiansena. A gdy bolszewicy podeszli pod Wilno, wydał tragiczne rozkazy przystąpienia do „Burzy". Polskie wojsko zostało ujawnione przed Sowietami i razem z Armią Czerwoną zdobywało Wilno. Wariactwo to – które przeszło do historii jako operacja „Ostra Brama" – zakończyło się oczywiście zagładą wileńskiej Armii Krajowej. Nasi dzielni żołnierze powędrowali prosto do sowieckich obozów.

Dzisiaj jasne jest, że zerwanie rozmów było błędem. Jak wynika z niemieckich dokumentów znajdujących się w litewskich archiwach – dotarł do nich historyk Jarosław Wołkonowski – Niemcy rzeczywiście gotowi byli iść na Wileńszczyźnie na daleko idące ustępstwa. Chcieli dać AK nie tylko karabiny maszynowe, ale również działa przeciwpancerne i miotacze min. A przede wszystkim zwolnić polskich więźniów i zawiesić stosowanie wobec Polaków kary śmierci. Sprawa była poważna, w Berlinie monitorował ją sam Heinrich Himmler.

Całe szczęście, że dowódcy leśnych oddziałów mieli więcej oleju w głowie niż ich dowódcy i po cichu brali broń od Niemców. Jak wcześniej na Nowogródczyźnie, przyniosło to znakomite efekty.

„W rzeczywistości do ugody niewątpliwie musiało dojść" – pisał na łamach „Zeszytów Historycznych" weteran Zdzisław A. Siemaszko – „gdyż obie strony zaspokoiły swoje główne cele. Polacy otrzymali broń i oczyścili znaczne połacie kraju z sowieckich partyzantów. Trzy polskie oddziały współpracowały z Niemcami na Wileńszczyźnie".

Potwierdza to historyk Jerzy Turonek, który w swojej *Białorusi pod okupacją niemiecką*

pisał:

> Trudno było wzgardzić potrzebną bronią, która nieomal sama wpadała w ręce. W ten sposób układ formalny zastąpiony został kamuflażem. Istotnie wiosną 1944 r. nie atakowane przez Niemców polskie oddziały dokonały szeregu napadów na ich posterunki i magazyny, trudno jednak o jednoznaczną ocenę, w jakiej mierze były to działania autentyczne, a w jakiej inspirowane przez Abwehrę. Na tę drugą okoliczność wskazuje fakt, że oprócz zdobywanej w ten sposób broni, pewne jej ilości były przez Niemców w różny sposób podrzucane do rejonów działania oddziałów akowskich. W ten sposób Niemcy uzupełniali stan uzbrojenia oddziałów nowogródzkich, a w okręgu wileńskim por. Gracjana Fróga „Szczerbca" i por. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki".

Józef Mackiewicz w swojej epickiej epopei *Nie trzeba głośno mówić* umieścił oficera 3. Wileńskiej Brygady AK, który w rozmowie z głównym bohaterem książki tak przedstawiał sytuację:

> Na razie jest układ. Niemcy dają nam broń po cichu, nazywa się, że my ją zdobywamy, i nie ruszają. W zamian chcą, żebyśmy przepędzili partyzantkę sowiecką. Jak spotka się nasz oddział z żandarmerią na drodze, to jedni patrzą w jedną stronę, drudzy w drugą i mijają się jak te lale. Doszło już do tego, że nasz komendant, w pełnym mundurze, trzy gwiazdki na rogatywce, mauser u pasa, żołnierz polski w polówce na koźle, zajeżdża w biały dzień przed komendanturę niemiecką w mieście. Wychodzi komendant niemiecki, salutują, nasz siada, odjeżdża do lasu. Ot, jak się robi.
>
> Szpitale nasze w lesie pobudowane i czerwony krzyż nad barakiem. Broń jest najważniejsza. Broń jest wszystko. Broń jest ponad wszystko. W wojnie nie ma rzeczy ważniejszej od broni. Tego w Warszawie, zdaje się, nie rozumieją. Stoją z zadartą głową, czekając na zrzuty angielskie. My się komunistów nie boimy. Ale do tego potrzeba nie patyczkować się, nie bawić w zasady. Tylko stosować te same bezwzględne metody co oni i inni, dla jednego celu: dla dobra Rzeczypospolitej. Niemcy dają broń, brać. Dają rozkazy policji i SS nie strzelać pierwsi do partyzantów polskich, to korzystać z tego.

Rzeczywiście, trudno nie zauważyć, że wojna polsko-niemiecka na terenie Wilna i okolic była mniej „totalna" niż w Generalnym Gubernatorstwie. Jak zauważył cytowany wyżej Siemaszko, mimo rozpracowania przez niemieckie tajne służby komendy Okręgu Wileńskiego AK niemal nie została ona dotknięta aresztowaniami. Polacy nie palili się zaś do likwidowania znanych niemieckich konfidentów, nie mówiąc o niemieckich funkcjonariuszach. Siemaszko nazwał to „wzajemnym immunitetem".

> Antyniemiecka propaganda wpajana w Polaków w ciągu kilkudziesięciu lat przez Sowiety, PRL oraz, trzeba to przyznać, przez Armię Krajową i jej duchowych sukcesorów usadowiła się w polskiej mentalności na dobre i po dziś dzień jakiekolwiek kontakty z Niemcami podczas wojny są traktowane jako karygodne – pisał Siemaszko. – A jednocześnie takich samych kontaktów z Sowietami nie tylko się nie potępia, lecz są one nawet przedstawiane jako zasługi. Zwycięstwo Niemiec na wschodnim froncie leżało w interesie Polski i już najwyższy czas, żeby przestać uważać za czarne owce tych, którzy starali się do tego zwycięstwa przyłożyć rękę.

Siemaszko przypomniał, że wszystkie działania wileńskiej konspiracji zgodne z wytycznymi

Komendy Głównej AK zakończyły się katastrofą. Oczywiście na czele z samobójstwem „Burzy". „Wobec tych klęsk walka z sowiecką partyzantką we współpracy z Niemcami była właściwie jedyną udaną operacją wileńskiej Armii Krajowej" – podkreślił Siemaszko. Trudno się z nim nie zgodzić.

Na koniec warto napisać, jak potoczyły się losy bohaterów tego rozdziału. Otóż wszyscy zostali zgładzeni przez bolszewików. Wielcy polscy bohaterowie – major Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka" i porucznik Gracjan Fróg „Szczerbiec" – zostali po wojnie zamordowani metodą katyńską w więzieniu przy Rakowieckiej. Niemiecki bohater major Julius Christiansen, który do niewoli dostał się 9 maja 1945 roku, zgnił zaś w sowieckich łagrach.

Paradoksem historii jest to, że ten sam los spotkał podpułkownika Aleksandra Krzyżanowskiego „Wilka", który w 1951 roku zmarł w komunistycznym więzieniu. Wypełnianie prosowieckich rozkazów Warszawy i pomaganie Armii Czerwonej w zdobyciu Wilna niewiele mu pomogło. Dla Sowietów był bowiem takim samym „wrogiem ludu" jak major „Łupaszka". Tyle że głupszym.

Rozdział 39

Wilno dla Polaków

Była stolica Wielkiego Księstwa Litewskiego to miasto o długiej tradycji bojów z Rosją, a później Związkiem Sowieckim. Przez wiele wieków było szańcem chroniącym Rzeczpospolitą i Europę przed zaborczymi zakusami Moskwy. Również podczas II wojny światowej – mimo że polski rząd postawił na ugodę z bolszewikami – uczucia wilniuków szły w zupełnie innym kierunku. Oni dobrze wiedzieli, jakie „wyzwolenie" przyniesie im Armia Czerwona.

Z nastrojów tych doskonale zdawali sobie sprawę Niemcy. I to nie tylko oficerowie Abwehry i SD, którzy w lasach i wileńskich knajpach prowadzili pertraktacje z dowódcami miejscowych oddziałów Armii Krajowej. W 1944 roku Polaków do współpracy próbowała pozyskać również administracja cywilna. Główną rolę w tej grze odegrał niemiecki komisarz Wileńszczyzny Horst Wulff.

Już w marcu ściągnął on z Warszawy Władysława Studnickiego, czołowego polskiego germanofila, a zarazem człowieka cieszącego się w Wilnie sporą popularnością. Studnicki rozmawiał tu z Niemcami o powołaniu do życia Polskiego Komitetu Opiekuńczego, o kompetencjach większych niż RGO w Generalnym Gubernatorstwie. Miał on stanowić de facto lokalny ośrodek polskiej władzy i reprezentować społeczeństwo Wilna w kontaktach z Niemcami.

Barwny, choć mocno podkoloryzowany, opis akcji Studnickiego w Wilnie dał w swoich *Memuarach pacyfisty* Stanisław Dobrowolski. Nawiasem mówiąc, człowiek chyba nie do końca normalny. Otóż według niego sędziwy polski germanofil opowiedział mu ze szczegółami o propozycji złożonej przez Niemców.

> Wiemy, że Pan nie chce być kolaborantem z Trzecią Rzeszą – miał relacjonować Studnicki słowa Niemców. – Ale wiemy też, że jest pan nieprzejednanym antykomunistą. I pan, i my wiemy, że jak raz bolszewicki gnój zaleje nas i dojdzie do serca Europy, to go już nigdy nie usuniemy. Proponujemy współpracę nie z obecną władzą, a nazwijmy to z IV Rzeszą. Zobaczy pan, znów będziemy mieć wspólne cele i tak już myśli o tym wielu Polaków. Proponujemy wyjazd z żelaznym listem do Wilna i Lwowa. Damy kontakty na polskie organizacje wojskowe i patriotyczne. Zgodziłem się. W lesie pod Wilnem przyglądałem się defiladzie Wojska Polskiego z biało-czerwonym sztandarem na wysokim maszcie na polanie w asyście wojskowych obserwatorów z Wehrmachtu i Waffen-SS.

W rozmowach z Niemcami Studnicki domagał się zwolnienia więźniów oraz przywrócenia w mieście polskich nazw ulic i polskiego szkolnictwa. I rzeczywiście udało mu się uzyskać pewne ustępstwa. Niemcy zgodzili się powołać polski komitet, polskie gimnazjum w Wilnie i sieć szkół na prowincji. A także – o co Studnicki zabiegał w specjalnym memoriale – uwolnić biskupa Romualda Jałbrzykowskiego i innych katolickich duchownych więzionych przez Gestapo.

Inicjatywę sędziwego polskiego polityka poparła część wileńskich Polaków, widząc w niej szansę na ulżenie swemu ciężkiemu losowi. Z nadzieją przywitano zapowiedź złagodzenia terroru i rozpoczęcia szerokiej akcji charytatywnej dla najbardziej potrzebujących. Studnicki był przez Niemców traktowany ze wszelkimi należnymi mu honorami, co wywołało plotki, że zostanie mianowany burmistrzem.

Sprawa była na dobrej drodze, mimo że kij w szprychy próbowało Studnickiemu wsadzić tradycyjnie antypolskie Gestapo i tradycyjnie nieodpowiedzialne polskie podziemie. Wileński Konwent Stronnictw Politycznych na zebraniu 22 maja potępił wszelkie rozmowy i porozumienia z Niemcami, nawet gdyby miały się one ograniczać do działalności charytatywnej wzorowanej na przedsięwzięciach Rady Głównej Opiekuńczej. Tak, pięknych mieliśmy w konspiracji „patriotów”.

Niestety opór Niemców na froncie wschodnim słabł i bolszewicy zaczęli niebezpiecznie zbliżać się do miasta. W tej sytuacji plany Studnickiego szybko stały się nieaktualne. Niemcy szykowali się do obrony, a podziemie do akcji „Burza”. Na niewiele zdały się spotkania Władysława Studnickiego z przedstawicielami Armii Krajowej, podczas których Studnicki zaklinał ich, aby nie robili głupstw i nie ujawniali się przed Armią Czerwoną.

To, że Polacy mogliby pomagać Sowietom w zdobywaniu Wilna, nie mieściło się w głowie również Niemcom. Zakładali bowiem, że Polacy myślą logicznie i to w nadchodzącym ze wschodu nowym okupancie, a nie chylącej się ku upadkowi III Rzeszy, widzą wroga numer jeden. Dlatego właśnie, gdy wywiad zakomunikował dowódcy niemieckiego garnizonu w Wilnie, generałowi Gerhardowi Poelowi, że pod miastem koncentrują się polskie jednostki partyzanckie, zinterpretował to na opak.

Otóż uznał on, że Polacy szykują się do obrony swojego ukochanego Wilna przed Armią Czerwoną. A ponieważ wiedział o lokalnych porozumieniach między Abwehrą a oddziałami AK, wpadł na pomysł… żeby Polacy i Niemcy bronili Wilna razem. Uzyskał wsparcie SS-Untersturmführera Ericha Bibla, oficera, który kilka miesięcy wcześniej u boku majora Christiansena brał udział w rozmowach z „Wilkiem”.

3 lipca 1944 roku na odprawie, podczas której omawiano plan obrony Wilna, Bibel

oświadczył, że w lasach pod miastem zebrało się 18 tysięcy uzbrojonych po zęby Polaków. Ta potężna siła miała, według niego, być bardzo pomocna podczas nadchodzącej bitwy z Sowietami. Zasugerował nawet, żeby obsadzić nią główną, wschodnią linię obrony. Słowa te wywołały wściekłość znanego polakożercy, komisarza Wilna Hansa Hingsta.

> Bibel zameldował, że rozmawiał z wodzem polskiej brygady, pułkownikiem „Wilkiem" nie jak Niemiec z Polakiem, lecz jak żołnierz z żołnierzem – stwierdził Hingst w donosie, jaki napisał do ministra Alfreda Rosenberga. – Określiłem jako absurd proponować niemieckim żołnierzom przyjęcie obok siebie takich towarzyszy broni. Wódz polskiej brygady za pomocą swoich tajnych nadajników radiowych natychmiast otrzyma instrukcje od swego emigracyjnego rządu londyńskiego.
>
> Ten rozkaz z Londynu może brzmieć tylko tak: z Sowietami przeciwko Niemcom. Jak długo znajdują się oni poza rogatkami miasta, nie przedstawiają żadnego niebezpieczeństwa. W mieście natychmiast zawładnęliby jednak urządzeniami o życiowym znaczeniu i zmietliby niemiecką obronę. Do walki przeciwko Sowietom Polacy nie są zdolni. W decydującym momencie zlikwidowaliby swoich antysowiecko nastawionych oficerów i poszliby do walki pod przywództwem bolszewików.

Argumenty te nie przekonały generała Poela, który przychylił się do zdania Bibla. Wówczas Hingst poprosił go o rozmowę w cztery oczy. Podczas niej dalej przekonywał generała, że próba zrealizowania tego pomysłu byłaby fatalnym błędem. Że w jej wyniku Führer straci miasto, a generał Poel znacznie więcej. Jak więc widać, komisarz Hingst posunął się do gróźb i dziwić musi, że generał nie wyciągnął pistoletu i z miejsca nie położył bezczelnego narodowego socjalisty trupem.

Dla naszej opowieści najważniejsze jednak jest to, że Poel nie zrezygnował z pomysłu. Działając zgodnie z jego instrukcjami, Bibel jeszcze tego samego dnia posłał kilku gestapowców po znanego w mieście księdza Kretowicza. Po przewiezieniu kapłana do siedziby SD Niemcy poinformowali go, że mają dla Polaków niezwykle korzystną propozycję. Szukają zatem kontaktu z polskim podziemiem i proszą księdza o pośrednictwo.

Jeżeli strona polska jest zainteresowana wysłuchaniem oferty – powiedzieli Niemcy – proszona jest o przysłanie parlamentariuszy do komendy niemieckiej w pałacyku przy ulicy Kościuszki 14, vis-à-vis kościoła Świętych Piotra i Pawła. Godzina spotkania: 18.00. Ksiądz natychmiast przekazał wiadomość szefowi sztabu Okręgu Wileńskiego AK, Lubosławowi Krzeszowskiemu „Ludwikowi".

Krzeszowski postanowił, że sam wybierze się na spotkanie. Po wojnie twierdził, że stało się tak dlatego, iż w tak krótkim czasie nie mógł znaleźć nikogo bardziej odpowiedniego. Twierdzenie to wydaje się jednak bardzo wątpliwe. Tak czy inaczej, po przybyciu na miejsce „Ludwik" bez legitymowania i rewizji został zaprowadzony na piętro do obszernego, urządzonego z przepychem gabinetu. Za dużym biurkiem czekał na niego generał Poel. Obok stał podpułkownik Wehrmachtu i tłumacz.

Po wejściu „Ludwika” – pisał historyk i weteran wileńskiej AK Roman Korab-Żebryk – generał podniósł się, skłonił i wskazał głęboki fotel na wprost siebie. Nie mógł zdobyć się na sformułowanie propozycji i ruchem ręki zlecił to podpułkownikowi. On stwierdził, że Niemcy gotowi są na wielkie ustępstwa, nie wyłączając oddania polskim oddziałom partyzanckim Wilna na następujących warunkach: wzajemna nieagresja, przekazanie administracji w mieście w ręce Polaków, porozumienie wojskowe z oddziałami partyzanckimi, wypuszczenie więźniów Polaków przez Gestapo.

„Ludwik” odpowiedział, że nie może dać definitywnej odpowiedzi bez porozumienia się ze swoimi władzami. Podpułkownik powiedział wówczas, że Niemcy proszą o odpowiedź do godziny 8 rano 7 lipca. Do tego czasu nie będą podejmować żadnej akcji przeciwko polskim oddziałom i proponują zawieszenie broni. Dodał, że gdyby „Ludwika” zatrzymały patrole niemieckie, wystarczy jeśli zadzwoni do referatu bezpieczeństwa i powoła się na jego nazwisko.

Polacy odpowiedzi na tę propozycję nie udzielili. Pod miasto podjeżdżały już bowiem sowieckie czołówki pancerne, słychać było dochodzący ze wschodu huk dział Armii Czerwonej. Polacy szykowali się zaś do uderzenia na Niemców.

Losy Niemców biorących udział w tej rozgrywce potoczyły się nieciekawie. Generał Gerhard Poel dostał się wkrótce do sowieckiej niewoli; ciągany po obozach został zamęczony przez bolszewików w Krasnogorsku. Komisarza Horsta Wulffa z kolei rozstrzelali esesmani. Była to kara za lekkomyślne dostarczenie broni Polakom. Broni, która podczas operacji „Ostra Brama” została użyta przeciwko Wehrmachtowi.

Lubosław Krzeszowski „Ludwik” po wkroczeniu bolszewików do Wilna – w przeciwieństwie do swoich kolegów z AK – nie był represjonowany. Przeciwnie, w styczniu 1945 roku wstąpił, w stopniu pułkownika, do ludowego Wojska Polskiego. Dożył spokojnie swoich dni w PRL, wykładając na komunistycznych akademiach wojskowych. Jak ujawnił emigracyjny historyk Zbigniew S. Siemaszko, najprawdopodobniej już podczas wojny był agentem NKWD.

Niemcy w lipcu 1944 roku swoje antysowieckie propozycje przekazali pod zdecydowanie zły adres.

Rozdział 40

Nowa Polenpolitik

Opisane w kilku poprzednich rozdziałach lokalne polsko-niemieckie pakty zawarte na Ziemiach Wschodnich nie były przypadkowe. Podobieństwo ofert składanych różnym Polakom w różnych miejscach wskazuje, że była to skoordynowana akcja, w sprawie której wydano ścisłe wytyczne. Im bliżej granic Rzeszy znajdowała się Armia Czerwona, tym Niemcy byli bardziej skłonni do porozumienia z Polakami. Nawet do najbardziej tępych umysłów betonu NSDAP musiało bowiem już dotrzeć, że polityka Rzeszy wobec wschodniego sąsiada szkodzi również jej samej.

Gdy na przełomie 1943 i 1944 roku Niemcy dowiedzieli się, że Amerykanie i Brytyjczycy przehandlowali Polskę Stalinowi w Teheranie, uznali, że nadarza się dobra okazja do przeciągnięcia Polaków na swoją stronę. Przekonania ich, że rządy niemieckie mimo wszystko są mniejszym złem od tego, co ich czeka pod butem Stalina.

W przychylnych Polsce kręgach zrodził się nawet pomysł, aby Adolf Hitler wystąpił z uroczystą odezwą do narodu polskiego, w której zaapelowałby do Polaków o puszczenie w niepamięć krzywd, których doznali przez ostatnie pięć lat, i zaprosiłby ich do wspólnej walki w obronie Europy. Führer w ostatniej chwili odmówił jednak podpisania dokumentu, przez co – jak ubolewał ambasador niemiecki w Turcji Franz von Papen – „utracił znakomity moment psychologiczny”.

Führera umacniał w oporze Joseph Goebbels, który sprzeciwiał się pomysłom pojednania z Polakami. „Byłoby największym absurdem, gdyby pod koniec wojny naród, który tę wojnę wywołał, znalazł się znowu po naszej stronie” – zapisał w dzienniku.

O tym, że w obliczu klęski Hitler jednak poważnie się wahał, świadczy to, że pozwolił wreszcie działać Frankowi. 7 lutego 1944 roku generalny gubernator przyjechał do Berlina i wystąpił z przemówieniem do korespondentów prasy zagranicznej. Za ich pośrednictwem ogłosił wówczas światu rzeczy zdumiewające. Powiedział, że Generalne Gubernatorstwo nie będzie jednak krajem niemieckim, a III Rzesza nie ma wcale zamiaru zgermanizować czy tym bardziej wytępić Polaków. Przeciwnie, widzi dla nich równorzędne miejsce w „nowej Europie”. Przemówienie to zostało zaaprobowane przez Adolfa Hitlera i mocno nagłośnione w środkach masowego przekazu Rzeszy.

Był to skutek rozmowy między Frankiem i Hitlerem, którą odbyli dzień wcześniej w Wilczym Szańcu.

> Hitler miał w pełni zaakceptować posunięcia Franka w kwestii pozyskania narodu polskiego do współpracy przeciwko bolszewizmowi – pisał historyk Eugeniusz Cezary Król – z zadowoleniem przyjął też informację o „rozłamie między tzw. narodowo-polskim ruchem oporu a komunistyczną grupą sterowaną z Moskwy". W pewnym momencie zauważył nawet, że „Polacy to bez wątpienia bardzo zdolny naród". A jeszcze w styczniu 1942 roku twierdził, że Polacy to naród leniwy, głupi i zarozumiały.

Mimo to Niemcy wciąż nie mogli się zdobyć na zaproponowanie Polakom żadnego konkretnego programu. W ślad za tymi ogólnikami poszły zaledwie drobne koncesje kulturalne. Nasilono za to antysowiecką akcję propagandową skierowaną do Polaków. Niemcy przekonywali, że śmierć generała Sikorskiego w katastrofie gibraltarskiej nie była przypadkowa. Naczelny wódz miał być „ostatnią ofiarą Katynia". Prasa III Rzeszy ze współczuciem pisała, że Polacy znajdują się „między młotem a kowadłem, opuszczeni przez Londyn, wydani na pastwę Moskwy".

Niemcy mieli oczywiście rację. To bardzo przykre dla Polaka, ale nasz wróg znacznie lepiej rozumiał tragizm położenia Polski niż kierownictwo naszego podziemia i premier Stanisław Mikołajczyk. Niemcy mówili Polakom brutalną prawdę, podczas gdy własne kierownictwo karmiło ich mrzonkami o sojusznikach, na których zawsze można liczyć, i Sowietach, z którymi można się porozumieć. Wzbudzało w nich złudne nadzieje, które w 1944 roku kosztowały nas tyle krwi.

Niestety Polacy, przyzwyczajeni do wcześniejszych kłamstw niemieckiego aparatu propagandowego, im dłużej słuchali podobnych komunikatów, tym bardziej wierzyli w bzdury kolportowane przez londyńskie radio i podziemną prasę.

Wróćmy jednak do działań podejmowanych przez Niemców na terenie Generalnego Gubernatorstwa. Nowym szefem policji i służby bezpieczeństwa został Brigadeführer SS Walter Bierkamp. Zapewnił on Franka, że obierze bardziej elastyczny kurs wobec polskiego podziemia. Będzie zwalczał z większą stanowczością ugrupowania komunistyczne, a wobec „ugrupowań nacjonalistycznych" – czyli AK i NSZ – zastosuje taryfę ulgową.

Taktykę tę popierał zresztą Heinrich Himmler. Podczas wizyty w Krakowie w listopadzie 1943 roku odbył on szereg rozmów z Hansem Frankiem, podczas których przyznał mu rację i obiecał złagodzenie terroru. Zapowiedział również, że propaganda III Rzeszy przestanie judzić przeciwko Polakom, między innymi nie będzie się już posługiwać obraźliwą dla nich zbitką… „Polacy i Żydzi".

W Generalnym Gubernatorstwie rzeczywiście dało się wreszcie odczuć złagodzenie terroru.

Jeszcze na samym początku roku 1944 policja niemiecka – w odwecie za terrorystyczne ataki komunistycznych bojówek – rozpętała ostatnią wielką akcję represyjną. Na ulicach Warszawy dokonano wówczas szeregu publicznych egzekucji. Wydaje się, że ze strony niemieckiej bezpieki był to swoisty rzut na taśmę, ostatnia próba sterroryzowania narodu polskiego.

Gdy egzekucje nie sparaliżowały podziemia, a nadzorujący represje generał SS Franz Kutschera został w lutym 1944 roku zabity przez egzekutorów AK w biały dzień na warszawskiej ulicy, stało się jasne, że strategia „pałki i szubienicy" ostatecznie upadła. Po zabiciu Kutschery rozstrzelano jeszcze trzystu warszawiaków (Himmler domagał się tysiąca, ale na skutek interwencji Rady Głównej Opiekuńczej liczba ta została zmniejszona), po czym masowe egzekucje uliczne ustały. Zmalała liczba aresztowań i innych szykan.

Nawiasem mówiąc, według niemieckiego historyka Michaela Foedrowitza, Abwehra doskonale wiedziała o planie zabicia „kata Warszawy", postanowiła jednak poświęcić Kutscherę – jak sugeruje Foedrowitz – na ołtarzu polsko-niemieckiej ugody.

Reichsführer zaczął zaś ponownie rozważać koncepcję powołania do życia polskiej dywizji SS. W tym celu planował zwolnić siedmiuset polskich oficerów z obozów jenieckich. Na polu szukania kompromisu z Polakami zaktywizowały się wówczas podległe mu tajne służby.

Informacje wskazują na to – przedstawiał ówczesną sytuację szef wywiadu Delegatury Rządu na Kraj, Tadeusz Myśliński – że Niemcy zaniepokojeni stale wzrastającym wrzeniem na ich najbliższym zapleczu frontowym skłonni są iść na politykę łagodzenia rozjątrzonej sytuacji, szukając dróg do cichego pogodzenia się z Polakami i stworzenia jakiegoś modus vivendi, możliwego do przyjęcia dla obu stron. Niemcy są zdecydowani pójść na szereg koncesji, które miałyby zapoczątkować ów łagodniejszy kurs polityczny.

Zasady powyższej taktyki zostały ustalone na odprawie z przedstawicielami urzędów gestapo w poszczególnych dystryktach, którą na początku wiosny 1944 przeprowadził Himmler w jednej z miejscowości Bawarii. Był na niej również Spilker, opowiadając się za radykalnymi zmianami w polityce władz bezpieczeństwa w GG. W ślad za tą konferencją Niemcy przystąpili do masowego nawiązywania kontaktów z przedstawicielami społeczeństwa polskiego, zapytując ich, jakie należy podjąć kroki, aby doszło do odprężenia w stosunkach polsko-niemieckich. Delegaturze jest wiadome, że podobne zabiegi były czynione wobec byłego ministra Twardowskiego, że podjęto rozmowy z Ronikierem, a na pewno doszło do daleko posuniętych kontaktów z NSZ-tem.

W dokumentach niemieckich, do których dotarł Michael Foedrowitz, zachował się z kolei ślad innej, szykowanej przez tajną policję, kombinacji.

Gestapo podjęło działania, aby w ostatniej chwili gwałtownie zmienić dotychczasowy kurs polityczny – pisał historyk. – W ekspertyzie wykonanej w warszawskiej siedzibie tej instytucji wiosną 1944 r. zaproponowano powołanie Polaka Henryka Boruckiego na stanowisko polskiego premiera wraz z oddaniem mu do dyspozycji polskiej armii w sile 50 tys. żołnierzy uzbrojonych w niemiecką broń i wyszkolonych przez niemieckich oficerów.

Pomysł ten można uznać po prostu za operetkowy. Borucki, bardzo podejrzany komendant

jeszcze bardziej podejrzanej organizacji Polska Armia Ludowa, był bowiem postacią całkowicie niepoważną. Z niedorzeczności tego planu zdawali sobie sprawę sami Niemcy, o czym najlepiej świadczy to, że nigdy nie wszedł on w fazę realizacji. Kurzył się przez wiele lat w jednej z teczek gestapowskiego archiwum, dopóki nie dotarł do niego historyk.

Mniej więcej w tym samym czasie Hans Frank rozpoczął skierowaną do Polaków zakrojoną na szeroką skalę antykomunistyczną akcję propagandową o kryptonimie „Berta". Miała się ona oprzeć na czterech głównych podstawach:

1. Tradycyjny antykomunizm narodu polskiego.
2. Zbrodnie sowieckie popełnione we wschodniej Polsce podczas okupacji w latach 1939–1941.
3. Mord oficerów w Katyniu.
4. Nielojalność zachodnich sojuszników, którzy wpychają Polskę w łapska Stalina.

W ramach „Berty" załogi polskich zakładów pracy miały składać „spontaniczne" deklaracje antybolszewickie. Polacy byli bombardowani artykułami w prasie i puszczanymi przez szczekaczki pogadankami o sowieckich okropnościach. Na terenie Generalnego Gubernatorstwa rozprowadzono 8 milionów broszur, rozrzucono 12 milionów ulotek i rozlepiono 800 tysięcy antykomunistycznych plakatów.

Odwoływano się w nich do polskiego antykomunizmu. Przypominano o sowieckich zbrodniach na Polakach oraz ostrzegano przed kołchozami i terrorem NKWD. Obszernie cytowano antybolszewickie wypowiedzi marszałka Piłsudskiego i przypominano o zwycięstwie 1920 roku, gdy Polacy odparli „azjatyckie hordy" spod bram Europy. Kopiowano i rozlepiano na ulicach ostrzegające przed nadejściem Sowietów polskie plakaty z tamtej wojny. Teraz na straży Polski stać miał jednak Wehrmacht. Frank planował nawet powołać paramilitarne oddziały Polskiej Straży Krajowej (Polnische Landwahe), które wsparłyby swoich niemieckich „towarzyszy".

Doszło również do szeregu – trzeba to przyznać – miłych uroczystości. W pobliżu Pińczowa Niemcy urządzili uroczysty pogrzeb ekshumowanych żołnierzy Wojska Polskiego poległych w kampanii 1939 roku. Na oczach czterech tysięcy Polaków oddali naszym bohaterom wszelkie honory. 28 lutego 1944 roku w Krakowie zorganizowano zaś z pompą otwarcie polskiej szkoły powszechnej. Był to widok dość osobliwy: niemieccy urzędnicy w mundurach ze swastykami na ramionach przemawiali w sali udekorowanej biało-czerwonymi chorągiewkami i portretem Piłsudskiego na ścianie.

Wiele z tych inicjatyw było dziełem nowego gubernatora dystryktu krakowskiego, Kurta von Burgsdorffa, przyzwoitego niemieckiego urzędnika znienawidzonego przez krakowską NSDAP

za „katolickie i reakcyjne” poglądy. Burgsdorff, podobnie jak Frank, fraternizował się z Polakami. Jadł obiady z robotnikami podczas „gospodarskich wizyt” w zakładach pracy, brał udział w polskich mszach.

Niemcy do współpracy próbowali wówczas wciągnąć Kościół. 3 lutego dwóch smutnych panów przyjechało do klasztoru Haute Combe w południowej Francji, w którym ukrywał się prymas Polski, kardynał August Hlond. Prymas niezbyt udany, bo w 1939 roku dał drapaka z kraju, zostawiając swe owieczki na łaskę okupantów.

Owi panowie podali się za krewnych polskiego hierarchy, ale gdy ich wpuszczono, wyciągnęli z kieszeni legitymacje Gestapo. Hlond został wywieziony do Paryża, gdzie internowano go w jednym z hoteli. Niemcy prowadzili z nim rozmowy, próbując go skłonić, żeby wydał list pasterski do narodu polskiego wzywający do walki z bolszewizmem u boku Rzeszy. W zamian zaproponowali mu powrót do Polski. Hlond odmówił. Mimo to pojawiły się plotki, że Niemcy mianują go regentem „nowej Polski”.

Negatywną odpowiedź dał Niemcom również Witos, do którego zgłosili się z kolei z prośbą, aby wystosował antykomunistyczną i proniemiecką odezwę do chłopstwa.

Jednocześnie na froncie włoskim uruchomiono akcję propagandową wobec żołnierzy II Korpusu generała Władysława Andersa. Niemcy za pomocą radiostacji „Wanda” i ulotek starali się ich przekonać, że – w obliczu zdrady Churchilla – dalsza walka u boku Anglosasów nie ma sensu.

Operacja ta miała kryptonim „Gwiazda Południa”, a prowadziła ją specjalna komórka SS „Kurt Eggers”. Nadająca z Rzymu, a później z Mediolanu „Wanda” emitowała muzykę Chopina i Paderewskiego, a także łzawe rozważania, jak dobrze byłoby wrócić do domu. Specjalny nacisk kładziono na to, że większość żołnierzy Andersa pochodziła z Ziem Wschodnich, które zostały oddane Sowietom.

Nie będę szerzej opisywał tej – skądinąd ciekawej – operacji, nie stały bowiem za nią cele polityczne. Niemcom chodziło po prostu o osłabienie armii Andersa. Stąd szermowali antysowiecką i propolską retoryką. O jednej osobie związanej z „Wandą” trudno jednak w tej książce nie wspomnieć. To malownicza postać polskiej arystokracji – hrabia Mieczysław Dunin-Wąsowicz.

Wiadomo, że w czasie okupacji utrzymywał on jakieś bliżej niesprecyzowane czarnorynkowo-antykomunistyczno-polityczne kontakty z Niemcami. Pod koniec wojny został przez nich zaś wywieziony do Włoch, gdzie miał pracować na rzecz „Wandy”. Ostatecznie napisał jedynie dla radiostacji kilka skeczów. Nie uchroniło go to jednak przed represjami, które spadły nań po upadku III Rzeszy. Dzisiaj trudno jest rozstrzygnąć, na czym dokładnie

polegała owa współpraca Wąsowicza z Niemcami, przede wszystkim z powodu jego niebywałej wręcz skłonności do fantazjowania.

O tym, jak wielkim był blagierem, może świadczyć choćby następująca historia zapamiętana przez Ignacego Krasickiego:

> Zwyczajnie chwalił mi się, że pracował jako tłumacz przysięgły przy tzw. rządzie Generalnego Gubernatorstwa. Opowiedział mi przy tym swoją wielką życiową przygodę, jaką było spotkanie… z Adolfem Hitlerem. Przedstawiała się ona następująco: miał przyjaciela, który był AK-owcem i aresztowało go Gestapo. Żona tego przyjaciela poprosiła Borkowskiego o pomoc.
>
> Zdał więc sprawę swojemu szefowi, podkreślając, że jego kolega jest absolutnie lojalny wobec Niemiec, a całe aresztowanie i zesłanie do obozu koncentracyjnego było fatalną pomyłką. Szef polecił mu opisać całą historię w piśmie do generalnego gubernatora Hansa Franka. Wkrótce wezwany do Franka otrzymał list do komendanta obozu Rudolfa Hoessa wraz z przepustką do Rzeszy. Tam Hoess po obejrzeniu listu ostentacyjnie go podarł, krzycząc, że tutaj on jest panem, i kazał mu się natychmiast wynosić pod groźbą uwięzienia.
>
> Nazajutrz po powrocie i opowiedzeniu całej historii szefowi w obecności Franka został zmuszony do opisania całej tej historii w formie listu do Hitlera, z podkreśleniem w szczególności, w jaki sposób pismo generalnego gubernatora zostało potraktowane. Po pewnym czasie nad ranem wtargnęło do jego mieszkania Gestapo i wywiozło go z Krakowa samochodem. Po długiej i uciążliwej drodze w jakimś lesie otrzymał opaskę na oczy i po przejechaniu większego odcinka znalazł się na polanie wśród zabudowań.
>
> Zaprowadzono go do budynku, gdzie oświadczono mu, że w związku z jego pismem do Führera zostanie przez niego przyjęty, i skierowano go do hali, gdzie przy stole stał Hitler patrzący w okno. Hitler, nie witając się z nim, zapytał:
>
> – Czy może pan dać słowo honoru polskiego szlachcica, że pański kolega nie działał i nie będzie działał przeciw III Rzeszy?
>
> – Tak, mój Führerze! – brzmiała odpowiedź grafa Dunin-Borkowskiego.
>
> – Może pan wyjść – odpowiedział Hitler.
>
> Kiedy wrócił do Krakowa, otrzymał wiadomość o zwolnieniu kolegi z obozu.

Działalność radiostacji „Wanda” ostatecznie przyniosła mierne efekty. Bez wątpienia jednak trafiła na podatny grunt, bo rozczarowanie zdradą Wielkiej Brytanii było wśród żołnierzy II Korpusu olbrzymie. René Massigli, ambasador Wolnej Francji w Londynie, zapamiętał rozmowę z jednym z oficerów Andersa, podczas której Polak przypomniał słowa Churchilla, że sprzymierzyłby się z diabłem, gdyby wymagał tego interes ojczyzny. „Gdybym wiedział, jaki obrót wezmą sprawy – powiedział oficer II Korpusu – byłbym przeszedł na stronę Niemców przeciwko Rosjanom”. W swojej opinii nie był zapewne odosobniony.

Jednocześnie kanałami dyplomatycznymi Berlin nawiązał kontakt z polskim ministrem spraw zagranicznych, Tadeuszem Romerem. Niemcy zaproponowali nawiązanie stosunków dyplomatycznych i rozpoczęcie negocjacji na neutralnym gruncie. Niemcy proponowali podjęcie antybolszewickiego współdziałania przez Wehrmacht i Armię Krajową, uznanie przez III Rzeszę Polski w granicach z 1939 roku oraz publiczne zagwarantowanie niepodległości Polski. A więc znacznie więcej niż Brytyjczycy i Amerykanie.

Według niemieckiego historyka Michaela Foedrowitza Niemcy takich ofert polskiemu

rządowi na uchodźstwie złożyli co najmniej kilka.

> Zostały one przekazane konspiracyjnymi kanałami kurierskimi do Londynu – pisał niemiecki badacz. – Z Węgier nadchodziły listy z informacjami o rzekomej zmianie polityki polskiej wobec Niemców. Chodziło tutaj zapewne o generała Kazimierza Sosnkowskiego i Tadeusza Bieleckiego, którzy byli ostro krytykowani przez brytyjskie media i posądzani o zdradę. Prawicowi Polacy, o orientacji narodowej, znajdowali się pod obserwacją brytyjskich Metropolitan Police i służb specjalnych (Special Branch). Jednak pomimo trudności nawiązywano łączność, a Brytyjczycy, dowiadując się o owych kontaktach, zwykle zmuszali skompromitowane osoby do natychmiastowego ustępowania z zajmowanych urzędów lub stanowisk wojskowych. Pośród innych, Brytyjczycy otrzymali także informację o rzekomych planach niemieckich wyekwipowania na Węgrzech polskich dywizji, ponieważ tamtejsi Polacy jakoby nie ucierpieli zbytnio ze strony SS, w związku z czym byli Niemcom przychylni.

Wobec odmowy rządu na emigracji zwolennicy ugody z Polakami zaczęli szukać kandydatów na polskich Quislingów na miejscu, czyli w Generalnym Gubernatorstwie. W ten sposób zimą 1944 roku zrodził się projekt powołania Polskiej Ligi Antybolszewickiej, będącej częścią światowego Antykominternu. Była to jedna z ostatnich i beznadziejnie wręcz nieudolnych prób naprawienia potwornego zła, które Niemcy wyrządzili Polakom podczas II wojny światowej.

Rozdział 41

Polska Liga Antybolszewicka

Do takich spotkań i takich rozmów podczas krwawej łaźni, jaką była okupacja niemiecka w Polsce, nie dochodziło często. W pomieszczeniu siedziało dwóch ludzi – Niemiec i Polak. Pierwszy był w mundurze, na otoku leżącej na biurku czapki widniał orzeł ze swastyką w szponach. Drugi był w cywilnym garniturze, swobodnie siedział w fotelu. Panowie mówili po polsku i widać było wyraźnie, że to Niemiec zabiega o względy Polaka. Rozmowa była sensacyjna.

– W Berlinie narodził się projekt stworzenia federacji paneuropejskiej zwróconej przeciw niebezpieczeństwu bolszewickiemu – mówił Niemiec. – Rozważa się w związku z tym myśl o powołaniu do życia międzynarodowej organizacji antykominternowskiej z siedzibą poza terenem Rzeszy. Ciekawi mnie pańskie zdanie na temat tego, jak do takiego projektu odnieśliby się Polacy. Czy pan sam nie zgodziłby się zostać w tej organizacji jednym z przedstawicieli Polski?

Polak smutno się uśmiechnął, spojrzał Niemcowi w oczy i odparł:

– Żadna inicjatywa polityczna wychodząca z Berlina nie może, po doświadczeniach Polaków przez cztery lata okupacji, liczyć na zaufanie i poparcie polskiej opinii.

– Cóż w takim razie należałoby uczynić, aby przełamać nieprzejednany stosunek Polaków? – spytał mężczyzna w mundurze.

– Dla trzeźwo myślącego człowieka nie jest to żadną tajemnicą. Należy rozpuścić więzienia i obozy koncentracyjne. Przywrócić wolność słowa i nauczania. Powołać do życia zawieszone związki i organizacje społeczne, zawiesić linię podziału między Poznańskiem, Śląskiem i Pomorzem a resztą Polski. A nade wszystko wstrzymać egzekucje uliczne. Idąc do pana, przechodziłem właśnie ulicą Senatorską, gdzie rozstrzelano świeżo ludzi. Palą się tam już znicze i leżą kwiaty. Za parę godzin nadjadą zielone wozy Gestapo i będzie strzelanina i areszty. Opinia polska urabia się właśnie tam, żadne rozmowy za biurkiem nie mogą mieć na nią wpływu.

– Więc pan odmawia?

– Odmawiam.

– Nie przyjmuje pan?

– Nie.

Powiedziawszy to, Polak wstał, zdjął z wieszaka kapelusz, ukłonił się i wyszedł z gabinetu urzędnika. Scena ta rozegrała się na początku 1944 roku. Niemcem był doktor Karl Grundmann, wysoki urzędnik urzędu propagandy Generalnego Gubernatorstwa. Polakiem – Ferdynand Goetel, jeden z najgłośniejszych przedwojennych pisarzy polskich, autor książki *Pod znakiem faszyzmu*, uznanej w latach trzydziestych za prohitlerowską.

Rozmowa ta była jedną z prób werbunku do Polskiej Ligi Antybolszewickiej. Według projektu, który Hans Frank otrzymał w Wilczym Szańcu od SS-Obergruppenführera Ottona Dietricha, szefa prasowego III Rzeszy, liga miała się składać z sześciu do ośmiu wybitnych Polaków. Dwóch z nich reprezentowałoby ją w montowanej pod auspicjami Niemiec międzynarodowej organizacji zwanej roboczo Antykominternem. Niemcy nadali tej operacji kryptonim „Gustaw".

Jak wynika z dokumentów polskiego podziemia, drugim obok Goetla przedstawicielem Polski na międzynarodowym forum miał być Aleksander Bocheński. Propozycje wejścia w skład komitetu krajowego złożono zaś Władysławowi Studnickiemu, Wincentemu Witosowi, pisarzowi Janowi Emilowi Skiwskiemu i dziennikarzowi Feliksowi Burdeckiemu. Niemcy chcieli, żeby ten ostatni został przewodniczącym polskiego prezydium. Rozważali też zwrócenie się do przebywającego w Berlinie Leona Kozłowskiego.

Czym miała być Polska Liga Antybolszewicka? Rodzajem rady złożonej z polskich autorytetów, które swoimi wystąpieniami (także na wiecach) wspierałyby walkę Wehrmachtu z zagrożeniem sowieckim. Początkowo miała się składać z trzech wydziałów: antybolszewickiego, antyżydowskiego i „europejskiego frontu obrony". Ostatecznie jednak, co dobrze świadczy o Polakach, postanowiono, że wystarczy wydział pierwszy.

Członkowie PLA mieliby koordynować wydawanie antysowieckiej prasy i ulotek oraz – w imię narodu polskiego – rozmawiać z Niemcami. Z czasem liga zostałaby przekształcona w polską „reprezentację narodową", a więc nowy proniemiecki rząd. Tym samym Polacy mieli zostać oficjalnie dopuszczeni do grona narodów „nowej Europy".

Ku rozczarowaniu i zaskoczeniu Niemców – co jest kolejnym z licznych dowodów na to, że III Rzeszą rządzili ludzie mało inteligentni – większość ze wspomnianych Polaków nie chciała mieć z całą imprezą nic wspólnego. Witos odmówił, zasłaniając się chorobą, a Władysław Studnicki odpowiedział, że w warunkach straszliwego niemieckiego terroru nawet on, niezłomny germanofil i antybolszewik, nie widzi najmniejszej możliwości podjęcia takiej współpracy z okupantem.

Akces do podobnej organizacji w obecnej sytuacji, stwierdził Studnicki podczas rozmowy

werbunkowej, zostałby odebrany przez rodaków jako zdrada. A on zdrajcą nie jest. Wypomniał on przy okazji Niemcom aresztowania wybitnych Polaków, dławienie polskiego szkolnictwa i kultury. Na nic zdały się kolejne próby przekonania Studnickiego podjęte przez oficerów niemieckiej służby bezpieczeństwa.

Studnicki był ze mną u Obersturmbannführera SS Hansa Schindhelma – wspominał pośredniczący w rozmowach hrabia Adam Ronikier – który po wysłuchaniu jego lapidarnego wykładu poprosił, by przedstawił na piśmie odpowiednie wnioski i rozpoczął pertraktacje. Na to Studnicki z wrodzoną sobie rubasznością powiedział, że pertraktować będzie dopiero z Czwartą Rzeszą.

Jeszcze „weselszy" przebieg miała rozmowa czołowego polskiego germanofila z Wilhelmem Ohlenbuschem, szefem propagandy Generalnego Gubernatorstwa.

– Hans Frank jest teraz bardzo przyjaźnie usposobiony wobec Polski i Polaków. Prosił mnie, abym pana spytał, co obecnie mógłby zrobić dla Polaków?

– Niech spakuje walizki i opuści Polskę – odparł bez wahania Studnicki.

– Jak to?! Gubernator Frank poznał Polskę i Polaków, zerwał ze swoimi przesądami i zyskał pewną sympatię.

– Kto przez lata uprawiał politykę wyniszczania, wysiedlania naszych chłopów, sprowadzał Niemców z innych krajów i chciał wytworzyć stosunki kolonialne, ten nawet gdyby chciał uprawiać teraz inną politykę, nie zdobędzie już zaufania i każda, nawet najbardziej przyjazna deklaracja spotka się z niewiarą i będzie miała cierpki posmak.

Podobne słowa Niemcy usłyszeli podczas kolejnej rozmowy z Ferdynandem Goetlem. Zanim oba narody zasiądą do rozmów – powiedział pisarz – Niemcy muszą diametralnie zmienić swoją politykę. I spytał, jak Polacy mają współdziałać z Rzeszą przeciwko Sowietom, skoro polscy przeciwnicy bolszewizmu są pakowani do niemieckich obozów koncentracyjnych.

Nie zrażeni tą odpowiedzią Niemcy zaprosili jeszcze Goetla na kolejną rundę negocjacji do Krakowa. Rozmowa odbyła się na początku marca 1944 roku w sali konferencyjnej jednej z kamienic na rynku, przemianowanym podczas wojny na Adolf-Hitler-Platz. Również tym razem mamiono Goetla wizją zjednoczonej Europy, w której naród polski miał uzyskać godne siebie miejsce. Goetel pozostał nieugięty.

„Sądzę, że był to ostatni krok niemiecki" – wspominał po latach – „szukający jakiegoś kontaktu z niezależną opinią Polską. Niepewność jego i chaotyczność były tylko wyrazem bezsilności całej polityki hitlerowskiej w stosunku do narodów i krajów podbitych".

Kosza Niemcy dostali także od polskiego Kościoła, który – według ich planów – miał patronować lidze. Liczono oczywiście na obawę księży przed nadciągającym ze wschodu

bezbożnym bolszewizmem. Rozmowa, jaką Hans Frank odbył 5 kwietnia 1944 roku z metropolitą krakowskim arcybiskupem Adamem Sapiehą, przyniosła jednak Niemcowi rozczarowanie.

„Realnej siły, która mogłaby zagwarantować korzystną dla Polski granicę wschodnią, Anglia nie posiada. I dlatego nie pozostaje nic innego, jak tylko jakieś porozumienie Niemiec i Polski" – mówił Hans Frank. Następnie zaś domagał się od polskiego episkopatu wydania listu pasterskiego, w którym potępione zostałyby akty sabotażu i inne ataki na Niemców dokonywane przed podziemie, a także zawarte zostałoby ostrzeżenie narodu polskiego przed niebezpieczeństwem komunizmu.

Arcybiskup odparł grzecznie, ale stanowczo, że Kościół oczywiście nie życzy sobie bolszewików w Polsce i nie jest zadowolony z zamachów na Niemców. Ale żadnego proniemieckiego listu pasterskiego nie wyda ze względu na straszliwe położenie ludności pod okupacją.

Tak właśnie w praktyce wyglądały polsko-niemieckie rozmowy ostatniej szansy. Niemcy do dzisiaj powinni czytać je z największym wstydem. Ich zbrodnicza polityka doprowadziła bowiem do iście kuriozalnej sytuacji. Pod koniec wojny nie chcieli mieć z nimi nic wspólnego nawet najwięksi przedwojenni zwolennicy sojuszu polsko-niemieckiego.

Weźmy choćby Ferdynanda Goetla. Był to wybitny prozaik polski, który przed wojną znany był z życzliwego stosunku do totalizmu w wersji włoskiej i niemieckiej. Był jednocześnie bardzo krytyczny wobec bolszewizmu, którego potworność poznał na własnej skórze. W trakcie rewolucji znajdował się bowiem w Rosji i to, co tam zobaczył, wywołało w nim głęboką odrazę. Swoje przeżycia opisał później w przedwojennym bestsellerze *Przez płonący Wschód*.

Pod okupacją niemiecką Goetel powszechnie uważany był za germanofila, w 1940 roku na łamach „Biuletynu Informacyjnego" został wręcz oskarżony o kolaborację. Pisarzowi wyrządzono świństwo, bo jego kontakty z Niemcami były czysto urzędowe, z ramienia RGO zajmował się bowiem opieką nad ubogimi polskimi literatami. O postawie Goetla najlepiej świadczy to, że zdecydowanie odrzucił kilkakrotne naciski Niemców, którzy próbowali go zmusić do podpisania Volkslisty.

Nie zmienia to jednak faktu, że Goetel na początku okupacji stał na stanowisku, iż jakiś rozsądny kompromis z Niemcami byłby pożądany, mógłby bowiem ograniczyć straszliwe cierpienia narodu polskiego. Dysponujemy ciekawą relacją pozostawioną przez innego świetnego literata, Stanisława Rembeka, autora dwóch głośnych powieści o wojnie 1920 roku, znakomitej *W polu* i kiepskiej *Nagan*.

„Należałoby zacząć paktować z Niemcami, żeby ratować, co się jeszcze da z żywiołu polskiego” – tłumaczył Rembek latem 1940 roku – „i żeby mieć jaką taką siłę zbrojną na wypadek powszechnej rewolucji bolszewickiej, która według mnie grozi bardzo w związku ze spustoszeniem całej niemal Europy”. Ferdynand Goetel podobno przyznał mu rację. I dodał, „że już coś robi w tym kierunku, ale wcześniej nie zacznie się, jak dopiero na jesieni”.

Oczywiście nic się nie zaczęło. Upojonym zwycięstwami Niemcom w 1940 roku wydawało się, że Polaków do niczego nie potrzebują. Po rozum do głowy poszli dopiero cztery lata później, gdy podobne propozycje można już było tylko traktować jako niewybredny żart.

Przekonanie, że największym nieszczęściem, jakie może spotkać Polskę, jest sowieckie „wyzwolenie”, utwierdziło w Ferdynandzie Goetlu najbardziej traumatyczne przeżycie jego życia. W kwietniu 1943 roku – za zgodą polskiego podziemia – pisarz przyjechał do Katynia. To, co zobaczył w tamtejszych dołach śmierci, głęboko nim wstrząsnęło.

W odwecie za to, że przyjął niemieckie zaproszenie i ośmielił się pojechać pod Smoleńsk, komunistyczne podziemie wydało na pisarza wyrok śmierci. W tej sytuacji, gdy Polska w 1945 roku znalazła się pod okupacją Armii Czerwonej, Goetel najpierw się ukrywał w klasztorze, a potem uciekł na Zachód. Zmarł w Londynie w 1960 roku. W PRL jego książki znalazły się na indeksie, a pisarz uznawany był za kolaboranta i zdrajcę. Do dzisiaj, mimo starań kilku historyków literatury i pasjonatów jego twórczości, większości polskiej inteligencji Goetel jest pisarzem nieznanym.

A co stało się z Polską Ligą Antybolszewicką? Nic. Ze względu na odmowę polskich kandydatów Niemcy musieli ten „genialny” pomysł zarzucić. Na nic się zdały zaklęcia i przekonywania. Efektu nie przyniosło kuszenie sowitymi apanażami. A nawet zapewnienie, że jeśli cała Polska znajdzie się pod okupacją sowiecką, Niemcy nie zostawią członków ligi na lodzie i cała organizacja zostanie przeniesiona na Górny Śląsk lub na teren obwodu sudeckiego Rzeszy.

Ze wszystkich Polaków, do których się zgłoszono, gotowość współpracy wyrazili jedynie Jan Emil Skiwski i Feliks Burdecki. Reszta, proszę wybaczyć kolokwializm, ale trudno o lepsze sformułowanie, posłała Niemców na drzewo. I chwała jej za to.

Rozdział 42

„Przełom”

Rozdział ten poświęcony będzie dwóm ludziom uważanym przez historyków – nie tylko w PRL, ale i w III RP – za kolaborantów i renegatów. Mowa o Feliksie Burdeckim i Janie Emilu Skiwskim. Postawię w nim tezę, która pewnie wspomnianych badaczy mocno zirytuje. Otóż Skiwski i Burdecki kolaborantami rzeczywiście byli. Na pewno nie byli jednak renegatami. Byli polskimi patriotami.

Razem daje to więc dość nietypową mieszankę. Znakomity krytyk literacki i historyk Maciej Urbanowski nazwał obu panów „kolaborantami patriotycznymi”. I jest to określenie niezwykle trafne. Bo choć rzeczywiście Skiwski i Burdecki podjęli współpracę z okupantem, miała ona na celu dobro Rzeczypospolitej i Polaków. Częste porównywanie ich z komunistyczną swołoczą w typie Wasilewskiej czy Berlinga jest więc niegodziwością.

Wszystko zaczęło się od opisanego w poprzednim rozdziale spóźnionego pomysłu powołania Polskiej Ligi Antybolszewickiej. Gdy najwybitniejsi kandydaci – Studnicki, Witos i Goetel – wykręcili się z udziału w tym przedsięwzięciu, na placu boju pozostali tylko Burdecki i Skiwski. Ponieważ o stworzeniu w oparciu o tych dwóch niezbyt wpływowych ludzi poważnej inicjatywy politycznej nie było mowy, Niemcy zaproponowali im coś innego.

Obaj panowie wiosną 1944 roku dzięki wsparciu III Rzeszy założyli dwutygodnik „Przełom”. Choć wydawane za pieniądze wroga, pismo to – w przeciwieństwie do „Biuletynu Informacyjnego” AK – nie okłamywało rodaków. Nie wmawiało im, że nie ma się czego bać, bo Sowiety są „sojusznikiem naszych sojuszników”. „Przełom” po prostu pisał prawdę. Ostrzegał, że Armia Czerwona przychodzi do Polski nie po to, by ją „wyzwolić”, ale zniewolić. Stanowczy sprzeciw muszą natomiast wzbudzić antysemickie wycieczki, które zdarzały się autorom „Przełomu”.

Jan Emil Skiwski był przed wojną znanym krytykiem literackim. W latach trzydziestych popierał skręt sanacji w stronę totalizmu, czyli nieprzyjemne zjawisko, które przeszło do historii jako Ozon. Z kolei Burdecki był popularyzatorem nauki, autorem szeregu książek na temat techniki przyszłości (*Podróże międzyplanetarne*, *Tajemnice Marsa*, *Życie maszyn*) oraz kilku opowiadań z gatunku science fiction (*W niewoli u bestyj morskich* czy *Rakietą na Merkury*). Dzisiaj ceny tych pięknie wydanych książek sięgają na Allegro kilkuset złotych.

Obaj panowie mieli poglądy antybolszewickie, ale zarazem lewicowe, co skutkowało pewną życzliwością wobec narodowego socjalizmu. A więc ideologii, wbrew powtarzanym dziś bredniom o „skrajnej prawicy", właśnie na wskroś lewicowej. Skiwski już przed wojną doszedł do wniosku, że bolszewizm jest największym zagrożeniem dla ludzkości i Polska powinna sprzymierzyć się przeciwko niemu z III Rzeszą. W egzotyczne sojusze ze zgniłymi demokracjami Zachodu słusznie nie wierzył.

Gdy Polska znalazła się pod okupacją, Skiwski i Burdecki podążyli własną drogą, czym poważnie narazili się podziemiu. Pierwszy za kontakty z oficjalnym Wydawnictwem Polskim, a drugi za to, że… zaopiekował się polską młodzieżą. Zrobił to bowiem za zgodą Niemców.

> Wiedziałem: teraz zaczną się zbrodnie! – pisał po latach o początku niemieckiej okupacji. – W czasie tej epidemii zbrodni moim zadaniem było do minimum zredukować straty mojego narodu, Narodu Polskiego. Jest bowiem szaleństwem wzywać rozbrojony naród do ponoszenia dalszych ofiar w walce przeciw energetycznie spotęgowanej technice zniszczenia. Najważniejszą sprawą było ratowanie młodych przed zdziczeniem i zapewnienie istnienia szkołom.
>
> Dzięki znajomości języka niemieckiego, a przede wszystkim dzięki umiejętności znajdowania zrozumienia i docierania do tego, co dobre w sercach zdobywców, udało mi się uzyskać zgodę na wydawanie czasopism dla uczniów, jako ersatz skonfiskowanych podręczników szkolnych. Od września 1940 roku pod swoim nazwiskiem redagowałem najpierw czasopisma dla uczniów „Ster", a następnie „Mały Ster" oraz „Zawód i Życie". Niezwykle istotną okoliczność stanowił fakt, że istnienie czasopism związane było z istnieniem szkół i że miliony dzieci mogły codziennie brać udział w lekcjach szkolnych.

Te starania wystarczyły podziemiu do uznania Burdeckiego za zdrajcę. Zarówno Burdecki, jak i Skiwski nie podejmowali jednak żadnych inicjatyw natury politycznej – aż do roku 1943 i odkrycia grobów katyńskich. Wydarzenie to było dla nich wstrząsem, Skiwski zresztą oglądał zmasakrowane ciała oficerów na własne oczy, wziął bowiem udział w zorganizowanej przez Niemców wyprawie do Smoleńska.

Burdecki i Skiwski uznali wówczas, że należy zrobić wszystko, aby ratować naród przed kolejnymi Katyniami. Genezy „Przełomu" nie należy więc szukać w „czarnych odmętach reakcyjnej duszy" Skiwskiego – jak to czynili komuniści – ale w masowych mogiłach polskich oficerów pod Smoleńskiem.

Pierwszy numer „Przełomu" ukazał się z datą 17 kwietnia 1944 roku, ale do kolportażu trafił w maju. Pismo redagowane było w Krakowie, a szatą graficzną przypominało gazety konspiracyjne. Tak też było rozprowadzane. Podrzucano je do skrzynek pocztowych, kolporterzy sprzedawali „Przełom" spod płaszczów na ulicach. Miało to stworzyć wrażenie, że to przedsięwzięcie polskie, że gazeta jest wydawana bez udziału Niemców. Wszystkie teksty pisali Skiwski i Burdecki, później dołączył do nich jeszcze Jerzy de Nissau, a nakład był olbrzymi. W szczytowym okresie osiągnął około 200 tysięcy egzemplarzy. A więc dziesięć razy więcej niż „Biuletyn Informacyjny".

Trzeba przesunąć wskazówkę! – apelował Skiwski w programowym tekście *Cena krwi*. – Musi obrócić się w kierunku największego dziś niebezpieczeństwa, które nadchodzi ze wschodu. Nie rzucamy tych słów w sytuacji, kiedy armia niemiecka zagraża czerwonej Moskwie lub kiedy sztandar ze swastyką powiewał na szczycie Elbrusu. Mówimy to dziś, kiedy hordy Stalina jak stado zgłodniałych wilków harcują pod Tarnopolem. Nie zatrzymamy ich naszymi nagimi piersiami, zatrzymać ich mogą tylko ci, którzy mają broń i chcą z nimi walczyć do ostatka.

Mowa była oczywiście o Wehrmachcie.

Ten, kto podminuje tor, po którym ma przejechać pociąg z wojskiem lub amunicją – pisał Skiwski – kto niszczy wiertarkę w fabryce zbrojeniowej lub podpala wojskowy magazyn aprowizacyjny, ten działa wprost na korzyść uzbrojonej w czołgi i samoloty tłuszczy bolszewickiej. Każdy taki akt jest umniejszeniem zbrojeniowego potencjału niemieckiego i przez to torowaniem drogi zwycięstwa Stalinowi. Jest wiązaniem sił niemieckich u nas w kraju, tych sił, które wraz ze swoimi towarzyszami broni na wschodzie powołane są do spełnienia epokowej misji odegnania czerwonej szarańczy od bram Europy.

Pierwszym motywem działania autorów „Przełomu" był więc antykomunizm. Drugim – chęć obrony substancji biologicznej narodu przed niemieckimi represjami.

„Gdyby Polska była krajem bardziej wyrobionym politycznie" – mówił Skiwski Stefanowi Kisielewskiemu – „utworzyłaby rząd reprezentujący interesy polskie wobec Niemców, by uniknąć względnie zmniejszyć skutki terroru".

Dokonywanie aktów sabotażu, w wyniku których Niemcy ponosili minimalne straty, a za które gigantyczną cenę płaciła ludność cywilna, Skiwski uważał za szkodzenie narodowi polskiemu.

Postępowanie ludzi – pisał gorzko – którzy w obłędnym zamroczeniu uważają siebie do dziś za patriotów, ba, za jedynych patriotów polskich, idzie w kierunku maksymalnego wyniszczenia substancji naszego narodu.

I dalej:

Nie można pozwolić, by naród polski miał przyjąć rolę kurnika, który wyrzyna każdy przechodzień, a my szczycimy się z tego, że ginęliśmy, gwiżdżąc na rzezaków.

Wybuch i upadek Powstania Warszawskiego dla Skiwskiego i Burdeckiego były wielką tragedią.

Przypuszczając nawet – pisał Burdecki – że dokonałaby się rzecz niesłychanie mało prawdopodobna, że istotnie usunięto by Niemców z Warszawy. Czy doprawdy doświadczenia ostatnich lat nie nauczyły nic genialnych mężów stanu z obozu Mikołajczyka? Czy na serio wyobrażali sobie, że Stalin i jego siepacze uszanują wyczyn polskich powstańców i po uroczystym przyjęciu dywizje bolszewickie i zgraje ciągnących za nimi oddziałów NKWD uprzejmie opuszczą gościnne progi stolicy?

Jednocześnie autorzy „Przełomu” próbowali wpłynąć na Niemców, by wstrzymali represje. W memoriale złożonym 30 września 1944 roku na ręce szefa rządu Generalnego Gubernatorstwa Josepha Bühlera Skiwski krytykował niemieckie zbrodnie na Polakach. Stosując podobne metody – przekonywał Niemców – sami pchacie Polaków w szeregi konspiracji.

W sferze ideowej redakcja „Przełomu” opowiadała się za stworzeniem zjednoczonej Europy, w której Polacy i Niemcy mieliby żyć razem w zgodzie. Owa zjednoczona Europa miała być tworem socjalistycznym. Dewizą pisma było bowiem hasło „Walczymy o pokój i socjalizm”. Pozwolę więc sobie zaryzykować hipotezę, że Skiwski i Burdecki, gdyby dożyli dzisiejszych czasów, byliby bardzo zadowoleni. Ich idea ziściła się, choć z – bagatela – sześćdziesięcioletnim poślizgiem.

Polskie Państwo Podziemne wydanie „Przełomu” przyjęło z furią. Jego autorów wyzywano od najgorszych („Targowica”, „nikczemnicy”, „plugastwo”, „zdrajcy”) i grożono im śmiercią. „Jacy głupcy! Sami wypisali sobie bilet na latarnię!” – naśmiewał się „Biuletyn Informacyjny” Armii Krajowej.

Ten ostatni passus trudno pozostawić bez komentarza. W tym samym czasie, gdy drukowano te słowa, oddziały AK jeden po drugim były bowiem oddawane przez swoich dowódców w łapska NKWD. Burdecki i Skiwski jawią się wręcz jako geniusze polityczni w zestawieniu z ludźmi, którzy wymyślili takie samobójcze kuriozum jak akcja „Burza”. Na pewno więc to nie Skiwski i Burdecki byli tymi głupcami, którzy wypisali sobie bilet na szubienicę.

Co jednak najważniejsze, w „Przełomie” nigdy nie pojawił się nawet cień antypolonizmu. Na jego łamach nie wyszydzano polskiego państwa, polskiego sztandaru i godła, nie szargano polskich świętości. Przeciwnie, odwoływano się do polskiego patriotyzmu.

> W przeciwieństwie do Wasilewskiej – pisał profesor Jacek Bartyzel – Ważyka, Szenwalda, Adolfa Rudnickiego, Szczypiorskiego, Woroszylskiego e tutti quanti Skiwski wydając „Przełom” nie dopuścił się żadnej obrzydliwości, już nawet nie w politycznym i narodowym, ale czysto ludzkim sensie. Nie denuncjował kolegów po piórze czy wręcz własnych krewnych. Nie pisał ód strzelistych do Adolfa Hitlera ani nie opiewał ciężkiego trudu nie sypiających po nocach towarzyszy z Gestapo. Nie wyrażał entuzjazmu z powodu „wyzwolenia” przez Wehrmacht Kraju Warty i General Gouvernement i nie składał za to publicznych dziękczynień.

Mało to, mimo że podjęli współpracę z Urzędem Propagandy Generalnego Gubernatorstwa, Skiwski i Burdecki krytykowali na łamach Niemców. A więc robili coś, na co wspomniani wyżej „postępowi intelektualiści” w stosunku do swojego sowieckiego Wielkiego Brata nigdy by się zdobyli.

„Nie krzewimy na łamach naszego pisma łatwego optymizmu” – pisano w „Przełomie”. – „Nie jest dla nas zagadnieniem to, czy Niemcy są mili czy nie, czy nam się z nimi dziś żyje słodko czy gorzko. Są ważniejsze zagadnienia, do których musimy się przebić, aby uratować przyszłość własnego narodu”.

Karol Małcużyński mówił po latach, że czytając podobne passusy w „Przełomie”, ludzie „przecierali oczy”. „Jak to? – mówiono. – I to Niemcy dali wydrukować?”

Należy również zdecydowanie odrzucić oskarżenia, że Skiwski i Burdecki byli oportunistami, którzy związali się z Niemcami dla pieniędzy. Gdyby tak rzeczywiście było, to kolaborację z Rzeszą podjęliby w roku 1940 czy 1941, gdy była u szczytu potęgi. Tymczasem oni zdecydowali się na to, gdy Niemcy chyliły się ku upadkowi, a czerwoni barbarzyńcy stali już u bram. Gdyby obaj panowie rzeczywiście chcieli zarobić, dołączyliby więc raczej do ekipy Wandy Wasilewskiej niż Hansa Franka.

Ma tylko do mnie jedną prośbę – wspominał spotkanie z Burdeckim Ferdynand Goetel – abym nie przypuszczał, że się nie uważa za Polaka, gdyż działa w dobrej wierze zasłużenia się interesowi Polski. Opuszcza oczy w dół i dostrzegam buty jego dziurawe i podarte. Przypomina mi się ubóstwo i niewątpliwa bezinteresowność współpracującego z „Przełomem” Emila Skiwskiego. Nie mogę powiedzieć Burdeckiemu nic więcej, prócz tego, że słowa jego zapamiętam.

Zofia Nałkowska również mówiła po wojnie o Skiwskim, że działał „w dobrej wierze”. Podobnego zdania był Czesław Miłosz. „To, co robił, nie wynikało z pobudek materialnych” – pisał poeta. – „Był człowiekiem idei i pasji intelektualnej. O jego współpracy z Niemcami zdecydowała odraza do polskiej słabości, do liczenia na cud, na daleką odsiecz. Wykazał wiele stanowczości, hartu i charakteru, gdyż przeciwko sobie miał całą opinię Polski”.

To właśnie dlatego Józef Mackiewicz, który spotkał się ze Skiwskim i Burdeckim w Krakowie po Powstaniu Warszawskim, nazwał redaktorów „Przełomu” „ludźmi z głębszego podziemia”.

Redaktorzy pisma – pisał – które miało przełamać opinię polską, zmuszeni byli, wobec stanowiska tej opinii, przenieść swe osobiste życie w najgłębsze podziemia. Nie wiem, do ilu osób w Polsce mogło się ograniczyć koło ich najbliższych znajomych. Zapewne zerwali ze wszystkimi. Posługiwali się fałszywymi nazwiskami. Nikt w kraju nie wiedział, gdzie mieszkają, gdzie bywają, gdzie jadają. Wiedziało o tym zapewne Gestapo, ale była to marna ochrona. Zagubieni w morzu współrodaków, pilnować się musieli już nie przed agentem czy obławą, ale przed każdym dosłownie cieniem na chodniku.

Podczas spotkania Mackiewicza ze Skiwskim i Burdeckim wywiązała się taka rozmowa:

– Czy panowie nie uważają – pytał Mackiewicz – że wszystko, co piszą Niemcy lub pozwalają pisać pod swą cenzurą, czytane jest przez 99 proc. kraju na opak? Że przeto uprawiając propagandę antysowiecką, sprowadzają ją panowie do filosowieckiej? Że najmniejszą szkodę przynoszą nam ich artykuły głupie, a największą mądre i słuszne? Czy zatem z tego

punktu widzenia, nie zgodzą się panowie, że ich akcja antysowiecka jest nie tylko z gruntu niecelowa, ale w praktyce szkodliwa?

I znowu padła odpowiedź wyświechtana.

– Gdyby pan wiedział, ile teraz otrzymujemy listów!…

„Z połajankami na pewno” – pomyślałem, nie powiedziałem tego głośno.

Czy tak było w rzeczywistości? Czy rzeczywiście Polacy czytali „Przełom” na opak? Czyli im bardziej Skiwski i Burdecki ostrzegali przez Sowietami, tym bardziej Polacy Sowietów wyczekiwali? Chyba jednak nie do końca. Miłosz pisał bowiem po latach, że „Przełom” był pismem mającym na Polaków „ogromny wpływ”. A po klęsce powstania wielu nawet do tej pory krytycznych wobec niego ludzi zaczęło dostrzegać, że linia gazety jest słuszna. Poeta twierdził nawet, że zaczęła się wówczas tworzyć w narodzie polskim „orientacja proniemiecka”.

„Spotykałem często ludzi” – pisał z kolei Kazimierz Wyka – „którzy zdając sobie sprawę, że «Przełom» jest wydawany przez propagandę niemiecką, nie umieli się oprzeć sile argumentacji Skiwskiego”.

Potwierdzeniem tej opinii może być to, że gdy Niemcy w obliczu zbliżania się Armii Czerwonej zaapelowali do ludności Krakowa, żeby 24 sierpnia 1944 roku stawiła się przed Dworcem Głównym w celu wyjazdu na kopanie szańców na przedpolach miasta – odzew był olbrzymi.

Przed dworcem stawił się tłum tak liczny – pisał historyk Andrzej Chwalba – że dla połowy zabrakło narzędzi. Niemców, poza frekwencją, zaskoczyła również atmosfera panująca wśród przybyłych, oceniana jako „wyjątkowo dobra”. W następnych dniach stawało do pracy jeszcze więcej osób. Pracom na wale wschodnim towarzyszyli reporterzy „Gońca Krakowskiego”, którzy opisywali entuzjazm młodych, ich radość, humor, witalizm i zdrowy wygląd. 22 września kilkunastu Polaków zostało przyjętych na Wawelu. Otrzymali możliwość oddania hołdu wieszczom, królom i Piłsudskiemu. Po wspólnym obiedzie z generalnym gubernatorem, podczas którego przygrywała orkiestra górników z Wieliczki, bohaterowie pracy „na szańcach” otrzymali wartościowe upominki oraz dyplomy: „W uznaniu zasług przy budowie wału obronnego w roku 1944 – Frank”.

Polacy podczas kopania urządzali nawet „współzawodnictwo pracy”, a po fajrancie raczyli się dostarczoną przez Niemców wódką i kiełbasą. Dla kopaczy wydawano specjalne pismo „Na Szańcach” (redagował je Burdecki), a Hans Frank przekonywał Berlin, że zamiast łopat należy dać Polakom do rąk karabiny. W akcji tej miała pomóc seria skierowanych do Polaków antybolszewickich odczytów radiowych, które Burdecki wygłosił między wrześniem a grudniem 1944 roku. Nawiasem mówiąc, ochotniczy udział Polaków w tych pracach fortyfikacyjnych doprowadzał do szału polskie podziemie, które już wyglądało nadejścia swoich wytęsknionych „sojuszników naszych sojuszników”.

Ostatni numer „Przełomu” ukazał się w styczniu 1945 roku, niemal w przeddzień wkroczenia bolszewików do Krakowa. Gdy ich pismo było rozdawane na ulicach, Skiwski i Burdecki ewakuowali się wraz z rządem Generalnego Gubernatorstwa na zachód. 12 lutego 1945 roku cała kawalkada dotarła do małej bawarskiej miejscowości Neuhaus. W jednym z zajętych przez rząd Generalnego Gubernatorstwa (teraz już na uchodźstwie) domów wraz ze swoimi rodzinami ulokowali się Skiwski i Burdecki.

Gdy siadano do obiadu, rozległ się dzwonek. Polacy otworzyli drzwi i zobaczyli stojącego na progu Hansa Franka. Trudno było w nim rozpoznać pewnego siebie, butnego wielkorządcę Generalnego Gubernatorstwa, którym był jeszcze niedawno. Teraz był zmęczony, zaniedbany, spłoszony. Gubernator przekroczył próg, podszedł do obu zdumionych Polaków i formalnie złożył im wyrazy ubolewania z powodu „błędów” popełnionych przez Niemców wobec Polski w czasie wojny.

Jeżeli mam o coś pretensję do Skiwskiego i Burdeckiego, to nie o to, że wydawali swój „Przełom”. Mam pretensje o to, że nie zadusili wtedy tego starego durnia.

Rozdział 43

Emisariusz delegatury

Jest późna wiosna 1944 roku. Aleją Niepodległości na warszawskim Mokotowie sunie ciemna limuzyna Gestapo. Z przodu szofer z pistoletem maszynowym na kolanach, z tyłu w zielonym mundurze bez dystynkcji – as niemieckiej tajnej policji Alfred Spilker. W umówionym miejscu samochód staje, drzwiczki się otwierają i do środka błyskawicznie wsiada mężczyzna w jasnym garniturze. Limuzyna rusza z piskiem opon i kieruje się w stronę lotniska Okęcie.

Tam szofer zwalnia, podjeżdża do wartowników i pokazuje przepustki. Żołnierze salutują i otwierają szlaban. Następnie powoli, na drugim biegu, przez godzinę krąży na tyłach pasów startowych. Jedzie wzdłuż równych rzędów myśliwców Messerschmitt Bf 109 ze swastykami na ogonach. Rozmówcy mają pewność, że nikt ich tu nie zobaczy i nie usłyszy. Człowiek, który dosiadł się na Mokotowie, jest Polakiem. Nie rozmawia jednak ze Spilkerem jak konfident, nie płaszczy się przed nim, nie bierze koperty z pieniędzmi.

Przeciwnie – rozmowa przypomina raczej polityczną konferencję. Dotyczy trudnej sytuacji, w jakiej znalazły się zarówno władze okupacyjne, jak i podziemie. W stronę Warszawy bowiem jak walec zbliża się Armia Czerwona, miażdżąc na swej drodze zarówno Niemców, jak i Polaków. Co robić w tej sytuacji? Obaj panowie są zgodni, że w obliczu wspólnego niebezpieczeństwa nie pozostaje nic innego jak zakopanie topora wojennego przez obie zwaśnione strony.

Po spotkaniu szofer odwozi Polaka we wskazane przezeń miejsce. Siedzący na tylnej kanapie mężczyźni ustalają jeszcze, że miejsce i czas następnej rundy rozmów potwierdzą telefonicznie. Po czym podają sobie ręce i mężczyzna w jasnym garniturze wysiada na ruchliwej ulicy. Wtapia się w tłum przechodniów. Niemcy tracą go z oczu.

Kim był ten tajemniczy człowiek? Nazywał się Tadeusz Myśliński. W konspiracji nosił pseudonim „Doktor Stelągowski”, skracany do „Doktor S.”. Do niedawna sprawował funkcję dowódcy wywiadu Delegatury Rządu na Kraj. A więc szefa cywilnej tajnej policji Polskiego Państwa Podziemnego. Obecnie zaś był nieformalnym emisariuszem delegatury do kontaktów z niemieckimi władzami bezpieczeństwa. Kontakty takie – o czym rzecz jasna „nie wolno głośno mówić” – w połowie 1944 roku były bowiem niezwykle intensywne.

Ponieważ po wojnie Myśliński dostał się w ręce komunistycznej bezpieki, dysponujemy jego

obszernymi zeznaniami na temat okupacyjnej działalności. Jest to lektura dość przygnębiająca, nawet bowiem przy założeniu, że był bity i maltretowany przez ubeków, to, co i jak mówił, musi przerażać. W zeznaniach tych sam miota na siebie obelgi, składa upokarzające samokrytyki, denuncjuje najbliższe sobie osoby i przede wszystkim udziela komunistom niezwykle szczegółowych informacji.

W 1950 roku, gdy powstało jego spisane na maszynie, liczące ponad czterysta stron „opracowanie", Myśliński był bez wątpienia człowiekiem złamanym. Do protokołów przesłuchań bezpieki należy podchodzić ostrożnie. Odcedzić fakty od wymysłów śledczych, którzy mogli wymuszać na przesłuchiwanym składanie fałszywych zeznań. Pracując nad tym rozdziałem, starałem się to zrobić.

Wydaje się, że pierwsze kontakty Myślińskiego z Niemcami sięgają jesieni roku 1942. Wtedy to szef wywiadu delegatury otrzymał nieformalnym kanałem ofertę podjęcia współpracy ze słynnym agentem SD żydowskiego pochodzenia Leonem Skosowskim „Lonkiem". Była to głośna postać podziemnej Warszawy. Kierował on organizacją Gwardia Wolnych Żydów „Żagiew", której członkowie zajmowali się tropieniem i wydawaniem w ręce Gestapo Żydów ukrywających się po aryjskiej stronie.

W robocie tej byli bardzo skuteczni. Ze względu na swoje pochodzenie doskonale bowiem znali środowisko żydowskie i wzbudzali w nim zaufanie. A przede wszystkim było im znacznie łatwiej rozpoznać Żyda niż Polakowi czy Niemcowi. To właśnie Skosowski był autorem słynnej afery Hotelu Polskiego. Sprzedawał on Żydom paszporty Paragwaju, Hondurasu, Kostaryki i innych krajów latynoskich i obiecywał, że dzięki nim zostaną ewakuowani do Ameryki. W rzeczywistości trafili do gazu.

„Lonek" miał jednak większe ambicje niż taka paskudna, brudna robota i próbował rozpracować polską konspirację. Dlatego właśnie zgłosił się do Delegatury Rządu na Kraj. Podczas wstępnych rozmów stwierdził, że dla Niemców pracuje ze strachu, aby ratować życie. Ale „w gruncie rzeczy jest porządnym człowiekiem" i chciałby pomóc Armii Krajowej. „Doktor S.", choć doskonale wiedział, że sprawa jest śliska i ryzykowna, podjął tę grę.

Skusiła go możliwość wykorzystania „Lonka" do zinfiltrowania Gestapo. Chciał mieć bowiem w tej instytucji swoje wtyczki i kontakty. Był to fatalny błąd, gdyż stało się na odwrót. To Alfred Spilker, który prowadził Skosowskiego, uzyskał dzięki niemu możliwość rozpracowania delegatury. „Kontakt ten dawał znacznie więcej Niemcom niż nam" – przyznawał po wojnie Myśliński. – „Niemcy zyskiwali styk z Delegaturą, czego jak sądzę do tej pory jeszcze nie posiadali, a na czym specjalnie im zależało. I to ze względu na motyw czysto policyjny, jak i możliwość podjęcia politycznej rozgrywki dużego stylu".

O jaką rozgrywkę polityczną chodziło? Oczywiście o to co zwykle. Spilker był bowiem wierny swojej koncepcji zawarcia tajnego zawieszenia broni z Polskim Państwem Podziemnym. „Lonek” szybko zresztą odsłonił karty i poinformował Tadeusza Myślińskiego, że podjął się roli pośrednika między niemiecką służbą bezpieczeństwa a polską konspiracją niepodległościową.

Dalszym etapem są propozycje – relacjonował w 1950 roku „Doktor S.” – pochodzące od Skosowskiego, abym odbył rozmowę z jego przełożonym, kpt. Spilkerem, który gwarantuje mi całkowite bezpieczeństwo. Pragnie wykazać, że Niemcy są dalecy od mechanicznego stosowania polityki represji w stosunku do całego polskiego społeczeństwa, w którym widzą najbezwzględniejszych wrogów tylko na jego lewicy. A prowadząc ciężką walkę na wschodzie, dążą do takiego ułożenia stosunków w GG, które zapewni im maksimum spokoju. Rozmowa miała polegać na wymianie poglądów na istniejącą sytuację i na postępowanie Niemców w GG.

Myśliński w obawie, że cała sprawa jest prowokacją i pułapką, propozycję osobistego spotkania odrzucił. Dla szefa każdej służby wywiadowczej możliwość nawiązania tajnego kontaktu z przeciwnikiem jest jednak zbyt kuszącą perspektywą, aby łatwo z niej zrezygnować. Możliwość taka otwiera bowiem przed rasowym funkcjonariuszem wywiadu olbrzymie perspektywy.

„Doktor S.” zdecydował się więc na ostrożne nawiązanie kontaktu ze Spilkerem. Ale pośredniego. Swoje sugestie, opinie i pytania przekazywał przez Skosowskiego. Spilker odpowiadał tą samą drogą. Te nieformalne konsultacje dwóch przeciwników sprowadzały się de facto do jednego: Polak przekonywał Niemca do ograniczenia terroru wymierzonego w ludność cywilną. A Niemiec przekonywał Polaka do wstrzymania kontrterroru wymierzonego w aparat okupacyjny.

Wydaje się, że przyniosło to pewne efekty. Pod wpływem argumentów Myślińskiego Niemcy pod koniec 1942 roku przerwali jedną z dużych operacji wyłapywania mężczyzn na ulicach Warszawy i wysyłania ich do obozu na Majdanku. Udało się również pozyskać inne, drobniejsze ulgi. Akcja, która do tej pory miała charakter wymiany wzajemnych uprzejmości natury wywiadowczej, szybko nabrała zabarwienia politycznego.

Niemcy – wspominał „Doktor S.” – choćby na podstawie analizy prasy konspiracyjnej wiedzieli, że duża ilość organizacji podziemnych pojmuje toczącą się wojnę jako walkę z Niemcami i ze Związkiem Sowieckim. Wytknęli więc sobie jako cel podstawowy rozszczepienie Polski podziemnej na dwa zasadnicze odłamy. Lewicowy, z którym nie ma żadnego pardonu, i prawicowy-umiarkowany, do którego należy ustosunkować się elastycznie. Odciągnie się go bowiem od ewentualnego współdziałania z lewicą, a następnie wzmocni się jego polityczną akcję antylewicową, która powinna doprowadzić do współpracy z Niemcami. Pociągnięcia te zmierzały do stworzenia wstępnych przesłanek do politycznej i policyjnej kolaboracji.

Podtrzymywanie kontaktu przez Myślińskiego wzbudziło w Niemcach nadzieję, że to właśnie

on pomoże im zrealizować taki szeroki projekt. Szczególnie że delegaturę mieli znakomicie rozpracowaną i wiedzieli, że działają w jej ramach komórki o czysto antykomunistycznym nastawieniu. Choćby „Antyk", kierowany przez Henryka Glassa, zdeklarowanego wroga komuny, który bezskutecznie apelował do podziemia o podjęcie fizycznej likwidacji działaczy PPR. Wyglądało więc na to, że szukając porozumienia z podziemiem, warto zapukać właśnie do drzwi Delegatury Rządu na Kraj.

Gdy jednak Myśliński konsekwentnie odmawiał spotkania ze Spilkerem, a Skosowski został ciężko ranny w zamachu dokonanym przez egzekutorów AK, Niemcy zdecydowali się na bardziej zdecydowane działania.

> Wyszedłem na korytarz do ubikacji – wspominał Myśliński – a w parę minut po powrocie usłyszałem umówiony sygnał, szuranie ręką po drzwiach, a nie pukanie, wskazujący, że przybywa ktoś z wtajemniczonych. Otworzyłem drzwi i zobaczyłem 4 czy 5 mężczyzn po cywilnemu, z których jeden przystawiając mi do brzucha maszynowy rewolwer, zawołał po niemiecku „ręce do góry" i kazał mi cofnąć się do pokoju. Niemcy zrewidowali mnie, kazali mi położyć się na podłodze twarzą do ziemi i przystąpili do przeglądania papierów rozłożonych na stole, wyrażając różnymi okrzykami radość z powodu osiągniętej zdobyczy. Następnie skuto mi prawą rękę, za którą trzymał jeden z Niemców, i wyprowadzono mnie na ulicę do samochodu.

Aresztowania dokonano 12 maja 1943 roku w tajnym lokalu Delegatury Rządu na Kraj przy ulicy 6 Sierpnia.

„Doktor S." został przewieziony do gmachu Gestapo przy alei Szucha. Wpadką był zdruzgotany, szczególnie że papiery, które miał przy sobie, były dość sporej wagi. Uczucie to pogłębiły pierwsze przesłuchania, podczas których okazało się, że Niemcy mają rozpracowaną dokładnie nie tylko delegaturę, ale i samego Myślińskiego. Wiedzieli nawet to, że pracując, często trzyma pistolet na biurku, co znajduje się w jego skrytkach w podłodze i jak przeprowadza odprawy swoich ludzi.

„Na gestapo zostałem zasypany nazwiskami czołowych działaczy delegatury" – mówił po wojnie. – „Rozmiarem zorientowania gestapo w personaliach byłem przerażony i wstrząśnięty. Skąd i jakim sposobem padają w murach gestapo nazwiska, pseudonimy i funkcje najbardziej zdałoby się zakonspirowanych? Wrażenie było całkowite".

Niestety, pod tym silnym wrażeniem Myśliński sypał. Przesłuchującym go funkcjonariuszom zdecydowanie powiedział zbyt dużo. Była to zresztą jego stała cecha – jak wspominałem, również w powojennym, ubeckim śledztwie wykazał się niebywałą wręcz elokwencją. Szybko okazało się jednak, że aresztowanie „Doktora S." ma charakter taktyczny. Jego celem było „pogłębienie współpracy policyjnej i zapoczątkowanie kolaboracji politycznej".

Dlatego też Myśliński nie był bity, a Niemcy traktowali go – jak sam podkreślał – wyjątkowo grzecznie. Zwrócono mu zegarek, przynoszono obiady i kolacje z kasyna Gestapo,

dostarczono do celi papierosy. Jak widać, wobec Polaków, którzy „rokowali nadzieje”, było to stałą praktyką. Jeden z funkcjonariuszy policji, Bruno Schultz, pojechał nawet do partnerki i przyszłej żony Myślińskiego, Janiny Szynkiewiczowej, której przekazał, gdzie znajduje się jej partner. Pozwolił jej przekazać aresztowanemu świeżą bieliznę, paczki żywnościowe, a nawet książki.

Przesłuchania rozpoczęły się od propozycji Niemców: „A może pogadamy jak ludzie?”. I rzeczywiście tak to wyglądało. Stronę niemiecką reprezentował wspomniany Schultz i drugi funkcjonariusz, Alfred Otto. Obaj mówili po polsku i tak też porozumiewali się z Myślińskim. Ten zaś już na wstępie ostro skrytykował niemieckie poczynania w okupowanej Polsce:

> Niemcy podchodząc do sprawy Polski i poczynań ruchu oporu w sposób szablonowy, mechaniczny i typowo policyjny, postępują błędnie i sami sobie szkodzą najwięcej. Odpowiednich rozwiązań należy szukać nie po stronie bezmyślnego wyłapywania każdego konspirującego Polaka i wyniszczania ludności polskiej, co potrafi zrobić każdy policjant, ale po stronie podejścia politycznego.
>
> Głównym zainteresowaniem Niemców jest utrzymanie spokoju w GG, jako terenie stanowiącym bliskie zaplecze frontu. Nie rozumieją jednak, że wrzenie, którego skala niewątpliwie rośnie, wywołali sami swym postępowaniem od Wawra i Palmir poczynając oraz nie kończącymi się likwidacjami środowisk konspiracyjnych, które w swej istocie są również zainteresowane w utrzymaniu spokoju w GG. W tych warunkach najodpowiedniejszym sposobem na opanowanie rosnącego wrzenia jest nie terror, który musi prowadzić do coraz silniejszych odpowiedzi strony polskiej, ale wyrzeczenie się go, na co Niemców stać, gdyż są partnerem silniejszym.

Wygłoszenie podobnych poglądów przez ważną postać konspiracji musiało w kręgu oficerów SD rozbudzić spore nadzieje. Szczególnie że Myśliński silnie akcentował swoje nastawienie antykomunistyczne. Na prośbę Niemców „Doktor S.” sporządził w celi pisemną wersję swoich politycznych dezyderatów. Została ona przez warszawskie Gestapo przesłana do centrali w Berlinie. Sprawy posuwały się coraz dalej.

> Spisując swoją ocenę sytuacji – relacjonował Myśliński – dodałem stwierdzenie, że mimo daleko posuniętej walki między Polską a Niemcami istnieją w społeczeństwie polskim warstwy, w których można szukać oparcia dla rządu zdecydowanego na współpracę z Niemcami. Tu wymieniłem ziemiaństwo, chłopstwo, o ile poczyni się dla niego szereg koncesji natury gospodarczej, kupiectwo i przemysł oraz znaczną część duchowieństwa. Przy tej okazji wytykałem Niemcom, że koncepcji takiego rządu nie wysunęli od razu po kampanii wrześniowej, kiedy w społeczeństwie polskim istniało poważne zniechęcenie do postępowania zachodnich aliantów i rozżalenie na reżim, który doprowadził do klęski.

Podczas zeznań złożonych na UB w 1950 roku Myśliński tak komentował swoje ówczesne zachowanie:

> Wyobrażałem sobie, że polityka jest swego rodzaju żonglerką, dopuszczającą czasowe wiązanie się z jednym z przeciwników do zwalczania drugiego. Z czego można się wycofać w odpowiednim momencie przy otwarciu się nowych możliwości.

Zresztą w kołach, w których się obracałem, rozważano nie tylko trudności polityczne, jakie przyniosłoby konspiracji powołanie polskiego rządu quislingowskiego, ale mówiono również, że takie rozwiązanie miałoby swoje korzyści, widoczne na przykładzie Czechosłowacji. A w politycznej rozgrywce dawałoby dodatkowy instrument, możliwy w każdej chwili do usunięcia przez zdyskredytowanie ludzi oddelegowanych do wykonania takich zadań.

Wkrótce pierwszy etap śledztwa został zakończony. W czerwcu „Doktora S." przeniesiono do więzienia na Pawiaku. Nadal dostarczano mu tam paczki, obiady przynosiła mu kelnerka. Pozwolono mu również na spacery, choć podczas nich pilnował go uzbrojony w automat brat Brunona Schultza. Niemcy obawiali się bowiem, że ludzie „Doktora S." będą próbowali go odbić.

Otto powiedział, że wiele przemawia za tym, że zostanę zwolniony – wspominał Myśliński. – W odpowiedzi użyłem zwrotu nacechowanego fanfaronadą, że stojąc na stanowisku walki z Niemcami, której po zwolnieniu nie będę się wyrzekał, powinienem być przez nich rozstrzelany jako przeciwnik i wróg, co byłoby zgodne z niemieckim interesem. Wówczas padło oświadczenie, że Niemcy nie czują potrzeby zgładzania ludzi, którzy walcząc z nimi są zdecydowanymi przeciwnikami PPR i Związku Sowieckiego, a przecież takim człowiekiem jestem na pewno. Musiałem mu przyznać rację.

Następnie Otto i Myśliński opracowali razem sposób wypuszczenia go na wolność. Sprawa nie była bowiem prosta. Należało zachować ostrożność, aby konspiracja nie uznała, iż „Doktor S." podjął współpracę agenturalną z Gestapo, i z miejsca go nie odstrzeliła jako zdrajcy. Dlatego nie zgodził się on na odwiezienie go do mieszkania przy ulicy Piusa XI i wskazał na należący do znajomych dom letniskowy w podwarszawskim Piasecznie.

Na odchodnym Otto poprosił Myślińskiego o przekazanie delegaturze jego propozycji. Chciał zainspirować podziemie do podjęcia szerokiej akcji propagandowej wymierzonej w Związek Sowiecki. Zapowiedział, że Niemcy gotowi są dostarczyć maszyny drukarskie i papier oraz zapewnić ochronę drukarni przed bojówkami PPR. Po tej rozmowie Myśliński wyszedł na wolność. Był wrzesień 1943 roku, w niemieckim więzieniu spędził cztery miesiące.

Niemcy przewieźli mnie samochodem do Piaseczna – relacjonował. – Po drodze samochód zatrzymał się i w pobliżu dworca południowego wsiadła do niego moja przyszła żona. Po przybyciu na miejsce na werandzie osłoniętej dzikim winem przygotowała ona śniadanie z wódką, na które zaciągnęła wszystkich trzech Niemców, którzy mnie odwozili, wierząc, że poprzez żołądek można najwięcej zdziałać.

Po zwolnieniu Myśliński poinformował o podjętej grze swoich współpracowników z delegatury. Okazało się przy tym, że oni również – starając się o jego zwolnienie – nawiązali kontakt z Gestapo. Podporucznik Teofil Cyga „Credo" miał się spotkać z Alfredem Spilkerem w szczerym polu przy prowadzącej do Otwocka szosie miedzeszyńskiej. Cyga powiedział

wówczas Niemcowi, że po klęsce stalingradzkiej Niemcy przestali już stanowić zagrożenie dla Polski i na pozycję wroga numer jeden wysunął się Związek Sowiecki. W tej sytuacji aresztowanie takich ludzi jak Myśliński, a więc ideowych antykomunistów, jest po prostu absurdem.

Po wypuszczeniu Myślińskiego wszystkie te kontakty zostały podtrzymane. Zarówno on, jak i jego następca na stanowisku szefa wywiadu delegatury, Eugeniusz Gitterman „Eugeniusz", regularnie spotykali się z Niemcami. Głównie ze Spilkerem i jego prawą ręką, oficerem o nazwisku Steigert. Był to polski Niemiec, przedwojenny podchorąży armii II Rzeczypospolitej, który znakomicie mówił po polsku. Doszło również do incydentalnych kontaktów z funkcjonariuszami lubelskiego Gestapo.

Jedna z konferencji odbyła się na opisanej wyżej werandzie obrośniętej dziką winoroślą. Inna na Polach Mokotowskich, a kolejna w samochodzie krążącym na tyłach Okęcia. Myśliński na ogół jednak rozmawiał ze Spilkerem w jego apartamencie w pałacyku przy alei Szucha u wylotu ulicy Litewskiej. Myśliński kilka razy wyjeżdżał również – wagonem pierwszej klasy „Nur für Deutsche" – do Krakowa, gdzie rozmawiał z funkcjonariuszem wysokiego stopnia Hansem Schindhelmem. W byłej stolicy, gdzie relacje między Niemcami i Polakami wyglądały nieco inaczej niż w niepokornej Warszawie, Myśliński udał się nawet razem z oficerami SD do restauracji i na dancing.

O czym rozmawiano? Cały czas omawiano oczywiście „wielki projekt" – czyli zawarcie zawieszenia broni między podziemiem a Niemcami. Przy okazji udało się jednak załatwić kilka spraw drobnych. Jak choćby zwolnienie z aresztów szeregu działaczy delegatury. Niemcy zapewnili również rozmawiającym z nimi Polakom bezpieczeństwo, wystawiając im między innymi przepustki na poruszanie się po mieście po godzinie policyjnej. A także pozwolenia na noszenie broni.

Choć SD bardzo dokładnie rozpracowało delegaturę – razem z personaliami delegata, Jana Stanisława Jankowskiego – nie zdecydowało się na kolejne aresztowania i pozwoliło jej spokojnie funkcjonować. Działało to również w drugą stronę. Gdy porucznik Bolesław Kozubowski „Mocarz", znany w warszawskiej konspiracji „pistolet", powziął zamiar dokonania zamachu na Spilkera, członkowie delegatury wzięli go w obronę, jako „jedynego Niemca, z którym można się dogadać". Akcję odwołano.

Nie udało się natomiast załatwić innych spraw, o których Myśliński rozmawiał z Niemcami. A więc choćby ukrócenia działań nacjonalistów ukraińskich wyrzynających Polaków na Wołyniu i w Galicji Wschodniej. Niemcy odrzucili również sugestię „Doktora S.", aby schwytanych oficerów i żołnierzy AK, zamiast pakować do więzień jak przestępców, Niemcy

osadzali na honorowych warunkach w oflagach i stalagach. Jak wiadomo, ten postulat zrealizowano dopiero w czasie kapitulacji powstania.

> Prowadzona wymiana poglądów stanowi poważne osiągnięcie – pisał Myśliński – pozwala bowiem każdej ze stron na powzięcie odpowiedniej oceny sytuacji, ułatwia przełamanie narosłych nieufności oraz otwiera drogę do poczynienia sobie wzajemnych ustępstw tam, gdzie interes polityczny będzie tego wymagał. Istnieją warunki na to, aby przy odpowiednim postępowaniu Niemców na ziemiach polskich stworzyć taką sytuację, że nie będzie przelewana krew polska i niemiecka tam, gdzie nie jest to bezwzględnie konieczne.

Wspomniane kontakty trwały między majem a lipcem 1944 roku. Przerwał je wybuch Powstania Warszawskiego. Sprawa Myślińskiego dowodzi jednak, że nawet w głównym nurcie Polskiego Państwa Podziemnego znajdowali się ludzie nastawieni krytycznie do przyjętej przez nie, wyniszczającej naród, strategii.

Myśliński po wojnie znalazł się w Rzymie. A w 1946 roku – w żałosnych okolicznościach – przyjechał do okupowanej przez komunistów Polski. Oczywiście szybko został aresztowany przez UB. Długie lata spędził w więzieniu, a po wyjściu na wolność mieszkał w Warszawie. Zmarł kilkanaście lat temu. Mniej szczęścia miał Eugeniusz Gitterman. 9 maja 1945 roku został zabity strzałem w tył głowy w krakowskiej knajpie.

Wyrok podobno wydał na niego ostatni delegat rządu na kraj, Stefan Korboński, który obawiał się, że znany z gadatliwości „Eugeniusz” może opowiedzieć zbyt dużo o tajnych kontaktach na linii delegatura–Gestapo. Była to bowiem jedna z największych i najściślej strzeżonych tajemnic Polskiego Państwa Podziemnego.

Rozdział 44

Polacy, nie róbcie powstania!

Ćwierć wieku temu między historykami wybuchł spór na temat tajnych polsko-niemieckich rozmów na wysokim szczeblu, które podobno toczyły się w przededniu wybuchu Powstania Warszawskiego. Zaczął się on od artykułu, który w 1991 roku opublikował we „Wprost" Michael Foedrowitz. Niemiecki historyk napisał w tygodniku, że w ramach tych negocjacji Hauptsturmführer SS Paul Fuchs spotkał się z… generałem Tadeuszem Borem-Komorowskim.

Miało do tego dojść między 20 a 22 lipca, na polu niedaleko podwarszawskiego Józefowa. Obaj panowie zabrali ze sobą tłumaczy i uzbrojoną obstawę. Podczas trwającego kwadrans spotkania Fuchs próbował podobno namówić dowódcę Armii Krajowej do zaniechania planów powstańczych. Artykuł oburzył polskich badaczy, którzy nie zostawili na Foedrowitzu suchej nitki, przekonując, że do takiego spotkania dojść po prostu nie mogło.

Historyk z Berlina do dziś podtrzymuje jednak swoje zdanie i twierdzi, że w niemieckich archiwach odnalazł materiały dowodzące, iż rozmowa pod Józefowem się odbyła. Sprawę gmatwa jeszcze to, że od pewnego czasu krąży rzekomy, anonimowy zapis z tego polsko-niemieckiego spotkania. Udało mi się ustalić, kim był jego autor. Otóż został on sporządzony przez Stefana Falkowskiego, polskiego współpracownika radomskiego Gestapo, prawą rękę Hauptsturmführera Fuchsa. To właśnie on miał być tłumaczem biorącym udział w spotkaniu z dowódcą Armii Krajowej.

Problem polega na tym, że po wojnie przez kilkadziesiąt lat Falkowski był tajnym współpracownikiem komunistycznej bezpieki o pseudonimach „Czwartak" i „Lamot". I to właśnie dla swoich nowych mocodawców sporządził stenogram ze spotkania pod Józefowem. Jest więc bardzo prawdopodobne, że nowi mocodawcy po prostu zamówili u niego ten tekst, aby wykorzystać go w kampanii kompromitowania Armii Krajowej, jako organizacji współpracującej z Niemcami. A Falkowski wszystko to sobie wymyślił. Dokument jest rzeczywiście bardzo podejrzany. Oceńcie zresztą państwo sami:

Fuchs: Witam pana, panie generale. Jestem rad, że zgodził się pan przyjąć moje zaproszenie. Jeszcze raz pragnę zapewnić pana, że może się czuć zupełnie swobodnie i całkowicie bezpiecznie.

Bór: Szanowny panie, jeśli mogę tak się do niego zwrócić, chciałbym ze swej strony podziękować panu za dane mi gwarancje.

Fuchs: Panie generale, doszły nas słuchy, że zamierza pan 28 lipca ogłosić powstanie w Warszawie i że w tym celu czyni pan aktywne przygotowania. Nie liczy się pan z tym, że taka decyzja pociągnie za sobą rozlew krwi i cierpienia cywilnej ludności?

Bór: Jestem tylko żołnierzem i podporządkowuję się rozkazom kierownictwa, podobnie zresztą jak pan. Moje osobiste zdanie nie ma tu znaczenia, podlegam rządowi w Londynie, o czym niewątpliwie jest panu wiadomo.

Fuchs: Panie generale, Londyn jest daleko, oni nie mają rozeznania w tutejszej sytuacji, mowa jest o politycznych swarach. Pan jako znający tutejsze stosunki powinien przekazać informacje do Londynu.

Bór: To sprawa prestiżu. Polacy za pomocą Armii Krajowej chcieliby wyzwolić Warszawę i wyznaczyć tu polską administrację do momentu wejścia sowieckich wojsk. Chcemy ogłosić o tym jak o zaistniałym fakcie, który będzie czynnikiem decydującym o przyszłym losie Polski. Jednocześnie należycie oceniam pański niepokój, który i ja podzielam. Dlatego jestem gotowy zaproponować panu kompromisowy wariant. Niemcy wyprowadzą swoje wojska z Warszawy w ustalonym przez nas terminie. Dowództwo Armii Krajowej i Delegatura Rządu przejmą władzę w Warszawie w swoje ręce, zabezpieczą porządek i spokój w mieście. Mogę pana zapewnić, że oddziały Armii Krajowej nie będą nękać niemieckiego wojska opuszczającego Warszawę. Tym samym wszystko może obejść się bez rozlewu krwi.

Fuchs: Panie generale, doskonale rozumiem motywy, które panem kierują. To kwestia prestiżu, a nie rozsądku… Zdaje pan sobie sprawę z tego, że Sowiety po zajęciu Warszawy wszystkich was rozstrzelają za spisek z Niemcami, a Sowietom pomogą polscy komuniści, którzy niewątpliwie zechcą przechwycić inicjatywę.

Bór: Niewątpliwie to, o czym pan mówi, może mieć miejsce. Na tym poligonie Polacy grają rolę królików doświadczalnych, jestem tylko żołnierzem, nie politykiem, i muszę bezwarunkowo wypełniać rozkazy. Wiem, że znane jest panu miejsce mojej kryjówki i w każdej chwili możecie mnie aresztować, ale to nie zmienia sytuacji. Na moje miejsce przyjdzie inny i jeśli Londyn tak zdecyduje, to powstanie wybuchnie.

Fuchs: Panie generale, nie będę już dłużej nadużywał pańskiej cierpliwości, chciałbym podziękować za rozmowę, której efekty przekażę przełożonym w Berlinie A teraz proszę pozwolić, że pana pożegnam.

Jak ocenić tę zdumiewającą sprawę? Zacznijmy od samej rozmowy. Rzeczywiście trudno uwierzyć, żeby dowódca AK spotykał się na jakimś polu z oficerem niemieckich służb. I to tak niskiego stopnia jak Fuchs. Pomijając już kwestie prestiżowe, ryzyko byłoby po prostu zbyt wysokie. Szczególnie w tak newralgicznym momencie, gdy Armia Krajowa szykowała się do ostatecznej rozgrywki.

Z drugiej strony nie wydaje się, aby cała historia od początku do końca była powojennym ubeckim wymysłem. Skąd bowiem dotyczące jej dokumenty znalazłyby się w niemieckich archiwach? Falkowski opowiadał zaś o całej sprawie już podczas wojny, a więc jeszcze zanim związał się z komunistycznymi służbami. Tak przynajmniej wynika z informacji agenta o pseudonimie „Jan” przekazanych SB w roku 1957. Człowiek ten, podobnie jak Stefan Falkowski, w czasie II wojny światowej był współpracownikiem radomskiego Gestapo, a po jej zakończeniu przeszedł na służbę tajnej policji PRL.

Podczas okupacji Wende Karol [fałszywe nazwisko Falkowskiego] przychodził do niego do mieszkania – napisał oficer bezpieki w nieco bełkotliwej notatce z rozmowy z „Janem” – urządzali też pewne libacje. Wymieniony dużo nie lubił pić, lecz miał skłonność do kobiet. Jak zapodaje informacje „Jan”, Wende Karol mówił do niego w zaufaniu, że wyjeżdża wraz z szefem Fuchsem do Warszawy i tam wraz z innymi oficerami gestapo jadą do jednych z podwarszawskich miejscowości na konferencję z Borem-Komorowskim, głównym dowodzącym AK na Polskę. Powyższe konferencje były przed Powstaniem

Warszawskim i mieli być dwukrotnie.

Dzień przed Powstaniem Warszawskim informator „Jan” wybierał się jechać do Warszawy, natomiast Wende Karol vel Falkowski wstrzymał go od jazdy i powiedział, że w najbliższych dniach w Warszawie wybuchnie powstanie, gdzie faktycznie następnego dnia dane powstanie wybuchło.

Jeszcze kilka miesięcy przed Powstaniem Warszawskim informator „Jan” wraz z Wende Karolem jechali do Warszawy w pewnych sprawach, po załatwieniu mieli się spotkać w jednej kawiarni klubowej niemieckiej. Gdy siedząc razem przy stoliku, Wende wskazywał „Janowi”, że obok następnego stolika siedział wraz z innymi Bór-Komorowski główny dowódca AK i w ten sposób „Jan”, jak go określa, był szczupły, wysoki i łysy.

To ostatnie jest już absolutnym kuriozum. Myśl o tym, że „Bór” siedział sobie spokojnie w niemieckiej knajpie, jest po prostu niedorzeczna. Poza tym podany przez „Jana” rysopis generała Tadeusza Komorowskiego jest nieścisły. Rzeczywiście był on łysy i szczupły, na pewno jednak nie można o nim powiedzieć, że był wysoki. O co więc w tym wszystkim chodzi? Niewykluczone, że wszystko było po prostu jakimś dzikim wymysłem Falkowskiego lub rzeczywiście skomplikowaną ubecką operacją mającą zniesławić Armię Krajową.

Ja pozwolę sobie jednak postawić również trzecią hipotezę. Może rozmowa rzeczywiście się odbyła, tyle że strony polskiej nie reprezentował wcale generał Komorowski. Wydelegowany został na nią oficer niższego stopnia, a Fuchs w sporządzonym później raporcie chciał po prostu popisać się przed przełożonymi, twierdząc, że dotarł do samego dowódcy AK. Albo sam, razem z Falkowskim, został wprowadzony w błąd przez Polaków. Przybyły na spotkanie oficer AK przedstawił się jako „Bór”, ale w rzeczywistości był to ktoś inny.

To, że rozmowa się odbyła, uprawdopodobnia szereg innych źródeł. Jasno z nich wynika, że Niemcy byli znakomicie poinformowani o przygotowaniach do powstania. A także, że starali się wpłynąć na polskie podziemie, aby go zaniechało. Między innymi dowództwo niemieckiej armii w ostatnich dniach lipca demonstracyjnie przepuściło przez Warszawę długie kolumny czołgów jadących z zachodu na wschodnie przedpola stolicy. Miało to unaocznić mieszkańcom stolicy, że Wehrmacht wciąż jest potężny i bolszewicy mogą zostać odparci spod bram stolicy. A co za tym idzie, powstanie jest skazane na niepowodzenie.

W tym samym czasie Gestapo w Krakowie starało się namówić aresztowanego dowódcę tamtejszego okręgu AK, pułkownika Józefa Spychalskiego „Lutego”, żeby wysłał do „Bora” list, w którym spróbowałby skłonić dowódcę AK do powstrzymania ataku na Niemców i podjęcia z nimi współpracy w walce z bolszewikami. Mniej więcej to samo usłyszał znany nam już Tadeusz Myśliński, z którym na kilka dni przed powstaniem spotkał się gestapowiec Bruno Schultz.

Gestapo posiada informacje – relacjonował jego słowa Myśliński – że przygotowania powstańcze są prowadzone na bardzo

dużą skalę. Otóż jego zdaniem podobne projekty są grubo przedawnione, gdyż Polacy nie uwzględniają szeroko zakrojonych przygotowań Wehrmachtu do poważnej akcji kontrofensywnej, która może gruntownie zmienić obecną sytuację na korzyść Niemiec.

Na dowód, że tak jest istotnie, Schultz powiedział mi, że są na ukończeniu przerzuty wojsk pancernych do trzech zasadniczych rejonów. Działania te, okryte tajemnicą, rozpoczną się lada chwila, i że dopuszcza mnie do rzeczy bardzo istotnych, ale nie może postąpić inaczej, gdyż widzi, ku jakiemu nieszczęściu zmierzają Polacy.

Informacje te zostały natychmiast przekazane do Delegatury Rządu na Kraj i Komendy Głównej AK jako decydujące dla podjęcia decyzji o przeprowadzeniu powstania. Pokrywały się one zresztą z doniesieniami wywiadu AK, który alarmował, że Niemcy szykują się do wielkiej bitwy z bolszewikami na wschód od Warszawy. I nie wolno rozpoczynać powstania, dopóki nie zostanie ona rozstrzygnięta. Jeżeli bowiem Niemcy zatrzymają marsz Armii Czerwonej, powstanie utonie we krwi.

Za pośrednictwem Myślińskiego Niemcy przekazali podziemiu zapewnienie, że nie wyciągną żadnych konsekwencji wobec warszawiaków, który zignorowali wezwanie gubernatora Ludwiga Fishera do kopania szańców na przedpolach stolicy. W istocie bowiem wezwanie to nie miało – jak odebrali to Polacy – charakteru represyjnego, ale jego zamiarem było wciągnięcie ludności stolicy do antysowieckiej współpracy z Niemcami. Choćby za pomocą łopat.

Niemcy zapewnili też Myślińskiego, że nie będą atakować koncentrujących się w mieście żołnierzy AK. Zdawali sobie bowiem sprawę, że Warszawa jest niczym beczka prochu i wystarczy jedna iskra, żeby eksplodowała. Mieli tymczasem wystarczająco dużo kłopotów i ostatnią rzeczą, jaka im była potrzebna na zapleczu frontu wschodniego, było tracenie energii, sprzętu i czasu na tłumienie polskiego powstania.

Aby ostudzić bojowe nastroje Polaków, Niemcy zdecydowali się również na zwolnienie części więźniów politycznych z Pawiaka. Co ciekawe, jak wynika z powojennych zeznań „Doktora S.”, Spilker i inni oficerowie SD nie mieli zresztą nic przeciwko samemu powstaniu. Byle tylko wybuchło ono w odpowiednim dla nich czasie.

Linia niemieckiego postępowania była wytknięta w następujący sposób – wspominał były szef wywiadu Delegatury Rządu na Kraj. – Powstanie powinno wybuchnąć w takim momencie, kiedy plany Wehrmachtu będą przewidywały bezwzględną stratę Warszawy, a opanowanie jej przez AK nie natrafi na większe trudności wojskowe. W tym tylko przypadku osiąga się bowiem maksimum korzyści, gdyż akcja polska nie powoduje żadnych pokrzyżowań w operacjach niemieckich.

Natomiast uzyska ona pełne powodzenie, przez co w stolicy Polski lokują się elementy wrogie Związkowi Sowieckiemu. Szanse na bezpośrednie starcie z wojskami sowieckimi wzrastają, a tym samym na najbliższym zapleczu przeciwnika powstaje wysoce zagrożona sytuacja, która w skali międzynarodowej może doprowadzić do powikłań między aliantami a ich sojusznikiem wschodnim. Tak więc w planach Niemców powstanie warszawskie musi uzyskać powodzenie w momencie dla nich stosownym.

Stąd nie wolno było dopuścić do wybuchu powstania, kiedy Wehrmacht jest zdecydowany bronić Warszawy i podjął nawet

przygotowania do kontrofensywy.

Zwraca uwagę zbieżność koncepcji wyłożonej przez Spilkera w rozmowie z Myślińskim z tym, co wedle rzekomego stenogramu z rzekomej rozmowy pod Józefowem mówił Fuchsowi nieznany oficer AK. Czy oznacza to, że stenogram ten jest jednak autentyczny, tyle że po latach Falkowskiemu pomyliło się, kto co mówił? Czy w lipcu 1944 roku Niemcy naprawdę rozważali bezkonfliktowe przekazanie Warszawy w ręce Armii Krajowej, aby doprowadzić do konfrontacji Polaków z Armią Czerwoną? Sprawy tej na razie nie sposób rozstrzygnąć, wymaga ona dalszych, dogłębnych badań. Obawiam się jednak, że ze względu na jej niepoprawność polityczną chętnych nie będzie zbyt wielu.

Aby zakończyć ten wątek, warto na koniec przytoczyć fragment wspomnień hrabiego Adama Ronikiera z jego lipcowych rozmów z Hansem Schindhelmem, a więc – kolejny „zbieg okoliczności” – tym samym oficerem SD, z którym spotkał się w krakowskiej restauracji Myśliński.

Otrzymałem telefoniczne wezwanie od pana Schindhelma – wspominał polski arystokrata. – Z przerażeniem zupełnie szczerym powtarzał mi on w formie ostrzeżenia to, co się stanie, gdyby powstanie stać się miało faktem. Znowu nalegał na mnie gwałtownie o formułę porozumienia z AK, widząc w nim jedyną formułę dla uniknięcia wybuchu, którego widać, że się obawiał naprawdę.

Zakomunikowałem mu, że w gronie mych najbliższych przyjaciół rozważyliśmy wszystkie ewentualności i doszliśmy do zgodnego przekonania, że powstanie da się zażegnać jedynie wtedy, gdy ze strony niemieckiej dokonany zostanie czyn, który sytuację wzajemnych stosunków zasadniczo był w stanie zmienić. Takim czynem jedynym, realnie możliwym do wykonania, mogłoby być oddanie Warszawy przez Niemców dobrowolne, bez wystrzału, w ręce AK. I to wraz z odpowiednim terenem obejmującym najbliższe powiaty, który by obejmował lotniska dla sprowadzenia z Anglii odpowiedniej jednostki wojskowej polskiej, złożonej co najmniej z dwóch dywizji, a także przyjazdu przedstawicieli władz polskich.

Rozwinięty przeze mnie w ogólnych zarysach plan podobał się bardzo panu Schindhelmowi, który go nawet dalej w szczegółach ze mną omawiać zaczął i widział w nim wiele cech politycznych mogących dokonać zasadniczej zmiany w stosunkach pomiędzy Niemcami a Polakami, nie naruszając stosunku tych ostatnich do sojuszników anglosaskich. Prawie bez wahania oświadczył mi, że się zaraz porozumie z Berlinem i o rezultacie swych zabiegów mi zakomunikuje. Prosił, bym zapewnił sobie stawienie się na czas pełnomocników AK dla ostatecznego porozumienia.

Niestety było za późno. Ostrzeżenia Niemców i rozsądnych Polaków zostały zlekceważone. Grupa prących za wszelką cenę do walki oficerów AK sterroryzowała biednego „Bora” i doprowadziła do wybuchu powstania w najmniej odpowiednim momencie, gdy Niemcy pod Warszawą przeszli do kontrnatarcia. Tak jak przewidywali przeciwnicy tego szaleństwa, skutkiem podjętej w taki nieodpowiedzialny sposób decyzji była największa rzeź w dziejach narodu polskiego.

Adolf Hitler na wiadomość o polskim zrywie wpadł w szał i kazał zrównać miasto z ziemią.

Mój Führerze! – wtórował mu Himmler – to, co robią Polacy, stanowi dla nas błogosławieństwo. Za pięć–sześć tygodni poradzimy sobie z tym. Ale wtedy Warszawa, stolica, głowa i ośrodek inteligencji szesnasto–siedemnastomilionowego narodu polskiego, będzie zgaszona. Tego narodu, który od 700 lat blokuje nas na Wschodzie, a od czasu bitwy pod Grunwaldem ciągle staje na naszej drodze. Problem polski nie będzie już istniał potem dla naszych dzieci oraz tych wszystkich, którzy przyjdą po nas.

Gdy jednak opadły emocje, wściekłość zamieniła się w zdumienie, a to przerodziło się w podziw. Podziw, że dysponujący nikłymi siłami Polacy walczą z tak olbrzymią furią i determinacją. W efekcie, pierwszy raz od kampanii 1939 roku, przywódcy III Rzeszy zaczęli publicznie mówić o walorach bitnego polskiego żołnierza. Przemawiając 21 września 1944 roku do dowódców okręgów wojskowych i komendantów szkół oficerskich, Himmler wyrażał się o AK z estymą.

„To najtwardsza walka, jaką prowadzimy od początku wojny. Porównywalna jedynie ze Stalingradem" – mówił Reichsführer-SS. Następnie generała „Bora" i jego podziemną armię postawił słuchaczom za wzór wytrwania nawet w najbardziej dramatycznej sytuacji, niezachwianej wiary w zwycięstwo i nieustępliwości w walce. „Niemieccy żołnierze powinni brać z Polaków przykład" – przekonywał.

Słowa te stały się zwiastunem gruntownej rewizji Polenpolitik. Paradoksalnie to właśnie Powstanie Warszawskie ostatecznie skłoniło przywódców III Rzeszy do zmiany nastawienia do wschodniego sąsiada. Czyli to, co okazało się niemożliwe w 1940 roku, gdy upadła Francja, w 1941 roku, gdy wybuchła wojna niemiecko-sowiecka, i w roku 1943, gdy odkryto groby w Katyniu, stało się możliwe pod koniec 1944 roku, gdy Warszawa rzuciła się do walki z okupantem. Był to więc moment najmniej odpowiedni.

Rozdział 45

„Bór” – drugi Własow

Według niemieckiego historyka Heinricha Schwendemanna zawarty przez Niemców układ kapitulacyjny kończący Powstanie Warszawskie był podyktowany nadzieją na pozyskanie Polaków do wspólnej walki z bolszewizmem. Mniej więcej w połowie września stało się bowiem jasne, że Armia Czerwona nie ma najmniejszej ochoty przyjść na pomoc krwawiącej Warszawie. Niemcy w tej sytuacji mogli spokojnie zrównać miasto z ziemią, warszawską AK wystrzelać do ostatniego żołnierza, a mieszkańców zgładzić.

Mimo to zdecydowali się podjąć pertraktacje o honorowej kapitulacji z ludźmi, których jeszcze do niedawna uznawali za zwykłych bandytów. Mało tego, zaproponowane AK warunki poddania miasta były korzystne dla strony polskiej, zakładały ewakuację mieszkańców i przede wszystkim uznanie praw kombatanckich żołnierzy podziemia. Polscy historycy jak ognia unikają pytania, po co właściwie Niemcy poszli na takie polubowne rozwiązanie, skoro byli całkowitymi panami sytuacji.

Zachowane źródła świadczą, że Schwendemann miał rację. Niemcy naprawdę mieli nadzieję na to, że ci żołnierze Armii Krajowej, którzy przeżyli warszawską rzeź, będą z nimi walczyli ramię w ramię z Sowietami. Głupie? Bardzo. Ale jeżeli dotarli już państwo do tego miejsca tej książki, nawet największy niemiecki idiotyzm nie powinien was dziwić.

Zacznijmy jednak od anegdoty. Otóż według jednej z wersji przyzwoite warunki kapitulacji to w dużej mierze zasługa „Bora”. A konkretnie tego, że przed wojną był on znanym w całej Europie jeźdźcem, który osiągał sukcesy na międzynarodowych zawodach hippicznych. Między innymi w III Rzeszy.

Polacy byli twardzi i wymuszali na Bachu-Zelewskim ustępstwa jedno po drugim – wspominał urzędnik GG Gerhard von Jordan. – Gdy uzgodniono ostateczne warunki, Bach zatelefonował do kwatery głównej Führera o przyzwolenie. Zgłosił się adiutant Hitlera Hermann Fegelein, właściciel Bawarskiej Ujeżdżalni w Monachium, znany zawodnik zawodów konnych. Wsiadł on na Bacha, czy oszalał czyniąc takie ustępstwa! To w ogóle nie wchodzi w rachubę! Z takimi bandytami nie pertraktuje się.

W końcu zapytał:

– Co to za facet ten Bór?

– Ach – odpowiedział Bach. – Nie wie pan tego? To jest przecież ten znany skoczek konny, hrabia Komorowski. Tego musi pan przecież znać.

– O, ten!!! – wykrzyknął Fegelein. – Oczywiście znam go, fantastyczny facet. Jeśli tak, to co innego, chwileczkę proszę!

Po kilku minutach odezwał się i przekazał zgodę Hitlera na warunki kapitulacji.

Opowieść jest świetna, ale z prawdą ma niewiele wspólnego. Tak ważne sprawy nie były bowiem załatwiane w tak przypadkowy sposób. W trakcie powstania na szczytach władzy III Rzeszy trwała dyskusja na temat możliwości politycznego wykorzystania polskiego zrywu. Oczywiście rozpoczął ją Frank, który w wysłanym w pierwszych dniach sierpnia memoriale domagał się rozegrania karty polskiej – jego zdaniem „do tej pory nie rozegranej".

Zaproponował nawiązanie przez III Rzeszę stosunków dyplomatycznych z polskim rządem na wychodźstwie i zapewniał, że jest jedynym politykiem niemieckim, który mógłby prowadzić bezpośrednie rozmowy z premierem Stanisławem Mikołajczykiem i wypracować z nim jakieś „rozsądne rozwiązanie". Przestrzegał, żeby oddzielić „skrajną, awanturniczą część AK" od pozostałej części organizacji, którą można wciągnąć do akcji przeciwko komunizmowi. Uregulowanie relacji z Polską „po linii ogólnych interesów polskich" – dowodził – „byłoby wyrazem europejskiej odpowiedzialności".

Podczas oficjalnego przemówienia wygłoszonego 22 września 1944 roku – a więc gdy jeszcze na ulicach Warszawy żołnierze Armii Krajowej strzelali do Niemców – Frank pozdrowił w imieniu Führera „dzielny naród polski". Jednocześnie upomniał dowódcę garnizonu Warszawy, generała Reinera Stahla, aby podczas walki podległe mu oddziały „miały wzgląd na kulturalną spuściznę miasta".

Koła Wehrmachtu należały zresztą do zdecydowanych zwolenników ugody. Gdy na początku września doszło do pierwszych rozmów kapitulacyjnych, generał Günther Rohr mówił hrabinie Marii Tarnowskiej:

> Czy wasi przywódcy nie pojmują, jak wielkiej straty doznaje Polska, kiedy ginie tyle wspaniałej młodzieży? Czyżby nie rozumieli, że komunistyczna Rosja jest dla was większym od Niemiec zagrożeniem? Sojusznicy zdradzili Polskę, wydali ją na łaskę i niełaskę Sowietów. Chyba zdajecie sobie sprawę, co to oznacza na przyszłość. Jedyne rozsądne wyjście to przyłączyć się do Niemców i walczyć ze wspólnym wrogiem – komunistyczną Rosją.

Rozmowy te zostały przez „Bora" zerwane i ostatecznie kapitulacja miasta nastąpiła dopiero 2 października. Zawarty z Polakami układ wywarł w Berlinie duże wrażenie. To, że generał Komorowski zdecydował się poddać Niemcom, a nie przepłynąć Wisłę i dołączyć do Armii Czerwonej, zinterpretowano jako deklarację, że z dwojga złego woli Niemców od bolszewików.

Podobnie odczytano mianowanie go naczelnym wodzem. Nawiasem mówiąc, już wcześniej „Bór" był oceniany przez Berlin dość pozytywnie. Jak wynika z niemieckich dokumentów, podobał się tam jego rzekomy „ludowy nacjonalizm", który miał go impregnować na

komunizm.

Walki w Warszawie – pisał znany dziennikarz Maciej Józef Kwiatkowski – stały się najsilniejszym bodźcem do zmiany Polenpolitik wśród najtwardszego betonu w hitlerowskich wyższych sferach, głównie SS i służby bezpieczeństwa. W środowisku SS i RSHA powstało coś w rodzaju samozachwytu nad „nadzwyczajną wielkodusznością" okazaną powstańcom i udokumentowaną aktem kapitulacyjnym.

Próbę pozyskania Polaków wziął na siebie działający z polecenia Himmlera generał Erich von dem Bach-Zelewski, oficer Waffen-SS, który kierował grupą wojsk tłumiących powstanie. A przy tym człowiek o polskich korzeniach, darzący Polskę sporym sentymentem. Próbował on nakłonić „Bora" do objęcia umową kapitulacyjną AK na terenie całej Polski. Chodziło – jak się wyraził – o „powszechne zaniechanie małej wojny między Polakami a Niemcami".

Zachował się stenogram z telefonicznej wymiany zdań, do jakiej doszło 4 października 1944 roku między Bachem a generałem Waltherem von Lüttwitzem.

– Co z „Borem"? – zapytał Lüttwitz.

– Wielokrotnie próbowałem go skłonić, żeby wydał rozkaz zaprzestania walk dla całej Armii Krajowej. Wyjaśnił mi, że nie może już wydawać żadnych rozkazów.

Niemcy jednocześnie rozpoczęli rozmowy z wziętą do niewoli w Warszawie kadrą oficerską AK, którą nakłaniali do „wojskowej współpracy z Wehrmachtem w celu wspólnej walki z bolszewikami". Jako szeregowych do nowej polskiej armii planowali ściągnąć… warszawską młodzież, która właśnie wyszła ze spalonego miasta. Reakcja tych ludzi na podobne pomysły mogła być oczywiście tylko jedna.

Jednym ze świadków tych prób werbunku był Zdzisław Skwara, który po powstaniu trafił do obozu w Ożarowie. Przybył tam „elegancki oficer w dobrze skrojonym mundurze i w pięknie wyczyszczonych butach, mówiący nienaganną polszczyzną". Agitował on do wspólnej walki z bolszewikami. „Panie ładny!" – odpowiedziano mu. – „Do kogo ta mowa? Wynoś się pan, ale już! Zapomniał pan o waszych zbrodniach?"

Wygląda na to, że Niemcy wówczas już ostatecznie oderwali się od rzeczywistości. W zachowanych raportach Gestapo z tego okresu można bowiem znaleźć, napisaną zupełnie na serio, opinię, że po powstaniu po raz pierwszy w kołach oficerskich AK przyjmuje się „ze spokojem i jako prawdopodobne" powołanie u boku III Rzeszy polskich jednostek wojskowych do walki z bolszewizmem. Miał to być rzekomo skutek wrażenia, jakie wywołała niemiecka „wielkoduszność" wobec Warszawy.

„Na całe szczęście Niemcy nie stosowali podobnie liberalnych metod w 1940 roku – miał rzekomo powiedzieć jeden z oficerów. – Gdyby tak postępowali, 90 procent Polaków

zostałoby w tym czasie folksdojczami".

Tymczasem niemiecka prasa nagle przestała pisać o „podstępnych polskich bandytach", a zaczęła zachwycać się bohaterstwem „wspaniałych polskich żołnierzy". I z troską pochylała się nad tragedią Warszawy oraz losem Polski, oszukanej przez Anglosasów i wydanej na pastwę Stalina. „Oddziały AK w Warszawie wraz z całym uzbrojeniem oddają się wojskom niemieckim do dyspozycji" – pisali niemieccy dziennikarze.

Dowództwo Grupy Armii „Środek" jeszcze 5 października 1944 roku widziało możliwość „pozyskania polskich narodowych ugrupowań do neutralnej postawy, o ile nie do aktywnego wsparcia niemieckiej walki obronnej przeciwko bolszewizmowi". Do skaptowania Polaków Wehrmacht wyznaczył – mającego już pewne doświadczenie w tych sprawach – majora Juliusa Christiansena z Abwehry.

Jak więc widać, również na ogół twardo stąpający po ziemi oficerowie Wehrmachtu zaczynali tracić zdrowy rozsądek. Zaproponowali oni nawet objęcie dowództwa polskiej armii antybolszewickiej przebywającemu od 1939 roku w niemieckiej niewoli generałowi Tadeuszowi Kutrzebie. W archiwach zachowała się ulotka z tego okresu, skierowana do byłych żołnierzy Wojska Polskiego:

> Sądziliście, że nadchodzi Wasze wyzwolenie, gdy bolszewicy wkraczali do Waszych miast. Lecz obecnie poznaliście rzeczywiste oblicze żydowskiego systemu niewoli. Zrozumieliście również, że wy, Polacy, jesteście Europejczykami. Dumny orzeł polski z koroną nigdy nie powinien paść ofiarą sępa azjatyckiego! Nasze sąsiedztwo europejskie obowiązuje nas do wspólnej walki z bolszewizmem, niosącym żonom i dzieciom Waszym tylko głód i nędzę. Zapomnijcie wszystko, co kiedyś między nami było, tak jak myśmy to zapomnieli.

Oczywiście o żadnym zapomnieniu ze strony Polaków nie mogło być mowy. Zbyt świeże to były rany i zbyt głębokie. A już sugestia, że obie strony równo wobec siebie zawiniły, była oburzająca. Niemcy najwyraźniej nie zdawali sobie jednak sprawy ze swej niezręczności, bo przystąpili do rozmów z wziętym do niewoli „Borem". Powtórzyła się wówczas niemal dokładnie sytuacja sprzed roku, gdy w ich rękach znalazł się jego poprzednik – „Grot". Jak wspomniałem, negocjacje odbyły się przy okazji kapitulacji polskiej stolicy.

> Bach zaczął rozmowę od komplementów i słów uznania dla waleczności i odwagi obrońców Warszawy – wspominał „Bór" – po czym przeszedł na tematy polityczne. Wyraził mi współczucie z powodu losu, który nas spotkał. Podkreślił, że zdaje sobie w pełni sprawę z rozgoryczenia, jakie powstańcy i ludność Warszawy żywić muszą do Rosji i do swych sprzymierzeńców zachodnich. Nie wątpił, że po ostatnich doświadczeniach Polacy nie będą mieć żadnych złudzeń co do wrogich zamiarów Sowietów w stosunku do Polski. Niemcy i Polacy stoją wobec wspólnego niebezpieczeństwa i mają tego samego wroga.

Gdy „Bór" odpowiedział, że wrogiem Polski wciąż są Niemcy, Bach wyraził ubolewanie

z powodu błędów popełnionych wobec Polaków. I przekonywał, że „jest jeszcze czas, by te błędy naprawić”.

W dłuższym przemówieniu Bach wskazał na zagrożenie cywilizacji zachodniej, idące od Wschodu – wspominał tłumacz „Bora” kapitan Alfred Sas-Korczyński. – Polacy i Niemcy mają wiele wspólnego w swej historii, jeżeli chodzi o obronę przed wschodnim barbarzyństwem. W obliczu niebezpieczeństwa zalania przez nie obu narodów powinny one zaprzestać wzajemnego zwalczania się. W kierowniczych sferach niemieckich nastąpił przełom, jeżeli chodzi o stosunek do Polaków. On, von dem Bach, jest niezmiernie rad, że zdołał uzyskać zgodę najwyższych czynników Rzeszy na takie zakończenie walki, gdyż obrońcy Warszawy zasłużyli sobie na to swoim bohaterstwem. Układ kapitulacyjny powinien stać się punktem zwrotnym.

„Bór” zdecydowanie odrzucił propozycję. Mimo to ponawiano oferty wobec niego przez kolejne miesiące, gdy został wywieziony w głąb Rzeszy. Najpierw w koszarach Waffen-SS w Kruglanken w Prusach Wschodnich zapowiedziano mu, że „zaraz” zostanie przewieziony na spotkanie z Himmlerem. W naradzie z Reichsführerem-SS mieli wziąć udział wszyscy wzięci do niewoli generałowie AK. Rozeszła się nawet plotka, że na spotkaniu pojawi się sam Hitler, który namaści „Bora” na polskiego Własowa.

Najprawdopodobniej z uwagi na niechętną postawę generała zrezygnowano jednak z tego pomysłu i na razie polecono „urabiać go” oficerom niższego szczebla. Między innymi odpowiedzialnemu za sprawy polskie w RSHA Harro Thomsenowi. Znowu piłował on te same dwie propozycje: zawarcie tajnego układu o nieagresji albo „pójście na całość” i przejście przez AK z otwartą przyłbicą na stronę Niemców.

Żadna z tych ofert nie wywołała entuzjazmu „Bora”. W efekcie trafił do obozu jenieckiego w Langwasser pod Norymbergą. Tam w listopadzie nagabywali go jeszcze wysłannicy Himmlera. Po raz ostatni kuszenie generała Komorowskiego odbyło się zaś w kwietniu 1945 roku, a więc niemal w przeddzień kapitulacji III Rzeszy. Oczywiście polski generał Niemców przepędził i kilka dni później został wyzwolony przez Anglosasów.

Jak wynika z niemieckich dokumentów, Hitler w owym okresie cały czas wierzył w możliwość odwrócenia wojennej karty. Miotał się jednak między dwiema koncepcjami i reprezentującymi je koteriami. Według pierwszej koncepcji dyktator miałby wydać dwa edykty skierowane do Rosjan i Polaków. Zagwarantowałby w nich niepodległość obu krajów i w efekcie Wehrmacht – z odrodzonym Wojskiem Polskim i armią generała Własowa u boku – przystąpiłby do wielkiej kontrofensywy i znowu ruszył na Moskwę. Tu, jak się zdaje, spore plany wiązano z „Borem”.

Drugi wariant zakładał zawarcie separatystycznego pokoju ze Stalinem. Czyli dokonanie po raz kolejny spektakularnego dyplomatycznego zwrotu, który wprawiłby w zdumienie cały świat. Podpisanie nowego paktu Ribbentrop–Mołotow, na ołtarzu którego złożona zostałaby

Polska wraz z całą Europą Wschodnią i rosyjskim ruchem antykomunistycznym.

To, że podobne rozważania Führer snuł jeszcze na początku 1945 roku, świadczy najlepiej o tym, że – mówiąc kolokwialnie – pod koniec wojny „odpłynął". Myśl o wciągnięciu Polaków do wspólnej walki z III Rzeszą przeciwko Związkowi Sowieckiemu na przełomie 1944 i 1945 roku była bowiem po prostu niedorzeczna. Już pal sześć, że imperium Hitlera waliło się w gruzy i dla wszystkich było jasne, że wkrótce niewiele z niego zostanie. Przede wszystkim jednak – jak stwierdził jeden z bohaterów powieści Józefa Mackiewicza *Nie trzeba głośno mówić* – karta niemiecka była nie tylko zgrana, ale zdarta do krwi i ran.

Rozdział 46

Polnische Wehrmacht

Każdy czasami zmienia zdanie. Nawet Adolf Hitler. 24 października 1944 roku – pod silnym naciskiem doradców i w obliczu rozpaczliwej sytuacji militarnej – Führer wydał zgodę na werbunek Polaków do jednostek pomocniczych walczących u boku Wehrmachtu na froncie wschodnim. A przecież jeszcze dziewięć miesięcy wcześniej, 6 lutego 1944 roku, kiedy gubernator Hans Frank nakłaniał go do powołania Polaków pod broń, Führer na niego nawrzeszczał: „Za żadną cenę nie życzę sobie mieć nowej armii Piłsudskiego!”.

Dowódca Obszaru Wojskowego Generalne Gubernatorstwo, gdy tylko otrzymał nowe wytyczne, od razu wziął się do roboty. Polacy natychmiast o wszystkim się dowiedzieli. W jednej z krakowskich drukarni Niemcy rozpoczęli bowiem druk afiszy przedstawiających polskiego robotnika i niemieckiego żołnierza. Polak odkładał łopatę i przyjmował z rąk Niemca karabin. Podpis głosił, że Polacy tak dzielnie kopali rowy przeciwczołgowe, że teraz zasłużyli na walkę przeciwko bolszewikom z bronią w ręku razem z Wehrmachtem.

Gdy informacje o plakatach wypłynęły „na miasto”, w Krakowie wybuchła panika. Uznano bowiem, że Niemcy lada dzień powołają jakiś stworzony na kolanie kolaboracyjny rząd i rozpoczną regularny pobór do wojska. 2 listopada 1944 roku w sprawie tej interweniował nawet nowy prezes Rady Głównej Opiekuńczej, Konstanty Tchórznicki, przekonując Niemców, że w grę może wchodzić tylko werbunek ochotniczy.

Według dowództwa Grupy Armii „Środek” oddziały polskie miały liczyć na początek 12 tysięcy żołnierzy. A potem 150–175 tysięcy. Zabroniono przy tym opatrywania nowych sojuszników upokarzającym określeniem „Hiwis” (chętni do pomocy), używanym w odniesieniu do narodów wschodnich. Polacy, którzy w Powstaniu Warszawskim udowodnili w oczach Niemców, że są pełnowartościowym narodem Europy Zachodniej, mieli być traktowani na równi z nimi. Przewidziano dla nich takie samo wyposażenie, jedzenie i żołd jak dla Niemców.

Przez pewien czas rozważano, czy nie nazwać tej armii Polnische Waffen-SS, całe szczęście stanęło jednak na Polnische Wehrmacht. Zamiennie stosowano również nazwę Legion Orła Białego i właśnie taki kryptonim – „Orzeł Biały” – nadano całej operacji. „Niemieckie Siły Zbrojne prowadzą zdeterminowaną walkę w obronie Europy przed bolszewizmem. Każdy

uczciwy pomocnik w tej bezpardonowej walce będzie witany w Wehrmachcie jako kolega” – przekonywali Niemcy.

Nabór rozpoczęto za pomocą ogłoszeń w prasie, które ukazały się w drugiej połowie listopada, oraz plakatów. W poszczególnych miastach rozstawiono punkty werbunkowe przystrojone zielonymi girlandami, biało-czerwonymi flagami i polskim godłem państwowym. W środku, obok siebie, wisiały portrety Hitlera i Piłsudskiego.

„Przed koszarami 72 pułku piechoty na wysokim maszcie powiewała biało-czerwona flaga. Wielki napis głosił: «Wehrmacht czeka na ciebie! Walcz razem z nami przeciwko bolszewizmowi». Na widok flagi wzruszenie ścisnęło mi gardło” – wspominał Józef Paweł Radomski, jeden z ochotników, którzy przystąpili do tej formacji w Radomiu. Żołnierz ten pozostawił jedyną znaną relację ze służby w Polnische Wehrmacht.

18 listopada w Krakowie zorganizowano tymczasem przemarsz pięćdziesięciu młodych żołnierzy, którzy mieli się zgłosić do jednostki. Ubrani byli w niemieckie mundury z polskimi naszywkami, kazano im również śpiewać polskie piosenki żołnierskie. W rzeczywistości nie byli to jednak żadni ochotnicy, ale uchodźcy z Warszawy, których wyselekcjonowano w obozie w Pruszkowie i w Auschwitz, a następnie zmuszono do „ochotniczej służby” w Wehrmachcie.

> Zaciąg do tej służby idzie ciężko i daje rezultaty minimalne – oceniono w jednym z raportów Delegatury Rządu na Kraj. – W pewnym stopniu uzyskano je tylko w obozach i więzieniach. Z prowincji nadchodzą wiadomości, że w licznych wypadkach lokalne władze okupacyjne zmuszają do zgłoszeń, w innych miejscowościach rozgłaszają, że nastąpiło porozumienie polsko-niemieckie i że wyszedł rozkaz do członków AK, aby zasilali szeregi nowej niemieckiej formacji przeciw bolszewikom.

Według polskich źródeł do szeregów Polnische Wehrmacht udało się pozyskać zaledwie 471 Polaków, a według niemieckich – od 700 do 2 tysięcy. Dlatego właśnie łakomym okiem patrzono na obozy jenieckie. W grudniu 1944 roku w oflagach i stalagach wciąż siedziało około 70 tysięcy polskich żołnierzy. Więcej niż połowa z nich nadawała się do służby frontowej. Próby werbunku zostały podjęte co najmniej w kilku obozach, między innymi w Blankenburgu w Harzu.

Odrzucono natomiast pomysł szukania rekruta wśród Polaków żyjących na terenach włączonych do Rzeszy. Berlin uznał bowiem, że są oni cenniejsi jako dobrzy robotnicy niż jako niepewni żołnierze. Mimo to na ziemiach zachodnich krążyły plotki o tym, że Niemcy powołają do życia olbrzymią polską armię antybolszewicką, która osiągnie stan przedwojennej armii polskiej przy pełnej mobilizacji, czyli 3 miliony żołnierzy. Był to oczywiście absurd, skoro Niemcy nie mogli zebrać nawet kilku tysięcy ludzi.

> W więzieniach w Piotrkowie i na Montelupich w Krakowie próbowano namawiać więźniarki, z nikłym jednak skutkiem –

pisał historyk profesor Jerzy Kochanowski. – Ewentualnych chętnych zrażał coraz brutalniejszy sposób werbunku (pod Radomiem organizowano łapanki i odmawiających zapisywania się kierowano do kopania okopów) oraz mało zgodne z obietnicami traktowanie rekrutów. Na przykład 170-osobowa kompania z koszar na ul. Zwierzynieckiej w Krakowie otrzymała mundury słowackie, a wprowadzenie bezwzględnego drylu i niemieckiej komendy szybko doprowadziło do dezercji.

Jak widać, wszystko było organizowane chaotycznie i pospiesznie. A Niemcom przyzwyczajonym do komunikowania się z Polakami za pomocą dzikich wrzasków nie tak łatwo było przestawić się na nową linię Polenpolitik. Mimo to zdołano jakoś rozpocząć szkolenie ochotników, którzy zostali skoszarowani w kilku punktach na terenie resztek Generalnego Gubernatorstwa, które na przełomie 1944 i 1945 roku były jeszcze w rękach niemieckich.

Żołnierzom dano do wyboru służbę czteromiesięczną albo do końca wojny. W drugim wypadku składali oni normalną niemiecką przysięgę wojskową: „Składam wobec Boga tę świętą przysięgę, że w walce o przyszłość Europy w szeregach niemieckiego Wehrmachtu będę bezwzględnie posłuszny Naczelnemu Dowódcy Adolfowi Hitlerowi i jak dzielny żołnierz jestem gotowy w każdej chwili poświęcić życie dla tej przysięgi”.

Żołnierze otrzymali kartki żywnościowe Wehrmachtu i książeczki wojskowe. Ochotnicy zostali objęci opieką lekarską i duszpasterską, a także ubezpieczeni. Na wypadek śmierci na froncie ich rodziny miały otrzymywać niemieckie państwowe zasiłki. W wolnym czasie mogli zaś chodzić do restauracji i sal kinowych „Nur für Deutsche”. A nawet dostali specjalne talony do wojskowych burdeli.

Dochodziło zresztą do kuriozalnych sytuacji, kiedy nadgorliwi Niemcy po zajęciach prowadzili młodych polskich żołnierzy do świetlicy i kazali im tam słuchać płyt z polskimi pieśniami patriotycznymi. Ci oczywiście buntowali się, gdyż zdecydowanie woleli posłuchać ówczesnego szlagieru *Lili Marleen* Marleny Dietrich.

Żołd dla szeregowych wynosił 90 złotych, kaprali 108 złotych, a plutonowych 150–210 złotych. Etaty oficerskie zajęli Niemcy, głównie przedwojenni obywatele II Rzeczypospolitej, którzy znali język polski i mogli wydawać rozkazy żołnierzom. Część z nich przed wojną odbyła zresztą zasadniczą służbę wojskową w polskiej armii. Polaków umundurowano zgodnie z normami Wehrmachtu, na ramieniu naszyto im zaś małą biało-czerwoną flagę lub czerwoną tarczę z białym rysunkiem husarskiego skrzydła.

Broń, a więc rzecz najważniejszą dla żołnierza, miano Polakom wydać dopiero po dwumiesięcznym okresie próbnym. Łatwo się domyślić, jak żołnierze odebrali tak demonstracyjne okazywanie braku zaufania przez sojusznika.

Jednak Wehrmacht wykonał również szereg pojednawczych gestów. Według specjalnego

rozkazu żołnierze jednostek wschodnich mieli być z miejsca rozstrzeliwani za wszelkie gwałty na polskiej ludności cywilnej. Gdy Gauleiter Erich Koch postanowił deportować kilka tysięcy polskich robotników do sypania szańców w Prusach Wschodnich, niemieckie wojsko po prostu zatrzymało pociągi i uwolniło Polaków. Dowództwo Wehrmachtu podjęło nawet starania o kupienie gadzinowego „Nowego Kuriera Warszawskiego", aby móc bezpośrednio komunikować się z narodem polskim. Teraz już narodem sojuszniczym.

Wróćmy jednak do Polnische Wehrmacht. Reakcje Polaków na utworzenie tej jednostki były różne, różnie też oceniano ludzi, którzy zdecydowali się do niej zaciągnąć. Dowodzi tego przykład wspomnianego Józefa Pawła Radomskiego. Część inteligencji z jego rodzinnego Radomia poparła krok młodego żołnierza i jego kolegów.

W Polsce powstanie zbrojny opór przeciwko sowieckiej okupacji – mówił biorący udział w tajnym nauczaniu profesor Stanisław Zając. – Wtedy przyda się każdy, kto ma jakieś przeszkolenie wojskowe. Także ci, których wyszkolili Niemcy. Po klęsce Niemiec rozpocznie się między Rosjanami a aliantami nie wypowiedziana dywersyjno-wywiadowcza wojna. Antybolszewicy wyszkoleni przez Niemców będą na wagę złota. Czy to są zdrajcy? Ci Polacy, którzy wybrali służbę u Niemców, uważają, iż należy pomniejszyć sukces Rosjan. Mają nadzieję, że uda się powstrzymać bolszewików na linii Wisły, aż do przyjścia aliantów. Czy mają rację – oto jest pytanie.

Józef Radomski dużo mniej zrozumienia znalazł u własnej rodziny.

Większość najbliższych wyparła się nas – wspominał. – Na ulicy ludzie odwracali głowy na nasz widok, a wszyscy mówili: „Niemcy jak gnietli, tak gniotą". Pewnego dnia, wychodząc z kina dla Niemców, natknąłem się na moją matkę. Podeszła do mnie i powiedziała: „przeklinam ciebie!" Koledzy pocieszali mnie, mówiąc: „dobrze, że się skończyło tylko na przekleństwach". Wielu z nas dostało od starych po pysku.

Dlaczego Radomski zdecydował się na wstąpienie w szeregi Polnische Wehrmacht? Zdecydował antykomunizm. Uważał, że aby bronić ojczyzny przed bolszewizmem, może sprzymierzyć się z każdym. Taka też była motywacja zdecydowanej większości jego kolegów. Choćby grupy rekrutów, którzy przybyli świeżo z Ziem Wschodnich, gdzie byli świadkami sowieckich bestialstw popełnionych na ich rodzinach, i dyszeli żądzą odwetu.

W pierwszych tygodniach służby Polacy rzeczywiście wykonywali zadania głównie pomocnicze. Ewakuowali szpital wojskowy z Radomia do Poznania, wozili furmankami i ciężarówkami zaopatrzenie do rozmaitych jednostek Waffen-SS i Wehrmachtu. Wreszcie, w grudniu 1944 roku, wydano im broń. Podoficerom pistolety Parabellum lub Walther, żołnierzom karabiny Mauser wzór 1898. Oraz karabiny maszynowe Bergmann.

Wtedy też rozpoczęło się szkolenie wojskowe z prawdziwego zdarzenia: strzelanie, szturmowanie punktów umocnionych, obsługa panzerfaustów i panzerschrecków. Co ciekawe,

Polaków zwolniono z obowiązku używania pozdrowienia „Heil Hitler!”, wprowadzonego do wojska po zamachu na Führera 20 lipca 1944 roku. W przeciwieństwie do niemieckich kolegów mogli również salutować w tradycyjny polski sposób, przykładając dwa palce do daszka czapki lub otoku hełmu.

Z koleżeństwem bywało jednak różnie. Jedni Niemcy odnosili się do Polaków bardzo serdecznie, inni z nienawiścią. Z tymi ostatnimi dochodziło do bójek na pięści, które dowództwo starało się tuszować.

Owe bójki były jedynymi walkami, jakie przyszło stoczyć Polakom w niemieckich mundurach. Polnische Wehrmacht nigdy bowiem nie trafił na front. Zanim polscy żołnierze zakończyli niezbędne szkolenie, całe terytorium Rzeczypospolitej znalazło się pod okupacją sowiecką. Na pomysł utworzenia takiej formacji zdecydowano się więc po prostu o wiele za późno. Stąd również wynikała jej niewielka liczebność. Gdyby na podobną inicjatywę Niemcy zdecydowali się w roku 1941, wyglądałoby to zapewne zupełnie inaczej.

Jak jednak wynika z niemieckich dokumentów, Polacy walczyli w regularnych jednostkach Wehrmachtu. I nie chodzi tu wcale o mieszkańców ziem zachodnich wcielonych siłą do Wehrmachtu jako Niemców. Chodzi o polskich ochotników, którzy uważali, że ich obowiązkiem jest bronić ojczyzny przed bolszewizmem. Nawet w szeregach obcej armii. Niemieckie wojsko, któremu pod koniec wojny rozpaczliwie brakowało rekruta, przymykało oko na kwestie rasowe.

Według stanu na 31 grudnia 1944 r. w składzie dwóch grup armii broniących się na terytorium Polski było ok. 6 tys. Polaków – pisał znawca tej problematyki Jarosław Gdański. – Byli i tacy Polacy, którzy zgłaszali się do Wehrmachtu nawet w ostatnich miesiącach wojny. Dowództwo 523. zapasowo-szkolnego pułku grenadierów 15 stycznia 1945 r. meldowało: „Od pewnego czasu zgłaszają się do pułku polscy ochotnicy z obozu szkoleniowego Organizacji Todta w Falkensee z wnioskiem o zostanie żołnierzem Wehrmachtu. Są to przede wszystkim młodzi chłopi w wieku 18–23 lat, znający trochę język niemiecki i według kierownika obozu po zakończeniu szkolenia chcieliby wstąpić do Wehrmachtu lub Waffen SS”. Natomiast z notatki z 3 marca 1945 r., nadesłanej do Oddziału Organizacyjnego Naczelnego Dowództwa Wojsk Lądowych z rejonu Berlina i Poczdamu wynika, że do niemieckiego wojska przyjęto Polaków zgłaszających się do „walki z bolszewizmem”.

Dalsze losy żołnierzy Polnische Wehrmacht są niejasne. Wiadomo, że część, między innymi Józefa Radomskiego, skierowano na specjalny kurs dywersyjny do Pragi czeskiej, innych rozdzielono i wykorzystano do rozmaitych poślednich funkcji. Niewykluczone również, że formacja rozproszyła się podczas sowieckiej ofensywy zimowej. Nic nie wyszło również z prób zmontowania wzorowanego na walczącym u boku Brytyjczyków Dywizjonie 303. – Polskiego Hufca Lotniczego (Polnische Flieger Abteilung).

„Widzi pan” – mówił w latach siedemdziesiątych Radomski w rozmowie z Henrykiem

Kawką – „ja jestem zdania, że pojednanie polsko-niemieckie jest niezbędne, aby uratować Europę przed rosyjskim imperializmem: białym, czerwonym czy różowym. Pod koniec 1944 roku na prawdziwe pojednanie było za późno. Ale próby były".

Oczywiście Radomski miał rację. Pojednanie polsko-niemieckie jest rzeczą niezbędną, a Europie zagrażał i zagraża rosyjski imperializm. Trudno jednak uwierzyć w szczere intencje Niemców. Próba stworzenia Polnische Wehrmacht została podjęta w 1944 roku nie dlatego, że Niemcy nagle zapałali miłością do Polaków, ale dlatego, że znaleźli się w rozpaczliwej sytuacji. Bolszewicy zbliżali się do Berlina, dywizje Wehrmachtu były wykrwawione i III Rzesza nie miała już skąd brać rekruta.

> Do historycznego profetyzmu – pisał profesor Jerzy Kochanowski – należy odpowiedź na pytanie, czy gdyby latem 1941 roku, czy wiosną 1943 roku Hitler wykazał się mniejszym uporem, zaoferował Polakom takie warunki jak na przykład w końcu 1944 roku, to rzeczywiście Dywizja Orła Białego ruszyłaby na front wschodni. Nie musiałaby to być nawet specjalnie liczna jednostka, gdyż umiejętnie przeprowadzona akcja propagandowa jest w stanie z drobnej potyczki niewielkiego oddziałku zrobić decydujące zwycięstwo. Przykład bitwy pod Lenino, gdzie hekatombę Polaków udało się przedstawić jako triumf, dobrze o tym świadczy.

Bez wątpienia zdumiewać musi niebywała nieudolność, z jaką Niemcy wzięli się do klecenia tej polskiej armii. Była to jednak stała cecha Polenpolitik w latach 1939–1945.

Według powszechnego wyobrażenia – ukształtowanego głównie na podstawie propagandowych peerelowskich filmów – Niemcy w Polsce prowadzili bardzo konsekwentną politykę. To nieprawda. W rzeczywistości Niemcy nie prowadzili w Polsce żadnej polityki. Przez całą okupację miotali się od ściany do ściany, nie potrafiąc się zdecydować, jak postąpić z pokonanym sąsiadem.

Rację miał jeden z urzędników rządu Generalnego Gubernatorstwa, który w kwietniu 1943 roku w memoriale napisanym do Berlina napisał, że Niemcy nie prowadzą Polenpolitik, lecz Zick-Zack-Politik. Jest to bodaj najtrafniejsze określenie blisko sześcioletnich poczynań III Rzeszy nad Wisłą. Represje szły tu na przemian z kokietowaniem podbitego narodu i szukaniem z nim jakiejś formy politycznego porozumienia.

Wszystko zależało od tego, która z koterii, propolska czy antypolska, była akurat górą w Berlinie. Niemcy potrafili w jednym miesiącu ograniczyć terror i próbować dogadać się z Polakami, miesiąc później zaś – gdy ze stolicy Rzeszy zawiały inne wiatry – znowu spuszczali z łańcucha Gestapo i SS. Doprowadzało to do dezorientacji zarówno Polaków, jak i Niemców. Był to istny dom wariatów.

Zdumiewające, że nawet w ostatnich dniach III Rzeszy Niemcy nie mieli Polakom nic do zaoferowania. Do samego końca ich propozycje były ogólnikowe. Hans Frank podczas

rozmów politycznych prowadzonych z Radą Główną Opiekuńczą w listopadzie 1944 roku zupełnie na poważnie zadeklarował, że po pomyślnym zakończeniu wojny Hitler na pewno nagrodzi Polaków autonomią…

Podobnie było podczas innych ówczesnych polsko-niemieckich negocjacji. Niemcy potrafili się zdobyć tylko na mgliste deklaracje. Nie było wiadomo ani jaki kształt terytorialny będzie miała „nowa Polska" wchodząca w skład niemieckiej „nowej Europy", ani nawet, czy taka Polska w ogóle powstanie. Wszystko miało być rozstrzygnięte w jakiejś bliżej nieokreślonej „przyszłości".

Mowa była o „wstępnych ustępstwach". Zapowiadano „rychłą zmianę", do której „sytuacja wkrótce dojrzeje". Chyba najbardziej konkretny był wspomniany Hans Frank, który mówił o „pewnych formach samorządu u boku niemieckiego kierownictwa", o „zezwoleniu na pewne formy życia kulturalnego", „uwzględnieniu niektórych życzeń Kościoła". Pod koniec października 1944 roku ogłosił zaś triumfalnie, że Polacy mogą liczyć na… powołanie przedstawicieli ludności polskiej przy starostwach powiatowych, gubernatorach i rządzie Generalnego Gubernatorstwa.

Tyle mieli do zaoferowania Niemcy po pięciu latach krwawej kampanii gwałtów, grabieży, mordów i upokorzeń, jaką zafundowali Polakom. Kampanii, którą zwieńczyła krwawa łaźnia Powstania Warszawskiego. Decydujący był oczywiście opór samego Hitlera, który nawet gdy w oczy zajrzała mu katastrofa, nie potrafił się zdobyć na żaden gest pod adresem polskiego narodu.

> Hitler popadał w coraz większe niezdecydowanie – pisał profesor Eugeniusz Cezary Król – nie mogąc rozwikłać narastającej sprzeczności między ideologicznym dogmatem a wojenną koniecznością. Wszystko pozostawało więc po dawnemu, jeśli nie liczyć nowych akcentów w pismach i naradach służbowych oraz propagandzie.

Jaskrawo kontrastuje to z tym, co w tym samym czasie dawał Polakom Stalin. Choć sowiecki przywódca chciał Polskę ujarzmić, a Polaków zsowietyzować – gotów był obiecać im wszystko. 22 lipca 1944 roku powołał do życia Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, który szermował patriotyczną retoryką i zapowiadał utworzenie wolnej, potężnej Polski.

Stworzone przez Stalina polskojęzyczne oddziały Armii Czerwonej (armia Berlinga) walczyły pod biało-czerwonymi sztandarami i z orzełkami (choć wykoślawionymi) na hełmach. Komunistyczne marionetki, które miały w imieniu Stalina rządzić Polską, brały udział w procesjach i patriotycznych nabożeństwach. Tak właśnie robi się rozsądną politykę. Jak robi się politykę idiotyczną – pokazali w tej wojnie Niemcy.

Rozdział 47

Pakt NSZ–Fuchs

Po podbiciu Polski Niemcy długo wychodzili z założenia, że spośród dwóch wielkich obozów politycznych przedwojennej Polski łatwiej im będzie się porozumieć z piłsudczykami. O przesłankach, na których oparli to przekonanie, już pisałem. Narodowa Demokracja w Berlinie jawiła się zaś jako nieprzejednany wróg, wiedziano tam bowiem o silnym antyniemieckim nastawieniu tej formacji. Dlatego też to właśnie na endecję w pierwszej fazie okupacji spadły najcięższe, najbardziej krwawe represje.

Z czasem jednak Niemcy zaczęli dostrzegać, że wielu endeków ma bardzo pragmatyczne poglądy. Zgodnie z ideologią Romana Dmowskiego – który był wielkim realistą i krytykiem tradycji romantyczno-powstańczej – przeciwstawiali się oni bezmyślnemu szafowaniu polską krwią. Ostrzegali również przed naiwną wiarą w wierność zachodnich sojuszników.

Część endeckich działaczy starej daty szybko doszła do wniosku, że należy szukać jakiegoś kompromisu z okupantem. W radiogramie wysłanym 10 grudnia 1941 roku przez polskie podziemie do Londynu alarmowano o działaniu „Grupy Profesorskiej" Stronnictwa Narodowego, która opowiadała się za „gospodarczo-społeczną współpracą z Niemcami". Wchodzący w jej skład naukowcy powoływali się przy tym na troskę o zachowanie biologicznej substancji narodu.

Niemcy, którzy mieli dość niezłe rozeznanie w stosunkach panujących w polskim Londynie, nie mogli również nie zauważyć, że działający na wychodźstwie endecy znaleźli się w ostrym konflikcie z rządem Władysława Sikorskiego. Przywódca Stronnictwa Narodowego Tadeusz Bielecki opuścił gabinet w proteście przeciwko podpisaniu paktu Sikorski–Stalin, a niezwykle popularny działacz młodego pokolenia Adam Doboszyński domagał się wprost dymisji premiera, za co poddano go represjom.

Im dłużej więc trwała wojna, tym większe zainteresowanie Niemcy wykazywali obozem narodowym, a szczególnie Narodowymi Siłami Zbrojnymi. Ta zbrojna organizacja podziemna wykazywała się bowiem dużo większym rozsądkiem niż Armia Krajowa. O tym, jak mądra i patriotyczna była strategia Narodowych Sił Zbrojnych, mogą państwo przekonać się sami dzięki wydanej niedawno przez IPN antologii publicystyki konspiracyjnej podziemia narodowego *Żeby Polska była polska*. Oto kilka fragmentów z tragicznego roku 1944:

10 lutego 1944, „Armia Narodowa”

W ostatnich miesiącach rozpoczęła AK czynną akcję terrorystyczno-dywersyjną przeciwko okupantowi. Władze okupacyjne w początkowej fazie reagowały na tę akcję w Warszawie stosunkowo słabo. Natomiast na prowincji wypadami policyjnymi robiły masakrę wśród niewinnej ludności. Władze okupacyjne [następnie] przystąpiły do pacyfikacji Warszawy. Pacyfikacja ta rozpoczęła się masowymi łapankami i publicznymi rozstrzelaniami.

Kierownictwo AK w odwet za to przystąpiło do wysadzania pociągów oraz napadów na samochody. Akcja ta wywołała jeszcze sroższe represje na ludności. Czy strzelanie do pojedynczych żołnierzy i policjantów oraz wysadzanie pociągów, gdzie zostaje zazwyczaj zabitych kilku Niemców i wielu Polaków, oraz uszkodzenie torów na parę zaledwie godzin z wojskowego punktu widzenia jest celowe? Czy w ogóle ta cała akcja terrorystyczno-dywersyjna jest celową? Każdy zdrowo myślący i mający na uwadze dobro narodu polskiego odpowie, że nie. Akcja ta jest więc akcją nieprzemyślaną, za którą kierownicy AK powinni być w przyszłości pociągnięci do odpowiedzialności.

21 lipca 1944, „Szaniec”

Z przerażeniem zaczynamy obserwować stopniowe załamywanie się odporności wobec Rosji u całego szeregu czynników politycznych w kraju. Pomimo oczywistego ustosunkowania się Rosji do narodu polskiego, pomimo Katynia, wywiezienia 2 milionów Polaków z naszych Kresów Wschodnich, pomimo mordowania przez NKWD całych oddziałów AK walczących z Niemcami, nasze oficjalne czynniki w kraju obłudnie tłumaczą społeczeństwu, że Rosja to przecież nasz sprzymierzeniec, bo walczy z Niemcami. Społeczeństwo, otumanione ckliwo-patriotyczną propagandą i stekiem frazesów, nie orientuje się zupełnie w sytuacji politycznej.

30 września 1944, „Na Szańcu”

Wbrew opinii całego narodu, wbrew jego najgłębszemu instynktowi, pchany jest żołnierz AK do współpracy z wrażą Moskwą. Żołnierzowi polskiemu chce się narzucić rolę narzędzia politycznego w ręku Kremla. Nic nie pomogły nawoływania patriotycznych kół polskich, nic doświadczenie z pierwszych już tygodni tej współpracy. W miarę posuwania się frontu bolszewickiego w głąb naszego kraju coraz to nowe oddziały AK otrzymywały rozkaz ujawniania się i współdziałania z Armią Czerwoną.

Coraz to nowe setki żołnierzy i oficerów AK było rozstrzeliwanych przez bolszewickich katów, nowe tysiące wywożone na Sybir. Aparat AK działał dalej i bez zarzutu, wydając dalsze i dalsze rozkazy współpracy. Ukoronowaniem tej radosnej twórczości przywódców AK, a wreszcie ostatnim dziś aktem tragedii żołnierza AK, jest powstanie w Warszawie. Dokąd jeszcze chcą nas zaprowadzić? Czy doprawdy nie czas z tym skończyć? NSZ wbrew stanowisku Komendy AK były i są zdecydowanie przeciwne powstaniom, a nawet demonstracjom zbrojnym na rzecz Rosji. NSZ kierują się wyłącznie interesami narodu polskiego.

Z tym ostatnim zdaniem nie sposób się nie zgodzić. Podobnie jak z tym, że działania Armii Krajowej – mimo wielkiego bohaterstwa jej żołnierzy – były sprzeczne z interesami narodu polskiego. Polska w żaden sposób nie skorzystała na tym, że tysiące żołnierzy tej formacji zostały wydane w łapska NKWD w ramach akcji „Burza”. I nic nie zyskała na tym, że jej stolica została obrócona w kupę gruzów. Zyskał na tym tylko Stalin.

Czytając narodową prasę podziemną, nietrudno zauważyć, że NSZ – zamrażając walkę z Niemcami, a przystępując do zwalczania komuny – samorzutnie realizowały koncepcję, jaką od dłuższego czasu niemieckie służby bezpieczeństwa proponowały Armii Krajowej. Najpierw Januszowi Albrechtowi, potem Stefanowi Grotowi-Roweckiemu, a wreszcie

Tadeuszowi Borowi-Komorowskiemu. Sprawiło to, że SD zaczęło usilnie szukać kontaktów z narodowcami.

W tej rozgrywce głównej roli nie odegrał Alfred Spilker, ale „Lis z Radomia", Paul Fuchs. Według części źródeł pierwsze kontakty ze Związkiem Jaszczurczym, czyli poprzednikiem NSZ, nawiązał on najprawdopodobniej już w roku 1941. Co ciekawe, była to prywatna inicjatywa niemieckiego oficera.

Na początku obie strony „obwąchiwały się". Endecy próbowali przy pomocy Fuchsa wyciągać swoich ludzi z gestapowskich więzień. Fuchs próbował w zamian uzyskać od nich informacje na temat organizacji komunistycznych. Stronę polską reprezentował przyszły szef wywiadu NSZ Otmar Wawrzkowicz. Kontakty te nie były jednak zobowiązujące i nie różniły się niczym od nieformalnych kontaktów, jakie z Gestapo utrzymywało wiele innych organizacji konspiracyjnych.

Wywiad Związku Jaszczurczego, a ściśle biorąc jeden z jego agentów, nawiązał kontakt z panem F. – wspominał jeden z oficerów NSZ, pułkownik Władysław Marcinkowski „Jaxa". – Zwykła droga. Aresztowanie, rozmowa przyjacielska, zwolnienie bez zobowiązań, zapewnienie pomocy osobistej w razie potrzeby. Agent złożył raport swym przełożonym. Została wyłoniona specjalna komórka, odcięta od reszty organizacji, dla spraw niemieckich. Wykorzystano kontakt agenta. Dało to nam możność docierania do cennych informacji. Nieraz mogliśmy ostrzegać nawet AK o grożących aresztowaniach.

Te nieformalne, dyskretne rozmowy zostały zintensyfikowane w drugiej połowie 1943 roku. A więc gdy Niemcy zaczęli usilnie szukać porozumienia z Polakami, a NSZ przystąpiły do zdecydowanej rozprawy z PPR. Fuchs na terenie radomsko-kieleckim, a inni oficerowie SD na Lubelszczyźnie złożyli wówczas oddziałom narodowym oferty podobne do tych, jakie w tym samym czasie Abwehra składała AK na Wileńszczyźnie i Nowogródczyźnie.

A więc nieformalne zawieszenie broni umożliwiające Polakom skupienie się na walce z partyzantką komunistyczną. Sprawa i w tym wypadku połączona była z dyskretnym przekazywaniem broni. Część oddziałów narodowych propozycję przyjęła. Na przykład w powiecie włoszczowskim uczynił tak Władysław Kołaciński „Żbik". Pewnego dnia miejscowy oficer żandarmerii, Huste, napisał do niego list, którego kopie pozostawił u sołtysów wsi, w pobliżu których działał oddział NSZ.

Zaadresowany był on do „wielkiego «Żbika», dowódcy partyzantów". Niemiec prosił w nim o spotkanie, a na jego miejsce wyznaczył okolice miejscowości Kluczewsk. Do rozmowy doszło 9 lutego 1944 roku.

Niemiec przyrzekł, że zrobi wszystko, aby zwolnić aresztowanych z NSZ – wspominał Kołaciński. – Następnie prosił, abym w jego rejonie nie robił awantur. Obiecywałem nie prowokować. Rannych radził umieścić w miejskim szpitalu we

Włoszczowie. Z Hustem nie rozmawiałem więcej. Po dwóch dniach aresztowani byli wolni.

Wbrew temu, co twierdził później „Żbik”, kontakty z Niemcami podtrzymał. Dowódca oddziału NSZ informował ich o swoich akcjach wymierzonych w komunistyczne bandy, uzyskiwał kolejne zwolnienia z aresztów, dostawał broń maszynową i ciepłe ubrania. Gdy przez pomyłkę niemiecka żandarmeria zastrzeliła raz czterech „żbikowców”, Niemcy zwrócili dowódcy znalezioną przy nich broń, a miejscowemu wójtowi kazali urządzić uroczysty pogrzeb i postawić krzyż z napisem „Poległym żołnierzom NSZ”.

Podobne lokalne pakty zawarły inne oddziały Narodowych Sił Zbrojnych. Zachował się list napisany przez członków wydziału dywersji NSZ „LAS” do radomskiego Gestapo w sprawie zwolnienia trzech aresztowanych kolegów. „Mamy nadzieję” – napisali narodowcy, używając języka, który mógł dotrzeć do gestapowców – „że Państwo docenią akcję likwidacji żydowsko-komunistycznych band i pozwolą trzem wymienionym nadal prowadzić akcję na wolności”.

Układ dał obu stronom znakomite wyniki, spore połacie terenu zostały oczyszczone z oddziałów komunistycznych i sowieckich skoczków. Co ciekawe, porozumienie nie przeszkodziło „Żbikowi” od czasu do czasu kąsać również Niemców. W efekcie dochodziło do sytuacji kuriozalnych, gdy terenowe posterunki niemieckie składały w radomskim SD skargi na Polaków. A Fuchs musiał kryć swoich podopiecznych z NSZ, zwalając dokonane przez nich napady na inne polskie ugrupowania.

W okręgu radomskim Fuchs polecił żandarmerii, że jeśli zostanie zatrzymany partyzant z bronią i oświadczy w czasie przesłuchania, że należy do NSZ, to należy go puścić wolno – wspominał kapitan Telesfor Piechocki „Gustaw”. – Pewnego dnia żandarmeria zatrzymała nas. Na posterunku całej trójce kazali stanąć pod ścianą. Pierwszego zaczęli pytać Jacka Gumowskiego, co za jedni jesteśmy. Jacek odpowiedział:

– Byłoby lepiej, gdybyście zapytali o to kapitana Fuchsa w Radomiu.

Ta odpowiedź zupełnie wystarczyła Niemcom, bo nie pytali się o nic więcej i puścili nas. Nazwisko Fuchsa było najlepszym dokumentem, by uwolnić się z nieprzyjemnej sytuacji.

Co ciekawe, oficjalnie NSZ zdecydowanie potępiały takie powiązania. Dowódca formacji, generał Tadeusz Kurcyusz „Żegota”, 9 marca 1944 roku wydał nawet w tej sprawie specjalny rozkaz. „Pod groźbą oddania pod sąd wojenny” – pisał – „zabraniam żołnierzom NSZ nie tylko współpracy z Niemcami w akcji zwalczania komunistycznych band, lecz nawet godzenie się na pertraktacje będę uważał za zbrodnie przeciwko Państwu”.

Mimo to lokalna współpraca kwitła w najlepsze. Eksperyment na tyle się powiódł, że w Puławach Niemcy próbowali wciągnąć do „cichego rozejmu” miejscowe AK. „Wszyscy

jesteśmy przecież nacjonalistami" – miał mówić Polakom szef tamtejszego SD.

Fuchs pomógł nawet NSZ wysłać kuriera do Londynu. Człowiekowi temu przez całą okupowaną Europę towarzyszył jako przewodnik i opiekun oficer Gestapo. Celem misji było wciągnięcie do polsko-niemieckiej kombinacji również działaczy narodowych na wychodźstwie. Wreszcie, w lecie 1943 roku, „Lis z Radomia" wtajemniczył w całą aferę zarówno władze Generalnego Gubernatorstwa, jak i centralę w Berlinie. Uzyskał pełną aprobatę dla swoich działań.

„Narodowe bandy używane są przeciwko komunistycznym" – mówił z zadowoleniem gubernator dystryktu radomskiego, Niemiec sudecki Ernst Kundst. – „Należy rozmawiać i przekonywać w bezpośrednich rozmowach. Należy zabiegać o Polaków i ciągle próbować na nich wpływać".

Dowódca SS i Policji w Generalnym Gubernatorstwie, Wilhelm Koppe, wskazywał zaś, że w dystrykcie radomskim wytworzyła się wyjątkowa sytuacja.

„Podczas gdy w dystrykcie Lublin znaczna część nacjonalistycznego ruchu oporu i nacjonalistycznych band współpracuje już z komunistami" – mówił w lutym 1944 roku – „w dystrykcie Radom nacjonaliści i komuniści pozostają ze sobą na stopie wojennej, do ich walki zaś wtrąca się policja".

Zachęcony tymi opiniami Fuchs przedstawił projekt objęcia tajnym zawieszeniem broni całych Narodowych Sił Zbrojnych. Wskazywał, że o ile AK dostaje broń z Londynu, a AL z Moskwy, to NSZ są pozbawione zewnętrznych dostaw. Wszystko muszą zdobywać w walce, co nastręcza poważnych trudności. Fuchs sugerował więc, żeby Niemcy skorzystali z tej sytuacji i dzięki dostawom broni przyciągnęli podziemie narodowe do siebie.

Z czasem rozmowy nabrały charakteru politycznego. W listopadzie 1944 roku Fuchs zorganizował konferencję z udziałem jednego z najważniejszych oficerów NSZ, pułkownika Antoniego Dąbrowskiego „Bohuna" i redaktora „Przełomu", Feliksa Burdeckiego. Niemcy zaproponowali wówczas, aby oddziały NSZ – zarówno operujące w lasach, jak i zakonspirowane – ujawniły się i utworzyły trzon polskiej formacji militarnej o nazwie Ochotnicza Służba Pomocnicza.

Formacja ta miałaby zostać uzbrojona, umundurowana i – z naszywką „Polen" na ramieniu – wysłana na front wschodni, żeby bronić Polski przed bolszewicką zarazą.

„Wezwanie to spotkało się z odmową" – napisano w raporcie sporządzonym przez AK. – „«Bohun» miał się zgodzić tylko na dalszą współpracę w walce z komuną, bez ingerencji władz niemieckich w sprawy organizacyjne i polityczne NSZ".

Niemal identyczne projekty Fuchs snuł przed Otmarem Wawrzkowiczem. Proponował mu

uruchomienie w Krakowie polskiej narodowej i antysowieckiej rozgłośni radiowej. Oczywiście koncesjonowanej przez władze okupacyjne. Również tu Niemcy napotkali opór.

Mimo to komunistyczna propaganda głosiła po wojnie, że Narodowe Siły Zbrojne były jedną wielką agenturą Gestapo. To oczywiście kłamstwo. Podobnie jak twierdzenie, że organizacja ta zbliżyła się do Niemców dlatego, że „endekom było mentalnie blisko do hitlerowców". Nie ma wątpliwości, że wszelkie układy NSZ z Niemcami miały charakter tylko i wyłącznie taktyczny i pragmatyczny. Opierały się na chłodnej analizie sytuacji, a nie na rzekomej ideologicznej bliskości z NSDAP.

Na koniec warto się zastanowić, jaka była motywacja Niemców biorących udział w tej rozgrywce. Oczywiście chodziło o zapewnienie sobie spokoju na tyłach. „Pragmatyzm dyktowany przez widmo zbliżającej się Armii Czerwonej" – pisał profesor Marek Chodakiewicz – „powodował, że Niemcy nie tracili czasu na walkę z polskimi niepodległościowcami. Po prostu uznali NSZ za «wrogów swoich wrogów» i nie marnowali energii na próby ich wyniszczenia".

Historyk podkreślał, że właściwie w każdym miejscu Polski lokalne niemieckie władze, cofające się pod naporem bolszewików, próbowały „stworzyć oddziały antybolszewickie, wynegocjować neutralność polskiej partyzantki oraz skłonić do współpracy przedstawicieli legalnych władz Rzeczypospolitej". Rozmowy z AK i Delegaturą Rządu na Kraj Niemcy w 1944 roku podjęli między innymi na Kielecczyźnie, w Lublinie, Kraśniku, Tarnowie, Miechowie, Busku, Białej Podlaskiej, Biłgoraju, Zamościu i Puławach.

Wiadomo, że zaprosili także do pertraktacji – i zaproszenie to zostało przyjęte – dowódców oddziałów Armii Krajowej działających w okolicach Krakowa. Na północ od miasta negocjacje były prowadzone z porucznikiem Alojzym Dziurą-Dziurskim, a na południe od miasta z podporucznikiem Wiktorem Horodyńskim „Kościeszą". Gestapowcy z Krakowa w ostatniej chwili usiłowali nawet skaptować wcześniej aresztowanych oficerów AK, którzy siedzieli wówczas w ich więzieniu.

Jak więc widać, tonący brzytwy się chwytał. Czy zatem NSZ popełniły błąd, wchodząc w kontakty z radomskim Gestapo? Czy dały się Niemcom wykorzystać? Skądże! Ci ludzie dobrze wiedzieli, co robią, a zawarty przez nich – wymierzony w bolszewików – układ był dla sprawy polskiej niezwykle korzystny. Interesy niemieckie, zresztą nie po raz pierwszy podczas tej wojny, po prostu pokrywały się wówczas z interesami polskimi.

Rozdział 48

Organizacja „Tom”

Wiosna 1944 roku. Droga z Końskich do Piotrkowa, na wybojach podskakuje zdezelowana ciężarówka. W szoferce kierowca w mundurze SD. Na budzie kilku polskich więźniów pilnowanych przez esesmanów z karabinami w rękach. Ubiór zatrzymanych – wysokie buty, elementy mundurów pomieszane z cywilnymi ubraniami – nie pozostawia żadnych wątpliwości: to schwytani przez Niemców partyzanci. Przytłaczają ich czarne myśli. Nie wiedzą, czy jadą na „rozstrzał”, czy też do katowni Gestapo.

Nagle, gdy samochód pokonuje kolejny zakręt, oczom niemieckiego kierowcy ukazuje się mrożący krew w żyłach widok. W poprzek drogi leży zrąbane drzewo, a po obu jego stronach stoją uzbrojeni po zęby mężczyźni. Zasadzka! „Polscy bandyci” chcą odbić swoich kolegów! Niemiec reaguje jednak w sposób zdumiewający. Nie wciska hamulca ani nie wrzuca wstecznego biegu. Nawet nie próbuje zawrócić.

Jedzie spokojnie dalej. Gdy jest już blisko, jeden ze stojących przy drodze partyzantów ze znudzoną miną posyła serię z pistoletu maszynowego ponad ciężarówką. Kule idą w powietrze. Wówczas kierowca zatrzymuje pojazd, wysiada i – razem z żołnierzami z eskorty – oddala się pośpiesznie z miejsca zasadzki. Partyzanci idą zaś do siedzących w budzie zdezorientowanych kolegów.

– Jesteście wolni!

Uratowani to żołnierze Narodowych Sił Zbrojnych z oddziału „Lucjana”. Trzy dni wcześniej został on rozbity przez Niemców w pobliżu Rudy Malenieckiej, a oni wzięci do niewoli. Teraz, na środku drogi, salutują polskiemu kapitanowi, który dowodził „zasadzką”. Oficer wyjaśnia im, że doszło do pomyłki. Niemcy zaatakowali ich oddział, bo myśleli, że mają do czynienia z AK. On jednak tę pomyłkę wyjaśnił i zorganizował fikcyjne odbicie.

Powiedziawszy to, kapitan wsiadł do podstawionego zielonego mercedesa z niemieckimi tablicami rejestracyjnymi i dał sygnał kierowcy, żeby ruszał. Samochód zniknął za zakrętem. Kim był ten oficer? Nosił przydomek „Tom”. Znano go jednak również pod kilkoma innymi pseudonimami: „Hubert Jura”, „Herbert Jung”, „Bob”, „Jerzy Tom”, „Augustyniak”, „Jerzy Adamski”, „Tomasz Zan”, „Tomasz Kamiński”.

Do dzisiaj historykom nie udało się ustalić, jak naprawdę się nazywał. Podobno pochodził

z Pomorza z rodziny o mieszanych, polsko-niemieckich korzeniach. Podobno urodził się w 1915 roku. Podobno przed wojną był podporucznikiem Wojska Polskiego. Nic z tego „podobno" nie jest jednak pewne. „Tom" pozostaje jedną z najbardziej tajemniczych postaci polskiego podziemia. Wiadomo o nim właściwie tylko jedno – był blisko powiązany z Paulem Fuchsem z radomskiego Gestapo.

Na początku okupacji „Tom", który najpierw należał do ZWZ/AK, dowodził niewielkim partyzanckim oddziałem dywersyjnym na wschód od Warszawy. Spotkała go wówczas podobna tragedia co działającego na odległej Wileńszczyźnie „Szczerbca". Pewnego razu musiał wraz z częścią ludzi oddalić się od reszty grupy. Pod jego nieobecność obóz został zaatakowany przez Gwardię Ludową. Kilku młodych polskich żołnierzy zostało zamordowanych z zimną krwią przez komunistycznych oprawców.

Wydarzenie to było dla oficera szokiem. Z miejsca chciał przystąpić do wymierzenia sprawiedliwości mordercom. Od przełożonych usłyszał jednak, że bolszewicy są naszymi „sojusznikami". Gdy argumentował, że PPR i GL to zwykła agentura wrogiego mocarstwa, usłyszał, że za żadne skarby świata nie można dopuścić do „mordów bratobójczych".

Dla „Toma" komuniści nie byli jednak żadnymi „braćmi". Byli śmiertelnymi wrogami. Dlatego opuścił szeregi AK i przeszedł do NSZ. Tu mógł podjąć walkę z największym nieprzyjacielem swojej ojczyzny. Do narodowego podziemia przystał latem 1943 roku i od razu otrzymał stanowisko dowódcy Akcji Specjalnej na Kielecczyźnie. Celem jej powołania było oczyszczenie terenu z czerwonej partyzantki.

„Czas ocknąć się i przystąpić do systematycznej likwidacji ośrodków dyspozycji komuny i dopiero wtedy podjąć walkę z okupantem niemieckim" – pisał „Szaniec". – „Wspólna praca polskich organizacji wojskowych i cywilnych z pewnością umożliwi nam wyrwanie chwastów bolszewickich i oczyszczenie terenu. PPR, Gwardia Ludowa i różni czerwoni partyzanci muszą zniknąć z powierzchni polskiej ziemi".

„Tomowi" taki klimat ideowy bardzo odpowiadał i natychmiast wziął się do roboty. 22 lipca 1943 roku zlikwidował oddział GL im. Ludwika Waryńskiego. Była to banda zwyrodnialców, która zajmowała się głównie rabunkami, gwałtami i mordowaniem działaczy polskiego podziemia niepodległościowego. „Tom" poszedł za ciosem i przystąpił do regularnego polowania na czerwonych. Jak głosi legenda, zabił w sumie 260 komunistów. Nie przebierał przy tym w środkach.

Do murowanej willi w Łysowodach – wspominał jeden z żołnierzy „Toma", Kazimierz Załęski „Bończa" – zwożono z całej okolicy ludzi podejrzanych o komunizm. Około czterdziestu z nich zamknięto na strychu. Następnie kapitan „Tom" brutalnie wszystkich przesłuchiwał, a po kilku dniach rozkazał kilkanaście osób rozstrzelać w pobliskim lesie. Przyszła na kwaterę

drużyny „Konrada” załamana Emilia Natkańska „Władzio”. Kazano jej pełnić rolę sekretarza spisującego zeznania komunistów, lecz już dłużej nie mogła znosić znęcania się nad ludźmi.

Kontakt z Niemcami został nawiązany w osobliwych okolicznościach. Otóż pewnego dnia, było to w roku 1943, jeden z ludzi „Toma”, Kazimierz Chrząstowski „Zadora”, został przypadkowo zatrzymany przez żandarmerię w łapance w Opocznie. „Tom”, człowiek czynu o awanturniczej naturze, nie zwlekając wszczął akcję ratunkową. Zamiast jednak zorganizować ryzykowne odbicie kolegi, po prostu… uprowadził wysokiego niemieckiego urzędnika o nazwisku Gabert.

Niemiec po przewiezieniu go do kryjówki grupy dostał ultimatum. Kula w łeb albo uwolnienie „Zadory” i innych zatrzymanych Polaków. Gabert dał słowo honoru, że aresztowani zostaną zwolnieni, po czym został wypuszczony. Słowa dotrzymał, wkrótce żołnierz NSZ wyszedł na wolność. Zapoczątkowane w ten sposób kontakty zostały podtrzymane przez – jakże inaczej – „Lisa z Radomia”.

Od tego czasu „Tom” zawsze mógł liczyć na zwolnienie swoich ludzi z aresztu. Bywało, że osobiście przychodził ich odebrać z Gestapo. Władze niemieckie nie tylko nie przeszkadzały mu w jego akcji antykomunistycznej, ale starały się pomóc. Dostał od Niemców broń, sprzęt, lipne dokumenty i wspomniany zielony samochód. W zamian za to „Tom” zaniechał wszelkich działań wymierzonych we władze okupacyjne.

Wszystko to sprawiło, że mówiło się o nim i mówi do dziś jako o niemieckim agencie. Gestapo miało mu nadać kryptonim „George”. Zgodnie z tą wersją „Tom” od początku był kadrowym pracownikiem niemieckich służb, który wniknął do NSZ na rozkaz swoich przełożonych. Oczywiście nie można tego wykluczyć. Tak jak nie można wykluczyć, że po prostu podjął z Fuchsem grę. Postanowił maksymalnie wykorzystać nadarzającą się okazję.

Znam wszystkich ludzi, którzy znali i współpracowali z „Tomem” – wspominał jeden z dowódców NSZ, pułkownik Tadeusz Boguszewski. – Nie wiem jednak, kto to był „Tom”. Wiem, że „Tom” pracował z Fuchsem. Wiem, że Fuchs widział klęskę Niemiec i robił wszystko co w jego mocy, by ratować elementy antykomunistyczne. Wiem, że Fuchs jako Niemiec był porządnym człowiekiem. Nie wiem jednak, czy wszyscy Polacy, którzy zetknęli się z Fuchsem, byli porządnymi ludźmi. Na pewno wiem, że były kanalie. Czy „Tom” był tą kanalią, nie wiem. Wierzę, że wielu porządnych Polaków wbrew własnej woli musiało widywać Fuchsa.

Dla oceny „Toma” najważniejsze wydaje się jednak, że jego działania podejmowane we współpracy z Niemcami zawsze wymierzone były w komunistów, a nigdy w podziemie niepodległościowe. „Tom” nie zadenuncjował Gestapo żadnego Polaka, przeciwnie – wyciągał rodaków z więzień. Ze swoimi kontaktami wcale się zaś nie krył. O sojuszu, który

zawarł z Niemcami, mówił swoim ludziom otwarcie.

Nie mogłem odmówić logiki jego poglądom – pisał wspomniany „Bończa". – Twierdził on, że wojna dla Niemców jest już praktycznie przegrana, a ich klęska to już tylko kwestia czasu. Dlatego walka z nimi jest już tylko wspieraniem naszego drugiego wielkiego wroga: Rosji sowieckiej. Jego zdaniem powinniśmy skupić się na zwalczaniu bolszewickich agentów, a wtedy dwaj nasi wrogowie sami się wykończą, podobnie jak to było podczas I wojny światowej.

Wkrótce „Tom" opuścił las i przerzucił się na działalność wywiadowczą. Stworzył własną, niezależną organizację szpiegowską. Narodowe Siły Zbrojne nawiązały z nią ścisłą współpracę i wciąż – tym razem mogąc to zrzucić na „niezależną grupę" – czerpały korzyści z układów „Toma" z Fuchsem.

Konieczność posiadania środków transportowych – pisał pułkownik Tadeusz Boguszewski – nie tylko w lasach, lecz i do swobodnego poruszania się po okupowanych miastach i wsiach, stała się paląca. Bardzo na czasie kapitan „Tom" ofiaruje swe usługi i dostarcza szybko i pewnie ausweisów, przepustek, znaków rejestracyjnych, kuponów na benzynę i smary. Dostarcza również wiadomości o poruszeniach i zamiarach Niemców. Pomoc bezinteresowna Organizacji „Toma" była bezcenną. Bez względu na to, kto firmował działalność „Toma" w tym okresie, trzeba sprawiedliwie przyznać, że pomoc jego organizacji była w interesie spraw polskich i na pewno ze szkodą dla Niemców.

Jeden z oficerów NSZ, podpułkownik Władysław Marcinkowski „Jaxa", twierdził zaś, że wiele informacji przekazywanych przez „Toma" Gestapo było dezinformujących.

Organizacja – pisał historyk Tomasz Greniuch – korzystając z potężnej protekcji szefa radomskiego gestapo, występowała oficjalnie jako prężnie rozwijająca się firma budowlana z oddziałami w Radomiu, Krakowie przy ul. Szewskiej i z centralą w Częstochowie, która mieściła się w willi przy ul. Jasnogórskiej 25.

Tam to właśnie na co dzień rezydował „Kierownik firmy" kapitan „Jerzy Tom" ze swoim „sztabem", do którego wchodzili kapitan Maksymilian Rolland, podający się za przedwojennego oficera wywiadu, pełniący funkcję zastępcy dowódcy i eksperta od przesłuchań, porucznik Edward As i podporucznik Karol. Wszyscy świetnie władający językiem niemieckim. Dysponujący okazałym parkiem samochodowym.

Oddziały terenowe „firmy budowlanej", będące w rzeczywistości ekspozyturami Organizacji „Toma", mieściły w swoich wnętrzach prowizoryczne więzienia przeznaczone dla komunistów, ich obsadę stanowiły specjalne zespoły likwidacyjne uzbrojone między innymi w broń maszynową i granaty, zawsze gotowe wyjść „w pole".

Wkrótce doszło do rozgrywki – przykro to pisać – o posmaku gangsterskim. Otóż jeden z działaczy narodowych i oficerów NSZ, porucznik Władysław Pacholczyk, zadenuncjował „Toma" w kierownictwie organizacji i wymógł na nim, żeby wydało na kapitana wyrok śmierci. „Tom" został uznany za zdrajcę. Następnie zaś, niezwykle nieudolnie, Pacholczyk zorganizował na „Toma" dwa zamachy.

Zakończyły się one klapą. Podczas pierwszego z nich „Tom" – który był człowiekiem odważnym i bojowym – po prostu zastrzelił zamachowców. Za drugim razem został jednak

ranny. Pod jedną z radomskich restauracji ostrzelany został jego słynny zielony mercedes i „Tom” musiał pewien czas spędzić w niemieckim szpitalu. Gdy tylko wylizał się z ran, pierwsze, co zrobił, to oczywiście dopadł Pacholczyka.

„Tom” miał go porwać i wpakować do swojego tajnego więzienia przy Jasnogórskiej ukrytego pod szyldem firmy „Tiefbau-geselschaft A.S.”. Tam Pacholczyk został podobno poddany torturom, a następnie wywieziony w nieznane miejsce i rozstrzelany. „Tom” i jego ludzie mieli również maczać palce w kilku innych zabójstwach na szczytach władzy NSZ, między innymi likwidacji zastępcy komendanta głównego, Stanisława Nakoniecznikoffa „Kmicica”.

Był to element wewnętrznej walki o władzę w szeregach tej organizacji. Niewykluczone, że jej podłożem był spór między oficerami opowiadającymi się za tajną współpracą z Niemcami (Otmar Wawrzkowicz, „Tom”) z grupą oficerów nie akceptujących takich kontaktów. Wygrali ci pierwsi.

Jesienią 1944 roku „Tom” wszedł do Komendy Głównej NSZ jako szef egzekutywy Wydziału II, wywiadowczego, Otmar Wawrzkowicz został zaś szefem wywiadu. Jednocześnie w Częstochowie i okolicach wciąż pracowała grupa egzekutorów „Toma”. Podobno spieszył się on, żeby zlikwidować jak najwięcej sowieckich agentów, zanim Armia Czerwona zajmie całą Polskę.

„Tom” do dzisiaj jest postacią nie rozszyfrowaną. I wymykającą się jednoznacznym ocenom. Jego okrucieństwo i zamieszanie w rozmaite wewnętrzne eneszetowskie czystki i dintojry musi budzić krytykę. Z drugiej strony oficer ten oddał wielkie zasługi NSZ i Polsce. Bez jego pośrednictwa zapewne niemożliwe byłoby nawiązanie porozumienia z Niemcami w sprawie wymarszu Brygady Świętokrzyskiej na Zachód. A co za tym idzie, nie udałoby się uratować tysiąca polskich patriotów.

Czy był niemieckim agentem, nigdy się nie dowiemy. Wielu członków NSZ było przekonanych, że agentem owszem był, ale wywiadu brytyjskiego lub amerykańskiego. Anglosasi mieli go zrzucić do Polski na spadochronie. Hipotezę tę miało potwierdzać to, że jego brat służył w brytyjskich Królewskich Siłach Powietrznych (RAF). Zadaniem postawionym „Tomowi” przez Londyn była podobno infiltracja Gestapo i przekazywanie informacji na temat tajnej policji Rzeszy brytyjskiemu wywiadowi.

Może to więc nie Fuchs zwerbował „Toma”, ale „Tom” zwerbował Fuchsa. Ów inteligentny gestapowiec musiał sobie zdawać sprawę, że Niemcy wojnę przegrają, i z chęcią przyjął podaną mu rękę. Dla anglosaskich służb, które wiedziały, że Polska niedługo znajdzie się pod okupacją sowiecką, agenturalna siatka Fuchsa była zaś łakomym kąskiem. Nie można

wykluczyć, że „Tom” w zamian za przekazanie całej jego wiedzy zagwarantował mu bezkarność i – przede wszystkim – agentów aliantom.

Gdy Brygada Świętokrzyska NSZ znalazła się na Zachodzie, „Tom” został natychmiast odstawiony do szefa wywiadu armii generała Władysława Andersa. Pułkownik Bąkiewicz odbył z nim długą rozmowę za zamkniętymi drzwiami, a po jej zakończeniu zamiast przed pluton egzekucyjny wysłał z misją wywiadowczą do Czech.

Tam „Tom” pomagał uciekinierom z okupowanej przez Sowiety Polski przedrzeć się do Andersa. I oczywiście zbierał informacje wywiadowcze o bolszewikach. W końcu na jego trop wpadły NKWD i czeska bezpieka. W ostatniej chwili przed planowanym aresztowaniem uciekł i przedarł się do Włoch, do II Korpusu. Gdy Brytyjczycy rozwiązali armię Andersa, wyjechał do Argentyny, a potem – jak wieść niesie – do Wenezueli. Wedle innej wersji trafił do Brazylii, gdzie ożenił się z córką tamtejszego milionera.

Wersji jego powojennych losów było zresztą jeszcze kilka. Podobno w latach osiemdziesiątych utrzymywał kontakty z kontrowersyjnymi postaciami amerykańskiej Polonii, Edwardem Moskalem i Janem Kobylańskim. UB prowadzone przeciwko niemu śledztwo zakończyło dopiero w 1972 roku. Wśród licznych krążących na jego temat legend jest i ta, że widziano go pod koniec lat osiemdziesiątych na warszawskiej ulicy. Być może żyje do dziś i jeśli przeczyta te słowa, zabierze głos. Jeżeli zmarł – swoje tajemnice zabrał do grobu.

Rozdział 49

Epopeja Brygady Świętokrzyskiej

Jest 12 kwietnia 1945 roku. Za osiemnaście dni Hitler palnie sobie w łeb. Za dwadzieścia sześć dni generał Alfred Jodl złoży podpis pod układem kapitulacyjnym, a tym samym „Tysiącletnia Rzesza" przestanie istnieć. Tymczasem pod czeskim Pilznem odbywa się narada. Na środku sali stoi duży stół, na którym rozłożone są mapy Europy z zaznaczonymi kolorowymi ołówkami liniami frontów. Na mapach pełne niedopałków popielniczki, kieliszki, wypita do połowy butelka z koniakiem. I rozrzucona w bezładzie amunicja.

Po jednej stronie stołu siedzi kilku oficerów Wehrmachtu i Waffen-SS. Wśród nich wysokie szarże: generał, pułkownicy. Zmęczone twarze, podkrążone oczy, ziemista cera. Niemcy mają rozchełstane pod szyją, poplamione mundury. Niedbale przypięte Żelazne Krzyże. Po drugiej stronie stołu siedzi czterech oficerów w mundurach Wojska Polskiego. Dopięte na ostatni guzik bluzy mundurowe, skrzypiące, wypastowane oficerki. Na blacie stołu rogatywki z orzełkami. A na ramionach naszywki z jaszczurką.

Rozmowy trwają od ośmiu godzin, obie strony mają już dość. Nerwy są napięte do granic wytrzymałości, przez okna dobiega groźny pomruk bijącej ze wschodu artylerii. Niemcy raz po raz patrzą nerwowo w tamtą stronę. Bolszewicy są coraz bliżej.

– Jeszcze raz apeluję do panów zdrowego rozsądku – zabiera głos niemiecki generał. – Macie panowie broń i świeżego żołnierza. Od kilku miesięcy korzystacie z naszego zaopatrzenia i przechodzicie intensywne szkolenie. Nadeszła pora, abyście wreszcie zajęli swój odcinek frontu i ramię w ramię z niemieckim Wehrmachtem podjęli walkę z nadciągającą Armią Czerwoną. Rozumiecie panowie przecież, że bolszewizm niesie zagładę zarówno naszej, jak i waszej ojczyźnie. Musicie zacząć walczyć.

– Panie generale – odpowiada polski pułkownik – brygada nasza nie jest na przetarg. Mamy swoje cele i od nich nie odstąpimy. Oczywiście zamierzamy walczyć z Sowietami. Ale nie pod dowództwem Wehrmachtu, ale pod dowództwem generała Władysława Andersa. Proszę pozwolić nam iść dalej na Zachód.

W tym momencie na równe nogi zrywa się oficer Waffen-SS. Twarz ma wykrzywioną wściekłością.

– Jeżeli nie pójdziecie z nami, rozbijemy was! – krzyczy z nienawiścią.

– Spróbujcie! Jesteśmy gotowi na wszystko – odpowiada spokojnie Polak.

Sytuację z trudem załagodził sędziwy generał:

– Panowie, spokojnie. Bolszewicy się zbliżają, nie pora na te dziecinne kłótnie. Zatem panowie odmawiają? – zwrócił się do Polaków.

– Odmawiamy. I prosimy o możliwość dalszego marszu na Zachód. Mamy nadzieję, że rzeczywiście już niedługo będziemy walczyć razem przeciwko bolszewikom. Będzie to już jednak kolejna, III wojna światowa.

Generał popatrzył w oczy polskiemu oficerowi, zapadło długie milczenie, po którym Niemiec westchnął z rezygnacją i machnął ręką:

– Idźcie.

Polacy wstali, zasalutowali niemieckim rozmówcom i opuścili salę. Wówczas siedzący obok niemieckiego generała pułkownik z Żelaznym Krzyżem na piersi spojrzał na mapę frontu wschodniego. Narysowane na niej czerwone strzałki dotykały już niemal przedmieść Berlina. Niemiec ukrył twarz w dłoniach i zaczął szlochać.

– To już nasz koniec – powiedział.

Narada ta była ostatnią rundą rozmów między dowództwem wojsk niemieckich w Czechach a oficerami Brygady Świętokrzyskiej NSZ. Pułkownik, który zabierał głos w imieniu strony polskiej, to dowódca brygady, Antoni Szacki „Bohun”. Jak jego jednostka w ostatnich dniach III Rzeszy znalazła się tak daleko od ojczyzny? Dlaczego Polacy rozmawiali z Niemcami?

To długa, skomplikowana, a jednocześnie fascynująca historia. Jedna z najciekawszych, a zarazem najbardziej zakłamanych polskich kart II wojny światowej.

Cała sprawa zaczęła się niemal rok wcześniej, latem 1944 roku.

Podczas gdy Komenda Główna AK zbuntowała się przeciwko naczelnemu wodzowi, generałowi Kazimierzowi Sosnkowskiemu, i wbrew jego wyraźnym instrukcjom przystąpiła do ujawniania swoich oddziałów przed bolszewikami, dowództwo NSZ postąpiło wówczas odwrotnie. Postanowiło za wszelką cenę swoich żołnierzy przed bolszewikami ratować.

„Jak najwięcej elementów AK najcenniejszych i najbardziej zagrożonych eksterminacją sowiecką” – pisał naczelny wódz do Bora-Komorowskiego 2 marca 1944 roku – „wedle możności przesunąć przede wszystkim na zachód albo nawet na południe do Małopolski, skąd mogłyby one wycofać się czasowo na terytorium Węgier, bezpośrednio lub poprzez Słowację”. Instrukcje te Sosnkowski ponawiał jeszcze kilkakrotnie w kolejnych miesiącach.

Dowództwo AK oskarżało NSZ o „warcholstwo”. W rzeczywistości brak dyscypliny okazał „Bór” i jego współpracownicy. To oni bowiem zignorowali wolę swojego przełożonego, a NSZ karnie przystąpiły do wypełniania rozkazów naczelnego wodza. Zgodnie z planem

organizacji na terenie zachodniej Polski miały zostać utworzone trzy brygady, które w momencie bolszewickiego ataku miały ruszyć na zachód z zadaniem przedarcia się do generała Andersa. Spodziewano się jednak, że sowiecka ofensywa ruszy dopiero wiosną 1945 roku, i zdążono utworzyć tylko jedną dużą jednostkę – operującą na Kielecczyźnie Brygadę Świętokrzyską.

Gdy 13 stycznia 1945 roku Armia Czerwona ruszyła do wielkiego natarcia i przekroczyła Wisłę, decyzja mogła być tylko jedna – idziemy na Zachód! Tak oto rozpoczęła się epicka epopeja brygady. Temat na wielką superprodukcję w hollywoodzkim stylu. Epopeja ta zakończyła się zwycięstwem, a nie hekatombą. I może właśnie dlatego nie wywołuje specjalnego zainteresowania Polaków.

Jak eneszetowcy maszerowali na Zachód? Najpierw próbowali się przebijać. Szybko jednak się okazało, że zadanie takie dla liczącego niespełna tysiąc ludzi oddziału jest niewykonalne. Brygada już drugiego dnia marszu nacięła się na batalion Wehrmachtu. Efektem była długa zacięta potyczka, która kosztowała Polaków dziewięciu zabitych. Stało się wówczas jasne, że działając w ten sposób, brygada nie ma najmniejszych szans na dostanie się do Andersa.

15 stycznia 1945 roku doszło więc do pierwszych rozmów polsko-niemieckich. Brygada musiała pod Żarnowcem przekroczyć Pilicę, a mostu jak na złość pilnował silny niemiecki oddział. Podchorąży Stefan Bagiński „Topaz” twierdził po wojnie, że inicjatywa porozumienia wyszła od Niemców i do brygady zgłosił się niejaki podporucznik Mrotschy, który zaprosił przedstawicieli NSZ na rozmowy z dowódcą odcinka frontu.

Po przedstawieniu się i zajęciu miejsc – wspominał Bagiński – niemiecki pułkownik zabrał głos:

– Są panowie na naszym terenie i przypuszczam, zgłoszą się panowie pod moje rozkazy. Znam nastawienie panów do bolszewizmu i ZSRS, gdyż pracowałem w wywiadzie. Cieszę się, że i Polska przystąpiła do zaprowadzania nowego ładu w Europie. Grupa panów jest co prawda mała, ale przypuszczam, że bitna. Żołnierz dobrze wyszkolony. Postaram się, by z czasem zaliczono panów do SS.

Podporucznik Mrotschy tłumaczył dosłownie. Odpowiedział spokojnie rotmistrz Jerzy Dobrzański-Zaleski „Zaręba”:

– Pan jest w błędzie, panie pułkowniku. My nie mamy zamiaru podporządkować się pańskim rozkazom ani należeć do SS. Doceniam zaszczyt, jaki spotyka nas ze strony wielkich Niemiec. Nie widzę jednak powodu do robienia tajemnicy z tego, że idziemy na Zachód. Na zwycięstwie Niemiec nam nie zależy i w nie nie wierzymy.

W tym miejscu Mrotschy zaciął się w tłumaczeniu, spojrzał na mnie, ale tłumaczył dalej.

Rotmistrz ciągnął dalej:

– My ze swej strony zapewniamy pana pułkownika, że nie będziemy atakować niemieckich oddziałów, jeśli nie będą nam wchodzić w drogę, i będziemy marszem omijać większe miasta.

– Na taką wycieczkę nikt się nie zgodzi.

Rotmistrz dowodził, że najlepiej zabezpieczy się kolumny zaopatrzeniowe dając nam po prostu spokój. Dalej, że na zaatakowanie nas trzeba mieć kilka tysięcy ludzi, na co pułkownika nie stać, o czym wiemy. Tego rodzaju rozmowa, przechodząca od gróźb do spokojnego tonu i odwrotnie, ciągnęła się jeszcze z godzinę. Zakończyła się niespodziewanie. Pułkownik wydał nam glejt na przebywanie w jego odcinku i list do innego oficera, który miał nam dać nowe papiery.

Wracaliśmy zadowoleni.

Brygada Świętokrzyska przekroczyła rzekę na oczach zdumionych żołnierzy niemieckich i ruszyła dalej, ostrzeliwana przez depczące jej po piętach sowieckie czołówki pancerne. Podobna sytuacja jak pod Żarnowcem powtórzyła się pod Koziegłowami, gdzie Polacy przedstawili się Niemcom jako „Polnische Nazionalisten" i po dłuższych targach udało im się skłonić kolejnego niemieckiego pułkownika do usunięcia się z drogi.

Trzecie spotkanie odbyło się przy moście przez Odrę. Był on zatkany wycofującymi się jednostkami Wehrmachtu i uciekającymi przed bolszewikami cywilami z Europy Wschodniej. Innej przeprawy jednak nie było. Pamiętajmy, że cała historia rozgrywała się w ekstremalnych warunkach pogodowych. Panował ostry mróz, zrywały się zamiecie śnieżne. Do Niemców znów został wysłany tandem „Zaręba"–„Topaz":

Byliśmy w mundurach – wspominał ten drugi – niemiecki żołnierz z karabinem zagrodził nam drogę.

– A wy co za jedni?

– Ślepy jesteś, że nie widzisz? – odpowiedziałem na chybił trafił. – Przecież przed dwoma godzinami cały pułk naszych przeszedł tędy. Spałeś czy co?

– Ja dopiero od godziny stoję, nie widziałem. Iwan daleko?

– Jak przyjdzie, to go zobaczysz – odparłem z miną frontowca i zdecydowanie ruszyłem na most. Udało się.

Do komendy doszliśmy gładko. Za biurkiem siedział kapitan i studiował mapę. Zasalutowałem i zacząłem:

– Do frontu jeszcze sto kilometrów, a u was bałagan jak w Niemandslandzie.

– O co chodzi?

– No jak to o co? Gdzie prowiant dla nas? Przecież nie możecie dwa tysiące ludzi trzymać o głodzie.

– Jakich ludzi? Na jakim głodzie? Co pan opowiada!?

– Czy nie dostał pan rozkazu z dowództwa armii o przygotowaniu prowiantu dla naszej grupy?

– Niech panowie pokażą papiery.

– Papiery są w dowództwie.

Po dłuższej rozmowie w tym tonie biedny niemiecki kapitan był już tak skołowany, że zgodził się na wydanie dwóch tysięcy racji żywnościowych polskiej brygadzie. Magazyny znajdowały się jednak po zachodniej stronie mostu. Zgodnie z umową NSZ miały punktualnie o północy dostarczyć furmanki, które przekroczą rzekę, odbiorą prowiant i wrócą. Tymczasem pod osłoną nocy, pod samym nosem Niemców, mostem przeprawiła się cała brygada.

Przytaczam te wszystkie barwne opowieści, bo raz, że słynne fortele oficerów NSZ są nieodłącznym elementem legendy Brygady Świętokrzyskiej, a dwa, że świetnie się je czyta. A czy tak było naprawdę? No cóż, jak by to napisać dyplomatycznie… jest to sprawa dyskusyjna. Trudno bowiem nie zauważyć, że relacje podchorążego „Topaza" zmieniają się w zależności od tego, kiedy i komu je składał.

Innym razem, rekonstruując pierwsze spotkanie z Niemcami pod Żarnowcem, twierdził on, że inicjatywa wyszła jednak od Polaków, a w drodze do niemieckiego sztabu towarzyszył mu nie jeden, lecz dwóch oficerów Wehrmachtu. Z tym że nie zostali oni przysłani przez dowództwo odcinka frontu, ale byli to żołnierze wzięci wcześniej do niewoli. W tej wersji opowieści pułkownik z Żarnowca miał się zgodzić na przepuszczenie Polaków po tym, jak zagrozili oni, że rozstrzelają jeńców. Podobnych nieścisłości i sprzeczności jest mnóstwo.

W opowieściach „Topaza" uwagę zwraca jeszcze jeden element. Niebywała wręcz tępota Niemców. Rzeczywiście, to, jak naród ten rozegrał II wojnę światową, świadczy, że jego przedstawiciele nie grzeszyli inteligencją. Wszystko ma jednak swoje granice. Bardziej prawdopodobne jest, że brygada od początku posuwała się na Zachód na mocy ścisłego porozumienia z Niemcami. I to zawartego na poziomie znacznie wyższym niż jakiś pułkownik pilnujący zapomnianego przez Boga mostu nad Pilicą.

Tropy wskazują na Paula Fuchsa, który jeszcze przed wymarszem brygady kilkakrotnie w cywilnym ubraniu odwiedzał oddział w lasach Kielecczyzny. Konkretne ustalenia zapadły jednak zapewne podczas rozmów z Niemcami prowadzonych w Krakowie, w siedzibie Gestapo przy ulicy Pomorskiej. Stronę polską reprezentował szef wywiadu NSZ, Otmar Wawrzkowicz. Stronę niemiecką – Albert Spilker, a później Heinrich Hamann.

19 stycznia dowódca brygady, „Bohun", wydał rozkaz do żołnierzy, w którym stwierdził:

> Dla ratowania Brygady porozumiałem się z dowódcą fortyfikacji niemieckich, aby przejść przez ich linie na zachód. Tym samym weszliśmy w stan niewojowania z Niemcami na czas nieokreślony. Mam nadzieję, że szybko toczące się wypadki wojenne pozwolą nam w niedalekiej przyszłości zameldować się u Naczelnego Wodza i prawowitego rządu polskiego i według jego rozkazu zwrócić nasz oręż przeciwko wrogowi, którego każe nam zwalczać.

Polacy tymczasem posuwali się w głąb terytorium Niemiec. W nocy z 26 na 27 stycznia w pobliżu słynnej miejscowości Frankenstein (obecnie Ząbkowice Śląskie) dogonili ich chłopcy z Akcji Specjalnej NSZ z Kielecczyzny. Towarzystwo to przyjechało rzekomo ukradzioną niemiecką ciężarówką. W pojeździe znajdowało się zaś dwanaście nowiutkich karabinów maszynowych, automaty, granaty, 10 tysięcy sztuk amunicji, mięso, suchary i kompoty w puszkach. Cóż za wspaniały zbieg okoliczności!

Co jednak najważniejsze, wraz z Akcją Specjalną w brygadzie pojawił się kapitan „Tom". A u jego boku nieodłączny komisarz Paul Fuchs. Obaj panowie przybyli do oddziału przez Berlin. Do stolicy Rzeszy ewakuowali się bowiem 13 stycznia, gdy tylko ruszyła bolszewicka ofensywa. „Tom" natychmiast po przybyciu zorganizował polsko-niemiecką naradę, w której wzięły udział wyższe szarże Wehrmachtu i SS, a z drugiej strony całe dowództwo Brygady

Świętokrzyskiej.

Polacy pojechali na nie wspomnianą „ukradzioną” niemiecką ciężarówką, a podczas rozmów Niemcy mieli stały telefoniczny kontakt z Berlinem. Nasi oficerowie po raz kolejny usłyszeli żądanie, aby brygada się zatrzymała i zajęła odcinek frontu. Podpułkownik Leonard Zub-Zdanowicz „Ząb” zdecydowanie zaoponował. Stwierdził, że choć brygada jest nieźle uzbrojona, to składa się z partyzantów, którzy potrafią walczyć w lesie, ale nie są przeszkoleni do regularnej walki frontowej.

„Niech panowie sobie nie wyobrażają, że Brygada będzie księciem Józefem Poniatowskim dla Trzeciej Rzeszy” – powiedział podpułkownik. Ostatecznie udało się wynegocjować, że Niemcy pozwolą Polakom pokonać jeszcze jeden odcinek. Tym razem do Protektoratu Czech i Moraw. Od tej pory brygadzie już na pewno towarzyszyło trzech oficerów łącznikowych. Dwóch z Wehrmachtu i jeden z SS.

To oni załatwiali formalności z kolejnymi posterunkami. Oni też organizowali dla polskiej jednostki prowiant (żołnierze NSZ dostawali normalne racje żywnościowe Wehrmachtu), furaż i uzupełnienia w umundurowaniu i obuwiu. Oni też kierowali rannych Polaków do niemieckich lazaretów.

Dramatyczna walka o życie tysiąca polskich żołnierzy tym samym weszła w nową fazę. Należało ich ratować nie tylko przed bolszewikami, ale również przed coraz silniejszymi naciskami Niemców, którzy chcieli zamienić jednostkę w zalążek walczącej u boku Wehrmachtu polskiej armii antybolszewickiej i czym prędzej wysłać ją na front. W Berlinie uznano bowiem, że pojawienie się Brygady Świętokrzyskiej za niemieckimi liniami stworzyło wielką i zarazem ostatnią szansę na rzucenie na stół ostatniej karty. Miała to być karta polska.

Rozdział 50

Zwycięstwo realistów

Wieczór 8 lutego 1945 roku. Droga w pobliżu Kottwitz. Podąża nią kolumna stu dwudziestu polskich jeńców ewakuowanych na Zachód ze Stalagu numer 344 w Lamsdorf na Śląsku. To młodzi chłopcy i dziewczęta z Armii Krajowej wzięci do niewoli podczas Powstania Warszawskiego. Eskortuje ich oddział esesmanów z bronią gotową do strzału. Niemcy, zirytowani ich zdaniem zbyt opieszałym tempem marszu, wrzeszczą i poszturchują Polaków kolbami.

Nagle cała, rozciągnięta na dobre kilkadziesiąt metrów kolumna staje jak jeden mąż. Esesmani i akowcy stoją obok siebie z otwartymi szeroko ustami. To, co zobaczyli, było bowiem ostatnią rzeczą, jakiej mogli się spodziewać. Otóż z bocznej drogi na gościniec wkroczył ze śpiewem silny oddział Wojska Polskiego w pełnym umundurowaniu, jakby żywcem wyjęty z kampanii wrześniowej. Tyle że lepiej uzbrojony. Żołnierze byli bowiem dosłownie obwieszeni bronią maszynową.

Gdy minęło pierwsze zaskoczenie, jeńcy złamali szeregi i rzucili się pędem w stronę polskiego wojska. Esesmani, widząc potężną siłę ognia i złowróżbne spojrzenia Polaków, nie śmieli interweniować. Brygada Świętokrzyska uratowała kolejnych ludzi. Powstańcy zostali natychmiast wcieleni do jej szeregów i utworzono z nich odrębny batalion.

Marsz brygady obfitował zresztą w rozmaite niebywałe wydarzenia. Już sam widok zwartego, karnego oddziału w rogatywkach przemieszczającego się między masami wycofującego się Wehrmachtu wywoływał powszechne zdumienie. Niemieccy żołnierze reagowali różnie. Czasami zdziwieniem, a czasami przerażeniem – jak złożona ze starszych panów i wyrostków kompania Volkssturmu, która napatoczyła się brygadzie w jakimś czeskim miasteczku. Czasami bywało również niebezpiecznie.

> Wjeżdżaliśmy w niskie zabudowania miasteczka – wspominał Wiesław Widloch „Kropka”. – Po obu stronach drogi stały czołgi niemieckie, pomalowane białą farbą. Obsługa w czarnych mundurach siedziała przy działach i kaemach, włazy były pootwierane. Na jednym czołgu stało dwóch Niemców. Jeden z pistoletem maszynowym, drugi z parabellum. Patrzyli na nas złowrogo. Dalej stały gotowe do walki Ferdynandy i grzały silniki. Jechaliśmy między szeregami Niemców z bronią gotową do strzału. W oknach i na dachach widziałem wymierzone w nas kaemy. Wozy wjechały na rynek, okrążyły go i zatrzymały się, co spowodowało, że wyglądało to jak obrona okrężna. Dawniej nazywano to „jeżem”. I tak staliśmy naprzeciw siebie z wycelowaną bronią, gotowi na wszystko.

Najczęściej jednak Niemcy na widok Polaków w ogóle nie reagowali, patrzyli na nich obojętnie. Byli bowiem zrezygnowani, wymęczeni i wielu z nich, w obliczu klęski, było po prostu wszystko jedno.

W czasie marszu bywały paradoksalne sytuacje – wspominał Robert Ćwikło – kiedy tą samą szosą wycofywały się jednostki Wehrmachtu i oddziały Brygady. Niemcy obojętnie spoglądali na nas. Byli apatyczni, od dawna nie goleni. Kolumny ich były złożone z wozów konnych wyładowanych plecakami, bronią i sprzętem wojskowym. Siedząc na wozach drzemali, a niektórzy, otuleni w koce i lub kożuchy, spali ze zmęczenia.

W tej sytuacji nietrudno było ściągnąć z wozów plecaki wyładowane żywnością: konserwy, chleb, papierosy, czasem czekoladę i czystą bieliznę. Był to swego rodzaju „sport", który oprócz emocji dawał spore korzyści. Dochodziło do tego, że Niemcom ginęły karabiny i Pancerfausty, które skrzętnie ukrywaliśmy w naszych wozach.

Praktykę tę w brygadzie nazywano „penzlowaniem".

Młody oficer Stefan Władyka „Lech" opowiadał zaś, że momentami polscy i niemieccy żołnierze szli obok siebie zupełnie przemieszani, niedawni wrogowie posuwali się na Zachód ramię w ramię. Byle dalej od bolszewików. Gdy czytałem jego relację, przypomniał mi się widziany kiedyś film dokumentalny na temat wielkiego pożaru, który trawił afrykańską sawannę. Żywioł w błyskawicznym tempie pochłaniał kolejne połacie terenu, a wszystkie gatunki dzikich zwierząt uciekały razem w przeciwnym kierunku. Obok siebie biegły wówczas lwy i zebry, tygrysy i antylopy, hieny i żyrafy. W obliczu wspólnego niebezpieczeństwa wzajemna wrogość musiała zejść na dalszy plan…

Jak zaś reagowali na tę nietypową sytuację polscy żołnierze? Zdecydowana większość stała murem za dowództwem, czując, że sojusz z Niemcami jest jedynym sposobem ratunku. O tym, co im groziło, gdyby dostali się w łapska Sowietów, wiedzieli doskonale. Świadczył o tym tragiczny los grupy rannych żołnierzy brygady, których nie udało się ewakuować przez Pilicę i pozostawiono na wschodnim brzegu rzeki. Wszyscy po przyjściu Armii Czerwonej zostali wymordowani.

Oczywiście zdarzało się, że niektórzy nie aprobowali planów dowództwa brygady. Nosem kręcili szczególnie wcieleni do niej żołnierze AK. Jeden z podobnych przypadków, choć akurat dotyczył człowieka z NSZ, został załatwiony drastycznie. Chodziło o kaprala podchorążego „Miśka", który pytał żołnierzy, „czym różnimy się od tych Kałmuków czy Ukraińców, którymi tak w Warszawie pogardzałem". Został on rozstrzelany za „podrywanie morale wojska".

Według historyka Romana Smolorza za „zbuntowanie się przeciwko kooperacji z Wehrmachtem" sąd polowy brygady w sumie skazał na karę śmierci kilku oficerów.

Wróćmy jednak do spraw najważniejszych. Otóż wbrew późniejszym opowieściom brygada nie zawsze uchylała się – lub mogła się uchylić – od bojowego współdziałania z Niemcami. Na przykład 21 stycznia 1945 roku trzy kompanie NSZ wraz z jedną kompanią Wehrmachtu chroniły most na Odrze. 16 lutego polskim oddziałem pod dowództwem majora „Rusina" Niemcy zatkali dziurę, która powstała na linii frontu wzdłuż tej rzeki. Doszło do tego pod miejscowością Oderthal.

Sprawa ta została opisana w dzienniku porucznika Stefana Władyki „Lecha", który niedawno opublikował profesor Jan Żaryn. Z dokumentu tego wiemy, że oddział otrzymał instrukcję pójścia do walki „na lipę", czyli bez specjalnego angażowania się. Mimo to do wspólnej walki z Niemcami doszło. „Lech" dowodził jednym z patroli, który dostał rozkaz „otwarcia silnego ognia" w stronę bolszewików. Podczas akcji Polakom towarzyszył oficer łącznikowy SD o nazwisku Flor.

W trakcie potyczki jeden z polskich karabinów maszynowych wraz z obsługą został nawet przydzielony walczącemu obok pododdziałowi Wehrmachtu, gdyż Niemcy mieli niewystarczającą siłę ognia. Całe szczęście Polacy nie ponieśli żadnych strat, a po pewnym czasie – ku wściekłości Flora – wycofali się na tyły. „Zły jestem, że tak paskudnie musieliśmy zmarznąć" – skomentował całą akcję Władyka.

W drugiej dekadzie marca 1945 roku brygada została skierowana do miejscowości Rozstání w okolicach Brna. Część podróży odbyła podstawionymi przez Niemców wojskowymi eszelonami. Tam zaczęły się intensywne szkolenia – między innymi ostre strzelanie i musztra – Niemcy pomogli również uzupełnić braki w zaopatrzeniu. Jednostka typu partyzanckiego zaczęła przekształcać się w regularne liniowe wojsko.

Polacy odbywali normalną służbę garnizonową. Dostawali nawet przepustki i w mundurach, z bronią, jeździli do Pragi napić się piwa w tamtejszych knajpach. Poznawali czeskie dziewczęta, chodzili do kina, w niedzielę na mszę do kościołów w okolicznych miejscowościach. Żołd wypłacano im z niemieckich kas pułkowych. Jedyną poważną niedogodnością było obowiązkowe strzyżenie na „gołą pałę".

19 marca w dniu imienin Józefa odbyła się w Rozstání defilada na cześć marszałka Piłsudskiego, co jest najlepszym dowodem, że brygada nie była wcale – jak twierdzą jej zajadli krytycy – jakąś „partyjną endecką bojówką", ale polskim wojskiem z prawdziwego zdarzenia.

Współżycie z Niemcami układało się poprawnie. Pikanterii całej sprawie dodawało to, że w brygadzie służył Anglik – Richard V. Tullet „Harry". Był to lotnik RAF zestrzelony nad Niemcami i osadzony w obozie jenieckim w okupowanej Polsce, z którego uciekł i dołączył

do NSZ. Był zresztą postacią dość ekscentryczną, o czym świadczą wspomnienia jego kolegów. „Mamy z nim wiele kłopotu" – wspominał Władyka – „gdyż jest trudny do opanowania, a poza tym niemożliwie brudny". „Harry" słynął jednak nie tyle z brudu, ile przede wszystkim tego, że jako przecinków używał najgorszych polskich przekleństw, zabawnie je przy tym przekręcając.

W znacznie mniej komfortowej sytuacji niż zwykli żołnierze znajdowało się dowództwo brygady. Niemcy coraz ostrzej domagali się bowiem wysłania polskiej formacji na front. Polacy raz byli oskarżani o dekownictwo, innym razem odwoływano się do chlubnych tradycji oręża polskiego i ducha bojowego Polaków. Niemcy przypominali liczne przypadki w dziejach, gdy Polska, jako przedmurze Europy, chroniła cały kontynent przed zalewem bolszewizmu. Oficerowie NSZ – za co im cześć i chwała – ignorowali jednak te próby podbijania patriotycznego bębenka.

Byli to bowiem ludzie, co w polskim wojsku w okresie II wojny światowej było rzadkie, potrafiący chłodno analizować rzeczywistość. Jeżeli uratowało się swoich ludzi przed bolszewickimi kulami, to idiotyzmem byłoby teraz ich pod te kule posyłać. Szczególnie w interesie zdychającej III Rzeszy.

Mimo to pewne ustępstwa trzeba było czynić. Jednym z nich był wyjazd podpułkownika Marcinkowskiego „Jaxy" do Pragi na zjazd „faszystowskich" ruchów Europy Środkowo-Wschodniej. Obok oficera NSZ wzięli w nim udział członkowie rumuńskiej Żelaznej Gwardii, węgierscy strzałokrzyżowcy oraz przedstawiciele Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej (ROA) generała Andrieja Własowa.

Panowie pogadali o konieczności obrony Europy przed bolszewickim barbarzyństwem i przewodniej roli narodowosocjalistycznych Niemiec. Przyjęto kilka uchwał, wygłoszono kilka referatów. Wypito sporo czeskiego piwa i zjedzono knedle. „Jaxa" wymówił się jednak od podpisania akcesu do tej antysowieckiej międzynarodówki, zasłaniając się brakiem odpowiedniego upoważnienia.

Mimo oporu Polaków Niemcy nie zrezygnowali jednak z planu uczynienia z brygady zalążka wielkiej polskiej armii antykomunistycznej. Żeby zrealizować taki projekt, trzeba było jednak pozyskać mnóstwo rekruta i wykwalifikowanych oficerów. Skąd ich jednak wziąć, skoro Polska znajdowała się już pod sowiecką okupacją? Otóż Niemcy zaproponowali brygadzie przeprowadzenie werbunku w obozach jenieckich. Dowódcy NSZ oczywiście skwapliwie skorzystali z propozycji, widząc w niej szansę na wydostanie jak największej liczby rodaków zza drutów.

Na początek zwolniono z obozów kilku oficerów związanych z ruchem narodowym, w tym

aresztowanego w 1943 roku majora Stefana Kozłowskiego „Aleksandra”. 13 kwietnia został on przewieziony do Pragi, gdzie odbyła się narada z udziałem Paula Fuchsa i powiązanego z Abwehrą profesora Wernera Markerta, specjalisty do spraw Europy Wschodniej, a po wojnie znanego sowietologa.

„Aleksander” został następnie wysłany przez brygadę do obozów w Dachau i Murnau z poleceniem „werbowania oficerów do akcji przeciwsowieckiej”. W ręku miał glejt upoważniający do zwolnienia wybranych przez niego oficerów, podpisany i wręczony mu osobiście przez generała Heinza Guderiana. Pamiętający bojowe walory polskiego żołnierza z kampanii roku 1939 wybitny niemiecki dowódca pancerny popierał bowiem całą akcję. Jej efekt nie był jednak oszałamiający.

„Gdy siedziałem w Murnau” – wspominał jeden z polskich jeńców – „dwóch oficerów Brygady z jaszczurkami na ramieniu, zaopatrzonych w papiery niemieckie, przybyło werbować nas do armii polskiej przy boku niemieckim. Oczywiście ani jednego ochotnika nie znaleźli”.

W obozie w Murnau 20 kwietnia Stefan Kozłowski „Aleksander” spotkał się z oficerami NSZ, w większości wziętymi do niewoli podczas Powstania Warszawskiego.

> Do bloku H, gdzie mieszkałem – relacjonował Tadeusz Siemiątkowski – przyszedł sierżant niemiecki i wywołał moje nazwisko, bym zgłosił się do komendy. W gmachu komendy, bez żadnych wyjaśnień, wprowadzono mnie do pokoju, gdzie stanąłem oko w oko z „Aleksandrem”, o którym myślałem, że dawno został rozstrzelany. W pokoju obecnych było też dwóch Niemców. Jeden z nich, oficer, doskonale mówił po polsku.
>
> „Aleksander” rozpoczął swoją opowieść. Najprzód krótko o swoich losach i wypuszczeniu go z kacetu, by pomógł w zwerbowaniu oficerów polskich do walki z bolszewikami, a potem o Brygadzie Świętokrzyskiej. Pokazał pismo upoważniające go do wyciągania oficerów polskich z obozów jenieckich. Cała historia wydawała mi się tak fantastyczna, że zacząłem podejrzewać, czy „Aleksander” nie zwariował w więzieniu i jest teraz wykorzystywany przez Niemców.
>
> Widząc, że zachowanie Niemców jest jak najbardziej poprawne i że chcą iść wyraźnie na rękę, zapytałem ich, czy mogę z „Aleksandrem” pomówić na osobności. Zgodzili się bez najmniejszego sprzeciwu i wyszli. Zadałem wówczas pytanie wprost: „Czy jesteś przy zdrowych zmysłach?”. Usiłował przekonać mnie, że tak, i nabrałem do niego zaufania, że ma wszystkie klepki w porządku. Naświetlił sytuację Brygady i jej grę na zwłokę. Umówiłem się z „Aleksandrem”, że porozumiem się z naszymi i że za dwie–trzy godziny dam mu odpowiedź.
>
> Gdy wróciłem do bloku, zebraliśmy się na naradę. Byliśmy w grubej rozterce. Zadawaliśmy sobie pytanie, czy „Aleksander” reprezentował Brygadę, czy też raczej władze niemieckie. Ponieważ mieliśmy wątpliwości, czy nie jest on pod naciskiem niemieckim, odpowiedzieliśmy odmownie.

Akcja poniosła więc fiasko, niemieckie marzenie o powołaniu polskiej armii antybolszewickiej rozwiało się jak dym. W tym momencie projekt taki rzeczywiście był zresztą mirażem. Dziewięć dni później obóz w Murnau został wyzwolony przez Amerykanów. A brygada weszła w nową fazę. Jednostka zrobiła bowiem to, co należało zrobić w obliczu załamania się III Rzeszy – dokonała kolejnego odwrócenia sojuszy.

13 kwietnia 1945 roku Brygada Świętokrzyska została przez swoich oficerów postawiona

w stan gotowości i rzucona w dalszy marsz na zachód w stronę nadciągającej armii generała Pattona. Wysłany przodem polski patrol szybko nawiązał kontakt z Amerykanami i obie strony ustaliły warunki współpracy. Polacy przekazali namiary na niemieckie magazyny z bronią, z prośbą o ich natychmiastowe zbombardowanie. 5 maja zaś brygada sama uderzyła na Niemców pod Holýšovem.

W miejscowości tej znajdował się obóz koncentracyjny dla kobiet, który oddział NSZ wyzwolił. Wzięto do niewoli dwustu esesmanów, uwolniono tysiąc więźniarek, między innymi 167 Polek i 300 Żydówek. To ostatnie sprawia, że instytut Yad Vashem powinien uhonorować wszystkich żołnierzy Brygady Świętokrzyskiej tytułem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Jak wiadomo, jest odwrotnie – NSZ oskarżane są o antysemityzm i mordy na Żydach.

Uwolnione kobiety-więźniarki wybiegły z baraków na dziedziniec, aby nas przywitać – wspominał dowódca brygady, „Bohun". – Radość ich z odzyskanej wolności była tak wielka, że trudno mi opisać wrażenia, jakie wtedy przeżyłem patrząc na wynędzniałe w pasiakach postacie, rozpromienione szczęściem. Zapanował niesamowity hałas, powstały z mieszaniny radosnego śmiechu, głośnego płaczu, krzyków i bieganiny.

Podbiegł do mnie mój adiutant z meldunkiem, że po lewej stronie znajdują się dwa baraki, podwójnie otoczone płotem z drutu kolczastego pod prądem. Natychmiast kazałem przyprowadzić komendanta obozu i wyłączyć prąd elektryczny. Na moje pytanie o powód odizolowania dwóch baraków odpowiedział, że na rozkaz Hitlera są w nich zamknięte więźniarki pochodzenia żydowskiego. Budynki te wraz z kobietami miały być oblane benzyną i spalone w momencie zbliżenia się wojsk amerykańskich. Zobaczyłem stojące dookoła każdego baraku beczki z benzyną.

Chciałem wejść do wnętrza, ale makabryczny widok, jaki ujrzałem, zatrzymał mnie na progu. Z mroków budynku wydostawał się potworny odór wydzielin ludzkich zmieszany z wonią rozkładających się trupów. Z tych czeluści wypełzały na światło dzienne, z wielkim płaczem radości, pozostałe przy życiu kobiety. Ze słabości nie mogły ustać na nogach.

Patrząc na nie myślałem nad zwyrodnieniem natury ludzkiej. W tym czasie podczołgała się do moich nóg jedna z więźniarek i zaczęła całować moje stopy. Wyciągnęła jakieś zawiniątko i podając mi powiedziała:

– Udało mi się przed Niemcami schować dolary. Chcę je panu teraz podarować w dowód wdzięczności za uratowanie życia.

Zwracając jej w gazetę zawinięte pieniądze, odpowiedziałem, że jestem już wynagrodzony tym, że udało mi się uratować tyle żyć ludzkich.

Wkrótce brygada wraz z ocalonymi więźniarkami znalazła się pod skrzydłami amerykańskiej armii. Wszyscy byli bezpieczni! Oficerowie NSZ odnieśli w ten sposób wielkie zwycięstwo. Uratowali 1,5 tysiąca polskich patriotów przed bolszewicką kulą, ocalili kilkaset żydowskich kobiet przed eksterminacją i na koniec wojny dysponowali silnym, znakomicie wyszkolonym wojskiem.

Takie są właśnie skutki rozsądnej polityki. A jakie są skutki polityki niemądrej, mógł się przekonać generał Tadeusz Bór-Komorowski 2 października 1944 roku, gdy na gruzach Warszawy i popiołach ciał 200 tysięcy jej mieszkańców składał kapitulację przed Niemcami. Warto tu wspomnieć o stratach, które brygada poniosła podczas akcji w Holýšovie. Akcji,

która sprawie polskiej przyniosła zyski stokroć większe niż rzeź Powstania Warszawskiego. Otóż wyniosły one… dwóch rannych.

Środowiska skupiające weteranów i sympatyków NSZ zawsze protestują przeciwko nazywaniu tego, co działo się między styczniem a majem 1945 roku, „kolaboracją". Trudno mi to zrozumieć. Oczywiście, że to była kolaboracja. Narodowcy współpracowali bowiem z wrogiem Polski – Niemcami. Tak samo jak Armia Krajowa podczas akcji „Burza" współpracowała z drugim wrogiem Polski – Sowietami.

Różnica polega na tym, że o ile kolaboracja AK z Sowietami skończyła się wymordowaniem i deportacją do łagrów dziesiątków tysięcy polskich żołnierzy, o tyle kolaboracja NSZ z Niemcami przyniosła skutki odwrotne – wielu Polakom ocaliła życie. Było to wielkie zwycięstwo realistów.

Rozdział 51

Zapomniani cichociemni

Samolot przeleciał w mroku nocy nad granicą okupowanej Polski. Udało mu się niepostrzeżenie przemknąć między stanowiskami artylerii przeciwlotniczej nieprzyjaciela. Po drodze nie napatoczył się również żaden wrogi myśliwiec. Teraz sunął na niskim pułapie ponad centralną częścią kraju. W środku maszyny na drewnianych ławkach siedziała grupa polskich żołnierzy. Byli w cywilnych ubraniach, w kieszeniach mieli sfabrykowane dokumenty. Zaopatrzono ich w pistolety, radiostację i sporą ilość gotówki. Przed misją przeszli intensywne szkolenia dywersyjne i wywiadowcze.

Nagle samolot zniżył lot, a w kabinie zapaliła się czerwona lampa. Reprezentujący sojuszniczą armię podoficer kierujący zrzutem wydał krótkie komendy w obcym języku i otworzył boczne drzwi. Do środka z impetem wbiła się fala lodowatego powietrza, huk silników stał się ogłuszający. Polacy wstali z ławek i jeden po drugim zniknęli w ciemnościach.

Kolejna ekipa cichociemnych skoczyła do Polski. Od poprzednich nieco ją jednak różniło. Samolot, którym przylecieli, nie był dakotą należącą do brytyjskich Royal Air Forces, ale niemieckim heinklem 111. Za sterami nie siedzieli Brytyjczycy, ale piloci Luftwaffe. Skoczkami byli zaś żołnierze Brygady Świętokrzyskiej NSZ, a nie armii generała Sikorskiego. I jeszcze jeden „drobny” szczegół: nie skoczyli do Polski okupowanej przez Niemców, ale do Polski okupowanej przez Sowietów. Była zima 1945 roku.

Opowieść o współdziałaniu NSZ z Niemcami nie byłaby pełna, gdyby nie wspomnieć o tych ludziach. Według oficjalnej polskiej historiografii do Polski podczas II wojny światowej skoczyło 316 cichociemnych. Na zaszczyt odnotowania w annałach zasłużyli jednak tylko ci żołnierze, którzy skakali z samolotów brytyjskich. Najwyższa pora dodać do tej liczby skoczków z NSZ.

Niemcy wiedzieli, że po przewaleniu się przez Polskę frontu wschodniego na tyłach Armii Czerwonej pozostały tysiące polskich partyzantów. Wielu z nich z miejsca przystąpiło do walki z nowym okupantem. Chodzi o ludzi, których nazywamy dziś „żołnierzami wyklętymi”. Ponieważ operowali oni na tyłach Armii Czerwonej, Berlin w pierwszych miesiącach 1945 roku starał się nawiązać współpracę z „polskimi antysowieckimi oddziałami leśnymi”.

Pierwsze takie pomysły pojawiły się już w sierpniu 1944 roku, gdy urzędnicy z dystryktu krakowskiego Generalnego Gubernatorstwa przedłożyli projekt „przestawienia polskiej partyzantki" na nowe tory. W piśmie do Berlina proponowali oni, żeby „część narodową" polskiego podziemia nakłonić do prowadzenia „guerilli" na sowieckich tyłach, którą mieliby dowodzić oficerowie SS.

Pomysł musiał się w Berlinie spodobać, bo sprawa wypłynęła, gdy w niewoli znalazł się Tadeusz Bór-Komorowski.

W pierwszych dniach kwietnia 1945 roku – wspominał – Niemcy podjęli jeszcze jedną próbę, by skłonić mnie do współpracy. Rozmawiał ze mną asesor Benninghausen z zarządu Towarzystwa Studiów nad Europą Wschodnią.

Oświadczył mi na wstępie, że przybył z Berlina z polecenia członków przedwojennego Towarzystwa Polsko-Niemieckiego. Zarówno on, jak i jego przyjaciele zawsze byli przeciwni złemu traktowaniu Polaków. Zdaje sobie w pełni sprawę, że wobec Polski zastosowano nieszczęśliwą politykę, jest jednak zdania, że te błędy można naprawić. Naród polski należy do świata zachodniego i stoi obecnie wobec wielkiego niebezpieczeństwa ze wschodu. Jak mi zapewne wiadomo cała Polska znalazła się pod okupacją sowiecką.

„Herr Assesor" przypuszczał, że w tych warunkach pragnąłbym zapewne znowu kierować walką podziemną, tym razem przeciw Sowietom. Rząd niemiecki byłby skłonny mi w tym pomóc. Mogę być natychmiast zwolniony z obozu wraz z oficerami, których wskażę. Otrzymam wszelką pomoc, środki pieniężne i potrzebną broń, po czym przerzucą mnie na zaplecze frontu sowieckiego w Polsce. Akcja przeciw Sowietom byłaby uzgodniona z Niemcami i przemyślana na daleką metę celem przeciwstawienia się sowietyzacji Europy.

Podobny postulat pojawił się w Czechach, podczas rozmów prowadzonych przez niemieckich oficerów z dowództwem Brygady Świętokrzyskiej. Chodziło o nawiązanie współpracy z tymi oddziałami NSZ, które pozostały w kraju. Na początku pułkownik „Bohun" stanowczo sprzeciwiał się tym postulatom, w końcu jednak uległ namowom „Toma", który ostrzegał, że podtrzymywanie odmowy może się fatalnie skończyć dla brygady.

„Bohun" przystał więc na współpracę na gruncie wywiadowczym i najprawdopodobniej również dywersyjnym. Profesor Jan Żaryn w swojej świetnej książce *Taniec na linie, nad przepaścią* nazwał to „taktyczną współpracą wojskową".

Odbyłem rozmowy z przedstawicielami niemieckich władz wojskowych, w których stwierdziłem, że Grupa „Zachód" NSZ [czyli Brygada Świętokrzyska] ma na celu w zmienionych obecnie warunkach przede wszystkim walkę z bolszewikami okupującymi Polskę – pisał do żołnierzy dowódca brygady. – Ustaliłem, że Grupa ma do wykonania następujące zadania: 1. Włączenie jak największej liczby Polaków przebywających na terenie Rzeszy do szeregów Grupy w celu walki z Rosją Sowiecką o niepodległość Polski. 2. Podtrzymanie oporu NSZ-tu na terenach Polski przeciw bolszewizmowi, przez wysyłanie przeszkolonych grup dowódczych i dywersyjnych.

Już na przełomie stycznia i lutego 1945 roku w brygadzie ogłoszono nabór ochotników. Reakcje żołnierzy były rozmaite. Część miała opory przed taką formą współdziałania

z Wehrmachtem, część przeciwnie.

Wczoraj (28 stycznia) jak grom uderzyła nas wiadomość podawana z ust do ust z szybkością błyskawicy, że wracamy z powrotem do Polski – pisał w dzienniku żołnierz jednostki, Bolesław Kempa. – W jaki sposób? Otóż w fantastyczny. Niemcy zaproponowali nam projekt zrzucenia nas jako skoczków spadochronowych na tyły bolszewickiego frontu w celu zadawania bolszewikom dywersji. Pierwsza ochotnicza dziesiątka odleci w najbliższych dniach.

Wiadomość tę przyjęliśmy entuzjastycznie, choć są między nami tacy, którzy bledną na myśl o skoku z samolotu. Ja zdecydowałem się w pierwszej chwili i będę starał się lecieć w jednej z pierwszych dziesiątek. Przypuszczam, że jeżeli Niemcy zdołają zatrzymać nawałę bolszewicką, to te plany dojdą do skutku i w niedługim czasie znajdziemy się znowu na ojczystych naszych terenach jako małe oddziały dywersyjne.

Ochotników zgłosiło się znacznie więcej, niż było miejsc. Około sześćdziesięciu zostało skierowanych na specjalne szkolenia prowadzone przez instruktorów z Wehrmachtu. Między innymi oficera Abwehry Ludwiga Wolfa. Skoki spadochronowe, walka wręcz, strzelanie, wysadzanie mostów i torów, szyfry, używanie nowoczesnych materiałów wybuchowych. Część zajęć ze strzelania prowadził „Tom”. On też zorganizował osobny kurs dla radiooperatorów.

Szkolenia były błyskawiczne i pierwsza ekipa pod dowództwem porucznika Bogusława Denkiewicza „Bolesława” weszła na pokład niemieckiego samolotu już 13 lutego. Ostatnia – 15 kwietnia 1945. W sumie Niemcy zrzucili do Polski cztery grupy wywiadowcze NSZ. Były w nich dwie kobiety – „Baśka” i „Grażyna”.

Każdy żołnierz otrzymał od Niemców fałszywe dokumenty, pistolet Walther P38 i automat. Rozkazy, szyfry i adresy osób, z którymi należy się skontaktować, przekazali zaś skoczkom dowódcy brygady. Samoloty startowały z lotniska w Pradze, dokąd Polacy byli zawożeni w niemieckich ciężarówkach wojskowych nakrytych plandekami, aby uchronić ich przed niepożądanymi spojrzeniami. Do maszyn odprowadzał ich „Tom”.

Dowództwo brygady w tajnych ustnych rozkazach poleciło żołnierzom, żeby po przylocie nie prowadzili żadnej działalności szpiegowskiej na rzecz Rzeszy. Całe ich zadanie miało polegać na dotarciu do dowództwa NSZ i stworzeniu kanału kontaktowego na linii kraj–brygada. Dlatego też pułkownik „Bohun” zdecydowanie sprzeciwił się niemieckiemu pomysłowi, aby do Polski poleciały zespoły mieszane. Oficer dowodzący jedną z grup skoczków dostał nawet poufny rozkaz, aby w razie gdyby Niemcy mimo wszystko wepchnęli mu do grupy jednego ze swoich ludzi, natychmiast po wylądowaniu go zastrzelił.

Byłem obecny w momencie wsiadania skoczków do samolotu – wspominał pułkownik Marcinkowski „Jaxa”. – Skorzystałem z okazji, żeby im powiedzieć parę słów. Poza oczywistym życzeniem powodzenia zdołałem im powiedzieć, gdy nie mogli tego słyszeć Niemcy i „Tom”, że nie obowiązują ich żadne rozkazy, od kogokolwiek by pochodziły, oprócz rozkazów pułkownika „Bohuna”. Zdawałem sobie sprawę, że musieli dostać instrukcje od „Toma” lub może od Fuchsa.

Jak potoczyły się losy cichociemnych z NSZ? W większości tragicznie. Jeden z oficerów, Jan Ciesielski „Rumba”, zginął już w pierwszych minutach misji. Skoczył ze spadochronem na minę i został rozerwany na kawałki. Pozostali ukryli się w różnych częściach okupowanej Polski, byli bowiem zajadle tropieni przez UB.

„Władze bolszewickie i polskie [komunistyczne], nie mogąc rozprawić się z Brygadą Świętokrzyską, a szczególnie z jej dowództwem, odgrywały się ze szczególną zaciekłością na tych, których dosięgnęły w kraju” – wspominał skoczek porucznik Denkiewicz, który przeszedł przez piekło w X Pawilonie więzienia mokotowskiego, a potem został skazany na śmierć. „Żaden z partyzantów innych organizacji podziemnych nie był tak bity i torturowany jak członek NSZ, a zwłaszcza żołnierz Brygady” – wtórował mu Stanisław Wójcik „Zemsta”.

Oprócz czterech zespołów spadochroniarzy jedną grupę NSZ Niemcy przerzucili do Polski lądem. Był to liczący około 45 żołnierzy pododdział dowodzony przez podporucznika Jana Dzielskiego „Wareckiego”.

> Całą grupę przewieziono samochodami do niemieckiej jednostki wojskowej na Morawach – relacjonował „Warecki” po wojnie. – Tam otrzymaliśmy szczegółowe mapy zachodnich Karpat, broń i amunicję pochodzenia sowieckiego, obuwie, mundury armii czeskiej, prowiant, pieniądze sowieckie i polskie. Po paru dniach przewieziono nas w okolice Beskidu Śląskiego bronionego przez frontowe jednostki niemieckie. Po zapoznaniu się z sytuacją na froncie i rozmieszczeniem wojsk sowieckich 28 kwietnia 1945 roku przedostaliśmy się przez okopy niemieckie i mijając osady zamieszkane przez ludność polską maszerowaliśmy przez teren górzysty.

Grupa – choć po drodze została rozbita – ostatecznie dotarła na Podhale. Tam dołączyło do niej kilku byłych żołnierzy Własowa i kilku górali, których żony zostały zgwałcone przez czerwonoarmistów. Przez pewien czas działali razem, broniąc ludności cywilnej przed rozpasaniem bolszewickiej dziczy. W końcu jednak tropiony przez UB oddział musiał się rozwiązać. Broń zakopano i żołnierze na własną rękę przenieśli się do innych części Polski. Przeżyło niewielu.

Żołnierze NSZ nie byli jedynymi polskimi skoczkami zrzuconymi przez Niemców na sowieckie tyły. Tą samą drogą podążyła co najmniej jedna grupa dywersyjna złożona z ochotników Polnische Wehrmacht. Żołnierz tej formacji, Józef Paweł Radomski, twierdził, że w grudniu 1944 roku w koszarach jednostki w Radomiu został zwerbowany przez oficera SS do pracy w dywersji i przewieziony wraz z kolegami do tajnego ośrodka szkoleniowego na przedmieściach czeskiej Pragi.

„Nareszcie Niemcy i Polacy razem, wspólnie walczą przeciwko bolszewikom. Będziemy tworzyć zgodę między Polakami a Niemcami” – usłyszeli na wstępie rekruci, których miało być około stu. W inauguracyjnym wykładzie oficer SS Julius Stein opowiedział im o lisowczykach, którzy w XVII wieku siali przerażenie w Rosji. Słynni polscy żołnierze mieli być wzorem dla dywersantów.

„W oddziałach Lisowskiego walczyli ramię przy ramieniu Niemcy i Polacy! Nie jesteście żadnymi najemnikami” – mówił Niemiec. – „Otrzymywać będziecie taki sam żołd jak żołnierze niemieccy. My was szkolimy, uzbrajamy i przerzucamy na tył frontu sowieckiego”.

Polaków uczono dokonywania sabotaży i akcji likwidacyjnych, ale również technik szpiegowskich: podłączania się pod linie telefoniczne czy konstruowania skomplikowanych skrytek. To ostatnie demonstrował wzięty do niewoli polski ekspert z AK. Plan zakładał, że głównym zadaniem skoczków będzie organizowanie antybolszewickich oddziałów leśnych, które dezorganizowałyby tyły Armii Czerwonej. A w odpowiednim momencie wywołały masowy zryw powstańczy.

Miałoby to przypominać polskie działania podczas Powstania Styczniowego, które zostało bardzo dokładnie przeanalizowane przez ekspertów z SD. Każdy ze skoczków miał być zaopatrzony w broń palną oraz specjalne linki do duszenia. Przed wylotem Niemcy ostrzegli Polaków, żeby unikali przypadkowych kontaktów seksualnych, po przejściu „wyzwolicieli” z Armii Czerwonej w Polsce szalała bowiem epidemia chorób wenerycznych. Skoczkom radzono więc, by potrzeby seksualne zaspokajali masturbacją.

Tu jedna uwaga. Ze względu na sensacyjny ton relacji Radomskiego – która została opublikowana w 2007 roku przez pismo „Inne Oblicza Historii” – należy podchodzić do niej ostrożnie. Czytając ją, trudno oprzeć się wrażeniu, że były żołnierz Polnische Wehrmacht momentami mocno koloryzował. Z drugiej strony wiele podanych przez niego informacji potwierdzają znane dokumenty.

Wróćmy jednak do naszych skoczków. Wreszcie nadszedł czas wylotu. Radomski w przeddzień misji został mianowany SS-Untersturmführerem, z zastrzeżeniem, że po wykonaniu zadania zostanie z powrotem przeniesiony z SS do Polnische Wehrmacht w stopniu porucznika. Jego oddziałowi nadano kryptonim „Sonderabteilung weiss und rot” („Oddział specjalny biel i czerwień”) po czym skierowano na lotnisko pod Pragą. A więc to samo, z którego odlatywały ekipy NSZ.

Samolot wystartował 5 kwietnia 1945 roku. Polacy i pięć zasobników ze sprzętem bezpiecznie wylądowali w kraju. Po zrzucie oddział nie podjął jednak wyznaczonego mu zadania i po prostu się rozlazł. Każdy udał się w swoją stronę, żołnierze nie mieli bowiem

najmniejszej ochoty odgrywać roli niemieckich szpiegów i dywersantów. Szczególnie że koniec wojny był kwestią tygodni. Wkrótce Radomski wydostał się z okupowanej Polski i wyjechał do Ameryki Południowej.

Na koniec tej części książki warto zadać pytanie, kto ze strony niemieckiej decydował o porozumieniu z Narodowymi Siłami Zbrojnymi. Wiadomo, że podczas rozmów z Polakami niemieccy oficerowie kontaktowali się telefonicznie z Berlinem. Pytanie tylko z kim. Z dowództwem Wehrmachtu? Kancelarią Hitlera? A może z Himmlerem? Na tę ostatnią ewentualność wskazywałaby propozycja przeformowania brygady w polską jednostkę Waffen-SS oraz zaangażowanie w całą sprawę Fuchsa.

Nie można jednak wykluczyć – potwierdza to sporo przesłanek – że gra toczyła się już z myślą o III wojnie światowej. Że za całą sprawą stała grupa oficerów nastawionych opozycyjnie wobec Hitlera. Oficerów, którzy opierając się na NSZ, starali się zbudować przyszłą polską armię antybolszewicką, która u boku zdenazyfikowanego Wehrmachtu, Amerykanów i Brytyjczyków walczyłaby ze Związkiem Sowieckim.

> Przed wyjazdem na kurs dywersyjny – wspominał kapitan Stefan Celichowski „Skalski” – ppłk „Ząb” zorientował mnie w sytuacji wytworzonej wokół nas. Wehrmacht liczył na likwidację Hitlera. W takim przypadku orientowano się na puszczenie frontu zachodniego i przeniesienie wszystkich sił na wschód celem zatrzymania Rosjan. Z tą myślą zaczęli organizować tzw. Europejskie Siły Antykomunistyczne. W ich planach my mieliśmy być zaczątkiem Armii Polskiej walczącej po ich stronie.
>
> Brygada oficjalnie zgodziła się na zawieszenie broni, ponieważ Niemcy przestali być okupantem Polski. Jednak wytłumaczyliśmy im, że tak jak bardzo nie lubimy komunistów, tak nie możemy zacząć razem z nimi walki, dopóki nasz rząd w Londynie nie wyda nam takiego rozkazu. Jesteśmy żołnierzami i oni, jako żołnierze, muszą nas zrozumieć.

Historii Narodowych Sił Zbrojnych powinno się uczyć w każdej polskiej szkole, tak aby dowiedziało się o niej każde polskie dziecko. To bowiem właśnie ta formacja podczas II wojny światowej udzieliła najlepszej odpowiedzi na odwieczne polskie pytanie: „Bić się czy nie bić?”. Bić się! Ale z głową.

Rozdział 52

Hrabia Ronikier

Doprawdy dziwne gusta historyczne mają Polacy. W naszym panteonie bohaterów narodowych z okresu II wojny światowej znalazło się co najmniej kilku ludzi, którzy wyrządzili ojczyźnie poważne szkody. Zabrakło w nim natomiast miejsca dla hrabiego Adama Ronikiera, jednego z największych polskich bohaterów ostatniej wojny. Gdy niedawno pewien czytelnik zapytał mnie, komu postawiłbym pomnik w Warszawie, odpowiedziałem bez wahania: Ronikierowi!

Na czym polegało bohaterstwo hrabiego? Otóż stary polski arystokrata nie wywołał żadnego powstania. Nie wysadził też w powietrze żadnego transportu kolejowego, a tym samym nie sprowokował żadnej odwetowej masakry. Nie wysyłał też podległych sobie ludzi na straceńczą misję, której jedynym celem było przypodobanie się naszym cudownym sojusznikom i jeszcze cudowniejszym „sojusznikom naszych sojuszników".

Nie, hrabia Adam Ronikier robił coś odwrotnego. Zamiast narażać życie rodaków, ratował je. I to na wielką skalę. Ronikier w 1940 roku stanął bowiem na czele powołanej za zgodą niemieckich władz okupacyjnych Rady Głównej Opiekuńczej. Była to organizacja charytatywna, która wspierała najuboższych mieszkańców Generalnego Gubernatorstwa. A ponieważ na skutek wojny wielu Polaków znalazło się w dramatycznej sytuacji materialnej, rzesza potrzebujących była olbrzymia.

Zasługi RGO można wymieniać długo: organizowanie publicznych stołówek, sierocińców, przytułków i szpitali. Przydzielanie zapomóg. Rozdawanie odzieży i obuwia. Pomoc uchodźcom z ziem wcielonych do Rzeszy i z Wołynia. Dostarczanie koców, lekarstw i żywności. Załatwianie pracy i mieszkań. W sumie Rada Główna Opiekuńcza codziennie pomagała milionowi Polaków. Bez niej okupacja niemiecka, która i tak była piekłem na ziemi, byłaby dla Polaków jeszcze dotkliwsza.

Mimo to przeciętny Polak o istnieniu RGO nie ma dziś pojęcia. Mimo że była to organizacja znacznie bardzie pożyteczna dla sprawy polskiej niż choćby Armia Krajowa. W dużej mierze to „zasługa" komunistów, którzy starali się wymazać Ronikiera i jego radę z kart historii. Nie dość bowiem, że hrabia był arystokratą – a więc wrogiem ludu! – to jeszcze działał za zgodą Hansa Franka i bez zgody Józefa Stalina. A więc, według komunistów, był zdrajcą.

Ronikier nie pasował i nie pasuje również piewcom patriotycznej ortodoksji. Już pal sześć,

że RGO działała pod okupacją legalnie, ściśle współpracując z Niemcami. Dla nich znacznie gorsze jest coś innego – niepoprawne poglądy hrabiego. Był on bowiem wielkim politycznym realistą. Sprzeciwiał się aktom sabotażu, które sprowadzały na Polaków krwawy niemiecki odwet, a akcję „Burza" i Powstanie Warszawskie uważał za obłęd.

Przez całą wojnę obstawał przy tym, że to Związek Sowiecki, a nie Niemcy, jest głównym wrogiem Polski. A więc miał na tę sprawę pogląd całkowicie sprzeczny ze zdaniem kierownictwa Polskiego Państwa Podziemnego. Ponieważ głośno dawał temu wyraz, doprowadzało to do szału polskie czynniki oficjalne, zarówno w kraju, jak i w Londynie. A częste kontakty Ronikiera z władzami okupacyjnymi powodowały, że Generalne Gubernatorstwo huczało od plotek na temat proniemieckiego rządu, na którego czele miałby stanąć hrabia.

Program polityczny Ronikiera – pisał historyk Bogdan Kroll – zakładał, że Polacy zmuszeni do przeżycia wojny w okupowanym przez III Rzeszę kraju powinni dążyć do przetrwania wojny i okupacji z jak najmniejszymi stratami w zasobach ludzkich i materialnych, zachowując w tym celu w swoich rękach możliwie jak najwięcej elementów i instytucji życia publicznego. Konsekwencją takich założeń musiała być oczywiście programowa ogólna współpraca z niemieckimi władzami okupacyjnymi i rezygnacja z walki z Niemcami na terenie kraju. Nadto zaś tendencja do politycznej współpracy z hitlerowskimi Niemcami na płaszczyźnie antykomunistycznej.

Na zakończenie *Paktu Ribbentrop–Beck* przedstawiłem sylwetkę innego wielkiego Polaka, Władysława Studnickiego, aby pokazać, że postawione przeze mnie w tamtej książce tezy nie zostały wymyślone po latach. Że już wówczas byli mądrzy Polacy, którzy ostrzegali, iż polityka prowadzona przez nasze władze sprowadzi na Polskę katastrofę. *Opcję niemiecką* postanowiłem zakończyć opowieścią o Ronikierze.

Urodzony w 1881 roku hrabia Niemców i ich kulturę znał znakomicie, sam bowiem pochodził z rodziny o niemieckich korzeniach. Z Niemcami obcował zresztą na co dzień podczas I wojny światowej, gdy był posłem Rady Regencyjnej w Berlinie. Kierował wówczas również organizacją charytatywną pomagającą ubogim Polakom. Jeżeli chodzi o poglądy polityczne, był konserwatystą. W czasie Wielkiej Wojny opowiadał się za odbudową Polski jako monarchii opartej na Niemcach. Wszystko to spowodowało, że gdy rozpoczął się kolejny światowy konflikt – Ronikier nie miał wobec Niemców żadnych kompleksów.

Cechą istotną zwłaszcza w okresie okupacji hitlerowskiej – pisał jego wnuk Jerzy Ronikier – był całkowity brak poczucia strachu i głęboka wiara, że nic złego nie może mu się przytrafić. Cecha ta w połączeniu ze znakomitą znajomością języka niemieckiego pozwalała mu na swobodne zachowanie w kontaktach z nawet najbardziej wsławionymi swoją brutalnością przedstawicielami władz hitlerowskich.

Na początku wojny w środowisku Ronikiera – byli to głównie ziemianie i przedstawiciele obozu zachowawczego – pojawiły się nadzieje na powtórzenie koncepcji i działań z poprzedniego konfliktu. A więc wypracowania jakiegoś kompromisu i modelu współżycia z Niemcami.

> Szukano w moim środowisku drogi po temu, by nieszczęście, które już stało się faktem, możliwie zmniejszyć i co najważniejsze rozumną linię postępowania na najbliższą przyszłość wytknąć – pisał hrabia Ronikier w swoim pamiętniku w charakterystycznym staroświeckim stylu. – Najważniejszym naszym obowiązkiem winno być bronienie substancji Narodu, Opatrzności pozostawiając opiekę nad Państwem.

Niemcy nawiązali z hrabią kontakt 8 października 1939 roku. Tego dnia do mieszkania arystokraty przyszedł podpułkownik Wehrmachtu von Höltz. Starał się on wysondować Ronikiera w sprawie płaszczyzny ewentualnej współpracy. Usłyszał wówczas, co następuje: „Naród Polski tylko wtedy, gdy traktowanym będzie przez okupanta po rycersku, będzie mógł być w przyszłości nawet może i najbliższej partnerem do rozważań i postanowień politycznych".

Rozmowy z Ronikierem kontynuował wysłannik Hermanna Göringa Weiss von Ullog. Poinformował on arystokratę, że w niemieckich kręgach władzy toczy się dyskusja na temat tego, jak potraktować Polskę. Göring toczył ostry spór ze zwolennikami wprowadzenia rządów „silnej ręki". Zachęcony przez Ulloga hrabia Ronikier – w porozumieniu z kilkoma innymi konserwatystami – wysłał więc list do szefa Luftwaffe, w którym określał wstępne postulaty strony polskiej.

Odpowiedź nigdy nie nadeszła, w Berlinie bowiem zwyciężyli zwolennicy twardego kursu.

Wydaje się, że w tym początkowym okresie okupacji, zanim Niemcy pokazali swoją ludobójczą twarz, Ronikier opowiadał się za utworzeniem proniemieckiego rządu. Mówił o tym na wspomnianym już zebraniu arystokratów, które odbyło się u Stanisława Tyszkiewicza. I pewnie nie miałby nic przeciwko temu, żeby pokierować takim gabinetem.

Hrabia Ronikier, podobnie jak Władysław Studnicki, szybko przekonał się jednak, że III Rzesza nie ma nic wspólnego z liberalnym cesarstwem niemieckim z czasu Wielkiej Wojny. A stuknięty generalny gubernator Hans Frank z ówczesnym poczciwym generalnym gubernatorem Hansem Hartwigiem von Besselerem. Zbrodnie okupanta na Polakach wzbudzały w polskim arystokracie oburzenie. W tej sytuacji wszystkie prowadzone z Niemcami rozmowy natury politycznej zerwał.

Skupił się na pracy w RGO, która nie była łatwa. Znajdował się bowiem pod ustawiczną

presją Gestapo i SS, które starały się storpedować jego tytaniczne wysiłki na rzecz polskiego społeczeństwa. Z drugiej strony kij w szprychy wsadzało mu podziemie, które potępiało go za współpracę z władzami okupacyjnymi, nie bacząc na to, że jej celem było ulżenie doli najbardziej potrzebujących rodaków. Jednocześnie zaś ani władze podziemne, ani rząd na wychodźstwie – mimo solennych obietnic Sikorskiego – nie przekazywały pieniędzy na funkcjonowanie RGO.

Premier Sikorski i jego zły duch, minister spraw wewnętrznych Stanisław Kot, żyli za to w ustawicznym niepokoju, że Ronikier jednak porozumie się z Niemcami i stanie się polskim Pétainem. Każda plotka na ten temat, która docierała na Zachód, wywoływała u obu panów niemal palpitacje serca.

„Ronikier nie ma nawet cienia upoważnień uprawniających go do jakichkolwiek rozmów politycznych z okupantem!" – pieklił się generał Sikorski w jednej z depesz z instrukcjami do kraju. – „Dementować energicznie i ostrzec Ronikiera, że może być zdemaskowany, a w przyszłości poniesie następstwa tego rodzaju szalbierstwa". Podobne stanowisko zajmowało polskie podziemie, które oskarżało szefa RGO o „szkodliwe politykowanie".

Co tymczasem robił hrabia? Walczył jak lew o polskie interesy. Na uwagę zasługuje choćby list, który 8 lipca 1940 roku wysłał do Friedricha Krügera, bezwzględnego szefa SS i policji w Gubernatorstwie. Hrabia zwracał w nim uwagę na to, że zarówno RGO, jak i Niemcom zależy na utrzymaniu spokoju w kraju. Problem tylko w tym, dowodził, że kraj nie będzie spokojny, dopóki Niemcy dokonują masowych aresztowań Polaków.

Dlatego też domagał się, aby – jako szefowi RGO – przyznano mu prawo podejmowania interwencji w sprawach zatrzymywanych rodaków. „Na tej drodze" – pisał – „można wiele osiągnąć, by bolszewizm, który wszystkimi siłami dąży, by kraj opanować, a który przedstawia wspólne niebezpieczeństwo tak dla Niemców, jak dla Polaków, pokonać". Podobnych listów i memoriałów Ronikier napisał do Niemców mnóstwo. Od Franka domagał się zamknięcia obozów koncentracyjnych, od Göringa interwencji w sprawie schwytanych podczas łapanek cywilów, walczył o poprawę bytu ludzi wywiezionych na roboty do Rzeszy.

> Niebezpieczeństwo – pisał w memoriale z 22 listopada 1940 roku – które z bolszewicką propagandą jest połączone, zagraża także Polsce i w tym punkcie muszą Niemcy i Polacy, nie zważając na wszystkie ich dzielące sprawy, pracować w tym samym kierunku. Dają się tymczasem słyszeć głosy dyktowane rozpaczą, które twierdzą, że pod bolszewikami jest znacznie lepiej.
>
> Dla nas jednak, poważnie myślących Polaków, byłoby największym nieszczęściem, gdyby w razie konfliktu te ujawniające się myśli miały być w czyn wprowadzone i zamiast owo największe niebezpieczeństwo dla cywilizowanego świata chcieć zwalczać – te zrozpaczone elementy zechciały stanąć przy boku Sowietów. To niebezpieczeństwo winni poważni ludzie, tak z polskiej, jak i niemieckiej strony, jasno i w porę zrozumieć i dołożyć starań, by w miarę możności je usunąć.
>
> Droga prowadząca do tego nie idzie w kierunku politycznego porozumienia z Polską – atmosfera i warunki są dalekie od

tego, by ją za właściwą dla tego uznać – należy pracować nad zmianą warunków.

Ronikier domagał się od Niemców wstrzymania aresztowań, uwolnienia więzionych księży i profesorów, otwarcia szkół i seminariów, przywrócenia Polakom wszelkich praw i założenia polskiej straży obywatelskiej. Podobne memoriały i liczne interwencje w sprawie konkretnych aresztowanych Polaków spowodowały jednak, że hrabia narobił sobie potężnych wrogów. Przede wszystkim wśród gestapowców.

Ich szczególną irytację wywoływało to, że dystyngowany arystokrata zawsze w rozmowach z nimi zachowywał zimny spokój. Zawsze logicznie, spokojnie argumentował – pozwalając sobie na niebywałą wręcz śmiałość – mało tego, patrzył na hitlerowskich drabów z góry. Nawet nie ukrywał, że nimi gardzi.

Ronikier olbrzymie nadzieje wiązał z wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej.

> Dnia tego byliśmy wszyscy w nastroju dziwnie radosnym – pisał. – Wszyscy byli zupełnie jednomyślni, że fakt ten musi przynieść ze sobą zasadniczą zmianę stosunku okupanta niemieckiego do Polaków. Już odezwa Franka do ludności GG była jednak powodem wielkiego zawodu. Zwyciężyło zdanie partii, że zmieniać postępowania w niczym nie należy, bo się jest zdobywcą świata, a Europa ma dać temu zdobywcy tylko niewolników i nic więcej.

Uznawszy, że nie ma pola do rozmów z Niemcami, Ronikier znowu skupił się na pracy charytatywnej. Do gry wrócił dopiero w kwietniu 1943 roku, po odnalezieniu masowych grobów w Katyniu. Pod Smoleńsk, na oględziny miejsca mordu, wysłał delegację RGO z Edmundem Seyfriedem na czele. Ponowił wówczas również starania o stworzenie uzbrojonej straży bezpieczeństwa, która miałaby się zająć ochroną polskiej ludności przed szalejącymi w terenie komunistycznymi bandami.

Gdy doktor Ludwig Losacker z rządu Generalnego Gubernatorstwa chciał rozpocząć z nim rozmowy polityczne, Ronikier szybko uciął sprawę. „Wolę kulkę niemiecką od polskiej” – stwierdził. Losacker jednak nie ustępował i zapewniał, że Berlin dał zielone światło do dokonania zasadniczego zwrotu w polityce okupacyjnej. Celem działań przychylnego Polakom stronnictwa w kręgach władzy III Rzeszy było – jak wyraził się urzędnik – „imię niemieckie od hańby ratować”.

Wkrótce na Wawelu doszło do spotkania Ronikiera z Hansem Frankiem. Niemiec był wobec Polaka uprzedzająco grzeczny, obiecywał złagodzenie terroru i wstrzymanie deportacji. W bardzo ostrych słowach wypowiadał się o esesmanach i policjantach, którzy gnębili Polaków. Obaj panowie mieli rozmawiać o możliwości nawiązania nieformalnego kontaktu z Komendą Główną AK, aby przekonać ją do zaprzestania wystąpień przeciw Niemcom.

Dziękując RGO za dotychczasową pracę – wspominał Ronikier – dr Frank podkreślił, że na współpracy tej, jak i też w ogóle na współpracy z Polakami, bardzo mu zależy. Oświadczył wprost, że Niemcy mieli fałszywe wyobrażenie o właściwościach i zdolnościach Narodu Polskiego, że jednak zdołał on przekonać Niemców tutejszych, jak i w Rzeszy, o właściwej wartości Narodu Polskiego i o konieczności ścisłej z nim współpracy, zaliczając Polaków do narodów o kulturze zachodnioeuropejskiej. Odprowadzając nas do drzwi powiedział: „Miejmy nadzieję, że tym razem rozpoczęta będzie dla tego kraju nowa era".

Frank, snując plany o odbudowie Polski pod swoim berłem, myślał o przekształceniu RGO w polski ośrodek władzy. W całą sprawę zaangażowało się zresztą SD. W kolejnych dniach miało dojść do spotkania Ronikiera z Alfredem Spilkerem, a Paul Fuchs prowadził rozmowy z przedstawicielami RGO w Radomiu. Otwarcie powiedział im, że jest „przeciwnikiem błędnej polityki ucisku Polaków".

Jak jednak wiemy, żadna zapowiadana przez Franka „nowa era" nie nadeszła. Hitler był uparty jak osioł i słowa gubernatora pozostały pustymi obietnicami. Gestapo zamiast złagodzić, nasiliło terror. W tej sytuacji 24 października 1943 roku doszło do ostrego konfliktu między generalnym gubernatorem a szefem RGO. Otóż Frank zaplanował na ten dzień huczne dożynki, podczas których chciał wystąpić wobec Polaków z szeregiem gestów dobrej woli. Poprosił również, aby pojednawczą mowę wygłosił Ronikier.

Ten początkowo się zgodził, ale niemal w przeddzień uroczystości doszło do haniebnego wydarzenia. Niemcy dokonali pierwszej publicznej egzekucji w Krakowie. Na ulicy Długiej rozstrzelali dwudziestu młodych Polaków w odwecie za zabicie dwóch policyjnych szpicli. W tej sytuacji Ronikier stanowczo odrzucił możliwość udziału w dożynkach. „My tańczyć nie umiemy, gdy krew rodaków naszych niewinnych leje się na ulicach" – powiedział Niemcom.

Wywołało to dziki szał Franka, który odebrał to jako osobisty afront. Ronikier i jego dwaj zastępcy w RGO zostali zwolnieni ze stanowisk, 27 stycznia 1944 roku polski arystokrata został zaś aresztowany. Tu dość ciekawy szczegół, otóż agresywne posunięcia wobec hrabiego szykowała także Armia Krajowa. Na wypadek gdyby jednak zgodził się wziąć udział w dożynkach, planowano go… porwać i wypuścić dopiero po uroczystości.

Ostatecznie został jednak uwięziony przez obcych, a nie swoich.

Rozdział 53

W niemieckim więzieniu

Do więzienia Świętego Michała przy ulicy Senackiej w silnej eskorcie uzbrojonych gestapowców został przywieziony nowy pensjonariusz. Wysoki, dystyngowany pan w futrze i kapeluszu. Pod futrem miał nienagannie skrojony garnitur. Wprowadzono go do celi numer 66. Mężczyzna rozejrzał się po obskurnym pomieszczeniu, po czym usiadł na pryczy. Strażnik – Niemiec znany z sadyzmu i prymitywnej natury – spojrzał nań spode łba i zapytał o nazwisko.

– Jestem hrabia Ronikier – odparł po niemiecku więzień.

– Tu nie ma żadnych hrabiów! – wrzasnął w odpowiedzi Niemiec.

Reakcja arystokraty była niebywała. Zamiast, jak inni więźniowie, położyć po sobie uszy, Ronikier rąbnął pięścią w stół i krzyknął po niemiecku znacznie głośniej niż strażnik:

– A ja jestem hrabią i hrabią tu pozostanę!

Niemiec wyskoczył z celi jak oparzony i od następnego dnia zawsze zwracał się do nowego więźnia słowami: „Was wünschen Sie, Herr Graff?” (Czego sobie pan hrabia życzy?). Jak już pisałem, Ronikier wiedział, jak rozmawiać z Niemcami.

W krakowskim więzieniu były już szef RGO został poddany śledztwu. Jednym ze stawianych mu zarzutów było finansowe wspieranie „Muszkieterów” i samego szefa organizacji, Stefana Witkowskiego. Ronikier nie przyznał się do tego. Przesłuchania wkrótce zresztą zamieniły się w dyskusje. Aby pertraktować z Ronikierem, z Berlina przysłano wysoko postawionego urzędnika. Pytał go, co Niemcy muszą zrobić, żeby pozyskać Polaków.

> Nie można sytuacji uleczyć za pomocą żadnych środków policyjnych lub wojskowych. Musi nastąpić gruntowna zmiana reżimu – perorował hrabia. – Oczekiwanie na to, by Polacy w tym kierunku krok pierwszy zrobili, jest rzeczą zupełnie utopijną. Muszą Niemcy sami uznać wszystkie swe zasadnicze błędy w stosunku do Polaków i Polski popełnione, muszą znowu zacząć uznawać konieczność istnienia państwa polskiego i na ten temat nie tylko społeczeństwu polskiemu pozwolić myśleć, ale i głośno mówić. Wreszcie czynem stwierdzić, że mówiąc ciągle o „nowej Europie” rozumieją, że prawa Polaków do życia i samodzielnego bytu muszą być uznane i w formie państwowej zabezpieczone.

Po pewnym czasie Ronikier został przewieziony do gabinetu Waltera Bierkampa, dowódcy SD w Krakowie. Tam również zadano mu to samo pytanie co w więzieniu.

Tragedią sytuacji – odpowiedział hrabia – jest to, że żeby nawet ze strony niemieckiej zaczęto budować złoty most, by przejść ponad tą przepaścią, to społeczeństwo polskie, po przebyciu tylu okropnych dla siebie doświadczeń w ciągu lat pięciu panowania niemieckiego, by nie chciało na ten most wejść, gdyby nawet był już zbudowany, byłoby bowiem przekonanym, że most ten musi być podminowanym.

A oto fragmenty memoriału do niemieckich władz, który Ronikier napisał w więzieniu 18 marca 1944 roku:

Nie ulega żadnej wątpliwości, że Polacy należą całkowicie do Zachodu i z nim silnie trzymają. Wojna roku 1920, gdy Polska oparła się bolszewizmowi i zwyciężyła, pokazała jasno polskiemu rolnikowi i robotnikowi, co bolszewizm ze sobą przynosi, i uodporniła go przeciw niemu.

Jest zatem rzeczą sprzeczną z wszelką logiką, aby Polacy, a przede wszystkim polscy narodowcy, przeprowadzali obrachunki swe z Niemcami w takim czasie, kiedy każda siła niemiecka winna być wykorzystana nie tylko dla Rzeszy, lecz również na korzyść Polski przeciwko bolszewikom. Według mego zdania musi być obowiązkiem każdego Polaka wobec swej Ojczyzny i wobec całej Europy co najmniej nie przeszkadzać Niemcom w ich walce przeciwko bolszewizmowi.

I dalej:

Gdy ustaną ze strony polskiej, mam na myśli narodowców, ich porachunki i zamachy, to muszą ustać również automatycznie wszelkie środki terroru ze strony władz niemieckich. Niestety istnieje już tutaj pewne ale: bolszewicy w Generalnym Gubernatorstwie są w najwyższym stopniu zadowoleni z tego, że między Niemcami i Polakami nie doszło do żadnego „modus vivendi".

Gdy zobaczą jednak, że może się coś wykrystalizować, zrobią wszystko ze swej strony, żeby do tego nie dopuścić. Tutaj już muszą Niemcy i Polacy wspólnie się z nimi porachować, jak to już z dobrym wynikiem miało miejsce kilkakrotnie. Polski rolnik, ziemianin lub przedsiębiorca, tak dobrze jak i policja niemiecka, muszą, maszerując oddzielnie, przeprowadzić walkę przeciwko bolszewizmowi i bandytyzmowi w GG.

Następnie Ronikier składał ofertę. Wspominał o „grupie pewnych osobistości", które mogłyby wziąć na siebie ciężar takiego antybolszewickiego porozumienia. Grupa taka była gotowa wystąpić z odezwą do narodu polskiego, w której zaapelowałaby o podjęcie walki z komunistycznym zagrożeniem. „Odpowiednia chwila do tego nadeszła" – zapewniał Ronikier. W zamian Niemcy powinni zaniechać prześladowań i wprowadzić polski samorząd.

Adam Ronikier został zwolniony z więzienia 31 marca. Nie oznaczało to jednak, że Niemcy postanowili zrealizować jego koncepcje. Memoriał – choć rozważano go podobno w Berlinie na najwyższych szczeblach – pozostawiono bowiem bez konkretnej odpowiedzi. Niemcy jak zwykle ograniczyli się do ogólników o rzekomej dobrej wierze Himmlera, który podobno przeczytał memoriał i był pod dużym wrażeniem.

Niemcy zaproponowali Ronikierowi, że przetransportują go samolotem do Lizbony, skąd udałby się do Londynu. Tam miałby przekonać polski rząd na wychodźstwie do ugody z III

Rzeszą. Była to oczywiście propozycja niepoważna.

Tymczasem kolejne miesiące 1944 roku były dla Ronikiera prawdziwą tragedią. Hrabiemu nie mieściło się po prostu w głowie, że dowództwo Armii Krajowej mogło wydać takie rozkazy. Nie mógł uwierzyć, że polskiemu wojsku w ramach akcji „Burza" kazano współpracować z wkraczającymi do Polski bolszewikami.

> Konkluzją naszą – pisał Ronikier – że rozporządzenia powyższe są po prostu zbrodnią na młodzieży naszej dokonywaną. Że one są w sprzeczności z honorem i sumieniem żołnierza polskiego, który broniąc Polski przed jednym okupantem, nie może mieć za zadanie oddawania dobrowolnie Polski pod nowego okupanta, gorszego stokrotnie, bo jeżeli Niemiec łamał kości, to bolszewik starał się zabić duszę człowieka.

Ujawniające się przed bolszewikami polskie oddziały były niszczone przez NKWD. Ronikier był zrozpaczony, dokładnie bowiem przewidział taki scenariusz, ale jego ostrzeżenia zostały zignorowane. Tak jak apele, aby „zamachy na Niemców, którzy nas przecie przeciwko bolszewikom bronić muszą, ukrócić".

Hrabia był zdecydowanym przeciwnikiem powstania. „Wywołanie powstania w takiej chwili i przy takiej przewadze sił przeciwnika" – mówił – „jest absurdem, do którego wykonania nie mogą się chyba znaleźć ludzie, którzy by za taki czyn wziąć chcieli na siebie odpowiedzialność".

Razem ze swoimi współpracownikami pertraktował z niemieckimi władzami wojskowymi, aby ogłosiły Warszawę i Kraków miastami otwartymi. Wówczas nie odbyłyby się na ich ulicach walki grożące zniszczeniem bezcennych zabytków i dóbr kultury. Przede wszystkim zaś uchroniłoby to przed śmiertelnym niebezpieczeństwem mieszkańców obu miast. To, że sami Polacy wywołali walki w stolicy i sprowadzili na nią zagładę, uważał więc za szaleństwo.

> Powstanie wybuchło – pisał – ku przerażeniu ludzi jeszcze mających cośkolwiek rozumu w głowie, ku radości zaś bolszewików. Nikt z nas się nie łudził co do katastrofalnych wyników powstania, ale te, które rzeczywiście stały się jego skutkiem, przewyższyły o wiele nawet najbardziej pesymistyczne nasze przewidywania. To, co się stało w Warszawie, jest niewątpliwie dowodem, że społeczeństwo polskie popadło w stan bliski obłąkania.

Ronikier po 1 sierpnia 1944 roku rozpoczął tytaniczną pracę na rzecz uchodźców z Warszawy i starał się – wraz z innymi przedstawicielami arystokracji – skłonić obie strony do zaprzestania walk w stolicy. W licznych, bardzo ostrych, listach do niemieckiego dowództwa hrabia domagał się natychmiastowego zaprzestania mordów na mieszkańcach Warszawy i wycofania z niej „Kałmuków i innych dzikusów w mundurach niemieckich".

Po kapitulacji stolicy Ronikier powołał zaś w Krakowie wspominane już Biuro Studiów

Politycznych. Dzisiaj nazwalibyśmy to think tankiem. Wokół tej instytucji skupiło się około siedemdziesięciu konserwatywnych i antykomunistycznych intelektualistów – między innymi Józef Mackiewicz i Aleksander Bocheński – którzy próbowali wezwać Polaków do opamiętania i przygotowania się na nową, sowiecką okupację.

Współpracownicy Biura Studiów Politycznych próbowali dotrzeć do nowego kierownictwa AK i skłonić je do wstrzymania bezsensownego rozlewu krwi. Wskazywali, że walka z wycofującymi się Niemcami nie ma sensu, ponieważ podrywa „polski stan posiadania". Biuro działało jednak niedługo. W styczniu 1945 roku ruszyła bowiem wielka ofensywa Armii Czerwonej i cała Polska znalazła się pod bolszewickim jarzmem. Tragedia się dokonała.

Hrabia Adam Ronikier musiał opuścić ojczyznę. Jeszcze przed wkroczeniem bolszewików do Krakowa sowieckie radio nadało komunikat, w którym nazwało go jednym z największych wrogów Związku Sowieckiego i poinformowało o zaocznym skazaniu go na karę śmierci. Sędziwy arystokrata nie miał więc wyboru – Kraków opuścił w przeddzień zajęcia go przez Armię Czerwoną, rankiem 17 stycznia.

Ronikier trafił do Londynu, skąd wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Osiadł w Orchard Lake nad jeziorem Michigan, gdzie zmarł w 1952 roku. Rozdział ten zakończę fragmentem odezwy do Polaków, którą wydał przed wyjazdem z kraju. Trudno bowiem o lepszą puentę.

> Panowanie Rosji w Polsce, przeciw któremu walczyło kilkanaście pokoleń Narodu Polskiego, ma dziś najgroźniejsze, jakie kiedykolwiek miało, narzędzie w postaci bolszewizmu. Panowanie Rosji dzisiaj niesie ze sobą po prostu zagładę Narodu Polskiego! Jest groźniejsze od niemieckiego przez to, że w świadomości wszystkich tamto było tylko okupacją, gdy Rosja sowiecka przychodzi do nas jako zdobywca trwały, jako twórca nowego porządku. Godzi się z tym otumaniona, zdezorientowana przez przejścia lat ostatnich i męki przebyte część naszego własnego społeczeństwa.
>
> Wychodzimy z Ziemi Polskiej, by iść ku Polsce. Polsce prawdziwie wolnej, którą oby Bóg nam pozwolił oglądać!

Zakończenie

Rzeczpospolita i III Rzesza, choć walczyły ze sobą na śmierć i życie od pierwszego do ostatniego dnia II wojny światowej, znalazły się razem w obozie pokonanych. Ba, oba kraje były największymi przegranymi tego konfliktu. W jego efekcie cała Polska i spora część Niemiec znalazły się na blisko pół wieku pod butem Związku Sowieckiego.

Ta zbieżność losów wskazuje jasno, że Polaków i Niemców łączyła wówczas wspólnota interesów. Czy nam się to podoba, czy nie, mieliśmy tego samego wroga. Wroga, który zagrażał niepodległości obu naszych państw i egzystencji obu naszych narodów. Wkroczenie Armii Czerwonej do Europy Środkowo-Wschodniej było dziejową katastrofą zarówno dla nas, jak i dla nich.

Choć Polacy nie lubili Niemców, a Niemcy nie lubili Polaków, sytuacja nakazywała, aby przezwyciężyli wzajemną niechęć i podjęli współdziałanie przeciwko bolszewizmowi. Wystarczyło spojrzeć na mapę, aby zrozumieć, że jesteśmy skazani na walkę ramię w ramię w obronie kontynentu przed zagrażającym mu sowieckim kolosem. Niestety nie było to jednak możliwe. W przededniu II wojny światowej sojuszu z Niemcami nie chcieli Polacy. W trakcie II wojny światowej sojuszu z Polakami nie chcieli Niemcy. A konkretnie Adolf Hitler, który przedkładał ideologiczne, rasistowskie dogmaty i prywatne urazy ponad żelazne prawa geopolityki.

Gdy Polska wiosną 1939 roku odrzuciła jego ofertę wspólnej krucjaty na wschodzie – cóż za fatalny błąd Józefa Becka! – niemiecki dyktator nie chciał nawet słyszeć o ugodzie ze wschodnim sąsiadem. To właśnie Führerowi „zawdzięczamy” to, że możemy się dziś szczycić, iż byliśmy jedynym narodem okupowanej Europy, który nie wydał z siebie Quislinga.

Zamiast współpracy z pokonanym przeciwnikiem niemiecki dyktator, zgodnie ze swoją zbrodniczą naturą, postawił na eksterminację. To, że podczas ostatniej wojny Niemcami rządził reżim narodowosocjalistyczny, było prawdziwym nieszczęściem Polski. Hitler – wbrew opiniom jego dzisiejszych apologetów – był bowiem nie tylko bandziorem, ale też przede wszystkim politykiem małego formatu. Człowiekiem prymitywnym, o wąskich horyzontach.

Gdy jego wielki poprzednik kanclerz Otto von Bismarck pobił Austriaków pod Sadową, również mu doradzano, aby szedł na Wiedeń dobić i upokorzyć przeciwnika. Bismarck takie podszepty zdecydowanie jednak odrzucił. Rozumiał bowiem, że Prusy więcej zyskają, jeśli

potraktują Austrię po rycersku. Dzięki temu bowiem będą mogły kiedyś pozyskać ją jako sojusznika. Tak właśnie się stało – podczas Wielkiej Wojny oba państwa walczyły razem przeciwko Rosji.

Hitler jednak nie był Bismarckiem, a III Rzesza nie była cesarstwem Hohenzollernów. W Niemczech, wraz z upadkiem monarchii, skończyły się rządy panów, a zaczęły rządy chamów. I taką właśnie politykę prowadziło państwo Hitlera. Chamską.

Każdy kolejny wojenny sukces upajał niemieckiego dyktatora, utwierdzając go w przekonaniu, że jest ulubieńcem bogów. Hitler uznał, że jest niezwyciężony i że Polaków do niczego już nie potrzebuje. Niestety był to człowiek, który nie znał historii własnego kontynentu. Gdyby było inaczej, wiedziałby, że bez nas Moskwy zdobyć się nie da. Byliśmy tam w roku 1610, byliśmy w roku 1812 i mogliśmy być w roku 1941.

Wszystkie inicjatywy Polaków zmierzające do nawiązania współpracy z Niemcami – których między kampanią 1939 roku a wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej było sporo – zostały bezceremonialnie odrzucone. Symbolem tego obłędu niech będzie to, że najbardziej przychylnych im Polaków, takich jak Władysław Studnicki czy Adam Ronikier, Niemcy zamiast hołubić, zamykali w więzieniach.

Otrzeźwienie przyszło, dopiero gdy od Rzeszy odwróciła się fortuna. Mniej więcej od klęski pod Stalingradem to Niemcy zaczęli szukać porozumienia z Polakami. Wówczas jednak już strona polska nie miała na ugodę najmniejszej ochoty. Rzesza swoimi obozami śmierci, publicznymi egzekucjami, łapankami i bestialstwami gestapowców spaliła za sobą w Polsce wszystkie mosty.

> Współpraca zorganizowana z Niemcami jest niemożliwa – mówił w 1944 roku jeden z działaczy podziemnego Stronnictwa Narodowego – ponieważ władze niemieckie popełniły w Polsce o kilka milionów błędów za dużo. Żałujemy, że władze niemieckie uniemożliwiły nam współdziałanie przeciw bolszewizmowi. Dziś jest za późno. Trzeba było pomyśleć o tym cztery lata temu, przed popełnieniem milionów błędów w traktowaniu nas.

Wybitny piłsudczyk Tadeusz Katelbach, gdy stało się oczywiste, że zostaliśmy zdradzeni przez Anglosasów, pisał zaś tak:

> Anglicy odkrywają bezceremonialnie karty. Zdyscyplinowana prasa angielska czyni z naszych spraw żywotnych, ze sprawy Polski, kwestię, w której ostatnie słowo ma mieć – Rosja. Oszaleć można. Gdybyż ci Niemcy… Chciałem coś napisać i zamiast tego ograniczam się do kilku epitetów: polityczni głupcy, dranie, mordercy.

Tak, nie udał nam się podczas ostatniej wojny zachodni sąsiad.

Jakie wnioski wypływają z *Opcji niemieckiej*? Przede wszystkim zestawienie w jednym

miejscu wszystkich znanych prób porozumienia polsko-niemieckiego dowodzi, że zjawisko kolaboracji nie było w Polsce wcale aż tak marginalne, jak zwykło się uważać. Przeciwnie, zwolenników ugody z okupantem było wśród naszych rodaków sporo. I wielu z nich próbowało swoją koncepcję wprowadzić w czyn.

Drugi wniosek jest chyba jeszcze bardziej obrazoburczy. Otóż ludzie ci nie byli wcale zdrajcami i renegatami. Byli to polscy patrioci, ludzie godni najwyższego szacunku przyszłych pokoleń. Takie postacie jak Władysław Studnicki, Adam Ronikier, Leon Kozłowski, Janusz Radziwiłł, podpułkownik Jan Kowalewski czy pułkownik Janusz Albrecht powinny się znaleźć w panteonie naszych bohaterów narodowych.

Pomijając dwie nietrafione inicjatywy oparte na bliskości ideologicznej z okupantem – Narodową Organizację Radykalną oraz „Miecz i Pług" – zwolennicy kolaboracji brzydzili się systemem panującym w III Rzeszy i jego zbrodniczymi metodami. Na drogę ugody nie pchnęła tych ludzi fascynacja brunatnym totalitaryzmem, ale chłodna polityczna kalkulacja i troska o los Rzeczypospolitej.

Dwa główne motywy, jakie im przyświecały, były bez wątpienia szczytne. Pierwszym była obawa przed zalaniem Polski przez bolszewizm. Drugim – troska o bezpieczeństwo rodaków. Kompromis polityczny z III Rzeszą miał być środkiem do wstrzymania straszliwych okrucieństw okupanta wobec Polaków. Skoro nie można było Niemców pokonać, trzeba było się z nimi dogadać.

Mimo że ostatecznie ugody polsko-niemieckiej zawrzeć się nie udało, nasi germanofile i tak uratowali wielu Polaków. Nikt nie zdoła policzyć, ilu ludzi wyciągnęli z Gestapo Studnicki, Radziwiłł i inni nasi konserwatyści ani ilu Polaków ułaskawiono na wniosek Rady Głównej Opiekuńczej. Samo dowództwo Brygady Świętokrzyskiej NSZ, podejmując pod koniec wojny współpracę z Niemcami, ocaliło co najmniej 1,5 tysiąca Polaków.

Można sobie tylko wyobrazić, jak zbawienne skutki dla naszego umęczonego społeczeństwa miałaby ugoda z Niemcami. Gdyby udało się wyłonić jakiś proniemiecki rząd, który przejąłby kontrolę nad Polską od Gestapo. Bez wątpienia „opcja niemiecka" była koncepcją ograniczania strat narodu polskiego. Czyli była koncepcją przeciwstawną wobec „opcji alianckiej", której zwolennicy przyczyniali się do tych strat pomnażania.

Podczas licznych dyskusji na ten temat stykałem się na ogół z argumentami natury emocjonalnej. Najważniejszy jest oczywiście taki, że choć nasza bezkompromisowa postawa rzeczywiście przyniosła nam straszliwe straty, to dzięki niej powstała wspaniała legenda. I dziś cały świat podziwia nas za to, że tylko my w całej okupowanej Europie nie dogadaliśmy się z Niemcami. Polskie Państwo Podziemne podobno jest naszą najlepszą światową marką.

Prawda jest niestety zupełnie inna – i brutalna. O tym, jakie wyobrażenie o Armii Krajowej mają ludzie Zachodu, mogliśmy się niedawno przekonać, oglądając niemiecki serial *Nasze matki, nasi ojcowie*. Serial, który ukazuje żołnierzy AK jako brudnych, zdemoralizowanych antysemitów, którzy poznają Żydów po zapachu. Nie, to nie jest tylko problem Niemców, próbujących przerzucić na nas winę za Holokaust. Tak postrzega nas cały Zachód.

Słowa te piszę w czerwcu 2014 roku. Kilka dni temu oglądałem huczne uroczystości siedemdziesiątej rocznicy lądowania w Normandii, na które zjechali się chyba wszyscy święci obecnego świata. W pewnym momencie wymieniono te państwa okupowanej Europy, w których podczas wojny działał zbrojny ruch oporu. Państwa, w których – jak stwierdził mówca – „dzielni partyzanci woleli zginąć, niż się ugiąć".

Były to Belgia, Holandia, Czechosłowacja, Dania, Norwegia, Włochy, Jugosławia, Grecja, Francja i… Niemcy. O Polsce oczywiście ani słowa. Dla Zachodu jesteśmy bowiem narodem kolaborantów i antysemitów. A że fakty były inne? Kogo obchodzą fakty! One w polityce, tej brudnej, niemoralnej grze, nie mają najmniejszego znaczenia.

Najzabawniejsze w całej sprawie jest to, że wszystkie wymienione kraje nie tylko miały znacznie słabszy ruch oporu niż Polska (może poza Jugosławią), ale że wszystkie bez wyjątku wyłoniły jakieś kolaborujące z Niemcami władze. Czy ktoś dziś z tego powodu ma do nich pretensje? Ktoś je potępia? Oczywiście nie. Pod pręgierzem stawiani są tylko naiwni Polacy.

„W polityce" – pisał Stanisław Cat-Mackiewicz – „choć moi rodacy nie zrozumieją tego już zdaje się nigdy, żadne winy i żadne zbrodnie nie są w stanie zrównoważyć tej największej zbrodni, która państwo najwięcej obciąża, mianowicie zbrodni słabości". My zaś niestety byliśmy właśnie słabi. A nasze skromne siły jeszcze lekkomyślnie trwoniliśmy. Z takimi graczami nikt, ale to nikt się nie liczy. I liczyć się nie będzie nigdy.

Cała krew przelana przez Polaków podczas II wojny światowej wsiąkła w piach. Na tym właśnie polegała ówczesna tragedia naszego narodu. Gigantyczne ofiary, jakie ponieśliśmy podczas ostatniego konfliktu, poszły na nic. Jest to niezwykle bolesne i trudne do zaakceptowania. Szczególnie dla pokolenia, które brało udział w tych dramatycznych wydarzeniach. Takie jednak są fakty i żadne wymyślane ex post legendy tego nie zmienią.

Polacy w II wojnie światowej nie przelewali bowiem krwi po to, by pokonać Niemców, jak nam wmawiała komunistyczna propaganda. Nie przelewali również krwi po to, żeby z ich śmierci mogły czerpać natchnienie kolejne pokolenia, jak wmawia nam dziś propaganda hurrapatriotyczna. Polacy przelewali krew po to, aby Polska była wolna. Celu tego – walcząc

po stronie aliantów – osiągnąć się jednak nie dało.

Jedyną szansą na zwycięstwo w tej wojnie było zrealizowanie scenariusza z I wojny światowej. A więc najpierw Niemcy powinny były rozbić Związek Sowiecki, a dopiero potem ponieść porażkę na froncie zachodnim. Tylko na gruzach obu naszych wielkich sąsiadów mogła się odrodzić niepodległa Rzeczpospolita. Wiem, że powtarzam to do znudzenia, ale taka była główna teza *Paktu Ribbentrop–Beck*, taka była główna teza *Obłędu '44* i taka jest główna teza *Opcji niemieckiej*. Mimo że na moje dwie poprzednie książki wylano kubły pomyj, nikt do tej pory tezy tej podważyć nie zdołał.

Ze stwierdzenia tego faktu może zaś wynikać tylko jeden wniosek. Obowiązkiem Polaków było realizowanie takiego wymarzonego scenariusza. W pierwszej fazie wojny należało wspierać III Rzeszę w walce ze Związkiem Sowieckim, a dopiero potem brać się do wojowania z Hitlerem. Takiego rozegrania wojny wymagała racja stanu i zwykła ludzka odpowiedzialność.

Niestety nasi ówcześni przywódcy byli ludźmi nieodpowiedzialnymi. Bezsensownie rzucali kolejne setki i tysiące Polaków na gigantyczny całopalny stos, którego blask miał zwrócić na nas uwagę świata. Wedle ich zamysłu nasza bezkompromisowa, ofiarna walka z Niemcami miała wywołać podziw i zachwyt mocarstw. Sprawić, że w geście wdzięczności podarują nam niepodległość. To nie był poważny program polityczny, to był scenariusz operetki.

Generał Władysław Sikorski nazywał to „kapitałem krwi". Ten nieszczęsny człowiek nie rozumiał, że sformułowanie takie jest absurdem. Kapitałem może być bowiem tylko krew oszczędzona, nigdy zaś przelana. Czołowi działacze naszego rządu na wychodźstwie i naszego podziemia nie pojmowali podstawowego prawa wojny. A jest ono niezmiernie proste – aby wygrać, należy przelewać krew przeciwnika, a nie własną.

Gdy dzisiaj myśli się o hekatombie Powstania Warszawskiego, które wywołano, gdy sprawa polska była już dawno przegrana… gdy myśli się o dramacie dzielnych żołnierzy Armii Krajowej, których własne dowództwo wydało w ręce sowieckich oprawców podczas akcji „Burza"… gdy myśli się o tysiącach wsi i miasteczek spacyfikowanych przez Niemców w odwecie za dywersyjne akcje podziemia… człowieka ogarnia bezbrzeżny smutek. Wszystko to bowiem nic nam nie dało.

Książkę tę pisałem, gdy trwał konflikt na Ukrainie. Gdy Rosja najpierw zagarnęła Krym, a potem wywołała rebelię w innych wschodnich prowincjach naszego sąsiada. W Europie przez moment zapachniało wojną. Okazało się, że jednak nie żyjemy w epoce końca historii. Jeżeli rzeczywiście kiedyś znowu na naszym kontynencie dojdzie do otwartego konfliktu zbrojnego i jeżeli konflikt ten rozegramy równie „mądrze" jak poprzedni, to… miej nas Panie

Boże w opiece.

Podczas II wojny światowej Polska potrzebowała – a i dziś potrzebuje – Realpolitik. Podstawą polityki realnej jest zaś wybór realnych sojuszników i rozważne dysponowanie życiem swoich obywateli. Tego wymaga instynkt przetrwania narodu. Naród, który ten instynkt zatraci, skazany jest na śmierć.

Jestem zwolennikiem staroświeckiego poglądu, że od prowadzenia wojny jest armia. Armia złożona z umundurowanych i przeszkolonych dorosłych mężczyzn, którzy są wyposażeni w samoloty, czołgi i działa. Gdy ta armia ponosi klęskę, wojna dla pokonanego państwa się kończy. Kontynuowanie jej za pomocą podziemnej organizacji złożonej z dzielnych, ale nie mających doświadczenia wojskowego nastolatków jest nieporozumieniem.

Przeciwnik, który zachował swoją armię, swoje samoloty, czołgi i działa, zmiażdży bowiem taką organizację jak słoń mrówkę. A ponieważ słoń nie należy do zwierząt specjalnie zgrabnych, wraz z mrówką zmiażdży całe mrowisko.

Skoro już więc doszło do konfrontacji z Niemcami, to cała nasza walka zbrojna z zachodnim sąsiadem powinna była się zakończyć 6 października 1939 roku. A więc w dniu, w którym skapitulowała ostatnia wielka jednostka naszej regularnej armii – Samodzielna Grupa Operacyjna „Polesie” generała Franciszka Kleeberga. A jeżeli Polacy koniecznie musieli tworzyć konspirację, to jej aktywność powinna była się ograniczyć do drukowania ulotek i tajnego nauczania.

Jak wiadomo, sprawy poszły inną drogą. Nasz rząd zwiał za granicę, pozostawiając naród na pastwę okupantów, a podziemie kontynuowało walkę zbrojną. W sytuacji gdy Niemcy wprowadzili przelicznik 50:1, czyli za jednego zabitego Niemca mordowali pięćdziesięciu Polaków, walka ta zamieniła się w rzeź. Okupantowi nasze podziemie swoimi akcjami dywersyjnymi nie wyrządziło żadnej krzywdy, a naród polski znalazł się na granicy zagłady.

Dlatego właśnie „opcja niemiecka” była korzystniejsza dla sprawy polskiej niż „opcja aliancka”. Ponieważ z powodu oporu Hitlera, Himmlera i innych narodowosocjalistycznych zbrodniarzy ugoda Polski z III Rzeszą okazała się jednak niemożliwa, w tej wojnie mogliśmy jedynie minimalizować straty. Dlatego należało przyjąć ofertę tajnego zawieszenia broni, którą od 1941 roku składali nam pragmatyczni Niemcy. To, co generał Stefan Grot-Rowecki nazwał w depeszy wysłanej do Londynu „spokojem za spokój”.

Niestety w imię honoru narodowego ofertę tę odrzuciliśmy. Za honor ten zapłaciliśmy cenę niebotyczną. Zapłaciliśmy setkami tysięcy zamordowanych kobiet i dzieci oraz zburzoną

Warszawą.

Tak lekkomyślnemu szafowaniu polską krwią sprzeciwiało się wielu Polaków. Choćby piłsudczykowski Konwent Organizacji Niepodległościowych, organizacja, do której bym przystał, gdyby przyszło mi żyć podczas minionej wojny.

> Konwent poddawał gruntownej krytyce akcję bojową wobec Niemców – pisał Tadeusz Myśliński. – Wychodził z założenia, że Polska ponosi nieproporcjonalnie wielkie ofiary, które mogą doprowadzić do jej całkowitego wyniszczenia populacyjnego. Pomiędzy okupantem a ruchem oporu zachodzi oczywista nierówność sił i nasze akcje bojowe w ostatecznym rezultacie obracają się przeciwko nam samym. Wywołują bowiem represje, tracimy więcej sił, niż warte są straty zadawane Niemcom.
>
> Poza tym w sensie politycznym jest to gra, z której korzyści wyciąga jedynie Związek Sowiecki, a na miejscu PPR. Racją stanu jest więc stosowanie polityki przetrwania, która ma o tyle poważne szanse, że Niemcy, zainteresowani w utrzymaniu spokoju na swym najbliższym zapleczu frontowym, nie podejmą żadnych większych akcji godzących w społeczeństwo polskie. A wobec tego ma ono poważne dane na to, aby wejść w końcową fazę wojny ze stosunkowo małymi stratami w ludziach. Konwent domagał się zahamowania lub ograniczenia działań bojowych.

„Polityka przetrwania". Właśnie taką strategię powinni byli przyjąć Polacy podczas II wojny światowej. Jaka szkoda, że to nie członkowie Konwentu Organizacji Niepodległościowych rządzili wówczas Polską! Uniknęlibyśmy wielu nieszczęść i katastrof, a Polska byłaby dziś zupełnie innym państwem. Byłaby państwem potężniejszym. Jeszcze wiele pokoleń musi bowiem przeminąć, zanim wyliżemy się z ran zadanych nam podczas ostatniej wojny. A może nie wyliżemy się z nich już nigdy.

Wiem, że tezy zawarte w *Opcji niemieckiej* dla wielu czytelników mogą być szokujące. Są bowiem kompletnie sprzeczne z obowiązującą wykładnią naszej historii najnowszej. Dla jej zwolenników stwierdzenie, że Polacy podczas II wojny światowej powinni byli szukać porozumienia z III Rzeszą, to największa herezja i myślozbrodnia.

Przez czterdzieści pięć lat komunistycznej tresury, a potem ćwierć wieku patriotycznie poprawnej propagandy wbito nam bowiem do głowy, że kolaboracja z Sowietami była przejawem patriotyzmu, a kolaboracja z Niemcami – zaprzaństwa. Że Władysław Sikorski, podpisując pakt ze Stalinem, był dalekowzrocznym mężem stanu, a opowiadający się za podpisaniem takiego samego paktu z Niemcami Adam Ronikier był brunatną świnią. Że ze współpracy Armii Krajowej z zalewającą nasze terytorium Armią Czerwoną mamy być dumni, a za Narodowe Siły Zbrojne, które podjęły współdziałanie z Wehrmachtem, musimy się wstydzić…

Dość już tych niedorzeczności.

Dziś, siedemdziesiąt lat od tych dramatycznych wydarzeń, nadszedł najwyższy czas, żeby

przewartościować stare – ukształtowane w PRL-u – poglądy i rozpocząć nową dyskusję na temat postaw i wyborów naszych przodków. Tym razem opartą na logicznych argumentach, a nie emocjach, frazesach i propagandowych sloganach. Są to bowiem dla narodu sprawy zbyt ważne, by je traktować w tak nieodpowiedzialny sposób.

Jedyne kryterium, jakie można stosować, oceniając działania ówczesnych Polaków, jest to, czy leżały one w interesie Polski, czy też były z tym interesem sprzeczne. Jestem przekonany, że większość bohaterów tej książki poddanych takiej ocenie wyjdzie z niej obronną ręką. Ich polityczni adwersarze, którym stawia się dziś w Polsce pomniki, mogą zaś mieć z tym poważny kłopot.

Opcja niemiecka jest książką o polityce, a więc najbardziej niemoralnej formie ludzkiej aktywności. Nie sposób jednak uniknąć pytania o etyczny aspekt zawarcia ewentualnej ugody z III Rzeszą. W końcu była to – oczywiście po Związku Sowieckim – najbardziej złowroga i ludobójcza dyktatura ówczesnego świata. Na pytanie to odpowiem pewną historią.

Gdy w 1914 roku 1. kompania kadrowa wkroczyła na teren Królestwa Polskiego, spotkała się z obojętnością, a nawet wrogością rodaków. Tamtejsi Polacy nastawieni byli bowiem moskalofilsko. Słynny kawalerzysta Bolesław Wieniawa-Długoszowski postanowił wówczas na czele konnego patrolu odwiedzić mieszkającego w Oblęgorku Henryka Sienkiewicza.

Ułani Piłsudskiego zaczytywali się w powieściach wielkiego pisarza, za wzór stawiali sobie Kmicica, Wołodyjowskiego i innych bohaterów *Trylogii*. Byli więc pewni, że kto jak kto, ale Sienkiewicz, piewca polskiej przygody i czynu zbrojnego, przyjmie ich z otwartymi ramionami. W Oblęgorku przeżyli jednak wielkie rozczarowanie. Przyjęci zostali chłodno, nie podano im nawet herbaty.

– Tylko wam współczuć, bo przecież z Niemcami idziecie – rzucił Sienkiewicz na odchodnym.

Wieniawa, słysząc te słowa, zaciął konia i warknął przez zęby:

– Choćby z diabłem, byle do wolnej Polski.

Chyba każdy się zgodzi, że III Rzesza była państwem diabelskim.

Fotografie

Adolf Hitler z generałem Waltherem von Brauchitschem. Ten wysoki rangą oficer Wehrmachtu był zwolennikiem rycerskiego potraktowania Polski. Zdjęcie wykonane 5 października 1939 roku na terenie pokonanego sąsiada. © Bundesarchiv, Bild 183-2001-0706-501

Führer dzień później przemówił w Reichstagu. Chwalił polskich żołnierzy, którzy „w wielu wypadkach walczyli bardzo dzielnie”. Mimo to zdecydował się wprowadzić w Polsce bestialski, ludobójczy reżim okupacyjny. © Corbis/FotoChannels

Dobry Niemiec, czyli ambasador III Rzeszy w Warszawie Hans von Moltke (drugi z prawej). Podczas II wojny światowej wzywał on do zmiany polityki wobec Polski. Tutaj w 1932 roku podczas polowania z prezydentem Mościckim i generałem Sosnkowskim. © Narodowe Archiwum Cyfrowe

Zły Niemiec, czyli Reichsführer-SS Heinrich Himmler. Sadysta bez hamulców, który przekonywał Hitlera, że Polakami można rządzić tylko za pomocą knuta. Na zdjęciu uroczystość rozpoczęcia budowy koszar w Krakowie. Rok 1940. © Narodowe Archiwum Cyfrowe

Książę Janusz Radziwiłł. Gdy ten polski arystokrata w grudniu 1939 roku wrócił do Warszawy z sowieckiej niewoli, Niemcy rozpoczęli z nim rozmowy na temat powołania marionetkowego rządu. Na zdjęciu w 1934 roku z marszałkiem Józefem Piłsudskim podczas zawodów konnych w Warszawie. © Narodowe Archiwum Cyfrowe

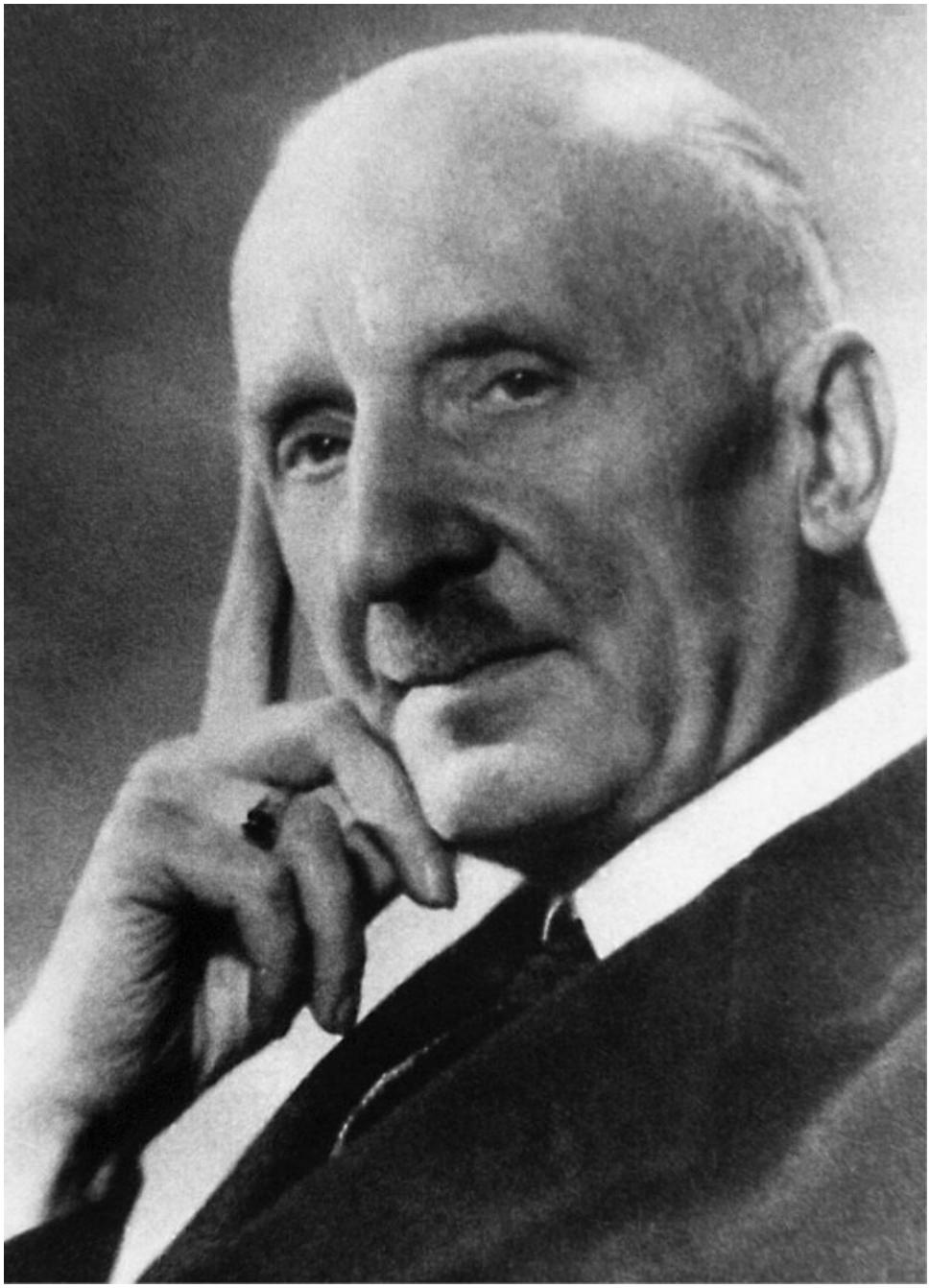

Hrabia Adam Ronikier podczas wojny pomagał rodakom jako prezes Rady Głównej Opiekuńczej. Na początku okupacji uważał, że aby ratować substancję biologiczną narodu, Polacy powinni porozumieć się z Niemcami. Fot. ze zbiorów Muzeum Historycznego Miasta Krakowa

Demonstracja narodowców na Podlasiu, na krótko przed wojną. Fot. ze zbiorów Wojciecha Muszyńskiego

Przywódca Ruchu Narodowo-Radykalnego „Falanga” Bolesław Piasecki przemawia podczas wiecu organizacji w Warszawie w roku 1937. © Narodowe Archiwum Cyfrowe

Podpułkownik Jan Kowalewski stał na czele siatki polskiego wywiadu w Lizbonie. W 1940 roku przygotował memorandum do władz Rzeszy, w którym zawarł propozycję ugody między Polakami a Niemcami. © Narodowe Archiwum Cyfrowe

Wilhelm Canaris, legendarny szef Abwehry. Podczas wojny skrycie utrzymywał kontakty z Polakami, między innymi z tajemniczą organizacją „Muszkieterowie”. Fot. domena publiczna

Alfred Wysocki, poseł Rzeczypospolitej w Berlinie. Człowiek, o którym Hitler mówił, że jest jedynym Polakiem, którego potrafi ścierpieć. Podczas okupacji krążyły plotki, że zostanie regentem marionetkowej Polski. Berlin, rok 1931. © Narodowe Archiwum Cyfrowe

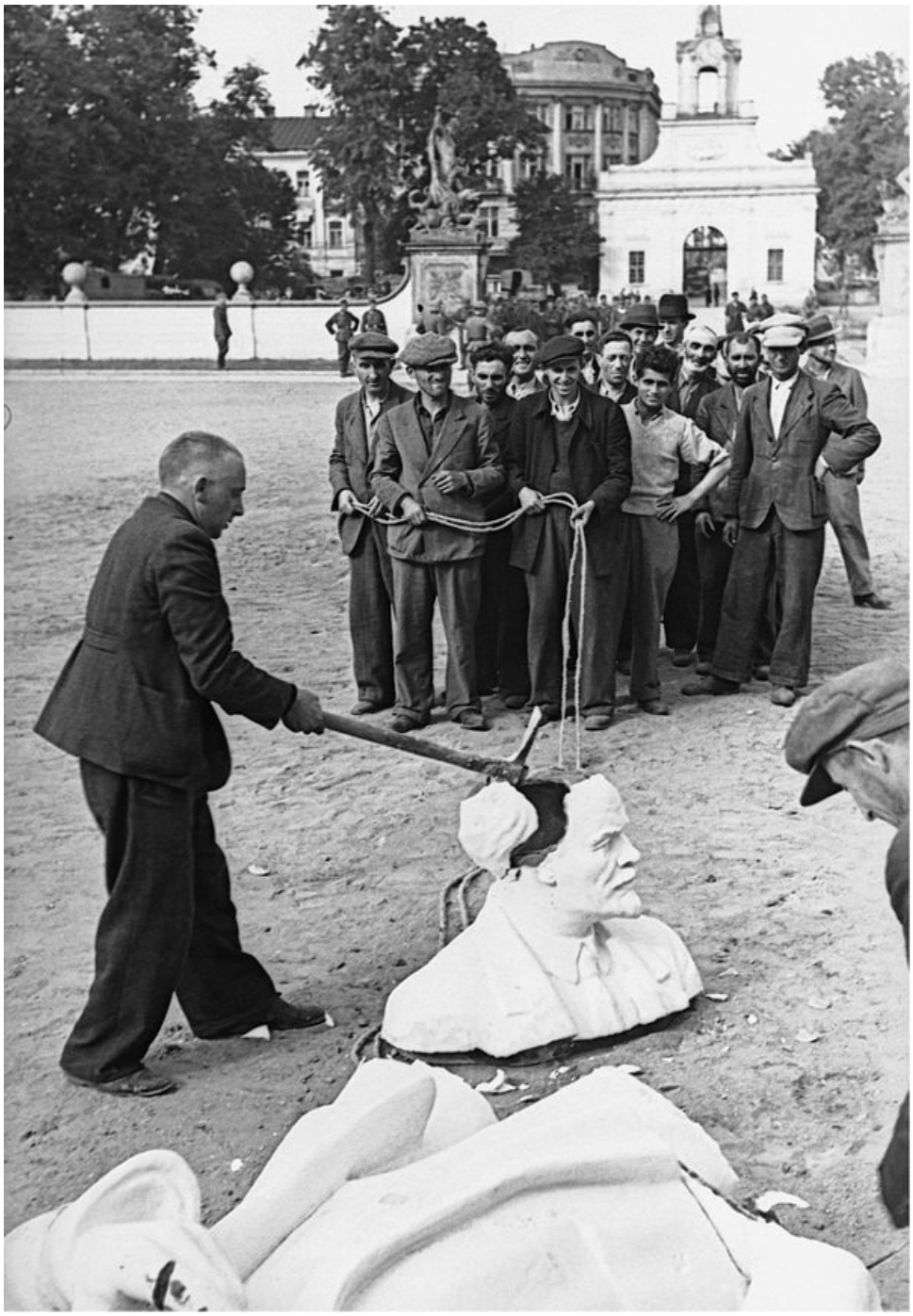

Białystok po wkroczeniu Niemców, lato 1941 roku. Mieszkańcy niszczą postawiony niedawno przez Sowietów znienawidzony pomnik Lenina. © Bundesarchiv, Bild 101I-348-1113-21

Ten sam los spotyka stojący w tym mieście monument Stalina. © Bundesarchiv, Bild 101I-348-1113-30

Koniec koszmaru sowieckiej okupacji! Ziemia wróci do chłopów, a świątynie zostaną otwarte. Galicja, lipiec 1941 roku. © Bundesarchiv, Bundesarciv Bild 101I-020-1262-26

Latem 1941 roku żołnierze Wehrmachtu byli przyjmowani we wschodniej Polsce jak wyzwoliciele. Na zdjęciu powitanie na ulicach Lwowa. © Narodowe Archiwum Cyfrowe

Pułkownik Janusz Albrecht, szef sztabu Komendy Głównej ZWZ, zmuszony do samobójstwa, gdyż opowiadał się za „tajnym zawieszeniem broni” z Niemcami. © Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie

Były premier Leon Kozłowski. W 1941 roku opuścił armię Andersa i w tajemniczych okolicznościach przekroczył front. Nawiązał kontakt z Niemcami i udał się do Berlina. Ostatecznie nie odegrał żadnej roli politycznej. © Narodowe Archiwum Cyfrowe

Marszałek Edward Śmigły-Rydz. Według części badaczy w 1941 roku wrócił do Polski, aby dokonać puczu wymierzonego w rząd Władysława Sikorskiego i stanąć na czele proniemieckiej administracji. © Narodowe Archiwum Cyfrowe

Hans Frank, niemiecki zbrodniarz, który uznał się za króla Polski. Defilada z okazji pierwszej rocznicy utworzenia Generalnego Gubernatorstwa. Krakowski Rynek Główny przemianowany przez Niemców na plac Adolfa Hitlera, 26 października 1940 roku. © Narodowe Archiwum Cyfrowe

Generalny gubernator Frank pozuje ze swoimi polskimi „poddanymi”. Dożynki w Tomaszowie Mazowieckim, rok 1943. © Narodowe Archiwum Cyfrowe

Ekshumacje polskich oficerów zamordowanych w Katyniu. W środku z niemieckim oficerem były premier Leon Kozłowski. © PAP/CAF

W Katyniu Niemcy starali się odegrać wobec Polaków rolę „przyjaciela rodziny”. Ze względu na ogrom własnych zbrodni nie byli w tym zbyt wiarygodni. © Ullsteinbild/BE&W

Paul Fuchs. Fot. z archiwum autora

Hans Merz. Fot. ze zbiorów Michaela Foedrowitza

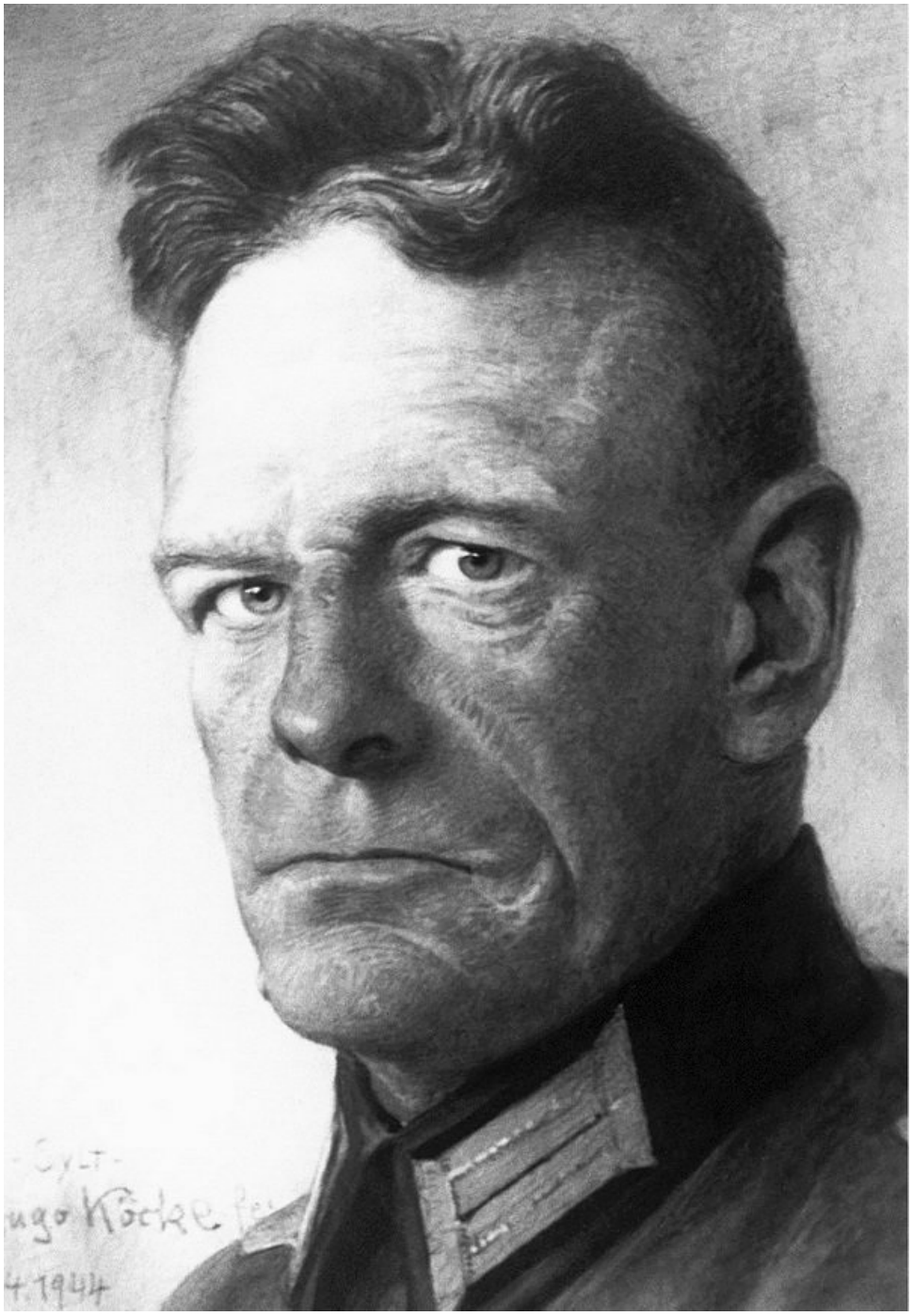

Julius Christiansen. Fot. ze zbiorów Michaela Foedrowitza

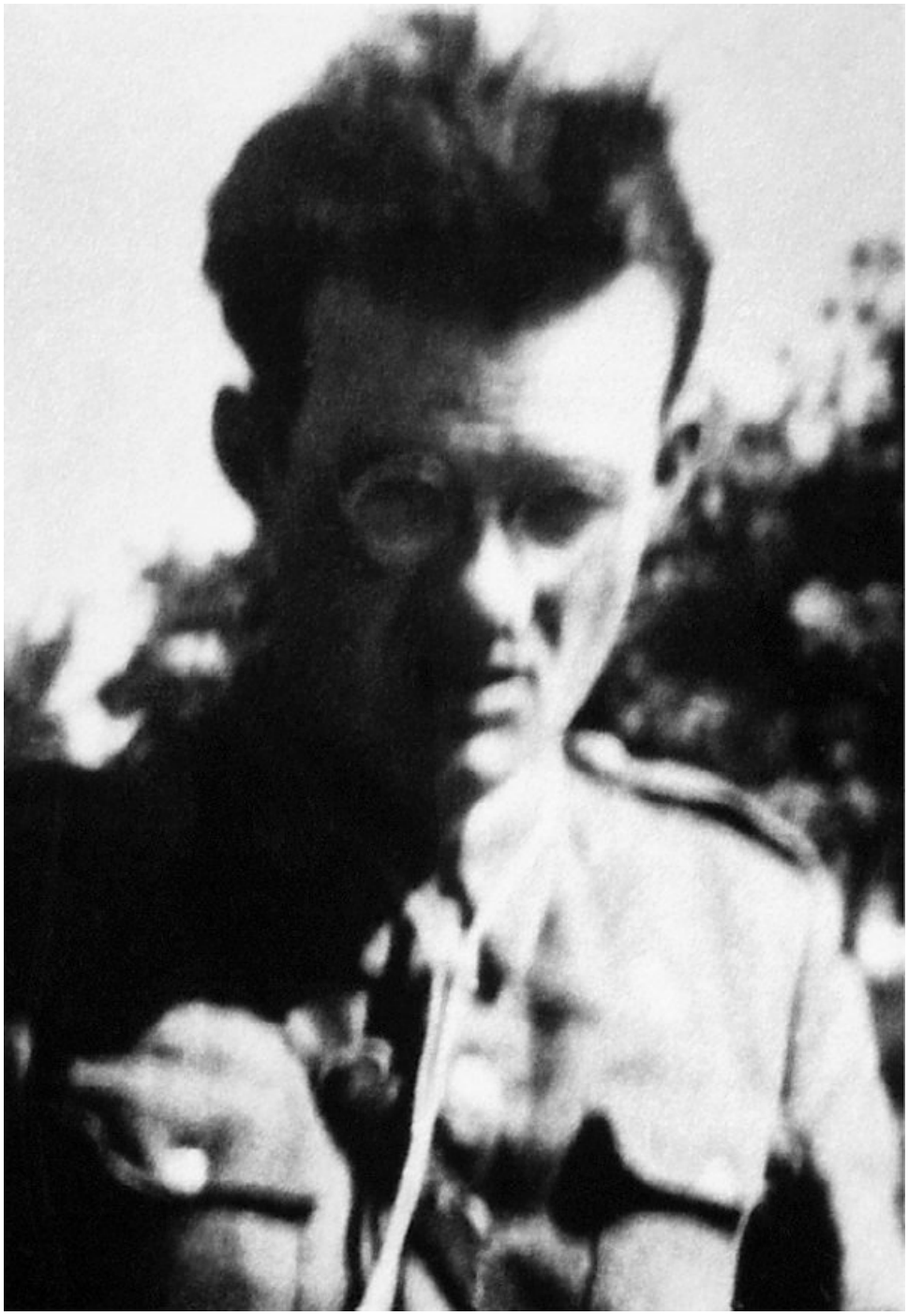

Czesław Zajączkowski „Ragner”. Fot. ze zbiorów Michała Wołłejki

Józef Świda „Lech”. Fot. ze zbiorów Michała Wołłejki

Gracjan Fróg „Szczerbiec”. Fot. z archiwum autora

Adolf Pilch „Góra” – „Dolina”. Fot. z archiwum autora

Ferdynand Goetel. © Narodowe Archiwum Cyfrowe

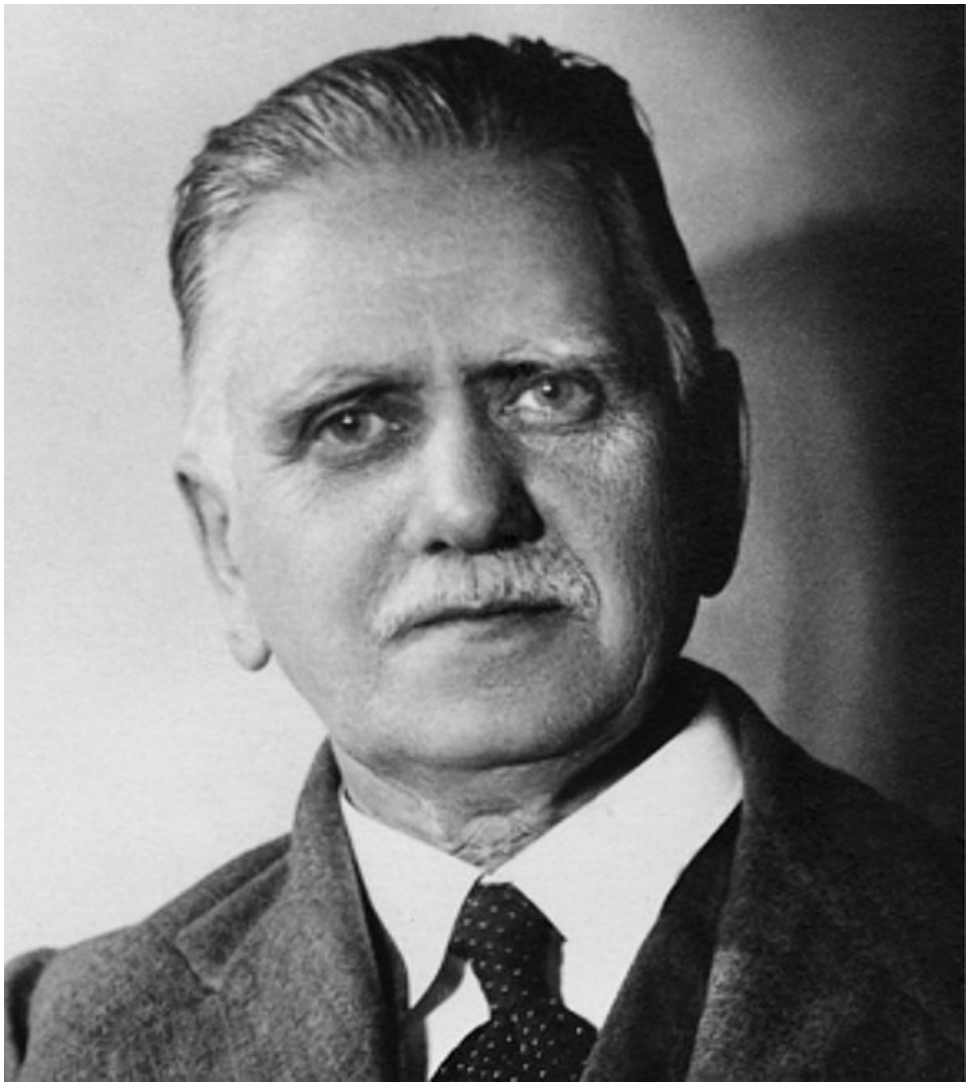

Władysław Studnicki. Fot. z archiwum autora

Jan Emil Skiwski. Fot. ze zbiorów Macieja Urbankowskiego

Feliks Burdecki (po prawej). Fot. ze zbiorów Piotra Kosmali

Płk Tadeusz Komorowski z niemieckimi oficerami podczas zawodów hippicznych w Berlinie. Rok 1936. © Narodowe Archiwum Cyfrowe

Spotkanie z Niemcami w zupełnie innych okolicznościach. Generał Bór-Komorowski składa kapitulację Powstania Warszawskiego przed gen. Erichem von dem Bachem-Zelewskim. Oficer ten został wyznaczony przez Himmlera do „skaptowania” Polaków. © FoKa/Forum

Brygada Świętokrzyska NSZ w marszu na Zachód. Sojusznikiem są Niemcy, a bolszewicy depczą Polakom po piętach. Początek 1945 roku. Fot. ze zbiorów Wojciecha Muszyńskiego

Defilada Brygady Świętokrzyskiej w jednym z czeskich miasteczek. Fot. ze zbiorów Wojciecha Muszyńskiego

Plakaty propagandowe

Niemiecki plakat propagandowy z roku 1943. Miał on przekonać Polaków, że tylko Wehrmacht może ich obronić przed bolszewikami i zdradzieckimi sojusznikami. © BPK/BE&W

Jakobińska antyreligijność Sowietów odstręczała od nich miliony Polaków. Z czego chętnie korzystała propaganda III Rzeszy. © Bundesarchiv, Plak 003-039-014

Czyżby znowu
na SYBIR?
Ojciec Twój zginął w katordze syberyjskiej.
Brata Twego zamordowano w Katyniu.
Zastanów się nad losem Twoim i Twej rodziny!

Fot. ze zbiorów Archiwum Państwowego w Zamościu

W 1943 roku po odkryciu masowych mogił pod Smoleńskiem Niemcy zintensyfikowali działania propagandowe. Przypominali Polakom tragiczny los kilkuset tysięcy ich rodaków deportowanych przez bolszewików w latach 1939–1941. I ostrzegali przed powtórką. Fot. ze zbiorów Archiwum Państwowego w Zamościu

Od niemieckiego diabła gorszy jest sowiecki – przekonuje znany ilustrator Willibald Krain na plakacie z 1943 roku. © BPK/BE&W

Zręczne zagranie na przywiązaniu polskich rolników do ziemi i strachu przed kolektywizacją. Rok 1943. © BPK/BE&W

Próba wywołania archetypicznych lęków nie wyszła rysownikowi najlepiej. Sceneria jest krwawa, ale wilk ma łagodne, a do tego przestraszone, oczy owczarka niemieckiego. Rok 1944. © BPK/BE&W

Czy chcecie dopuścić do tego, by tak się stało i z Waszymi kobietami i dziewczętami ?
Brońcie się wszystkimi silami przed bolszewizmem!

Bolszewik gwałciciel nie był wymysłem niemieckiej propagandy. Polacy dobrze już poznali te upodobania czerwonoarmistów. Rok 1943. © BPK/BE&W

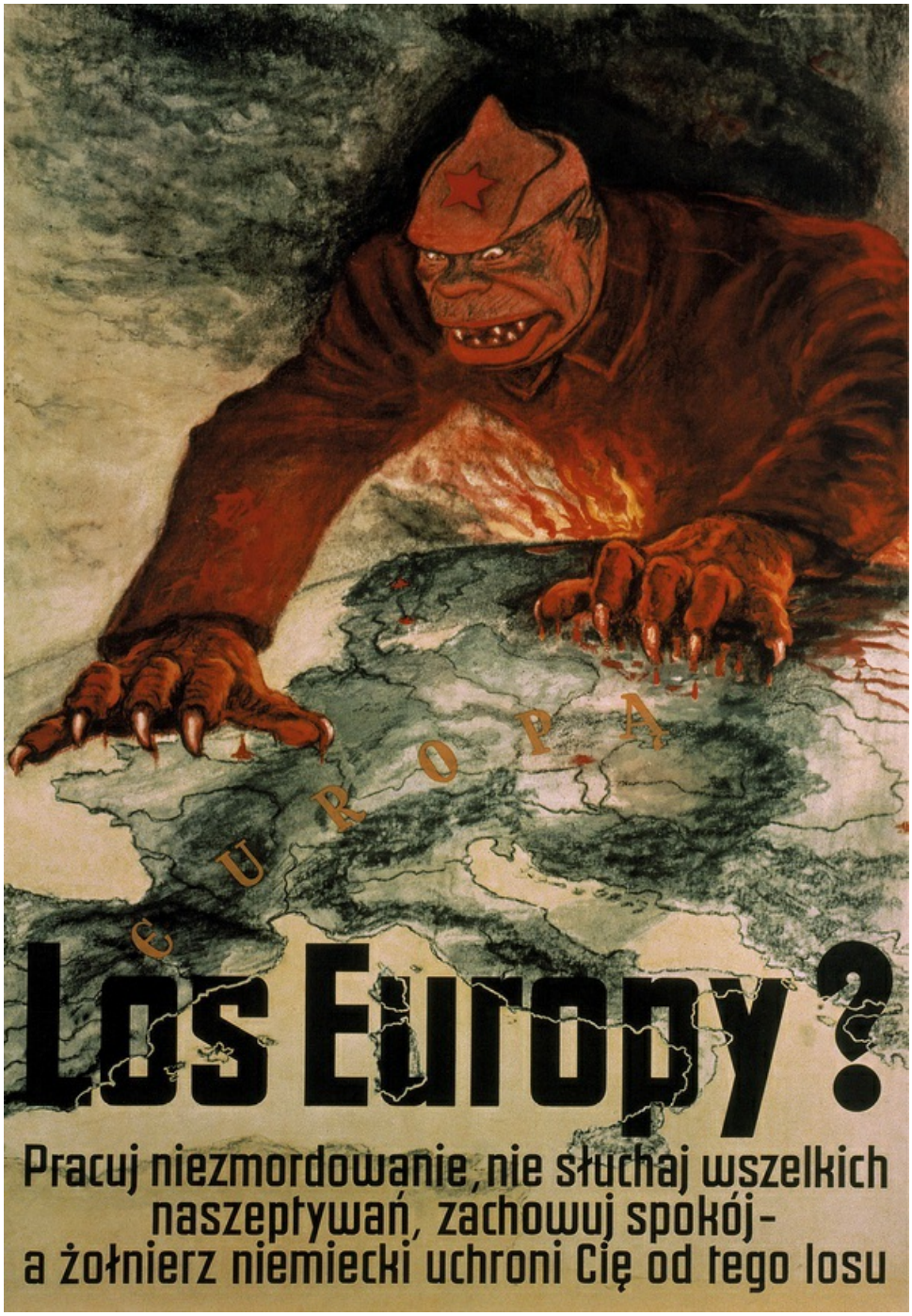
EUROPA
Los Europy?
Pracuj niezmordowanie, nie słuchaj wszelkich
naszeptywań, zachowuj spokój -
a żołnierz niemiecki uchroni Cię od tego losu

Jeden z plakatów mających skłonić Polaków do lojalnego zachowania i nieutrudniania niemieckiej armii walki na froncie wschodnim. Willibald Krain, rok 1943. © BPK/BE&W

Okupant usiłował również wzbudzić w Polakach nastroje antyamerykańskie i antybrytyjskie. Wobec perfidii Anglosasów jedyną nadzieją na ratunek mieli być Niemcy. Willibald Krain, rok 1943. © BPK/BE&W

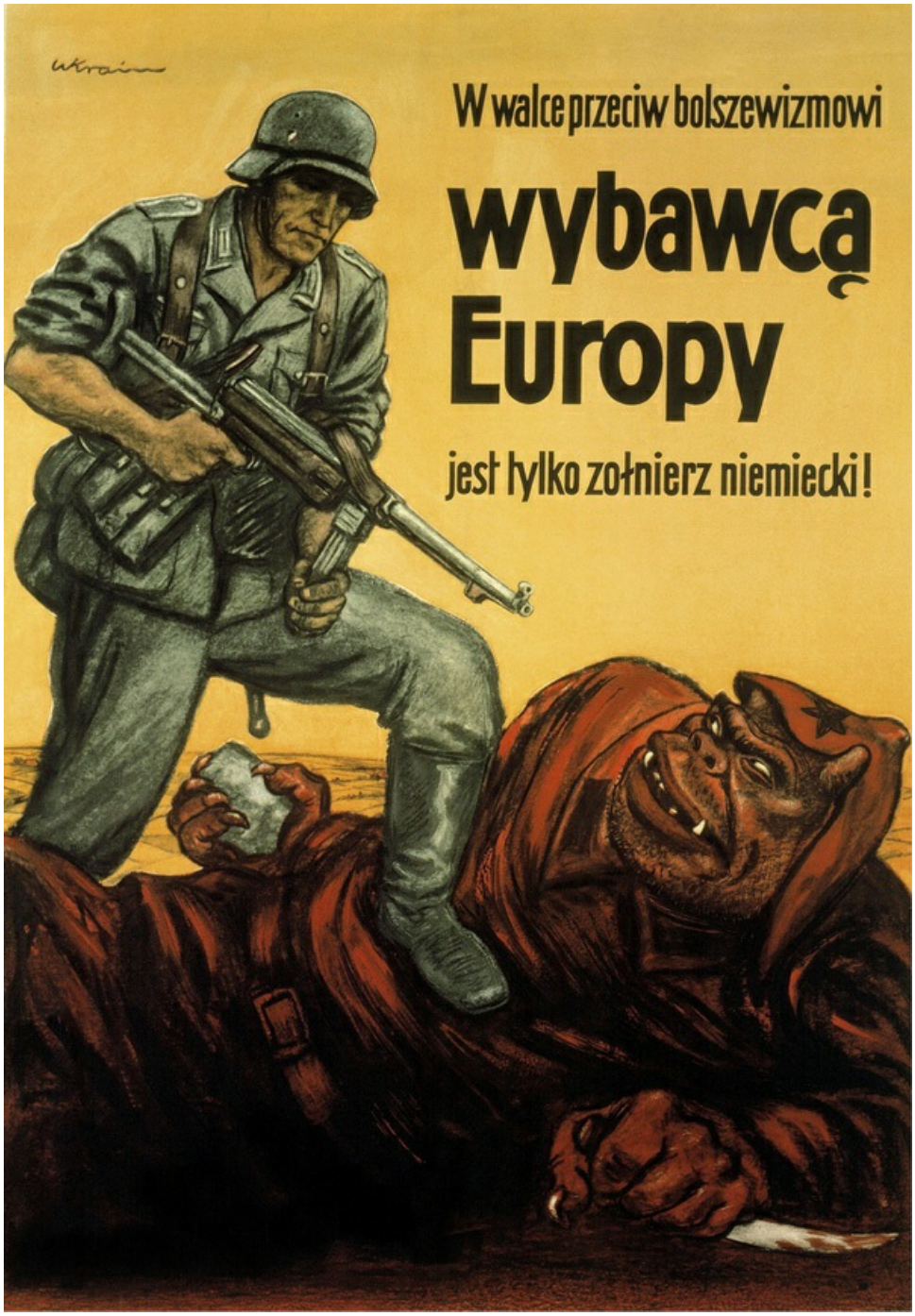

Plakat mający zmienić nastawienie Polaków do Wehrmachtu – obrońcy Europy przed sowieckim zagrożeniem. Rok 1943. © BPK/BE&W

Biblioteka Jagiellońska Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie

Biblioteka Jagiellońska Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie

Biblioteka Jagiellońska Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie

ZGŁOŚ SIĘ DO SŁUŻBY BUDOWLANEJ
GEN. GUBERNATORSTWA
BEZPŁATNY WIKT UBRANIE MIESZKANIE
PIENIĄDZE ORAZ ULEPSZENIE ZAWODOWE.
PROPAGANDA INSTITUT – KRAKAU G. M. B. H.

Gdy latem 1944 roku Sowieci stanęli na linii Wisły, Niemcy przypomnieli sobie o Polakach. Ich wkładem w obronę Europy miało być kopanie rowów przeciwczołgowych. © Bundesarchiv, Plak 003-039-013

Na czele komunistycznych band terroryzujących polską prowincję często stali sowieccy skoczkowie. Niemcy liczyli na pomoc Polaków w ich zwalczaniu. Fot. ze zbiorów Muzeum Historycznego Miasta Krakowa

Plakat zachęcający do przeciwstawienia się bolszewickim łupieżcom. Komunistyczne oddziały rzeczywiście były plagą polskiej ludności. Rok 1943. © Bunderachiv, Plak 003-039-005

Niemiecka propaganda często korzystała z wątków antysemickich. Jak na tym plakacie z 1943 roku, gdzie żołnierz Wehrmachtu przedstawiony został jako bojownik „za wolność naszą i waszą”. © Archiwum Państwowe w Zamościu

Niemcy lubili zapewniać, że są przedstawicielami „kultury europejskiej”. Przez całą okupację udowadniali jednak, że jest przeciwnie. Rok 1943. Fot. ze zbiorów Archiwum Państwowego w Zamościu

© Galerie Bilderwelt/Getty Images

© Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie

Niemieckie ulotki skierowane do walczących we Włoszech żołnierzy armii generała Andersa. Wiosna 1944. © Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie

Plakat ukazujący, jak będzie wyglądać sowieckie „wyzwolenie”. Dowód na to, że propaganda totalitarnego państwa nie zawsze musi się mylić. © Bunderachiv, Plak 003-039-009

Bibliografia

Źródła archiwalne

Archiwum Akt Nowych w Warszawie:
Akta Delegatury Rządu na Kraj
Armia Krajowa
Konwent Organizacji Niepodległościowych
„Miecz i Pług”
Mikrofilmy aleksandryjskie
Niemieckie władze okupacyjne
Rada Główna Opiekuńcza

Bundesarchiv Berlin:
Dokumenty Auswärtiges Amt
Kancelaria Rzeszy

Instytut Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku:
Archiwum Kazimierza Sosnkowskiego
Archiwum Władysława Studnickiego
Kolekcja Jana Weinsteina

Instytut Pamięci Narodowej:
Abwehra
Akta Jerzego Łozińskiego
Akta Paula Fuchsa
Akta Stanisława Jareckiego
Akta Stefana Falkowskiego
Akta Tadeusza Myślińskiego
Akta Władysława Subortowicza
Brygada „Góry” – „Doliny”
Delegat polski do UNWCC
Gestapo
Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy
Materiały dot. współpracy z Niemcami reakcyjnych organizacji
MSW rządu RP na uchodźstwie
„Muszkieterowie” (protokoły przesłuchań Cz. Szadkowskiego)
Najwyższy Trybunał Narodowy – proces Bühlera
Nielegalne organizacje
Okręg Wileński AK
Służba Bezpieczeństwa Reichsführera-SS

Archiwum Zakładu Historii Ruchu Ludowego NKW PSL:
Archiwum ministra Stanisława Kota

Centralne Kierownictwo Ruchu Ludowego

Źródła drukowane

Archiwum polityczne Ignacego Paderewskiego, t. 4, Warszawa 1974

Armia Krajowa na Nowogródczyźnie i Wileńszczyźnie (1942–1944) w świetle dokumentów sowieckich, wybór, oprac. i wstęp Zygmunt Boradyn, Andrzej Chmielarz, Henryk Piskunowicz, Warszawa 1997

Armia Krajowa w dokumentach, t. 1–6, Londyn 1970–1989

„Biuletyn Informacyjny", [w:] „Przegląd Historyczno-Wojskowy", nr. specjalne 1–4, Warszawa 2001–2004

Caban I., Mańkowski Z., *Związek Walki Zbrojnej i Armia Krajowa w okręgu lubelskim*, t. 1–2, Lublin 1971

Dokumenty z dziejów polskiej polityki zagranicznej, t. 2. *1933–1939*, Warszawa 1996

Dopalanie Kresów. Nowogródzki Okręg AK w dokumentach, Warszawa [b.d.w.]

Dzienniki czynności prezydenta RP Władysława Raczkiewicza 1939–1947, t. 1–2, Wrocław 2004

Frejlich J., *Polski antykomintern*, „Kultura", nr 10, Paryż 1967

Generał Stefan Rowecki „Grot" w relacjach i pamięci zbiorowej, oprac. A. K. Kunert i T. Szarota, Warszawa 2003

Generał Tadeusz Bór-Komorowski w relacjach i dokumentach, oprac. A. K. Kunert, Warszawa 2000

Inspektorat „F". Materiały do historii Okręgu Wileńskiego Armii Krajowej, oprac. W. Snastin, Bydgoszcz 1997

Kozłowski M., Król W., *SB o Śmigłym*, „Karta", t. 4, 1994

Listy Jana Emila Skiwskiego do Stanisława Cata-Mackiewicza, „Stańczyk. Pismo Postkonserwatywne", nr 36/37, 2002

Madajczyk Cz., *Generalny Plan Wschodni. Zbiór dokumentów*, Warszawa 1990

tenże, *Rozstrzygnięcie przez Hitlera sporu o metody eksploatacji zasobów ludzkich okupowanej Europy Wschodniej*, „Dzieje Najnowsze", nr 1, 1978

Narodowe Siły Zbrojne. Dokumenty, struktury, personalia, oprac. L. Żebrowski, t. 1–3, Warszawa 1994–1996

NKWD o Polsce i Polakach. Rekonesans archiwalny, pod red. W. Materskiego i A. Paczkowskiego, Warszawa 1996

NKWD o polskim podziemiu 1944–1948. Konspiracja polska na Nowogródczyźnie i Grodzieńszczyźnie, oprac. A. Chmielarz, Warszawa 1997

Nowogródzki Okręg AK w dokumentach, oprac. K. Krajewski, Warszawa 2009

Od „Łupaszki" do „Młota" 1944–1949. Materiały źródłowe do dziejów V i VI Brygady Wileńskiej, oprac. T. Łabuszewski i K. Krajewski, Warszawa 1994

Okupacja i ruch oporu w dzienniku Hansa Franka 1939–1945, t. 1. *1939–1942*, oprac. L. Dobroszycki, Warszawa 1970

Okupacja i ruch oporu w dzienniku Hansa Franka 1939–1945, t. 2. *1939–1945*, oprac. Z. Polubiec, Warszawa 1972

Piotrowski S., *Dziennik Hansa Franka*, Warszawa 1957

Płoski S., *Dokumenty do kapitulacji Powstania Warszawskiego*, „Najnowsze Dzieje Polski", t. 4, 1960

Podgóreczny M., *Zgrupowanie Stołpecko-Nalibockie AK. Oszczerstwa i fakty*, wywiad z dowódcą zgrupowania, cichociemnym, mjr. Adolfem

Polskie dokumenty dyplomatyczne, 1939 (wrzesień–grudzień), oprac. W. Rojek, Warszawa 2007

Polskie dokumenty dyplomatyczne, 1940, oprac. M. Hułas, Warszawa 2010

Polskie dokumenty dyplomatyczne, 1941, oprac. J. Tebinka, Warszawa 2013

Powstanie Warszawskie 1944 w dokumentach z archiwów służb specjalnych, Warszawa–Moskwa 2007

„Przełom", nr. 1–16

Raporty Ludwiga Fischera, gubernatora dystryktu warszawskiego 1939–1944, Warszawa 1987

Rozkazy dzienne Brygady Świętokrzyskiej Narodowych Sił Zbrojnych, 1944–1945, oprac. Cz. Brzoza, Kraków 2003

Skiwski J. E., *To, o czym się nie mówi*, http://www.tomaszgabis.pl/2013/01/17/jan-emil-skiwski-to-o-czym-sie-nie-mowi/

Tajne oblicze GL-AL i PPR. Dokumenty, t. 1–3, oprac. M. J. Chodakiewicz, P. Gontarczyk i L. Żebrowski, Warszawa 1997–1999

Teczka specjalna J. W. Stalina. Raporty NKWD z Polski 1944–1946, oprac. T. Cariewska, przeł. E. Rosowska, Warszawa 1998

W kraju i na emigracji. Materiały z londyńskiego archiwum ministra prof. Stanisława Kota (1939–1943), Warszawa

1989
Z archiwum politycznego profesora Stanisława Kota, Toruń 2013
Ze wspomnień żołnierzy AK Okręgu Nowogródek, Warszawa 1988
Żeby Polska była polska. Antologia publicystyki konspiracyjnej podziemia narodowego 1939–1950, Warszawa 2010

Dzienniki, wspomnienia, pamiętniki

Anders W., *Bez ostatniego rozdziału. Wspomnienia z lat 1939–1946*, Warszawa, 1989
Antoniewicz Z., *Rozbitkowie na Węgrzech*, Warszawa 1987
Banasikowski E., *Na zew Ziemi Wileńskiej*, Warszawa–Paryż 1990
Below Nicolas, *Byłem adiutantem Hitlera*, Warszawa 2003
Bielecki T., *W szkole Dmowskiego*, Londyn 1968
Brochwicz S., *Bohaterowie czy zdrajcy? Wspomnienia więźnia politycznego*, Warszawa 1940
Brzozowski Z. S., *Litwa – Wilno 1910–1945*, Londyn 1987
Burdecki F., *Życiorys*, „Arcana", nr 2–3 (92–93), 2010
Christa O., *U „Szczerbca" i „Łupaszki"*, Warszawa 1999
Ciano G., *Pamiętniki 1939–1943*, Bydgoszcz 1949
Dąbrowski-Bohun A., *Byłem dowódcą Brygady Świętokrzyskiej*, Londyn 1989
Dobrowolski S. W., *Memuary Pacyfisty*, Kraków 1989
Drohojowski J., *Wspomnienia dyplomatyczne*, Kraków 1972
Dudziński A., *Byłem z marszałkiem*, Warszawa 1998
Fedorowski, G., *Leśne ognie*, Warszawa 1963
Figura M., *Rosja w myśli politycznej Władysława Studnickiego*, Poznań 2008
Frank N., *Mój ojciec Hans Frank*, Warszawa 1991
Frassati-Gawrońska L., *Przeznaczenie nie omija Warszawy*, Warszawa 2003
Gehlen R., *Sensacyjne wspomnienia szefa wywiadu*, Warszawa 1993
Gierdoyc J., *Autobiografia na cztery ręce*, Warszawa 1996
Goebbels J., *Dzienniki*, t. 1–3, oprac. E. C. Król, Warszawa 2013–2014
Goetel F., *Czasy wojny*, oprac. M. Gałęzowski, Kraków 2005
Gorzkowski K., *Kroniki Andrzeja. Zapiski z podziemia 1939–1941*, Warszawa 1989
Hitler A., *Mein Kampf*, Kraków 1992
tenże, *Rozmowy przy stole*, Warszawa 1996
Jankowski S. „Agaton", *Z fałszywym ausweisem w prawdziwej Warszawie*, t. 1–2, Warszawa 1980
Karłowicz Leon, *Od Zasmyk do Skrobowa. Wspomnienia żołnierza 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK*, Warszawa 2013
Katelbach T., *Rok złych wróżb (1943)*, Łomianki 2005
Kawecki W., *Radiostacja „Wanda"*, oprac. R. Habielski, „Dzieje Najnowsze", nr 1, 1989
Kisielewski S., *Abecadło Kisiela*, Warszawa 1990
Klimkowski J., *Byłem adiutantem gen. Andersa*, Warszawa 1959
Kołaciński W., *Między młotem a swastyką*, Warszawa 1991
Komorowski T. „Bór", *Armia Podziemna*, Warszawa 2009
tenże, *Powstanie Warszawskie*, Warszawa 2004
Korboński S., *W imieniu Rzeczypospolitej*, Warszawa 1991
Kot S., *Listy z Rosji do gen. Sikorskiego*, Londyn 1965
Kowalewski J., *Cykl rumuński*, „Zeszyty Historyczne", nr 6, Paryż 1964
Kozłowski L., *Moje przeżycia w więzieniu sowieckim i na wolności w czasie wojny w Rosji sowieckiej*, Warszawa 2001
Krzeczkowski J., *Z marszałkiem Śmigłym-Rydzem w Rumunii*, „Kultura", nr 9, 1950
Kubalski E., *Niemcy w Krakowie*, Kraków–Budapeszt 2010
Kunicki A., *Cichy front. Ze wspomnień oficera wywiadu dywersyjnego dyspozycyjnych oddziałów Kedywu AK*,

Warszawa 1968
Kunicki M., *Pamiętnik „Muchy”*, Warszawa 1959
Lachowicki-Czechowicz T., *Dziennik egerski. Zapiski komendanta obozu oficerów polskich na Węgrzech 1939–1944*, Warszawa 2003
Landau L., *Kronika lat wojny i okupacji*, t. 1–3, Warszawa 1962–1963
Leski K., *Życie niewłaściwie urozmaicone. Wspomnienia oficera wywiadu i kontrwywiadu AK*, Warszawa 1989
Libich H., *Spod Wilna na Syberię*, Warszawa 1990
Listy Jana Emila Skiwskiego do Stanisława Cata-Mackiewicza, „Stańczyk. Pismo Postkonserwatywne”, nr 36/37, 2002
Mackiewicz S., *Historia Polski od 11 listopada 1918 r. do 5 lipca 1945 r.*, Londyn [b.d.w.]
Mańkowska K., *Moja misja wojenna*, Warszawa 2003
Marcinkowski W. „Jaxa”, *Wspomnienia 1934–1945*, Warszawa 1998
Maxymowicz-Raczyńska J., *Edward Rydz-Śmigły w Warszawie*, „Dzieje Najnowsze”, nr 1, 1970
taż, *Śmierć marszałka Rydza-Śmigłego*, „Niepodległość”, nr 47, 1984
Michalski C., *Wojna warszawsko-niemiecka*, Warszawa 1971
Miłosz Cz., *Koniec Wielkiego Xięstwa*, „Kultura”, nr 500, Paryż 1989
tenże, *Rok myśliwego*, Kraków 1991
Minkiewicz W., *Mokotów, Wronki, Rawicz. Wspomnienia 1939–1945*, Warszawa 1988
Młynarski F., *Wspomnienia*, Warszawa 1971
Moszyński E., *Ludzie i czasy „Czasu”*, Toruń 2004
Norwid S. T., *Kraj bez Quislinga*, Rzym 1945
Nowak S., *Kurier z Warszawy*, Warszawa–Kraków 1989
Piecuch H., *Siedem rozmów z generałem Władysławem Pożogą*, Warszawa 1987
Pilch A., *Partyzanci trzech puszcz*, Warszawa 2013
Piotrowski S., *Dziennik Hansa Franka*, Warszawa 1956
Pobóg-Malinowski W., *Z mojego okienka. Fakty i wrażenia z lat 1939–1945*, t. 1, Łomianki 2013
Podgóreczny M., *Doliniacy*, Warszawa 2013
tenże, *Zgrupowanie Stołpecko-Nalibockie Armi Krajowej: oszczerstwa i fakty*, wywiad z dowódcą zgrupowania, cichociemnym, mjr. Adolfem Pilchem ps. „Góra”, „Dolina”, www.iwieniec.eu/AK/ZSN_AK-fakty.pdf
Potocki A., *Master of Lancut*, London 1959
Potocki M., *Między Dźwiną a Wilią*, Warszawa 2008
Prawdzic-Szlaski J., *Nowogródczyzna w walce 1940–1945*, Londyn 1976
Przetakiewicz Z., *Od ONR-u do PAX-u*, Warszawa 1994
Raczyński E., *W sojuszniczym Londynie*, Warszawa 1989
Relacja policjanta, „Karta”, nr 24, Warszawa 1998
Rembek S., *Dziennik okupacyjny*, Warszawa 2004
Rogowski B., *Wspomnienia o marszałku Śmigłym*, „Zeszyty Historyczne”, nr 2, 1962
Romeyko M., *Wspomnienia o Wieniawie i o rzymskich czasach*, Londyn 1969
Ronikier A., *Pamiętniki 1939–1945*, Kraków 2001
Rudnicki K., *Na polskim szlaku. Wspomnienia z lat 1939–1947*, Warszawa–Kraków 1990
Rzepecki J., *Wspomnienia i przyczynki historyczne*, Warszawa 1956
Skowroński T., *Wojna polsko-niemiecka widziana z Brazylii*, Londyn 1980
Skwara Z., *Z piosenką i pistoletem przez wojnę*, Warszawa 2003
Smalewski J. S., *U boku Łupaszki*, Warszawa 2013
Sokolnicki M., *Dziennik ankarski 1939–1943*, Londyn 1965
Sokopp E. M., *Pisane na kolanie. Pamiętnik bez patosu*, Warszawa 1997
Steinhaus, *Wspomnienia i zapiski*, Londyn 1992
Strządała G., *Niemcy w myśli politycznej Władysława Studnickiego*, Opole 2011

Studnicki W., *Polska za linią Curzona*, Londyn 1953
tenże, *Tragiczne manowce. Próby przeciwdziałania katastrofom narodowym 1939–1945*, Toruń 2001
tenże, *Wobec nadchodzącej II-ej wojny światowej*, Toruń 2002
Stypułkowski Z., *W zawierusze dziejowej. Wspomnienia 1939–1945*, Londyn 1951
Sulewski Wojciech, *Pod bokiem generalnego gubernatora*, Warszawa 1965
Swianiewicz S., *W cieniu Katynia*, Warszawa 1990
Szarota T., *Jak umarł Śmigły-Rydz. Relacja profesora Roguskiego*, „Polityka", nr 13, 1986
Szlaski-Prawdzic J., *Nowogródczyzna w walce 1940–1945*, Londyn 1976
Sznarbachowski W., *300 lat wspomnień*, Londyn 1997
Tarnowska M., *Przyszłość pokaże*, Łomianki 2012
Tworzyański B., *Tak jak pamiętam. AK ziemia konecka i nowogródzka 1939–1945*, Warszawa 1995
Wachowiak S., *Wspomnienia*, „Zeszyty Historyczne", z. 31, 1975
Warchocki Cz., *Rzeczpospolita partyzancka*, Warszawa 1972
Wenda Z., *Z marszałkiem Śmigłym. Wspomnienia*, „Zeszyty Historyczne", 98–101, Paryż 1991
Wojna i konspiracja. Wspomnienia dziennikarzy polskich, pod red. E. Rudzińskiego, Warszawa 1987
Wspomnienia więźniów Pawiaka, Warszawa 1978
Wyka K., *Życie na niby. Pamiętnik po klęsce*, Kraków–Wrocław 1984
Zagórski W., *Wolność w niewoli*, Londyn 1971
Ze wspomnień żołnierzy AK Okręgu Nowogródek, oprac. E. Wawrzyniak, Warszawa 1988
Życie na krawędzi. Wspomnienia żołnierzy antyhitlerowskiego wywiadu, Warszawa 1980

Wybrane monografie i artykuły

Adamczyk A., *Piłsudczycy w izolacji 1939–1954*, Bełchatów 2008
Armia Krajowa. Szkice z dziejów sił zbrojnych Polskiego Państwa Podziemnego, pod red. K. Komorowskiego, Warszawa 2001
Baliszewski D., *Historia nadzwyczajna*, Wrocław 2009
tenże, *Ostatnia fotografia Marszałka*, „Tygodnik Polski", nr 19–20, 1984
tenże, *Tajemnica Śmigłego*, „Ład", nr. 51–52 i 3, 5, 7, 1986
tenże, *Telefon od Śmigłego*, „Magazyn Razem", nr 7, 1987
tenże, *Trzecia strona medalu*, Wrocław 2010
Bałuk-Ulewiczowa T., *Wyzwolić się z błędnego koła. Institut für Deutsche Ostarbeit w świetle dokumentów AK i materiałów zachowanych w Polsce*, Kraków 2004
Banasiewicz E., *Polityka naukowa i oświatowa hitlerowskich Niemiec na ziemiach polskich „wcielonych" do Trzeciej Rzeszy w okresie okupacji 1939–1945*, Poznań 1984
Bartosz J., *Ludzie ze znakiem „P"*, Wrocław–Warszawa–Kraków 1969
Bartoszewski W., *Palmiry*, Warszawa 1976
tenże, *Prawda o von dem Bachu*, Poznań 1961
Bartyzel J., *Sprawa Skiwskiego*, „Świat z Piotrowskiej", 29 III 1993
Batowski H., *Walka dyplomacji hitlerowskiej przeciw Polsce 1939–1945*, Kraków–Wrocław 1984
Bielański R., *„Góra" – „Dolina" Adolf Pilch*, Warszawa 2007
Bieniek J., *Między Budapesztem a Warszawą*, Nowy Sącz 1999
Biernacki S., *Gromadzenie i analiza danych o ruchu oporu przez hitlerowski aparat policyjny w GG*, „Dzieje Najnowsze", 1981, nr 1–2
Biernacki S., Stoch J., *Działania władz okupacyjnych (policji i administracji) w dystrykcie warszawskim przeciwko ruchowi oporu w latach 1939–1944*, „Najnowsze Dzieje Polski", nr 10, 1968
Böhler J., *Najazd 1939. Niemcy przeciw Polsce*, Kraków 2011
tenże, *Zbrodnie Wehrmachtu w Polsce*, Kraków 2009

Bojemski S., *„Miecz i Pług" pisze do Hitlera*, „Historia Do Rzeczy", nr 1, 2014
Bolecki W. [pod pseud. Jerzy Malewski], *Wyrok na Józefa Mackiewicza*, Londyn 1991
tenże, *Ptasznik z Wilna. O Józefie Mackiewiczu (zarys monograficzny)*, Kraków 2007
Boradyn Z., Chmielarz A., Piskunowicz H., *Z dziejów Armii Krajowej na Nowogródczyźnie i Wileńszczyźnie (1941–1945)*, Warszawa 1997
Boradyn Z., *Niemen – rzeka niezgody. Polsko-sowiecka wojna partyzancka na Nowogródczyźnie 1943–1944*, Warszawa 1999
Borodziej W., *Terror i polityka. Policja niemiecka a polski ruch oporu w GG 1939–1944*, Warszawa 1985
Borzobohaty W., *„Jodła" – Okręg Radomsko-Kielecki ZWZ–AK 1939–1945*, Warszawa 1984
Bratko A., *Gestapowcy*, Kraków 1990
Broszat M., *200 lat polityki niemieckiej wobec Polski*, Warszawa 1999
tenże, *Polityka narodowego socjalizmu w sprawie Polski 1939–1945*, Warszawa–Poznań 1966
Brzozowski Z., *Litwa – Wilno 1910–1945*, Paryż 1987
Caban I., Mańkowski Z., *Związek Walki Zbrojnej i Armia Krajowa w okręgu lubelskim*, t. 1–2, Lublin 1971
Cabanowski M., *Generał Stanisław Bułak-Bałachowicz*, Warszawa 1993
Celt M., *Raport z Podziemia 1942*, Łomianki 2005
Cenckiewicz S., *Tadeusz Katelbach. Biografia polityczna 1897–1977*, Warszawa 2005
Chlebowski C., *Pozdrówcie Góry Świętokrzyskie*, Warszawa 1984
Chmielarz A., Kunert A. K., *Spiska 14. Aresztowanie generała „Grota" Stefana Roweckiego*, Warszawa 1983
Chodakiewicz M., *Narodowe Siły Zbrojne. „Ząb" przeciwko dwóm wrogom*, Warszawa 1999
Chojnacki W., *Jawna prasa polskojęzyczna na terenach włączonych do Rzeszy i w Niemczech w latach 1939–1945*, „Dzieje Najnowsze", nr 1, 1985
Chrobaczyński J., *Postawy, zachowania, nastroje. Społeczeństwo Krakowa wobec wojny i okupacji 1939–1945*, Kraków 1993
Chrzanowski B., *Miecz i Pług*, Toruń 1997
tenże, *Związek Jaszczurczy i Narodowe Siły Zbrojne na Pomorzu 1939–1947. Nieznane karty pomorskiej konspiracji*, Toruń 1997
Chwalba A., *Dzieje Krakowa. Kraków w latach 1939–1945*, Kraków 2002
tenże, *Okupacyjny Kraków*, Kraków 2011
Chwin S., *Literatura a zdrada. Od* Konrada Wallenroda *do* Małej Apokalipsy, Kraków 1993
Ciechanowski J. S., *Misja ppłk. Jana Kowalewskiego w Portugalii*, [w:] *Polsko-brytyjska współpraca wywiadowcza podczas II wojny światowej*, Warszawa 2005
tenże, *Pułkownik Jan Kowalewski – kontakty z władzami niemieckimi w czasie wojny*, „Zeszyty Historyczne", nr 144, „Paryż" 2003
Ciechanowski R., *Ruch oporu na Pomorzu Gdańskim 1939–1945*, Warszawa 1972
Countess of Listowel, *Crusader in the Secret War*, London 1952
Cygański M., *SS w polityce zagranicznej III Rzeszy w latach 1934–45*, Warszawa–Wrocław 1975
Cytowska E., *Szkice z dziejów prasy pod okupacją niemiecką*, Warszawa 1986
Czapiewski E., *Konserwatyści polscy a hitleryzm (1930–1934)*, [w:] „Śląski Kwartalnik Historyczny Sobótka", nr 2, 1984
Czerkawski A., *Zamach na Koppego*, Warszawa 1969
Czerpak S., Wroński T., *Ulica Pomorska 2*, Kraków 1974
Dąbrowa-Kostka S., *Fiasko Legionu Polskiego w Krakowie*, „Życie Literackie", nr 46, 1971
Dębski S., *Między Berlinem a Moskwą. Stosunki niemiecko-sowieckie 1939–1941*, Warszawa 2003
Dmitrów E., *Niemcy i okupacja hitlerowska w oczach Polaków. Poglądy i opinie z lat 1945–1948*, Warszawa 1987
Dobroszycki L., Getter M., *Działanie Urzędu Komendanta Policji i Służby Bezpieczeństwa w Radomiu w zakresie zwalczania ruchu oporu*, „Najnowsze Dzieje Polski", t. 4, 1960
Dobroszycki L., *Reptile Journalism. The official polish-language press under the Nazis 1939–1945*, New Haven–Londyn

1994
Dobroszycki Z., *Sprawa płk. dypl. Janusza Albrechta w świetle źródeł niemieckich*, „Wojskowy Przegląd Historyczny", nr 3, Warszawa 1960
Domańska R., *Pawiak. Więzienie Gestapo*, Warszawa 1978
Dubicki T., *Konspiracja polska w Rumunii 1939–1945*, t. 1. *1939–1940*, Warszawa 2002
Dubicki T., Rostworowski S. J., *Sanatorzy kontra sikorszczycy, czyli walka o władzę na uchodźstwie w Rumunii 1939–1940*, Warszawa 1993
Dudek A., Pytel G., *Bolesław Piasecki. Próba biografii politycznej*, Londyn 1990
Dunin-Wąsowicz K., *Warszawa w latach 1939–1945*, Warszawa 1984
tenże, *Władze hitlerowskie wobec Powstania Warszawskiego*, „Przegląd Humanistyczny", nr 1, 1975
Duraczyński E., *Między Londynem a Warszawą*, Warszawa 1986
Durka J., *Janusz Radziwiłł 1880–1967*, Warszawa 2011
Dymarski M., *Stosunki wewnętrzne wśród polskiego wychodźstwa politycznego i wojskowego we Francji i w Wielkiej Brytanii 1939–1945*, Wrocław 1999
Dyskusja wokół artykułu p. Wiadernego, „Zeszyty Historyczne", nr 143, Paryż 2003
Dzendzel H., *Stosunek Wincentego Witosa do Niemców w latach 1939–1945*, „Rocznik Dziejów Ruchu Ludowego", nr 5, 1963
Eberhardt G., *Pisarz dla dorosłych. Opowieść o Józefie Mackiewiczu*, Wrocław 2008
Eisler J., *Kolaboracja we Francji 1940–1944*, Warszawa 1989
tenże, *Philippe Pétain*, Wrocław–Warszawa–Kraków 1991
Engelgard J., *Wielka gra Bolesława Piaseckiego*, Warszawa 2008
Erdman J., *Droga do Ostrej Bramy*, Warszawa 1990, s. 234
Europa nieprowincjonalna. Przemiany na ziemiach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej (Białoruś, Litwa, Łotwa, Ukraina, wschodnie pogranicze III Rzeczypospolitej Polskiej) w latach 1772–1999, pod red. K. Jasiewicza, Warszawa–Londyn 1999
Fikus D., *Pseudonim „Łupaszka"*, Warszawa 1990
Foedrowitz M., *Gestapowiec jedzie do Andersa*, „Uważam Rze Historia", nr 7, 2012
tenże, *Gestapowiec, który nie bił Polaków*, „Uważam Rze Historia", nr 6, 2012
tenże, *Granica między dobrem a złem*, „Wprost", nr 14, 1992
tenże, *Mit Feuer und Rauch*, „Die Zeit", 29 VII 1994
tenże, *Nazizaślepienie*, „Uważam Rze Historia", nr 1, 2013
tenże, *Podziemie w Sieci*, „Wprost", nr 50, 1991
tenże, *Polacy do Egiptu!*, „Historia Do Rzeczy", nr 2, 2013
tenże, *Polscy Quislingowie*, „Wprost", nr 49, 1991
tenże, *Sprawa pułkownika Kurpisza*, „Historia Do Rzeczy", nr 4, 2013
tenże, *W poszukiwaniu „modus vivendi"*, „Mars", nr 2, 1994
Freilich J., *Polski Antykomintern*, „Kultura" (Paryż) 1967, nr 10
Friedrich K.-P., *„Casus Józefa Mackiewicza" a polska historia współczesna. Obrazy z historii i biografie między kolaboracją a oporem*, [w:] *Józef Mackiewicz (1902–1985) – świadek „krótkiego stulecia"*, Łomianki 2013
Gałęzowski M., *Przeciw dwóm zaborcom. Polityczna konspiracja piłsudczykowska w kraju w latach 1939–1947*, Warszawa 2013
tenże, *Sprawa wojewody Jareckiego*, „Historia Do Rzeczy", nr 2, 2013
tenże, *Wierni Polsce. Ludzie konspiracji piłsudczykowskiej 1939–1947*, Łomianki 2005
tenże, *Wierni Polsce. Publicystyka piłsudczykowska w kraju 1940–1946*, Warszawa 2007
tenże, *Wzór Piłsudczyka. Wacław Lipiński 1896–1949. Żołnierz, historyk, działacz polityczny*, Warszawa 2001
Gapys J., *Postawy społeczno-polityczne ziemiaństwa w latach 1939–1945*, Kielce 2003
Gasztold T., *Nad Niemnem i Oszmianką*, Koszalin 1991

tenże, *Nalibocka puszcza. Z dziejów prześladowań, walki i mordów 1939–1944*, Koszalin 1998
Gdański J., *Na progu kolaboracji. Mieli walczyć za III Rzeszę*, „Polityka" 25 sierpnia 2007
tenże, *Polacy po stronie Niemców*, „Inne Oblicza Historii", nr 2, 2005
tenże, *Zapomniani żołnierze Hitlera*, Warszawa 2005
Getter M., *Zarys organizacji policji niemieckiej w Warszawie i dystrykcie warszawskim w latach 1939–1954*, „Rocznik Warszawski", t. 4, 1965
Głowiński T., *Feliks Młynarski 1884–1972*, Wrocław 2012
tenże, *O nowy porządek europejski. Ewolucja hitlerowskiej propagandy politycznej wobec Polaków w Generalnym Gubernatorstwie 1939–1945*, Wrocław 2000
Gmitruk J., Mazurek J., *Działalność władz okupacyjnych na terytorium Rzeczpospolitej w okresie 1 IX 1939–1 XI 1940. Raport z archiwum politycznego prof. Stanisława Kota*, Warszawa 1999
Gońkowski J., *„Lewa wolna" czyli „Nie trzeba głośno mówić"*, Pułtusk 2008
Gogol B., *„Czerwony sztandar". Rzecz o sowietyzacji ziem Małopolski Wschodniej. Wrzesień 1939–czerwiec 1941*, Gdańsk 2000
Gondek L., *Polska karząca 1939–1945. Polski podziemny wymiar sprawiedliwości w okresie okupacji niemieckiej*, Warszawa 1988
Gontarczyk P., *Polska Partia Robotnicza. Droga do władzy 1941–1944*, Warszawa 2003
Grabowski W., *Delegatura Rządu RP na Kraj 1940–1945*, Warszawa 1945
Greniuch T., *Organizacja Toma. Mroczna zagadka podziemia*, http://tomasz.greniuch.salon24.pl/157668,organizacja-toma-mroczna-zagadka-podziemia
Grodkowski F., *Okupacja hitlerowska w Nowym Sączu i w Sądecczyźnie w latach 1939–1945*, Nowy Sącz 1966
Gross J. T., *Polish Society under German Occupation*, Princeton 1979
Grünberg K., Otręba B., *Hans Frank na Wawelu*, Włocławek 2001
Grunt-Mejer Z. M., *Partyzancka Brygada „Kmicica". Wileńszczyzna 1943*, Bydgoszcz 1997
Grzybowski J., *Białorusini w polskich formacjach wojskowych w latach 1918–1945*, Warszawa 2007
tenże, *Pogoń między Orłem Białym, Swastyką i Czerwoną Gwiazdą*, Warszawa 2011
Grzywacz A., Kwiecień M., *Sikorszczycy kontra sanatorzy 1939–1940*, „Zeszyty Historyczne", nr 127, 1999
Gumkowski J., Leszczyński K., *Okupacja hitlerowska w Polsce*, Warszawa 1961
Guz E., *Goebbels o Polsce i sojuszniczym ZSRR*, Warszawa 1999
Gzella J., *Koncepcje i działalność Władysława Studnickiego w pierwszych miesiącach II wojny światowej*, „Przegląd Zachodni", nr 2, 1988
Habielski R., *„Tu mówi Wanda". Epizod wojny psychologicznej*, „Kraków", nr 3, 1987
Hempel A., *Pogrobowcy klęski. Rzecz o policji granatowej w Generalnym Gubernatorstwie 1939–1945*, Warszawa 1990
Herzog L., *Czy Hitler chciał utworzyć buforowe państewko polskie?*, „Wojskowy Przegląd Historyczny", nr 4, 1962
tenże, *Polski ruch oporu w świetle oceny centralnych władz hitlerowskiej Rzeszy, lipiec 1943*, „Wojskowy Przegląd Historyczny", nr 2, 1964
Herzog L., Radziwończyk K., *Walka zbrojna narodu polskiego pod okupacją hitlerowską w świetle dokumentów Wehrmachtu*, „Wojskowy Przegląd Historyczny", nr 1, 1964
Hryciuk G., *„Gazeta Lwowska" 1941–1944*, Wrocław 2002
Iłłakowicz J., *O Narodowych Siłach Zbrojnych*, „Zeszyty Historyczne", Paryż 1986, z. 76
Irving D., *Marszałek Rzeszy Hermann Göring*, Warszawa 2001
tenże, *Wojna Goebbelsa*, Międzyzdroje–Kraków 2012
tenże, *Wojna Hitlera*, Warszawa 2005
Jabłonowski M., Stawecki P., *Następca komendanta. Edward Śmigły-Rydz. Materiały do biografii*, Pułtusk–Warszawa 2013
Jałta, Poczdam. Proces podejmowania decyzji, Warszawa 1996
Jankowski S. M., Kotarba R., *Literaci a sprawa katyńska. 1945*, Kraków 2003

Jaracz A., *Polacy w bitwie o Monte Cassino a propaganda niemiecka*, [w:] *Bitwa o Monte Cassino 1944: geneza, przebieg, opinie*, Leszno 2003
Jarowiecki J., *Konspiracyjna prasa w Krakowie w latach okupacji hitlerowskiej 1939–1945*, Kraków 1980
Jaruzelski J., *Książę Janusz (1880–1967). Szkice. Wspomnienia Janusza Radziwiłła*, Warszawa 2001
tenże, *Mackiewicz i konserwatyści*, Warszawa 1976
tenże, *Stanisław Cat-Mackiewicz 1896–1966. Wilno–Londyn–Warszawa*, Warszawa 1987
Jastrzębowski W., *Gospodarka niemiecka w Polsce 1939–1945*, Warszawa 1978
Jaszowski T., *Gestapo w walce z ruchem oporu nad Wisłą i Brdą*, Bydgoszcz 1985
Jaxa-Maderski J., *Na dwa fronty*, Warszawa 2013
Jordan G., *Powstanie i kapitulacja Warszawy*, „Zeszyty Historyczne", nr 86, Paryż 1988
Juchniewicz M., *Na wschód od Bugu. Polacy w walce antyhitlerowskiej na ziemiach ZSRR 1941–1945*, Warszawa 1985
tenże, *Polacy w radzieckim ruchu podziemnym i partyzanckim 1941–1944*, Warszawa 1973
Jurewicz L., *Zbrodnia czy początek wojny domowej*, Londyn 1980
Kaczmarek R., *Polacy w Wehrmachcie*, Kraków 2010
Kapsa J., *Częstochowa. Inne opowieści*, Częstochowa 2008
Kawka H., *Polnische Wehrmacht*, „Inne Oblicza Historii", nr 2–3, 2007
Kazanowski L., *Zagadki podziemia. Kim był kapitan „Tom"?*, „Przemiany", nr 10, 1985
Kilarski R., *Organizacja wywiadowcza Reinharda Gehlena*, Warszawa 1978
Kochanowski J., *„Bodaj z samym diabłem, byle do wolnej Polski". Czy podczas II wojny Polacy i Niemcy mogli razem ruszyć na ZSRR?*, [w:] *O jaką wojnę walczyliśmy?*, Gdańsk–Zakrzewo 2013
tenże, *O jaką wojnę walczyliśmy?*, Gdańsk 2013
tenże, *Polacy do Wehrmachtu? Propozycje i dyskusje 1935–1945. Zarys problemu*, „Przegląd Historyczny", t. 93, z. 3, 2002
tenże, *Wyrwy w szeregu. Polacy do Wehrmachtu, czyli pomysły na kolaborację*, „Polityka", nr 7, 2001
Kolaboracja i historia. Spór o postawy Polaków, „Arcana", nr 51–52, 2003
Kołakowski P., *Pretorianie Stalina. Sowieckie służby bezpieczeństwa i wywiadu na ziemiach polskich 1939–1945*, Warszawa 2010
Kołtunowski P., *Strategia propagandy hitlerowskiej w Generalnym Gubernatorstwie na podstawie „Krakauer Zeitung" (1939–1945)*, Lublin 1990
Komorowski K., *Polityka i walka. Konspiracja zbrojna ruchu narodowego 1939–1945*, Warszawa 2000
Koper S., *Polskie piekiełko. Obrazy z życia elit emigracyjnych 1939–1945*, Warszawa 2012
Korab-Żebryk R., *Biała księga w obronie AK na Wileńszczyźnie*, Lublin 1991
tenże, *Generał Grot-Rowecki w Sachsenhausen*, „Przegląd Tygodniowy", nr 35, 1983
Korab-Żebryk R., *Operacja wileńska AK*, Warszawa 1985
Korboński S., *Polskie Państwo Podziemne*, Paryż 1975
tenże, *W imieniu Rzeczypospolitej*, Warszawa 1991
Kornat M., *Polska wobec Paktu Ribbentrop–Mołotow*, Warszawa 2002
Korwin-Mikke J., *Mackiewicz jako Quisling*, „Kurs", nr 34, Warszawa 1988
Kosmala P., *„Przełom"*, [w:] *Encyklopedia Białych Plam*, Radom 2005
tenże, *Koncepcje europejskie grupy „Przełomu" (1944–1945)*, „Politeja", nr 8, 2007
Kotula F., *Czy były próby utworzenia proniemieckiego rządu polskiego po klęsce wrześniowej?*, „Najnowsze Dzieje Polski (1939–1944)", t. 3, Warszawa 1959
Kozłowski M., *Sprawa premiera Leona Kozłowskiego. Zdrajca czy ofiara*, Warszawa 2005
Kozłowski P., *Zygmunt Szendzielarz „Łupaszko" 1910–1951*, Warszawa 2011
Krajewski K., *Na Ziemi Nowogródzkiej. „Nów" – Nowogródzki Okręg Armii Krajowej*, Warszawa 1997
Kroll B., *Rada Główna Opiekuńcza 1939–1945*, Warszawa 1985
Król E. C., *Polityka hitlerowska wobec szkolnictwa polskiego na terenie GG w latach 1939–1945*, Warszawa 1979

tenże, *Polska i Polacy w propagandzie narodowego socjalizmu w Niemczech 1919–1945*, Warszawa [b.d.w.]
tenże, *Raporty Alberta Hoffmanna z podróży po Generalnej Guberni w 1942 roku. Przyczynek do sporów kompetencyjnych w hitlerowskiej elicie władzy*, „Przegląd Historyczny", nr 1, 2005
Kunert A. K., *Generał Tadeusz Bór-Komorowski w relacjach i dokumentach*, Warszawa 2000
tenże, *Ostatnie dni marszałka Śmigłego*, Warszawa 1992
tenże, *Stanisław Brochwicz vel Stanisław von Brauchitsch*, „Kierunki", nr 7, Warszawa 1965
Kunert A. K., Szarota T., *Generał Stefan Rowecki „Grot" w relacjach i pamięci zbiorowej*, Warszawa 2003
Kunert A. K., Zakrzewska H., *Dramat płk. Janusza Albrechta. Dokumenty dramatycznych wydarzeń w sprawie płk. dypl. Janusza Albrechta*, „Dzieje Najnowsze", nr. 1–4, 1982
Kunicki M., *Unwanted Collaborators: Leon Kozłowski, Władysław Studnicki, and the Problem of Collaboration among the Polish Conservative Politicians in World War II*, „European Review of History", 8, no 2, 2001, s. 203–220
Kwiatkowski M. J., *Nowa Polenpolitik*, „Orzeł Biały", nr 1469, 1991
Lechocki W., *Polski Quisling?*, „Życie Literackie", Kraków 6 III 1960
Lewandowska S., *Polska konspiracyjna prasa informacyjno-polityczna 1939–1945*, Warszawa 1982
Lenczewski T., *Kariera mitomana*, http://www.lenczewski.com.pl/mitoman.html
Leżeński C., *Kwatera 139. Opowieść o marszałku Rydzu-Śmigłym*, t. 1–2, Lublin 1989
Lisiewicz P. M., *Bezimienni. Z dziejów wywiadu AK*, Warszawa 1987
tenże, *W imieniu Polski Podziemnej*, Warszawa 1988
Łuczak Cz., *Polityka ludnościowa i ekonomiczna hitlerowskich Niemiec w okupowanej Polsce*, Poznań 1979
Mackiewicz J., *Droga Pani*, Londyn 1998
tenże, *Fakty, przyroda i ludzie*, Londyn 1993
tenże, *Ludzie z głębszego podziemia*, [w:] Mackiewicz J., *Fakty, przyroda i ludzie*, Londyn 1993
tenże, *Nie trzeba głośno mówić*, Londyn 1993
tenże, *Nudis verbis*, Londyn 2003
tenże, *Optymizm nie zastąpi nam Polski*, Londyn 2005
tenże, *Prawda w oczy nie kole*, Londyn 2011
tenże, *Zwycięstwo prowokacji*, Londyn 1997
Mackiewicz J., Toporska B., *Listy do redaktorów „Wiadomości"*, Londyn 2011
Mackiewicz S., *Lata nadziei: 17 września 1939–5 lipca 1945*, Londyn [b.d.w.]
tenże, *Zielone oczy*, Warszawa 1997
Madajczyk Cz., *Faszyzm i okupacje 1938–1945*, t. 2, Poznań 1984
tenże, *Generalna Gubernia w planach hitlerowskich*, Warszawa 1961
tenże, *Między neutralną współpracą ludności terytoriów okupowanych a kolaboracją z Niemcami*, „Studia nad Faszyzmem i Zbrodniami Hitlerowskimi", t. 21, 1998
tenże, *Polityka III Rzeszy w okupowanej Polsce*, t. 1–2, Warszawa 1970
tenże, *Polityka okupanta wobec narodu polskiego w okresie II wojny światowej*, [w:] *Problemy wojny i okupacji*, Warszawa 1969
tenże, *Przywódcy hitlerowscy wobec sprawy polskiej w okresie od października 1939 do września 1940*, „Przegląd Zachodni", nr 1, 1958
Mader J., *Generałowie Abwehry zeznają*, Warszawa 1975
Maderski-Jaxa J., *Na dwa fronty. Szkice z walk Brygady Świętokrzyskiej NSZ*, Lublin 1995
Majewski P., *Wojna i kultura*, Warszawa 2005
Marcinkowski W., *Wspomnienia 1934–1945*, Warszawa 1998
Matijczenko W., *Problem polskiej kolaboracji w czasie II wojny światowej*, [w:] *Polska–Ukraina: trudne pytania*, t. 9, Warszawa 2002
Matusak P., *Wywiad Związku Walki Zbrojnej-Armii Krajowej*, Warszawa 2002
Mazur G., *Biuro Informacji i Propagandy SZP–ZWZ–AK 1939–1945*, Warszawa 1987

Mącior-Majka B., *Generalny Plan Wschodni*, Kraków 2007
Mączyński M., *Polskie formacje policyjne w stolicy Generalnego Gubernatorstwa 1939–1945*, „Rocznik Krakowski", 1993
Michalski Cz., *Wojna warszawsko-niemiecka*, Warszawa 1971
Mirowicz R., *Edward Rydz-Śmigły*, Warszawa 1988
Młynarczyk J. A., *Pomiędzy współpracą a zdradą. Problem kolaboracji w Generalnym Gubernatorstwie – próba syntezy*, „Pamięć i Sprawiedliwość", nr 1, 2009
Morgan D. i T., *The Anabasis of the Holy Cross Brigade. Reflected in the Documents of the United States Government 1945–1950*, „Glaukopis", nr 5–6, 2006
Motyka G., *Od rzezi wołyńskiej do akcji Wisła*, Kraków 2011
tenże, *Polski policjant na Wołyniu*, „Karta", nr 24, Warszawa 1998
tenże, *Problem polskiej i ukraińskiej kolaboracji w czasie II wojny światowej*, [w:] *Polska-Ukraina: trudne pytania*, t. 9, Warszawa 2002
Musiał B., *Rozstrzelać elementy kontrrewolucyjne! Brutalizacja wojny niemiecko-sowieckiej latem 1941 roku*, Warszawa 2001
tenże, *Sowieccy partyzanci 1941–1944. Mity i rzeczywistość*, Poznań 2014
Muszyński W., *Spadochroniarze z NSZ*, „Uważam Rze Historia", nr 3, 2012
tenże, *W walce o Wielką Polskę. Propaganda zaplecza politycznego Narodowych Sił Zbrojnych (1939–1945)*, Biała Podlaska–Warszawa 2000
Nazarewicz R., *Drogi do wyzwolenia*, Warszawa 1979
tenże, *Koncepcje walki z okupantem i ich treści polityczne 1939–1945*, Warszawa 1977
tenże, *Nad Górną Wartą i Pilicą*, Warszawa 1964
tenże, *Narodowe Siły Zbrojne na Kielecczyźnie w świetle dokumentów Sicherheitspolizei*, „Najnowsze Dzieje Polski", t. 4, 1960
tenże, *NSZ a Gestapo w dystrykcie Radomskim. Wspólny cel*, „Polityka", nr 46, 14 XI 1992
tenże, *NSZ na kielecczyźnie w świetle materiałów Sicherheitspolizei*, „Najnowsze Dzieje Polski", nr 2, 1960
tenże, *Razem na tajnym froncie. Polsko-radzieckie współdziałanie wywiadowcze w latach II wojny światowej*, Warszawa 1983
tenże, *Wywiad i dywersja III Rzeszy na wyzwolonym terytorium Polski 1944–1945*, „Wojskowy Przegląd Historyczny", nr. 2–3, Warszawa 1983
Ney-Krwawicz M., *Komenda Główna Armii Krajowej*, Warszawa 1990
Nieczuja-Ostrowski B. M., *Rzeczpospolita partyzancka*, Warszawa 1991
Niwiński P., *Działania komunistycznego aparatu represji wobec środowisk kombatantów wileńskiej AK 1945–1980*, Warszawa 2008
tenże, *Okręg Wileński AK w latach 1944–1948*, Warszawa 1999
Norwid S. T., *Kraj bez Quislinga*, Rzym 1945
Opowieści generała „Bończy", oprac. P. Reising, Piotrków Trybunalski 2011
Pasierb B., *Polska myśl polityczna okresu II wojny światowej wobec Niemiec*, Poznań 1990
Paxton R. O., *Francja Vichy*, Wrocław 2011
Piątkowski S., *Okupacja i propaganda. Dystrykt radomski GG w publicystyce polskojęzycznej prasy niemieckiej (1939–1945)*, Lublin–Radom 2013
tenże, *Więzienie niemieckie w Radomiu 1939–1945*, Lublin 2009
Pietrzykowski J., *Cień swastyki nad Jasną Górą*, Katowice 1985
tenże, *Hitlerowcy w Częstochowie w latach 1939–1945*, Poznań 1959
tenże, *Tajemnice archiwum gestapo*, Katowice 1989
Pilaciński J., *Narodowe Siły Zbrojne. Zarys walki podziemnej 1939–1946*, Londyn 1976
Piotrowski J., *Piłsudczycy bez lidera*, Toruń 2004

Piotrowski M., *Narodowe Siły Zbrojne na Lubelszczyźnie 1944–1947*, Lublin 2009
Piskozub A., *Polscy zwiastuni powojennego pojednania z Niemcami – Władysław Studnicki i Józef Mackiewicz*, [w:] *Ruch oporu wobec Trzeciej Rzeszy*, Gdańsk 1995
Piszczkowski T., *Między Lizboną a Londynem. Z sekretów dyplomacji polskiej w czasie drugiej wojny światowej*, Londyn 1979
Pobóg-Malinowski W., *Najnowsza historia polityczna Polski*, t. 3, Warszawa, Gdańsk 1990
Polechoński K., *Pisarz w czasach wojny i emigracji. Ferdynand Goetel i jego twórczość w latach 1939–1960*, Wrocław 2012
Polska–Niemiecy–Europa, Warszawa 2000
Pospieszalski K. M., *Sprawa 58 tysięcy „Volksdeutschów"*, Poznań 1981
Powstanie Warszawskie 1944, Warszawa 1999
Pronobis W., *Generał „Grot". Kulisy zdrady i śmierci*, Warszawa 2014
Przemoc i dzień powszedni w okupowanej Polsce, Gdańsk 2011
Przybysz K., *Chłopi polscy wobec okupacji hitlerowskiej 1939–1945*, Warszawa 1983
Ramme A., *Służba bezpieczeństwa SS*, Warszawa 1984
Ratyński K., *Okręg ZWZ-AK „Nów". Wybrane zagadnienia*, Bydgoszcz 2000
Rokicki P., *Armia Krajowa na Wileńszczyźnie 1943–1945*, Warszawa 2007
Romanowski W., *ZWZ-AK na Wołyniu 1939–1944*, Lublin 1993
Roszkowski M., *Kazimierz Leski „Bradl"*, Warszawa 2010
Rybicka A., *Instytut Niemieckiej Pracy Wschodniej. Kraków 1940–1945*, Warszawa 2002
Ryszka F., *Państwo stanu wyjątkowego*, Wrocław 1974
Sadowska I., *Ferdynand Goetel pisze do generała Andersa*, „Arcana", nr 4, 1996
Sawicki J., *Przed polskim prokuratorem*, Warszawa 1958
Sawicki T., *Rozkaz: zdławić powstanie. Siły zbrojne III Rzeszy w Powstaniu Warszawskim*, Warszawa 1999
Schenk D., *Hans Frank. Biografia generalnego gubernatora*, Kraków 2009
Seweryn T., *Dożynki u Franka na Wawelu*, „Życie Literackie", nr 36, 1962
Siemaszko E., Siemaszko W., *Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939–1945*, t. 1–2, Warszawa 2000
Siemaszko Z. A., *Wileńska AK a Niemcy*, „Zeszyty Historyczne", nr 110, Paryż 1994
Siemaszko Z. S., *Sprawy i troski 1956–2005*, Lublin 2006
tenże, *Generał Anders w latach 1892–1942*, Londyn–Warszawa 2012
tenże, *Józef Mackiewicz. Listy, opracowania, wspomnienia*, Lublin 2009
tenże, *Korespondencja z Jerzym Giedroyciem 1959–2000*, Lublin 2008
tenże, *Łączność i polityka*, Lublin 2011
tenże, *Narodowe Siły Zbrojne*, Londyn 1982
tenże, *Polacy i Polska w II wojnie światowej*, Lublin 2010
tenże, *Rozmowy z Wehrmachtem w Wilnie. Luty 1944*, „Zeszyty Historyczne", nr 69, Paryż 1984
Sierotwiński S., *Kronika życia literackiego w Polsce pod okupacją hitlerowską w latach 1939–1945*, Kraków 1988
Sitkiewicz D., *Prawdziwy arystokrata*, „W Sieci Historii", nr 2, 2014
Skalniak F., *Bank Emisyjny w Polsce 1939–1945*, Warszawa 1966
Skowroński T., *Wojna polsko-niemiecka widziana z Brazylii*, Londyn 1940
Skwarek R., *Na wysuniętych posterunkach*, Warszawa 1977
Skwarek S., *Ziemia radomska w walce z okupantem*, Warszawa 1971
Smolorz R., *Brygada Świętokrzyska w Ratyzbonie*, „Biuletyn IPN", nr. 10–11, 2007
Snyder T., *Tajna wojna. Henryk Józewski i polsko-sowiecka rozgrywka o Ukrainę*, Kraków 2008
Sobczak J., *Polska w propagandzie i polityce III Rzeszy*, Poznań 1988
Stachiewicz Piotr, *„Akcja Koppe". Krakowska akcja „Parasola"*, Warszawa 1987

Stańczyk Z., *Kto strzelał do Winstona Churchilla*, „Rzeczpospolita”, 28 IV 2007
tenże, *Tajemnica gen. Sikorskiego*, „Przegląd Polski”, 13 IX 2002
Strzałka K., *Między przyjaźnią a wrogością. Z dziejów stosunków polsko-włoskich (1939–1945)*, Kraków 2001
Strzałka K., *Niemcy i „sprawa polska” w dwóch raportach płk. Kowalewskiego z Lizbony z 1941 roku*, „Zeszyty Historyczne”, nr 145, Paryż 2003
Strządała G., *Droga „na przełaj” do zjednoczonej Europy. Rzecz o periodyku „Przełom” (1944–1945)*, „Templum Novum”, nr 8, 2009
Strzembosz T., *Akcje zbrojne podziemnej Warszawy 1939–1944*, Warszawa 1983
tenże, *Oddziały szturmowe konspiracyjnej Warszawy 1939–1944*, Warszawa 1983
tenże, *Refleksje o Polsce i podziemiu 1939–1945*, Warszawa 1990
tenże, *Rzeczpospolita Podziemna*, Warszawa 2000
Suchcitz A., *Dzieje 1 Pułku Ułanów Krechowieckich 1941–1947*, Londyn 2002
Szarota T., *Hitler o Piłsudskim oraz okupant wobec kultu Marszałka*, [w:] *Gdańsk–Gdynia–Europa–Stany Zjednoczone w XIX i XX wieku*, Gdańsk 2000
tenże, *Karuzela na placu Krasińskich. Studia i szkice z lat wojny i okupacji*, Warszawa 2007
tenże, *Kolaboracja z okupantem niemieckim i sowieckim w oczach Polaków – wówczas, wczoraj i dziś*, „Śląski Kwartalnik Historyczny Sobótka”, nr 4, 2000
tenże, *Okupowanej Warszawy dzień powszedni*, Warszawa 2010
tenże, *Stefan Rowecki „Grot”*, Warszawa 1983
tenże, *U progu zagłady*, Warszawa 2000
tenże, *Życie codzienne w stolicach okupowanej Europy*, Warszawa 1995
Szatkowski W., *Goralenvolk. Historia zdrady*, Zakopane 2012
Szcześniak A. L., *Plan zagłady Słowian. Generalplan Ost*, Radom 2001
Sziling J., *Polityka okupanta hitlerowskiego wobec Kościoła katolickiego 1939–1945*, Poznań 1970
Szlaski-Prawdzic J., *Wyjaśnienia w związku z listem Zygmunta Godynia (sprawa Brygady „Łupaszki”)*, „Zeszyty Historyczne”, nr 49, Paryż 1980
Sznarbachowski W., *Bolesław Piasecki: od skrajnej antyniemieckości do projektów współpracy*, „Zeszyty Historyczne”, nr 94, Paryż 1990
Ślaski J., *Polska Walcząca 1939–1945*, t. 1–6, Warszawa 1985–1986
Śląsk wobec wojny polsko-niemieckiej, Wrocław–Warszawa 1990
Tarka K., *„Generał Wilk”. Aleksander Krzyżanowski – komendant Okręgu Wileńskiego ZWZ-AK*, Łomianki 2012
Terej J., *Na rozstajach dróg. Ze studiów nad obliczem i modelem AK*, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk 1980
tenże, *Rzeczywistość i polityka*, Warszawa 1971
Tomasiewicz J., *Skowron Eryk*, biogram, http://www.niklot.org.pl/slownik-biograficzny/34-s-s/113-skowron-eryk.html
Tomaszewski L., *Kronika Wileńska 1939–1941: z dziejów Polskiego Państwa Podziemnego*, Warszawa 1990
tenże, *Kronika Wileńska 1941–1945: z dziejów Polskiego Państwa Podziemnego*, Warszawa 1992
Truchan B., *„Burza” pod Wilnem*, „Zeszyty Historyczne”, nr 36, Paryż 1976
Trznadel J., *Kolaboranci. Tadeusz Boy-Żeleński i grupa komunistycznych pisarzy we Lwowie 1939–1941*, Komorów 1998
Turonek J., *Białoruś pod okupacją sowiecką*, Warszawa 1993
Turowski J., *Pożoga. Walki 27 Wołyńskiej Dywizji AK*, Warszawa 1990
Urbanowski M., *Człowiek z głębszego podziemia. Życie i twórczość Jana Emila Skiwskiego*, Kraków 2003
tenże, *Mackiewicz versus Skiwski?*, [w:] *Józef Mackiewicz (1902–1985) – świadek „krótkiego stulecia”*, Łomianki 2013
W marszu i boju. Z walk i przeżyć partyzanckich żołnierzy Brygady Świętokrzyskiej, Lublin–Warszawa 2010
W związku z artykułem B. Wiadernego „Niechciana kolaboracja…”, „Zeszyty Historyczne”, nr 143, Paryż 2003
Wachowiak S., *Wojna i okupacja 1939–1945*, „Zeszyty Historyczne”, nr 77, Paryż 1986
Walichnowski T., *Rozmowy z Leistem, hitlerowskim starostą Warszawy*, Warszawa 1986
Wanat L., *Za murami Pawiaka*, Warszawa 1972

Warakomski R., *Wileńskie dramaty*, Krzeszowice 2006
Wardzyńska M., *Był rok 1939. Operacja niemieckiej policji bezpieczeństwa w Polsce. Intelligenzaktion*, Warszawa 2009
taż, *Mord popełniony latem 1943 r. przez partyzantów radzieckich na żołnierzach AK z oddziału „Kmicica”*, „Pamięć i Sprawiedliwość”, t. 39, Warszawa 1996
Weinstein J., *Studnicki w świetle dokumentów hitlerowskich II wojny*, [w:] „Zeszyty Historyczne”, nr 11, Paryż 1967
Wenklar M., *Batalion 202.*, [w:] *Od września do Norymbergi*, Kraków 2012
tenże, *Polacy w niemieckiej policji pomocniczej Schutzmannschaftsbataillon 202*, „Studia nad Autorytaryzmem i Totalitaryzmem”, 34, nr 4, Wrocław 2012
Węgierski J., *Lwów pod okupacją sowiecką 1939–1941*, Warszawa 1991
Węgłowski A., *Kto wrobił wuja Jaruzelskiego? Kto stawiał na sojusz z Hitlerem*, „Focus Historia Ekstra”, nr 6, 2013
Wiaderny B., *Niechciana kolaboracja. Polscy politycy i nazistowskie Niemcy w lipcu 1940 r.*, „Zeszyty Historyczne”, nr 142, Paryż 2003
tenże, *Pułkownik Kowalewski w Lizbonie: dwa epizody*, „Zeszyty Historyczne”, nr 144, Paryż 2003
Wieczorkiewicz P., *Historia polityczna Polski 1935–194*5, Warszawa 2005
Wilamowski J., *Honor, zdrada, kaźń. Afery Polski Podziemnej 1939–1945*, t. 1–2, Warszawa 2009–2010
tenże, *Pętla zdrady. Za kulisami Polski Podziemnej 1939–1945*, Warszawa 2003
tenże, *Srebrniki Judasza. Konfidenci niemieckich władz bezpieczeństwa w okupowanej Polsce 1939–1945*, Warszawa 2004
Wilamowski J., Kopczuk W., *Tajemnicze wsypy*, Warszawa 1990
Wilamowski J., Zasieczny A., *Rozkaz: zabić Witkowskiego! Tajemnice organizacji wywiadowczej „Muszkieterowie” 1939–1942*, Warszawa 2013
Wojewódzki M., *W tajnych drukarniach Warszawy 1939–1944*, Warszawa 1976
Wojna domowa czy nowa okupacja? Polska po roku 1944, pod red. A. Ajnenkiela, Wrocław 1998
Wołkonowski J., *Okręg Wileński Związku Walki Zbrojnej Armii Krajowej w latach 1939–1945*, Warszawa 1996
Woźniakowski K., *Polskojęzyczna prasa gadzinowa w tzw. Starej Rzeszy (1939–1945)*, Kraków 2001
tenże, *W kręgu jawnego piśmiennictwa literackiego Generalnego Gubernatorstwa (1939–1945)*, Kraków 1997
Wójcik W., *Prasa gadzinowa Generalnego Gubernatorstwa (1939–1945)*, Kraków 1988
Wroński T., *Kronika okupowanego Krakowa*, Kraków 1974
Wyrwa T., *Generał Anders i demobilizacja Wojska Polskiego na Zachodzie w raportach dyplomatów francuskich*, „Zeszyty Historyczne”, nr 84, Paryż 1988
Wysocki W. J., *Cień Zawiszy. Ostatnie lata marszałka Śmigłego-Rydza*, Warszawa 1991
Wywiad i kontrwywiad Armii Krajowej, pod red. W. Bułhaka, Warszawa 2008
Zabiełło S., *O rząd i granice*, Warszawa 1986
Zabierowski S., *Pustków. Hitlerowskie obozy wyniszczenia w służbie poligonu SS*, Rzeszów 1981
Zakrzewski A., *Wincenty Witos. Chłopski polityk i mąż stanu*, Warszawa 1977
Zbudniewek J., *Jasna Góra w czasie okupacji hitlerowskiej*, Warszawa 1991
Zeszyty do historii Narodowych Sił Zbrojnych, zeszyt 3, Chicago 1964
Zgórniak M., *Nieudana misja Władysława Gizberta-Studnickiego w Berlinie w początku 1940 r.*, [w:] Zgórniak M., *Studia i rozprawy z dziejów XVI–XX wieku*, Kraków 2009
Zybura M., *Niemcy w Polsce*, Wrocław 2001
Zychowicz P., *Germanofil. Władysław Studnicki 1939–1945*, [biografia w przygotowaniu]
tenże, *Obłęd ’44*, Poznań 2013
tenże, *Pakt Ribbentrop–Beck*, Poznań 2012
Żaryn J., *Taniec na linie nad przepaścią*, Warszawa 2011
Żebrowski L., *Narodowe Siły Zbrojne*, Warszawa 1994
Żebrowski L., Sierchuła R., *Brygada Świętokrzyska NSZ*, Poznań–Warszawa 1994
Żebrowski M., *Jerzy Giedroyć. Życie przed „Kulturą”*, Kraków 2012

Żochowski S., *O Narodowych Siłach Zbrojnych – NSZ*, Lublin 1994

Spis treści

OPCJA NIEMIECKA

Motto

Rozdział 1. Naród wyjątkowy
Rozdział 2. Polskie państwo Vichy
Rozdział 3. W poszukiwaniu Quislinga
Rozdział 4. Kolonia zamiast Reststaat
Rozdział 5. ONR u boku Rzeszy
Rozdział 6. Bolesław Piasecki i Wehrmacht
Rozdział 7. Polacy na front wschodni
Rozdział 8 .Radziwiłł strofuje Göringa
Rozdział 9. Studnicki pisze do Hitlera
Rozdział 10. Rozmowa w Libourne
Rozdział 11. Memoriał lizboński
Rozdział 12. Kowalewski musi odejść
Rozdział 13. Wojna! Wojna! Wojna!
Rozdział 14. Alfred Wysocki na Wawelu
Rozdział 15. Sprawa pułkownika Albrechta
Rozdział 16. Honor polskiego oficera
Rozdział 17. Spisek nietoperzy
Rozdział 18. Leon Kozłowski przekracza front
Rozdział 19. „Muszkieterowie” wchodzą do gry
Rozdział 20. Wielka rozgrywka Śmigłego
Rozdział 21. Marszałek zamordowany?
Rozdział 22. Król Polski Hans I
Rozdział 23. Frank kontra Krüger
Rozdział 24. Katyń: nowe otwarcie
Rozdział 25. Józef Mackiewicz, pisarz oskarżony
Rozdział 26. Rozsądni gestapowcy

Rozdział 27. Niemieckie rozmowy z „Grotem”
Rozdział 28. „Miecz i Pług”
Rozdział 29. Gestapowiec jedzie do Andersa
Rozdział 30. 202. batalion
Rozdział 31. Polacy w białoruskich mundurach
Rozdział 32. Wojewoda i pułkownik
Rozdział 33. Porucznik „Góra”
Rozdział 34. Podporucznik „Ragner”
Rozdział 35. Rotmistrz „Lech”
Rozdział 36. Egzekutorzy z „Cecylii”
Rozdział 37. Major „Łupaszka”
Rozdział 38. Major Christiansen
Rozdział 39. Wilno dla Polaków
Rozdział 40. Nowa Polenpolitik
Rozdział 41. Polska Liga Antybolszewicka
Rozdział 42. „Przełom”
Rozdział 43. Emisariusz delegatury
Rozdział 44. Polacy, nie róbcie powstania!
Rozdział 45. „Bór” – drugi Własow
Rozdział 46. Polnische Wehrmacht
Rozdział 47. Pakt NSZ–Fuchs
Rozdział 48. Organizacja „Tom”
Rozdział 49. Epopeja Brygady Świętokrzyskiej
Rozdział 50. Zwycięstwo realistów
Rozdział 51. Zapomniani cichociemni
Rozdział 52. Hrabia Ronikier
Rozdział 53. W niemieckim więzieniu

Zakończenie

Fotografie
Plakaty propagandowe

Bibliografia

Spis treści

Strona redakcyjna

Copyright © by Piotr Zychowicz 2014
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2014

Informacja o zabezpieczeniach
W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

W publikacji wykorzystano czcionkę z rodziny Liberation (https://fedorahosted.org/liberation-fonts/)

Redaktor: Grzegorz Dziamski

Projekt i opracowanie graficzne i okładki: Zbigniew Mielnik

Fotografia na okładce: Narodowe Archiwum Cyfrowe

Wydawca podjął wszelkie starania w celu ustalenia właścicieli praw autorskich reprodukcji zamieszczonych w książce. W wypadku jakichkolwiek uwag czy niedopatrzeń prosimy o kontakt z wydawnictwem.

Wydanie I e-book
(opracowane na podstawie wydania książkowego:
Opcja niemiecka, wyd. I, Poznań 2014)

ISBN 978-83-7818-316-7

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40, fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

e-Book: Sławomir Folkman / www.kaladan.pl